

DRUGI TOM CYKLU  
DELEGATURY NOCY

GLEN COOK

PAN  
MILCZĄCEGO  
KRÓLESTWA



REBIS

**PAN  
MILCZĄCEGO  
KRÓLESTWA**

Na cykl  
„DELEGATURY NOCY”  
składają się:

TYRANIA NOCY  
**PAN MILCZĄCEGO KRÓLESTWA**  
W OKOWACH MROKU

# Glen Cook

## PAN MILCZĄCEGO KRÓLESTWA

Przełożył  
Jerzy Karłowicz



*Scorpium Magna*

Tytuł oryginału  
*Lord of The Silent Kingdom*  
(*The Instrumentalities of The Night, Book 2*)

Copyright © 2007 by  
*Glen Cook*

Copyright © for the Polish edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2008

Redaktor  
Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki  
Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce  
Raymond Swanland



Wydanie I

ISBN 978-83-7510-088-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Z każdą zimą lód sięga dalej. Świat staje się coraz chłodniejszym miejscem. Wody w morzach ubywa. Z najdalej wysuniętych na północ regionów Andoray zniknęły stada reniferów i plemiona mistycznych Seattsów. Gospodarstwa, pastwiska, wzgórza i fiordy karmiące wojowniczych Andorayan szczyły już dwa wieki temu pogrzebane pod lodem tak grubym, że przykrył nawet dzikie, wysokie szczyty. Wszędzie wysychają studnie mocy – choć dopust ten w najmniejszym stopniu dotyka pewnie Studni Ihrian.

Do niedawna dramatyczne procesy ograniczały się do odległych cywilizacji. Dopiero ostatnio zaczęły się dawać we znaki na brzegach Morza Ojczystego. Fale uchodźców zwiększają liczbę ludności bez dachu nad głową i środków utrzymania, co pozwala na zaciąg rekruta po okazyjnych cenach. I to właśnie w chwili, gdy głową Kościoła episkopalnego jest opętany obsesjonat – Patriarcha przekonany, że stanowi boskie narzędzie, któremu przeznaczone jest wykorzenienie herezji i unicestwienie niewiernych, tak by cała ludzkość mogła dostąpić łaski bożej i zbawienia. Patriarcha niepomny, jak wielu przed nim w dziejach, że wszechmogący Bóg może załatwić te sprawy bez pomocy śmiertelnych.

Napływ przesiedleńców przyczynia się do wzrostu niestabilności. Nikogo to nie obchodzi. Nikt nawet nie dostrzega problemu – wyjątkiem jest poziom lokalny, gdzie prosty lud utyskuje na wzrost przestępczości i przemocy... oczywiście w porównaniu z dobrymi starymi czasami. Spontaniczne reakcje na kradzieże i gwałty bywają równie gwałtowne.

Nie ma dnia bez wojny, nawet, gdy nie maszerują armie. Wojny pełgającej. Wojny ukrytej za kulisami wojny.

W imię boże trwa nieustająca kampania – wojna o niebiosa toczona na ziemi. Ta wojna nigdy się nie kończy, ponieważ boskość nigdy nie objawia się dwu duszom w ten sam sposób, a tylko nieliczni skłonni są do tolerancji wobec epifanii innych niż własne.

Toczy się bezustanna walka o przetrwanie w świecie, który nie dysponuje dostatecznymi zasobami ani nie wykazuje filozoficznych skłonności do udostępnienia ich wszystkim na równi.

I jest jeszcze niekończąca się cicha wojna z Tyranią Nocy. Ta najbardziej śmiertelna i paskudna z wojen jest równocześnie najsłabiej znana. Nawet jeden człowiek na pięciuset nie zdaje sobie z niej sprawy – mimo to każdy, już przez to tylko, że się urodził, staje się poborowym w zmaganiach z Delegaturami Nocy. Po tej albo po tamtej stronie frontu.

# 1

## Caron ande Lette, w Skraju Connec

W róg spłynął z lesistych wzgórz Elłow niczym gwałtowna wiosenna nawałnica. Nie poprzedzały go żadne pogłoski. Na widok pierwszej garstki zbrojnych Brock Rault, seuir ande Lette uznał, że to bandyci. Wkrótce jednak nagły wyrzut sumienia uświadomił mu, że mogą to być ludzie Tormonda z Khaurene. Książę Skraju Connec zabronił wznoszenia nowych fortyfikacji bez książęcego nadania. Nieukończona Lette była jedną z twierdz objętych zakazem Tormonda.

Jak Skraj Connec długi i szeroki wyrastały fortyfikacje. Zamiast wszakże spotęgować poczucie bezpieczeństwa, pogłębiały rozpacz. Powszechne nastawienie streszczało się w przekonaniu, że gdy ktoś już zatrudni najemników i zadba o własną ochronę, zaraz zacznie nękać sąsiadów.

Seuir ande Lette był wyjątkiem od tej reguły. Mimo iż miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, zdążył już powojować u boku hrabiego Raymone'a podczas Masakry pod Czarną Górą i wziąć udział w krucjacie przeciw Calzirowi. Poczul na twarzy cuchnący oddech okrutnej, bestialskiej wojny. Posmakował krwi. Z niechęcią odnosił się do wrogów swej rodziny, niechęć ta nigdy jednak nie przybrała rozmiarów każących mu ściągnąć na nich przerażenie, śmierć albo ból.

Choć sam był urodzonym i namaszczone w boju wojownikiem, jego wiara wyrastała z gleby pokoju.

Brock Rault był maysalczykiem, Poszukiwaczem Światła. Pacyfistą z przekonania, a heretykiem mocą deklaracji brotheńskiego Kościoła episkopalnego. Nie ukrywał swych przekonań.



Wróg podciągnął bliżej, tak szybko, że wielu wieśniaków nie zdążyło poszukać bezpiecznego schronienia w Caron ande Lette. W końcu seuir zdał sobie sprawę, iż najeźdźcy to nie żadni bandyci. Choć właściwie niczym poza liczebnością się od nich nie różnili. Sztandar wskazywał, że to ludzie grolsacherskiego kapitana wojsk najemnych, Haidena Backe'a, który działał na podstawie listów kaperskich otrzymanych od Patriarchy Wzniosłego V. Błąkał się po północno-wschodnich rubieżach Connec rzekomo po to, aby wykorzeniać herezję. W istocie łupił każdego, kogo nie było stać, aby się wykupić.

Za swą mordęgę Haiden Backe otrzymywał trzecią część łupów, którą zresztą podzielić się musiał z żołnierzami. Reszta szła do szkatuły Kościoła.

Kościół rozpaczliwie potrzebował funduszy. Wzniosły musiał spłacić pożyczki zaciągnięte podczas krucjaty calzirskiej. Najmniejsza zwłoka oznaczała zablokowanie perspektyw na dalsze kredyty. Poza tym jeszcze nie zapłacił za głosy, za które kupił sobie wybór na Patriarchę. A przecież nade wszystko pragnął stworzyć armie, które poniosą płomień następnej krucjaty przeciw pramanom, okupującym większą część Ziemi Świętej.

Wcześniejsze krucjaty ustanowiły wśród Studni Ihrian brotheńskie episkopalne przyczółki – księstwa i królestwa krzyżowców. Jednakże w ciągu ostatnich dziesięciu lat państwa te znalazły się pod silną presją ze strony kaifatu Kasr al-Zed i jego potężnego czempiona, Indali al-Sul al-Halaladyna. Wzniosły rozpaczliwie pragnął takiego miejsca w poczcie Patriarchów, które odda mu zasługę wyrwania Ziemi Świętej z rąk niewiernych. Wykorzenianie herezji w kraju ojczystym miało sfinansować tę wspaniałą zamorską misję.

Miliony ludzi serdecznie nienawidziły Honaria Benedocta, który dzięki intrygom i łapówkom został Patriarchą.

Seuir ande Lette zwrócił się do swego najbliższego towarzysza, siwego człowieka, z pozoru tuż po sześćdziesiątce:

– I tak, co powiesz, Doskonały Mistrzu? Wygląda na to, że godzina rozpaczki wybiła szybciej, niż przewidywałeś.

Doskonały Mistrz Ścieżki, brat Świeca z Khaurene, pochylił głowę.

– Kusi mnie, bym wyznał swój wstyd. Tak jakby moje przyście sprowadziło tę zarazę. Jeśli zaś pytasz o radę, to mogę jedynie powtórzyć napomnienia synodu w Świętym Jeules'u. Niech żaden Poszukiwacz Światła nie podniesie pierwszej ręki przeciwko bliźniemu swemu. Ale niech

też żaden Poszukiwacz nie umacnia zła, całkowicie zaniechawszy oporu wobec niego.

Brat Świeca wcześniej polemizował z taką postawą. W głębi duszy był pacyfistą. Lecz skoro już synod wydał decyzję, ruszył w drogę, by przygotować braci Poszukiwaczy do samoobrony. Znajdzie się wielu, którzy będą chcieli ich pozabijać, nie bacząc na ich szczególniey związek z tym, co boskie.

Młody rycerz powiedział do brata Świecy:

– Najpierw będzie chciał porozmawiać. Jego ludziom tak naprawdę nie zależy ani na porządnej walce, ani na długim oblężeniu. Wynoś się z Lette, póki możesz.

Brat Świeca przyglądał się najeźdźcom. O niewielu z nich można było powiedzieć, że kierują się prawdziwym przywiązaniem do wiary episkopalnej. Zostali najemnikami, ponieważ nie potrafili robić nic innego. Gdyby nie niemal nieuchwytna aura religijnego zadęcia, byłiby zwykłymi zbójami.

Po ziemi kroczy niejedna ciemność.

– Nikt nigdy nie nazwie cię tchórzem, Mistrzu – zapewnił go Brock Rault. – Wszystkim nam zależy, by kogoś tak wyjątkowego jak ty uchronić przed niebezpieczeństwem. A Haiden Backe potraktuje cię bez śladu należytego szacunku. – Bracia i kuzynowie Raulta pokiwali głowami, gotując się do walki. – Poza tym możesz zanieść naszą prośbę o pomoc do hrabiego Raymone’a.

Brat Świeca poszedł poszukać samotności i miejsca do medytacji. Trzeba znaleźć najlepszą drogę. Trzeba odkryć sposób najbardziej owocnej służby. I przede wszystkim poddać się woli Światła.

Ciało ruszało się niechętnie. Bało się, co mogą pomyśleć inni, jeśli zaczną uciekać. Z drugiej strony brat Świeca rozumiał, że nikomu się na nic nie przyda, gdy pozwoli, by go zarżnięto pod Caron ande Lette. Kościół będzie piał z zachwyty nad śmiercią jednego z ulubionych sług Przeciwnika, a równocześnie będzie zaprzeczał oficjalnie, iż miało to cokolwiek wspólnego z kampanią Haidena Backe’a. I tylko Grolsacher zgarnie potajemną premię za to, że pozbył się jednego z tych nieznośnych maysalskich Doskonałych.

– Postawię rączego konia pod furtę od strony rzeki – rzekł Rault.

– Przybyłem na piechotę – odparł święty mąż. – I tak samo odejdę.

Nikt się nie spierał. Faktycznie, piechur w złachmanionym ubraniu nie zwróci niczyjej uwagi. Cudzoziemcy nie rozumieli maysalskich ślubów ubóstwa.

Brock Rault wciągnął grolsacherskiego namiestnika w bezowocną dyskusję. Delikatnie zasugerował, że jeśli otrzyma dogodne warunki, może poddać bez walki Caron ande Lette. Haidena Backe'a tego rodzaju pertraktacje nie powinny zaskoczyć. Connekianie nieczęsto decydowali się na walkę w obliczu przewagi liczebnej nieprzyjaciela. W końcu jednak najmłodszy brat Brocka, Thurm, oświadczył:

– Doskonałego Mistrza już nie widać.

Rault odchrząknął, dał znak. Wskutek walki jego dusza zostanie nieodwołalnie zbrukana. Ale wiedział, że dusza ta powróci, by wziąć udział w kolejnym obrocie koła. Nie wahał się na zło zareagować niespodzianym złem. Tego nauczył się od hrabiego Raymone'a Garetego.

Podnieśli się i wystrzelili. Chorąży i herold Backe'a spadli z koni, podobny los spotkał dwóch księży w ciemnobrązowych habitach. Trzeci ksiądz, zapewne znaczniejszy od tamtych, ponieważ miał na sobie zbroję, przeżył salwę, lecz musiał się sam wyplątać z upręży zranionego wierzchowca.

Haiden Backe zasłonił się ręką przed strzałą lecącą w kierunku jego twarzy, odsłaniając szczelinę w zbroi pod pachą. Strzała znalazła drogę, ale drzewce się złamało, gdy grot trafił w żebro, i skręciła. Grot nie sięgnął serca.

Towarzysz złapał wodze wierzchowca Backe'a. Pozostali jeźdźcy uciekli, ścigani gradem strzał. Jednego przeszyło drzewce z balisty, grot wbił się głęboko w kark jego wierzchowca.

Tylko ksiądz w zbroi zdołał umknąć.

– Wzniosły wykorzysta to przeciwko nam – zauważyła siostra Brocka, Socia, która skończyła właśnie szesnaście lat.

– Oczywiście. Lecz ci ludzie, którzy rzekomo nie pracują dla Patriarchy, sami do nas przyszli. Chcieli nam ukraść życie, majątek i dobre imię. Cóż więcej może zabrać ten, który utrzymuje, iż nie jest ich pracodawcą?

Thurm uśmiechnął się szyderczo.

– Zawsze może nas ekskomunikować.

Roześmiali się wszyscy, którzy usłyszeli jego słowa.

– Zdaje się, że nikt z nich nie zginął – rzekł Brock. – Dopomóżmy im w drodze do nieba, do którego tak bezwzględnie chcą nas wyprowadzić.

Nawet ranni księża jakoś nie byli skłonni iść dziś na spotkanie Boga. Jeden zaoferował, iż wyrzeknie się Wzniosłego V na rzecz antypatriarchy, Niepokalanego II.

Brock pozwolił mu napisać list, w którym ujawniał związki między Kościołem brotheńskim a Grolsacherami. Resztę przywiązał do pali i pozostawił miłosierdziu ich bóstwa. Zresztą w miejscu, w którym łatwo mogły ich sięgnąć strzały. Gdyby towarzyszy nasza ochota ich ratować.

Wojska najemne otoczyły Caron ande Lette.

– Ach! – jęknęła przerażona Socia. – Siła ich.

– Ale poszli w rozsypkę – odparł Brock. – Teraz nie wiedzą, co robić. Haiden Backe już im tego nie powie.

Identyczna sytuacja utrzymywała się przez trzy dni. Podwładni Backe'a przypuścili kilka niezbornych szturmów. Żaden się nie powiódł.

Haiden Backe przegrał walkę z gorączką i sepsą. Biskup Strangu, grolsacherski ksiądz, którego stać było na zbroję, ogłosił się następcą Backe'a. Najemnicy natychmiast wyrazili wotum zaufania wobec biskupa oraz zamierzeń brotheńskiego Patriarchy. Tej nocy pod osłoną ciemności oddaliło się, co najmniej trzydziestu.

Morcant Farfog, biskup Strangu, był jednym z niezliczonych skorumpowanych, niekompetentnych biskupów, którzy związali swój los z Patriarchatem Brotheńskim. Wzniosły odkrył, iż może załatać swoje finansowe dziury, sprzedając nowe diecezje. W ten sposób stworzył załączek biurokracji, która miała gromadzić fundusze na drodze sprzedaży posiadłości, odpustów i legatów.

Wzniosły potrzebował pieniędzy.

Antypatriarcha Niepokalany w Viscesment jęczał i szalał, lecz tak naprawdę nie potrafił wykorzystać moralnej sposobności. Najchętniej już poddałby próżną walkę z uzurpatorami z Ojczystego Miasta.

Najemnicy oblegający Caron ande Lette nie bardzo mieli się, czym pochwalić. Ale większość z nich nie była głupia. Nieliczni tylko nie przejrżeli prawdziwego charakteru zamieszania, jakie wokół siebie tworzył biskup Farfog. A prawda była taka, że ten niekompetentny i całkowicie pochłonięty własną osobą człowiek ściągnie nieszczęście na tych, którzy są na tyle naiwni, by z nim trzymać.

Dezercje postępowały różno.

Po dwóch godzinach energicznego marszu brat Świeca dotarł do Artlan ande Brith. Seuir Lanne Tuldse był kostycznym, posuniętym w latach maysalskim rycerzem. Wierzył Khaurene. Dosłownie przestrzegał zakazu wznoszenia fortyfikacji, wydanego przez księcia Tormonda.

– Chodź – zwrócił się teraz do Doskonałego Mistrza. – Wejdźmy do domu. Stamtąd będziesz mógł zobaczyć dym, jeśli spalą Caron ande Lette.

Kamienny dwór stał niepewnie na szczycie poszarpanej skały ze zwietrzałego wapienia. Nie była to, ściśle rzecz biorąc, twierdza. Niemniej do środka raczej nie dostałby się nikt, kogo mieszkańcy nie chcieliby wpuścić.

Kwadrans po przybyciu Doskonałego Mistrza wnuk Lanne'a Tuldse pogalopował na południe, w kierunku Antieux. Po drodze miał podnieść alarm.

Chłopak wpadł na jeden z patroli hrabiego Raymone'a. Zaprowadzili go do obozu przy starobrotheńskim szlaku wojskowym, Trakcie Śródlądowym, który wił się wzdłuż zachodniego wybrzeża rzeki Dehear. W tym miejscu rzeka stanowiła tradycyjną granicę pomiędzy Skrajem Connec a Ormienden, galimatiasem hrabstw i mikroskopijnych księstw o pogmatwanych i zróżnicowanych zobowiązaniach lennych – wobec Imperium Graala, wobec Patriarchy, wreszcie innych królestw sąsiadującej Firaldii. Było nawet kilka takich, które przez małżeństwa uznawały suwerenat rodzin panujących Arnhandu i Santerinu. Surowe krajobrazy Grolsach rozpościerały się zaledwie osiem lig stąd, za wydłużonym obszarem Ormienden, zajmowanym przez jednostki polityczne zwane Imp i Manu. Hrabia Raymone chciał zagrozić drogę najeźdźcom, którzy zdecydują się użyć Drogi Śródlądowej. Tę marszrutę obrali niedawno najeźdźcy z Arnhandu. Energiczny opór, jaki chciał im stawić, był częścią kalkulacji strategicznych. Zajęcie wschodnich marchii Connec odetnie resztę prowincji od pomocy Imperium.

Szpiedzy hrabiego w Grolsach dowiedzieli się prawdy o tajnych listach kaperskich Wzniosłego. Raymone zamierzał rozbić każdego, kto je przyjął, zanim dotrze on do miast we wschodnim Connec.

Antieux działało jak magnes na najeźdźców, okryło, bowiem wstydem kilka formacji zbrojnych, usiłujących dopuścić się łajdactw w imieniu Patriarchy.

Hrabia Raymone nie otrzymał błogosławieństwa księcia Tormonda. Książę kurczowo czepiał się złudzenia, że Wzniosły dotrzyma obietnic, które złożył w zamian za pomoc Connekian podczas krucjaty przeciwko Calzirowi. Tormond nie potrafił pojąć, iż Wzniosły nie poczuwa się do obowiązku dotrzymania słowa danego heretykom. Kłamstwo nie było grzechem, gdy okłamywało się niewiernych.

Hrabia Raymone ruszył, skoro tylko usłyszał, co się dzieje. Dwa dni później dotarł do Artlan ande Brith. Podczas gdy żołnierze hrabiego rozbijali obóz, reagując na wezwanie, brat Świeca poszedł się spotkać z porywczym, zawziętym panem Antieux.

Hrabia Raymonde powitał go serdecznie.

– W godzinie rozpaczycy znów jesteśmy razem, co, Mistrzu?

– Byt składa się z cyklów i konwergencji – odparł brat Świeca. – Nawet, gdy wszędzie wokół wzbiera niegodziwość. By nie wspomnieć o wymaganiach stawianych przed każdym z nas, stosownie do wybranej profesji.

– Opowiedz mi o tych Grolsacherach.

– Nie potrafię.

– Nie chcesz? – Hrabia Raymonde przywykł do tego, że maysalskie sumienie wędruje dziwnymi ścieżkami. Niektórzy maysalczycy postanowili, że obojętnie, co ich spotka, pozostaną pacyfistami.

– Nie potrafię. Młody seur wypchnął mnie tylnymi drzwiami, gdy tylko zorientował się w niebezpieczeństwie.

– Brock Rault to doskonały rycerz. Świetnie stawał przeciw Arnhandrom. Poradziłby sobie na Shippen, gdyby nie to, że przeklętym Calziranom w ogóle nie chciało się walczyć.

– I bardzo dobrze. I tak nie uniknęliby nieuchronnego.

– Dla nas też dobrze.

Dzięki temu, że Connekianie wzięli udział w krucjacie calzirskiej, uzyskali pewne uprawnienia. Choć nie było mowy o żadnych zaszczytach ze strony Patriarchy, pomogli przyłączyć rozległe, nowe obszary do królestwa Piotra, króla Navai. Król Piotr, którego żoną była siostra hrabiego Tormonda, był obecnie protektorem Connec.

– Tak. I co z tego?

– Zamierzasz prawić mi kazania, Mistrzu?

Hrabia Raymone onieśmiał. Wysoki, szczupły, smagły, wyglądający na więcej niż dwadzieścia cztery i pół roku. Łuk brwiowy i policzek po lewej stronie przecinała długa blizna, przez którą sprawiał wrażenie bardziej srogiego, niż był w rzeczywistości. Blizna była napuchnięta i odbarwiona, proces gojenia jeszcze nie dobiegł końca.

Brat Świeca uniósł krzaczastą, siwą brew.

– Wolę, abyś mówił do mnie: bracie.

– Mam w rodzinie maysalskich ewangelistów, bracie. Rozpoznaję w twoim oku tę iskrę, która oznacza, że zaraz przyjdzie mi ścierpieć porcję świętych pouczeń. – Hrabia słynął z sardonicznego poczucia humoru.

Druga brew brata Świecy podskoczyła i zachichotał.

– To też nie przejdzie, bracie. Nie zakumplujesz się ze mną. Jesteście tak przejrzyści w swoich manipulacjach.

– W takim razie chylę czoło przed prawem młodości do popełniania własnych błędów.

– Tak przejrzyści.

Brat Świeca się poddał. Hrabia Raymone nie miał zamiaru mu się podłożyć. W każdym razie było i tak za późno. Od lat w Skraj Conneć sięgały macki piekła. Gniewny czas wydał złe potomstwo. A brat Świeca tylko tracił dany mu czas, usiłując powstrzymać okrutny przypływ. Teraz jego obowiązkiem było ratować i kochać tę odrobinę, jaką się da.

Parsknął. Poszukiwacz Światła, Doskonały nie posługiwał się wydumanymi conceptami w rodzaju piekła. Piekło istniało tylko w umysłach episkopalnych. Bardziej pierwotne kultury chaldarańskie na odległych rubieżach świata uznawały istnienie Przeciwnika, jednak nie wierzyły w Otchłań Wiecznych Męczarni. Brat Świeca nie wiedział, w jaki sposób pojęcie piekła wkradło się do zachodnich postaci chaldaraństwa. Inne wyznania, na przykład starsze religie devedian i dainshauów przewidywały, że wszelkie kary i nagrody odbiera się tu i teraz, na tym świecie. W myśl tej koncepcji w devach i dainshauach nie powinno być już bodaj śladu zła. Ich Bóg oraz chaldaranie nieprzerwanie wymierzali im karę.

– Coś cię rozbawiło, Mistrzu?

– Bracie, moje myśli kierują się ku niedoli tych, którzy odrzucili Ścieżkę. W tych dniach zapewne muszą uważać swych bogów za szczególnie złośliwych i nieczułych.

– I na nic innego nie zasługują, ponieważ gną karki przed Tyranią Nocy.  
I tu krył się paradoks świata.

Bóg był realny, nawet, jeśli od dawna go nie widziano. Wszyscy bogowie byli realni. Czasami wtrącali się w sprawy świata śmiertelnych. Każdy, kiedykolwiek wyobrażony demon, diabeł i chochlik istniał gdzieś naprawdę. Duchy drzew, rzek i kamieni istniały. Stwory czające się w mroku były boleśnie rzeczywiste i wciąż je napotymano, nawet na ziemiach, na których panujące wyznanie oficjalnie zaprzeczało ich istnieniu. Nawet w Skraju Connec, który uznawano pod tym względem za ujarzmiony już w epoce Starego Imperium, nocne istoty trwały gdzieś w ukryciu. Drobnica zazwyczaj żyła w lasach, górach, w starożytnych kamiennych kręgach, o których ignoranci sądzili, że są tworem olbrzymów. Uchodziły uwagi, ponieważ Skraj Connec znajdował się daleko od wszelkich źródeł mocy. Dzięki temu też nigdy nie miały wyrosnąć na nic bardziej straszniejszego. Umykały uwadze, ponieważ gdy tylko ich obecność zaczynała się dawać we znaki, przychodzili episkopalni Łowcy Duchów, aby je zniszczyć.

Większe stwory Nocy zostały zaklęte w posągi, kamienie, pochowane na rozstajach dróg tudzież uwięzione w magicznych mieczach czy zaczarowanych pierścieniach, których rzadko używano, gdyż były immanentnie zdradzieckie, wreszcie przykute do kamieni nagrobnych lub łuków na pogańskich cmentarzach z dawnych czasów. Były to niedobitki, które przetrwały czystki urządzone przez czarowników-komendantów Starego Imperium Brotheńskiego.

Niegdyś miały dość siły, by uważano je za bogów lub bożków. Teraz były martwe albo moc ich i istnienie rozprysły się na tysiące odłamków pękniętego kamienia, rozproszonych po świecie przez ich pogromców z dawnego świata. Jeśli już nie można było ich na trwałe zniszczyć, świat wolał, by pozostawały w takiej postaci – rozproszone, niegroźne.

„Na trwałe” było tu zresztą pojęciem względnym, skoro wiara mogła przywrócić światu najbardziej nawet rozproszone fragmenty – potrzeba było do tego jedynie jakiejś zbłąkanej smużki mocy.

Na świecie żyli ludzie, którzy potrafili odtworzyć ich pierwotną postać, czarownicy spragnieni potęgi. Choć na zachodzie od ponad dwunastu stuleci żaden człowiek nie zdobył takiej mocy. Utalentowani nieuchronnie trafiali do Kolegium, gdzie byli nieustannie pod nadzorem takich samych jak oni. Albo umierali.



Brat Świeca rzekł:

– Moja wiara zabrania mi błogosławić cię za to, co robisz, hrabio Raymone. A jednak to, co czynisz, choćby najbardziej okrutne, musi zostać uczynione, by zatrzymać przyływ ciemności.

Ale ciemność i Noc były w jego rozumieniu siłami natury, nie zaś personifikacjami zła. Nie mogły nimi być. Nie były ani dobre, ani złe. Przynajmniej do chwili, gdy ktoś nie zdecydował przykleić im etykiety, niczym znaku kastowego wymalowanego na czole. Albo wykorzystać je do złowrogich celów.

Brat Świeca miał czyste sumienie. Zrobił wszystko, co mógł. Mimo to wciąż się martwił. Czuł, że budzi się tu coś więcej niż tylko wściekłość, chciwość i żądza śmiertelnych ludzi.

Dwudziestu paru żołnierzy ukazało się na południe od Caron ande Lette, ściągając uwagę najemników. Biskup Farfog wyruszył im naprzeciw, lekceważąc ich z powodu niewielkiej liczby. Łotrom, którzy przy nim zostali, zabrakło sprytu, aby się przejąć garstką, która przecież wyraźnie wyglądała na przynętę.

Sam biskup też tego jakoś nie widział – choć przecież on właśnie miał pomyśleć, że ci żołnierze pragną wciągnąć go w zasadzkę. Chytra strategia hrabiego Raymone’a Garete’a omal nie zawiodła wyłącznie, dlatego, że jego przeciwnik był za głupi, aby nabrać podejrzeń.

I tylko inercja oraz lenistwo powstrzymały Grolsacherów od natychmiastowej szarży. Może jeszcze mglista obawa, że obrońcy Caron ande Lette – w liczbie dwudziestu dwóch – napadną na nich z tyłu.

Podczas gdy garstka symulowała zasadzkę, a rodzina Raultów czekała, żołnierze hrabiego Raymone’a przemknęli obok, niewidoczni, na zachód, starając się nie wzniecać kurzu na drodze. Kilku ruszyło na wschód, pod osłoną gęstwiny drzew rosnących na brzegu rzeki. Symulanci wycofali się. Grolsacherzy powrócili do swego pierwotnego zajęcia, które polegało na rzucaniu szyderczych wyzwisk pod adresem oblężonych i uchylaniu się przed zabłąkanymi strzałami.

Symulanci zjawili się z powrotem następnego dnia. W towarzystwie dwustu przyjaciół. Kiedy najemnicy zastanawiali się, czy nie pójść śladem kolegów, dość bystrych, aby wcześniej zrejterować, odkryli za swoimi plecami kompanie connekiańskie. Potem pozostało im już tylko się przyglądać, jak wróg zdobywa ich żalösny obóz.

O żadnej szczególnej walce nie można było mówić. Grolsacherzy poszli w rozsypkę, ginąc w trakcie ucieczki.

Connekianie ścigali jedynie tych, którzy nie uciekali w kierunku przez nich pożądanym. Z powrotem wzdłuż rzeki, do domu, gdzie wpadli w zasadzkę i najpierw zostali przygwożdżeni do ziemi przez łuczników, a następnie zaatakowani przez ciężką piechotę.

Zostawała rzeka. Connekianie dali im spokój, gdy znaleźli się w jej wodach.

Biskup Farfog był jednym z nielicznych, którzy pływali dość dobrze, by się przedostać na drugi brzeg. Ale najpierw rozstał się ze swą zbroją i łupem.

Brat Świeca przybył w chwili, gdy ludzie hrabiego Raymone'a grzebali zmarłych najemników, spośród których część jeszcze oddychała. Swoich grzebać nie musieli. Motłoch rozpierzchnął się, nim Connekianie ponieśli jakiegokolwiek straty.

Doskonały Mistrz nie dostrzegł nikogo, kto nie umarłby w następstwie ran odniesionych od tyłu. Wielu wyglądało, jakby uśmiercono ich już po pojmaniu. Wzięto tylko paru jeńców.

Pasowało to do charakteru hrabiego Raymone'a. Hrabia wierzył, iż najlepszym sposobem zniechęcenia ewentualnych kolejnych najeźdźców na Connec jest wymordowanie wszystkich zdradzających tego rodzaju skłonności – a zwłokami niech się zajmą padlinożercy.

Za jedynymi aktami kurtuazji, jaką okazano przegranym, stał Brock Rault wraz z braćmi.

Doskonały Mistrz ze smutkiem wędrował przez pole śmierci. Najemnicy, zarówno uchodźcy, jak i Grolsacherzy, należeli do najuboższych z biednych. Często nie mieli nawet przy sobie wartej złupienia broni. Liczyli, że uzbroją się bronią swych ofiar.

Nic nowego. Grolsach znane było z tego, że rodziło biednych niedoszłych morderców, tak samo jak Ormienden wytwarzało wino, Skraj Connec zaś piosenki, poezję, malarstwo oraz oszałamiające arrasy.

To Grolsacherzy, dowodzeni wówczas przez Adolfa Blacka, przyłączyli się do skazanego na porażkę najazdu Arnhandów, który zakończył się Masakrą pod Czarną Górą. Dwa lata wcześniej tysiące Grolsacherów, którzy znów naonczas znaleźli się w służbie Arnhandu, dało głowy na polu

kłęski tego królestwa pod Themes, gdy król Arnhandu próbował dochodzić swych wątpliwych roszczeń do Tramaine.

Brat Świeca przyłączył się do Brocka Raulta oraz jego rodzeństwa: Bootha, Socii i Thurma. Brock oraz Booth namyślali się, Thurm zaś się niepokoił. Socie opanowała żądza krwi. Chciała pozatykać głowy na słupach nad granicą Grolsach.

Brat Świeca zauważył:

– Człowiek mniej więcej tak samo długo koncentruje uwagę jak mucha.

Much z chwili na chwilę było coraz więcej. Gdyby brat Świeca znał jakikolwiek pogański kult, być może wspomniałby przedchaldarańską Delegaturę, zwaną Władcą Much, Władcą Robaków, Księciem Kruków bądź Rookiem. Rook był ostatnim z bogów odwiedzających pola bitewne. Przed nim był Ordnan, bóg bitew, była Śmierć, był Trzon, wreszcie Selekcjonerki Poległych. Te ostatnie wybierały największych bohaterów i całych unosiły w niebiosy. Trzon interesowały jedynie dusze tych, których uznano za niegodnych Komnaty Bohaterów.

Rook był wcielonym rozkładem.

Myśli Rooka wzywały wszystkie muchy i padlinożerców, gdy ludzie szykowali się na wojnę. Było tak przed nastaniem chaldarańskiej wiary episkopalnej. Teraz te stare Delegatury przeminęły. Rzekomo. Mniej więcej. Taka była treść nadziei człowieka współczesnego, który modlił się do swoich nowszych, łagodniejszych bogów.

Duchy tych bardziej srogich bogów nigdy nie opuściły świadomości zbiorowej. Odrodzą się, jeśli potrzebować ich będzie i przywoływać wystarczająco wielu ludzi. Jeśli Studnie Mocy wytworzą odpowiednią nadwyżkę mocy, na której wyrosną Delegatury.

Przez głowę Socii przemknęła niepokojąca myśl:

– Być może samo Connec jest ścierwem, do którego ciągną muchy.

Brat Świeca zadrzał. W głosie tej dziewczyny, dziecka jeszcze, pobrzmiwała nuta szaleństwa. Zapewne była wrażliwa na Delegatury Nocy.

– Grolsacherzy nigdy się nie uczą – zauważył. – Wszystkie ich awantury kończą się katastrofą. Ludzie, którzy ich wynajmują, też się niczego nie uczą. Dlaczego nie widzą, że każdego, kto najmuje Grolsacherów zawsze spotyka nieszczęście?

Socia roześmiała się.

– A przecież wystarczy sobie wyobrazić, że zwycięstwo jest pisane właśnie im. Nieprawdaż?

Brat Świeca wymienił spojrzenia z braćmi dziewczyny. Brock Rault pokręcił głową. Socia widziała las tam, gdzie inni dostrzegają jedynie drzewa. Pomagała dorzynać najemników, których powalono przed bramą miasta. Żadna z tych rzeczy w najmniejszej mierze nie zakłóciła spokoju jej sumienia.

Dziewczyna nie miała pojęcia o maysalskich zasadach. Z drugiej strony, strofował się brat Świeca, we wszystkich religiach były rzesze ludzi, którzy w ogóle nie zwracali uwagi na to, o co w nich chodzi. Niektórzy nawet potrafili zajść wysoko w hierarchii swego wyznania. A potem musieli uciekać za morze, gdy ich nikczemność ich dogoniła.

Uzurpatorski Patriarcha Wzniosły V był właśnie takim człowiekiem, choć zarzut brata Świecy można było postawić przeważającej większości brotheńskiego kolegium episkopalnego.

Na marginesie niejako brat Świeca głęboko przejmował się wpływem tego, co nadprzyrodzone, na zmagania militarne. Od czasu Masakry pod Czarną Górą w okolicy odnotowano gwałtowny wzrost liczby spotkań ze stworami Nocy. Przemoc i skrajne emocje z pewnością przyciągały spojrzenia Nocy.

## 2

# Brothe, w towarzystwie Naczelnego Wodza

Piper Hecht zaklął na modłę episkopalną:

– Na krew Boga! Czy ci ludzie nie mogą zostawić mnie w spokoju nawet na jedną noc?

Pełne usta Anny Mozilli wykrzywiły się szyderczo:

– Tęsknisz za tą nocą, co? I popołudniem przed nią? I dzisiejszym rankiem? Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ranisz moich uczuć, panie Naczelnny Wodzu.

Piperowi zajęło sekundę uświadomienie sobie, iż jego pani droczy się z nim. Annie zdarzały się sporadyczne, nieprzewidywalne wybuchy użalania nad sobą.

– To Pinkus Ghort – powiedziała. – We własnej osobie. – I naśladowując grolsacherski sposób mówienia Ghorta: – Więc sprawa musi być poważna.

Stary towarzysz broni Hechta dowodził Brotheńskim Regimentem Miejskim. Było to zadanie równie najeżone trudnościami i niewdzięczne jak zaganianie stada kotów. Ghort stanął w obliczu ograniczeń i wymogów tak samo dekoncentrujących jak te, które trapiły samego Naczelnego Wodza. Skoro jednak stawiał się osobiście, mimo że lało jak z cebra, musiał mieć powód.

– Musi.

Hecht poszedł do drzwi. Anna nikogo nie wpuszczała do środka. Do domu wstęp mieli tylko Piper Hecht i jedna sprzątaczką. Ghort oraz jego człowiek, Polo, czekali na niewielkim ganku.

Ciepły deszcz obudził bogate wonie ulicy. Szkoda tylko, że był dostatecznie ulewny, aby spłukać wszystko.

– Szykuje się wielkie gówno, Pipe. Musimy coś zrobić. Szybko.

– Co?

– Clearenza. Fon Dreasser wypowiedział przysięgę lenną, złożoną Patriarsze. W Castella o niczym nie słyszeli. Jeszcze. Wzniosły się zesra.

Na tym z pewnością się nie skończy. Zdrada Clearenzy nie była wielką niespodzianką. Książę Germa fon Dreasser był politycznie niestały, łagodnie rzecz ujmując. W zależności od tego, skąd wiały korzystne wiatry polityczne, jego lojalność przypadała na przemian Imperium Graala bądź Patriarchatowi. Wzniosły V winien był Germie i syndykom Clearenzy osiemnaście tysięcy złotych dukatów tytułem zaległych kredytów zaciągniętych, aby sfinansować calzirską krucjatę. Początkowo miało to być przedsięwzięcie samofinansujące się z łupów. Oczekiwania okazały się płonne. Ta odrobina bogactw, jakie znaleziono, trafiła w ręce imperialnych i direcjańskich sprzymierzeńców Wzniosłego. Ostatnio Wzniosły przestał nawet udawać, iż wywiąże się ze swoich zobowiązań. Zaniechał spłacania odsetków clearenzańskiemu konsorcjum.

– I?

– Poprosił o protekcję Imperatora.

Choć trudno było przypuszczać, by posunięcie to kogoś zdziwiło, z pozoru nie miało ono żadnego sensu. Imperator Graala, Lothar, był chorowitym chłopcem, nikt się nie spodziewał, że przeżyje najbliższy rok. Z drugiej strony, nikt nie dawał mu szans na przeżycie każdego kolejnego roku z piętnastu lat, a tyle właśnie liczył.

– Wyczuwam w tym rękę Renfrowa. Nie mam konia – powiedział Hecht.

– Mimo piastowanej pozycji rzadko jeździł konno po mieście.

– Renfrow. Założę się, że udało mu się za pierwszym razem. Przeprowadziliśmy zapasowe wierzchowce.

Na wąskiej ulicy czekało dwunastu jeźdźców, dopiero teraz zorientowali się, że stoją w obecności Naczelnego Wodza.

– Poczekajcie tylko, aż wezmę...

Anna podała mu zimowe palto. Było ciężkie jak na tę porę roku, ale dzięki niemu nie przemoknie podczas jazdy do pałacu Chiaro. Ucałowała go. Ghort zachichotał. Chudy, stary Polo zawstydzony odwrócił wzrok.

Jeźdźcy podjechali bliżej. Hecht nie znał żadnego. Nie ulegało wątpliwości, że są to ludzie Pikusa i jego patrona, prowincjała Bronte'a Doneta. Lecz Hecht nie miał żadnych podstaw, by nie ufać Ghortowi. Żadnych powodów do niepokoju.

Ferris Renfrow był złowrogą postacią z najbliższego kręgu Imperatora Graala. Wcześniej wiernie służył ojcu Lothara, Johannesowi. To dzięki tajnym machinacjom Renfrowa Johannes Czarne Buty stał się potężny, a jego słabowity następca stosunkowo spokojnie objął tron i nikt mu się nie sprzeciwiał ani w imperium, ani poza nim.

Patriarcha Wzniosły V traktował jego rządy, jako rodzaj wymuszonego moratorium. Korona imperium przejdzie w następnej kolejności na siostrę Lothara, Katrin. Lecz Lothar nie miał ochoty umierać. Jego Imperium zaś szarpało Patriarchat jak sfora ogarów, próbując ograniczyć ziemską władzę Kościoła. Znacznie bardziej energicznie niż za czasów Johannesesa.

Młody imperator obwiniał Wzniosłego o śmierć swojego ojca. A Renfrow podsycił jego urazy.

Walka się nie skończy, póki trwać będzie Nowe Imperium Brotheńskie.

Z drugiej strony, Hecht nie potrafił sobie wyobrazić, aby chaldarański Kościół episkopalny miał trafić na śmietnik historii. W skrytości ducha nie życzyłby mu tego losu. Zbyt wielu ludzi zbyt wiele zainwestowało w tę instytucję.

Hecht dosiadł siwego wierzchowca. Zdawało mu się, iż niektórzy ludzie Ghorta są niezwykle zdenerwowani.

– O co chodzi?

– Nie wiesz? Musisz się lepiej rozglądać, Pipe. Noc się ostatnio zaktywizowała. Nawet za dnia. Mamy do czynienia z serią zagadkowych morderstw. Brutalnych. Naprawdę obrzydliwych. Ofiary były porozrywane na kawałki. Plotki winę składają na nocne potwory. Ludzie modlą się, aby to była rzeczywista przyczyna.

Ci ludzie byli weteranami. Takie rzeczy nie powinny ich wzruszać. Nieprawdaż?

– Są inni podejrzeni?

– Tak.

– Szaleniec?

– Taki, który zabija, aby wywoływać paskudne duchy. Pożeraczy dusz.

Hecht zadrzał. Wiele widział i wycierpiał w ciągu swego trzydziestokilkuletniego życia. Ale były gorsze rzeczy od tych, z którymi przyszło mu się spotkać, bardziej odrażające, bardziej złośliwe. Straszne istoty, które czały się w nocy.

– Mówisz jak dziki Sheard, Pinkus. Nie Brotheńczyk.

– Ja tak nie uważam. Wspomniałem o tym tylko dlatego, abyś miał całościowy ogląd sytuacji. Ludzie przeważnie doszukują się ciemnych stron. Poza tym słyszałem, że nie ma już żadnych Wielkich Bagien.

– Co?

– Wiem, że poza Anną i pracą reszta cię nic nie obchodzi. Dochodzą słuchy, że bagna wysychają. Prowincjał Delari może ci to potwierdzić. Na całym świecie ma swoich księży, którzy przysyłają mu raporty o zachodzących zmianach. O tym, że w wysokich górach przybywa lodu i śniegu. O tym, że poziom wody w Morzu Płytkim nie sięga już nawet wzrostu mężczyzny. I o tym, że te całe twoje bagna odwadniają się i wysychają. A od północnej strony już pokrywa je warstwa wiecznej zmarzliny.

– To możliwe. Tak przypuszczam. Po prostu, kiedy wyjeżdżałem, nie było jeszcze o tym mowy.

Ghort wzruszył ramionami. Niewiele obchodziły go zmiany, które dokonywały się o tysiące mil stąd. Nie miał odpowiednich do tego predyspozycji umysłowych.

Piper Hecht cieszył się, że człowiek, z którym przychodziło mu spędzać większość czasu, jest tak powierzchowny i skupiony na sobie. Gdy temat rozmowy robił się niewygodny, zawsze mógł go zmienić, wspominając o winie albo hipodromie. Ghort jakoś ostatnio za bardzo polubił winne grona. A hipodrom zajmował w tym sezonie uwagę wszystkich.

– Więc co niezwykłego jest w tym zabójcy? Skąd sława, która go otacza?

Brothe było pod względem rozmiarów drugim największym miastem świata, palmę pierwszeństwa dzierżyło Hypraksjum w Cesarstwie Wschodu. Lecz Brothe miało swoją ciemną stronę. Morderstwa były tu na porządku dziennym, a sprawiedliwości dochodzono zazwyczaj na drodze prywatnej.

Zdarzały się morderstwa wymykające się zdrowemu rozsądkowi.

– Nie potrafię powiedzieć ci nic ponad to, co już powiedziałem. Nie szwendam się po mieście, by słuchać, co mówi biedota i dzicy lokatorzy. Po



prostu wiem, że ludzie są przestraszeni. Kolegium zaś nie podchodzi do sprawy poważnie.

– Jak wtedy, gdy działali duszodawcy? – Ta część historii własnego życia była dla Hechta zrozumiała jedynie dzięki temu, że jego obecny mentor, prowincjał Delari, zadał sobie trud odkrycia wszystkiego, co się da na temat opętanych przez bogów oprawców. A i tak było tego niewiele.

– Oni tylko zabijali ludzi, żeby zarobić na życie do chwili, gdy będą mogli zrobić to, czego domagały się kierujące nimi Delegatury.

Problem polegał na tym, że duszodawcy zostali wybrani, aby zgładzić śmiertelnika, którego Dawni Bogowie zwali Bogobójcą, a który był niewolnym żołnierzem z odległego Dreangeru. Else'a Tage'a, jednego z najbardziej uzdolnionych kapitanów spośród sha-lugów. Else Tage wysłany został do Firaldii przez Gordimera Lwa w imieniu kaifa al-Minfet, aby sabotować dążenia Wzniosłego V do krucjaty na wschodzie.

Else Tage nigdy się nie dowiedział, że stał się celem starożytnych bogów. Niemniej podejrzewał, że Delegatury Nocy wyraźnie się nim interesują. I tylko niejasno podejrzewał, dlaczego.

Else Tage przeżył spotkanie z duszodawcami. Obecnie nosił imię Piper Hecht. Zrobił karierę wśród episkopalnych chaldaran i został Naczelnym Wodzem armii wystawianej przez człowieka, który o niczym innym nie marzył, jak tylko o tym, by ogniem i mieczem potraktować niewiernych z Ziemi Świętej.

Nieliczni znali prawdę.

Piper Hecht czułby się bardziej swobodnie, gdyby ich było jeszcze mniej.

Hecht powiedział:

– Pinkus, cały czas spotykasz się z Donetem. Czy ma on jakieś pojęcie, co dzieje się w głowie Wzniosłego? Będzie ekspedycja przeciwko Clearenzy?

– Prawdopodobnie. Germa fon Dreasser i Honario Benedocto mają ze sobą zadawnione porachunki.

Honario Benedocto – takie imię nosił Patriarcha, nim został wyniesiony na tron.

– Firaldianie gwałcili nawzajem swoje żony i córki, a potem robili z tego hasło do wendety od czasu...

– Nie wspominając już o ich synach i męskich dziwkach.

– Dlaczego jedziemy tędy, Pinkus? Zwłaszcza, że pada?

Wjechali na teren tak gęsto zabudowany, że w prześwicie ulicy nie zmieściliby się dwaj jeźdźcy zmierzający w przeciwnych kierunkach. Niebrukowane ulice były tu śliskie i pokryte grubą warstwą mieszaniny gnoju oraz ludzkich odchodów. Kiedy konie unosiły kopyta wśród odgłosów głośnego mlaskania, ślady kopyt natychmiast wypełniała woda.

Koniuszy w stajniach regimentu będą mieć mnóstwo roboty, gdy zwierzęta trafią do nich z powrotem.

– Po Prostu Zwyczajnie Joe cię zabije. – Kopytami i nogami koni trzeba będzie się specjalnie zająć, aby uchronić je przed chorobą.

– Ogier! Aubero! Co, do diabła, ma znaczyć ta przejażdżka po kupie gówna? Kto wam kazał tędy jechać? – Ghort usiłował się przepchać na przód oddziału.

Pół minuty później Hecht wyjechał na niewielki plac. Jadący przed nim popatrywali wokół siebie ostrożnie, gotując broń.

– Nie tylko gównem tu śmierdzi – oświadczył Ghort. – Ogier i Aubero zniknęli. Dupki.

– Tyle się domyśliłem, gdy ujrzałem twoją klingę moknącą na deszczu.

– Polo wyczyści rdzę. Za to mu płacą. I jeszcze za szpiegowanie nas wszystkich dla Paludana Bruglioniego.

Polo podsłuchiwał. Nie zaprotestował. Ghort nigdy nie okazywał żadnych względów dla jego uczuć.

Ghort wydał rozkazy. Mężczyźni zsiadli z koni i ruszyli pod ścianami domów wokół placu i położonej pośrodku cysterny. Pustka na placu źle wróżyła.

– Nie powinienem przyjąć tych dwóch do ochrony osobistej – mruknął Ghort.

– Których dwóch? – zapytał Hecht.

– Ogiera i Aubero. Bliźniacy, potrafisz uwierzyć? Znam ich jeszcze z domu. Mieli list polecający od mojego wuja Orisa. Powinienem zdać się na intuicję, zamiast myśleć, że jestem coś winny rodzinie.

Paskudny świst, niczym złośliwy szerszeń, uciszył biadolenie Ghorta. Razem z Hechtem runął na ziemię. Wcześniej usłyszeli niedający się z niczym pomylić jęk cięciwy kuszy. Ghort potoczył się w rozbryzgach błotnistej mazi, aż udało mu się ukryć za jedynym dostępnym schronieniem, czyli drewnianym słupkiem, którego szerokość ledwie sięgała siedmiu cali.

– Widzisz, skąd strzelają?

– Nie. – Piper Hecht dorobił się podobnego schronienia. Tyle, że się przy tym nie ubrudził. Jego słupek był równie gruby jak szeroki, i bardzo dobrze, gdyż jeden żelazny bełt zdążył się już wgryźć w stare drewno.

– Ale twoi ludzie coś mają.

Ci, którym Ghort rozkazał zaatakować, wbiegli w przestrzeń drzwi. Co do jednego zawodowcy – weterani krucjaty przeciw Calzirowi oraz walk na ulicach al-Chazen.

Bełty wciąż latały wokół i chybiały, póki jeden z ludzi Ghorta nie oberwał rykoszetem w stopę. Jego człowiek, Polo – kiedyś zresztą służący Hechta – przykucnął za Naczelnym Wodzem, załamując ręce i jęcząc, nie ze strachu, ale z powodu pracy, jaką będzie musiał wykonać, gdy skończy się ta potyczka.

– Zamknij się, Polo – Hecht zdążył już zlokalizować snajperów. Było ich trzech. Nie przypuszczał, aby byli wśród nich zbiegli ochroniarze Ghorta. Na pewno już pędzili na północ, kłócąc się, co zrobić z wypłatą.

Hecht wybrał moment, gdy wszyscy trzej snajperzy razem naciągali kusze, poderwał się, by ruszyć do ataku. Polo chwycił go za prawe ramię, usiłując powstrzymać przed wystawianiem się na cel strażów. Hecht rzucił się w lewo, próbując się wyrwać z uścisku służi.

Z dachu pomknęła w dół ciemna smuga. W ujranej przez moment sylwetce Hecht domyślił się czarodzieja. Grot miał wielkość i kształt trzonka młotka, odrobionego w absolutnej czerni. Zaraz ugodzi go w pierś. Odruchowo wyrzucił lewą rękę w górę. Lewy nadgarstek eksplodował spazmem nagłego, palącego bólu.

Skrzep ciemności gwałtownie skręcił w bok. Uderzył w wyciągnięte ramię Pola. Tamten wrzasnął.

Wszystko rozegrało się w okamgnieniu. Ramię Pola wyszło na skórzasty, skurczony, czarny patyk – martwą drwinę z ludzkiej kończyny – nim z jego gardła wyrwał się pierwszy krzyk.

Jeden z ludzi Ghorta pojawił się za plecami czarodzieja. Weteran. Nie marnował ani chwili. Chwycił zamachowca i zrzucił go z dachu.

Niedoszły zabójca spadł na głowę. Umarł od razu, ze skręconym karkiem i roztrzaskaną czaszką.

– Gówno tam! – zaklął Ghort. – Teraz się nigdy nie dowiemy, o co w tym chodziło. Z pewnością tylko on znał prawdę. – Ludzie Ghorta wlekli innego

jeńca na plac. – Może ktoś zamknie mu gębę? – Chodziło mu o Pola. – Te wrzaski działają mi na nerwy.

– Znajdź tych dwóch, którzy nas tu ściągnęli – odezwał się Hecht. – Wiesz, kim są i skąd pochodzą. Ściągnij ich z powrotem. Najlepiej poślij po Bo Biognę. – Pomasował lewy nadgarstek. Tym razem nie było tak źle. – Chcę z nimi pogadać. – Amulet, który miał na ręce, niewidzialny od momentu, gdy założył mu go dreangerski mistrz czarów, er-Rashał al-Dhulquarnen, dobrze go chronił, ale za cenę dotkliwego bólu. – Weź też tego trupa. Być może ktoś z Kolegium potrafi coś z niego wyciągnąć.

Ghort nie spierał się, choć ściśle rzecz biorąc, Naczelný Wódz sił patriarchalnych nie piastował żadnej funkcji w hierarchii dowodzenia Brotheńskiego Regimentu Miejskiego.

– Co się, do diabła, przed chwilą stało, Pipe? To znaczy jestem, kurwa, zadowolony, że ci się udało, ale nie rozumiem, dlaczego cały wyglądasz jak ręka Pola. – Ghort położył Pola na ziemi, usiłując zbadać jego ramię. Polo nie zamierzał leżeć spokojnie. – Ten czarny grot po prostu musiał cię rąbnąć w mostek. Ale skręcił. I trafił tego biednego skurwysyna.

– Nie wiem. Cieszę się, że się tak stało. Chociaż przykro mi z powodu ręki Pola.

– Nie pieprz. Spokój, cholera! Garnier! Arnoul! Uspokójkcie te przekłete konie! Na włochate jaja Aarona! Są gorsi niż dzieci. Wszystko trzeba im mówić.

Piper Hecht wybuchnął śmiechem.

– Co?

– Grade Drocker nie tak dawno mówił to samo o tobie.

– Kiedy? Zawsze byłem bardzo operatywny.

– Kiedy byliśmy w Connec. Na dworze biskupa Serifsa, oblegając Antieux.

– Wtedy było inaczej. Nie należało wyściubiać nosa w obecności tych dupków z Bractwa Wojny. Ich nie obchodziło, co robisz, i tak miałeś przesrane. Nie miał racji nikt, kto nie należał do ich klubu wariata.

Pinkus Ghort miał zawsze na wszystko gotową odpowiedź. Bywało, że mijała się z prawdą albo nie miała sensu – ale zawsze była na podorędziu.

– Trup – przypomniał uprzejmie Hecht.

– Izzy. Buchie. Przeszukajcie tego martwego gościa. I nie ładujcie niczego do kieszeni. Później mogłoby was zabić. – Znacznie ciszej dodał: –

Niczego by nie wzięli, nie ma srania. To wszystko chłopaki po ciężkich przejściach. Tak przesądni i wystraszeni przez Noc, że będzie cud, jeżeli wytrzymają do czasu, aż znajdą jakiegoś księdza, który ściągnie z nich wymagane, nadprzyrodzone pijawki.

Ghort przesadzał, jak to on. Niemniej Hecht znał ludzi, którzy naprawdę bali się ukrytego świata. Ludzi, którzy nie potrafili spokojnie odetchnąć, nie modląc się i nie kalkulując, ile uwagi Delegatur Nocy mogą tym na siebie ściągnąć.

Ponieważ Brothe było Świętym Miastem Ojczystym episkopalnego odłamu chaldaraństwa, na jego ulicach zawsze kłębiły się tłumy religijnych pielgrzymów. Wielu z nich w każdej chwili wiodło intymny dialog ze swym bóstwem. Chodzili po ulicach, nieprzerwanie mówiąc coś do siebie pod nosem, oszołomieni.

Bóg na pewno uważał, że mu się naprzykrzają. Zazwyczaj nieszczęścia przydarzały im się częściej niż mniej zagorzałym bigotom.

Ghort pomógł Polowi dosiąść wierzchowca. Zwierzę, wrażliwe na Noc, zrobiło się narowiste. Żołnierze musieli iść, gdyż ich wierzchowce, jeśli wcześniej nie uciekły, niosły teraz zmarłego czarodzieja i rannego napastnika. Dzięki temu jakoś zapanowali nad koniem Pola.

Polo bełkotał w malignie.

Potrzebował braciszka z zakonu szpitalnego. Jak najszybciej.

Pinkus Ghort nie dywagował, do kogo trafią jeńcy.

– Zostaw mi tylko tego zdrowego, Pipe. Jako trofeum. Żebym nie musiał wysłuchiwać ujadania prowincjała Doneta.

– Weź, którego chcesz. Możesz mieć nawet wszystkich. – Hecht był pewien, iż nic nie wydobędzie od żadnego. – To odciąży mój budżet. – Praca dla Wzniosłego, nawet nie bezpośrednio u niego, wiązała się z nieustanną, niewdzięczną, nieprzerwaną walką o pieniądze. Patriarcha nie wykazywał żadnego zrozumienia dla ekonomii. Nikt nie potrafił mu wytłumaczyć, że aby wydawać, musi najpierw mieć jakieś dochody. Gniewał się za każdym razem, gdy protestowali ci, którym trzeba było wypłacić pensje, albo ci, którym należało zwrócić poniesione koszty.

Wzniosły był przekonany, że Pan się jakoś o wszystko zatroszczy. A także, iż najemni pracownicy powinni się kontentować tym, co zsyła im Pan.

Właśnie szli po wielkim, wybrukowanym wapieniem placu Rejonu Zamkniętego, który zwano tak od czasów starożytnych, gdy skrzydła pałacu Chiaro otoczyły go ze wszystkich stron. Pałac był budowlą wysoką na dwa, trzy piętra, a jego wapienna architektura nosiła cechy klasycznej prostoty. Ozdobą wschodniej fasady, spoglądającej w kierunku Ziemi Świętej, były balkony, na których w święta Patriarcha oraz prowincjałowie seniorzy ukazywali się ludowi. Zawsze gdzieś na obrzeżach Rejonu Zamkniętego stały szafoty. Pałac Chiaro przechodził nieustanną restaurację. Został wybudowany z kamienia, który pochodził z tego samego kamieniołomu, co bruk dziedzińca, ale kolory nie pasowały do siebie. Bruk leżał zaledwie od trzystu lat. Dzieje niektórych fragmentów pałacu sięgały piętnastu stuleci wstecz. Widać było po nich skutki wszystkich tych lat wystawienia na wpływy pogody i niszczycielskiej erozji. Kamień był w kolorach brudnego brązu, żółci lub bladego różu.

Pierwsze fundamenty pałacu Chiaro zostały położone, nim Stare Imperium Brothe proklamowało swoje istnienie.

Niektóre części Brothe były jeszcze starsze. Ale Hecht pozostawał nieczuły na zew starożytności. Dzieciństwo spędził w mieście, którego wciąż używane, na co dzień budowle były trzykrotnie starsze niż najstarsze w Brothe.

Deszcz padał nieprzerwanie i stawał się coraz bardziej rześisty. Grzmot przetoczył się na północ od rzeki Teragi. Przedchaldarański przesąd głosił, iż kierunek, z którego dobiega grzmot, stanowi swoisty omen. Hecht nie potrafił przypomnieć sobie szczegółów. Był za bardzo przemoknięty i zmęczony, żeby skupić myśli na czymś innym niż zasadzka oraz sucha odzież.

Jego ordynans przyszedł mu na pomoc.

– O co poszło, proszę pana? – Redfearn Bechter był emerytem Bractwa Wojny. I, bez wątpienia, wciąż jego agentem.

– Napadli na nas z zasadzki, sierżancie.

– To z ich strony nierozważna decyzja. Jednego znam.

– Co?

– Nie osobiście. Widziałem go już wcześniej. Przybył wraz z hrabią Tormondem z Connec, gdy ten kilka lat temu odwiedził Patriarchę.

Bechter miał potworną łatwość przypominania sobie imion i twarzy.

– Rainard. Tak brzmiało jego imię. Pamiętam, że pomyślałem sobie, że jest albo za głupi, albo za bystry do roboty, którą wykonywał.

– A co to było?

– Był jednym z giermków, którzy opiekowali się ich zwierzętami. Ale się nie przepracowywał. Nieustannie wymykał się, aby przesiadywać w podłych miejscach. Więc był leniem albo szpiegiem. Przypuszczam raczej, że szpiegiem. Leniowi nie udawałoby się tak długo.

– Słyszysz, Pinkus?

– Słyszę wszystko. Chcesz go zatrzymać? Ja wezmę pozostałych dwóch.

– Mamy tutaj lepszych śledczych.

– Powiadom mnie, do czego doszedłeś. Słuchaj, naprawdę nie bez powodu po ciebie przyjechałem. Rozwrzeszczane wielkie szychy naprawdę chcą pogadać o Clearenzy. Zaraz.

Pozycja Naczelnego Wodza gwarantowała określone korzyści. Natychmiast pojawiło się kilkunastu giermków i koniuszych, aby zabrać zwierzęta, jeńców i poległych. Ghort okłamał ich.

– Ten facet z uschniętą ręką jest spokrewniony z prowincjałem Bruglionim. Dopilnujcie, żeby go odpowiednio potraktowano.

Polo należał kiedyś do służby domowej Bruglionich i prawdopodobnie dalej dla nich szpiegował. Ale w istocie był zwykłym płatnym pomocnikiem. Mimo to nazwisko jednej z Pięciu Rodzin odniosło oczekiwany skutek.

Dziesięć minut później Hecht wszedł do komnaty, czując przygnębiające déjà vu. Za każdym razem, gdy tu trafiał, stawał w obliczu poirytowanych członków Kolegium, książąt Kościoła. Zanosilo się na to, że i tym razem nie będzie wyjątku. W komnacie zgromadzili się najpotężniejsi prowincjałowie, w liczbie dwunastu. Trwały akurat gorące sprzeczki między tradycyjnymi przeciwnikami politycznymi. Jedyna przyjazna twarz, jaką dojrzał w tym zgromadzeniu, należała do prowincjała Delariego.

– Rychło, do licha, w czas! – zaryczał prowincjał Madesetti. – Gdzie, na boga, się podziewałeś? Posłaliśmy po ciebie wieki temu.

– Jak mogłeś przyjść tu, lepiąc się od brudu i śmierdząc jak kupa gnoju? – pragnął dowiedzieć się prowincjał Cologni.

– Wpadliśmy w zasadzkę. Czterech ludzi. Trzech miało przy sobie nasze standardowe kusze. Czwarty to czarownik. Posiadał pewne umiejętności, ale nie miał szczęścia. Jego trup leży na dole. Może zechcecie obejrzeć. Kto

oprócz pułkownika Ghorta i was, panowie, wiedział wcześniej, że mnie tu wezwano? – Z zawodowego punktu widzenia musiał podziwiać szybkość, z jaką zastawiono zasadzkę. Choć z pewnością oddział od pewnego już czasu czekał w pobliżu na właściwą okazję.

Hechtowi nie przeszło przez głowę, że być może to nie on był celem. Myślał, że wie, kto stoi za podjętą próbą zamachu. Nie wiedział tylko, dlaczego.

Uważnie przyglądał się hierarchom, nie oczekując wszak wcale, że któryś się zdradzi. Tak czy siak, żaden z nich nie był głównym podejrzanym. Ich wina, jeśli tak ją można nazwać, polegała na tym, że za dużo mówili.

Tylko prowincjał Delari zareagował odpowiednio, choć jego reakcja ograniczyła się do odruchowego gniewu, utrzymanego jednak na wodzy. Praktycznie rzecz biorąc, adoptował Pipera Hechta. W jego oczach zasadzka była jawną napaścią na rodzinę.

Piper Hecht nie sondował dość głęboko ich wzajemnych stosunków, żeby zrozumieć, na czym tak naprawdę polegają. Podczas krucjaty calzirskiej człowiek, u którego zaczynał służbę najemnika, Grade Drocker, stał się jego niespodziewanym mentorem. Drocker z kolei należał do kilkunastoosobowej grupy tworzącej ścisłą elitę Bractwa Wojny. Ten kapłan wojownik był nieślubnym synem prowincjała Muniera Delariego, który chętnie wziął na siebie rolę mentora po jego śmierci.

Hecht wprawdzie nie rozumiał ich wzajemnych stosunków, ale nie miał żadnych skrupułów, żeby wykorzystać sytuację.

– Zaraz wracam – oznajmił Muniero Delari. Był chorobliwie wyglądającym, patykowatym mężczyzną po siedemdziesiątce. Poruszał się wszakże z energią człowieka trzydzieści lat młodszego.

Wyszedł w pośpiechu. Hechtowi wydało się, że w komnacie zrobiło się nagle duszno.

Prowincjał Madisettich, Donel Madisetti, znowu zrobił się napastliwy. Z przyczyn równie niejasnych jak powody łaskawości Delariego, rodzina Madisettich pałała do Hechta antypatią. Rodziny Bruglionich i Arniena popierały go, choć dzieliło je stanowisko wobec polityki Wzniosłego V. Rodzina Colognich pozostawała niezdecydowana. Występowali jednakże raczej przeciw Naczelnemu Wodzowi, ponieważ zanim wyniesiono go do rangi głównodowodzącego, pracował dla Bruglionich. A podejrzewali, że



ród ten stoi za zamachem na prowincjała-kandydata, Rodriga Cologniego, do którego doszło jeszcze przed przybyciem Hechta do Brothe.

Ludzie z zewnątrz nie bardzo potrafili się rozeznąć we wzajemnych stosunkach i zakresach wpływów łączących i dzielących Pięć Rodzin.

Tymczasowe sojusze, zawsze sprawiające dziwne wrażenie. Piper Hecht pracował obecnie dla Honaria Benedocta, Patriarchy Wzniosłego V. Rodzina Benedocto była zaprzysięgłym wrogiem Bruglionicli. Od paru lat. Madisetti natomiast maszerowali ramię w ramię z Benedoctami od pokolenia.

Naczelny Wódz skutecznie unikał większości rodzinnych waśni. Rzekomo nie miał być aktorem na scenie polityki miejskiej, tylko graczem polityki kościelnej. Choć przy każdym wyborach patriarchalnych pierwsza niepostrzeżenie przechodziła w drugą.

Odwrócił się plecami do Donela Madisettiego. Szczegóły zasadzki przedstawił prowincjałowi Bronte'owi, kuzynowi Patriarchy, jednemu z nielicznych przyjaciół Wzniosłego.

– Dlaczego ci ludzie chcieli cię zabić? – zapytał Doneto.

Hecht wzruszył ramionami.

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy najpierw wiedzieć, kim oni są.

Doneto przeniósł spojrzenie na Pinkusa Ghorta.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Ghort.

– Będziesz się musiał wytłumaczyć z ludzi, którzy wciągnęli cię w zasadzkę.

Oznaczało to, że Ghort, który już był człowiekiem Bronte'a Doneta, zapewne wkrótce otrzyma awans.

– Pracujemy nad tym, wasza miłość. Złapiemy ich, sprowadzimy z powrotem. Sprawię, że będą mówić. – Ghort już wcześniej zdążył posłać po swojego człowieka, Bo Biognę. Zanim się ściemni, Biogna ruszy na północ.

Hecht pozornie zmienił temat:

– Jak rozumiem, są problemy w Clearenzy.

– Wątpię, aby istniał jakiś związek – odparł Doneto.

– Sam też wątpię. Na tym etapie nie może być to kwestia racji stanu. Czy się mylę?

– Nie. Donel, na litość Aarona, przestań jęczeć. Jesteś dorosłym mężczyzną. – Rzucił te słowa w kierunku prowincjała Madisettich i

odwrócił się do Hechta: – Ale ten grot mógłby z większym pożytkiem zostać wycelowany przeciwko komuś innemu.

Donel Madisetti umilkł wstrząśnięty. Nie spodziewał się, że zruca go przyjaciel.

Pod nieobecność prowincjała Delariego i w obliczu drzemki zaślinionego prowincjała Hugona Mongoza przewodnictwo posiedzenia objął prowincjał Doneto, chociaż nie był najstarszy. Należał jednak do tych, którzy lubią przewodniczyć. Ale zazwyczaj ta jego cecha nie dawała się jakoś szczególnie nikomu we znaki.

– Posłałem pułkownika Ghorta, aby cię ściągnął, w tym samym czasie, gdy zwołałem posiedzenie tego sztabu kryzysowego – wyjaśnił. – Jego członkowie przybyli wcześniej, ponieważ po drodze nie musieli znosić kaprysów pogody ani z nikim walczyć. – Doneto gardził większością ksiąząt Kościoła. Świat mógł drzeć przed Kolegium i jego domniemanymi czarodziejami, lecz Bronte Doneto wiedział, że większość jego kolegów to niedorajdy, zawdzięczające swe stanowiska nepotyzmowi albo łapówce.

Niemniej w skład Kolegium naprawdę wchodził potężni czarodzieje. Kto jest, kim – oto zagadka, nad którą nieustannie biedzili się ludzie z zewnątrz. Prowincjałowie zaś dokładali starań, aby utrudnić im zadanie.

Nawet Wzniosły, który wprawdzie wyszedł z łona Kolegium, ale znalazł się w nim z powodu powiązań rodzinnych oraz skrajnej tępoty we wszelkich kwestiach dotyczących Delegatur Nocy, pozostawał w niewiedzy.

Doneto kontynuował:

– Mój kuzyn martwi się Cleareną, ponieważ wszystko go niepokoi. Za bardzo. Dla niego każda sprawa to sprawa osobista. A także obraza Boga i wszystkich Świętych Założycieli. Błuznierstwo, herezja czy coś takiego.

Hecht przez rok pracował dla Doneta. Prowincjał wolał wierzyć, że wciąż tak jest. Że pracuje dla niego potajemnie. Podobnie rodziny Bruglionich i Arniena uważały, że mają prawo do lojalności Naczelnego Wodza, ponieważ wcześniej dla nich pracował. Hecht nie poczuwał się do żadnych zobowiązań wobec nich, ale tego nie mówił. Milczący patronat się przydawał.

– Czy z wojskowego punktu widzenia istnieje powód do alarmu? – zapytał. – Czy też znalazłem się tu tylko dlatego, że Jego Świątobliwość się zirytował? – W tym towarzystwie nie musiał się szczególnie troszczyć

nawet o pozory szacunku. Ludzie ci od dzieciństwa znali Honaria Benedocta.

– Zgadza się – przytaknął Doneto. – Za zdradą Dreassera stoi zapewne Imperator Graala, który ma na oku rozszerzenie swych wpływów na dolinę rzeki Aco.

– Dlaczego teraz miałyby to być sprawą poważniejszą, niż kiedy ostatnim razem fon Dreasser zmienił suwerena?

Przez chwilę wydawało się, że kuzyn Patriarchy nie ma ochoty zdradzać swych tajemnic. W końcu Doneto zauważył:

– Powstaje nowa twierdza imperialna na naszych tyłach.

– Właśnie. Jego Świątobliwość wciąż nie zrezygnował z planów splądrowania Connec.

Imperium rzucało kłody pod nogi kolejnym Patriarchom, zmuszając ich do koncentracji na obronie Państw Patriarchalnych. Krótki okres współpracy podczas krucjaty calzirskiej był anomalią we wzajemnych stosunkach. Rozejm trwał tylko do chwili, gdy upadło ostatnie królestwo pramańskie na Półwyspie Firdiańskim.

– Obawiam się, że nie.

– Niedobrze, prowincjale.

Clearenza była wysmienicie usytuowana, aby panować nad transportem i komunikacją zarówno na centralnej drodze wojskowej północ-południe, jak i na trakcie wschód-zachód, który biegł skrajem przedgórze Jago oraz Węzła Ownvidiańskiego. Niewiele wysiłku wymagałoby od panujących nad nią, by zablokować transport na barkach po rzece Aco lub komunikację wzdłuż wschodniego traktu wojskowego, który skręcał tu w głąb lądu, po czym przekraczał rzekę po najdalej w dół nurtu wysuniętym moście nad Aco. – Zwłaszcza w sytuacji, gdy sąsiedzi Clearenzy mają do nas własne urazy.

Prowincjał Doneto wydawał się odrobinę zawstydzony. Madisetti wykrzywił się szyderczo.

– Czy Jego Świątobliwość im również winien jest pieniądze? – zapytał Hecht.

– Wszystkim – warknął Madisetti.

– Nie chcę, żeby wyszło na to, iż jestem defetystą. Skoro Jego Świątobliwość nie płaci długów, tylko chce dalej wydawać, jak może się

spodziewać, że nie spotkają go przykrości? Czy nie posłucha Waszych Miłości?

– Nie – przyznał Donel Madisetti. – Głosowanie na tego człowieka mogło być moim największym błędem.

Ciekawe. Był to ten rodzaj informacji, na jakie liczył Gordimer Lew, gdy przysyłał tutaj swojego najlepszego kapitana. Choć równocześnie zamierzał też odsunąć od siebie potencjalnego rywala. Kapitan Else Tage cieszył się wśród sha-lugów zbyt wielką popularnością.

Prowincjał Doneto wydał z siebie pomruk niezadowolenia:

– Czasami żałuję, że Honario należy do mojej rodziny. Ma on jednak wyjątkowy talent do snucia intryg. Przygotowuje coś w Connec. Mówi, że w ten sposób załatwi sprawę swoich długów. – W głosie prowincjała nie słychać było przekonania. – A przeszkody, jakie nam stawia Lothar Ege... – Umilkł. Nawet tajemnice wypowiedziane tu, w samym sercu pałacu Chiaro, potrafią znaleźć drogę do niepowołanych uszu.

Hecht pożalował, że prowincjał Delari poszedł przesłuchać jeńców. Lubił chłopców, a jego obecnym faworytem był Armand – agent Ferrisa Renfrowa oraz Dreangeru. Gordimer przedstawił chłopaka Renfrowowi podczas jednej z wizyt mistrza szpiegów Impenum w al-Karn. Prawdziwe nazwisko i imię Armanda brzmiało Osa Stile. Został przeszkolony i utrwalał na zawsze w postaci chłopca przez er-Rashała al-Dhulquarnena.

Stary człowiek dzielił się wszystkim ze swym kochankiem, który – co do tego opinia wszystkich była właściwie zgodna – był zbyt pochłonięty sobą i postrzelony, aby bodaj odrobinę troszczyć się o sprawy polityczne, religijne tudzież wojskowe. Armand po prostu chciał, aby go rozpieszczano słodkimi woniami, wystawnym jedzeniem i ładnymi ubraniami.

Piper Hecht rzadko widywał chłopaka i cieszył się z tego. To, co zrobiono Osie Stile, było zbyt straszne. Zniewolenie sha-lugów nie powinno sięgać tak głęboko.

Osa zdradzał wszystkie objawy zadowolenia z życia. Er-Rashał wiedział, co robi, kiedy wybierał chłopaka.

Prowincjał Delari powrócił wściekły.

– Oni nie mają o niczym pojęcia oczywiście. Wynajęto ich. Dwóch należało do Regimentu Miejskiego, pułkownik Ghort. Czarodziej nekromanta oraz jego brat byli cudzoziemcami.

Na policzkach Pikusa Ghorta wystąpiły rumieńce złości i wstydu.

– Kto im zapłacił? Kto ich zwerbował? Czy możliwe, aby ci dwaj, którzy zbiegli, wiedzieli coś więcej?

– Mało prawdopodobne – powiedział Delari. – Ale wiemy, dokąd pojechali. Rycerz Róźdzek. Tak się nazywa jedna gospoda w mieście Alicea. Tam mieli się wszyscy spotkać.

Hecht i Ghort sceptyczne zmarszczyli czoło. Obaj znali Aliceę. Po raz pierwszy spotkali się niedaleko od miasta. Hecht powiedział:

– Tamtędy biegnie Trakt Zachodni i przecina szlak wiodący na wschód z Sonsy. Pinkus, jeśli pošlesz Bo drogą morską, dotrze tam wcześniej i będzie mógł na nich zaczekać.

– Zmieniłem zamiar. Znają Bo. Rozpoznaliby każdego z moich zaufanych ludzi.

– Musisz posłać kogoś, kto ich rozpozna.

– Nie wiem. Myślę sobie, że należy poprosić o pomoc twoich devediańskich kumpli.

Narzekania Donela Madisettiego uświadomiły im, że burza mózgów nie odbywa się w ich kwaterach.

Bliskie związki Hechta ze wspólnotą devediańską niepokoiły niektórych członków Kolegium.

– To na nic. Oni po prostu starają się trzymać z dala od krucjaty i chronić swoją diasporę.

Była to dobrze znana prawda, ale też bez wątpienia zostanie pewnego dnia wykorzystana przeciwko nim przez Patriarchę o umysłowości Wzniosłego.

Episkopalni chaldaranie nienawidzili devów oraz ich mniej licznych, za to wyznających znacznie dziwniejszą religię przodków w wierze, dainshauów. Tym bardziej, że społeczeństwa zachodu nie mogły się bez nich obyć. Spośród devów wywodziła się nieproporcjonalnie duża część członków kast urzędniczych oraz rzemieślniczych. Opiekowali się archiwami, układali listy, wytwarzali papier, na którym je pisano, wreszcie produkowali pióra, którymi pisano. Nie mieli oczywiście całkowitego monopolu w tych dziedzinach, ale ich produkty z zasady były lepsze od konkurencji. Za to też ich nienawidzono.

Hecht się zadumał.

– Dobra, chyba znam kogoś, kto sobie poradzi. Ale zebraliśmy się tutaj przede wszystkim z powodu Clearenzy. Jak wygląda sytuacja?

Miał nadzieję, że nie chodzi o ekspedycję karną. Armia patriarchalna nie była przygotowana do takiej operacji. Pozostawała rozproszona w garnizonach, co wymuszała sytuacja polityczna – teraz, tak samo jak wcześniej, Wzniosły obawiał się rebelii tudzież ingerencji ze strony Imperatora Graala. Garnizony, więc zostały zorganizowane, jako siły jedynie obronne, a Naczelný Wódz nie miał środków, aby tę sytuację zmienić. Przynajmniej nie od razu.

Prowincjał Doneto zawiódł wszelkie nadzieje, jakie Hecht w nim pokładał.

– Jestem pewien, że mój kuzyn zechce coś przedsięwziąć. Jakaś demonstrację siły.

– To niemożliwe. Jeszcze nie teraz. Ma zbyt wielkie zaległości z wypłatą żołdu.

– W takim razie pośle Regiment Miejski.

Ghort prychnął.

– Regiment Miejski nie wchodzi w skład jego armii – powiedział Hecht.

– Został utworzony, by wziąć udział w krucjacie calzirskiej. Krucjata się skończyła. Ludzie, którzy sfinansowali regiment, nie zdobyli żadnych łupów. Drugi raz nie połkną tego samego haczyka.

– Wiem o tym – odparł Doneto. – Ale muszę trzymać się roli.

Ciekawe. Główny zwolennik Patriarchy nie podzielał entuzjazmu kuzyna.

– Czy byłoby dobrze, gdyby ktoś zaufany wyjaśnił mu wszystkie kolejne kwestie od podstaw?

– Nie zwracaj żadnej uwagi na to, co mówię, jeżeli jest to coś, czego nie chce słyszeć.

– Myślałem raczej o kimś w rodzaju ojca lub matki. O kimś, kogo szczególnie szanował, kiedy był dzieckiem.

– Nie przyszło mi to do głowy. Zrobię, co będę mógł. Ale nie oczekuj zbyt wiele.

Hecht pokiwał głową niezadowolony. To posiedzenie, zaaranżowane w sytuacji nadzwyczaj dramatycznej, zmieniało się w dość typowy spektakl. Każdego dnia musiał rozwiązywać kryzysy istniejące jedynie w głowach Patriarchy oraz jego stronników. Oraz radzić sobie z ich zatrwającą ślepotą na potrzeby ludzi, po których oczekiwali, że będą wykonywać ich wolę.

Jednym z ironicznych wymiarów świata, rozpościerającego się wokół Morza Ojczystego było to, że tylko w okresach pokoju i bezpieczeństwa gospodarka funkcjonowała dostatecznie efektywnie, aby wytwarzać zasoby, których książęta potrzebowali na finansowanie swych wojen. Żywa gotówka potrzebna była przede wszystkim Kościołowi, ponieważ Patriarchat nie miał wystarczającej liczby domen lennych, których feudalne zobowiązania mógłby eksploatować. Kościół posługiwał się żołnierzami najemnymi. Najemnicy z kolei rzadko bywali wierni lub godni zaufania. Albo bodaj skuteczni, jak tego dowiodły wszystkie klęski, co rusz ponoszone przez Grolsacherów.

– Skończmy na tym – zaproponował prowincjał Doneto. – Wykonaliśmy rozkaz Jego Świątobliwości. Osiągnęliśmy zgodę w kwestii podstawowej, mianowicie, że karna ekspedycja przeciwko Clearenzy może okazać się bardziej kosztowna dla nas niż dla nich. Hecht, zmontuj najlepsze widowisko, jakie potrafisz. Ghort, złap swoich zdrajców. Donel. Obudź Mongoza, żeby mógł oficjalnie zamknąć posiedzenie.

Kilku prowincjałów najwyraźniej miało ochotę protestować, ale nie chcieli się spierać z kuzynem Patriarchy.

– Proszę, chodź ze mną – powiedział do Hechta prowincjał Delari.

Hecht posłuchał, choć wolałby zostać z Ghortem, aby opracować plan wyłapywania dezertersów. Czuł się nieswojo sam na sam z Munierem Delarim, choć dobrze wiedział, że tamten nie może się nim interesować. Był zdecydowanie za stary. Miał trzydzieści pięć lat.

Prowincjał Delari wyczuwał jego rozterki, ale nie zrobił nic, żeby go uspokoić.

– Czas wprowadzić cię do wewnętrznego kręgu.

– Wasza miłość?

– Kolegium to coś więcej niż szajka trzęsących się starych pierdzieli, którzy kłócą się o łapówki. – Powszechnie tak właśnie uważano i znajdowało to odbicie w całej serii pogardliwych dowcipów.

– Cóż, oczywiście.

– Czasem zajmujemy się rzeczami, które, mamy nadzieję, przyczynią się jakoś do dobra ludzkości. Przynajmniej niektórzy z nas. Niekiedy. Nawet tutaj, w pałacu, nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę.

– Jasne.

– Słyszę sceptycyzm w twoim głosie.

- Wasza miłość, w swoich ocenach opieram się na faktach.
- To znaczy?
- Na tym, co myślą ludzie z ulicy. Choć mam nad nimi pewną przewagę, ponieważ stanąłem z bestią twarzą w twarz.

Delari zachichotał.

– Ta charakterystyka niezbyt odbiega od rzeczywistości. Zwłaszcza, jeśli odnieść ją do mych braci z Państw Patriarchalnych. Oni faktycznie żyją tylko po to, aby folgować swoim żądzom. Noszą ornaty i infuły, ponieważ je sobie kupili. Albo dlatego że należą do tych Brotheńczyków, których rodziny zawsze miały członków w Kolegium. Już choćby tylko po to, żeby zagwarantować, iż kolejny Patriarcha będzie Brotheńczykiem.

– Tak. Nigdy nie zrozumiałem, jak doszło do elekcji Ornisa z Cedelete.

Hecht miał na myśli Godnego VI, pierwszego antypatriarchę. Godny VI został wybrany zgodnie z prawem... a potem wygnany z miasta przez brotheński motłoch. Lud Miasta Ojczystego uznał, że tron patriarchalny należy się Brotheńczykowi, jemu też musi przypaść panowanie nad całym chaldarańskim światem. W rzeczywistości jednak najwcześniejsi Patriarchowie Brothe należeli do kręgu dziewięciu równych rangą Ojców Kościoła. Konkwista pramańska ogarnęła pięciu z nich. Trzech z pozostałych przyłączyło się do Obrządku Wschodniego podczas schizmy, do jakiej doszło po Drugim Synodzie w Hypraksjum.

– Wybrano go, ponieważ ówczesne rozdrażnione Kolegium, w którym zasiadali prowincjałowie z Pięciu Rodzin, miało dość szeregu aroganckich Patriarchów Bruglionich.

Hecht nie skomentował tego, co usłyszał.

– Wychodzi na to, że nauka poszła w las.

Hecht wciąż trzymał język za zębami. Delari miał Honaria Benedocta w głębokiej pogardzie.

Prowincjał zaprowadził go do łaźni, które niesławą okrywały pałac Chiaro. Przynajmniej tak to wyglądało z punktu widzenia Hechta. Sam chadzał do nich jedynie po to, aby nie ściągać na siebie podejrzeń. Tak samo jak jadł wieprzowinę i łamał niezliczone prawa swej religii. Przynajmniej w ten sposób się pocieszał.

Nigdy już nie będzie twardym, ostrym jak brzytwa wojownikiem, kapitanem najlepszego oddziału sił specjalnych, jaki kiedykolwiek stworzyli sha-lugowie. Brothe zrobiło z niego ruinę człowieka.



Armand, chłopak Delariego, czekał już na swego pana. Pomagając mu się rozebrać, uśmiechał się głupawo.

– Czy chciałbyś, abym przysłał kogoś, ktoś ci pomoże, Naczelnny Wodzu?  
– Jeszcze nie przeszedł mutacji i mówił dyszkantem. Zresztą wspaniale śpiewał.

– Herren i Wiosna dołączą do nas.

Chodziło mu o młode dziewczyny, które regularnie go kąpały. Nigdy nie miał wobec nich żadnych zamiarów. Zresztą obowiązujące przepisy nie pozwalały na to, by kąpiący się wysuwali tego rodzaju żądania wobec służących w łaźniach sierot. Ponieważ łaźnie były rodzajem instytucji charytatywnej, w której zatrudnienie znajdowały, co bardziej urodziwe sieroty Brothe.

Przepisy bywały sporadycznie naruszane. Na przykład prowincjał Delari naruszył je umiarkowanie, przyprawiając własną męską dziwkę. Ale z pewnością nikt się nie poskarżył na niego. Cały pałac Chiaro bał się Muniera Delariego. Miał opinię potężnego czarodzieja. Prowincjał słyszał z tego – a niekiedy dla tychże powodów bywał nienawidzony – że z pełną konsekwencją robił tylko to, co najlepiej służyło Kościołowi jako całości.

Hecht z odrazą przyglądał się obnażonemu ciału Delariego. Koścista sylwetka, żółtawa starcza skóra poznaczona niebieskimi żyłkami, niczym arnhandzki ser. Prowincjał wyglądał jak artystyczna karykatura śmierci, których wiele można było oglądać na malowidłach wiszących wzdłuż niekończących się korytarzy pałacu. Pachniał starością, nawet po kąpieli.

Hecht nie potrafił sobie wyobrazić, jak Osa Stile może się oddawać komuś takiemu.

– Jeżeli będziesz miał takiego pecha jak ja i pożyczysz odpowiednio długo, sam staniesz się obrzydliwym starcem – rzekł Delari.

Hecht wzdrygnął się. Prowincjał miał zenującą umiejętność odgadywania jego myśli.

Osa wyszczerzył się pogardliwie.

Pojawiły się Herren i Wiosna. Obie były wysokie i szczupłe, ale już w wieku, w którym niedługo będą sobie musiały poszukać innego zajęcia. Zwłaszcza Herren ostatnio bujnie rozkwitła. Była atrakcyjną blondynką, obarczoną nieprzyjemnym charakterem. Tej skazy zresztą Hecht spodziewał się po wszystkich tych dzieciach, zmuszonych do takiej służby, aby

przetrwać. Naszła go nagła refleksja, że przecież on sam nie skończył wcale tak najgorzej, mimo iż jako szkrab został porwany i sprzedany w niewolę.

Wiosna była tak jak jej imię. Jasna i radosna. Zły los nie pozbawił jej wrodzonego optymizmu. Hecht od czasu do czasu zastanawiał się, czy nie zaproponować Annie Mozilli przyjęcia Wiosny na służbę. Annie przydałaby się jej pomoc. Ale status Anny i to, że miała takiego właśnie kochanka, w dostatecznym stopniu tłumaczyły jej niechęć do zatrudnienia kogoś na stałe.

Wiosna miała urodziny w tym samym dniu, co Herren i była tak samo wysoka, ale jeszcze nie osiągnęła pełni kobiecych wdzięków. Zresztą Hecht podejrzewał, że nawet, kiedy to już nastąpi, ona sama niewiele się zmieni.

Osa i dziewczyny zaprowadzili Delariego i Hechta do pustego basenu z gorącą wodą. Gdy się już w nim usadowili, Hecht zapytał:

– Jak myślisz, w jaki sposób Wzniosły zareaguje na zdradę Clearenzy?

Armand nadstawił uszu. Wydawało się, że Delari jest zakłopotany pytaniem.

– Wszyscy sądzą, że zrobi coś głupiego – dodał Hecht. – Ty znasz go od szczeniaka. Naprawdę jest to możliwe?

– Pewnie i zrobi, myśląc równocześnie, jaki to jest sprytny.

– Koniecznie trzeba coś zrobić? Nawet, jeżeli Lothar poważnie mówi o ochronie fon Dreassera?

Armand zaczął się uważniej przysłuchiwać.

– Jeżeli w całą sprawę wmiesza się Imperator Graala, wówczas Wzniosły już z całą pewnością coś przedsięwzięmie. Uważa, że Lothar to słabeusz. Mimo iż jak dotąd nic o tym nie świadczy. Uważa też, że chłopak nie pożyje długo. Mimo że jak dotąd jakoś mu się to udaje. Gdyby mógł ułatwić przejście Lothara na tamten świat, zapewne by się nie zawahał, ponieważ sądzi, że siostry będą jeszcze słabsze od chłopaka.

– O Katrin nic nie wiem. Hespeth spotkałem na polu bitwy. Jest młoda i jest kobietą, ale w tym wypadku niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Może masz rację. Na razie chciałbym, abyś zrozumiał, że to, co obecnie robimy, może mieć dalekosiężne konsekwencje.

– Skoro jest to tak tajne, że jeszcze nic o tym nie wiem, czy powinniśmy o tym tutaj rozmawiać?

Armand zrobił kwaśną minę.

– Imperium nie udało się umieścić tutaj szpiega – odrzekł Delari. – Dzieci nie mają odpowiednich motywacji. Gdyby się jednak któreś udało namówić, to byłby prawdziwy cios. Tutaj rozmawia się absolutnie o wszystkim.

– Hmm.

– Dobrze, porozmawiamy później, jeżeli dzięki temu masz się lepiej poczuć.

– Mam wolny wieczór.

– Wobec tego zapraszam na kolację.

Hecht się zgodził. Anna, ale i Redfearn Bechter będą się dąsać.

Bechter chciał, aby Piper spędzał więcej czasu ze swym sztabem w Castella dollas Pontellas, mając nadzieję, że uda mu się zwerbować Naczelnego Wodza w szeregi wojowniczego Bractwa.

Bracia podejmowali przygotowania do powitania nowego kasztelana. Miał zająć miejsce Grade'a Drockera, choć był on tylko pełniącym jego obowiązki dowódcą miejscowej kapituły. Prawdziwy kasztelan, Hawley Quirke, został wezwany do kwatery głównej Bractwa, którą była Castella Anjela dolla Picolina na wyspie Staklirhod, na wschodnich rubieżach Morza Ojczystego. Quirke zginął w bitwie morskiej z flotą pramańską. Od tego czasu stanowisko kasztelana wakowało.

– Przyślij Bechterowi wiadomość, gdzie i kiedy.

– Już chcesz iść?

– Nie. Najpierw chcę zobaczyć, jak się miewa Polo. I porozmawiać z pułkownikiem Ghortem.

– Miałeś już kiedyś kłopoty z tymi dwoma? – zapytał Hecht.

– Żadnych poważniejszych. Byli kompani Rodriga Cologniego. – Regiment Miejski stanowił konglomerat sił finansowanych przez zamożnych mecenasów. – Nie sądzę, aby stali za tym Cologni. Są całkowicie pozbawieni wyobraźni.

Hecht, który współpracował z ważniejszymi postaciami wszystkich Pięciu Rodzin, musiał się z nim zgodzić.

– To zgraja przygłupów. I tylko w tym mają szczęście, że w pobliżu nie ma żadnych bystrych cudzoziemców, którzy chcieliby skorzystać z okazji.

– Tym idiotom po prostu wydało się, że to tylko kolejna okazja do zarobku.

To akurat nie było trudno zrozumieć. Biedni byli w mieście zazwyczaj bardzo biedni i na dodatek zdesperowani. Wybieganie myślą dalej niż jutrzejszy dzień było stratą czasu.

Hecht wzruszył ramionami.

– Mam ochotę sam ruszyć za tymi twoimi kuzynami.

– To żadni kuzyni. – Ghort najwyraźniej dystansował się wobec całej sprawy. – Ot, chłopaki z rodzinnych stron. Jak chcesz to załatwić? Zwłaszcza, kiedy na głowie jest całe to gównno z Clearenzą?

– Nie dam rady. Po prostu mam ochotę porozmawiać z nimi, zanim zdąży zrobić to ktoś inny.

– Czego chciałbyś się dowiedzieć, zanim dowie się tego ktoś inny?

– Kto ich nasłał.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie będą wiedzieć.

– Nie powinieneś nie doceniać liczby głupców na tym świecie. Człowiek, który ma im zapłacić, pojawi się tam. Może po to, aby im zapłacić, a może aby poderżnąć im gardła.

– Gdyby chodziło o mnie, posłałbym jakichś innych chłopaków do tej roboty.

– To też wchodzi w grę.

– Właśnie. Lepiej, żeby ktoś od nas dotarł na miejsce pierwszy. Pożyczysz mi swoich devów?

– Oni nie należą do mnie. Są w dalszym ciągu żołnierzami Regimentu Miejskiego.

– Wszyscy oprócz najlepszych. Tych zabrałeś z sobą.

– Tak. Zabrałem. I nie zamierzam ich nikomu oddawać.

– Ale...

– Pogadam z Titusem. Jeżeli uzna, że mogą stąd wynikać jakieś korzyści dla jego ludzi, pomoże nam. Ale na twoim miejscu nie liczyłbym na to.

– W porządku, cholera. Po prostu wolałbym nie robić tego z moimi chłopakami. Rada nadzorcza skopie mi tyłek za podejmowanie działań poza miastem. Oczywiście skopią mi go także wtedy, gdy nic nie zrobię.

– Rozumiem twój ból, bracie. U mnie nie jest lepiej. Zdobycie żołdu dla moich żołnierzy to praca na pełen etat. – Naraz przyszło mu coś do głowy. Podzielił się tym pomysłem z Pinkusem.

– To jest niezłe, Pipe. Kiedy będziesz wiedział, czy Consent zdecyduje się ciebie kryć?

- Wkrótce.
- Jest jeden statek. Należy do rodziny Donetów. Czeka na załadunek. Rzekomo szybki jak naoliwiona błyskawica. Handel w miejscach, gdzie republiki sądzą, że mają monopol.
- Przemysłnik.
- Technicznie rzecz biorąc. Ale kapitan pewnie by się zgodził.
- Da radę pozełdować w górę Sawn, do Sonsy?
- A czemu nie? Jeśli nie będzie musiał wieźć kontrabandy?
- Hecht doszedł do wniosku, że i tak może być problem. Oczywiście gdyby zdecydował się zrealizować swój plan. Był już wcześniej w Sonsie.
- Ghort powiedział:
- Jeśli bogowie się nie wtrąca, mamy jeszcze jeden dzień. Jeżeli zdecydujemy się popłynąć na Drwalu.
- Na czym?
- To nazwa statku. Taki kawał. Jak nazwać wielkiego chłopca „Mały”.
- Hecht pojął, ale bez głębszego zrozumienia. Znowu jakieś zachodne pomysły.
- Hmm. Zastanawiam się. Myślisz, że sami moglibyśmy to zrobić?
- Co?
- Wyśliznąć się z miasta. Przechwycić tamtych osobiście.
- Jasne. Ale potem robi się smród gorszy niż z rocznej latryny. – Ghort się uśmiechnął.
- Ale jeśli powiemy, że zrobiliśmy to osobiście, ponieważ brakowało nam pieniędzy, aby zapłacić naszym ludziom, okryjemy ich hańbą w oczach świata.
- Jeśli nam się uda.
- Tak. Nie możemy zawieść. – Hecht wiedział, że jego propozycja nie jest szczególnie mądra. Ale czasem trzeba pędzić na ślepo, nawet wiedząc, że robi się głupoty.
- Hurra! Hej! Z powrotem wrócą wesołe dni, kiedy nie mieliśmy żadnych obowiązków.
- Po raz pierwszy od dawna może nam się coś wreszcie uda.
- Do roboty. – Ghort nie miał szczególnej obsesji na punkcie swych obowiązków. – Odwołaj wszystko, Pipe, i jedziemy.
- Nie powiem, że mnie nie kusi. – Kusiło. – O tym też pomyślę.

Wizyta w łaźniach, konferencja z Pinkusem Ghortem i odwiedziny u Pola w pałacu Chiaro sprawiły, że Naczelny Wódz spóźnił się dwie godziny na codzienną naradę swego sztabu.

– Przepraszam. Na sytuację w Clearenzy Kolegium zareagowało, jakby ktoś wsadził kij w mrowisko. – Musieli sobie zdawać sprawę, że został wezwany.

Pięciu wyższych oficerów sztabowych czekało w głównym centrum planowania w Castella dollas Pontellas. Był tam też nowy zastępca Hechta, pułkownik Buhle Smolens. Nominacji nie zawdzięczał Naczelnemu Wodzowi. Hecht w ogóle go nie znał. Przybył z garnizonu patriarchalnego w Maletterze i był spokrewniony z kimś, komu Wzniosły winien był pieniądze. Niemniej cieszył się rzetelną wojskową reputacją.

Clej Sedlakova był obserwatorem z ramienia Bractwa. Tamci nalegali na jego obecność. W końcu Naczelny Wódz wykorzystywał ich instalacje.

Hecht nie mógł nawet marzyć o zrobieniu czegokolwiek bez ich aprobaty i wsparcia.

Sedlakova też był nowy, ale nie było wątpliwości, że wie, jak wygląda pole bitwy. Stracił rękę, w której żołnierz zazwyczaj trzyma tarczę. Na twarzy miał dwie paskudne blizny: jedną przez prawy policzek, drugą skroś czoła. Tę ostatnią uwypuklała purpurowa krecha. Niewiele mówił. Nie wtrącał się.

Pozostali służyli pod Hechtem od czasu, gdy objął Miejski Regiment w trakcie pośpiesznych przygotowań do krucjaty calzirskiej. Hagan Brokke był Krogusjaninem, który w czasie, gdy dochodziło do pierwszych ataków piratów, był zwykłym szeregowcem. Później, dzięki nieprzeciętnym umiejętnościom szybko awansował. Teraz był oficerem planistycznym Hechta.

Pozostali dwaj to Titus Consent i Tabill Talab, szef wywiadu i główny kwatermistrz. Obaj byli devedianami, co sprawiało, że ludzie pokroju Cleja Sedlakovy dość niepewnie czuli się w ich towarzystwie. Consent miał dwadzieścia kilka lat.

Sedlakova mógł mieć zastrzeżenia, ale z drugiej strony był tolerancyjny. Obaj devowie byli nadzwyczaj kompetentni i nie narzucali się ze swymi przekonaniem religijnymi.

Każdemu z pięciu mężczyzn towarzyszyli zastępcy. Kierowanie zbrojnymi siłami Patriarchatu nie było przedsięwzięciem prostym.

– Pracujemy nad tym, proszę pana – powiedział Hagan Brokke, wskazując wielką ścienną mapę Firaldii.

Mapa stanowiła stały element wystroju pomieszczenia, ponieważ została wymalowana na ścianie. Zaznaczono na niej wszystkie hrabstwa, księstwa, miasta-państwa, królestwa i republiki. Jednostki polityczne wyróżniono tuzinem kolorów. Ich eksterytorialne posiadłości połączono przerywaną czarną kreską. Każdy byt polityczny oznaczony został kawałkiem papieru z odpowiednim numerem. Numer odnosił się do akt, uwzględniających znaczniejsze lokalne osobistości, liczbę, liczebność oraz rodzaje sił zbrojnych, stan fortyfikacji, jak też pozostałe istotne informacje na temat polityki wewnętrznej i koneksji rodzinnych.

Brokke ciągnął dalej:

– Jeżeli mamy już spróbować tego absurdu, to tutaj, tutaj i tutaj dysponujemy garnizonami, które mogą nam zapewnić wsparcie. Wysłałem już rozkazy przejścia w stan gotowości.

– Znakomicie.

– Imperialni będą się tego spodziewać – stwierdził Titus Consent. – Nie powinni wpaść w panikę. Zapewne dojdą do wniosku, że nic z tego nie wyjdzie. Wiedzą, że nasi dużo gadają i mało robią.

– Tym razem może uda nam się ustanowić precedens.

– Kurierzy postawią też na nogi nasze zasoby wywiadowcze w tym regionie. – Consent miał skłonności do wyrażania się w ten sposób. Chciał powiedzieć, że wysłano wiadomości do devediańskich gett.

Devowie mieszkali wszędzie. Nie rzucając się w oczy, widzieli i słyszeli o większości wewnętrznych spraw swego regionu. A ich starszyzna, na razie przynajmniej, skłonna była przekazywać te informacje Naczelnemu Wodzowi Piperowi Hechtowi.

Było to nadzwyczaj użyteczne, ale też kłopotliwe. Devowie cieszyli się opinią niewiele lepszą niż demony. Byli wykształceni. Dobrze im się powodziło. Bystrzy. Lepiej nie wiązać się zbyt blisko z kimś takim. Stanowili źródło całego zła świata – oczywiście, jeśli pod ręką nie było żadnych praman, maysalczyków czy innych odrażających niewiernych tudzież heretyków, wreszcie Delegatur Nocy, na które można by zwalić winę. Jako lud piśmienny, devowie wszystko zapisywali. Często były to rzeczy, o których nikt później nie chciał pamiętać.

Ludziom piśmiennym nie ufano tak jak tym, którzy mieli konszachty z Nocą. I jedni, i drudzy dzięki swej ezoterycznej wiedzy mogli człowieka zniszczyć.

– Wprowadźcie mnie – poprosił Hecht. – Czy fon Dreasser jest w stanie się sam obronić?

Titus Consent był młodzieńcem wysokim, szczupłym, charakteru dość posępnego, który wszakże nie wykluczał swoistej wesołości. Nie miał w sobie nic wyraźnie devediańskiego. Z rozpowszechnionymi przesądami radził sobie, nie przyjmując ich do wiadomości. Poza tym był człowiekiem niewzruszenie broniącym wartości rodzinnych. Już na samym początku poinformował Hechta, że od wczesnego dzieciństwa wychowywano go na kogoś w rodzaju zbawiciela devów zachodniej diaspory.

– Nie mieliśmy czasu, żeby się dowiedzieć – rzekł. – Sądzę, że mądrze byłoby przy okazji spłacić zaległy żołąd tamtejszym garnizonom. Rzecz jest oczywista, ale powiem jeszcze, że za każdym razem, gdy wyduszamy dla kogoś pieniądze od Patriarchy, zyskujemy przyjaciół wśród ludzi z ostrym żelazem.

Za tego rodzaju pomysły wygnano Hechta z Dreangeru, kiedy jeszcze nazywał się Else Tage. Else’a Tage’a żołnierze lubili.

– Da się gdzieś znaleźć jakieś pieniądze?

– Rozmawialiśmy z Fiducjaninem, Joceranem Cuito. – Cuito był intendentem patriarszego skarbcza. A także direcjańskim arcybiskupem, dzięki kolejnym awansom zasiadającemu w Kolegium. Tak poprzez swoje zasługi, jak i dlatego, że cieszył się patronatem Piotra z Navai. – Chce uruchomić transzę ograniczonych i zabezpieczonych pożyczek.

Wzniosły miał w zwyczaju unikać zabezpieczania swych pożyczek czymś więcej niż własnym podpisem. Ale atrament dawno przestał wystarczać kredytodawcom z Brothe.

– Nieruchomości?

Kościół był największym posiadaczem nieruchomości w Firdalii. Od najwcześniejszych wieków Starego Brothe podstawowym miernikiem bogactwa była ziemia. Tylko ziemia gwarantowała stały strumień dochodów.

– Fiducjanin Cuito wolałby raczej zastawić skarby sztuki i białe kruki z pałacu Krois. Nie chce zdradzić, skąd ta pewność, ale nie wątpi, że wkrótce Kościół czeka okazała gratka.



– Wobec tego można przyjąć, że trwa jakaś zakulisowa gra. A Wzniosły nie dopuszcza do niej nikogo spoza swego najbliższego kręgu.

– Właśnie.

– Mając na względzie porę roku i ogólny stan gospodarki, powiedziałbym, że coś komuś ukradniemy. Albo sprzedamy. Coś dużego. Już zdążyli sprzedać wszystkie miejsca w Kolegium, jakie mogli. I wszystkie stanowiska, za które ktokolwiek chciał zapłacić. – Przyszło mu coś do głowy. – Może chodzi o jakiś większy legat?

– Nie wiem o nikim, kto akurat stałby jedną nogą w grobie i marzył o przekupieniu strażników bramy Niebios.

– A może chcą kogoś przedwcześnie odesłać do Ziemi Obiecanej? – Wzniosły nie zetknął się jeszcze z oskarżeniami o morderstwo dla zysku. Ale zdarzało się to jego poprzednikom.

– Nie mamy dostępu do ich archiwów. Nie słyszeliśmy o żadnym ewentualnym legacie.

– Przyjrzyjcie się tej sprawie. – Hecht usiadł, żeby wysłuchać innych raportów, nie tylko tych dotyczących Clearenzy. Miał też obowiązki w związku z trwającą wciąż kampanią przeciwko uporczywej calzirskiej partyzantce.

Calzir miał nigdy już nie odzyskać niepodległości. Jeśli Wzniosły wycofa swe garnizony, powstała pustkę wypełnią Imperium Graala i Navaya. Dzięki temu dwaj najwięksi konkurenci Wzniosłego tylko by się wzmocnili.

Los raz po raz spiskował, jak rzucić kolejną kłodę pod nogi Wzniosłego. A on uparcie nie chciał dostrzec w nich Woli Bożej.

Niewielu ludzi potrafi ją dostrzec we własnych porażkach. Zazwyczaj ze wszystkich sił starają się nagiąć wolę Boga tak, aby odzwierciedlała ich własną.

Wzniosły prawdopodobnie spędzał mnóstwo czasu, pytając swego Boga, dlaczego to wszystko przychodzi mu z takim trudem.

Titus Consent nachylił się ku Hechtowi i zapytał:

– Możemy się spotkać na osobności, kiedy już skończymy?

– Jasne. Ja też chciałbym zamienić z tobą słowo. Pułkownik Smolens, da sobie pan radę ze wszystkim, jeśli wezmę kilka dni wolnych?

Smolens najpierw się zdziwił, potem zaciekał.

– Już się wciągnąłem w obowiązki.

– Największy problem, jaki cię czeka, to ułożenie sobie stosunków z tymi, którym służymy. Nikt z nich nie ma bodaj szczypty zdrowego rozsądku.

– Nie widzę problemu, Naczelnym Wodzu. Postaram się ich traktować jak dalekich krewnych.

Buhle Smolens był ucieleśnieniem poprawności. Zachowywał się z wyidealizowaną wojskową grzecznością, zarówno wobec postawionych wyżej, jak i niżej od siebie, zawsze. Sprowadził do Brothe rodzinę. Nikt jeszcze nie widział jej na oczy. Smolens wspomniał o niej tylko przelotnie. Rzekomo jego najstarszy syn starał się o patent młodszego oficera, czekając, aż się jakiś zwolni.

Smolens miał kilka ciekawych pomysłów, co do upowszechniania w armiach Patriarchy bardziej profesjonalnej postawy. Największym jego błędem było przekonanie o ziemskiej i moralnej wyższości episkopalnego odłamu wiary chaldarańskiej. Choć z drugiej strony, nie kupował doktryny nieomyślności patriarszej.

Z pewnością nie było to łatwe, kiedy się miało, co dzień przed oczami Wzniosłego V.

Tabill Talab był niespokojny. Kiedy Hecht na niego spojrział, postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Ja mam problem, którego nikt inny chyba nie dostrzega. Czuję, że nadciąga mroczna przyszłość. Ogarnie nas wszystkich.

Talab był wiecznym pesymistą, zresztą wybranym specjalnie jako przeciwwaga dla nadmiernej pewności siebie Titusa Consenta.

– Wyjaśnij.

– Rozmawiam z kurierami. Rozmawiam z kupcami. Rozmawiam z uchodźcami. Zamęczam prośbami o raporty naszych agentów w republikach, ponieważ statki republik odwiedzają wszystkie porty Morza Ojczystego.

Hecht pokiwał głową. Nie było sensu popędzać kwatermistrza. Do konkluzji swych rozważań dojdzie wyłącznie drogą pieczołowicie obwarowanych zastrzeżeniami przesłanek.

– Niezależnie skąd docierają raporty, zawsze wspominają o wzmożeniu aktywności Nocy. Nie chodzi o żadne poważne rzeczy. Jeszcze nie. Po prostu więcej widzeń, więcej spotkań, więcej coraz złośliwszych psot, które z kolei stają się coraz bardziej kąśliwe.

– Tylko pomniejszych duchy pozostają na wolności.  
– Na wolności, nieskrępowane. Ale są coraz liczniejsze. One także uciekają przed lodem.

– Tego oczekiwaliśmy. Racja?

– Tak, proszę pana. Ale nie wzięliśmy pod uwagę, że stwory Nocy zawsze były bardziej rozpowszechnione wzdłuż czoła lodu, na obszarach, które zamieszkują społeczeństwa bardziej prymitywne. Tam nawet całkiem wielkie stwory wciąż cieszą się nieograniczoną swobodą. W miarę jak lód postępuje i wieczna zmarzlina opanowuje wysokie góry, wszystkie ocalałe, najdziksze i najswobodniejsze cienie spychane są ku krainom bardziej ujarzmionym.

Hecht pokiwał głową. Nikt o tym nie wspominał – na razie – ale konkluzja była logiczna i oczywista.

– Wszyscy o tym wiedzą. To już się zaczęło.

– Tak, proszę pana. Ale jakoś nie słyszę dyskusji na temat tego, co to może oznaczać dla Nocy.

– Tak? – Niewykluczone, że Talab zmierzał tam, gdzie większość bała się pójść.

– Kiedy ludzie żyją razem na niewielkiej przestrzeni, kończy się to tym, co mamy już w Brothe. Większą nędzą. Coraz bardziej brutalnymi i krwawymi aktami przemocy. Wzrostem przestępczości zorganizowanej. Eskalacją rasizmu i przesądów. Wszystko, dlatego, że więcej ludzi próbuje wyżyć z tych samych ograniczonych zasobów. To samo dotyczy stworzeń Nocy. Tylko, że one mogą się łączyć w coraz silniejsze byty. Nie zawsze z własnej woli. Po prostu, w miarę jak pożerają swych pobratymców, stają się większe i silniejsze. Stają się bardziej złe, nienawistne i złośliwe. Kiedy są już dość silne i wielkie, zmieniają się w stwory Nocy z dawnych okrutnych bajek.

– Lód przyniesie nam nową epokę potwornych bogów?

– Jeżeli posunie się dostatecznie daleko. Ale mogą się okazać tak paskudni jak te istoty, które splugawiły ziemię, zanim nowożytne religie przekuły je w bardziej dobrodusze bóstwa.

Bóg praman, chaldaran, devedian i dainschauów mógł się poszczycić takim właśnie rodowodem. Dainschauowie widzieli w nim istotę zajadłą, psychotyczną, pozbawioną skłonności opiekuńczych i niechętną nagradzaniu za dobre. Był to Bóg karzący, Sędzia, źródło wszelkiego

nieszczęścia, Bóg, który chętnie potępiłby człowieka bodaj za to, że nie podobała mu się jego fryzura.

Devedianom poszło nieco lepiej. Wyobrażony w ich religii Wszechmogący zsyłał nieszczęścia wyłącznie zasłużone. Można było go ugłaskać bez konieczności składania ofiar z ludzi.

– W tej sprawie niewiele możemy zrobić. Tylko kłaść uszy po sobie i mieć nadzieję, że... Co?

Titus Consent wtrącił:

– Zapomniałeś o duszodawcach.

– Nie zapomniałem. Oni... – Hecht zauważył coś, co mogło być ostrzegawczym spojrzeniem, wymienionym przez Talaba i Consenta, zresztą tak subtelnym, że prawie niedostrzegalnym. Natychmiast przypomniał sobie, iż jego sztabowcy są lojalni nie tylko wobec niego.

Duszodawcy byli zwykłymi ludźmi z innego wieku, których zwerbowali ich bogowie, aby otworzyli na świat drogę zastępom z jakiegoś północnego piekła. Oczekujący tam martwi bohaterowie mieli zaatakować i zniszczyć tego, którego ci bogowie obawiali się najbardziej: Bogobójcę. Kogoś, kto zwykłym zbiegiem okoliczności odkrył, że nawet największe Delegatury Nocy mogą paść łupem ludzkiego gniewu.

Else Tage zabił bogona, barona Nocy w Lesie Ester, w Ziemi Świętej, ratując swój oddział komandosów przed atakiem z podszeptu kogoś, czyjej tożsamości nie poznał nigdy. Później on i devedianie z Brothe zabili jednego z duszodawców, który miał uciszyć go, zanim wiedza, o której nawet nie wiedział, że ją posiada, stanie się własnością ogółu.

Ojciec Wszechrzeczy przedchaldarańskiej północy sam zginął, próbując zdławić w zarodku tę wiedzę. Proroctwo się wypełniło.

Piper Hecht zasadniczo pozostawał nieświadom pełnych implikacji swego dzieła. Devedianie natomiast rozeznawali się w nich całkiem dobrze. Ich Starsi wiedzieli, kim wcześniej był Piper. Wiedzieli, czego dokonał. Wiedzieli, że wśród Delegatur Nocy cieszył się straszliwą sławą i że siły te dawno położyłyby kres jego życiu, gdyby łatwiej szło im odróżnienie jednego śmiertelnika od drugiego.

Największe z nich potrzebowały kogoś w rodzaju duszodawcy, żeby znaleźć w szerokim świecie pojedynczego człowieka.

Choć Piper Hecht był błyskotliwym dowódcą i wojskowym, niezależnie jakie nosił imię, szedł przez świat spowity całkowitą niemal ignorancją w

kwestii tego, kim naprawdę jest. Obawiały się go potęgi i obawiali ludzie, z których uczuć w zasadzie nie zdawał sobie sprawy i których w niedostatecznym stopniu podejrzewał.

– Co z nimi? – Hecht wiedział, że pozostaje niefortunnie nieświadom wszystkich tych spraw. Poza może serią zabójstw, której kulminacją było pojawienie się i zguba wielkich Delegatur Nocy w trakcie krucjaty calzirskiej.

Hagan Brokke zauważył:

– Duszodawcy byli tylko przedsmakiem tego, co nadciąga. Tak mi się wydaje. Bogowie zaczęli się naprawdę interesować losami świata.

– Bogowie? – zdziwił się Clej Sedlakova. – Jest tylko jeden Bóg!

– Proszę mi wybaczyć. Wyraziłem się tak z braku innej etykiety. Jak chcesz, to niech to będą Najwyższe Demony. Żeby wziąć określenie od dainschauów.

W ich monoteizmie znalazło się miejsce dla oszałamiających zastępów pomniejszych istot nadnaturalnych, uporządkowanych w kilka równoległych i wzajemnie wobec siebie wrogich hierarchii.

Hecht się uśmiechnął.

– Nie bardzo mnie to obchodzi. – Nikt nie zaprotestował. Nawet Sedlakova jakoś nie miał ochoty upierać się przy ścisłym posłuszeństwie wobec dogmatu. – Zastanowię się nad tym, choć jest to kwestia bardziej właściwa dla Kolegium. Pułkownikowi Smolens, wróćmy do poprzedniej sprawy. Przez kilka dni będę nieosiągalny. Ty będziesz musiał się zająć wszystkim, cokolwiek się wydarzy. Ale to nie powinno potrwać długo.

– Podasz nam miejsce swojego pobytu? – zapytał Smolens. – Jeżeli będą nas pytali, mamy się przyznać, że cię nie ma?

– Jeżeli będą was naciskać, powiedzcie, że jestem nieosiągalny. Nie będziecie wiedzieli, gdzie jestem. – Choć nie założyłyby się, że dewowie nie będą go skutecznie śledzić.

– Jak długo to potrwa w najgorszym razie? – zapytał Titus Consent.

– Tyle, ile zajmie mi skończenie tego, co muszę zrobić. – Oznaczało to przestrożę, żeby nie wdawali się w nic, w co on by się nie wplątał. – W porządku. Bawcie się dobrze. Aha. Chciałeś porozmawiać na osobności, Titus?

Na obliczu Consenta pojawił się jakby cień strachu. Szepnął:

– Na zewnątrz Castella. Odprowadzę cię.

Hecht pokiwał głową. Nie chciał rozmawiać w twierdzy najbardziej zapalczywych obrońców wiary chaldarańskiej? Cóż za niespodzianka.

Hecht czekał z zadaniem pytania, póki nie zeszli na nabrzeże i nie ruszyli w dół rzeki, ku Memorium.

– Kolejne kłopoty ze Starszymi?

Starsi brotheńskich devów, zwani Siedmioma, stanowili problem równie wielki jak ojcowie Pięciu Rodzin czy członkowie Kolegium. Nie umieli zostawić Titusa Consentu samemu sobie, aby spokojnie zajął się swym świętym dziełem.

– Jeszcze nie. Ale pewien jestem, że będą. Nie o to chodzi tym razem.

– Więc?

– Noë niedługo będzie rodzić.

– Hm. – Hecht znał imiona żony i syna Titusa, ale jeszcze ich nie widział na oczy. Devowie nie spotykali się z chaldaranami na gruncie towarzyskim.

– Gratulacje.

Consent zatrzymał się, drżący. Hecht też przystanął, plecami do labiryntu posągów imperatorów, generałów i dyktatorów Starego Brothe oraz pomników ich triumfów.

– Co jest?

– Noë i ja rozmawialiśmy o tym już od miesiący. Chcemy, żebyś był ojcem chrzestnym dziecka. I żeby prowincjał Delari został naszym poręczycielem. Jeśli się zgodzi.

Hecht nie od razu się połapał. Wciąż nie połączył bakcyła, jak to jest być episkopalnym chaldaraninem.

– Ojcem chrzestnym? Nie wiedziałem, że devowie robią takie rzeczy.

– Nie na chaldarską modłę. Mój brat wziąłby to na siebie. Gdybym go miał. A ponieważ nie mam, powinien być to wuj lub stryj.

Do Hechta w końcu dotarło.

– Mówisz o przejściu na inną wiarę?

– Właśnie. Jeżeli zgodzisz się zostać ojcem chrzestnym dziecka. I jeśli prowincjał Delari zostanie naszym poręczycielem. W tajemnicy będziemy studiować. Poza tym oboje już wiemy większość tego, co powinniśmy wiedzieć.

Hecht był jak ogłuszony.

– Ale jesteś przecież Wybranym.

– Nigdy mnie nie pytali, czy chcę nim być. A ja nie chcę. Od dwudziestu lat mnie to męczy. Chcę się wyrwać. Zmienić wiarę.

– Siedmiu pęknie ze złości! Nie będą chcieli mieć z nami więcej do czynienia. Będą nas obwiniać. – A całkiem egoistycznie dodał: – Nie będziemy wiedzieć, co się dzieje.

Consent się nie obraził.

– Tak czy siak wkrótce do tego dojdzie, Naczelnny Wodzu. Starsi powoli zaczynają kwestionować korzyści z przedłużania sojuszu, który zawarli przed calzirską krucjatą, a Patriarcha nie widzi dalszej potrzeby zadawania się z devami czy dainschauami.

– Nadzwyczaj krótkowzroczne z jego strony.

– W samej rzeczy. Nasi pożyczkodawcy są głównym źródłem finansowania jego awantur. Siedmiu nie pożyczy Wzniosłemu nawet miedziaka na krucjatę przeciwko Connec. Nie mamy tam aż tylu ludzi. Siedmiu uważa, że mogą łatwiej i taniej chronić ich, dbając, by Patriarchy nie stać było na wynajęcie żołnierzy. Moim zdaniem mają klapki na oczach. Wzniosły nie dba o pieniądze. A przynajmniej nie tak jak powinien. W tej kwestii prowadzi jakąś zakulisową intrygę. Ale Starsi nie dowiedzą się o tym. Ich zdaniem Wybrany ma być widziany, ale nie słyszany.

Hecht nie rozumiał.

– Mówisz poważnie? W sprawie nawrócenia?

– Oczywiście. Nie chcę być nikim szczególnym. Po prostu chcę się opiekować rodziną i wykonywać swoją pracę. Zresztą idealnie mi ona odpowiada. Lubię ją i jestem w tym dobry.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Przykro mi. To moja wina, że ci nie powiedziałem. Nie masz pojęcia, jakie to stresujące. To jest największa rzecz, z jaką w życiu przyjdzie mi się mierzyć.

– Tabill Talab. Jak on zareaguje? Jego ojciec...

– Jest jednym z Siedmiu. Tak. To mnie martwi. Ale tak czy siak, wkrótce go stracisz.

Niedobrze, pomyślał Hecht. Całkiem niedobrze. Legendę postaci Pipera Hechta zawdzięczał właśnie devedianom. Oni wiedzieli.

Myślami ukształtowanymi przez dziesięciolecia spędzone w mieście i na prowincji, które nasiąkały intrygami jeszcze przed początkiem czasu, Hecht zaczął spekulować, o co Consentowi może naprawdę chodzić.

Ruszyli dalej, ponieważ Titus był zbyt nerwowy, żeby ustać w miejscu.

Strzała, najprawdopodobniej wystrzelona z długiego łuku, zerwała Hechtowi kapelusz z głowy. Wyleciała pomiędzy pomników. Przemknęła obok Consent'a ledwie o cal, odbiła się od bruku i wpadła w chłodną, brunatną toń rzeki Teragi. Przechodnie krzyknęli i rzucili się do ucieczki. Dziesięć tysięcy gołębi poderwało się w powietrze z towarzyszeniem gromkiego łopotu skrzydeł.

– Widziałeś, skąd strzelano? – dopytywał się Hecht.

– Nie. – Przykucnęli przed niewielkim łukiem triumfalnym. Consent ścisnął w dłoni sztylet o długiej cienkiej klindze. Hecht wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że dev ma przy sobie jakąś broń. Sam uzbrojony był w krótki miecz, który był raczej symbolem rangi niż narzędziem walki. – Tylko z grubsza. Stamtąd. Ponieważ leciała w tamtą stronę.

– No. Kim był Galinis Andul? – Hecht stuknął palcem w inskrypcję obok jego głowy, tak starą, że omal nieczytelną.

– Człowiekiem, który zaprojektował ten łuk – odpowiedział zaskoczony Consent. – Tacy jak on korzystali z okazji, żeby uwiecznić swe imiona. Właściwa inskrypcja znajduje się na górze arkady. Na pierwszy rzut oka łuk jest starszy niż Stare Imperium. To oznacza, że został tu przeniesiony przez Arembera Włochatego.

Hecht zapytał tylko po to, by Consent przestał się tak denerwować, wcale nie miał ochoty wysłuchiwać wykładów.

– Przekradniesz się od osłony do osłony i zajdziesz go z lewej. Ja zrobię to samo z prawej.

Nie spodziewał się, że osaczą łuczника. Po raz drugi już do nich nie strzelano. A samotny strzelec nie mógł się spodziewać, że trafi odległy cel, który wie, iż na niego polują.

Faktycznie nie znaleźli niedoszłego zabójcy. Nikt nie widział łuczника. Nie było żadnych namacalnych śladów jego obecności. Być może czarownik nadzwyczajnego kalibru znalazłby ślad. Hecht nie miał takiego pod ręką.

Amulet go nie ostrzegł. Zabójca, więc nie był nikim więcej niż uzdolnionym łucznikiem.

– Znakomity strzał – przyznał Hecht. – Co najmniej sto pięćdziesiąt jardów. Przy silnym wietrze. Z miejsca, gdzie kierunek wiatru wciąż się zmienia.



– Tak. – W głosie Consenta nie było śladu podziwu. – Kto był celem? Chyba, że to bez znaczenia, jeśli trafi kogokolwiek ze Sztabu Głównego?

– Wciąż chcesz się nawrócić?

– Tak.

– Jeżeli to spisek, czy dzięki devom nie będzie nam łatwiej go wykryć?

– Nie. Devedianie nie mają nic wspólnego z podziemiem.

– Ten łucznik nie był z podziemia. To żołnierz, poszuka łatwego zarobku.

– Z drugiej strony nie dał wiary protestom Consenta. Złodzieje pozostawali w osobliwie bliskich stosunkach z ludźmi, którzy nabywali dobra, jakie ci zdobyli podczas zmagania o redystrybucję brotheńskiego bogactwa. Ale Hecht rzadko polemizował z powszechnie przyjętymi mitami. Rozmówcy zazwyczaj czuli się wtedy zagrożeni. Zacinali się. On zaś uważał, że należy zarzucić wędkę i czekać.

Consent by zrozumiał. On i Talab też woleli obserwować.

– Niczego tu nie osiągniemy – rzekł Hecht. – Musnął dłonią lewy nadgarstek. Tak. Amulet był na miejscu. To potwierdzało, że w pobliżu nie działają żadne czary.

Ktoś jednak go śledził.

Hecht i Pinkus Ghort stali na nabrzeżu, czekając na wejście na pokład Drwala. Hecht zapytał:

– Robisz coś na boku, Pinkus?

– Co?

– Gdybym nie miał twojego słowa, że to szybki kabotażowiec, założyłbym się, że to statek przemytniczy. – Załoga też wyglądała podejrzanie.

– W nic nie jestem zamieszany. Ale zwróć uwagę, że różnica między handlem a przemytem jest tylko kwestią punktu widzenia.

– Nie wątpię, że każdy przemytnik tak mówi. A książęta i tak wysyłają ich na galery.

– Pewnie masz rację. Zawsze masz. Co z tego? Warto znać różnych ludzi. Co to jest, do diabła?

W ich stronę pędzili konno dwaj ludzie wyglądający na członków Bractwa Wojny; dwie czarne wrony. Zwolnili, gdy zobaczyli, że Hecht i Ghort jeszcze nie odbili od brzegu.

– Wychodzi na to, że ostatnio każdy wie, gdzie mnie znaleźć.

– Powiedziałaś Bechterowi?

– Powiedziałem.

Hecht nie rozpoznał żadnego z jeźdźców. Przystojny mężczyzna z włosami i brodą mocno przyprószonymi siwizną zsiadł z konia.

– Naczelnny Wódz?

– To ja.

– Przywiozłem wieści. – Uniósł spory skórzany portfel kuriera. Nie było na nim żadnej pieczęci. – I życzenia powodzenia. Będziemy się modlić w intencji.

– Dziękuję. Uwzględnijcie nas w waszych modłach. – Tej formuły nauczył się już używać automatycznie.

– Ty uwzględnij w swoich Bractwo. – Posłaniec skłonił się nieznacznie, jak zwykli to robić ci, którzy wychowali się w Imperium Graala.

– Tak też się stanie. – Hecht odpowiedział ukłonem. Bractwo traktował z całą należną powagą. W Firaldii było ich stosunkowo niewielu, ale znaczenie dalece przewyższało liczebność.

W Bractwie było niewielu słabeuszy. Nie przyjmowali takich w swoje szeregi. Nie wahali się narzucać innym swych zasad.

– Jak i gdzie dostarczyć, jest napisane w środku. – Brat podał Hechtowi małą szkatułkę, a potem wrócił do swego konia.

Hecht obejrzał anonimowy portfel kuriera. Zaczął pocierać lewy nadgarstek.

– To jeden ze zbirów Specjalnego Oficjum albo jestem ślepy – mruknął Ghort. – Nawet nie starał się zamaskować smrodu czarów.

– Masz rację.

– Tak samo ten drugi.

Specjalne Oficjum było wewnętrznym kultem w zakonie wojowników, w jego skład wchodził czarownicy, którzy przysięgli zniszczyć Delegatury Nocy. Ich głównym narzędziem w realizacji tego celu były same Delegatury.

– Więc co ci przywiózł, Pipe?

– Poczekajmy z otwarciem, aż wypłyniemy.

– Dobra. – Ghort patrzył w ślad za dwoma jeźdźcami w czerni. – Wydaje mi się, że wiem, kim jest ten drugi.

– Hm?

– Parthen Lorica. Łowca Czarownic.

Hecht też popatrzył. Parthen Lorica? Niemożliwe. Przecież nie żyje.

– Nie sądzę. Chyba, że jest więcej niż jeden Parthen Lorica. On i Bugo Armiena zmarli w naszym szpitalu polowym pod al-Chazen. Chłopcy ze Specjalnego Oficjum przyszli i zabrali ciała.

– Nie było mnie przy tym. Słyszałem, ale nie pamiętam, by ktoś wymieniał imiona. Ale ci dwaj zdecydowanie byli ze Specjalnego Oficjum. A ten drugi zdecydowanie był Łowcą Czarownic. I co z tego? Hej, czas ruszać.

Przemysłownik... lub przybrzeżny handlarz... skinął na nich. Dwaj inni zaczęli rzucać cumy.

Hecht zarzucił swój worek na ramię.

– Zastanawiam się, czego chcieli naprawdę.

– Wręczyć ci przesyłkę kurierską. Chyba, że szukali czarownic. – W oczach Specjalnego Oficjum czarownicą byłby każdy, kto zadawałby się z Delegaturami Nocy bez błogosławieństwa Kościoła.

To martwiło Hechta. Etykieta była zbyt niejasna. Specjalne Oficjum mogło ją przykleić każdemu. Nawet głęboko wierzący episkopalni chaldaranie kupowali drobne uroki i inwokacje przeciwko złu Nocy.

– Co tam masz? – zapytał Ghort, gdy Drwał wypłynął z ujścia Teragi, mijając po drodze pogłębiarki dzielnie dbające o żeglowność kanału.

Statek płynął na wieczornej fali odpływu. Po lewej stronie paliły się światła w Remale na Teragi. Hecht przeglądał zawartość anonimowego kurierskiego portfela w świetle latarni sztormowej. Obok stał marynarz i pilnował, by szczer łądowy nie zrobił czegoś głupiego i nie zaproszył ognia na statku. Pożaru żeglarze obawiali się najbardziej.

– Co tu mamy, Pipe?

– Oprócz listu, który każe mi dostarczyć pakunek do niejakiego Montesa Aliny, posługującego się imieniem Beomond, i wskazówek, gdzie go znaleźć, nic tu nie ma.

– Zrobili z nas listonoszy, co?

– Może. – Paranoja podsuwała myśl, że pakunek wskaże go następnemu zabójcy.

Specjalne Oficjum miało u niego dług bólu. Ale nie powinni o tym wiedzieć. Miał nadzieję, że nie wiedzą.

– Pewnie tak – rzekł Ghort. – Parę lat temu przysmażono im tam ich fanatyczne dupy, a potem wykopano z miasta. Wtedy właśnie Drocker został kaleką.

– Tak. Chodziło o coś w rodzaju wybicia wszystkich devów z Sonsy?

– Jeśli mnie pytasz, to myślę, że po prostu chcieli ich obrabować. A przekłeci niewierni mieli jaja i się nie dali.

– A więc panujące rodziny podkuliły ogony pod siebie, ponieważ w efekcie mogły stracić kastę urzędniczą.

– No. Wygnali Bractwo z miasta. Z tego, co słyszałem, za późno. Devowie spakowali się i wyjechali.

Hecht znał tę historię z osobistego doświadczenia. O jego udziale w niej wiedziała tylko Anna Mozilla i paru devów.

– Powinniśmy uważać – powiedział Ghort. – Póki się nie dowiemy, kto chce cię zabić.

– Uwzględniam to w swoich planach. Mam zamiar pracować tylko tak długo, póki nie zarobię dość, żeby zostać ziemianinem. A potem Anna Mozilla i ja będziemy na starość hodować winogrona i płodzić dzieci. – Mówił na poły poważnie. Nie spodziewał się powrotu do Dreangeru, póki er-Rashal al-Dhulquarnen jest szarą eminencją Gordimera Lwa, który stał w cieniu tronu kaifa.

To, że Drwał nie zawsze działał w granicach prawa, brało się z umiejętności jego załogi. Po minięciu przegrody brzegowej statek wziął kurs na północ i pożegłował w noc przy świetle księżycy w kwadrze. Po morzach, które miały opinię zdradzieckich. Wśród miliona chyba wysp. Gdzie w miarę jak poziom morza opadał, straszły kolejne płycizny.

Na ile Hecht się orientował, rosnąca pokrywa stałego lodu w regionach wysokogórskich oznaczała mniej wody w rzekach karmiących Morze Ojczyste.

W kanale wiodącym z rzeki Sawn do Sonsy też pracowały pogłębiarki. Drwał miał niewielkie zanurzenie i oczywiście płynął na fali przyprływu. Na tym polegały proste, zdroworoządkowe umiejętności marynarskie, stare jak sama profesja.

Hecht zaskoczony był widokiem nabrzeży Sonsy. Najwyższa woda sięgała dzisiaj trzy stopy niżej niż podczas jego ostatniego pobytu.

– Chcę się stąd jak najszybciej wydostać – powiedział. – Doręczymy przesyłkę i pędzimy dalej. – Choć nie miał powodów sądzić, że ktoś go dzisiaj rozpozna.

– Masz rację. Tu jest tak cicho, że aż strasznie.

Na nabrzeżach panował nienaturalny spokój. Dwadzieścia kilka wielkich statków przycumowanych do kei rodzin wyglądało, jakby już od dawna nie ruszyły się z miejsca. Na kilku ożaglowanie zwisało w strzępach.

– To miasto umiera – powiedział Hecht. Przerzucił worek przez ramię, wszedł na keję z relingu Drwala, wykorzystując główną rozpórkę.

Natychmiast otoczyło go kilkunastu mężczyzn i chłopców. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. Proponowali, że zaprowadzą ich, dokądkolwiek zechcą pójść, pomoc w niesieniu dobytku, usługi chętnej córki czy siostry. Gdy Hecht bawił tu ostatnim razem, nie zetknął się z aż taką desperacją.

– Tu jest gorzej niż w domu – mruknął Ghort. – Wyjąwszy dzielnicę bezdomnych. Ty. – Złapał małego szczura z bystrym, promiennym uśmiechem, może jakieś osiem, dziewięć lat. – Dokąd idziemy, Matt?

Tu i teraz Piper Hecht był Mathisem Schlinkiem z Schonthal, a Ghort – Buckiem Fantilem.

– To jest wspaniałe imię – przekonywał Hechta na pokładzie Drwala. – Zawsze chciałem mieć imię w rodzaju Dirk, Steele czy Rock. Pinkus Ghort. Moją mamę powinien ktoś wychłostać. Co to za cholerne imię: Pinkus Ghort?

– Ty mi powiedz – odparł Hecht. – Przecież to ty je wymyśliłeś.

– Chcesz znać ponurą, smutną prawdę, mój przyjacielu? Nie wymyśliłem. Naprawdę tak mnie nazwała moja mama. Choć nikt nie wierzy, kiedy o tym mówię.

Hecht zdecydowanie nie miał zamiaru opuszczać klubu niedowiarków. Przekonany był, że Pinkusa Ghorta z pewnością poszukują w niejednym księstwie północy pod zupełnie innymi imionami.

Mając na myśli chłopca, zapytał:

– Co ty robisz, Buck?

– Orientujesz się w tym burdelu? Ja nie. Poza tym ten dzieciak przypomina mi moje lepsze dni. Jak cię wołają, Mały?

– Pella, wasza miłość. Pella Versulius.

Konkurencja Pelli wybuchła śmiechem. Jeden z nich doradził:

– Lepiej nie odwracaj się plecami do tego małego gówniarza, Zagranicznik. Ukradnie ci włosy z dupy.

– Ma krótsze nogi niż ja. Mogę go dogonić i skrócić mu kark.

W oczach chłopaka Hecht dostrzegł błysk podziwu.

– Chcemy znaleźć miejsce nazywające się Dom Dziesięciu Galonów przy Średniej Ulicy Karagos. Wiesz, gdzie to jest?

Chłopak skłamał łatwo i bezczelnie.

– Spokojnie, wasze miłości. Moja własna mama urodziła się w zaułku Mątwy, a to są właściwie dwa kroki. Proszę za mną wasze miłości.

– Póki jest przed nami, moje włosy na tyłku są bezpieczne – mruknął Ghort.

– Mimo wszystko radziłbym oglądać się za siebie. I nie wchodzić za nim w żadne ciemne i wąskie miejsca.

– Nie ucz mnie, jak się tańczy. Mówiłem ci, że byłem takim dzieciakiem. Zobacz, wybiega przed nas, żebyśmy nie słyszeli, jak pyta ludzi o drogę do Średniej Ulicy Karagos.

– I jak oni mierzą nas wzrokiem, decydując, czy nie warto mu pomóc nas obrobić.

– No. Czujesz, że cudzoziemców nie darzą tu szczególną miłością?

Pod grubą warstwą rozpaczy w Sonsie wyczuwało się gniew. Nabrzeża znajdowały się w stanie kompletnej ruiny. Wiele magazynów wyglądało na całkowicie opuszczone.

Hecht zadrżał zniecacka.

– Co?

– Nie wiem. Miałem jedno z tych przecuć, które się miewa, gdy obserwuje cię stwór nocy.

Prawda wszakże była taka, że chłopak poprowadził ich obok miejsca, gdzie w trakcie poprzedniej wizyty czary zabiły jego dwóch przyjaciół.

– Tak? Co myślisz o imieniu chłopaka?

– Brzmi klasycznie. – Trochę tak, nie? Obraził nas, mówię ci.

– Dlaczego?

– Ponieważ zasadniczo uznał nas za nie dość piśmiennych, abyśmy znali imię poety, który napisał Okolice Ihrian.

– Wiesz, co? Miał rację, jeśli o mnie chodzi.

– Wy na tych Wielkich Bagnach jesteście zupełnie niepiśmienni, co?

– Nigdy temu nie przeczyłem. Dlatego wyjechałem.

– To jest najbardziej cholerne kłamstwo, jakie w życiu słyszałem. Nikt nie ucieka z domu, dlatego że... Nieważne, gdybym był uczciwy, przyznałbym, że wiem o tym tylko dlatego, że życie w śmietniku Doneta jest tak nudne, iż nie ma nic do roboty, jak czytać. A wszystko przez ciebie, ponieważ

załatwiłeś mi tę gównianą robotę, kiedy siedzieliśmy uwięzieni w Plemenzy.

– Nie musisz się tłumaczyć. Czytanie nie jest takie złe.

– Teraz mówisz jak prowincjał. Hej! Dzieciaku! Pellapront. Jak się miewa Alma?

Chłopak zamarł, rozwarł oczy szeroko. Popatrzył na Ghorta ogłupiałym wzrokiem.

– Wasza miłość?

– Nieważne. Idziemy. I trzymaj się brukowanych ulic. Może być dłuższą drogą – poleciał Ghort, do Hechta zaś powiedział: – Okolice Ihrian to długi jak cholera poemat komiczny o gościu, który wybrał się na zwiedzanie Ziemi Świętej. Ale wszystko mu się śni. Oprowadza go duch, który przez cały czas kłamliwie podaje mu swe imię.

– Już rozumiem, dlaczego tak ci się spodobało.

Hecht niepewnie rozglądał się po otoczeniu. To była inna Sonsa. Zbyt wielu posępnych ludzi, którzy nie mają nic do roboty. I którzy winę za zły los zwalają na wszystkich prócz siebie samych.

– Czy nie dotyczy to nas wszystkich? W każdym razie, wszystkie imiona, jakie duch podaje, to imiona bogów mających coś wspólnego ze Studniami Ihrian. Nadzwyczaj bluźniercze. Pod koniec ten gościu... który w powieści nosi imię autora, poety... wdaje się w wielką zabawę z kurwą, która okazuje się jego siostrą. To bardzo śmieszne. Ale Okolice Ihrian zostały zakazane przez Kościół. Choć pewnie poza Brothe nikt nie zwraca na to uwagi. Prowincjał Doneto twierdził, że w samym mieście jest zapewne nie więcej niż cztery, pięć egzemplarzy, choć na północy historia jest sławna. Tutaj też, jak należy sądzić.

– Chyba dochodzimy na miejsce.

– Uważaj. To może być najbardziej ryzykowna część naszej wycieczki.

Pella pozwolił im się dogonić.

– Średnia Ulica Karagos jest przed nami, wasze miłości. Po drugiej stronie. Ale nigdy nie słyszałem o Domu Dziesięciu Galonów.

– Popytaj – zaproponował Hecht.

– Tak, wasze miłości. Zaraz. O co chodziło z Alną, wasza miłość? – zapytał Ghorta.

– O nic, nieważne. Jest taki poemat, który napisał Pellapront Versulius. Miał siostrę o imieniu Alma.

Chłopaka zatkało.

– Cholera – powiedział Ghort. – Ty masz siostrę Almę?

Pella pokiwał głową. Był wymizerowanym szkrabem, małym jak na swój wiek. W wychudzonej twarzy oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

– Idź, poszukaj domu – nalegał Hecht.

– To trochę straszne – powiedział Ghort, kiedy chłopak oddalił się poza zasięg głosu.

– Fakt, niezwykle – zgodził się Hecht. – Ale tej tajemnicy nie będziemy rozwiązywać.

– Nie. Zobacz. Ktoś najwyraźniej wie, o co nam chodzi.

– Robi się późno. Powinniśmy zniknąć z ulicy.

Pella wrócił.

– Wasze miłości nie usłyszały zbyt wyraźnie. To jest Dom Dziesięciu Galeonów.

– To ma więcej sensu. Chodźmy.

– Moja siostra obsłużyłaby was lepiej.

Hecht przypomniał sobie chłopaka na kei oferującego swą siostrę.

– Kolejna aluzja do poematu. Jak rozumiem, Dom Dziesięciu Galeonów to burdel.

Pella pokiwał głową, nie przyjmując do wiadomości, że jego klienci mogą tego nie wiedzieć.

– Ciekawe miejsce jak na spotkanie z naszym przyjacielem – zauważył Ghort.

– Zaiste.

Członkowie Bractwa składali te same śluby czystości, co mniej wojowniczy księża. Ale Bractwo starało się dotrzymać swych ślubów. Wszystkich. Stanowiło to źródło nieustannych sporów z resztą Kościoła.

– O twojej siostrze pomyślimy później – powiedział Hecht. – Teraz musimy się spotkać z człowiekiem, który mieszka w Domu Dziesięciu Galeonów.

– Naprawdę? To pewnie jakiś eunuch, wasza miłość.

– Zaprowadź nas.

Pella wykonał polecenie. Ghort rzucił mu monetę i kazał zaczekać.

– Zaraz będziemy z powrotem. Będziesz nam jeszcze potrzebny. – Kiedy odeszli, zapytał Hechta: – Zaraz będziemy z powrotem, tak? Nie masz jakichś specjalnych zadań do wykonania w tym burdelu, co?



– Mam tylko oddać pakiet człowiekowi o imieniu Beomond. Z towarzyszeniem haseł i odzewów.

– Jak on wygląda?

– Wzrostu sześć i pół stopy, prawie tyle samo w barach, z wielką blizną na twarzy. Plus czerwone znamię, które zaczyna się na lewym policzku, schodzi na szyję i znika pod koszulą.

– Prawdziwa piękność. Dobry wieczór, proszę pana – zwrócił się Ghort do mężczyzny, który zareagował na ich pukanie.

Hecht z kolei powiedział:

– Przychodzimy od Hebera – co było przewidzianym przez jego instrukcje hasłem.

– To gratuluję, kurwa. Pokażcie mi trochę srebra.

To nie był właściwy odzew.

Za plecami tamtego cienki, wysoki głos zapiszczał:

– Spadaj, Mały.

Mały zniknął. Teraz wyłoniła się naprawdę mała, pomarszczona stara kobieta, której karnacja sugerowała pochodzenie ze znacznie dalszego wschodu.

– Od kogo przychodzicie? – Jej firaldiański był bez zarzutu, mówiła tutejszym akcentem. Musiała być chaldarańską emigrantką z kaifatu Kasr al-Zed. W całym Królestwie Pokoju znajdowały się niezliczone ostoje nieepiskopalnych chaldaran.

– Od Hebera.

– Witajcie, rodacy. Wejdźcie. Mogę zaproponować coś do picia?

– Poproszę o kawę.

Cała ta rozmowa składała się z ustalonych haseł i odzewów, ale w tym momencie starucha zgubiła rytm.

– Nie stać nas już na kawę. Ostatnio interesy źle idą.

– Przykro mi to słyszeć. – Hecht wiedział, że tego rodzaju skargę spodziewałby się usłyszeć podsłuchujący. – Wobec tego niech będzie, co tam macie.

– Wino może być – powiedział Ghort.

Hecht zmarszczył czoło. Ghort pijał zbyt dużo wina. Ale nie mógł tu o tym wspomnieć. Wszyscy ludzie zachodu pili wino, wielu go nadużywało.

– Czy zastałem mego kuzyna Beomonda? – zapytał Hecht. – Wuj kazał nam przywieźć mu prezent urodzinowy.

Mały wyciągnął rękę. Hecht ją zignorował.

– Idźcie go obudzić. – Starucha przez cały czas otwarcie wpatrywała się w gości. – Wreszcie zaczynacie wyglądać jak ludzie.

Hecht nie zrozumiał.

– Taki mamy dar – odpowiedział Ghort. – Jedni go mają, inni nie. Ja i Matt urodziliśmy się z nim. Po prawdzie to Matt kiedyś, dawno temu, naprawdę był normalnym człowiekiem. Pojawiła się wielka, rozlazła i roztrzęsiona góra ludzkiego mięsa, przecierając zaspane oczy. Mężczyzna był nagi do pasa. Czerwone znamię sięgało do piersi, kończąc się w okolicach serca. – Kuzyn Beo żył pełną gębą, odkąd widzieliśmy go po raz ostatni – skomentował Ghort.

Hecht roześmiał się nerwowo i krótko, ponieważ Ghort mówił szczerą prawdę. Człowiek ten faktycznie niepomiernie utył od czasu, gdy Hecht widział go po raz ostatni, w Runch, gdzie tamten pracował jako portier w budynku sonsańskiej faktorii. Wtedy jeszcze nie miał blizny. A znamię pewnie nie rzucało się w oczy w kiepskim świetle faktorii. Wówczas miał na imię Goydar.

Był pijany. Spojrzał na Hechta zmrużonymi oczami.

– Gdzieś cię już widziałem.

– Jestem twój kuzyn, Mathis. Przywiozłem ci urodzinowy prezent od twojego ojca. Chciałem przekazać osobiście. Trochę się spieszymy. Mamy inne sprawy.

Idea prezentu przebiła mgłę spowijającą umysł grubasa.

– Tata pamiętał? Już się zaczynałem zastanawiać. Mieliście jakieś kłopoty? To znaczy, na ulicy?

Hecht zmieszany zapytał:

– Nie. Na kei wynajęliśmy chłopaka. Przeprowadził nas od razu tutaj. – Wskazał na ich dobytek, który upuścili, wszedłszy do środka. – Miasto wydawało się właściwie wyludnione.

– Nie zatrzymał was patrol żadnej Rodziny? – zdziwił się grubas.

– Nie.

– Zatrzymają. Już pewnie na ulicach krążą plotki o obcych. Plotki zrobią z was szpiegów Bractwa lub agentów devów. Będą chcieli wyrównać rachunki, obojętnie, z kim. Sonsa umiera. A oni twierdzą, że to wszystko nasza wina. Nie przeklętych devów. Będą potrzebowali przepustek. Dobrych przepustek. Kiedy was bracia zatrzymają, musicie zapamiętać, kim

jesteście. Po prostu pokażcie przepustki. Róbcie, co wam każą. Nie dajcie im pretekstu, żeby was przeszukali. Jak już się do tego wezmą, to gdy skończą, będziecie mogli mówić o szczęściu, że wam tylko zabrali dobytek i skopali tyłki. W zeszłym tygodniu zabili jakiegoś deva. A on był pod ochroną don Alsana.

Ghort gwizdnął.

– Matt, może zechcesz mi przypomnieć, dlaczego chciałem jechać z tobą?

– Boś głupi?

– No. O to właśnie chodziło.

Mały wydeklamował coś, co zapewne było jedynym głębokim stwierdzeniem, jakie kiedykolwiek wyszło z jego ust:

– Na głupotę nie ma lekarstwa.

– Cholera, człowieku, to mi się podoba – powiedział Ghort. – Kupuję to.

Z drugiego pokoju dobiegło wołanie staruchy:

– Mały, może pójdziesz sprawdzić, co za cholera dobija się do drzwi?

Hej! Dziewczyny, wracać na miejsce.

Hecht zauważył kilka dziewcząt, które chciały się przyjrzeć gościom. Wydawały się strasznie młode, jak na mieszkanki domu uciech.

– Wy dwaj od Hebera. Chodźcie tu. To pewnie jakiś klient. Nie lubię, jak moi klienci się spotykają.

– Naprawdę?

Od drzwi doleciały czyjeś głosy.

– To Pella. Lepiej pójde zobaczyć, co się stało – powiedział Ghort.

Beomond zapytał Hechta:

– Jesteś z nami od dawna?

– Dopiero od paru lat.

– Byłeś w Runch?

Hecht przez moment się zastanawiał, czy się nie przyznać. Ale wtedy Ghort mógłby zacząć zadawać pytania.

Dobrze mu było z przybraną duarneńską przeszłością.

– Mam nadzieję kiedyś się tam wybrać. Do Ziemi Świętej również. Przejść się po drogach, którymi wędrowali Ojcowie, wśród Studni Ihrian... Muszę się udać na pielgrzymkę. Ale ostatnimi czasy cały ruch odbywa się chyba w przeciwną stronę. Nadawcy pakietu byli ze Specjalnego Oficjum.

– Za dużo gadasz. Tu ściany mają uszy.

– Racja. Przepraszam. – Chyba zaczął myśleć na głos, tak skupiał się na podsłuchiwaniu rozmowy Ghorta z Pellą.

Stara Karlica poszła do kąta, zaczęła grzebać w stosie czegoś, co przypominało kupę śmieci, i po chwili wróciła z przepustkami z labrą Durandantich.

– Te mogą być. Póki będziecie się trzymać z dala od patroli Durandantich. I nie będziecie wyglądać na tych, którymi jesteście, i nikogo nie będziecie wkurzać. Według tych papierów jesteście agentami don Alsana Durandantiego. Trzy Rodziny starają się jakoś sobie radzić. Oni przeciw światu. Don Alsano ma plan uratowania Sonsy.

– Hej, Mart! Babciu! – krzyknął Ghort. – Dzieciak mówi, że ktoś się wałęsa pod tym przybytkiem. Jest ich czterech. Piąty pobiegł, jakby chciał sprowadzić posiłki.

– To niedobrze – powiedziała Karlica. – Niedobrze, jeśli wiedzą, że przyplłynęliście na przemytniku. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie poszliście od razu do pałacu don Alsana. Już wiem. Dziewczynki nie mają nic do roboty. Ożenimy was, będziecie mieli rodziny. Beomond, schowaj gdzieś ten swój przeklęty prezent. Mały? Przejdź się po domu. Zobacz, czy gdzieś się nie wala coś, przez co musielibyśmy odpowiadać na pytania.

Po dziesięciu minutach Hecht i Ghort opuścili Dom Dziesięciu Galeonów w towarzystwie swoich żon, syna Ghorta i pary nieletnich córek Hechta. W al-Karn miał prawdziwą córkę, starszą od tych czeladniczek w nierządym fachu. Rzekome żony jakimś sposobem zadziwiająco przypominały szacowne matrony. Karlica miała praktykę, by obserwatorom pokazywać, co chcieli widzieć.

Zbirom na ulicy najwyraźniej nie wydawało się dziwne, że mężczyźni brali swe rodziny na wizytę w burdelu. Nikt ich nie zaczepił. Hecht się zastanawiał, jak tamci chcieli chwytać szpiegów, dysponując tak słabym wywiadem.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, Ghort rzekł:

– Przy pierwszej okazji porozmawiam sobie z naszymi przyjaciółmi żeglarzami. Sprzedali nas.

– Nie do końca. Tamci nie mieli naszych rysopisów.

– Fakt. Czyli moi chłopcy dali tamtym, co musieli, żeby im nie wsadzili jaj w paszczę ostrygi. Ale nie przekazali równocześnie nic przydatnego. To

im się chwali. Co powiesz na to, abyśmy natychmiast zniknęli z miasta? Cóż... jakby nagle.

– Od początku zamierzałem tak zrobić. Skręciliśmy z trasy wycieczki tylko dlatego, że nie miałem dość nerwów, aby odmówić Specjalnemu Oficjum.

– Nigdy nie osiągniesz takiej pozycji, żebyś mógł powiedzieć „nie” każdemu, komu zechcesz, co?

– Starcza demencja robi z ciebie filozofa.

– Co zrobimy z żonami i dziećmiakami?

Ich rodziny zachowywały się z większą pokorą, niż można oczekiwać po dobrych, posłusznych rodzinach pramańskich. Kobiety spowijała czerń stosowna dla chłopskich żon nawet w tym kraju bluźnierców. Córki odziane były biednie i prosto. Obie wcześniej koniecznie chciały zobaczyć gości Karlicy.

– Pewien jestem, że same wiedzą, co robić. Prawda, panienki?

Prawda. Problem wszak polegał na tym, że znienacka Hecht i Ghort odkryli, iż są obciążeni gromadką dzieci, które nie chciały sobie pójść. Pella Versulius pomyślał, że los się właśnie do niego uśmiechnął. Twierdził, że wciąż potrzebują jego pomocy. Dziewczyna, jedna z rzekomych córek, wpiła się w Ghorta i za nic nie chciała dać się odprowadzić do domu uciech. Prawdopodobnie była dość bystra, by wiedzieć, że ci mężczyźni nie będą się spieszyć z realizacją umowy z alfonssem.

Szaleństwo, myślał Hecht, przyglądając się, jak dwie kobiety odrywają dziewczynę od Pinkusa Ghorta. Los, jaki czekał ją po powrocie, był bardziej przerażający niż ucieczka z dwoma mężczyznami, o których nic nie wiedziała?

Starsze prostytutki przeklinały i krzyczały, zdjęte coraz większym przerażeniem. Mogły się spodziewać wielkich kłopotów, jeżeli nie przyprowadzą dziewczyny z powrotem do burdelu. Kompletnie nie zwracały uwagi, co się dzieje z drugą dziewczyną.

Ta chyłkiem podeszła do Hechta.

– Ona się nazywa Vali Dumaine, panie Żołnierzu Boga – szepnęła – jej ojciec jest ważnym człowiekiem. Ukradziono ją, żeby go ukarać. I szantażować. Mają zamiar wystawić na aukcję jej dziewictwo, jeżeli jej ojciec nie zrobi tego, co oni chcą. Jeżeli odprowadzisz ją do domu, czeka na ciebie naprawdę duża nagroda.

– Ona mówi? – Uparty dzieciak milczał jak głaz, a kobiety traktowały ją niczym głuchoniemą.

Dziewczynka skinęła głową.

– Nikt o tym nie wie. Poza tym kurwy nie wiedzą, kim ona jest. Gdyby wiedziały, pewnie same by ją ukradły dla nagrody.

– Co mielibyśmy z nią zrobić?

Mimo wrzasków i stosowania siły fizycznej prostytutki nie potrafiły oderwać dziewczyny od Pinkusa. Ghort nie pomagał im, ale też nie przeszkadzał. Czekał, aż sytuacja się bardziej wyklaruje.

– Niech ją pan zabierze do domu, panie Żołnierzu Boga. Weźmie za nią okup.

– Starasz się jej pomóc?

– Tak.

– A co z tobą?

– Dla mnie już za późno, panie Żołnierzu Boga.

Hecht zdecydował się nie drążyć dalej tematu.

– Nie będziesz miała kłopotów?

– Nie ja. Karlica jest moją babcią. Nie uwierzy, że wszystko sama zrobiłam. Uważa, że nie mogę zrobić nic złego. Te suki zapłacą za całe bicie i szczypanie, gdy tylko Karlica nie patrzyła. Teraz zapłacą.

Więc tak. Pomoc w ucieczce tamtej dziewczyny nie była działaniem czysto altruistycznym.

Vali Dumaine wczepiła się z całej siły w pas Ghorta.

– Panienki! – warknął Hecht. – Jeżeli to się zaraz nie skończy, wszyscy trafimy w łańcuchy. – Szamotanina powoli zaczynała przyciągać uwagę.

Kobiety popatrzyły po sobie, pomruczały pod nosem, podjęły jeszcze jedną próbę oderwania dziewczynki od Ghorta, a potem zabrały wnuczkę Karlicy i uciekły, przez całą drogę przeklinając.

– Wasze miłości, musimy stąd wiać – zauważył Pella. – Takie zamieszanie zawsze ściąga ciekawskich.

– Następny powód, żeby natychmiast wydostać się z miasta. – Hecht poczuł na sobie oczy ukrytych obserwatorów.

– Nie wydostaniecie się przed otwarciem bram. Wartowników nie da się przekupić – powiedział chłopak.

– Prowadź, Pella. – Po drodze Hecht streścił im historię dziewczyny, którą usłyszał podczas szarpaniny.

– Hej, Pipe, nie możemy ciągnąć dzieciaka ze sobą.  
– Jestem otwarty na propozycje. Między innymi, co zrobić z tym, że udało nam się ściągnąć uwagę Nocy. – Amulet zaczynał wysyłać mu słabe ostrzeżenia.

– Na ulicach żyje kupa dzieciaków. Damy ją Pelli. – Ghort rozejrzał się dookoła, wyczuwając poruszenia wśród cieni.

Nadgarstek Hechta przeszył dreszcz. Ostrzeżenie było niepotrzebne. Ktoś się zbliżał. Szybko. Wielu „ktosiów”, wnioskuje z robionego przez nich zamieszania.

– Tak sobie pomyślałem, że te kurwy coś za łatwo zrezygnowały – powiedział Ghort.

Hecht odmruknął:

– Muszą znać miasto. Wiedzą, jak długo bezkarnie można robić zamieszanie.

– Nie podoba mi się to. Ci goście mają pochodnie.

– Specjalne Oficjum nam nie wybaczy, jeśli nas złapią i przesłuchają.

– Jasna sprawa; O mnie nie wspominając. Pella, mały kumplu, myślę, że powinniśmy się dostać na jakiś dach. Chyba, że masz lepszy pomysł.

– Też bym tak zrobił, wasze miłości. Ale nie w tej sytuacji. Ludzie przyszli sprawdzić, skąd hałas, którego narobiły te głupie kurwy. – Pipe, mówiłem ci, że ten dzieciak przypomina mi mnie. Szczwany lis. – Zdecyduj się. Jaki on jest? Taki jak ty? Czy szczwany?

– Hę?

– Załóżę się, że zapamięta imiona. Nawet wspomniane w sytuacji, gdy był zdenerwowany.

– Och. Racja. Przepraszam. Dalej, chłopcze. Znajdź nam jakieś miejsce.

– To nie jest moja część miasta. Ale chodźcie.

Hecht nie spuszczał oka z cieni.

Obecność dzieciaków okazała się bardziej przekonująca niż fałszywe przepustki. Choć prawdą było, że z miasta wyszli wcześniej, póki wartownicy przy bramach wciąż ziewali, ledwo radząc sobie z rutynowymi pytaniami. Hecht nakłamał ile wlezie. W efekcie wartownicy nie rozpoznali w nich niebezpiecznych obcych agentów, którzy rozpaczliwie starają się uciec z miasta.

Hecht i Ghort dużo sarkali na temat tego, co zrobią z dziećmi, które nie chciały ich opuścić. Pella nawet za pieniądze. A Vali... Cóż, Vali

Dumaine uparcie nie chciała się odezwać. Jak mieli wziąć za nią okup – gdyby oczywiście mieli taki zamiar – jeśli nic nie mogli od niej wyciągnąć?

– Ona nie jest głupia... Matt. Podsyca nadzieję. W naszych czarnych sercach. A więc trzeba będzie się nią zająć.

– Więc pewnie też przypomina ci samego siebie?

– No. Wiesz, chyba powinniśmy się rozdzielić i ściągnąć Bo oraz kogoś z jego załogi. Myślę, że ta banda tam, w mieście, nie była najbardziej oddaną bandą Bractwa, z jaką się w życiu spotkałem.

– Myślisz? Mimo iż widziałeś na własne oczy, że ustanowili sobie kapitułę w burdelu? A kasztelanką uczynili staruchę?

– Myślę, że powinniśmy byli przeczytać listy. Przydałoby się wiedzieć, o co im chodzi.

– Gdybyśmy przeczytali, nie uwierzyliby nam, że też jesteśmy z Bractwa. I dzisiejszego ranka obudzilibyśmy się mniej szczęśliwi, niż jesteśmy. Być może nawet pływalibyśmy w Sawn.

– Znowu racja. Masz dużo kasy?

– Ja o jednym, ty o drugim. Po raz tysięczny, odkąd się znamy.

– Teraz mamy rodziny. Myślę, że będziemy mieli spore kłopoty z dotarciem na miejsce na czas. Z dziewczyną. Nie wydaje mi się, żeby w życiu dużo się nachodziła pieszo. Więc pewnie trzeba będzie wynająć wóz z woźnicą.

Hecht przyjrzał się dziewczynie. I wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega historię jej porwania.

– Da sobie radę. Zmusili ją, by przyszła do Sonsy. I w trakcie nie byli mili. Racja, Vali?

Nie przełamał oporów tamtej. A spodziewał się, choć skinienia lub przeczącego ruchu głowy.

– Jak myślisz, ile czasu minie, zanim pošlę kogoś za nami? – zapytał Ghort.

– Karlica czy Beomond?

– Kto bądź. Ktoś dużo zainwestował w tego dzieciaka.

Hecht też już żałował, że nie wie, co było w listach.

– Tamta dziewczyna mówiła, że próbowali szantażować jej ojca, aby coś zrobił.

– Dwa interesy w tym samym miejscu? – Ghort się zadumał. – Może. Ale większość ludzi jest taka jak ja. Ma równie ciasne horyzonty. Ja mam



kłopoty z równoczesnym chodzeniem i mówieniem.

Tego Hecht jakoś nie zauważył. Ghort potrafiłby mówić przez sen.

– Lepiej nie używajmy już tych przepustek. Najchętniej włożyłbym też dzieciakom inne ubrania.

– Tam jest jakiś las. Zejdziemy z drogi. Zafundujemy sobie świeże ubrania. Dziewczynę przebierzemy w rzeczy chłopaka. I już! Mamy dwóch chłopców.

– Jednego nagiego.

– Nie. Jemu damy moją brudną koszulę. Będzie na niego za duża, ale ulicznicy tak się ubierają.

– Ona jest za czysta, wasze miłości – zauważył Pella. – Będzie wyglądać jak bogaty dzieciak w przebraniu.

– A więc pomóż jej wyglądać na biedniejszą, kiedy zejdziemy z drogi – poradził Hecht.

Ledwie znaleźli się za linią drzew, kiedy drogą z zachodu przegalopowało sześciu jeźdźców.

– Cholera, Pipe, los się do nas dziś wyszczerzył. Gdybyśmy byli na drodze, nigdy nie zdążylibyśmy na czas.

– Zajeżdżą konie. Z jej powodu. – Zerknął na Vali Dumaine. – Kim jest tatuś naszej chudej laleczki? Kogo Bractwo nienawidzi tak bardzo?

– Pytasz poważnie? Czy jest to jedno z tych twoich pytań retorycznych? Tak czy siak, ci goście to nie byli chłopcy z Bractwa.

– Jeżeli masz jakiś pomysł, chętnie wysłucham. Sam widziałem, że nie byli z Bractwa. W mieście nie da się ukryć tylu żołnierzy. Ale mogli to być goście, którzy dla nich pracują i nie mają pojęcia, dla kogo pracują naprawdę.

Ghort wzruszył ramionami.

– Wobec tego nie wiem. Dziewczyna ma jasną skórę. Lepiej niech udaje twojego dzieciaka. Ten drugi będzie mój. Musimy się stąd wydostać. Niedługo ci goście zaczną się cofać po własnych śladach.

– Pójdziemy lasem, póki nie zobaczymy, że wracają.

– Dawno temu już opuściłeś dzikie kraje, Pipe. Poradzisz sobie w lesie? Pamiętasz, jak się zaciera ślady?

– Tak myślę. Jeżeli złapią nas tutaj, to przynajmniej przez jakiś czas nikt nie znajdzie ich ciał.

– Uwielbiam twoją pewność siebie. Co będzie, jak nas ktoś zatrzyma?

– Zostawiam to tobie. Masz naturalny dar do takich spraw. Ja jestem taki sam jak moja córka. Cecha rodzinna.

– Myślałem, że ona ma być twoim synem, wasza miłość.

– Mój syn. Tak, Pella.

– Och, do diabła, dobra. Raz na ciebie spojrzą i nie uwierzą, że mogłeś omotać kobietę inaczej, jak tylko pięknymi słówkami.

– Wasze miłości tak przez cały czas?

– On – pierwszy zdążył zareagować Hecht. – Ja jestem ten odpowiedzialny.

– Och, Panie Odpowiedzialny. W jaki sposób zmajstrujemy trupy, które potem zostawimy w lesie? – Udając skromnych podróżników, nie mieli żadnej broni poważniejszej niż noże. – Na tej drodze nie możemy szukać roboty najemników. Uciekamy z Sonsy? Nie, jeśli zapytają Sonsanie.

– Zrezygnują, kiedy nie znajdą po nas śladu. – Hecht czuł się z lekka wstrząśnięty. Jakim sposobem znalazł się w tym miejscu? Zdarzenia, jakie mu się przytrafiały, i decyzje, jakie ostatnio podejmował, wydawały mu się cokolwiek nierzeczywiste.

– Dziecię Losu.

– Co?

– W miejscu, skąd pochodzę tak nazywają sieroty, Pipe. Wszystkie razem. A mnie z osobna. Przez długi czas nie miałem innego imienia.

Hecht jęknął. Naprawdę? Nie tak dawno temu Ghort zrzucił winę za próbę zabójstwa na ludzi rekomendowanych do Regimentu Miejskiego przez jego krewnych. A jeszcze wcześniej opowiedział mu historię o ojcu zamordowanym w Clearenzy.

W języku młodości Hechta „Dziecię Losu” oznaczało kogoś, kogo dotknęli bogowie. Kto stał się narzędziem Delegatur Nocy. Kto stał się prorokiem. Albo dzikim szaleńcem. To mogło wyjaśniać pewne aspekty jego życia, których w innym kontekście pojąć nie potrafił. Przeróżające. Kiedy człowiek zaczynał sobie wyobrażać, że został wybrany przez Delegatury Nocy, znaczyło to, iż jest w poważnych kłopotach.

– Jesteśmy gotowi do drogi, wasze miłości.

– Ach, to dobrze. – Hecht nie przyglądał się, jak dzieciaki zmieniały odzież.

– Hej! – krzyknął Pella. – Gdzie jest twój tatuaż?

– Co? Lubię wino, ale nigdy nie byłem dość pijany, żeby pozwolić czeladnikowi kata zrobić ze mnie malarskie płótno.

Pella przyglądał się Hechtowi.

– Ty też nie masz tatuażu, co? Skłamaliście. Nie jesteście z Bractwa Wojny, nieprawdaż?

– Nigdy nie mówiliśmy, że jesteśmy – odparł Ghort.

– Członkowie Bractwa Wojny mają własny tatuaż? – zapytał Hecht.

– Tak słyszałem.

– Słyszałeś? Dla mnie to nowość. Buck?

– Ja nigdy o tym nie słyszałem. Co nie znaczy, że nie jest to prawdą.

Jakie były szanse, że Dziecię Losu z ulic Sonsy wie o czymś, co Bractwo skutecznie skrywało przed ludźmi mającymi z nim, na co dzień do czynienia?

– Wszyscy o tym wiedzą! – upierał się Pella.

– Skąd?

– Od kiedy były te wszystkie walki z kapitułą Bractwa i z devami, kiedy byłem mały. Ludzie obdarli ciała z odzieży i okazało się, że wszyscy mają tatuaże. Takie same. Tutaj. – Próbował sięgnąć dłonią na plecy, na wysokości serca. – Przypominające żołądź, z którego wykluwa się liść.

– Z nasienia tego potężny dąb wyrośnie. – Ghort się zamyślił. – Aaron z Chaldaru. Mówił o Domino. Który stał się jego uczniem, gdy Aaron już umierał. I miał rację. Domino głosił kazania wzdłuż całego południowego wybrzeża Morza Ojczystego. W tamtejszych górach wciąż jeszcze mieszkają plemiona, które nie kupiły pramańskiego zła.

Jak robaki w brzuchu psa... Hecht powiedział:

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Buck. Skąd wiesz takie rzeczy?

Założyciel Domino nie był postacią szczególnie znaną w kręgach episkopalnych chaldaran. Nie ewangelizował zachodu. Niemniej Bractwo Wojny widziało w nim swojego patrona. Przed nawróceniem Domino był generałem Imperium: dominiusem Anelosem Andulem Gallatinem; słowo „dominius” oznaczało tytuł zastrzeżony dla dowódców, którzy odnieśli kilka znaczących zwycięstw.

Hecht podejrzewał, że podobnie jak w wypadku Josefusa Alegianta generację później, swe sukcesy Domino zawdzięczał głównie temu, że nie było zastrzeżeń wobec nawracania pod grotem włóczni.

– Byłem w seminarium. Jakies dwa lata i jeden tydzień. Wyrzucili mnie dlatego, że ktoś wypił całe wino braciszków katechetów i musieli na kogoś zwalić winę.

– Czy to nie straszne, gdy ludzie z kogoś robią kozła ofiarnego?

Ruszyli dalej, trzymając się lasu porastającego brzegi strumienia, który w końcu wpadał do Sawn. Jakiś czas później Hecht usłyszał odległy tętent końskich kopyt.

– Jada.

Jeźdźcy faktycznie wracali. Już nie galopowali, obserwowali uważnie las, od czasu do czasu któryś wjeżdżał między drzewa, szukając śladów. Nie znaleźli Hechta i jego towarzyszy. W końcu zniknęli na zachodzie.

– Już mi lepiej – oznajmił Ghort. – Choć powinni być na tyle mądrzy, żeby wziąć ze sobą choćby pomniejszego maga.

– To są kryminaliści. Ale gdyby mieli maga, skąd byśmy wiedzieli?

– Jak zawsze jesteś istnym wcieleniem optymizmu, Pipe.

– Dlaczego on mówi na ciebie Pipe, skoro masz na imię Mathis? – chciał wiedzieć Pella.

– Ponieważ jest idiotą?

– Ponieważ podczas pobytu w Ziemi Świętej wypalił chyba z tonę *kuj*.

Pella wyszczerzył się. Już zagnieździła się w nim niewiara w ich święte powołanie.

– Musimy wrócić na drogę i nadrobić stracony czas – oznajmił Hecht. – Przed zmierzchem powinniśmy dotrzeć do Alicei.

Do miasta pozostawał wciąż spory szmat drogi. Nie pamiętał, aby bliżej znajdowała się jakaś miejscowość, w której mogliby znaleźć schronienie przed nocą. A im szybciej rozgoszczą się w Rycerzu Różdżek, tym bardziej wtapiać się będą w tło, gdy przybędzie ich ofiara.

Ghort opowiedział zupełnie niesamowitą historię o przygodach, jakie przeżył w Ziemi Świętej ze swym kumplem Mathisem Schlinkiem. Ponieważ historia stanowiła mieszaninę bajek, jawnych zmyśleń i legend, od samego początku Pella wiedział, że tamten kłamie.

– Wyprawię się na zwiady. Wy dwoje, trzymajcie się Bucka.

Ghort skinął głową.

– Uważaj na siebie.

Hecht wywnioskował, iż Ghort również zauważył, że gdy tamci wracali, było o jednego jeźdźca mniej, niż jechało na wschód.

Pella też okazał się nie w ciemną bitą.

– Ja to zrobię. Przecież nie na mnie przygotowali zasadzkę. Kimkolwiek są.

– Idź, dzieciaku – pozwolił mu Ghort.

Kiedy Pella oddalił się poza zasięg głosu, Hecht zapytał:

– I co teraz zrobisz, Dziecię Losu?

– Rozegram to w prosty sposób. On wie, że nie ma możliwości zdobycia pieniędzy. Wie, że po prostu go obrabują, jeśli spróbuje odciąć dla siebie kawałek tego, co Vali jest warta. – Po chwili dodał: – On robi długoterminową inwestycję. Jak ja kiedyś zrobiłem. W moim wypadku się opłacało. On prawdopodobnie skończy ze złamanym sercem.

W oddali przed nimi Pella skręcił za kępę drzew i zniknął im z oczu, pogwizdując.

– Ma nerwy.

– Kiedy jesteś zupełnie sam, tego potrzebujesz, żeby przeżyć.

To stwierdzenie bardziej przypominało prawdziwego Pinkusa Ghorta niż większość jego opowieści.

– Pójdę już. Vali, zostań z Buckiem.

Hecht okrążył kępę drzew i zobaczył Pellę pogrążonego w żywej dyskusji z wysokim, chudym – wręcz kościstym – mężczyzną, który się garbił, a mówiąc, żywo gestykulował i wymachiwał dłońmi. Wierzchowiec, przywiązany na długiej uwięzi do krzaka obok drogi, pożywiał się łąpczywie, ignorując jeźdźca. Na poluzowanym siodle była labra któregoś z sonsańskich domów.

Hecht podkraść się bliżej. Durandanti. Mieli oni stare powiązania z Bractwem Wojny. Zostały zerwane, gdy Bractwo podjęło próbę złupienia devediańskiej dzielnicy Sonsy, ale najwyraźniej za kulisami podpisano później pokój. Plany Durandantiego na uratowanie Sonsy musiały uwzględniać ambicje Wzniosłego V i Bractwa.

Gdzie tu pasowała Vali?

To zależało od tego, kim była.

Pella udowodnił swe uliczne kwalifikacje, ponieważ tak manewrował, że chudzielec stanął plecami do wschodniej części drogi. Nie zdawał sobie sprawy z obecności Hechta, póki koń nie zaczął się robić niespokojny.

Durandanti odwrócił się. Jego twarz była nienaturalnie blada. Miał jedną z tych końskich twarzy, które wyglądają, jakby ich stwórca zapomniał oblec

je w ciało.

– Cześć! – Hecht walnął tamtego solidnie między oczy. – O cholera! Zapomniałem, jak to boli! – Zaczął rozpaczliwie wymachiwać ręką. – Założę się, że ten facet nie zarabia w ten sposób na życie. – Jego ofiara chwiejnie pokonała dwa kroki i opadła na kolano. Oczy zaszyły mgłą.

– Masz prawdopodobnie rację, wasza miłość. Tylko udawał twardego.

Hecht podmuchał na kłykcie.

– Znowu jestem wasza miłość, co?

– Po prostu staram się być ostrożny, wasza miłość. Zacząłeś bić ludzi.

Hecht zachichotał.

– Jesteś jak Buck. Pomóż mi go zawlec za tamto drzewo. – Chudzielec stał już na czworaka w pyle drogi.

Pojawił się Ghort z Vali. Wsparty plecami o młode drzewko oszołomiony Durandanti próbował wysiąkać nos. Ghort zapytał:

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Wydawało mi się to najprostszym sposobem. Przygotuj klacz do drogi. Wsadzimy go na siodło. Vali może pojechać z tyłu, za siodłem. Dzięki temu będziemy się poruszać szybciej.

– Myślisz, że nie będą za nim tęsknić?

– Myślę, że będą. Pogadamy z nim po drodze. Dowiemy się, co powinniśmy zrobić.

– Hm. – Ghort zrozumiał. Na swój sposób.

Hecht wprowadził go w swą teorię, że Durandanti i Bractwo poszli ze sobą do łóżka. Ghort przygotował klacz, potem obejrzał nos poszkodowanego.

– Nie jest złamany. Nawet nie ma krwi. Po prostu strasznie z niego cieknie. Poza tym się popłakał.

– Wydusiłeś z niego smarki, wasza miłość – zachichotał Pella.

Odtąd podróż poszła szybciej. Nie ściągając na siebie uwagi, na godzinę przed zmrokiem przeszli przez Aliceę. Dopiero pod samym miastem dostrzegli innych podróżnych. Okolica była znacznie bardziej ludna niż ostatnim razem, gdy Hecht się tu znalazł. Pojawiły się obszarpane namioty i szałaszy. Na ulice wylegli żebracy. Ostatnim razem żadnego nie widział.

Hecht uwolnił Durandantiego dwie mile za Aliceę. Przywiązał go do wierzby na Zachodnim Trakcie. Koń, spętany obok, natychmiast rażno

zabrał się do skubania trawy. Pan Stain Hamil okazał się nadzwyczaj chętny do współpracy.

– Jeżeli nie będziesz krzyczał, szybko wyzwolisz się z tych więzów. Jak będziesz krzyczał, są szanse, że cię obrabuję. Albo nawet zamorduję.

Ghorta z dziećmiakami zostawił tuż na wschód za Aliceą, zaraz wrócili do miasta, żeby znaleźć schronienie pod Rycerzem Róźdzek. Panu Stainowi Hamilowi z Domu Durandantich wmówiono, że zdobędą gdzieś zapasy, dogonią go, a potem pójdą na wschód, do Plemenzy. Ponieważ Hecht i Ghort byli tam więźniami, potrafili przekonująco opowiadać o samym mieście.

Hecht ostrożnie wszedł do gospody. Wspólna sala okazała się pustawa. Gdy zobaczył Ghorta, dołączył doń.

– Wszystko poszło dobrze? – zapytał Ghort.

– Przywiązałem go do drzewa. Zostawiłem mu konia. Jutro wieczorem będzie w domu. Jeśli nie dopadną go baboki.

– Jeszcze możemy tego pożałować. Jeśli starczy im jaj, by nas dopaść na cudzym terenie. Ale w sumie jestem zadowolony, że nie zrobiłeś najgorszego.

– On był tylko pszczołką robotnicą. Nie wiedział nawet, dlaczego nas ścigają. Wynająłeś pokój?

Oberża była pokaźną ruiną, zasadniczo parterową, przebudowywaną, co najmniej kilkanaście razy. Starsze części wyglądały, jakby po prostu zwały się na ziemię i leżały tak nieruszone. Kiedy Hecht pojawił się u jego wrót, jakiś chłopak, młodszy jeszcze od Pelli, łatał właśnie za pomocą zawartości kubła błota dziury, z których dobywał się dym. Dym pochodził z kominka we wspólnej sali, który rozpaczliwe domagał się przeczyszczenia. Ale przynajmniej nie czuło się smrodu panującego w środku.

– Jasne. Pokój z wyżywieniem. Pchły, wszy i pluskwy na koszt firmy.

– Tylko dlatego, że brakuje im wyobraźni, aby za nie też żądać opłat. Gdzie dzieciaki?

– Biegają po dworze. Zapoznają się z miejscem. Vali ma problemy, Pipe. Zastanawiam się, czy ktoś jej nie zgwałcił. Pella próbuje jej pokazać, jak być dzieckiem.

– Dlaczego nie uciekła?

– To nie leży w jej naturze. Jeżeli wychowała się w jakimś zamku i ktoś robił za nią wszystko prócz srania, nie przyszłoby jej do głowy uciekać.

Najpewniej najpoważniejszą rzeczą, jaką zrobiła na własną rękę, było przyssanie się do nas. Co wymagało zresztą sporej odwagi.

– Albo całkowitej pewności, że ucieczka z nami nie może być gorsza od zostania w tamtym miejscu. Jak myślisz, ile czasu minie, nim pokażą się twoi kuzyni?

– Więcej nie mam zamiaru się o to kłócić. Chcesz, żeby to była moja rodzina, niech tak będzie. – Ghort udawał, że liczy na palcach. – Mieliśmy sprzyjające wiatry. Prawdopodobnie pokonywaliśmy dziennie dwukrotnie większy dystans od nich. Ale ich droga wiodła prawie w prostej linii z północy, my musieliśmy sporo nadłożyć.

– A może tak prosta odpowiedź?

Ghort czasami koloryzował tam, gdzie nie było na to miejsca.

– Powinni się pokazać jutro. Jeżeli pędzili całą drogę. A to zależy od tego, czy uważają, że zginąłeś, czy nie.

– Dlaczego miałyby to robić różnicę?

– Tak tylko głośno myślę. Jeżeli cię dopadli, masa ludzi będzie wkurzona i będzie szukała kogoś do spalenia na stosie. Jeżeli nie, dojdą do wniosku, że będziemy bardziej rozluźnieni. Idą dzieciaki. Na dworze już się musi robić ciemno i strasznie.

Pella i Vali przemknęli obok obszarpanego jednookiego mężczyzny, który próbował ich nie wpuścić, ponieważ wyraźnie wyglądali na dzieci-śmieci uchodźców. Podbiegły do stołu, usiadły. Vali nie wydawała się szczególnie nieobecna duchem czy przestraszona. Pella oznajmił:

– Jesteśmy głodni.

– Nie jestem zaskoczony. Dzień był długi – odparł Hecht.

Pojawił się Jednooki.

– To wasze szczeniaki?

– No. Będą tu wchodzić i wychodzić przez następnych kilka dni. Póki nie przybędzie reszta naszych ludzi.

Ghort zagaił do dzieci:

– Zobaczmy, co tutaj mają w garnku.

– Tylko pytam. Mamy kłopoty ze złodziejami.

– Jasne – powiedział Hecht i zwrócił się do dzieci: – Wy dwoje, macie się zachowywać najlepiej, jak umiecie, póki tu zostaniemy.

– Tak, proszę pana, wujku Matt – posłusznie zgodził się Pella, starając się zapanować nad twarzą.



Vali udało się skinąć głową. Z wyraźnym wysiłkiem.

– To są dobre dzieciaki – poinformował Hecht Jednookiego. – Ale dzieciaki. Pełne energii. Hej. Gdzie znajdziemy kościół?

Później, gdy dzieci już leżały w łóżku, Hecht i Ghort przenieśli się do ocienionego kąta – pustego, z dala od ognia. Przyglądali się gościom, obserwując każdego, kto mógł czekać na ich ofiarę.

– Zimno tutaj – mruczał Ghort.

– I samotnie. A poza tym tak ciemno, że pewnie nikt... Cóż. Patrz tam. Pan Hamil wyplątał się z moich więzów.

Jeździec Durandantich wtoczył się do wnętrza Rycerza Róźdzek, jeszcze bledszy niż wcześniej i przerażony. Na czole miał wielki siniak.

– Ten człowiek nie przywykł do spacerowania poza miastem po zmroku – zauważył Ghort.

– Cii. Nie chcę, żeby przestał myśleć, iż poszliśmy do Plemeny.

Jednooki schwycił Hamila za ubranie. Tamten nie potrafił mu pokazać żadnej monety, ani nic wartościowego.

– Okradłeś go? – zapytał Ghort.

– Oczywiście. Nie chciałem, żeby nas uznał za uczciwych ludzi z posłannictwem.

– I dobrze. Wychodzi.

Wyszedł z pomocą Jednookiego, który wyrzucił bladego Sonsanina prosto w ciemność. Przez cały czas Hamil protestował, powołując się na don Alsana Durandantiego.

– Myślisz, że Jednooki właśnie popełnił dotkliwą pomyłkę? – zapytał Ghort.

– Zależy, jak bardzo don wspiera swoich żołnierzy. Ho, ho. Oto prawdziwe kłopoty.

– Gdzie?

– Tam, w ciemnym kącie. Siedzi tam facet. Nie było go, kiedy zajęliśmy nasz stół. Nie widziałem, żeby przechodził obok. Ma na sobie szatę pielgrzyma. Zobaczysz go, gdy kuchcik dorzuci drew do ognia.

Mijały ciche minuty. Chłopak, który wcześniej zatykał dziury, przyniósł drewno, żeby przegnać chłód nocy. Płomienie na kominku rozbłysły na krótko.

– Cóż – mruknął Ghort – gdybym się zakładał, a znany jestem z tego, że od czasu do czasu coś postawię, założyłbym się, że ten człowiek to brzydki

bliźniak Ferrisa Renfrowa.

– Może zły bliźniak?

– Upierałbym się, że to Renfrow jest złym bliźniakiem. Niemniej, ciekawe. Myślisz, że jest zaangażowany w sprawę?

– Chcesz, żebym zgadywał? Nie bezpośrednio, jeśli w ogóle. – Ferris Renfrow i jego panowie w Imperium Graala nie mieli powodów mordować Naczelnego Wodza. – Przypuszczam, że to zbieg okoliczności. To jest naturalnie miejsce na konspiracyjne spotkania.

Ferris Renfrow robił to, co oni. Siedział w cieniu i obserwował. Hecht i Ghort wypatrzyli trzech mężczyzn, wartych bliższego przyjrzenia się.

Czas płynął.

– Naprawdę wolałbym, żeby ten dupek zrezygnował i poszedł spać – mruknął Ghort. – To był, kurwa, długi dzień. Muszę zmrużyć oczy.

– Mhm.

Renfrow z pozoru w ogóle nie zwracał na nich uwagi. Hecht nie wierzył, żeby sobie nie zdawał sprawy z ich obecności. Choć z drugiej strony siedzieli w cieniu głębszym niż jego cień.

Hecht również czuł ciężar zmęczenia.

– Co robisz, Pipe?

– Zobaczę, co robi, gdy mnie pozna.

– Mądre to?

Hecht wzruszył ramionami. Ruszył przez pomieszczenie, mijając śpiących oraz tych, którzy nadużyli mocnego, ciemnego, paskudnego piwa warzonego w Rycerzu Różdek. Z początku Renfrow wydawał się niezainteresowany, ale po chwili wzdrygnął się i zaklął:

– Na przekłete hemoroidy Eisa! Co ty tu robisz?

Hecht usiadł obok Imperialnego.

– Mogę cię zapytać o to samo.

– Jestem tu w interesach mojego pana.

– Podobnie jak ja. Tylko moje interesy mają może nieco bardziej osobisty charakter.

Renfrow zdołał się już opanować.

– Jesteś poza ojczyzną.

– Poza terytoriami Imperatora również. To zapewne terytorium Sonsy.

– Teoretycznie należy do hrabiów z Aloi. Ale ich już nie ma, wymarli, kiedy jeszcze mieliśmy mleko pod nosem. A nikt się nie wprowadził,

ponieważ byłoby to znacznie bardziej kłopotliwe, niż pozwolić ziemi zgnić.

Co w końcu doprowadzi do bandytyzmu i chaosu. Oczywiście.

– Miałem długi dzień. Po prostu chciałem, abyś wiedział, że tu jestem. –  
Zanim Renfrow zdołał odpowiedzieć, Hecht ruszył do swego pokoju.

Ghort został, gdzie był.

– Wszedł zaraz po tobie – doniósł Ghort. – Wyglądał, jakby przeżył poważny szok. Nie sądzę, aby mnie widział.

– Nie liczyłbym na to. Kto jest zawsze tam gdzie ja?

– Idź uczyć babcię ssać jajka. Nasadź na niego dzieciaki. Tego nie będzie się spodziewał.

Hecht pokiwał głową.

– Ostrzeż je. Żeby od razu się nie zorientował, że mamy z nimi coś wspólnego.

Następnego ranka Ferris Renfrow się nie pokazał. Hecht popytał o niego trochę, ale szybko przestał. Pytania o współgocia nie wywoływały pozytywnych reakcji. Dobrze było jednak wiedzieć, że na pytania o niego będzie równie trudno uzyskać odpowiedź.

Renfrow pojawił się dopiero wówczas, gdy właściciel otworzył wieczorem kuchnię.

Posiłki na zamówienie można było mieć w każdej chwili, ale trzeba było za nie dodatkowo płacić. Oszczędni goście żyli z bezdennych garnków z owsianką i gulaszem, którego składniki zmieniały się w zależności od tego, co zostało z potraw gotowanych na zamówienie. Trzeba było uważać na drobne kości.

Renfrow nabrał sobie porcję i wycofał się do tego samego cienia, który okupował wczorajszego wieczora.

Pół godziny wcześniej Hecht zajął miejsce we własnej niszy cienia. Dzień spełził na niczym. Dzieciaki niczego nie odkryły – choć częściowo potwierdziły jego podejrzenia względem ludzi, w których wczoraj on i Ghort dostrzegli potencjalnych łotrów. Wnosząc z akcentu, tamci przybyli z oddalonej północy lub zachodu. W stajni za gospodą stały ich konie. Stajennym płacono, by utrzymywali uprzęż w nieustannej gotowości do drogi. Często się modlili. To właśnie Pella uznał za rzecz najbardziej w nich złowieszczą.

Hecht poprosił Pellę, by zaaranżował zniknięcie jednej z uprzęży tamtych.

Podejrzani nie byli jakoś szczególnie czujni.

Gdzieś w połowie drugiego ranka w gospodzie zawrzało. Najemne siły Grolsacherów, rzekomo wyposażone w listy kaperskie od Wzniosłego V, spotkał zły koniec w Connec. Tylko garstka przeżyła – dzięki temu, że uciekała szybciej, niż hrabia Raymone Garete potrafił ich ścigać. Jednym z ocalałych okazał się biskup, podszyty zresztą strasznym tchórzem, niejaki Morcant Farfog ze Strangu. Kapitan oddziału, Haiden Backe, padł jako jeden z pierwszych. Jeńcy chętnie przyznali, że ważną rolę w ich łobuzerce odegrał Patriarcha. Jednak w grolsacherskim obozie nie znaleziono przekonujących dowodów ich winy. Autentyczne listy kaperskie zniknęły. Oczywiście, ich wartości nie sposób było przecenić.

– Twój szef to wściekły wariat, Pipe – szepnął Ghort. – Co, u diabła, mu się wydaje? Ten Raymone Garete to jeden z ludzi, dzięki którym powiodła się calzirska krucjata. Co to niby za wdzięczność?

– Dość typowa. Wdzięczność królów. Wzniosły nigdy nie opuścił Brothe. Nigdy nie opuścił swej małej klikki rodziny i współpracowników. Słyszy tylko to, co chce słyszeć. Szczerze wierzy, że większość świata myśli tak jak on. Że wszyscy szukają bohatera, który powiedzie ich do walki. Wydaje mu się, że wielkie rzeczy ułożą się po jego myśli, jak małe się układały od czasu, gdy był w powijakach. Jest absolutnie przeświadczony o swych boskich prerogatywach i patriarszej nieomyślności. Próbowałem przemówić mu do rozumu. Choć nigdy nie udało mi się dostać tak blisko, by z nim naprawdę porozmawiać.

– Takich ludzi spotyka zazwyczaj przedwczesna śmierć.

– Ale przynajmniej wiemy, dlaczego Wzniosły ze swą bandą nie troszczy się o pieniądze.

– Złupienie heretyków zawsze stanowiło część jego planu.

– Nie wyjdzie mu lepiej, niż poszło w Calzirze. Fakt, w Connec jest sporo bogactw. Kraj od dawna pokojowy. Ale większość bogactw zniknie w trakcie ich zawłaszczania.

– Cholera – mruknął Ghort. – Te wieści dotrą do Brothe przed nami. Kiedy nie będą mogli nas znaleźć, nasze dupy zawisną.

Hecht też tak myślał. Kiedy te wieści dotrą do Miasta Ojczystego, będzie dużo kręcenia się w kółko, wrzasków i krzyków. Choć ich wpływ na praktyczne sprawy będzie niewielki.

– Być może wymykając się, zrobiliśmy posunięcie kiepskie dla naszej kariery.

– Może ten facet da nam robotę. – Ghort miał na myśli Ferrisa Renfrowa, który właśnie zmierzał w ich stronę.

Hecht skinął głową.

– Powinieneś wiedzieć, że choć te wieści są muzyką dla mych uszu, ani Imperator, ani ja nie przyłożyliśmy ręki do kompromitacji Haidena Backe’a.

– Wobec tego wszystko w porządku.

Renfrow wyszczerzył zęby. Wcześniej Hecht go takiego nie widział.

– Wzniosły... Nie, nie wolno okazywać braku szacunku Ojcu Kościoła. Ale nie mogę się nie zastanawiać, jaki cel przyświecał człowiekowi, który wynajął Grolsacherów... a Backe’a w szczególności... po wszystkich katastrofach, w jakich ci ludzie brali udział na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Z pewnością zima tego roku w Grolsach będzie straszna.

– Wynajął Haidena Backe’a – odpowiedział Ghort – ponieważ nie mógł znaleźć nikogo równie głupiego. O geniuszu Wzniosłego już nie wspominając. Grolsach to straszne miejsce. Choć dobrze stamtąd pochodzić, ponieważ wtedy nikt się po tobie niczego dobrego nie spodziewa. – I jakby mówiąc sam do samego siebie, dodał: – Każdy Grolsacher próbuje poprawić swój los, wszystko pieprzy i potem jest jeszcze gorzej.

– Słowa człowieka, który wie, o czym mówi.

– Bystrzy goście uciekają stamtąd i załatwiają sobie robotę gdzie indziej. Co pomaga zarówno im, jak i Grolsach, ponieważ wtedy jest mniej gęb do wykarmienia.

– Jeżeli najbystrzejsi emigrują, co można powiedzieć o tych, którzy zostają?

Ghort wzruszył ramionami. Nie znał Ferrisa Renfrowa. Wiedział natomiast, jaka towarzyszy mu reputacja. Imperialny uważał się za najbystrzejszego faceta w okolicy. I uwielbiał to demonstrować w bezsensownych debatach.

Renfrow zwrócił się do Hechta:

– Masz parę dzieciaków, które za sobą wleciesz. Po co?

– Przykrywka. Poza tym ktoś tu ma miękkie serce. – Skinął głową w stronę Ghorta. – Twierdzi, że jeden bardzo mu przypomina jego samego.

– Brzydal?  
– Trafieś. Ale przydają się. Oczy i uszy. Choć mniejszy chłopak jest niemy.

– Przybyliście z Sonsy. – To nie było pytanie.  
Hecht pokiwał głową. Renfrow wiedział.  
– Co tam się dzieje?  
– Aż tak długo na miejscu nie byliśmy.  
– Ale dostatecznie długo, by przygarnąć parę ulicznych łobuzów – zauważył Renfrow, mierząc go szacującym wzrokiem szarych oczu.

– Ten burdel to miasto duchów – powiedział Ghort. – Oczekiwałem więcej ludzi i więcej ruchu. Wychodzi na to, że nigdy nie doszli do siebie po powstaniu devów.

– Zapewne.  
Hecht wiedział, że Renfrow chce porozmawiać, ale każde pytanie było równoznaczne ze zdradzeniem, jakie posiada informacje. Dlatego w końcu nie zapytał o Vali Dumaine. Niemniej, jeżeli ktoś znał te historię, to właśnie Ferris Renfrow.

Zamiast tego, więc Hecht zapytał:  
– Jakie wsparcie ma zamiar zapewnić Lothar księciu Clearenzy?  
Renfrow zachichotał.  
– Jak zareaguje Patriarcha, po tym jak fon Dreasser przejrzał wreszcie na oczy?

Hecht odpowiedział uśmiechem.  
Renfrow zobaczył coś, co go wyraźnie zainteresowało. Być może nawet zaskoczyło i zaniepokoiło. Na mgnienie oka.

– Przecież nie może się łudzić...  
– Może jak najbardziej – wszedł mu w słowo Ghort. – Złudzenia, złudzenia. Jest szalony jak banda górskich małąp na sfermentowanych owocach.

Co to miało znaczyć? Hecht zapytał:  
– Przecież nie byłoby nas tutaj, gdyby chciał poważnie załatwić tę sprawę, nieprawdaż?

Renfrow mruknął coś nieartykułowanego, ruszył ku drzwiom. Jakiś człowiek poszedł jego śladem. Hecht powiedział:

– To będzie ten człowiek, którego nie chciał, abyśmy zobaczyli.  
Ghort się zgodził.

– Tak. I teraz sprawa robi się ciekawa. Ponieważ to był Lyse Tanner.

– Pierwsze słyszę.

– Pochodzi z Santerinu. Jeden z tych, którzy uciekli po ostatniej sprzeczce o sukcesję. Próbował załatwić sobie zlecenie u Patriarchy. Jego brat jest biskupem. Nie dostał roboty.

– A więc poszedł pracować dla Imperatora?

– Prawdopodobnie od początku był na liście płac Renfrowa. Nie spuszcжайmy go z oka. Zobaczmy, z kim się spotyka. Jeżeli z kimkolwiek. Myślisz, że Renfrow wie, że się zorientowaliśmy?

– Przypuszczam, że nie założy, iż się nie zorientowaliśmy.

– Pipe, zaczynam się trochę martwić. Wokół nas coś się dzieje. A my nie mamy zielonego pojęcia, co.

– Całe moje życie tak wygląda. Zacząłbym się martwić, gdyby mi się wydawało, że panuję nad wszystkim.

Hecht i Ghort właśnie jedli z dziećmi kolację, kiedy dezernerzy wreszcie przybyli.

– To oni – szepnął Ghort.

Podał swą miskę Vali, która wsunęła ją pod ławkę. Ostatnio nabrała trochę pewności siebie, choć wciąż jeszcze nie odezwała się ani słowem. Ghort wbił wzrok w podłogę, pozwolił, by ogarnęły go cienie.

Hecht szepnął:

– Pella. Ci ludzie, co właśnie weszli... Idź na zewnątrz i poczekaj, aż wyjdą. Śledź ich. Nie rzucaj się w oczy.

Zerknął na salę. Ferris Renfrow jeszcze nie zdążył zająć miejsca w swych wieczornych cieniach.

Dzieciaki poszły do tylnego wyjścia, Pella paplał coś o przybudówkach. Nikt nie zwrócił na nie uwagi. Szczeniaki zdążyły stać się już częścią umeblowania gospody.

– Co teraz? – zapytał Ghort.

– Teraz żałuję, że nie posłałem Pelli, by ich podsłuchał.

Przybyli zaczęli od wypytywania Jednookiego. Jeśli miał jakieś imię, Hecht jeszcze ani razu go nie słyszał. Jednooki wskazał kogoś z mężczyzn wcześniej podejrzewanych przez Hechta. Przybyli przerwali mu modlitwę przed posiłkiem.

Siedzący za stołem nie był zadowolony.

– Nie chciał, żeby go tu znaleźli – skomentował Hecht.

– Dowiedziałeś się o nich czegoś, o czym mi jeszcze nie powiedziałeś? – zapytał Ghort.

– Dużo się modlą. Właśnie on powiedział rudawej służącej, że jest księdzem. Z Ormienden. Ale bliżej nie sprecyzował.

W niektórych regionach Ormienden zwolennicy Wzniosłego byli najdzikszyimi fanatykami. Stronnicy Niepokalanego byli zaś mniej zawzięci, za to liczniejsi.

– Zasadniczo boski krzykacz to chytry szczur, niezależnie, jaką się raczy duchową trucizną. Ale ten facet i jego kumple coś za bardzo na takich wyglądają.

Hecht też tak myślał. Ale nie udało mu się nic konkretnego o nich dowiedzieć.

– Idzie następny. – Kolejny rzekomy ksiądz. – To jeszcze jeden, racja?

Przybysz wyglądał na zdenerwowanego. Dezerterzy nie zwrócili na to uwagi.

Ghort zaczął spekulować, co jego zdaniem dzieje się przy stole tamtych:

– Moi chłopcy chcą od tamtych pieniędzy. Jak najszybciej chcą ruszać w drogę. Kasjer mówi: wyluzujcie. Nie zwracajcie na siebie uwagi. Tak czy siak, teraz nie ma, co ruszać w drogę. Na północ stąd tereny nawiedzane są przez paskudne stwory Nocy.

To ostatnie było prawdą. Tego ranka w odległości kilku mil znaleziono pozbawionego krwi trupa.

– Moich chłopców to nie obchodzi. Napracowali się jak cholera, przez cały czas martwiąc się, jak straszne stanie się ich życie, gdy wpadną w ręce Żelaznodupego Ghorta.

– Sam bym się bał.

– Miałyś powody... O, ho.

– Co?

– Bracia w modlitwie właśnie sprzedali im zmyłkę. Że pieniądze są schowane na zewnątrz. Pewnie w stajni. Jakieś gówno w tym stylu. Pozwolą księżom, żeby ich zabrali na zewnątrz. – Dezerterzy ich rozmówcy wstali od stołu.

– Okażą się aż tak głupi?

– Zgodzili się wystawić ciebie.

– No właśnie. – Choć wydawało się to nadmiernym optymizmem. – Nie powinniśmy im pozwolić, żeby za daleko odeszli.



Ghort mruknął:

– Cholera. Akurat w czas. Oto twój imperialny kumpel.

Ferris Renfrow usadowił się właśnie w swoim cieniu. Co zaszło między nim a Lyse'em Tannerem? Dlaczego wciąż tu pozostawał? Może miał regularną skrzynkę kontaktową w Rycerzu Róźdzek?

– Wychodzą tylnym wyjściem. A więc stajnie albo przybudówki.

– Albo las, jeżeli planują jakieś prawdziwe zło. – Zdało mu się, że Renfrow cokolwiek zainteresował się czterema mężczyznami. Potem spojrzał na niego.

Oczywiście. Gdyby mógł, Renfrow z pewnością chętnie dowiedziałby się, na czym polegają jego interesy.

– Nic na to nie poradzimy – mruknął Ghort. – Idziemy. Żałuję, że dzisiaj jest tu tak pusto.

Dezerterzy nie byli skończonymi głupcami. Obaj sprawdzili ukrytą broń, kiedy ich płatnicy nie patrzyli. Hecht zauważył, że Renfrow znienacka stał się bardziej czujny.

– Masz rację. Ale nic na to nie poradzimy.

Do przybudówek wychodziło się przez kuchnię, mroczną, zadymioną i tak brudną, że jej widok mógł pozbawić apetytu na wiele dni. Zatkuszony, mocno owłosiony grubas zabijał czas, tępo rozmawiając ze znużoną służącą, która jakoś nie miała ochoty na zabawę w klapsy i podszcypywania. Nie była więcej niż trzy lata starsza od Vali. Kucharz zapytał:

– Co to za cholerna parada do kibla? Nikt nie jest jeszcze na tyle pijany, żeby musieć sikać w towarzystwie. Ty. – Wskazał Hechta palcem grubym jak kielbaska. – Od kiedy tu przyjechałeś, jeszcze ani razu nie piłeś. To nienormalne.

Ghort zareplikował:

– To nie chodzi o piwo, bracie. To twoje zgniłe żarcie pośpiesznie domaga się wypuszczenia do sracza.

Kucharz przez chwilę zastanawiał się, czy się nie obrazić. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że szkoda sił. Lepiej zachować je dla służącej.

– Prawdopodobnie to jego córka – stwierdził Hecht.

– Nawet, jeśli, nie mogę go winić, że próbuje. Dziewczyna ma coś w sobie.

Przy tylnych drzwiach zmaterializował się Pella.

– Poszli do stajni, wasza miłość – szepnął. – Z dwoma innymi. Co już tu jakiś czas są.

– Gdzie Vali?

– Obserwuje ich.

– Zaprowadź nas do nich. Potem wróć do środka razem z Vali. Idźcie do łóżka. Powinniście się wyspać. Jutro ruszamy w drogę.

– Na nich właśnie czekaliśmy?

– Tak. Ruszaj.

Pella prowadził ich, jakby potrafił widzieć w ciemnościach. Hecht i Ghort ostrożnie szli za nim. Hecht zastanawiał się, co się stało z trzecim księdzem.

W stajni było cicho. Stajenni spali, a zwierzęta drzemały. Wyglądało, jakby nawet szczury dały sobie wolną noc. Amulet milczał tak stanowczo, że Hecht uznał, iż nie ma żadnego nadprzyrodzonego zagrożenia. To oznaczało, że nikogo nie interesuje, co się tu dzieje.

Jak się okazało, ich zwierzyna nie poszła do samej stajni, ale do przyległej szopy z paszą. Paliła się w niej latarnia. Światło sączyło się przez szczeliny ścian. Za pomocą dotknięć i gestów Ghort kazał dzieciakom wracać do środka. W ucho Hechta szepnął:

– Uważaj, gdzieś tu jest jeszcze jeden.

Hecht pokiwał głową. Przesunął się, żeby zerknąć przez niezalepioną szczelinę między poziomymi belkami.

Brakujący człowiek był w środku. Pomagał kolegom przenosić worki z owsem. Niedoszli zabójcy zachowywali większą ostrożność niż ich płatnicy.

Ciekawe, pomyślał Hecht. Święci mężowie najwyraźniej nie mieli zamiaru oszukiwać. Dezerterzy musieli ich przekonać, że wszystko poszło zgodnie z planem.

– Nie kupuję tego – wydyszał Ghort. – Przecież ci dwaj nawet nie brali udziału w zamachu.

Hecht ścisnął ramię Ghorta. Porozmawiać mogą później.

Trzech odliczyło dwóm sztuki srebra. Potem przez chwilę się i kłócili, czy należy wypłacić również premie dla poległych spiskowców. Dezerterzy dowodzili, że przecież tamci zostawili rodziny.

Kasjerzy proponowali tylko połowę uzgodnionej sumy. Albo nic.

Dezerterzy wzięli, ile im dawano. Hecht odniósł wrażenie, że ich troska o pozbawione ojców i mężów rodziny kuzynów była jak najbardziej szczerą. Spisek mógł być przedsięwzięciem rodzinnym.

Potem już niewiele rozmawiano, choć dezerterzy przedstawili przebieg zamachu całkowicie odbiegający od tego, co Hecht pamiętał.

Dlaczego płatnicy byli tak potulni?

Cóż, dezerterzy nie stanowili żadnego zagrożenia, ponieważ nie wiedzieli nic o tej trójce. Schowawszy pieniądze, przeszli do stajni. Zbudzili stajennych i kazali przygotować konie do drogi. Jeden z chłopców protestował:

– Twe szkapy są zupełnie skonane. Zajeździecie je. Poza tym nie chcecie przecież jechać po nocy. Na północnej drodze grasują zguby. Ach, dziękuję, wasze miłości! – Chłopak zniecacka przestał mieć obiekcje.

Hecht przyjął, że otrzymał suty napiwek.

Hecht obserwował tamtych przez ścianę dzielącą stajnię od paśnika. Wszyscy trzech kapłani siedzieli na workach. Po wspólnej modlitwie jeden wyciągnął fajkę do *kuj*. Nabiał ją i zapytał:

– Coyne gotów?

– Posłałem słowo. Poradzi sobie.

Hecht zdał sobie sprawę, że Pella wciąż jest z nimi. Zdenerwował się, ale nic nie powiedział. Nie chciał, by chłopak protestował i tym ich zdradził. Przyciągnął Ghorta bliżej, szepnął mu do ucha:

– Co o tym myślisz?

– Teraz powinniśmy się do nich zabrać. Nie będzie lepszej szansy. Znaleźli się w pułapce.

Ale było jeszcze tamtych trzech i stanowili całkowitą niewiadomą.

Ghort ruszył pierwszy. Chciał zobaczyć wyraz szoku na ich twarzach. Kiedy Hecht poszedł jego śladem, tamtych trzech właśnie spowijała wielka chmura *kuj*, umysły dostawały kopa.

– To tylko wizyta towarzyska, chłopcy. Poczuliśmy fajeczkę. Pomyśleliśmy sobie, że się podzielicie.

Pella wślizgnął się za Hechtem uzbrojony w szczapę drewna, która musiała mu się wydawać solidną pałką.

– Nazywam się Pinkus Ghort – ciągnął Ghort. – Mój przyjaciel to Piper Hecht. Ten mały jest słynną postacią literacką. Więc już wiecie, kim jesteśmy. Porozmawiamy sobie przy fajeczce.

Trójka rozpoznała przynajmniej jedno z imion.

Pella wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Nie znał tych nazwisk, ale był zadowolony, że może wreszcie słyszy prawdziwe.

Ghort ostrzegł:

– Nie zachowujcie się w ten sposób. Nie jesteście zabójcami. My jesteśmy zawodowcami. Wyciągniecie noże, spotka was krzywda.

Jeden nie posłuchał.

Ghort poruszał się tak szybko, że w równym stopniu zaskoczył Hechta, jak człowieka, którego rozbroił.

– Powiem wam, co zrobimy... popalimy sobie razem i pogadamy o zabójstwach. – Ghort podniósł z ziemi upuszczony przez tamtego nóż. – Pipe? Chcesz coś dodać?

– Idzie ci nieźle. Ale pospieszmy się.

Ghort rzucił nożem. Wbił się w gardło mężczyzny stojącego najdalej od niego.

– Ty – powiedział do następnego. – Zajmij się nim. Przeżyje, jeśli się postarasz. Chyba, że wszyscy chcecie być uparci. Wówczas żaden z was nie przeżyje. I zniszczycie kupę owsa, ponieważ zanim was wygrzebią, będziecie strasznie śmierdzieć.

– Siadaj – zwrócił się Hecht do człowieka rozbrojonego przez Ghorta. – Mów do mnie. Kim jesteś?

Po krótkiej naradzie z własną odwagą tamten powiedział:

– Jesteśmy księżmi. Tak naprawdę świeckimi braćmi.

– Księża nie mordują ludzi.

– Mordują, mordują bez przerwy, Pipe – wtrącił Ghort. – I tylko przebierają to w czary-mary. Ale niech mówi dalej. Powoli rzecz staje się fascynująca. Własny Kościół próbuje wbić nam nóż w plecy.

– Nie ten Kościół. Nie wasz Kościół. Nie Uzurpator.

– Cholera! Viscesment! Niepokalany?

Hechtowi rzecz wydawała się trudna do przełknięcia. Wszyscy wiedzieli, że Antypatriarcha jest słaby, niekompetentny, właściwie niepoważny. Opinia ogółu głosiła, że Niepokalany II wkrótce zapije się na śmierć i wraz z nim podzielony Patriarchat stanie się historią. A dziedzictwo Niepokalanego, choć wsparte na trwałych roszczeniach prawnych, wygaśnie.

– Będziecie to musieli szczegółowo wyjaśnić.

– Naprawdę jesteś Naczelnym Wodzem?

– Tak. Dlaczego?

– Komisja Doradcza doszła do wniosku, że jesteś najniebezpieczniejszą bronią w arsenale Uzurpatora. Gdyby ciebie usunąć, Wzniosły nigdy nie byłby w stanie zgromadzić sił zdolnych do narzucenia jego woli poza obszarem własnych terytoriów. Zwłaszcza po śmierci Imperatora.

Oczekiwano, że po ewentualnej śmierci Lothara Imperium osłabnie i pogrzeże się w chaosie. Ponieważ tron miała objąć jego siostra Katrin, która będzie musiała radzić sobie z rzeszą elektorów i pomniejszej szlachty niechętną władzy kobiety.

– Jak wyjaśnisz niekompetencję całego przedsięwzięcia? – mruknął Ghort. – Antypatriarcha. Kto by pomyślał, że ma bodaj kroplę odwagi, a co dopiero pełny zestaw jaj?

– Przyjmując, że słyszymy tu prawdę – zauważył Hecht. – Bez trudu wymienilibym paru ludzi, którym nie zabrakłoby nerwów, pod warunkiem, że zabicie mnie naprawdę ma sens. – Musieli tacy być. Próby zamachów zdarzały się regularnie.

Przyglądał się, jak dwóch księży modli się nad rannym. Wypchnął Pellę z powrotem w ciemność.

– Zajmij się Vali. Tak czy siak, nie chciałbyś, żeby widzieli cię w naszym towarzystwie. To nie są mili ludzie.

Niemniej z całej trójki wyraźnie uszła wola walki. Ghort zapytał:

– Co teraz, Pipe? Nie spodziewałem się żadnych księży z Viscement.

– Ani ja. – Teraz, dokąd? Ścigać się z wieściami z Connec do Brothe, nie mając nadziei na zwycięstwo?

– Nie zastanowiliśmy się porządnie, zanim ruszyliśmy na poszukiwanie przygód.

– Zabawy dla młodzieńców – filozofował Ghort. – Zabawy dla tych, którzy nie mają nic do stracenia.

– Tak. Panowie. Księża. To ważne pytanie. Ci głupcy, którym właśnie zapłaciliście... Dokąd ich posłaliście?

– Nadzieją się na rabusiów. Jeżeli nie będą stawiać oporu, grozi im tylko tyle, że stracą pieniądze.

– Rzecz nie ma się skończyć śmiercią?

Księża wyglądali na urażonych.

– My nie mordujemy ludzi... W porządku, tak. Nic im się nie musi stać. Rozpłyną się w populacji Grolsach. Tak naprawdę nic nie wiedzą. Ale nie mogliśmy im pozwolić zatrzymać pieniędzy. To by zrujnowało skarb Niepokalanego.

Z tego należało wnosić, że spiskowcy nigdy nie mieli odebrać swej zapłaty.

– Dlaczego?

– Ponieważ praktycznie rzecz biorąc, nie dysponujemy żadnymi dochodami. Uzurpator...

– Chodziło mi o to, dlaczego próbowano mnie zabić?

– Powiedziałem ci. Jesteś jedynym...

– Nieprawda. – Wyjaśnienie pozbawione było sensu. Aż tak ważny nie był. Nie był niezastąpiony. Ghort mógłby równie dobrze wykonywać jego obowiązki.

– On w to wierzy, Pipe. Ktoś mu to sprzedał – rzekł Ghort.

– Dureń – warknął Hecht.

– Na głupotę nie ma lekarstwa. Hej, Pipe! Wiesz, że ci się powiodło, dopiero wtedy, gdy ludzie, których nawet nie znasz, próbują cię zabić.

– Zazdrosny?

– Nie całkiem. Bracie, naprawdę nie potrzebuję nikogo, kto tylko czeka, żeby mi poderznąć gardło. Chyba, że będzie to zazdrosny mąż. Za jakieś, może, sto lat.

– Mówisz tak tylko dlatego, że twa wiara jest słaba – powiedział jeden z księży.

– Słaba to niewłaściwe słowo, boski krzykaczu. Chodzę już po tym świecie od prawie czterdziestu lat. Jeszcze nie spotkałem Delegatury, która chciałaby dla mnie dobrze.

Hecht wtrącił się:

– Żadnych dyskusji religijnych. Jest środek nocy. Jestem zmęczony. Jestem zły. Oto, co się stanie. Wróćcie do Viscement. Z wiadomością. Jeżeli jeszcze raz ktoś czegoś takiego spróbuje, potraktuję sprawę jako osobistą. Ludzie, których wyślę, nie będą tak niekompetentni jak zamachowcy Wzniosłego. Nie będzie żadnego wcześniejszego ostrzeżenia od szpiegów Imperium. – Wywiad Osy Stile udaremnił zamach na Niepokalanego II podjęty przez agentów Wzniosłego.

Ghort przeszedł obok rannego. Przerzucił kilka worków z owsem, znalazł skórzaną sakiewkę, już właściwie pustą.

– To smutne. Wychodzi na to, że wszystko dali Auberonowi i Ogierowi.

– Wobec tego zabierzemy ich konie – zarządził Hecht. – Nie macie chyba nic przeciwko pieszej wędrówce, skoro dzięki temu ocalicie życie?

Jeden z księży zareagował ponurym skinieniem głowy.

Ghort dał tamtym kilka praktycznych porad żołnierskich, dotyczących udzielenia pierwszej pomocy.

– Dbajcie, by rana była czysta. Wszystko będzie dobrze, jeśli nie wda się zakażenie. Znajdźcie znachorkę. Niech zrobi maść.

– Powiedzmy, że na dzisiaj dość, Pinkus.

– Co? Nie chcesz się dowiedzieć, kto dokładnie zlecił im tę robotę? Przecież wy, chłopcy, nie wymyśliliście wszystkiego sami, co? Ani wasz bohater, Niepokalany. Gdybyście wy za tym stali, byłoby mnóstwo szpiegowania, werbowania, szkolenia i ćwiczeń. Wy, chłopcy, jesteście tylko płatnikami. I tylko w tym macie swobodę wyboru: zapłacić czy nie zapłacić, zależnie od tego, jak potoczyły się wydarzenia w Brothe. Racja?

Obaj ranni z każdą chwilą coraz bardziej się bali.

– Widzisz? – powiedział Ghort. – Trzeba tylko zadawać właściwe pytania. Kto was wysłał, chłopcy?

W efekcie krótkiego, energicznego przesłuchania, pozbawionego elementów przemocy cielesnej, wyszło na jaw imię. Rudenes Schneidel.

Rudenes Schneidel zajął się wszystkim. Planowaniem. Personelem. Lokalizacją celu. Opłaceniem łapówek. Rekrutacją płatników, którzy pod wszelkimi innymi względami byli bezrobotnymi świeckimi braćmi. Kiedy w trudnych czasach zaproponowano im pieniądze, nie mieli kłopotów z wyrażeniem zgody.

Ghort zapytał:

– Rudenes Schneidel? To jest jakiś twój rodak z cholernymi ansami do ciebie, Pipe? Zmarnowałeś jego siostrę?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Ale nazwisko brzmi, jakby było z twojej części świata.

– Fakt. Przyznaję. Któryś z was miał z nim bezpośredni kontakt?

Mówiący pokręcił głową. Widać było, że żałuje, iż tak dużo powiedział.

– Posługiwał się pośrednikiem.

– Możesz go opisać?

Rzecz jasna, nie mógł. Przynajmniej niezbyt dokładnie. Niepytany wyjaśnił:

– Wypytałem pośrednika o Schneidela. Powiedział, że widział go tylko raz. Jeżeli to naprawdę był on. Mówił z obcym akcentem, tak ciężkim, że ledwie dawało się go zrozumieć. – Z rysopisu wyłaniała się typowa postać niskiego i grubego, chudego i wysokiego ciemnoskórego białego człowieka, którego można spotkać na każdej firaldiańskiej ulicy.

– Już to przerabiałem – powiedział Hecht, wspominając jak próbował zdobyć rysopis wiedzmy Starkden, która stała za intrygą mającą na celu pozabawienie życia sha-luga Else’a Tage, naonczas podającego się za episkopalnego chaldarańskiego krzyżowca sir Aelforda daSkees. – Oprócz innych zbrodni, nie był przypadkiem czarownikiem?

Ghort się wtrącił:

– Mamy nazwisko. Mogę je przekazać Bo. Teraz musimy znów brać się do działania.

Hecht pokiwał głową.

– Dobra, na tym dość. Dobrej nocy, panowie. Bracia. Uwzględnimy was w swych modłach.

Pella obudził Hechta na godzinę przed pierwszym brzaskiem.

– Panie, ci kapłani kradną swoje konie i uciekają.

– Skąd wiesz?

– Vali ich widziała. Ona mnie obudziła.

– Rozumiem. – Zanim skończył wciągać spodnie, usłyszał stuk końskich kopyt na bruku przed gospodą. – Księżyc im przyświeca?

– Tak, panie.

– Teraz jestem panem?

– Tak, panie.

Hecht był zdziwiony, ale nie miał czasu, by się zastanawiać nad krętymi ścieżkami, po których wędrowały myśli Pelli.

Równie dobrze mógł sobie oszczędzić kłopotów wstawania z łóżka. Ludzie z Viscement uciekli bez trudu.

Nie było powodów się spieszyć. Bez koni podróż do Brothe potrwa długo.

– Będziemy ludźmi, którzy udają się na południe w poszukiwaniu roboty – zdecydował Ghort. – Więc przestańmy wyglądać, jakby nam się dobrze powodziło.



Zmaterializował się Ferris Renfrow. Hecht przez chwilę się zastanawiał, ile tamten wie o wydarzeniach zeszłej nocy. Jakby z satysfakcją przyglądał się ich przygotowaniom do wymarszu. Natychmiast zareagowała na to paranoiczna żyłka charakteru Ghorta.

– Niewykluczone, że przygotował plan, aby nas gdzieś zgarnąć po drodze.

– Jaki mógłby mieć w tym cel?

– Do diabła, mógłby. Na dziesięciolecia zniszczyłby wszelkie nadzieje Wzniosłego. Gdzie ten głupiec znalazłby takich dwóch ludzi jak my?

– Słuszna uwaga. Ale wątpię, czy ceni nas równie wysoko, jak my sami się cenimy. Żebyś się nie bał, po prostu pójde i zapytam.

– Co? Upadłeś na głowę?

Hecht podszedł do Imperialnego.

– Nazwisko Rudenes Schneidel coś ci mówi? Szczególnie w kontekście Viscesment?

Renfrow uniósł brew.

– Pojawiło się w związku z paroma nieprzyjemnymi pogłoskami. Najwyraźniej czarownik. O niejakich osiągnięciach. Poza tym kompletny anonim. Dlaczego?

– W Brothe była próba zamachu. Usłyszysz o tym. Za spiskiem stał Schneidel. Może ci się do czegoś przyda ta wiadomość.

– Zapewne nie. Ludzie w Viscesment stają się coraz bardziej niezależni. Powiedz swojemu przyjacielowi, że pozwolę mu odejść w spokoju. Tym razem.

Hecht się zaśmiał.

– Tak łatwo go rozszyfrować?

– Tak.

– Przekażę mu. Jeszcze jedno nazwisko chciałbym polecić twej rozwadze. Dumaine.

– Dumaine?

– Nic więcej nie mam. Usłyszałem je w Sonsie. Podśluchałem. Jest częścią spisku, w który zaangażowana jest rodzina Durandantich.

– Jedyni Dumaine, o jakich słyszałem, to pomniejsza szlachta arnhandzka. Obecny wicehrabia Dumaine jest wrogiem Anne z Menandu. To znaczy, zasadniczo to ona jest jego wrogiem. Włości Dumaine'a obejmują pomniejsze marchie, on sam nie odgrywa żadnej roli w sprawach

Arnhandu, chyba, że potrzeba kozła ofiarnego, kiedy walą się plany Anne. Spędza większość czasu w domu, starając się krzyżować zakusy kuzynów związanych lennem z królem Santerinu. Popełnił oczywisty błąd, odrzucając ofertę Anne. Publicznie.

Anne z Menand była kochanką króla Charlve'a z Arnhandu; król słabował na umyśle. Dążyła do tego, by sukcesja przypadła jej synowi Regardowi, ponieważ Charlve nie miał dzieci z prawego łoża. Jej cielesne apetyty obrosły już legendą. Podobnie jak bezwzględność wobec tych, którzy stanęli jej na drodze.

– Nie pasuje. Przynajmniej nie wydaje mi się. Musiałem coś źle usłyszeć.

– Aha. To nie wygląda dobrze.

Zachodnim Traktem zbliżał się jeździec na koniu tak zdrożonym, że ledwie mógł się poruszać. Koń nigdy już nie dojdzie do siebie. Niemniej to nie jeździec go popędzał. Był nieprzytomny. Przywiązał się do siodła.

Ghort podbiegł i schwycił zwierzę za uzdę. Koń nie zaprotestował. Stracił resztki ducha.

Hecht i Renfrow poszli za Ghortem. Ewidentnie stało się coś złego. I konia, i jeźdźca pokrywała zaschnięta krew, wyraźnie nie tylko własna.

– To Ogier – powiedział Ghort. – W trzech czwartych nieżywy.

– Okłamali nas – dodał Hecht.

– Księża? Kłamią? Chyba żartujesz. Ale nie. To nie to. Spójrz na te rany.

Hecht i Imperialny obeszli dookoła człowieka i zwierzę. Koń niemal włókł pyskiem po bruku. Hecht odwiązał Ogiera. Ghort i Renfrow ułożyli go na ziemi. Hecht powiedział:

– Może nadział się na wściekłego niedźwiedzia. Albo głodnego lwa.

– Lwa? Wybacz, Pipe. Od czasów Starego Imperium Brotheńskiego nie było w tych stronach żadnych pieprzonych lwów.

Renfrow zgodził się z Ghortem.

– Starożytni wykorzystywali je w swoich krwawych igrzyskach. W owym czasie pojedynczy egzemplarz może pokonywał groblę Gibr al-Tar, ale w czasach konkwisty pramańskiej wytępiono już wszystkie, nawet na najdalszych wybrzeżach Morza Ojczystego.

– Więcej nie chcę wiedzieć. – Amulet Hechta reagował na szczątkowy cień, przytulony do zbiega i jego rumaka. Zadarli z czymś potężnym.

Powoli zaczęli się zbierać gapie z Rycerza Róźdzek. Hecht i Renfrow nie dopuszczali ich bliżej, podczas gdy Ghort próbował wypytać zbiega.

Ogier nie oberwał tak bardzo, jak wynikałoby to z ilości pokrywającej go krwi. Ale do przeżycia potrzebny będzie mu łut szczęścia. Rany po szponach zawsze się jątrzyły.

Jeden z gości Rycerza Róźdzek przyznał się do posiadania niewielkich talentów leczniczych. Kiedy się upewnił, że nikt nie doniesie na niego Kościołowi, zabrał się do zbiega.

Episkopalny chaldarański Kościół zmagał się ze schizofrenicznym podejściem do potęg wywodzących się spośród Delegatur Nocy. Z jednej strony grzmiał przeciwko afiliacjom z czarownikami i wiedźmami, z drugiej – wśród jego najwyższych dostojników znajdowali się najpotężniejsi magowie świata. Utalentowanych ludzi z zewnątrz często spotykały prześladowania. Zwłaszcza tam, gdzie srożyli się Łowcy Czarownic ze Specjalnego Oficjum.

– I co? – zapytał Hecht, gdy Ghort oderwał się od tamtego. – Miał do opowiedzenia swoją historię?

– Z cokolwiek ironiczną pointą.

– Zaskoczony jestem, że znasz bodaj dwa z tych trzech słów.

– W porządku. Trzymaj się. Opowiem ci to w jednym rzucie. A potem musimy już ruszać w drogę.

– Więc dawaj.

– Ogier i Aubero wpadli na rabusiów. Którzy ich obrabowali. Kiedy rabusie kłócili się, czy powinni pozabijać swe ofiary, nagle zrobiło się strasznie zimno. Nadpłynęła mgła. Zgasło światło księżyca. Ludzie zaczęli krzyczeć. Na niego rzuciło się coś ze szponami i śmierdzącym oddechem, ale coś innego odciągnęło jego uwagę, zanim zdążyło z nim skończyć. Zemdlął. Obudził się o świcie. Brakowało paru koni. Reszta zwierząt, jak też jego brat i wszyscy rabusie byli martwi, a ciała niektórych rozerwane na strzępy. Skierował się tutaj, ponieważ nie potrafił nic innego wymyślić. Po drodze wciąż tracił przytomność. Chował się, kiedy czuł, że zbliża się czas utraty przytomności. Pamięta, że minęło go trzech księży. Próbował ich ostrzec, ale go nie usłyszeli. Jakiś czas później z dali dobiegł go straszny krzyk. Nie zatrzymał się. Znalazł osiodłanego konia, który pasł się na polu. Złapał go, uspokoił, dosiadł i przywiązał się do siodła na wypadek, gdyby znów miał stracić przytomność. Coś w lesie zawyło i zaczęło się przedzierać przez gąszcz w jego stronę. Koń poniósł. Biegł, dopóki mu starczyło sił. Potem szedł stępa. I w ten sposób dotarli tutaj.

– Co się stało z pieniędzmi? – Niektóre z istot Nocy nie potrafiły znieść dotknięcia srebra. Żelazo wydawało się im jeszcze straszniejsze, choć w sumie tylko pomniejszych stwory można było skutecznie odstraszyć poślednim metalem.

– Ten, który wiózł monety, miał największe szanse na przeżycie. – Na chwilę podszedł do konia Ogiera, a potem wrócił do Hechta z wyrazem zmieszania na twarzy. – Miał przy sobie trochę srebra, którego rabusie nie znaleźli. Pieniądze zabrał wódz bandy. Ale spotkał go ten sam los, co pozostałych. Pieniądze muszą wciąż tam być. Gdzieś.

Choć Ghort starał się mówić cicho, ostatnie słowa podsłuchano. Wielu ludziom z tłumu przypomniało się nagle, że mają jakieś pilne sprawy do załatwienia. Mimo iż zupełnie nie wiedzieli, jakie sumy mogą wchodzić w grę.

– Czyż to nie zdumiewające? – Ghort skinął na Jednookiego, poszeptał z nim przez chwilę, potem dodał: – Musimy ruszać w drogę, Pipe. Kłopoty na nas nie zaczekają.

Tak też zrobili, odwracając się plecami do nagłej pielgrzymki na północ. Hecht mruknął:

– Ci ludzie to idioci. Potwór właśnie może zabił ośmiu czy dziesięciu ludzi, a oni potrafią tylko myśleć o pieniądzach, które zostały przy trupach. O czym z nim szeptałeś na końcu?

– O tym, żeby się zajął Ogierem, nim ten będzie zdolny podnieść się z łóżka. Wyjaśniłem, że Ogier ma pieniądze. I jak rzeczy mogą źle się skończyć dla Rycerza Różdżek, jeżeli nie potraktuje Ogiera właściwie.

– Rozumiem. – I zrozumiał znacznie więcej, niż być może Ghort zamierzał mu przekazać.

Ogier i Aubero faktycznie mogli być spokrewnieni.

### 3

## Alten Wienberg, serce Nowego Imperium Brotheńskiego

Księżniczka Helspeth, grafina fon Supfer, markiza Runjan etc. przybyła do Alten Wienberg, sądząc, że udaje się na święto swych dwudziestych urodzin, wyprawiane przez Imperatora. Trzykrotnie uklękła przed swym małym braciszkiem Lotharem, Imperatorem Imperium Graala. Wszakże znalazłszy się w jego obecności, doszła do wniosku, że jego wezwanie nie ma nic wspólnego z urodzinami. W komnacie pełno było kruków i sępów, które ostatnimi czasy gromadnie otaczały Lothara. Katrin też przybyła.

Nie było tylko Ferrisa Renfrowa. A czułaby się spokojniejsza, mając Renfrowa w pobliżu. Można go było nazwać sumieniem Imperium.

Helspeth nie lubiła zginać kolan, ale dzisiejszego wieczora jej brat występował oficjalnie. Być może niechętnie. Ale nie mógł inaczej w obecności Omra va Still-Patter, Wielkiego Księcia Hilandle, pierwszego wśród równych w Komisji Doradczej, mieniącego się Protektorem. Hilandle'owi towarzyszyli – stając pomiędzy Imperatorem a pomniejszych gwiazdami w komnacie – Mistrz Garderoby, Mistrz Prywatnej Szkatuły i Lord Admirał Vondo fon Tyre, którego flota wszakże miała charakter zasadniczo imaginacyjny. Tym trzem mężczyznom udało się głęboko wpić szponami we władzę imperialną tylko dlatego, że Lotharowi wciąż brakowało pięć lat do pełnoletności.

Starsza siostra Helspeth, Katrin grafina fon Kretien i Gordon, księżniczka Apparent, również uklękła. Nie próbowała nawet maskować swej irytacji i pogardy dla Hilandle'a oraz jego dworaków. Lothar był jej małym braciszkiem, jej ukochanym Muszinem. Opiekowała się nim podczas

niezliczonych chorób i rozpieszczała przez cały czas. Hespeth nie przepadała za siostrą, ale nie mogła zaprzeczyć, że Katrin całkowicie altruistycznie kochała brata, opiekowała się nim i pobłażała mu. I podobnie jak Hespeth, gardziła starymi chciwymi ludźmi, którzy zdobyli kontrolę nad chłopcem.

Katrin Ege – wysoka, szczupła, piękna blondynka odziana w prostą ciemną suknię – wydawała się chłodna i zdystansowana. Dysponowała nieugiętą wolą swego ojca, ale nie odziedziczyła po nim uroku, który tak mu się przydawał. Ten brak, jej płęć, jak też ambicje wielu spośród szlachty stawiały ją na pozycji słabszej, niż by wolała. Z drugiej strony Protektor i jego lokaje chętnie zamykali oczy na prawdziwy stan rzeczy i widzieli w obu siostrach Ege istoty słabe.

Wszystkie dzieci Zapalczywego Małego Hansa znalazły się na znacznie słabszych pozycjach, niż by chciały.

Johannes zmusił elektorów, by uchwalili ustawę o dziedzictwie i sukcesji, którą przyjęli, opublikowali i ratyfikowali Patriarcha oraz Kolegium i która zabezpieczała władzę Lothara przed wszelkimi możliwymi roszczeniami. Ale Johannes Czarne Buty nie przewidział własnej śmierci w bitwie. Spodziewał się przeżyć swego chorowitego syna i być świadkiem, jak tron imperialny przekazywany jest Katrin, a następnie jej synom. Poprzez małżeństwa dwu córek spodziewał się zdobyć potężnych sprzymierzeńców.

Zanim Johannes poległ pod al-Chazen, przeprowadzono mnóstwo rozmów w tej sprawie. Nie zawarto żadnej konkretnej umowy.

Hespeth została uwzględniona w planach sukcesji niejako po namyśle. Johannes wszystkie swoje sprawy załatwiał nadzwyczaj pieczołowicie. W następnej kolejności po Hespeth ustawa wymieniała dzieci jego siostry, Anies.

Ród Ege musiałaby dotknąć jakaś straszliwa katastrofa, by sukcesja znalazła się znów w rękach elektorów.

– Komisja Doradcza ostrzegła nas, a my zgodziliśmy się z nią, że dzisiejszy świat stawia przed naszą władzą bezprecedensowe wyzwania – przemówił Lothar.

Po raz pierwszy Hespeth słyszała, jak Muszin używa królewskiego „my”. Przeżyła wstrząs. Nie przywykła, by jej mały braciszek był kimś więcej niż tylko sobą. Po bliższym przyjrzeniu się doszła do wniosku, że ten Imperator Lothar jest już tworem wielkiego księcia i jego dworaków.

Czyli że spełniła się ewentualność, której obawiała się od czasu, gdy Hilandle i jego banda otoczyli Imperatora i praktycznie rzecz biorąc, odizolowali od rodziny oraz świata.

Lothar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jako niepełnoletni niewiele mógł zrobić, aby temu przeciwdziałać. Musiał zachować siłę i rozgrywać jednego doradcę przeciwko drugiemu. I jak dotąd mógł się poszczycić pewnymi sukcesami.

– Zostało nam uprzytomnione, że nasz obecny sposób życia nie jest odpowiedni dla godności rodziny cesarskiej. Córki naszego ojca nie powinny kusić losu i wywoływać skandalu, zachowując się niczym zwykli żołnierze.

Helspeth popatrzyła ze złością na Lothara. Połowa szlachty spędziła ostatnie dziesięć lat w stanie nieustającej konsternacji i zgorszenia, ponieważ stary Imperator nie tylko pozwalał, ale wręcz zachęcał swe dziewicze córki do towarzyszenia mu, gdy wyruszał w pole, ryzykowania życia w obozie i regularnych kontaktów z nieuprzejmymi, wulgarnymi pospolitymi żołnierzami.

A więc komisja zdecydowała skończyć z tym wszystkim.

Chłopiec Imperator skurczył się pod spojrzeniem Helspeth. I wcale nie poszło mu lepiej, gdy spojrzał na starszą siostrę.

Katrin miała mniejsze skłonności do skandalicznego życia. Helspeth podczas krucjaty calzirskiej przywdziała zbroję i wzięła broń do ręki, co ostatecznie wpędziło ją w rozpaczliwą sytuację pod murami al-Chazen. Katrin natomiast była bardziej uparta, bardziej zdecydowana zachować swe prerogatywy i niezależność.

Lothar, choć słabowity, umysł miał bystry. Nie dał się zastraszyć.

– Postanowiliśmy, że nasze książęce siostry pozostaną za murami swych domostw, póki nie zostaną dla nich zaaranżowane odpowiednie małżeństwa. Milczeć! Obie.

Helspeth znalazła się na krawędzi wybuchu. Nie widziała reakcji siostry, ponieważ ciemno jej się zrobiło przed oczyma. Ale pewna była, że jest tak samo wściekła.

Wielki książę śmiał się szeroko za zasłoną krótkiej, przyprószonej siwizną brody. Ale oczy pozostały lodowate.

– Taka jest wola Imperatora. – To oznaczało, że na Lothara mocno naciskano, nim uległ.

Helspeth przypomniała sobie, że zanim Johannes wymusił na elektorach ustawę o dziedzictwie i sukcesji, Hilandle uważał się za głównego pretendenta do tronu.

Następnie chłopiec Imperator dowiódł, że jego doradcy bynajmniej nie mają go tak całkiem w ręku, jak mogliby sobie wyobrazić.

– Katrin, tobie nadajemy posiadłości imperialne w Grumbrag, wraz z prawami do Eathered i Arnmagil.

Członkowie komisji przeżyli taki szok, że żaden z nich nawet się nie zająknął. Wśród pomniejszej szlachty poniósł się chichot.

Chłopiec ciągnął dalej:

– Naszej siostrze Helspeth nadajemy miasto Plemenza wraz z jego peryferiami i ufamy, że skorzysta z tej sposobności, by uzupełnić swoją edukację.

Plemenza stanowiła dobra znacznie mniej wartościowe. Eathered i Arnmagil, zjednoczone teraz pod herbem prowincji Imperium, ledwie sto lat temu były suwerennymi królestwami. Ale Plemenza była ulubionym miastem Johannesesa. Z pewnością przeniósłby tam stolicę z Alten Weinberg, gdyby nie to, iż miasto było tak odległe od serca Imperium Graala. Spędzał w Plemenzy wiele czasu, zazwyczaj dla własnej przyjemności, a nie tylko dlatego, że głównym kierunkiem imperialnej polityki była Firdia oraz nieobliczalne działania Wzniosłego V i Kościoła. Córki Johannesesa większość nauk odebrały w tamtejszych szkołach.

Helspeth uśmiechnęła się przelotnie. Lothar odpowiedział podobnym uśmiechem.

Hilandle został wyprowadzony w pole. Czterdziestu świadków, w tym kilku popieczników Wielkiego Księcia było obecnych przy tym, jak Imperator nadał dobra członkom swojej rodziny. Jeżeli Lothar faktycznie był tak bystry, przywileje były już gotowe na piśmie, sporządzone przez osoby nie będące narzędziami Hilandle'a.

Twarz Wielkiego Księcia stała się kamienną maską. Nigdy już nie popełni błędu polegającego na niedocenianiu chłopca Imperatora.

Helspeth zerknęła w bok. Katrin wydawała się zadowolona. Eathered i Arnmagil były dojrzałym owocem, piękną, żyzną krainą – a Grumbrag znane było ze swego rzemiosła i unikatowych wyrobów artystycznych. Odpowiednie miasto i prowincja dla księżniczki korony Nowego Imperium Brotheńskiego.



Ukradkowe spojrzenie, którym Katrin obdarzyła Hespeth, było tylko nieznacznie mniej jadowite niż to, jakie wcześniej spoczęło na Hilandle'u.

Była zazdrosna! O Plemenę! Ponieważ ona też wyniosła z miasta wyłącznie przyjemne wspomnienia. Być może jedyne takie wspomnienia ze wszystkich, jakie zgromadziła w ciągu dwudziestu trzech lat życia.

Johannes Ege – zwany rozmaicie: Johannesem Czarne Buty, Hanselem Czarne Buty (Małym Hansem, ponieważ był mężczyzną skromnej postury) tudzież Zapalczywym Hansem – został wybrany na Imperatora Nowego Imperium Brotheńskiego przed narodzinami któregokolwiek z dzieci. Matka Katrin, Hildegrun z Machen, wzięła ślub z nowym Imperatorem wkrótce po ukończeniu dziewiętnastego roku życia. Była wysoką, piękną blondynką. Krążące w owym czasie plotki głosiły, że wpadła w oko Imperatorowi, mając ledwie piętnaście lat. Akt ślubu poprzedzał narodziny księżniczki Katrin o ledwie pięć miesięcy.

Sojusz z rodziną Hildegrun umocnił pozycję Johanna w Imperium Graala. Ona okazała się oddaną żoną, podobnie oddani byli jej liczni rycerscy bracia, którzy od lat wiernie służyli Imperatorowi, pozostając jego przyjaciółmi i sojusznikami w trakcie kilku kryzysów. Hildegrun często towarzyszyła Hanselowi w trakcie jego peregrynacji po Imperium. Potrafiła od razu zdobyć sobie miłość wszystkich poddanych, nawet żon wrogów Imperatora.

Kiedy Katrin miała cztery miesiące, a jej ojciec prowadził właśnie kolejną kampanię wśród niezliczonych państw Firaldii, Hildegrun zginęła w wypadku hippicznym.

Była wyśmienitą amazonką i uwielbiała ostrą jazdę w towarzystwie bardziej śmiałych dam fraucymeru. Nieszczęsnego dnia jej rumak potknął się, galopując wzdłuż brzegu kanału. Imperatorowej nie udało się wyskoczyć z siodła. Koń ją przygniótł. A potem, szarpiąc się, zsunął się do wody z jeźdźcem nieprzytomnym i wciąż zaplątanym w uprząż. Koń i amazonka utonęły, zanim zdołano ich wyciągnąć.

Patriarcha Łaskawy III, Kolegium i Pięć Rodzin Brothe wznosili modły dziękczynne do Boga. Tego lata siły Patriarchy ponosiły porażkę za porażką. Imperator maszerował już na Miasto Ojczyste, kiedy dotarły doń tragiczne wieści.

Ciało Hildegrun spoczywało w grobie zaledwie od kilku miesięcy, gdy Hansel poślubił matkę Hespeth, księżniczkę wdowę Nietzsche.

Księżniczka Terezia była odeń starsza o dziesięć lat. Sojusz dodatkowo wzmocnił pozycję Johannesesa wśród elektorów. Księżniczka wdowa w wieku trzydziestu czterech lat była kobietą obdarzoną znacznymi apetytami cielesnymi. Jej nowy mąż zaspokajał ją w stopniu wystarczającym, by przydarzyły jej się dwa poronienia, powiła syna Willema, który zmarł dwa tygodnie po porodzie, a wreszcie Hespeth. Która nigdy nie poznała matki.

Księżniczka zmarła od gorączki popołożowej trzy dni po narodzinach Hespeth. Spoczęła obok Willema w grobowcu rodzinnym jej pierwszego męża w Wortburgu, w Nietzchau. Przed śmiercią przeniosła wszystkie swe rodzinne tytuły i zobowiązania na Imperatora. Trzeci najpotężniejszy człowiek w chaldarańskim świecie, po brotheńskim Patriarsze i władcy Cesarstwa Wschodu, miał wtedy dwadzieścia siedem lat. Wśród zadań, jakie mu zostawiła, było sprowadzenie infamii na światowe mocarstwo Brothe. Do tego zadania wziął się z talentem i znacznymi sukcesami.

Ale nigdy nawet nie zbliżył się tak bardzo do złamania ziemskiej potęgi Kościoła, jak był w chwili śmierci Hildegryn. Po części dla strat, jakie wówczas poniósł, po części, dlatego, że musiał się zmagać z probrotheńskimi sympatiami własnej szlachty. Przez dziewięć lat po śmierci Terezii nie podjął żadnych bardziej energicznych działań militarnych. Przez ten czas korupcja i zdrada roztrwoniły połowę wcześniejszych zdobyczy.

A potem opończę brotheńskiego Kościoła episkopalnego przywdział uparty nowy Patriarcha, Wzniosły V.

Osiemnaście miesięcy po śmierci drugiej żony Johannes poślubił Margaret z Eathered. Było to małżeństwo dynastyczne zaaranżowane przez ojca Hildegryn. Margaret, postarzała w staropanieństwie córka poprzednika Johannesesa, była kobietą oddaną, której wszak nigdy nie pokochał. Uwielbiała go, wręcz czciła. W małżeństwie wniosła Johannesowi terytoria nadane właśnie Katrin przez Lothara. Ponadto połączyło ono ród Ege z rodziną, z której w przeszłości wywodziła się większość Imperatorów Graala.

Margaret z Eathered nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Podobny los dotknął syna, którego powiła ukochanemu Hansowi. Niemniej Margaret żyła dłużej niż każda z poprzednich żon Johannesesa. Lecz kiedy Lothar miał siedem lat, Imperium nawiedziła zaraza. Zabrała większość starych i słabych. Księżę korony ocalał, ponieważ po pierwszych oznakach plagi został zamknięty w ściśle strzeżonej izolacji.

Kiedy Margaret zmarła, Johannes przysiągł, że więcej się nie ożeni. Od tego czasu zadowalał się dworskimi romansami.

Każde z dzieci Imperatora podobne było do matki pod względem fizycznym i do ojca pod względem zalet intelektu. Katrin wyglądała, jak mogłaby wyglądać Hildegrun, gdyby dożyła dwudziestu trzech lat. Wszyscy utrzymywali, że Hespeth była istnym wcieleniem Terezii z czasów jej młodości. Katrin miała wokół siebie gromadę wujów, którzy pobłazali jej i dalej z miłością i wiernością trwali przy jej ojcu. Dzięki tym pięciu twardym panom wojny oraz rodzinom następnych żon Johanna Komisja Doradcza Nowego Brotheńskiego Imperium nie ośmieliła się zakwestionować darów Lothara dla sióstr.

W jednej kwestii Lothar przegrał. Córkom Johanna nie wolno będzie się odtąd zachowywać tak, jakby były jego synami. Otrzymały wielkie nowe posiadłości. Teraz muszą się do nich udać i zachowywać jak przystało kobietom o ich pozycji, w ich czasach.

Hespeth nie była zadowolona. Ale postanowiła okazać posłuszeństwo.

Wiedziała jednak, że Katrin będzie sprawiać kłopoty.

Frakcja Wielkiego Księcia dysponowała mocnym grotem w swym kołczanie. Małżeństwem.

Lothar nie mógł bez końca odwlekać małżeństwa. Ani własnego, ani swych sióstr. Jego przyrodzonym obowiązkiem było dostarczyć Imperium dziedzica, mimo iż tradycje elekcyjne wciąż pozostawały żywe. A jego siostry...

Małżeństwo stępi im pazurki. Choć nie tracą miejsca w porządku sukcesji, póki Lothar nie spłodzi syna, ich mężowie będą mieli silną legalną władzę nad nimi.

Hespeth skrzywiła się. Prawo i charakter mogą łatwo popaść w konflikt.

Nie znała żadnego mężczyzny, który dysponowałby wolą silniejszą od jej woli.

Nie miała zamiaru wychodzić za mąż, niemniej pewna była, że jeśli zmuszają do tego okoliczności, wybranek pożałuje swych ambicji.

Każdy, kto pojmie za żonę Katrin, będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

Mimo to córki Johanna Czarne Buty były jednymi z największych nagród na małżeńskim rynku całego chaldarańskiego świata, ponieważ każdy następny miesiąc życia Lothara Ege traktowany był jak cud.

Nie wierzono, że Lothar pożyje dość długo, by spłodzić dziedzica.

Helspeth zastanawiała się, czy po tym, co dzisiaj zrobił, życie Muszina nie będzie w niebezpieczeństwie. Wielki książę czasami działał, zanim zdążył się dobrze zastanowić. A jakiegokolwiek działania podjęte przeciwko Lotharowi nie byłyby szczególnie rozważne. Katrin jeszcze mniej przepadała za Hilandle'em niż Lothar. A ona już osiągnęła pełnoletność.

Będzie postrachem dla całej frakcji Wielkiego Księcia. Chyba, że nie uda jej się zapewnić sobie wierności Ferrisa Renfrowa.

Katrin nie lubiła Renfrowa. A Helspeth nie wiedziała, jakimi uczuciami obdarza ją Renfrow. Ferris Renfrow nigdy niczego po sobie nie okazywał.

Czasami Helspeth wydawało się, że Renfrow jest jak Noc – fakt egzystencji. Siła natury. Zjawisko pogody. Zawsze należało go uwzględnić we wszystkich kalkulacjach.

Ferris Renfrow mógł być najpotężniejszym człowiekiem w Imperium Graala. Obecnie nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Helspeth Ege wbijała wzrok w tył głowy Wielkiego Księcia i marzyła o tym, że przygląda się, jak spada ona z karku.

I jak to się często zdarza, obiekt jej gniewu nie ugiął się przed jej wolą.

Pod tym względem wszechświat był niezdolnie uparty.

Imperator oddalił swe siostry z przykazaniem, by natychmiast objęły swe dobra. Przydzielił każdej niewielki oddział Braunsknechtów, straży przybocznej Imperatora. Helspeth podziękowała Bogu za tę drobną przysługę.

Kapitanem jej oddziału będzie z pewnością Algres Strach, znany jej dobrze, od dawna zaufany człowiek jej ojca. Johannes bez chwili wahania potrafił powierzyć Strachowi nie tylko swe życie, ale również specjalne misje pozostające poza zasięgiem zdolności Ferrisa Renfrowa. Strach ponadto znakomicie orientował się w sprawach Plemienzy.

Mimo to Helspeth żałowała, że nie może porozmawiać z Renfrowem. On przywróciłby jej odwagę i wiarę w siebie.

Kiedy wracały do swych apartamentów, Helspeth próbowała porozmawiać z Katrin. Siostra nie chciała niczego powiedzieć. Zmieniła się. Nie była już przyjaciółką.

Katrin się bała.

Jej pozycja sytuowała ją tylko o włos od tronu Imperium Graala. Katrin tkwiła w oku rozwijającego się cyklonu intryg. Wszyscy chcieli nią

manipulować, kontrolować ją. Nikomu nie ufała. Nawet małej siostrzyczce, która pewnego dnia może zapagnie ją zastąpić.

Gdzie, ach, gdzie był Ferris Renfrow, kiedy córki Johannesesa Czarne Buty znalazły się w rozpaczliwej potrzebie?

## 4

# Wiatry rozpaczy

**B**rat Świeca podążał za hrabią Raymone'em z Caron ande Lette aż do Antieux. Hrabia nie dał mu wyboru. Podejrzewał Doskonałego Mistrza. W ogóle podejrzewał maysalczyków, choć sam miał w rodzinie Poszukiwaczy Światła. Hrabia nie był żołnierzem wiary, ale oddanym connekiańskim nacionalistą, który nie miał zamiaru pozwolić obcym niefortunnie wtrącać się w sprawy swej ojczyzny.

Zdecydowanie hrabiego Raymone'a udzieliło się Antieux. Mimo nieszczęść, jakie na miasto sprowadziła procesja kolejnych skorumpowanych brotheńskich biskupów episkopalnych oraz dwie armie najeźdźców, miasto tętniło życiem, prosperowało i hardo patrzyło w oczy losu. Większość zniszczeń, jakie sprowadziło zwycięskie oblężenie, już naprawiono. Katedra wszak pozostawała w stanie, w jakim wyszła z rąk najeźdźców: zrujnowana przez ogień, z tysiącem martwych kobiet, dzieci, starców i niewinnych dusz, pogrzebanych w środku. Hrabia Raymone zadekretował, że katedra będzie pomnikiem martyrologii. „Poświęconym Patriarsze Uzurpatorowi krwią poległych, w których widział swe stadko”.

Ta masakra podkopała losy Kościoła w Connec na najbliższe stulecia. Nikt, kto nie brał w niej udziału, nie wiedział, jak bardzo przerażająco ocalałych. Wypaliła się czernią na ich emocjonalnym kościecu. A na hrabim Raymone'em jeszcze bardziej, ponieważ nie udało mu się jej zapobiec.

Na całym obszarze Skraju Connec cieszył się ogromnym poparciem.

Książę Tormond nie zdołał pojąć, jak bardzo szerniały serca mieszkańców Antieux.

Brat Świeca powiedział:

– Znam Tormonda od czasów, gdy byliśmy chłopcami. To nie jest zły człowiek. Chce dobrze. Po prostu nie ma dostatecznie mocnego kontaktu z rzeczywistością życia codziennego. Mimo codziennych okazji i zastępu doradców. – Podczas wizyt w Khaurene brat Świeca wcielał się w taką właśnie rolę.

Hrabia Raymone odwarknął:

– Jest głupcem. Być może życzy światu tak dobrze jak sam Aaron z Chaldaru, ale jest ślepy głupcem.

Przesłanką do dyskusji na temat zdolności umysłowych księcia stał się list nakazujący hrabiemu Raymone'owi natychmiastowe stawiennictwo przed Tormondem i wyjaśnienie swego zachowania. Od Wzniosłego V i biskupa Marcanta Farfoga ze Strandu docierały skargi.

Brat Świeca nie miał ochoty się kłócić.

– Czasami Tormond faktycznie zachowuje się, jakby miał na oczach zaczarowane okulary.

– Też tak sądzę. Nie jadę. Jeśli chce mnie widzieć, niech wyśle Dunna, który mnie aresztuje. – Sir Eardale Dunn był głównodowodzącym sił zbrojnych księcia, uciekinierem z Santerinu, który nie wrócił do ojczyzny, mimo iż umożliwiła mu to ostatnia zmiana w równowadze sił. – Zostaję na miejscu.

– Pewien jesteś, że tego chcesz? – Bratu Świecy chodziło o sprzeciwianie się woli księcia.

Hrabia Raymone odpowiedział na inne pytanie.

– Masz rację. Powiniennem znów ruszyć w pole. Mój szpieg w Salpeno twierdzi, że Anne z Menand zaczęła gromadzić siły do kolejnej inwazji. Dotąd nie zdobyła sobie znacniejszego poparcia. Na razie. Ze względu na zamieszanie w Salpeno, Santerin wysuwa swe roszczenia do wszystkich tamtejszych marchii. Zbyt wiele szlachty ma na głowie obronę własnych zamków i miast, żeby myśleć o kradzieży naszych.

Brat Świeca pokiwał głową. Ostatniej wiosny odwiedził Arnhand. I uszedł cało tylko dlatego, że miejscowi Poszukiwacze ostrzegali go za każdym razem, gdy Kościół wysyłał ludzi, żeby go aresztowali.

– Prawda. I wciąż wysyłają swoich trzecich i czwartych synów, jak też zbyt wielkie bogactwa, do państw krzyżowców w Ziemi Świętej.

Krzyżowcy minionych epok wykroili sobie z Ziemi Świętej pół tuzina małych królestw i księstw. Aby przetrwać, wciąż potrzebowali więcej ludzi

i pieniędzy. Ich państwa nie były naturalnymi jednostkami politycznymi, znajdowały się, więc pod ciągłą presją ze strony sąsiednich pramańskich kaifatów.

W Arnhandzie krucjaty traktowane były jak powinność religijna. W pozostałych państwach zachodu książęta i szlachta próbowali dopełnić posłannictwa zbrojnej pielgrzymki w Ziemi Świętej przynajmniej raz w życiu, ale Arnhandowie często udawali się na nią bez zamiaru powrotu.

– Musisz myśleć bardziej długofalowo, młody człowieku. – Brat Świeca był stary i poważany. Możliwość wypowiedzenia się mógł sobie zagwarantować zawsze. Prawdziwym wyzwaniem było zmuszenie hrabiego Raymone’a do słuchania. – Musisz wziąć pod uwagę konsekwencje, jakie twoje decyzje mogą spowodować na Antieux, zarówno jutro, jak i w odległej przyszłości. Na razie zabawmy się w eksperyment myślowy: przedstaw mi niektóre możliwe konsekwencje tego, że nie chcesz się spotkać z księciem.

Pytanie jakimś sposobem dało hrabiemu do myślenia. Zaczęło rozpraszać chmury myślenia życzeniowego.

Brat Świeca ciągnął:

– Przypuśćmy, że Anne z Menandu zgromadzi kolejną bandę awanturników i nieszczęśliwym przypadkiem tym razem dobierze sobie kompetentnego dowódcę. Niewykluczone, że kogoś wyszkolonego na bezwzględnych polach bitewnych Ziemi Świętej. Przypuśćmy, że Antieux jest oblegane, a ten dowódca jest na tyle bystry, by oczekiwać poważniejszego oporu.

– Dość! Wiem, o co ci chodzi, starcze. Jeżeli teraz sprzeciwię się księciu, on może mi odmówić później pomocy. – To nie byłby precedens. Wszystkie prawa i zobowiązania feudalne działały w obie strony. – Zakładając, że mamy tu do czynienia z sytuacją, w której gotów byłby coś rzeczywiście przedsięwziąć. Chyba się starzeję. – Hrabia Raymone miał trzydzieści lat. – Muszę przyznać, że prawdopodobnie masz rację.

Kiedy brat Świeca wyszedł, hrabia Raymone posłał po rodzinę Raultów. Ich również zawłókł ze sobą do Antieux. Brat Świeca podejrzewał, że Socia wpadła mu w oko.

Nazwisko Brocka Raulta zostało uwzględnione w wezwaniu księcia.

– Tu was opuszczę – poinformował brat Świeca swoich towarzyszy podróży.



Hrabia Raymone zmarszczył czoło, jak zawsze podejrzliwie usposobiony. Doskonały obawiał się, że pesymistyczny światopogląd hrabiego zaczyna powoli wydawać owoce.

Brock Rault uśmiechnął się. Przepełniało go podniecenie. To była jego pierwsza wizyta w Khaurene.

– Zobaczymy się na zamku, bracie. – Potem jego twarz również zasnuł cień. Często dowodził, że Raymone Garete ma wszelkie powody, by być podejrzliwym. Jego miasto zostało zaatakowane. Więcej niż raz. On sam został zaatakowany. Kościół brotheński wciąż słał księży, by judzili na terenach jego posiadłości. Wieszanie ich nie odstraszało następnych. I nieraz przyłapał ludzi ze swojego najbliższego otoczenia na spiskowaniu z agentami Wzniosłego.

Brat Świeca przyglądał się chwilę, jak kolumna zagłębia się w miasto, kierując ku Metrelieux, zamkowi książąt Khaurene, po czym udał się do domu Rauleta Archimbaulta, przywódcy khaureńskiej społeczności Poszukiwaczy. Nim dotarł na miejsce, poczuł łzy napływające do oczu. Wszędzie wokół znajdowały się garbarnie. W społeczności garbarzy Archimbault też był kimś w rodzaju przywódcy.

Do domu wpuściła go córka garbarza, Kedle.

– Muszę stwierdzić, że urosłaś, dziecko.

Zarumieniła się, spuściła oczy. Pamiętał ją jako osóbkę śmielszą, gotową bronić swego zdania na zgromadzeniach Poszukiwaczy Światła.

– Nie chciałem cię zawstydząć.

Nie rozumiał, że w oczach Kedle jest półbogiem. Doskonałych było niewielu, nawet tutaj, w mateczniku herezji maysalskiej. We własnych oczach brat Świeca był tylko wędrownym nauczycielem.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie.

– Nie miałem jak was zawiadomić.

– Zawsze jesteś mile widziany, Mistrzu.

– Bracie Świeco. Jestem po prostu brat Świeca. Albo Nauczyciel, jeśli już mnie musisz tytułować. Aha. Wyczuwam jakieś „ale”. Jesteś w domu, zamiast w warsztacie. Spodziewałem się tu raczej twego młodszego brata. Przecież nie może jeszcze pracować. Nieprawdaż?

– Tak, może. Ja nie pracuję, ponieważ trwają przygotowania do ślubu.

– Czyjego ślubu?

– Mojego.

– Ale masz dopiero... Cóż.

– Czas mija, Nauczycielu.

Dzieciak zawsze miał filozoficzne skłonności.

– Najwyraźniej szybciej, kiedy nie ma cię w okolicy i nie masz go na oku.

– Proszę wejść, Mistrzu. Coś zorganizujemy.

W herezji maysalskiej przechowało się pojęcie wspólnotowej odpowiedzialności, o której zapomniał brotheński Kościół episkopalny. Ta sama filozofia ożywiła nauki Założycieli, ale później zaczęła zanikać, w miarę jak wyznanie chaldarańskie starzało się i w coraz większym stopniu hierarchizowało, naśladowując otaczającą je kulturę. Kiedy upadło Stare Imperium Brothe, Kościół przejął większość imperialnych pałaców, stanowisk i pułapek. Duch Starego Imperium wciąż żył – wewnątrz kościelnej biurokracji.

Ślub Kedle odbył się o wyznaczonym czasie. Poproszony o przemowę brat Świeca powiedział parę słów na temat optymizmu, czujności duchowej i tolerancji. Po wszystkim zaaranżował swój nocleg, który miał wyglądać tak, że spędzi po jednej nocy u kilku kolejnych rodzin Poszukiwaczy. Nie chciał przysparzać dodatkowych kłopotów Archimbaultom. Maysalczycy z Khaurene chętnie konkurowali ze sobą o wyróżnienie, z jakim wiązało się goszczenie go u siebie.

Dni mijały. Z Metrelieux nie docierały żadne wieści.

Wieczne spotkania odbywały się w domu Archimbaultów. Tylko oni mieli pokoje zdolne pomieścić wszystkich chętnych, by zobaczyć Doskonałego Mistrza.

Po dziesięciu minutach pierwszego spotkania brat Świeca zrozumiał, że wspólnota maysalska w Khaurene zmieniła się bardzo.

Ludzie się bali. Nikt nie pokładał ufności w przyszłości.

Maysalczycy nie powinni bać się jutra. Jutro i tak nadejdzie. Nie na potrzeby się go lękać, jakkolwiek okrutne miałyby się okazać.

– Co się stało? – zapytał brat Świeca. – Czy wszyscy straciliście wiarę?

Tam, gdzie starsi nie potrafili niczego wyjaśnić, wkroczyła Kedle Archimbault.

– Źródłem kłopotów jest książę, Mistrzu.

– Bracie – sprostował machinalnie.

– Książę jest stary. I zmęczony. I słaby. Nie robi nic, by powstrzymać upadek Connec. Jego rozkazy rzadko mają sens, a niejednokrotnie tylko

pogarszają stan spraw. Zresztą poza Khaurene nikt i tak nie wraca na nie uwagi. Wiadomo, że siłą nie narzuci swej woli.

Podobne skargi docierały z wielu stron. Pomniejsza szlachta nie bała się już swego księcia, nie pokładała też większej wiary w jego ochronie.

Raulet Archimbault znalazł w końcu język w ustach.

– Tak to tylko wygląda z wierzchu, Mistrzu. Do tego dochodzi niepewność wywołana złym stanem zdrowia księcia i brakiem wyznaczonego następcy.

To była kwestia zasadnicza. Brat Świeca wierzył, że sukcesję obejmie po księciu siostra.

Nie miało znaczenia, jaką się wyznaje religię, z jakiej pochodzi klasy. Śmierć Tormonda IV wywrze na wszystkich wielki wpływ. Ponieważ ktoś go zastąpi. I poglądy religijne tego kogoś będą miały znaczenie decydujące. Z każdym dniem walka o rząd dusz w Connec stawała się coraz bardziej zażarta.

– Gangi włóczą się po ulicach – powiedziała Amis Hainteau. – To brotheńscy episkopalni, podburzani przez mnichów z Towarzystwa na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji. Książę nie robi nic. Chaldaranie zaprzysięgli Viscesment przewyższają liczebnie brotheńskich zbirów, ale rzadko odpłacają im pięknym za nadobne. Gangi atakują głównie Poszukiwaczy. I devów oraz dainschauów, jeśli któryś wpadnie im w ręce.

– W ostatnim miesiącu spłądowali pramański kościół – wtrąciła Kedle. – Jedyne w Khaurene. Próbowali go spalić. Zginęło dwudziestu dwóch ludzi.

Jej matka siedząca z ramionami zaplecionymi na piersiach, powiedziała:

– A książę nic nie zrobił. Znowu. Zignorował całe wydarzenie.

Brat Świeca był przerażony. Jak sytuacja mogła tak szybko aż tak się zmienić?

– Jeszcze dwa okropieństwa, a wybuchnie wojna domowa – rzekł Archimbault.

Ktoś wspomniał o morderstwach na księżach. Mordercy wybierali na swe ofiary księży sprzyjających Wzniosłemu lub czyniących jego dzieło.

Ktoś inny zauważył:

– Wojna jest nieunikniona. Brotheńczycy uwzięli się, żeby do niej doprowadzić.

Brat Świeca był pewny, że głos ten wyraża powszechne przekonanie.

– Wkrótce zobaczę się z księciem Tormondem. Zaapeluję do jego sumienia. – Jednak sam nie miał wielkich nadziei. Człowiek wydawał się ślepy na cały świat, uwięziony w pułapce pomysłów snutych z motka myślenia życzeniowego.

Agenci Kościoła brotheńskiego szerzyli chaos? Dlaczego? W Khaurene stanowili mniejszość. Jak również w całym Skraju Connec. Pograniczni hrabiowie, których wiara zbliżała bardziej do Wzniosłego niż Niepokalanego, już uciekli do Navai, santerińskiego księstwa Tramaine czy do Arnhandu. Wpływy Navai wciąż rosły na całym wybrzeżu terliagańskim. Król Piotr nie dopuszczał do niepokojów na swych ziemiach. Ludzie przede wszystkim pragnęli porządku.

– Życzymy ci wszelkiej łaski i pomyślnego losu, Mistrzu – powiedział Archimbault. – Ale będziemy się przygotowywać na najgorsze.

– Milias, syn mojej kuzynki Lettie, jest służącym w Metrelieux. Przez cały czas widuje księcia – oznajmiła pani Archimbault. – Uważa, że Tormond jest otępiąły. Jak to się zdarza starszym ludziom.

Amis Hainteau zauważyła:

– To nie łotrostwa brotheńskich episkopalnych mnie martwią ani apatia księcia. Boję się Nocy.

– Dalsze złe wieści? – zapytał brat Świeca.

Raulet Archimbault pokiwał głową.

– Noc zaczyna się burzyć. Zaczęło się od zwykłych psot. Potem przyszło zło. A teraz niebezpiecznie jest wyjść na dwór po zmierzchu.

– Ludzie giną. – Z tonu głosu Kedle można by wnosić, że po każdym zmierzchu świat zmienia się w prawdziwą jatkę.

– Dwóch – sprostował jej ojciec. – Winą obarczono Noc, ponieważ nie było żadnych innych wyjaśnień.

– Tylko dwóch – przyznała Kedle. – Ale zbrodnie były okropne. Ciało rozszarpane na strzępy. Brakowało członków.

Ponure. Ale przecież i zwykli, mali ludzie – handlarze, rzemieślnicy, sklepikarze – zdolni byli do takiego zła. Za wieloma uśmiechniętymi oczyma mieszkają potwory. Całkiem możliwe, że chodzi o tych agentów Towarzystwa na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji.

– Dowiem się, co się w tej sprawie robi – obiecał brat Świeca.

– Nic się nie robi! – jęknął ktoś. W ślad za nim poszedł szmer gniewnych pomruków.

– Może i tak – odparł brat Świeca. – Ale Tormond i ja znamy się od dzieciństwa. Czasami słucha moich słów, nawet, kiedy puszcza mimo uszu wszystkie pozostałe.

Natychmiast wzniesiono modły za powodzenie jego misji.

Metrelieux, dom książąt Khaurene, wznosił się na wzgórzu spoglądającym na szeroki zakręt rzeki Vierses. Podczas ostatnich trzech z górą lat brat Świeca wielokrotnie przekraczał jego bramy. Za każdym razem wydawało mu się, że forteca jest coraz bliższa poddania się nieodpartemu urokowi grawitacji. Starych wrót już nie zawierano. Wartę pełniło przed nimi tych samych paru wartowników, z każdym dniem coraz mniej zdolnych do przeszkodzenia komukolwiek w naruszeniu suwerenności terytorialnej fortecy. Nikt nie wyszedł na jego spotkanie. Sam znalazł drogę do prywatnej komnaty audiencyjnej, gdzie przekonał się, że oczekujących jest, co najmniej kilkunastu.

Hrabia Raymone zapytał:

– Przyjrzałeś się murom obronnym, bracie? Zaraza wgryzła się już chyba w sam kamień.

Wewnątrz działanie zęba czasu jeszcze bardziej rzucało się w oczy.

Dla Raultów była to pierwsza wizyta. Widzieli tylko wszechogarniającą starość. Socia Rault była zła i poirytowana. Zarówno jej bracia, jak i hrabia Raymone napominali ją zdecydowanie, że ma trzymać język za zębami. Hrabiemu przyszło już od kilku dni cieszyć się towarzystwem Socii i na własnej skórze poznać ostre pazurki jej sarkazmu.

Była zbyt młoda, by przejmować się ewentualnymi konsekwencjami.

Brat Świeca podejrzewał, że hrabia Raymone zainteresował się Socia po części dlatego, że jasno orzekła, iż nie da się jej zdobyć pochlebstwem i romantycznymi balladami.

Hrabia był dobrym lutnistą i śpiewał niezłym barytonem. Jak na poetę i kompozytora, był z niego wybitny żołnierz i przeciętny administrator. Mimo to próbował zdobyć jej względy, wykazując się w tej sprawie taką samą zapalczywą determinacją, jaką okazał w trakcie rozprawy z Haidenem Backiem, jak też tymi Arnhandami, których zarżnął podczas Masakry pod Czarną Górą.

Socia doceniała jego wysiłki. Rozumiała, na czym polega determinacja. Sama była osobą zdeterminowaną. Albo po prostu upartą jak osioł, jeśli zapytać jej braci.

Brat Świeca prowadził niezobowiązujące rozmowy i przez pół godziny przyglądał się towarzystwu, póki wreszcie nie pojawił się główny herold Tormonda, Bicot Hodier, skonfundowany wielce.

– Proszę o wybaczenie, Mistrzu. Nie sądziłem, że przybędziesz na czas. Proszę ze mną.

Hodier poprowadził brata Świecę do małego, zimnego salonu, gdzie nie było żadnego godnego tego miana umeblowania i żadnych przygotowanych wcześniej napojów. Wnętrze było nieprzyjemne i opuszczone, zupełnie jak cela anachorety, z którą je natychmiast skojarzył. Na chłodnych ścianach zbierała się wilgoć, a potem spływała do kałuż na posadzce. Było zbyt zimno, żeby ściany porosła pleśń.

Czekał godzinę, przechadzając się po pomieszczeniu i zasadniczo unikając zasiadania na kamiennej ławie. Drżał. Jego cierpliwość powoli się wyczerpywała, co stanowiło objaw słabości, jakiej nie uległ ani razu od czasu wyniesienia do statusu Doskonałego.

– Tobie też to dojadło, bracie?

Odwrócił się i skinął potakująco głową, choć nie miał pewności, do czego się owo „to” odnosi.

– Sir Eardale? – Wymawiał to nazwisko „Ee-aar-da-lej”, co brzmiało bardziej po santerińsku, niż wychodziło większości.

– Tak. A ty z pewnością chcesz się dowiedzieć, dlaczego ja i dlaczego to wszystko.

Brat Świeca znowu zaryzykował skinienie głową. Nie spodziewał się tu zastać sir Eardale’a. Dunn był pierwszym żołnierzem i doradcą wojskowym Tormonda. Doskonały Mistrz zastanawiał się, dlaczego tamten nie wrócił do Santerinu. Musiało mu się podobać tutejsze życie, mimo skłonności księcia Tormonda do ignorowania wysłuchiwanego odeń rad.

Sir Eardale powiedział:

– To pomieszczenie zabezpieczone jest przed czarami. Kamień pochodzi z Ziemi Świętej, wydobyty został w miejscu położonym blisko Studni Mocy. Czekałeś tak długo, ponieważ chciałem się upewnić, że nikt mnie nie zobaczy.

– Rozumiem. – Choć nie rozumiał.

– Nie, nie rozumiesz. Jeszcze nie. Ale wytłumaczę.

– Proszę.

– Dzieje się tutaj coś bardzo złego. Książę nie jest sobą. Wiem, to nic nowego. Ale ostatnio stan jego się pogorszył. To jak niszcząca choroba ducha.

– Nie jest już pierwszej młodości. – Tormond był parę tygodni starszy od brata Świecy.

– Rzecz jasna, tego rodzaju problemy też ma. A dodatkowo komplikuje je jego dieta. Tylko mięso i wino. Niemniej chodzi o coś jeszcze. Coś, co nie pozwala mu skutecznie działać.

– Czy ktoś nowy wprowadził się do Metrelieux? – Zgromadziwszy świadectwa, brat Świeca zaczął podejrzewać złośliwe czary. Ale czyje?

– Nikt znaczący. Zawsze są zmiany wśród służby i paziów. Żadne z nich nie jest podejrzane. To ktoś, kogo znamy. Ktoś, kto był tu od dawna. Kto ostatnio odkrył w sobie nowe talenty. Albo nowe powołanie.

– Hm. A powodem tej potajemnej rozmowy jest, co?

– To, że masz pozycję, cieszysz się szacunkiem i nie byłeś tu od tak dawna, że nie możesz być częścią żadnej frakcji. Jesteś neutralny. Obchodzi cię los księcia i los Skraju Connec. Możesz dostrzec coś, czego reszta z nas nie zauważa.

– Rozumiem. – Prawdopodobnie rozumiał znacznie więcej, niż sir Eardale podejrzewał.

Rycerz z Santerinu nie mógł być jedynym, który doszedł do takich wniosków. Każdy, kto nie był winny, z pewnością obserwował pozostałych w nadziei, że to on wskaże niegodziwca. Z pewnością paranoja rządziła tu niepodzielnie.

– Nieściśle się wyraziłem – powiedział Dunn. – Jest jedna nowa twarz. Ojciec Rinpoche, reprezentujący naszych przyjaciół w Salpeno.

– Ten idiota? Myślałem, że nie żyje.

– Nieszczęśliwie się składa, ale nie. A może szczęśliwie. Jest zbyt głupi i zaślepiiony, żeby stanowić realne zagrożenie.

– Dlaczego jego właśnie wysłali? Ze wszystkich ludzi?

– Jest faworytem Anne z Menandu. A ostatnio Anne zyskała wielkie znaczenie. I bardzo się zaprzyjaźniła z Kościołem brotheńskim.

– Zawsze była z nimi w dobrych stosunkach.

Kochanka króla Arnhandu Charlve'a razu pewnego wystawiła własny oddział krzyżowców, który miał skarcić Connec z ramienia Kościoła.

Oddział rozpadł się, zanim zdążył cokolwiek zdziałać, ale to nie była wina Anne.

– Teraz jest w jeszcze lepszych. Słyszałem, że kupiła listy kaperskie, które należały do Haidena Backe’a. Od biskupa Farfoga, któremu udało się je uratować, gdy uciekał przed hrabią Raymone’em. Tak na marginesie, biskup jest teraz głównym agentem brotheńskiego Patriarchy w wysiłkach Kościoła mających na celu podporządkowanie Connec.

Wzniosły chyba rzucał do Connec swych najgłupszych i najbardziej skorumpowanych przedstawicieli.

Dunn dodał:

– Nie sędzę, aby Rinpoche występował tu jako prawdziwy ambasador. Tak naprawdę jest szpiegiem i wypatruje naszych słabych stron. Szuka kolaborantów. I prawdopodobnie nie idzie mu z tym najlepiej. Jest zbyt głupi.

Brat Świeca nie był tego taki pewny. Rinpoche mógł być bystrym człowiekiem, który udawał głupca.

Doskonały kiwał głową, jakby wszystko na tym świecie było doskonale jasne.

– Czy macie jakieś pojęcie, co się dzieje za murami Metrelieux?

Sir Eardale westchnął.

– Nie, bracie. Większość z nas nie ma żadnego pojęcia. Większość z nas najwyraźniej nie chce nic wiedzieć. Poza tym nic ich to nie obchodzi. – Na moment zawiesił głos. Kiedy brat Świeca się nie odezwał, kontynuował: – Zdaję sobie sprawę z szerzącego się chaosu. Ale bez wątplenia nie mam pojęcia o jego rozmiarach.

– Szerzący się chaos to określenie nazbyt eufemistyczne, panie. Wszystko się rozpada. Tak szybko, że aż się w głowie kręci. Jeżeli oddalisz się na ponad dwadzieścia mil od Khaurene, z łatwością możesz trafić w sam środek lokalnej wojny albo paść ofiarą rozbójników. Połowa hrabiów i rycerzy na tych ziemiach, zwłaszcza zaś na północy i zachodzie, aktywnie wadzi się ze sobą. Połowa z nich nie potrafi wyjaśnić, dlaczego. Czują, że jest to po prostu coś, co muszą robić. Sprawa honoru. Obawiam się, że gdyby nie hrabia Raymone i kilku takich jak on, przed końcem następnego roku nastąpiłby koniec.

– Nie sądziłem, że jest aż tak źle. Że już jest tak źle. Myślałem, że mamy jeszcze trochę czasu.



– Czas się skończył. Książę zbyt dużo go zmarnował.  
– Tormond jest opętany stanem swej duszy, kiedy zachowuje się bodaj odrobinę racjonalnie.  
– Podczas gdy cały południowy zachód i wybrzeże terliagańskie ucieka pod opiekę Piotra z Navai.

– To nie jest z ich strony takie głupie, nie?

Brat Świeca zmarszczył brwi.

– Staram się być racjonalny, nie nielojalny. Rozumiem, co się dzieje. Niestety, wiele nie mogę zdziałać. Mogę słać listy do tego czy innego szlachcica, w których zakazuję mu palić kukurydzą sąsiada, ale oni nie słuchają. Nie mam zębów. Wiedzą, że mogą sobie dalej zarzynać owce. Jedyną siłą zdolną ich przed tym powstrzymać jest właściciel owiec. A może same owce, kiedy im się odechce. Nie mogę zaciągać wojska. Nie mogę wysłać książęcych wojsk. Jedyną odpowiedzią na siłę jest większa siła. Wszyscy powinni się zebrać razem i zadziałać, kiedy ktoś się niewłaściwie zachowuje. A więc nie mogę winić ludzi, że zmieniają suwerena, udając się do Piotra czy nawet Charlve'a, jeśli tylko to jest w stanie uratować ich przed anarchią.

Brat Świeca powiedział:

– Oczywiście. Na tym jednym poziomie. Mówiąc ściśle.

– Martwię się wszakże tymi wszystkimi najemnikami, którzy zmierzają do... – Dunn umilkł, przechylił głowę, przyłożył palec wskazujący do ust. Podszedł do drzwi, po drodze robiąc kilka gestów, z których brat Świeca miał wnosić, że ktoś ich podsłuchuje.

Potem Dunn zrobił przedstawienie polegające na wyciągnięciu krótkiego miecza, który symbolizował zarówno jego pozycję, jak i zaufanie, jakie książę w nim pokładał. Odgłos wyciąganej broni odbił się echem od gołych ścian pomieszczenia.

Na zewnątrz rozległy się pośpieszne kroki.

Dunn powiedział:

– Zbyt długo już tu jestem. Znajdziesz drogę do prywatnej sali audiencyjnej? Bicot Hodier tam cię znajdzie. Pokaże ci twoje pokoje.

– Pokoje? Zatrzymałem się w mieście.

– Nie. Książę chce, żebyś zamieszkał na zamku. Ale dziś nie jest w stanie się z tobą zobaczyć. Może jutro. – Dunn wystawił głowę za drzwi. Zapewne nie zobaczył nikogo, ponieważ zaraz wyszedł. Szybkim krokiem.

Towarzystwo brata Świecy oczekiwało go na próżno jeszcze przez kilka dni. Nigdy dotąd Doskonały nie spędził tyle czasu w zamku.

Metrelieux było przybytkiem charakterystycznym dla swych czasów i typu. Ogromne, źle umeblowane i zimne. Zimne nawet o tej porze roku. Nawet w tym klimacie.

Ostatniej zimy spadł pierwszy prawdziwy śnieg za ludzkiej pamięci. Śnieg, który spadł i pozostał na ziemi, nie zaś przypadkowa garść płatków znikająca wraz z porannym słońcem.

Wiosna się spóźniała.

W końcu nadeszło wezwanie przed oblicze pana.

Tormond IV, Wielki Książę Khaurene, książę Sheavenalle, hrabia Flor i Welb etc wyglądał, jakby miał za sobą bezsenność i jeszcze nie wziął się w garść. Postarzał się widocznie. Stracił mnóstwo włosów i to na pozór zupełnie bez ładu i składu. Broda mu całkiem posiwiiała, spod niej również ziały gołe placki. Szare oczy, niegdyś stalowe w wyrazie i przenikliwe niczym śmierć, były zapadnięte, mętne. Wyglądał, jakby nie wiedział, gdzie i kiedy się znajduje ani co tu robi.

Niemniej rozpoznał brata Świecę:

– Charde! Charde ande Clairs. Witam. W końcu pierwsza przyjazna twarz wśród tych wszystkich rozwrzeszczanych srok.

– Teraz jestem brat Świeca, wasza lordowska mość. Ale też się cieszę, że znów cię widzę.

Książę otoczył prawą ręką ramiona brata Świecy i niezauważalnie dla otoczenia wsparł się na nim. Tormond był wysoki i chudy. Zupełnie białe resztki włosów na jego głowie sterczały dziko na wszystkie strony. Ubiór też był zaniedbany. Niezmieniany od dawna. Przód koszuli zdobiły wspomnienia po kilku posiłkach.

Tormond mruknął:

– Pomóż mi, Charde. Nie zniosę tego dłużej.

– Wasza książęca mość?

– Wydaje mi się, że tracę zmysły. Czuję się, jakby w mojej głowie mieszkał więcej niż jeden człowiek. I żaden z nich nie radził sobie z byciem księciem.

– Jesteś wobec siebie niesprawiedliwy. Dokonałeś wspaniałych rzeczy.

– Wspaniałe rzeczy – powiedział książę Tormond i westchnął. – Wspaniałe rzeczy, Charde. Wiesz, że nazywają mnie Wielkim

Niezdecydowanym?

Całe Connec wiedziało. Wiedziały nawet małe dzieci, choć nikt nie nazwałby go tak w jego obecności. W swoich najlepszych chwilach Tormond IV tak długo się zastanawiał, że zazwyczaj kryzys rozwiązywał się sam.

– Słyszałem. Nie powinieneś się tym przejmować. – Brat Świeca rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt szczególnie nie interesuje się ich rozmową.

Wyraźnie wszyscy się interesowali.

Książę wykonał słaby gest dłonią. Paziowie zaczęli sadzać gości za stołem. Tormond poprosił brata Świecę, aby zajął miejsce obok niego, zazwyczaj przypadające jego siostrze podczas jej wizyt w Khaurene. Znacznie młodsza od Tormonda, przebywała obecnie w odosobnieniu w dalekiej Oranji, gdzie miała powić dziedzica królowi Piotrowi. Jeżeli już się to nie stało.

Wieści wędrowały wolno. Chyba, że były to złe wieści. Wówczas dostawały skrzydeł.

Służba przyniosła kawę, rzadki smakołyk. Nikt nie odmówił. Brat Świeca uśmiechał się do wnętrza swej filiżanki, obserwując, jak Socia i Thurm Rault celebrują pierwsze w życiu spotkanie z ciemnym napojem.

Po kawie książę jakby doszedł do siebie, zdawał się bardziej ożywiony i bardziej sobą.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Hrabio Raymone. Seuir Brock. Bracie Świeco. Przyjmijcie moje przeprosiny, że kazałem wam tak długo czekać. Nie wiedziałem, że goście na moim dworze.

Naprawdę? To już bardzo dziwne.

Towarzystwo było właściwie takie samo jak skład rady, którą książę zazwyczaj zwoływał. Więc najpierw: sir Eardale, który wydawał się równie zmęczony jak książę. Dalej: Michael Carhart, słynny devediański teolog. Biskup Clayto, przełożony brotheńskiego Kościoła episkopalnego w Khaurene. Przyjaciel brata Świecy, biskup LeCroes, którego lojalność religijna spoczywała w Viscement. A i tak zapewne LeCroes w większym stopniu cenił Wzniosłego niż Clayta, który brotheński Patriarchat traktował z otwartą pogardą.

Tember Sirht zajął miejsce swego ojca, Tembera Remaka, w charakterze rzecznika dainschauów. Hanak el-Mira reprezentował niewielką

connekiąską populację ocalałych praman, żyjących na wybrzeżu terliagańskim. Brat Świeca pamiętał go z krucjaty calzirskiej. Terliagańscy procarze stanowili wówczas istotną siłę kontyngentu connekiąskiego.

El-Mira był młody, ale wywodził się z dumnego i starego rodu. Dopiero od niedawna jego lud korzystał ze strumienia connekiąskiej cywilizacji. Dokładnie od momentu małżeństwa Isabeth z Piotrem z Navai. Choć Piotr nieugięcie realizował swoje zamiary podboju pramańskiej Direcji, zdołał po drodze zdobyć sobie wśród praman licznych przyjaciół i sprzymierzeńców. Nie niszczył ich religijnych przybytków, nie narzucał własnych przekonań, zadowolając się cierpliwym oczekiwaniem na czas, gdy wyższość chaldarańskiej wizji świata odeśle fałszywe religie do lamusa historii. Największymi sprzymierzeńcami Piotra byli pramanie z Platadury, kupieckiego miasta-państwa. Floty Platadury nieustannie, zażarcie, a czasami nawet ze skutkami śmiertelnymi konkurowały ze statkami firaldiańskich republik kupieckich: Aparionu, Dateonu i Sonsy.

Hanakowi el-Mirze towarzyszył jakiś nieznanemu bratu Świecy pramanin. Doszedł do wniosku, że ubiór wskazuje na Plataduranina. Nikt go nie przedstawił. Jak na niego, księżę Tormond był najwyraźniej w popędliwym nastroju.

Na sali był obecny także Arnhandczyk, ojciec Rinpoche, zepchnięty pod ścianę, sam, unikany. Wydawał się przerażony, nieszczęśliwy, samotny i zupełnie nie w swoim żywiole. Bratu Świecy skojarzył się z lutnią o jednej tylko strunie. Pojedyncza struna – to był adekwatny symbol jego ograniczonego intelektu.

Brat Świeca skupił uwagę na osobie Tormonda. Księżę wyraźnie walczył o odzyskanie panowania nad sobą.

Jakby miał w głowie więcej niż jednego człowieka, tak powiedział.

Czy to możliwe, aby przyczyną problemów Tormonda faktycznie nie był on sam? Utrata włosów, wyraźne kłopoty z koncentracją oraz dziwna barwa skóry sugerowały truciznę. Albo jakieś naprawdę paskudne czary.

Ale kto? Jeżeli sir Eardale miał rację, ktoś stąd, ktoś z obecnych. Ktoś, kto w księciu widział przeszkodę, a nie wroga. Księżę Tormond nie miał wrogów. Ponieważ nic nie robił, nikogo nie mógł do siebie zrazić. Przynajmniej tak bardzo, by ten kręcił się wokół niego, sącząc ciemną posokę w jego wino i owsiankę.

Anne z Menandu była w stanie tak nagiąć swe sumienie, by spokojnie zlecić zabójstwo. Ale ktoś musiałby za nią wykonać brudną robotę.

Brat Świeca przyglądał się biskupowi Clayto. Nie tak dawno był on jeszcze ojcem Clayto, zesłanym do najgorszej parafii w Khaurenę za to, że nie umiał trzymać języka na wodzy i publicznie krytykował postępowanie Wzniosłego. Teraz był biskupem i najwyraźniej już dobrze pachniał nosom w Brothe w czasach, gdy brotheńska episkopalna diecezja przypadała wyłącznie najgorszym kanaliom.

W odpowiedzi na jego badawcze spojrzenie Clayto uniósł brew.

Może nie. Razem pełnili posługę kapłańską w trakcie krucjaty calzirskiej. Ojciec Clayto przeżywał pewien kryzys wiary, ale brat Świeca nie dostrzegł u niego śladu moralnej elastyczności, która mogłaby usprawiedliwić wielką niegodziwość.

Mimo to zrobili go biskupem.

– Zacznijmy – powiedział książę. Wykonał gest w stronę brata Świecy, potem hrabiego Raymone’a, wreszcie connekiańskich szlachciców, którzy snuli się pod ścianami, czekając na sposobność przedstawienia skarg. Włączywszy paziów i służbę, ponad pięćdziesiąt osób wstrzymało dech w piersiach.

Brat Świeca wciąż patrzył po zebranych. Zgromadzeni tu dzisiaj ludzie zdecydują o przyszłości Connec. Albo pozwolą, by spotkała je zagłada. Nadszedł czas, by Wielki Niezdecydowany, mimo swego kunktatorstwa, wreszcie wywiązał się ze swego powołania.

Brat Świeca niespodzianie dla samego siebie roześmiał się.

Mimo otaczającej go sieci intryg Tormondowi udało się zaaranżować tę sytuację. Być może nawet wbrew staraniom złośliwych szpiegów z szeregów Delegatur Nocy.

Książę rzekł:

– Seuir Brock Rault. Opowiedz nam, co zdarzyło się w Caron ande Lette.

Jakby szukając u nich wsparcia, młodzieniec zerknął na hrabiego Raymone’a, potem na swe rodzeństwo, wreszcie na brata Świecę, w końcu zdusił w sobie treść i przemówił.

– Dobry raport – szepnął brat Świeca, kiedy Rault skończył. – Tak właśnie było.

Książę Tormond skinął głową skoncentrowany; najwyraźniej rzeczowa strona jego osobowości wciąż dominowała nad pozostałymi.

– Hrabio Raymone?

Hrabia przedstawił swoją wersję wypadków, znacznie mniej skromnie traktującą jego rolę w całej sprawie, ale zgodną z faktami.

– Sir Eardale? – powiedział książę. – Jakież uwagi? – Tormond najwyraźniej znów miał kłopoty.

– Ciekawe w tej sprawie wydaje mi się, że zanim jeszcze stopy łotrów obeschły po ucieczce przez rzekę, otrzymaliśmy wieści z Brothe, iż Morcant Farfog został mianowany głównym sędzią Patriarchalnego Oficjum na rzecz Słumienia Fałszywych Dogmatów i Doktryn Heretyckich. I równocześnie utworzono nowy zakon, który miał swymi działaniami wspierać urząd.

Brat Świeca nie był zaskoczony, słysząc te słowa.

– Pierwszym zadaniem Farfoga będzie wykorzenienie herezji i odchyłeń dogmatycznych w Connec.

Hrabia Raymone nie potrafił się powstrzymać:

– Pamiętam, że już kiedyś tego próbowano. Zginęło osiem tysięcy ludzi. Przez machinacje jednego człowieka, który nie miał do tego prawa.

Biskup Clayto rzekł:

– Poskarż się Niepokalanemu. On cię poprze.

Oczy hrabiego Raymone’a rozbłysły gniewem.

– Ludzie odpowiedzialni... – Opanował się.

Brat Świeca skinął mu głową z aprobatą. Raymone Garete dojrzewał.

Sir Eardale kontynuował:

– Nasze pole manewru jest ograniczone. Skutkiem naszej misji do Brothe jakiś czas temu była tylko legitymizacja brotheńskiego Patriarchatu.

– Fakt ten należy traktować z równym szacunkiem, jaki Wzniosły okazał naszemu wkładowi w swoją wojnę z Calzirem – zauważył biskup LeCroes.

– Nasze narzekania nie odmienią charakteru tego człowieka. A teraz ma Naczelnego Wodza, który buduje prawdziwą armię Patriarchatu. A on wydaje się kompetentny.

– Czym płaci żołd, skąd bierze broń?

Sir Eardale wtrącił:

– Proszę o chwilę przerwy. Perit, wprowadź naszych gości.

Jeden z paziów zniknął za drzwiami. Podniosły się szmery, ale nie trwały długo. Paż wrócił prawie natychmiast. Dunn oznajmił:

– Pozwólmy tym panom odpowiedzieć na nasze pytania. – Wskazał dwóch mężczyzn, którzy weszli do komnaty w ślad za Peritem. – Opowiedzcie wszystkim, co powiedzieliście mi wcześniej.

– Tak, panie – odrzekł starszy z przybyszów, wyraźnie rozbawiony.

Brat Świeca uznał, że obaj wyglądają na wycieńczonych, podróżą lub niedolą. Choć przecież mogli przyplłynąć do Khaurene łodzią, z Tramaine w górę nurtu do Vierses.

Sir Eardale przedstawił tamtych:

– Gade i Aude Learnerowie. W imieniu króla Nagłada z Santerinu. – Ton jego głosu był spokojny. Ojciec Nagłada zwyciężył w wojnie o sukcesję, której skutkiem było jego wygnanie. – Nie są to oficjalni ambasadorowie, po prostu przekazują wiadomość.

Jeden z Learnerów usiadł. Drugi wsparł się o poręcz wysokiego krzesła, które służyło w zamku od pokoleń.

– Nasze posiadłości znajdują się w Argony, niedaleko Cebra Arnhandu. Z Arnhandem łączą nas więzy pokrewieństwa. Od kuzynów otrzymujemy najnowsze wieści. To, co się tam dzieje od czasu Masakry pod Czarną Górą, jest naprawdę przerażające.

Uwaga wszystkich zebranych skupiła się na Learnerze.

– Anne rozbudowała sieć swych popleczników, karmiąc gniew kobiet, które straciły mężczyzn. Że się sami o to prosili, nie ma żadnego znaczenia.

Brat Świeca postanowił wkroczyć.

– Dlaczego król Nagład was wysłał? – I natychmiast poczuł się jak idiota. Wszelkie kłopoty Arnhandu wychodziły na korzyść Santerinu.

– Mamy własne kłopoty z Arnhandem. Im więcej oni mają własnych, tym lepiej. Zwłaszcza teraz, gdy Korona pozostaje słaba, a najsilniejszy głos w królestwie należy do kurwy.

To już przekraczało wszelkie granice. Anne była przecież wysoko urodzona. Fakt, miała wielkie apetyty na przyjemności ciała. Podobnie jak na władzę. Przede wszystkim chciała, by syna Regarda, którego miała z królem Charlve'em, uznał on za następcę tronu, mimo iż pochodził z nieprawego łoża.

– I kłopot Anne jest sednem tego, co chcecie nam opowiedzieć?

Obaj cudzoziemcy drgnęli.

– Kiedy będziecie w moim wieku, też będziecie czytali w myślach.

Przemawiający Learner uśmiechnął się. Był dziesięć lat starszy od brata Świecy.

– Tak. Anne przeciągnęła na swoją stronę ważne osoby z Salpeno, przekonując, że napełnia szkatułę wojenną, aby wystawić armie, które nauczą rozumu Connec. Nawiązuje wszelkiego rodzaju tajne porozumienia. Wydaje jej się, że jest nietykalna. Zgromadziła już dość.

Słuchacze spijali słowa z jego ust. Nawet służba. Żadne ze słów, jakie tu padły, nie pozostanie tajemnicą dłużej, niż zabierze tym ludziom droga do domu. Nawet duchowni będą plotkować.

– Dość? – ponaglił tamtego sir Eardale. – Powiedz to, człowieku. Zostaw już te dramatyczne efekty.

– Dość pieniędzy, by kupić Patriarchę, panie. A nie, żeby wystawić armię, którą obiecuje.

Ostatnie słowa wywołały, rzecz jasna, poruszenie, ale będące skutkiem raczej konfuzji niż konsternacji.

– Proszę, wyjaśnij – zarządził sir Eardale. – I tym razem również bez dramatycznych efektów. – Jego głos zabrzmiał jak trzaśnięcie z bicia, jakby obudził się w nim stary rycerz.

– Tak, panie. Wzniosły ma ogromne kłopoty finansowe. Anne ma kłopoty z przejęciem tronu Arnhandu. Zakładając, że Charlve wkrótce umrze. – Anne miała dwóch synów z Charlve’em Tępakiem, Regarda i Anselina. Ten drugi jej zupełnie nie interesował. – Część dochodów czerpie ze sprzedaży skarbów królewskich. Nietrudno sobie wyobrazić, że Wzniosły wkrótce odkryje, iż małżeństwo Charlve’a z królową Alisor jest nieważne, ponieważ tak naprawdę od dwudziestu lat żonaty jest z Anne. Dzięki temu Regard i Anselin staną się dziećmi z prawego łoża i zajmą pierwsze miejsce w porządku sukcesji. Z fortuną wystarczającą, żeby wystawić małą armię.

Straszne wieści, pomyślał brat Świeca. Chyba że ulegając swym obsesjom, Anne oskubie fiskalne kości Arnhandu tak mocno, iż królestwu zostaną tylko grosze na sfinansowanie symbolicznej ekspedycji do Connec.

W chwili obecnej wszak brotheński Patriarchat mógł sobie pozwolić na sfinansowanie własnej inwazji.

Chytry, chytry Wzniosły, myślał brat Świeca. Wykorzystał chciwość tej Arnhandrki. I prawdopodobnie pozostawił ją w przekonaniu, że zrobiła lepszy interes.

Tylko Patriarchat skorzysta na krucjacie przeciwko herezji maysalskiej.



Brat Świeca ze smutkiem pokręcił głową. Od lat wieszczył katastrofę. Za każdym razem okoliczności stawały na drodze spełnieniu jego proroctw. Teraz jednak wszystko układało się po myśli Przeciwnika. W końcu.

– To prawda? Te plotki o królowej Arnhandu? – zapytała Kedle Archimbault. Nie. Teraz już Kedle Richeut.

Brat Świeca przebywał u rodziny Archimbault, w zasadzie ukrywając się przed tymi, co straszili w Metrelieux. Wykorzystywał wszystkie zasoby wspólnoty maysalskiej, żeby zbierać informacje o ludziach z otoczenia księcia. Szczególnie użyteczni okazywali się ci, którzy wykonywali najpodlejsze prace w Metrelieux. Ludzie pełni poczucia własnej wartości rzadko zwracali uwagę na pszczoły robotnice.

– A jakaż to plotka? – zapytał brat Świeca.

– Że przekupiła brotheńskiego odstępcę... Przepraszam.

– Nie ma potrzeby. Jeśli już o tym słyszałaś, znaczy to, że wieści rozchodzą się szybciej niż zazwyczaj. – Brat Świeca streścił znane sobie fakty, nie widząc potrzeby dochowania żadnych sekretów.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – powiedział Raulet Archimbault. – Ale na dziś wieczór zaprosiłem członków naszego kręgu.

– Bynajmniej. Właśnie potrzeba mi wieczoru spędzonego na rozmowach i dyskusjach w twoim kręgu. To są inteligentni ludzie, otwarci na tradycyjne wartości. Wartości Aarona, Eisa i pozostałych. – Poza tym na jaw może wyjść znowu parę ciekawych faktów.

– To dobrze. Choć część wieczoru upłynie w poważnej i praktycznej atmosferze.

– Raulet?

– Mamy do omówienia trochę ziemskich spraw. Pojawiły się kłopoty z odbudową fortyfikacji na Reindau Spine.

– To znaczy?

– To jest wzgórze nad jeziorem Trauen. Prawie pionowe zbocze, z ostrą granią. Wznoszące się tam kamienne mury pochodzą ze złych czasów po upadku Starego Imperium. Odbudowujemy je i napełniamy spichrze. Ponieważ któregoś dnia Przeciwnik pojawi się w Skraju Connec.

– Nie znam miejsca, ale wiem, co robicie.

– Od czasu Masakry pod Czarną Górą wszyscy Uczniowie czynią przygotowania.

– Kiedy zaczęto się tu posługiwać mianem Uczeń? – zapytał brat Świeca. Było popularne we wspólnotach dualistycznych w Imperium Graala i Księstwach Nizinnych na północ od Arnhandu, ale nie wśród connekiańskich maysalczyków.

Raulet odpowiedział:

– Nie wiem. Jeszcze rok temu nie rozumiałbym, jak wierzący, który nie osiągnął statusu Doskonałego, może być uważany za Ucznia. Teraz wszyscy już wiedzą.

– Więc tak. Na czym polegają wasze kłopoty z nielegalnymi fortyfikacjami?

– Zimno. I lód. Na górze wszystko pokryte jest lodem. Prawie nie można się tam dostać, nie ryzykując upadku i złamania.

– Wobec tego nie chodźcie tam.

Raulet nie chciał posłuchać zdrowego rozsądku. Pokręcił głową, zasmucony niedoinformowaniem Doskonałego Mistrza.

– Lód?

– W górze cały deszcz zamienia się w lód. Kiedy topnieje, woda spływa w niższe miejsca, gdzie zamarza, czyniąc grunt jeszcze bardziej zdradzieckim. Nawet cysterny zamarzają.

– Powiadają, że na całym świecie robi się zimniej.

– Tak. Nie pamiętam, żeby za czasów mojego dzieciństwa było tak zimno.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Chyba tylko tyle, żebyście nie ściągnęły uwagi księcia. On ma dość zdecydowane poglądy w kwestii ludzi, którzy budują własne fortyfikacje.

Raulet skrzywił się.

– Może sobie mieć zdecydowane poglądy, ale minie pewnie dziesięć lat, zanim wyhyli nos z zamku i coś zrobi. W tym czasie znajdzie się już w następnym obrocie Koła Życia.

Wieści Learnerów szerzyły się po całym Skraju Connec nadzwyczaj szybko, jak to zazwyczaj się dzieje z naprawdę złymi wieściami.

Hrabiowie Robuchon i Doy wymówili przysięgi lenne księciu Khaurene. Ich nowymi suwerenami zostały Tramaine i Arnhand. Dzięki temu mogli dalej żywić wzajemną wrogość, mając poparcie mocnych, zdecydowanych protektorów. Jancar, Herve, Carbonel i Terliaga formalnie związały się z południem, a ściśle z Piotrem z Navai, kryjąc pod spódnicą najsilniejszego

obecnie pana. Króla, który w najmniejszym stopniu nie ulegał Wzniosłemu V.

Szacunek dla księcia Tormonda wciąż malał. Kolejni przywódcy lokalnych społeczności najmowali kolejnych najemników, większość z Grolsach. Oznaczało to, że do Connec przybywali dalsi uchodźcy w poszukiwaniu podobnej pracy. Sąsiad walczył z sąsiadem. Coraz trudniej przychodziło karmić zbrojne oddziały. Ich wędrówki w tę i we w tę po kraju okazywały się katastrofalne dla zasobów prowincji. Z każdym dniem podróż stawała się przedsięwzięciem coraz bardziej niebezpiecznym. Najemnicy, którym nie zapłacono, folgowali sobie spazmami bandytyzmu. Potem ludzie, którzy stracili wszystko, uciekali na pustkowia, gdzie sami stawali się zbójcami. Pod patronatem i w czułym uścisku Delegatur Nocy.

Ci, których było na to stać, najmowali dalszych najemników, aby strzegli resztek ich dobytku. A najemnicy, którym nie zapłacono, nie tylko rabowali podróżnych, ale zwracali się przeciwko swym pracodawcom i pożerali ich żywcem.

Główny sędzia Patriarchalnego Oficjum na rzecz Stłumienia Fałszywych Dogmatów i Doktryn Heretyckich zaczął przerzucać do wschodniego Connec agentów Towarzystwa Obrony Wiary. Wielu z nich było emerytowanymi członkami Bractwa Wojny, przybyłymi z wyspy Staklirhod. Ludzie przyzwyczajeni do posługiwania się ostrymi metodami.

Brat Galon Breul wraz z drużyną dwunastu silnych ludzi ufnych w słuszność ich sprawy zainstalował się w Antieux, podczas gdy hrabia Raymone Garete marnował czas na dworze w Khaurene.

# 5

## Miasto ojcyste, zemsta Wzniosłego

Hecht zostawił dzieci u Anny Mozilli. Vali jeszcze ani razu się nie odezwała. Przynajmniej do dorosłego. Natomiast Pelle owinęła sobie wokół palca.

Anna nie była uszczęśliwiona.

– Nie znam się na dzieciach. Wiem tylko, że są głośne i brudne. – W domu zachowywała obsesyjną czystość.

– Są ludźmi. Po prostu mają mniej ogłady niż ty. Traktuj je jak ludzi. Pella ma za sobą walkę o przetrwanie. Prawdopodobnie jest bardziej dorosły od ciebie.

Lepiej było tego nie mówić. Ale Anna potrafiła wyłapać intencje jego wypowiedzi. Co oszczędziło im paru awantur.

– Co mam z nimi zrobić?

– Umyj je. Ubierz w jakieś przyzwoite rzeczy. Znajdź im jakieś zajęcie w domu. Pella zamieszka z Pinkusem, gdy tylko on umówi sprawę z prowincjałem Doneto.

Ze spojrzenia Anny wynikało jasno, że uważa Ghorta za skończonego blagiera i niedojdę.

– Kiedy mi wszystko opowiesz?

– Gdy tylko wrócę. Mam nadzieję. Tęskniłem za tobą.

– Ty tęskniłeś za mną? Przynajmniej miałeś jakieś zajęcie. – Nigdy jeszcze nie zbliżyła się tak bardzo do lamentowania nad swym losem.

– To była długa podróż i po większej części niemiła. – Z pewnością najokropniejszych szczegółów jej nie opowie. Jak większość żołnierzy,

oszczędzał niewinnym najgorszego.

Prowincjał Doneto powiedział:

– Wam dwóm jak zwykle udało się uniknąć wylania. Dzięki temu, że macie wyniki. Mój kuzyn był urzeczony, słysząc, że Niepokalany w desperacji musi już się uciekać do usług zabójców.

– Jak bardzo był urzeczony, słysząc, co spotkało Haidena Backe’a? – zapytał Ghort.

– W ogóle. Z czego zapewne musisz sobie zdawać sprawę. Wezwał biskupa Morcanta. Musieliśmy wysłuchać całej jego wersji wydarzeń, zanim pozwolono nam wyciągnąć wnioski.

Oznaczało to, jak Hecht przypuszczał, że wnioski zostały wyciągnięte z góry, a historia zostanie odpowiednio ubita i ociosana, aż będzie do nich pasować. Ponieważ Wzniosły będzie chciał, aby oficjalna wersja wydarzeń służyła jego celom.

Hecht nie przepadał za takimi sytuacjami. Ghort również. Ale ich skrupułów nikt nie weźmie pod uwagę.

Ghort miał żaloszny nawyk gadania tego, co myśli.

– Łatwo dostrzec, do czego to zmierza. Ten przeklęty złodziej będzie wmawiał światu, że jego ofiara jest łotrem, ponieważ miała czelność się bronić. – Nie uściślił, czy ma na myśli biskupa Strangu czy Patriarchę.

Doneto założył, że tego drugiego.

– Może pan otwarcie wyrażać swe opinie w mojej obecności, pułkowniku Ghort, ale nie pozwalam czynić tego tam, gdzie mogą je usłyszeć ludzie spoza rodziny.

– Hę? Co, u diabła? Czy jest w tym mieście ktoś, kto nie wie, jakim on jest kutasem? – A więc faktycznie miał na myśli Patriarchę.

Anna Mozilla okazała się jasnowidzem. Prowincjał Bronte Doneto nie wyraził zgody, aby dać Pelli pokój w swoim domostwie.

– Dlaczego najpierw zobaczyłeś się z Donetem, a dopiero później odwiedziłeś rodzinę? – usłyszał Hecht od Delariego. Prowincjał często zadawał równie niewygodne pytania. – Zawiodłem się na tobie, Piper.

– Tam poszedłem najpierw, ponieważ Doneto jest człowiekiem zdolnym osłaniać Ghorta i mnie przed nieprzyjemnościami ze strony Ojca Świętego. Nic nie skorzysta na wersji wydarzeń, jaką mu przedstawiłem. Nie spodziewam się też, aby Ghort miał mu opowiedzieć wszystko, co wie.

– Takich słów słucham z zadowoleniem.

– Mógłby mnie wyrzucić, gdyby chciał. Kto by się za mną ujął? Gdyby jednak chciał odebrać Pinkusowi jego robotę, trzy z Pięciu Rodzin natychmiast by się sprzeciwiły w imię politycznych zasad.

– Więc tak. Opowiesz mi o tym, czego nie usłyszał Doneto?

Hecht rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest Armand? Nie lubię mówić o poważnych sprawach w jego obecności. Sprawia, że czuję się nieswojo.

To rozdrażniło starego.

– To tylko chłopiec, Piper. Nie interesuje go nic prócz ubrań i błyskotek.

– Mimo wszystko czuję się nieswojo w jego obecności. I nie przeproszę za swoje słowa. – Nie miał zamiaru wyjaśniać staremu, że jego zabaweczka jest agentem zarówno Imperium Graala, jak i Gordimera Lwa.

Delari wykonał jakąś sztuczkę, chyba magiczną, potem powiedział:

– Mów. Nikt prócz mnie nie usłyszy tego, co powiesz. Jeśli chcesz, mogę jeszcze stworzyć zasłonę, żeby nikt nie potrafił odczytać słów z ruchu twoich warg.

– To nie będzie konieczne. – Hecht opowiedział swojemu aniołowi stróżowi całą historię. Uwzględniając swe podejrzenia dotyczące Sony.

Starzec rzekł:

– To mnie martwi. Że Bractwo rezygnuje ze swej sztywnej integralności moralnej. Na tym właśnie polega problem ze Specjalnym Oficjum. Chcą pokonać ciemność, zalewając ją ciemnością.

Hecht nie wytknął staremu prowincjałowi, iż on sam oddany jest mocom czerpanym z Nocy.

– W równym stopniu – ciągnął Delari – zaniepokojony jestem potworem na Zachodnim Trakcie. Myślisz, że to może bogon? Jak na przykład ten, na którego nadzieles się w Węźle Ownvidiańskim?

– Nigdy nie znalazłem się tak blisko tamtego, by go rozpoznać. Prowincjał Doneto jest właściwym adresatem tego pytania. To on radził sobie ze stworem w Węźle.

Prowincjał Delari wzruszył ramionami.

– Wątpię, by zechciał współpracować. Kuzyn mu nie pozwoli.

Kiedy Hecht nie skomentował tych słów, Delari rzekł:

– Wzniosły naprawdę wierzy, że większość ludzi to bydlęto umieszczone na ziemi dla wzbogacenia Kościoła. A pozostali trafili tu wyłącznie w tym celu, by pomóc Honariowi Benedoctowi realizować jego marzenia i intrygi.

– Po chwili dodał: – Postanowił, że nie ukarze księcia fon Dreasser. Przynajmniej nie od razu. Wasza ucieczka dała czas chłodniejszym głowom na zdobycie przewagi. By tak rzec.

– He?

– Słowo o tym, co się zdarzyło w Connec, miało trochę czasu, aby tu dotrzeć. W Kolegium zawrzało. Wzniosły wdał się w tę awanturę, nie konsultując tego z nikim. Potem pogrążył się w najczarniejszej rozpacz. Liczył na to, że Backe i biskup Strangu zapewnią mu przypływ gotówki. Nic z tego, obecna sytuacja finansowa wygląda źle, jak nigdy. Jego wierzyciele domagają się spłaty długów. Nikt nie pożyczy mu już złamanego miedziaka. Nie tylko dlatego, że jego rokowania wyglądają źle, ale przede wszystkim przez wzgląd na nietrafność osądu, jaką się wykazał w próbach zdobycia funduszy.

– Gdyby jego intryga się powiodła, zafundowaliby mu triumfalny wjazd do miasta – zauważył Hecht. Miał złą opinię o tych, którzy uczestniczyli w patriarszych szaleństwach. Byli bez reszty amoralni.

– Może. Sukces wymazuje wszelkie moralne usterki i porażki. Niemniej... Kiedy wieści się rozniosą, z pewnością możemy oczekiwać wybuchu gniewu i oburzenia. A nawet zamieszek. Potem życie potoczy się swoją koleją. Zapewne zauważyłeś, że tron patriarszy daje swemu właścicielowi swego rodzaju ochronę.

– Zauważyłem. – Hecht zachichotał. – Tak samo jak imperialny płaszcz chronił starych imperatorów przed wszystkimi, prócz własnej rodziny i gwardii pałacowej.

Delari uniósł brew.

– Nie. Niczego nie sugeruję.

– To dobrze. W znacznie większym stopniu interesuje mnie ta mocarna delegatura w pobliżu Alicei. I to, co dzieje się w Sonsie. Sonsanie postąpili słusznie, skrywając przed resztą świata swoje kłopoty. Trzeba im to oddać, są bystrzy.

Hecht chętnie im to oddawał. Dzięki swym zuchwałym kapitalistom firaldiańskie i direcjańskie republiki kupieckie były na głowę państwa o bardziej tradycyjnych ustrojach. Napędzała je ich zdumiewająca energia.

O ileż bardziej mogłyby być niebezpieczne, gdyby nie marnowały tylu zasobów w walce wzajemnej o rynki i dominację jednej rodziny!

– Tak na marginesie – powiedział Delari – nawrócenie twojego człowieka, Consent, jest szczerze? Czy to tylko oportunizm?

– Nie sądzę, by miał to być oportunizm w sensie, jaki my, chaldaranie, nadajemy temu słowu. Tutaj devom się żyje lepiej. Czy odkrył prawdę nauk Aarona i Założycieli? Może. Ale podejrzewam, że przede wszystkim próbuje się uchylić od oczekiwań, jakie nakładają na niego Starsi devów. On chce po prostu być Titusem Consentem, jedną z części maszyny, człowiekiem niemającym sobie równych w pracy i sownie za to wynagradzanym... a potem wracać na noc do domu, do rodziny.

– Jesteście przyjaciółmi?

– Nie. Ale dużo razem przebywamy. Rozmawiamy o życiu. Zresztą ja rozmawiam ze wszystkimi. Niekiedy nawet się czegoś uczę. Od niego. Od ciebie. Czy nawet od Pinkusa Ghorta.

– Spodziewam się, że pułkownik Ghort jest prawdziwą kopalnią informacji na temat gorszych stron życia i może nawet krynicą plebejskiej mądrości.

– To jest człowiek, którego dobrze mieć przy sobie.

Jeżeli Delari miał własne zdanie w tej sprawie, nie podzielił się nim.

– Dziewczyna. Jak się nazywa?

– Vali Dumaine.

– Nie ma w Firaldii żadnej ważniejszej rodziny o tym nazwisku.

– Jest taka w Arnhandzie. Pomniejsza szlachta. Obecny hrabia drze koty z Anne z Menandu. Nie zrobiłby z nią zwierzęcia o dwu grzbietach, nawet gdyby mu zaproponowała.

– To nie ma większego sensu. Co Bractwo mogłoby chcieć uzyskać od szlachetki z Arnhandu?

– Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Dziewczynka nie mówi, ale doskonale rozumie firaldiański. Zarówno potoczny, jak i wytworny. Mając na uwadze jej wiek, należy wątpić, aby było to możliwe, gdyby została porwana gdzieś z północno-zachodnich rejonów Salpeno.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Kiedy jest się prowincjałem Munierem Delarim z Kolegium, można pytać o każdą przekłętą rzecz, jaka człowiekowi przyjdzie na myśl. I zazwyczaj nie trzeba długo czekać na odpowiedzi.

– Oczywiście.



– Wróćmy do tamtej kwestii. Najbardziej mnie interesuje ten potwór. Pominąwszy tego, na którego wpadłeś w Węzle Ownvidiańskim, niczego podobnego nie widziano tu od zarania dziejów. Przynajmniej od czasu, gdy Eru Itutmu wyruszył z Dreangeru na zachód ze swymi słoniami, armiami i zastępem oswojonych monstrów.

Kaif al-Minfet i wszyscy ci, którzy uznawali w nim Ucieleśniony Głos Rodziny Założycieli, zniechęcali do badania wydarzeń, do których doszło przed Objawieniami i Konkwistą. Mimo dziesięcioleci przeżytych w Dreangerze Hecht niewiele wiedział o królu-kapłanie i generale, który przez całe pokolenie nękał i napawał przerażeniem świeżo wyklute Stare Imperium Brotheńskie. Pramanie lekce sobie wazyli chwałę swych pogańskich przodków.

– Nie będę w tej kwestii spekulował. To należy do twoich kompetencji.

– Zaiste. A co myślisz o tym łotrze z Viscement, Rudenesie Schneidelu?

– Myślę, że Schneidel to kolejna enigma, ktoś, kto wynurzył się z cienia, jak wcześniej Starkden i Masant al-Seyhan, kiedy Calzir wpadł w amok.

Delari pokiwał głową.

– Ciekawy pomysł. Niemniej ja już słyszałem o Schneidelu. Dotarła do mnie plotka z Górnych Athaphile, na dodatek zupełnie niedawno.

– Nie znam się na geografii.

– Górne Athaphile to centralny łańcuch górski na Artecipei, wielkiej wyspie Morza Ojczystego, leżącej między Firaldią a Dircją, na południowy wschód od Connec. Prawa do niej rości sobie Patriarcha, Imperium oraz, od czasu wysunięcia roszczeń do Calziru, Piotr z Navai, ponieważ większość Calziru przypadła jemu prawem zdobywcy. Piotr i jego platadurcy sprzymierzeńcy wysadzili już na wyspie korpus ekspedycyjny. Ani my, ani Imperium nie możemy w tej sprawie nic zrobić, możemy tylko czekać. Mamy pilniejsze problemy.

Hecht niewiele wiedział o wyspach na zachodniej części Morza Ojczystego. Mgliście przypominał sobie położenie Artecipei na mapie.

– Więc to terytorium pramańskie, tak?

– Kaif z al-Halambry uznaje ją za część swego kaifatu. Ale roszczenia te mają charakter wyłącznie nominalny. Poza tym jego uwagę również przykuwają obecnie inne kwestie. Głównymi graczami na tej scenie są Sonsa i Platadura. Pozostałych tak naprawdę te kwestie nie interesują. Wyspa nie przedstawia większej wartości.

– Dla nikogo prócz czarowników, najwyraźniej.

– Prawda. To zaścianek. Na którym wciąż silne są wpływy pogaństwa. Minęły wieki od czasu, gdy po raz ostatni ktoś urządził im rzeź, więc nie mają motywacji, by szukać zbawienia pod skrzydłami Kościoła.

Piperowi Hechtowi podobało się cyniczne podejście prowincjała Delariego. Ale demonstracyjnie się skrzywił. Jego rzekoma ojczyzna miała za sobą długą tradycję wyrzynania pogan na Wielkich Bagnach.

Delari zignorował jego minę.

– Spróbujemy wytropić związki istniejące między Rudenesem Schneidelem i zamachami na ciebie.

– Pułkownik Ghort chce wysłać człowieka do Viscesment.

– Powiedz mu, żeby uważał. Pogańscy czarownicy mają naprawdę okrutne zwyczaje.

– Znam człowieka, który zostanie wysłany. Służył z nami w Connec. Jest tak ostrożny, jakby ostrożność była jego drugim imieniem.

– Dobrze. Zobacz się z Consentem. Zorganizuj mu ceremonię powtórnych narodzin. Najlepiej niech się odbędzie w dniu Herona. Wieczór będzie idealną porą. – Heron był dainschauem i fanatykiem religijnym, zwalczającym zażarcie chaldarańskie bluźnierstwa i (zresztą devediańskie też ledwie tolerował), zanim przeżył dramatyczną noc nawrócenia. Wedle jego własnych słów odpowiedzialna za nie była Zjawa ze Studni Pokuty, która wskazała mu właściwą drogę.

Zjawy Studni były ważnymi, choć drugoplanowymi istotami z nielicznego panteonu dainschauów.

– Tak będzie najlepiej. Powiadomię go.

Delari uśmiechnął się, nieznacznym uśmiechem, którego znaczenie miało dotrzeć do Hechta dopiero później.

– Na dzisiaj to wszystko. Przejdź się ze mną, Piper – powiedział.

Hecht uznał, że udadzą się do łaźni. Nie przeszkadzało mu to, ponieważ był zdrożony – niemniej żałował straconego czasu. Jedyнным pewnym skutkiem wyprawy na poszukiwanie przygód była spiętrzona góra dokumentów wojskowej biurokracji.

Delari jednak przeszedł przez łaźnie i ruszył ku wnętrzom, z których istnienia Hecht wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Schodzili po niekończących się schodach, aż dotarli do podziemi, nawet w pałacu znanych wyłącznie z niepotwierdzonych pogłosek.

Brotheńczycy przekonani byli, że pałac Chiaro wznosi się na stropie katakumb, sięgających na milę w głąb ziemi. Wierzyli, że wszystkie główne budowle kojarzone z Patriarchatem połączone są podziemnymi tunelami – nawet te, które znajdowały się na wyspach na rzece Teragi, czyli pałac Krois i Castella dollas Pontellas Bractwa Wojny.

Prowincjałowie, z którymi Hecht utrzymywał, na co dzień kontakty, ani nie potwierdzali tych pogłosek, ani im nie zaprzeczali. Kolegium lubiło się pławić w spowijającej je atmosferze tajemniczości. A nawet jawnych kłamstw. To zbijało z tropu rywali i wrogów.

Hecht nie zadawał pytań. Jeżeli Delari chciał tak mu zamieszać w głowie, żeby po raz drugi nie potrafił znaleźć drogi, to mu się nie uda. Szkolenie sha-lugów obejmowało zdolność używania pamięci w najbardziej stresujących i oszałamiających okolicznościach.

– Jeszcze tylko tędy.

Hecht dał trzy kroki i zatrzymał się zdumiony. Znalazł się w otwartej przestrzeni, wielkiej jak wnętrze bazyliki, gdzie Patriarcha celebrował dni świąt w otoczeniu Kolegium i biskupów. Sklepienie znajdowało się osiemdziesiąt stóp ponad posadzką. Komnata pozbawiona była jakiegokolwiek kolumnady, wyjąwszy tę podtrzymującą balkon, na którym właśnie stał – dwadzieścia stóp nad poziomem posadzki. Na poziomie balkonu komnatę przecinała pajęczyna drewnianych napowietrznych chodników. Pomieszczenie sprawiało wrażenie wykutego w litym wapieniu.

Przyjmowano, że Kolegium jest zgromadzeniem potężnych czarowników. Jak dotąd Piper Hecht nie widział na własne oczy wielu dowodów tego przekonania, choć starcy Kościoła wnieśli swój magiczny wkład w odparcie inwazji calzirskich piratów parę lat temu. Wszelako rozciągający się przed jego oczyma widok stanowił dowód wystarczający nawet dla niego.

Komnata była okrągła. Jej średnica liczyła trzysta stóp. Zalewało ją jasne niczym dzień światło jakichś czarcich ogni, od których jego amulet sparzył chłodem nadgarstek.

Na posadzce można było dostrzec kilkanaścioro mnichów i zakonnic. Mnisi należeli do zakonu składającego śluby milczenia. O zakonnicach Hecht niewiele wiedział.

Szli już po wąskich podwyższeniach między długimi, szerokimi stołami. Delari wyjaśnił:

– To jest reliefowa mapa znanego świata, pocięta na paski tak, by geografowie mogli nanosić poprawki wraz z napływającymi nowymi informacjami.

Po przejściu trzydziestu jardów Hecht zerknął w lewo i nagle mapa ukazała się jego oczom. Musiała to być najdokładniejsza mapa kiedykolwiek wykonana, a na pewno w obrębie tysiąca mil od Brothe.

– Wieki musiało zabrać jej sporządzenie.

– Byłem chłopcem, kiedy mi ją po raz pierwszy pokazano. Sześćdziesiąt cztery lata temu. Zostałem właśnie uczniem Clovena Lutego i miałem wkrótce awansować na czeladnika. – Cloven Luty był legendarnym czarownikiem Kolegium, znanym jako odludek. W ostatnich latach jego życia ta cecha stała się tak dominująca, że nie znano dokładnej daty jego śmierci. O ile w ogóle umarł. Ale musiałyby mieć obecnie sto dwadzieścia lat.

– Tego Clovena Lutego? – wymamrotał zdjęty nabożnym lękiem Hecht. – Dziewiątego Nieznanego?

Mimo iż był człowiekiem skrytego charakteru i mizantropem, powiadano, że Luty nocami spacerował po najgorszych dzielnicach Brothe. Mogło być to prawdą. Nikt nie wiedział, jak czarownik wygląda.

– Czasami tak na niego mówiono. Ponieważ był dziewiątym człowiekiem, któremu powierzono nadzór nad tym projektem. Każdy z Nieznanych został wybrany przez swego poprzednika. Każdy swe powołanie utrzymywał w tajemnicy. Cóż, zasadniczo. Mnie nie poszło z tym tak dobrze. Możesz mnie nazywać Jedenastym Nieznanym. Niewykluczone, że jestem ostatni. Nie znalazłem godnego następcy. Grade się nadawał. Ale ani Łaskawy, ani Zgodny nie byli zainteresowani przyjęciem kolejnego apolitycznego członka w poczet Kolegium. O Wzniosłym nie ma, co wspominać.

Muniero Delari najwyraźniej czuł się niedoceniany przez swoje otoczenie. Po chwili podjął wątek:

– Wśród nowych prowincjałów jest coraz mniej uczonych. Zazwyczaj są to albo zwierzęta polityczne, albo kretyni, którzy kupują swe szaty. Albo jedno i drugie naraz. Tak czy siak, kiedy odejdę, nie będzie to miało znaczenia. Najprawdopodobniej. Po mojej śmierci koniec świata nie będzie zwlekał.

Hecht oznajmił:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ani co tu się na dole dzieje.

– To jest mapa świata. W miarę oddalania się od Brothe coraz mniej dokładna. Nasi księża, legaci i misjonarze wciąż przysyłają informacje o zmianach w tych regionach. Ci ludzie w dole przekładają ich raporty na cechy fizyczne terenu. W ten sposób śledzimy przemiany świata.

– Mianowicie?

– To, o czym teraz wszyscy mówią. Co podejrzewał Pierwszy Nieznany, kiedy dwieście lat temu rozpoczął ten projekt. Świat staje się coraz zimniejszy. Studnie Mocy wysychają. Nawet upływ Studni Ihrian słabnie. Opada poziom mórz. Lód idzie naprzód. Wszystko to dzieje się szybko. Za mojego życia poziom Morza Ojczystego opadł o dziewięć stóp. Trzyście, od czasu, gdy zaczął się ten projekt. Za Hypraksjum i Mostami Lądowymi Antal poziom Negrine opadł jeszcze bardziej. Śródlądowe morza na dalekim wschodzie też wysychają, podczas gdy lód gromadzi się w górach za nimi. – Mówiąc, Delari wskazywał wymieniane miejsca. – Tysiąc lat temu w Starym Imperium Brotheńskim sto tysięcy niewolników pracowało bez ustanku nad podwyższaniem i umacnianiem grobli Gibr al-Tar, ponieważ przelewały się przez nią fale sztormów Oceanu, grożące niekiedy jej przerwaniem. Wyobraź sobie katastrofę, jaka by nastąpiła.

Powierzchnia Morza Ojczystego znajdowała się setki jardów poniżej poziomu Oceanu. Gdyby Ocean przerwał Groblę, pod wodą znalazłyby się tysiące miast i miasteczek, miliony ludzi i niezliczone hektary farm, winnic oraz sadów. Bez wątpienia w następnej kolejności woda przerwałaby Mosty Lądowe Antal i zalałaby basen Negrine. A poziom Negrine znajdował się z kolei sto stóp poniżej poziomu Morza Ojczystego.

Oznaczałoby to koniec cywilizacji.

Delari wzruszył ramionami.

– Udało im się. A więc teraz cywilizacja zamiast zatonać, będzie chyba musiała zamarznąć. Chodźmy.

Starzec ruszył w kierunku najbliższego pomostu. Z góry instalacja znacznie bardziej przypominała mapę. Tyle tylko, że trójwymiarową. Delari powiedział:

– Wymiar pionowy jest rozciągnięty. W przeciwnym razie trudno byłoby coś zobaczyć.

– To naprawdę imponujące dzieło, panie, ale nie widzę sensu.

– Pierwotnie chodziło o pomoc w sporządzaniu długofalowej strategii. Celem było przetrwanie naszych ludzi. Pod warunkiem oczywiście, że dopiszą przywódcy zdolni w ten sposób postrzegać przyszłość.

Postęp zmian w świecie nie był dla Hechta wyraźny. Niemniej żalony stan rubieży świata nie wymagał wyćwiczonego oka. Cała północ aż do Morza Płytkiego tkwiła w okowach lodu. Samo Morze Płytkie składało się z kilku rozproszonych akwenów otwartej wody, pozwalających się domyślać wycieków mocy z podwodnych studni, występujących powszechnie zarówno tam, jak i na Morzu Andorayskim. Mimo przelewających się przez nią okrutnych przypiływów, cieśnina Ormo zamieniła się w lodowy most. Wszędzie w górach lód znajdował miejsce, gdzie mógł się gromadzić na stałe. Obszary odsłonięte przez cofający się poziom mórz miały kolor chorej szarości. Niektóre, na przykład te wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża, były naprawdę rozległe.

Delari rzekł:

– Ogólnie rzecz biorąc, mapa jest zapóźniona względem raportów. To jest stan spraw z końca zeszłej zimy.

– Mówiłeś o planowaniu?

– Postępujący lód zmusza do wędrówki całe ludy. Takie może być tło działań Tsistimedea Złotego i Hu'n-tai At. Skoro ich pastwiska nie są w stanie dłużej wykarmić stad, muszą przenieść się gdzieś indziej.

– A więc usiłujecie przewidzieć, gdzie mogą się pojawić problemy, żeby zdążyć na czas coś z nimi zrobić.

– Tak. Choć teraz cały projekt wydaje się raczej bezsensowny. Wzniosłego nie interesuje nic, prócz jego omamów. Kiedy lód podejdzie pod bramy miasta, on wciąż będzie bredził o krucjatach.

– To nie może przecież nastąpić tak szybko?

– Nie. Miną pokolenia, nim tu dotrze. To dobrze, ponieważ Wzniosły jest śmiertelny. Ja wszakże nie żywię wielkich nadziei. Moi poprzednicy też jakoś nie potrafili zainteresować kolejnych Patriarchów.

– Część z tego nie stanowi naturalnej rzeźby terenu. To jakieś markery?

– Tak. Zjawiska nadprzyrodzone stanowią część krajobrazu. Podobnie jak upływy mocy. I wszystko inne, czego mógłby ktoś szukać.

Hecht spojrział na południe od Morza Ojczystego, ku Królestwu Pokoju. Konkwista pramańska. Projekt prowincjała najwyraźniej nie opierał się na ścisłych informacjach ze świata pramańskiego. Ale szczegóły

odwzorowano z większą dokładnością, niżli ktokolwiek stamtąd mógłby sobie życzyć.

Tam zmiany były mniejsze. Jak dotąd. Nie widać było żadnych pól śnieżnych i lodowych. Ale pustynie kurczyły się z powodu rosnących opadów.

– Na dziś dość – powiedział Delari. – Po prostu chciałem, żebyś wiedział, że możesz dysponować czymś takim.

Hecht wiedział, że prawdopodobnie czegoś z tej rozmowy nie zrozumiał. Coś w związku z mapą? Z Nocą? A może tamten liczył, że znajdzie u Hechta jakiś talent, którego on sam był nieświadom?

– Wrócisz tu później. Teraz z pewnością musisz nadrobić zaległości w pracy.

Prowincjał ruszył klatką schodową, wiodącą prosto do jego apartamentów. I doszedł na górę, nie umierając po drodze. Hecht udał się do Castella dollas Pontellas. Prowincjał Delari był chyba z lekka rozczarowany.

Anna przyprowadziła dzieci na ceremonię nawrócenia Titusa Consenta. Mimo sprzeciwów Hechta wywołanych obawą, że Pella będzie się zachowywał jak ulicznik, którym przecież był. I że Vali zirytuje gości, nie chcąc reagować nawet na ich zachwyty, jaka jest śliczniutka.

Obawy okazały się bezpodstawne. Anna zdążyła już obłaskawić chłopca. Myła, szorowała i ubierała Pelle, aż piszczał. Zdołała mu wytłumaczyć, że koniec świata będzie słodszy niż konsekwencje chwili, w której zawiedzie Naczelnego Wodza.

Jego ostatnie zadanie miało polegać na pieczy nad Vali i tłumaczeniu wszystkim, iż jest niema. Vali miała się kłaniać i klękać w odpowiednich momentach.

– Przestań kręcić nosem, Piper – Anna instruowała Hechta w powozie. – Z nimi wszystko będzie dobrze. Martw się o siebie. Wiesz, co masz robić?

Hecht miał raczej mgliste pojęcie na temat swej roli w ceremonii.

– Skąd tu tylu żołnierzy? – chciał wiedzieć Pella, gdy się zbliżali do rodzinnej rezydencji Delarich.

Willa była stosunkowo skromna, jak na standardy kasty prowincjałów. Ulicę wypełniały kontyngenty Bractwa Wojny, Regimentu Miejskiego i municypalnej gwardii patriarchalnej Hechta. Większość włożyła paradne

mundury. Ale kilku było w cywilu. Znaleźli się tu na wypadek kłopotów, nie zaś dla pokazu.

– Na wypadek, gdyby devowie chcieli przeszkodzić nawróceniu się Titusa.

– Przecież go nie zamordują – powiedziała Anna. – Jeszcze raz. Wiesz, co robić?

Kilka chwil temu Hecht nie miał zielonego pojęcia, jak przebiega ceremonia nawrócenia. Teraz już wiedział, że przypomina bierzmowanie.

Powtarzał właśnie kolejne kroki, kiedy powóz przystanął.

– Zapamiętałeś – pochwaliła go Anna. – Dzieciom wyjaśniła: – Jeszcze nigdy tego nie robił.

Hecht mruknął:

– Tam, skąd pochodzę, chrzczą dzieci przy narodzinach, ponieważ tak wiele potem umiera. A nawrócenia zazwyczaj dokonują się pod ostrzem miecza i konsekruje je najbliższy trzeźwy ksiądz.

– Nie sądzę, żeby Duarnenia mi się spodobała, panie – powiedział Pella.

– Mnie również się nie podobała. Dlatego z niej wyjechałem. Uważajcie na kałuże. Te buty kosztowały fortunę.

– Piper!

– Nic na to nie poradzę, kochanie. Dorastałem w biedzie.

Szkolenie Anny okazało się wystarczające. Prowincjał Delari, poręczyciel Consenta, nie wymagał od Hechta niczego, tylko rytualnego zaświadczenia o doskonałości charakteru kandydata.

Nie było żadnej wielkiej pompy. Kilka pytań i odpowiedzi w rodzaju: „Kto świadczy za tego człowieka?“, kilka uwag na temat tego, jaki to świetny facet, potem rytualne kładzenie dłoni przez prowincjałów Bruglionich, Arniena, wreszcie Bronte’a Doneta i Titus Consent stał się poważanym członkiem wspólnoty episkopalnych chaldaran.

Sam Consent wydawał się całkiem stosownie przejęty. Hecht odnotował, że ani Noë, ani dzieci nie przeszli ceremonii, ponieważ status Noë jako żony Consenta był taki jak jej męża. Natomiast dzieci były jeszcze zbyt młode na chrzest i bierzmowanie na modłę, jaka lokalnie obowiązywała.

Hecht uścisnął dłoń Consenta.

– Gratuluję odwagi, poręczniku. – Wręczył mu podarunek z okazji chrzcin, który zwyczajowo składał się z pieniędzy. Dzieci dostawały w takim wypadku drobną sztukę srebra. Hecht zdecydował się na złotego



solida, wartości pięciu dukatów, na którym uwidoczniono profil i labrę dawno zapomnianego, tajemniczego Patriarchy o imieniu Bonifacy. Starsi oficerowie, w tym pułkownik Smolens, Clej Sedlakova, Hagan Brokke i wszyscy członkowie ich sztabów okazali się równie szczerzy. Consent musiał zacząć nowe życie. Jego sytuacja będzie trudna. A jego umiejętności były dla wszystkich bardzo ważne,

Mimo pochodzenia Consent był zdecydowanie lubiany.

– Dziękuję, panie. Odwaga wszakże nie jest tak istotna jak świadomość, czego się chce.

Prowincjał Delari wykazał się jeszcze większą szczerością niż Piper Hecht. Po wymianie grzeczności starzec powiedział:

– Jeśli mógłbym cię na chwilę porwać, Hecht, chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności.

– Oczywiście, panie. Wybacz mi pan, poruczniku?

Tym razem oficjalna szarża i tytuł dotarły do tamtego. Hecht zobaczył, jak twarz Consenta pojaśniała. Przyjęto go do plemienia, dla którego opuścił swoje poprzednie.

– Panie?

– Na osobności.

Prowincjał zaprowadził go na górę, do prywatnych apartamentów. Wystrój oficjalnych pokoi Hecht uznał za ucieleśnienie surowości, nawet według jego własnych norm. Prywatne były właściwie mnisią celą.

Tutaj prowincjał Muniero Delari dowodził, że obce są mu wszelkie ustępstwa na rzecz dekadencji grzesznego luksusu. Człowieka, który żył w ten sposób, Hecht chętnie uznałby za godnego szacunku. Ale tak było tylko tutaj. Jego apartamentom w pałacu Chiaro nie brakowało niczego, o czym mógłby sobie zamarzyć jego chłopiec.

Delari zaprowadził Hechta do komnaty o czterech wygipsowanych, lecz niepobielonych ścianach, w której znajdował się tylko jeden prosty stół, trzy niewygodne krzesła i dwie gliniane lampki spalające tanią, bezwoną oliwę. Amulet połaskotał Hechta w nadgarstek.

Usiadłszy, Delari powiedział:

– Zająłem się sprawą Rudenesa Schneidela. Przebywa w Viscesment. – Pociągnął za sznur. Z oddali doleciał przytłumiony dźwięk dzwonka.

– Zdążyłeś się tym zająć? Tak szybko? Kiedy?

– Jestem członkiem Kolegium, Piper. I nie jakimś tam figurantem. Plotki, które o nas opowiadają, mają niejake podstawy faktyczne. Plotki te, co z przyjemnością stwierdzam, stały się ostatnio przedmiotem publicznej dyskredytacji.

– Och.

– Od czasu do czasu zdarza mi się wątpić w tve zdolności obserwacji, Piper. Obawiam się, że mój syn cię przeceniał.

– Ja też się tego obawiam. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego postanowił zostać moim mentorem. A więc znalazłeś coś konkretnego na temat Schneidela?

– Bardzo niewiele. Dość jednak, żeby cię ostrzec na wypadek, gdybyś miał kogoś przeciwko niemu posłać. Chyba, że będzie to ktoś, kogo będziesz chciał się pozbyć, nie biorąc winy na siebie.

Do środka weszła kobieta. Hecht widział ją już na dole i wydała mu się jakoś nie na miejscu. Wysoka blondynka, której blask włosów już przygasał i która sprawiała wrażenie zmęczonej życiem. Przyniosła kawę i filiżanki. Hecht głęboko w płuca wciągnął mocny aromat. Kawa była jego największą słabością.

– Aha. Najlepsze ziarno z Ambonypsgan. – Westchnął. – Okazujesz mi zbyt dużo łaskawości, panie.

– Niewykluczone, że masz rację. Czas pokaże. To jest moja wnuczka. Parzenie kawy jest jednym z jej wielu nadzwyczajnych talentów.

Hecht wymienił ukłony z kobietą, ona podała mu filiżankę.

Delari ciągnął:

– Czarownik założył swój kramik niedaleko Pałacu Królów. Ale nie udało się stwierdzić żadnych wyraźnych związków z Niepokalanym. Niewykluczone wszak, że chciał, abyśmy myśleli, że ma jakieś niejawne kontakty. Chyba ma zbyt wielkie mniemanie o sobie. To błąd, którego kiedyś może pożałować.

– Dziękuję – powiedział Hecht do kobiety. Kawa była delikatna, o bogatym smaku. Zmarszczył brwi i uważniej się jej przyjrzał. Spotkali się już kiedyś? Było w niej coś w odległy sposób znajomego. Potem znów wsłuchał się uważnie w słowa Delariego.

Prowincjał mówił:

– Rudenes Schneidel nie może mieć nic do ciebie osobiście. Prawdopodobnie chciał wyeliminować Naczelnego Wodza. Osobiście

sądzę, że atak nastąpił po to, byśmy obciążyli winą Niepokalanego. – Mówiąc to, Delari zmarszczył brwi, jakby kwestionował własne rozumowanie. A równocześnie znów wydawał się rozczarowany postawą Pipera Hechta.

– Za daleko wyciągane wnioski, panie. To oznaczałoby, że wiedział, jak się rzeczy potoczą, zanim do nich doszło.

– Za dalekie wnioski, tak?

– Czy znalazłeś coś jeszcze?

– Nie. Rudenes Schneidel jest utalentowanym czarownikiem. Nie miał żadnych kłopotów z ukryciem swego udziału w sprawie.

Kobieta napełniła powtórnie filiżankę Hechta, potem wyszła. Hecht skomentował:

– Nie bardzo przypomina swojego ojca.

– Znałeś go tylko jako umierającego kalekę. Poza tym żadne z dzieci Grade'a nie wdało się w niego. Jest podobna do matki.

– Ile dzieci zostawił?

– Czwórkę. Dwóch synów i dwie córki. Wszystkie z nieprawego łoża. Kiedy przebywał za morzem. Urodziła mu je kobieta, którą uwolnił z pramańskiej niewoli. Jako dziecko została schwytana przez piratów, a potem kupiona przez kupca z Aselinu, który traktował ją źle. Grade po raz pierwszy wyruszył wówczas w pole. Bractwo i Frakierzy Gisela z zaskoczenia zdobyli Aselin. Grade z kolei uratował kobietę przed Frakierami, kiedy rozpoznał jej niewyraźny starobrotheński. Jak się okazało, pochodziła z wykształconej rodziny o znacznej pozycji.

Choć fonetyka kluczowych słów zagubiła się w przekładzie z peqaad na firaldiański, Hecht zrozumiał prowincjała. Gisela było transliteracją nazwy plemienia. Frakier było zbitką słów, pochodną frazy oznaczającej „ukochanego zdrajcę”. Używano go powszechnie w Ziemi Świętej na oznaczenie pramanina, który związał się z krzyżowcami.

– Wybacz mi, jeśli naprowadziłem cię na nieprzyjemne myśli, panie.

– Nic się nie stało. Pogodziłem się już z tym wszystkim. Sam jestem sobie winien. Znacznie lepiej mi szło z opieką nad synem do czasu, aż uzyskał pełnoletność. Nigdy nie musiałem go opuścić przez wzgląd na zobowiązania małżeńskie.

– Nie chciałeś, żeby został żołnierzem.

– Ani księdzem. Ale był już dorosły. Sam wybrał. Kiedy założył rodzinę, starał się jak mógł nią opiekować. Ale troje dzieci z czworga nie przeżyło.

Hecht nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Taki już był ten świat. Zawsze.

Surowy. Bezwzględny. Okrutny. Bezlitosny. Taki był świat, który znał Piper Hecht. Rozkosz i szczęście były ulotne. Trzeba było żyć każdą nadarzącą się chwilą. Jedyne pozytywne wartości, jakich w życiu zaznał, to było braterstwo sha-lugów i lojalność jego żołnierzy. Ze zmiennym powodzeniem próbował odnajdywać te wartości na wygnaniu.

– Wydajesz się czymś zaniepokojony, Piper.

– Ostatnio moja wiara chwieje się, panie. Duszę zżerają wątpliwości.

– Czegóż więcej mógłbyś chcieć niż to, co posiadasz?

– Nie wiem. Po części na tym polega problem. Wyższego celu? Kiedyś taki miałem.

Prowincjał Delari znowu wyglądał na rozczarowanego.

– Lepiej wróćmy na dół. Zostaw filiżankę. Heris się nią zajmie.

– Kim jest ta kobieta, na którą ciągle się gapieś? – dopytywała się Anna, gdy już opuścili dom Delariego.

– Wnuczka Delariego. Jej ojcem był Drocker. Z jakiegoś powodu chciał, żebym ją zobaczył. Może, aby mi pokazać, że troszczy się o rodzinę. W pewnym sensie Drocker mnie adoptował. Nie mogę się pozbyć myśli, że gdzieś już ją widziałem. Próbowałem sobie przypomnieć gdzie.

Jednak to nie nad tym się zastanawiał. W całej sytuacji coś się nie zgadzało. Skinął na żołnierza z Regimentu Miejskiego.

– Dokąd poszli wszyscy? – Nie widział wokół nikogo ze swej gwardii, nikogo z Bractwa Wojny.

– Panie. Widziano jakichś zbrojnych. Tam, gdzie będą przejeżdżać powozy. Może to zasadzka. Więc Bractwo i Patriarchami zdecydowali się urządzić kontr zasadzkę.

Jeszcze dobrze nie skończył, a z oddali dobiegły odgłosy zamieszania, szcękę metalu o metal. Anna również usłyszała. Natychmiast zapomniała o swoich utyskiwaniach.

– To może być problem większy niż moja zazdrość.

– Hę? – Piper Hecht nie był mężczyzną szczególnie wrażliwym na tajniki duszy kobiecej. Przed Anną miał mało sposobności do tego, by spędzić z kobietą więcej czasu.

– Zabierzmy dzieci do domu. Inną drogą.

To Hecht rozumiał doskonale.

– Nie. Jeżeli pojedziemy przed siebie, zorientujemy się, na czym stoimy. To mógł być świadomy manewr odciążenia ludzi w inną stronę.

– Ty jesteś specjalistą. – Zaczęła zaganiać dzieci do powozu.

Dzieciaki były podniecone. Hecht uznał nawet, że Vali może się złamać i przemówić. Ale Pella nie potrafił się zamknąć na dość długo, by ktokolwiek zdołał wtrącić słowo.

Hecht kazał zatrzymać powóz przed miejscem zasadzki. Podbiegł jakiś młody oficer.

– Mamy ich, Naczelnny Wodzu.

– Doprawdy? Są jacyś jeńcy, panie Studio?

– Hmm... Nie, sir. Chłopcy z Bractwa zabili wszystko, co się ruszało. Wściekli się nie na żarty.

Hecht westchnął.

– Zabierzcie ciała. Może ktoś zacznie się upominać o swoich poległych. – W ciałach nie dopatrywał się niczego niezwykłego, ale obrzucił je tylko przelotnym spojrzeniem, poza tym światło było kiepskie. – Może jeszcze znajdziemy jakąś wskazówkę, kogo powinniśmy ścigać. – Cholera, należało wziąć jeńców! – Poza tym natychmiast zajmijcie się rannymi, jeśli jacyś są.

Amulet Hechta zaswędziało dwukrotnie, ale nie było to nic poważnego. Stwory Nocy zbierały się, przyciągnięte bólem i silnymi emocjami. Już miał zamiar wsiąść do powozu, kiedy odwrócił się i zapytał:

– To był manewr mylący czy główne przedstawienie?

– Bracia twierdzą, że to było to.

– Ciekawe. Ruszaj – nakazał woźnicy, potem przyjrzał się swej zaimprovizowanej rodzinie.

Vali była blada jak papier. Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Pella zniemacka stał się równie milczący, jak Vali. Anna ścisnęła go za ramię tak mocno, że aż bolało.

– Bawiłam się świetnie. Naprawdę. Wszyscy traktowali mnie znacznie lepiej, niż się spodziewałam.

Zaczęła drżeć. Noc przecież nie była aż tak chłodna.

– Może dlatego, że jedynym zamężnym człowiekiem, który przyprowadził żonę, był Titus. – Poza potomstwem Consenta, Vali i Pella byli jedynymi dziećmi na ceremonii. Jej uczestnicy nie mieli, więc kogo

rozpieszczać, a na dodatek Pella zręcznie sprzedawał tragedię biednej, niemej dziewczynki. – Dlaczego nie mieliby ci nadskakiwać? To wszystko stare capy. A ty byłaś najpiękniejszą kobietą z obecnych. Bałbym się zostawić cię sam na sam z prowincjałem. Biedny, mały Armand.

– Piper! – Ale Annie wyraźnie się te słowa spodobały. Wcześniej korzystała z okazji, wypijając morze najprzedniejszych trunków. – Gdzie wyście zniknęli z tym starcem? Czy może to nie na uszy dziewcząt?

– Piliśmy kawę. Świeżo paloną z Ambonypsgan. Może żal było mu dzielić się ze wszystkimi. – Hecht znenacka zadrzał.

– Co?

– Dziwne uczucie. Jakby coś, z czym wcale nie chcemy się spotkać, właśnie zaczęło nas śledzić.

– Kobieta na placu twierdzi, że to się dzieje przez cały czas. Mnóstwo ludzi nie wychodzi z domów po zmierzchu.

Nie było w tym nic niezwykłego. Nawet w najlepszych czasach ulice Brothe były niebezpieczne. Hecht rozejrzał się dookoła, ale nic osobliwego nie zobaczył. Pominąwszy jakiegoś mężczyznę w brązowych łachmanach, ulica była całkiem pusta, a tamten nie interesował się powozem.

Kiedy nie przebywali razem, Piper Hecht i Anna Mozilla poruszali się w całkowicie różnych kręgach towarzyskich. Na jego życie składały się wyłącznie problemy kompanii i regimentów oraz kwestie, jak je wyżywić, uzbroić, opłacić, przetransportować, wreszcie zadbać, by służący w nich żołnierze byli zadowoleni. Musiał myśleć szybciej i lepiej niż ambitni panowie wojny z Imperium Graala, pomniejsi wrogowie, jego pracodawcy oraz sam Wzniosły. Ten ostatni zresztą przysparzał mu najwięcej bólów głowy. Nigdy się z nim nie widywał. Jego decyzje nie grzeszyły racjonalnością, sprawiając często wrażenie dyktowanych kaprysem. Zbyt wiele pomysłów, jak choćby listy kaperskie wystawione Haidenowi Backe'owi, rodziło się w tak ścisłych kręgach najbliższych zauszników Wzniosłego, że nawet jego kuzyn Bronte Doneto rzadko wiedział, co zdarzy się w następnej kolejności.

Hecht rzekł:

– Odnoszę wrażenie, że prowincjał Delari jest mną rozczarowany. Ale nie potrafię pojąć, dlaczego.

– Musisz mi więcej mówić. Chyba, że to dotyczy ściśle tajnych spraw Kolegium.

Opisał swoje ostatnie spotkania z Munierem Delarim. Anna zadawała pytania. Celne.

– Najwyraźniej chodzi tu o coś więcej niż o wielką mapę w podziemiach. Już choćby stąd, że tak ją pogrzebali, że utrzymują w ścisłym sekrecie, należy wnosić, że jest to poważny magiczny artefakt. Albo takim się stanie, gdy ją ukończą. Z twoich opowieści wynika, że wciąż ją budują.

– Jesteśmy w domu. Pozwól, niech się najpierw rozejrzę. – Wciąż nie mógł się opędzić od wrażenia, że w pobliżu znajduje się jakaś obecność. Mimo że amulet trwał w uśpieniu. – Wy, dzieciaki, musicie się zaraz położyć do łóżka. – Wyraźnie było widać, że z tym nie będzie kłopotów. Vali już prawie spała, wyczerpawszy wszystkie zasoby energii, i do łóżka trzeba będzie ją zanieść. Pella szedł, ale powłóczył nogami.

Hecht nie dostrzegł nic osobliwego. Zapłacił woźnicy, dodając suty napiwek. Tamten zaczął się unizenie kłaniać. Czasy były ciężkie.

Powóz oddalił się przy akompaniamencie stukotu kopyt zaprzęgu po mokrych kamieniach bruku. Niedawno z nieba zaczęła się sąć drobna mżawka. Hecht ostatni wszedł do domu, oglądając się za siebie niczym ariergarda osłaniająca desperacki odwrót. Woźnica się spieszył, więc lampy wozu szybko zniknęły za rogiem i na ulicy zapanowały całkowite ciemności.

Podczas gdy Anna kładła dzieci spać, Hecht sprawdził zamki w drzwiach i okiennice. Vali faktycznie trzeba było zanieść do łóżka.

Już w łóżku, ale wciąż nerwowo czujny, Hecht zauważył:

– To, co powiedziałaś o mapie prowincjała. Za to cię właśnie kocham. Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy. – Może to właśnie jego ślepotą była przyczyną rozczarowania prowincjała Delariego?

– Porozmawiajmy o zasadzce, Piper. Chodziło o ciebie?

– Wątpię.

– O czym rozmawiałeś ze starym? Kiedy piliście kawę.

– O Rudenesie Schneidelu.

– Może on myśli, że wiesz coś i mu nie mówisz? – Najwyraźniej sądziła, że z nią właśnie w ten sposób postępuje.

– Kochanie, przed kilkoma tygodniami jeszcze nawet nie słyzałem o Rudenesie Schneidelu.

– Więc być może on nigdy nie słyzał o Piperze Hechcie. Albo znacie się pod innymi imionami. Takie rzeczy się ciągle dzieją.

Słuszna uwaga, pomyślał Hecht.

Już miał powiedzieć, że nie zna nikogo z Artecipei, jak też nigdy nawet nie słyszał o Górnych Athaphile czy Artecipei, zanim się dowiedział, że są dla Schneidela domem, ale zamarł z otwartymi ustami. Pomyślał o Vali. Pomyślał o czymś, co już dawno temu powinno mu przyjść do głowy. O czymś, co będzie wymagało wizyty u świeżo upieczonego episkopalnego chaldaranina, nim źródła informacji Consenta ze szczętem wyschną.

Anna tymczasem ciągnęła:

– Dużo łgania było też na temat tego, kto skąd pochodzi. Ale zapomnijmy o tym. Czas się przekonać, czy nie wypięłam za dużo, żeby zaznać innych rozkoszy.

Koszmar był tak realny, że jeszcze długo po przebudzeniu Hecht nie mógł się z niego otrząsnąć. Anna pytała:

– Co to było? Cały się trzęsiesz.

– Koszmar. Nie miałem ich już od jakiegoś czasu.

– Ten o twojej matce?

Hecht zmarszczył brwi. Nie podejrzewał Anny o talenty telepatyczne. Sama twierdziła, że ich nie ma. Ale czasami potrafiła go zaskoczyć.

– Od tego się zaczęło. Zresztą jak zawsze. – Te same wspomnienia, które prześladowały go od czasu, gdy dawno temu zapłakany zasypiał w Szkole Żywiłowego Narybku, kiedy przyjmowano do niej nowego niewolnego chłopca. Wątpił, by dziś był w stanie poznać swoją matkę, nawet gdyby wyglądała jak ongi i nawet gdyby we własnej osobie weszła do środka i natarła mu uszu.

– To musi być okropne, kiedy jest się małym i nie ma rodziny.

Tam sam musisz sobie stworzyć rodzinę. Albo giniesz. Na tym cała rzecz polega.

Szkoły sha-lugów wypuszczały absolwentów, którzy byli twardymi mężczyznami i którzy gardzili wszystkimi nie sha-lugami.

Piper Hecht obawiał się, że zmiękł podczas pobytu u niewiernych, niemniej w głębi serca pozostał nieugiętym sha-lugiem. Sha-lugowie wciąż byli jego braćmi, jego rodziną.

– Od tego się zaczęło?

– Hę? Och. Tak. Potem zrobiło się ciemno. Był jakiś potwór, którego nie widziałem, ale wiedziałem, czym jest. Gdybym go złapał, mógłbym go zabić. Ale nie potrafiłem go złapać. Potwór robił okropne rzeczy ludziom,



na których mi zależy. I był coraz bliżej mnie. To znaczy, że to nie ja byłem myśliwym.

– To straszne, Piper, ale brzmi jak typowa treść snów.

Hecht jęknął. Zgadzał się. Ale...

– To nie wyglądało jak zwykły sen. To było, jakby mój umysł tworzył obrazy, które potrafię zrozumieć.

– Myślisz, że możesz poleżeć spokojnie i postarać się zasnąć?

– Pewnie nie. Ale spróbuję.

Sen nadszedł szybciej, niż oczekiwał, choć to przeczucie bliskiej grozy nie opuściło go do końca.

Anna pozwoliła mu pospać dłużej. Obudziła go dopiero, gdy pojawił się sąsiad szukający osoby mogącej wystąpić w urzędowym charakterze.

– Nie mają pojęcia, do kogo się zwrócić – poinformowała go, gdy przecierał oczy.

Narzekając, wyszedł na zimny świat i poszedł obejrzeć ciało znalezione przez jakieś dzieci. Pella i Vali kręcili się wokół Anny i konsekwentnie szli za nim, choć nie tak blisko, by je przyłapał i odesłał do domu.

Na widok trupa Hecht zeszytniał. Nie przez wzgląd na potworne obrażenia, ale dlatego że znał człowieka. Który zresztą nie miał nic do roboty w promieniu tysiąca mil otaczających Miasto Ojczyste.

– Znasz go, wasza miłość?

– Przykro mi. Nie. To tylko te rany.

Jeden z gapiów powiedział:

– To nie pierwszy, który został tak poszarpany.

– Ale ten wygląda mi na cudzoziemca – zgodził się drugi.

Hecht pokiwał głową. Martwy wyglądał jak ktoś, kto próbuje udawać Brotheńczyka, nie znając wszystkich niuansów.

Za życia był to Hagid, syn Nassima Alizarina al-Jebal, żołnierz w oddziale Else'a Tage. Umieścił go tam ojciec, żeby zaznajomić z polem bitwy. Nassim Alizarin, zwany Górą, był z kolei zausznikiem Gordimera Lwa. Starym kolegą ze szkoły. Nassim posłał Hagida do wojska na zasadzie milczącego porozumienia, że chłopak wróci do domu, nawet gdyby w tym celu mieli polec wszyscy inni.

Kiedy znaleźli się sami w domu (dzieciaki postanowiły jeszcze zostać na dworze), Hecht poinformował Annę:

– To był dobry chłopak. Bardzo się starał. Ale zaczął piętnaście lat później niż reszta oddziału. Nie wyobrażam sobie, dlaczego w ogóle opuścił al-Karn, kiedy już dostarczyłem go żywego do domu.

– Jesteś pewien, że to nie ktoś inny, tylko bardzo podobny?

– Jestem pewien! – Był zły. – Oto kolejna tajemnica, której nie będę miał czasu rozwiązać. A nie mogę poprosić nikogo innego.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

– Kochanie! Zanim wpadniesz na jakiś pomysł, idź zobacz, co się stało z...

Pella wpadł do środka.

– Anna, musisz to zobaczyć! Częściowo obdarty ze skóry, z rozprutym brzuchem. Mówią, że to coś wyszarpało mu serce i wątrobę.

Na widok spojrzenia Hechta Pella umilkł.

– Chcę tylko, żebyś zapamiętał, że chodzi po dworze stwór, który robi ludziom takie rzeczy.

Pella zareagował stosownym przestrawieniem, który trwał może trzydzieści sekund.

– Przynajmniej Vali ma dość rozumu, żeby się bać – powiedziała Anna, gdy dzieciaki pobiegły do kuchni. – Lepiej będzie, jak je będę miała na oku.

Ale dzieci wkrótce wróciły, podniecone, jedząc ciastka z bakaliami i sypiąc wszędzie okruszki.

– One są beznadziejne! – poskarżyła się Anna. – Freke odejdzie z pracy. Freke (co należało wymawiać: „Frek-i”) Błagowidow była dochodzącą sprzątaczką i pomocą Anny. A poza tym uchodzącą w naprawdę wielkiej potrzebie, więc nie było mowy o tym, aby zrezygnowała.

– Następnym razem, kiedy odwiedzę łaźnie, porozmawiam z Herren i Wiosną.

– O, nie. To jest mój dom. Nie będziesz sprowadzał tu swoich zabawek.

Hecht z radością wdał się w sprzeczkę. To odwracało uwagę Anny od Hagida.

Naczelnny Wódz rzadko bywał sam. Zwłaszcza od zamachów na jego życie. Nieraz miał ochotę zniknąć w rozgardiaszu Miasta Ojczystego, wślizgnąć się do ambasady Dreangeru albo spotkać się w jakiejś kryjówce ze szpiegiem kaifatu al-Minfet, lecz sposobność jakoś się nie nastęrczała.

Prowincjał Delari zapytał:

– To ciało również kazałeś przywieźć?

– Tak, panie. Uznałem, że zechcesz je obejrzeć.

– Powoli tworzy nam się niezła kolekcja anatomiczna. Choć zeszłego wieczora zaczęliśmy już wydawać ciała poległych. Ludzie po nie przychodzą. Tych, którzy cię zaatakowali, sami pogrzebaliśmy. Nikt się po nie zgłosił.

Hecht był zaskoczony.

– A po tamte się zgłaszają?

– To wszystko mieszkańcy miasta. Wściekli Brotheńscy, którzy chcieli przyłożyć tym, co są u władzy, za to, że są u władzy, kiedy oni się wściekają. Jeśli nadażasz.

Hecht nie nadażał i to też powiedział.

– W mieście wzbierają nastroje rewolucyjne. Jak dotąd umknęły uwagi czynników oficjalnych.

To Hecht rozumiał.

– Devowie nie pokwapili się nas ostrzec?

– Powiedzmy raczej, że człowiek o mojej pozycji, logicznie rzecz biorąc, nie może pokładać ufności w lojalnej współpracy i wiernym poparciu ludzi, którzy czczą fałszywych bogów.

Hecht przez chwilę się zastanawiał, czy nie przypomnieć prowincjałowi, że Aaron z Chaldaru nigdy nie głosił, iż jego bóg czymkolwiek się różni od boga devedian. Ale doktryna Aarona i Założycieli bardzo mgliście przypominała wiarę jego episkopalnych spadkobierców.

– Znalezione jakichś devów wśród poległych?

– Nie. Głównie bezrobotni episkopalni, którzy wedle słów krewnych zadali się z Towarzystwem winiącym Wzniosłego o wszelkie zło świata.

– Ciekawe. Po wiekach przekonywania ich, że Ojciec Święty jest nieomylny. Może zasadzka była częścią większego spisku?

– Podejrzewam, że tak, była, ale pod wpływem chwili, w jakiejś winiarni, banda pijaków wzajemnie podbijających sobie bębenek doprowadziła do przedwczesnej realizacji czyichś zamiarów. Zapewne nie chcieli się posunąć tak daleko. I pewnie inaczej by się to skończyło, gdyby na miejscu nie było Bractwa.

– Tak, oni nie stosują półśrodków. Dla nich wszystko jest albo czarne, albo białe.

– Są ludzie, którzy cały świat muszą mieć wyrysowany kreską absolutu. W naturalny sposób grawitują w szeregi Bractwa.

Na Pinkusa Ghorta spadła dalsza część problemu poległych. Nie aresztował nikogo z tych, którzy zgłaszali się po ciała. Miał nadzieję się dowiedzieć, jakie mają powiązania i z kim.

– Może Pinkus sam wszystko zorganizował, żeby zachować swoją robotę. Nie, panie. Żartuję. Lecz z drugiej strony wygląda na to, jakby Pięć Rodzin nie widziało już sensu dalszego utrzymywania Miejskiego Regimentu.

– Och. Nie zawsze wiem, kiedy mówisz poważnie, a kiedy żartujesz.

– Nie tylko ty, panie.

– Tak. Przyjrzyjmy się, więc twojemu trupowi.

Hecht trzymał się z boku, żeby się nie plątać staremu pod nogami. Delari mruzczał pod nosem. Hecht obawiał się, że ciało może zdradzić, skąd przybył jego właściciel.

Prowincjał zauważył:

– Prawdopodobnie był z Calziru. Z całkowitą pewnością pramanin. Jednak jego jedyny i prawdziwy Bóg nie uchronił go przed tą grozą.

– Panie?

– Mamy problem, Piper. W rodzaju tych, o których dotąd jedynie zdarzało mi się czytać.

– To znaczy?

– Wśród nas jest nekromanta. Czarownik, który zabija ludzi na potrzeby swej magii. I teraz rzucił nam wyzwanie. Prowokuje nas, żebyśmy zaczęli go szukać. Zapewne po to, by nas wyciągnąć na zewnątrz.

– Naprawdę? – Hechtowi nie chciało się wierzyć. Firaldia była cywilizowaną krainą. Nie działy się w niej takie rzeczy, przynajmniej od czasów Starego Imperium, gdy imperatorowie o czarnych sercach folgowali swoim ego. – Jeśli jakiś ludzki potwór zrobił to dla magicznych powodów, czy nie oznacza to, że wokół kręcą się stwory Nocy, którymi ktoś powinien się zdecydowanie zająć?

– Oznacza. Powinniśmy to przewidzieć. To może być początek poważnego kryzysu.

– Co mogę zrobić?

Szli już w kierunku apartamentów Delariego.

– Nic. Udawaj, że nic nie wiesz. Zwierzak nie będzie oglądał się za siebie, jeśli uzna, że nie udało mu się przyciągnąć naszej uwagi.

– W porządku.

– Wyglądasz na wstrząśniętego.

– Bo tak jest. To zupełnie wykracza poza mój obraz świata. Przekracza granice wyobraźni.

– Wobec tego musisz poszerzyć umysł. Ponieważ nadchodzi groza i obłąd.

– Panie?

– Oficjalnie o niczym nie wiem. Frakcja Wzniosłego nasadziła na mnie Hugona Mongoza. Nie zdając sobie sprawy, że Mongoz też nie do końca jest tym, na którego z pozoru wygląda.

Hecht drgnął zniecierpliwiony. Widząc to, Delari się uśmiechnął.

– W takim razie będziesz musiał najpierw wysłuchać krótkiego wykładu, zanim podzielę się z tobą złymi wieściami.

Piper przybrał kamienną maskę. W odpowiednim nastroju prowincjał potrafił snuć niekończące się wywody.

– Jeszcze nie czas rzucać się na miecz, Piper. Postaram się streszczać. Tutaj, w pałacu Chiaro, wspieramy nie tylko frakcje pro-i anty-Benedoctowe... w zależności od tego, która oferuje więcej... ale dzielą nas także naturalne talenty manipulowania Delegaturami Nocy. I nasze skłonności do posługiwania się tymi talentami. Tak, więc choć mamy z Donetem różne stanowiska w sprawie idiotycznych ambicji Wzniosłego, łączy nas kwestia wykorzystania mocy Kolegium.

– Tak też myślałem. Ty i prowincjał Doneto nie kłóćcie się nawet w połowie tyle, ile powinniście.

Znowu ten pobłażliwy uśmiech starego człowieka.

– Dobrze. Nie prosiłeś o to. Więc dostaniesz. Wzniosły mimo wszystko chce ukarać księcia Germę fon Dreassera i Clearenzę. Dowiedział się, że Lothar jest chory i zapewne nie wyzdrowieje. A uwagę imperialnego dworu odwraca kwestia sukcesji.

Hecht zatrzymał swoje zdanie dla siebie i zmilczał. Nawet prowincjał Delari miał poważnie zniekształcony obraz dworu Imperium. Poza Pinkusem Ghortem Hecht nie znał nikogo, kto brałby serio Ferrisa Renfrowa. W wypadku Delariego nietrudno było zgadnąć dlaczego. Osa Stile lał zatruty miód w uszy starego. I donosił o wszystkim, czego się prowincjał dowiedział, gdy tylko sam to odeń wyciągnął.

Ferris Renfrow dowie się o zmianie stanowiska Wzniosłego w sprawie Clearenzy, zanim ktokolwiek zająknie się na ten temat oficjalnie.

– Co mi z tego przyjdzie, gdybym zaprotestował przeciwko tej głupocie?

– Kiedy kłócisz się ze Wzniosłym, on po prostu robi się coraz bardziej uparty.

– Znam takich. Moja siostra... Panie?

– Piper? Och. Nic takiego. Po prostu jestem zaskoczony. Nigdy nie wspominasz o swojej rodzinie.

– Nie myślę o nich wiele. I nie wspomniałbym w obecności nikogo, komu nie ufam. – Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały odpowiednio tajemniczo. Nie ośmieliłby się przestać być tym, kim był naprawdę.

Dotarli do apartamentów prowincjała. Stary wszedł do środka, zatrzymał się.

– Powinieneś wracać do pracy. Rankiem otrzymasz rozkazy. Ja zacznę się rozglądać za tym nekromantą.

Hecht kątem oka dostrzegł Osę Stile. Chłopak miał dar czajenia się. Jeżeli stało się blisko zasłony lub gobelinu, można było założyć, że Osa Stile znajduje się bliżej, niż człowiek się spodziewa.

Hecht rzekł:

– Nie skreślałbym Lothara. On jest zawsze chory. I zawsze zdrowieje.

Delari zmarszczył brwi. Nie bardziej chciał dawać wiarę takim słowom niż Wzniosły. Ale zapewne z innych powodów.

Zanim Hecht zdążył wyjść z pałacu, wpadł na Pinkusa Ghorta.

– Widzę, że już słyszałeś. Mój szef chciałby wiedzieć skąd.

– A skąd ty wiesz? – Hecht zapytał, co Ghort ma na myśli.

– Mój szef jest totumfackim twojego szefa. A ja mam przyjaciół, którzy nadstawiają uszu na wszystko, co powie. Wiesz, że on mówi do siebie. Kiedy sądzi, że jest sam.

– I co z tego, skoro nie odpowiada?

– Ależ odpowiada. Naprawdę. To bywa dość przerażające.

– Pewnie to od czasu, który spędził zamknięty w Plemenzy z tobą i ze mną.

Ghort zachichotał.

– A więc, czego chcesz?

– Wprowadzić cię w to, co się stanie.

– Wobec tego, dzięki. Doceniam twoją troskę.

– I zapytać o ostatnią noc. Źle było?

– Gorzej, niż myślisz. – Hecht opowiedział mu o martwym mężczyźnie, znalezionym w pobliżu domu Anny.

– Cholera. Brzmi jak naprawdę wielkie gówno. Najczarniejsze rzeczy z bajek.

– Nikomu nic nie mów. Nie chcemy, żeby ten potwór się zorientował, że wiemy.

– Nie ma sprawy, chłopie. Ja będę się od tego gówna trzymał z daleka. Inna sprawa z ludźmi, którzy chcą mieszać w tym gównie. Jeżeli się nie spotkamy, zanim wyruszysz na swoją wojnę, to, kurwa, powodzenia.

– Będzie mi potrzebne. – Dobrze mu płacono nie za to, żeby myślał, ale żeby wypełniał wolę Patriarchy, jakkolwiek źle była skierowana. Żeby tamten nie myślał o swoich ambicjach w Ziemi Świętej, należało w nim pielęgnować zastępcze szaleństwo.

Hecht często zastanawiał się nad stanem umysłu Wzniosłego. Nie znał Patriarchy. Rzadko zdarzało mu się go widywać. Może raz zamienił z nim kilka słów, zresztą na jego wyraźne żądanie. Nie sądził, by Wzniosły go rozpoznał bez konieczności przedstawiania, choć był pierwszym żołnierzem Kościoła.

I nie spodziewał się, że ten stan rzeczy ulegnie zmianie. Rozkazy przyniesie mu Bronte Doneto lub inny z zauszników Wzniosłego, którym będzie jeden z krewnych znacznie rzadziej pokazujących się publicznie niż prowincjał.

Titus Consent wydawał się pogrążony w czarnych myślach. Hecht zapytał:

– Co, ponieważś dopadły cię wątpliwości?

– Nie o to chodzi.

– Naprawdę? Więc znasz siebie lepiej niż ja. Czy nie jest tak, że wszyscy devedianie w Brothe uprzykrzają ci życie?

Na twarzy Consenta pojawił się dziwny wyraz.

– Kto, twoim zdaniem, jest ostatnim devem, jaki się nawrócił, sir?

Hecht nie potrafił sobie żadnego przypomnieć.

– Wielu musiało. Kiedyś na świecie nie było żadnych praman i chaldaran.

– To prawda. Założyciele się nawracali. Niektórzy z Założycieli. Przede wszystkim ci, którzy nie byli devedianami. Ci, którzy się rodzili w tej wierze, nigdy nie uważali się za nikogo innego.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że nawrócenie może nie jest zupełnie niespotykane, ale zdarza się rzadko. Brotheńscy devowie nie potrafią sobie przypomnieć ostatniego

przypadku, kiedy to się zdarzyło w mieście. A więc są pewni, że w moim wypadku również do tego nie doszło.

– Rozumiem. To może się przydać. – On sam nie bardzo wierzył w nawrócenie Consenta. – Dzięki temu moje życie będzie łatwiejsze. – Może.

Z punktu widzenia Pipera czyn Consenta był dość niefortunny, ponieważ wskutek tego rosły szanse na obnażenie jego niedostatków jako chaldaranina.

– Dlaczego?

– Obawiałem się, że z dnia na dzień znikną wszystkie twoje kontakty. W sytuacji, gdy potrzebujemy ich najbardziej.

Consent pokiwał głową.

– To prawdopodobnie i tak by się nie stało, nawet gdyby devowie uwierzyli w moje nawrócenie. To jest gra typu coś za coś, a informacje płyną w obie strony. Oni naprawdę chcą wiedzieć, co myśli Patriarcha.

Hecht rozumiał. Każdy chciał to wiedzieć.

– A dlaczego wciąż zdradzają chęć współpracy? Wojna się skończyła. – Wysiłek szpiegowski devów w trakcie krucjaty calzirskiej zapewnił im nietykalność przed gniewem najeźdźców.

– Ponieważ wiedzą, że będą następne krucjaty. Jedna po drugiej, póki Wzniosły będzie Patriarchą. Może dłużej, jeśli właściwa mu choroba mózgu przeniesie się na jego następców. I zawsze będą devowie, których trzeba będzie osłaniać.

– Mam ci do powiedzenia dwie rzeczy. Clearenza jest ważniejsza. Niedługo otrzymamy rozkaz wymarszu. Może w ciągu kilku godzin.

– Pracuję nad tym od czasu, gdy książę Germa przeszedł swój polityczny zawał. Jesteśmy w dobrej formie. Pomaszerujesz szybko. Ludzie Imperatora nie będą w stanie zareagować natychmiast. Zajęci są polityką wewnętrzną.

Ale na kolanach prowincjała Delariego siedzi Osa Stile.

– Dowiedzą się w momencie, gdy zaczniemy wkładać buty.

Consent przytaknął. Brothe było pełne szpiegów i sympatyków Imperium.

– A druga sprawa?

– Gdzieś tam jest człowiek, którym poważnie interesuje się Bractwo Wojny. Może nawet Specjalne Oficjum. Nie mam pojęcia, kim on jest. Jego córka została porwana. Żli faceci zabrali ją, ponieważ chcieli go zmusić,



żeby pomógł im w jakiejś tajemniczej intrydze. Chcę wiedzieć, o kogo chodzi.

– I to wszystko, co możesz mi dać?

– To wszystko, co mam. O wszystkim dowiedziałem się ukryty w cieniach w Sonsie. To miejsce, gdzie jest centrum spisku.

– Wyrzucono nas z Sonsy. Przecież wiesz. Było dość lamentu na temat tego, że devowie mogą sami zacząć się bronić.

Hecht pokiwał głową, ale nie uwierzył Consentowi.

– W intrygę wplątana jest przynajmniej jedna z Trzech Rodzin, Durandanti. Wcześniej mieli dobre kontakty z Bractwem. Niewykluczone, że spiskowcy otrzymują rozkazy z Castella dallas Pontellas. Kiedy Ghort i ja udaliśmy się do miasta, kazali nam zawieźć przesyłkę kurierską.

– Jeżeli to coś tajnego i Castella jest zaangażowana, prawdopodobnie Patriarcha też w tym siedzi.

– Przyszło mi to do głowy.

Consent ukłonił się lekko.

– Zrobię, co w mojej mocy, Wodzu Naczelny.

Wódz Naczelny Piper Hecht z dwiema setkami ludzi i dwoma mosiężnymi armatami niewielkiego kalibru obozował pół mili od wschodniej bramy Clearenzy. Dwustu ludzi nie mogło się pokusić o oblężenie miasta. Nie ingerowali też w ruch panujący na trakcie do miasta, znanego ze swych haftów na lnianym i cudownie kolorowego szkła.

Książe Germa postanowił nie wydawać im walki. Pochodził z rodziny wiernych episkopalnych. Nie chciał prowokować Patriarchy aż tak, by zmusić go do wydania Bulli anatemy i ekskomuniki. Ale Dreasser nie podjął żadnych prób rozmów z Naczelnym Wodzem Wzniosłego. Jego pogarda dla Patriarchalnych była niemal dotykalna.

Piper Hecht siedział pod płócienną markizą. Pogoda była pod psem. Kolejny dzień w paradzie zimnych, ponurych, deszczowych dni. Wraz z Redfearnem Bechterem trzęśli się i przyglądali Clearenzy. Za zasłoną mżawki miasto kojarzyło się z gigantycznym, szarym dzikiem.

– Moglibyśmy zająć dwory wiejskich posiadłości na południe od miasta – rzucił Bechter.

– Tak zrób. Przeliczyłem się. Uznałem, że dzięki trudom życia pod namiotami ludzie bardziej przywiążą się do towarzyszy. Ale to jest znacznie gorsze, niż oczekiwałem.

– Lubię elastycznych oficerów – powiedział Bechter. – Drockerowi ujrzenie światła zabrałoby znacznie więcej czasu. – A potem pozwolił sobie na uwagę krytyczną: – Wierni towarzysze nie na wiele się przydają, kiedy umierają na zapalenie płuc.

Hecht mruknął coś nieartykułowanego. Taka była prosta, niekwestionowana prawda o wojnie. Zapewne znacznie więcej ludzi ginęło od chorób niż z ręki wroga. Tak też było podczas krucjaty calzirskiej. Większość konfliktów rozwiązywano, nie uciekając się do straszliwej rzezi. Największa bitwa zachodu rozegrała się pod Themes, osiem lat temu.

Sierżant Bechter był adiutantem Naczelnego Wodza, sam też miał pomocnika o imieniu Drago Prosek. Młodzieniec pochodził z Creveldii, prowincji Cesarstwa Wschodu, która najbardziej przypominała Firaldię zarówno pod względem religii, jak i kultury. Prosek był członkiem-kandydatem Bractwa Wojny. Od pokoleń większość rekrutów Bractwa wywodziła się z enklaw episkopalnych chaldaran w Cesarstwie Wschodu.

Choć nigdy nie traktowano ich tam równie źle jak devedian i dainschauów, episkopalni w sumie byli prześladowaną mniejszością.

Pojawił się Prosek.

– Proszę o rozmowę, sierżancie.

Bechter przywołał go gestem. Drago pochylił się do jego ucha, a potem mówił coś, szybko i cicho. Piper Hecht nie usłyszał nawet jednego słowa. Prosek szeptał tak prawie minutę. Bechter od czasu do czasu kiwał głową. Wreszcie Drago skończył i odszedł na bok. Ale nie zaryzykował opuszczenia schronienia pod markizą.

– Właśnie przybył kurier z Castella – rzekł Bechter. – Przywiózł zwykłe śmieci... i trochę wieści. W Brothe trwają zamieszki. Na tle braków żywnościowych i odpowiedniego schronienia. Ktoś podburza tłum. I przybył pierwszy kufer z pieniędzmi z Arnhandu.

Czy przez to operacja przeciwko Clearenzy stanie się niepotrzebna? Wzniosły mógł sobie odkupić miłość księcia Germy.

Drago Prosek przyprowadził kuriera. Ten podał worek z dokumentami Naczelnemu Wodzowi. Własnymi słowami przedstawił kolejne wieści.

– Nikt nie wie, ile obiecała mu Anne, ale wychodzi na to, że Wzniosły spłaci wszystkie swoje długi. Nawet te, które pozostały mu po elekcji. I jeszcze mu zostanie trochę pieniędzy na nową psotę.

Niedobrze, pomyślał Hecht. Wzniosły będzie mógł uruchomić zupełnie nową linię kredytową. I uposażyć się do zabijania kolejnych ludzi.

– Sierzancie, obawiam się, że nie minie wiele czasu, jak znowu odwiedzimy Connec.

– Chciałbym, żeby pan się mylił, sir. Ale bynajmniej w to nie wierzę. Nasza następna wizyta w tym uroczym zakątku nie będzie równie miła jak poprzednia.

– Ostatnim razem było miło?

– Miało być. I byłoby. Gdyby czarna strona Nocy nie opętała biskupa Serifs.

– Ten człowiek zrobił wszystko, co mógł, aby ludzie go znienawidzili.

– Ci goście, którzy teraz tam są, są chyba jeszcze gorsi.

– Bez wątplenia. Gdzie jest Sedlakova? Przez cały ranek go nie widziałem. Muszę wiedzieć, czy jesteśmy w stanie skłonić te psy, aby zaszczekały. – Miał na myśli armaty. Odlali i zmontowali je devediańscy rzemieślnicy, opierając się na projektach, które zapamiętał ze wschodu. Falkonet sha-lugów miał rzekomo być tajną bronią. Niemniej okazało się, że devowie z Firaldii wiedzą więcej o prochowych broniach miotających niż on i rozumieją je lepiej.

– Mamy kłopoty z ochroną prochu przed zawilgoceniem, nie chce się palić – wyjaśnił Bechter.

Prawda. Sedlakova miał rozwiązać problem, susząc proch w niskiej temperaturze i uważając, by nie liznęły go płomienie.

Hecht otworzył pakiet kurierski.

– Łącznik. Widziałeś na własne oczy jakieś zamieszki?

– Nie, proszę pana. W Castella ogłoszono alarm. W stan gotowości postawiono też Gwardię Patriarchalną. Ale ze wszystkim poradził sobie Regiment Miejski.

– A oni wciąż nie chcą dać gwarancji Pinkusowi – mruknął Hecht. Pięć Rodzin nie chciało ponosić wydatków na utrzymanie Regimentu Miejskiego. W ich przekonaniu nie był wart kosztów, jeśli nie mogli go wykorzystać wzajemnie przeciwko sobie. – Mów dalej – zwrócił się do kuriera. – Słucham. – Czytał, kiedy tamten mówił.

Titus Consent miał całkowitą rację w sprawie byłych współwyznawców. Dalej chętnie współpracowali.

Ostatecznie Consent też wziął udział w ekspedycji. Teraz znajdował się w Clearenzy. Oblężenia nie było. Hecht dawał przedstawienie obliczone na onieśmienie księcia Germy. Jeżeli fon Dreasser pozostanie uparty, a jego imperialni przyjaciele nie wesprą go bardziej niż do tej pory, wezwie dalsze oddziały i rozpocznie regularne oblężenie.

Przeciwnik orientował się w tych planach równie dobrze, jak on.

Słowo o pomyślnej odmianie w finansowych losach Wzniosłego będzie się rozchodzić. Żołnierze będą chętniej słuchać rozkazów.

Jeżeli historia o Anne z Menandu jest prawdziwa, jak jeszcze można zaszkodzić Wzniosłemu?

Jak można przetransportować taki skarb z Salpeno do Brothe? Przecież niezliczone rzesze mogą się pokusić o jego przejęcie. W szczególności niebezpieczny może się okazać Grolsach. Ci ludzie byli tak głodni, że gotowi napaść na sam Kościół.

Jego uwagę przyciągnął łomot grzmotu, dobiegający od strony Clearenzy. Sierżant Bechter, Drago Prosek i kurier spojrzeli w tamtym kierunku przestraszeni.

Jeszcze nie słyszeli, jak psy szczekają.

Hecht zauważył:

– Mam nadzieję, że tu i tam spadną kamienie, które wywrą odpowiednie wrażenie na księciu. – Słowom tym jednak nie towarzyszyła autentyczna nadzieja. Psy pluły kamieniami ważącymi jakieś dziesięć funtów. Nie były w stanie spowodować takich zniszczeń jak tradycyjne balisty. Lecz psy były imponująco głośne, pluły dymem i miały znacznie większy zasięg.

– Po warunkiem, że będziemy mieli szczęście i przebiją kilka dachów, a tamtym mżawka zacznie kapać na głowy – stwierdził Bechter.

– Prawdę mówiąc, sam najchętniej wróciłbym do domu i przestał się męczyć w taką pogodę.

– Gdybym miał taką kobietę jak pan, nigdy bym jej nie zostawił, sir.

– Doceniam pańskie wyrazy uznania, sierżancie. Pewny jestem, że ona również by je doceniła.

Bechter się zaczerwienił.

– A oto pismo od samego szefa. Chce, żebyśmy się szybko uporali z zadaniem, i tłumaczy to tym, że ma dla nas inną robotę. Krzywisz się na dźwięk imienia naszego pana, sierżancie?

– Jakże bym śmiał, sir. On jest Nieomylnym Głosem Boga.

Drago Prosek był wstrząśnięty. Hecht rozkazał:

– Prosek, idź sprawdź te domy na południe od miasta. Znajdź coś dla nas. Najlepiej, żeby należały do księcia Germy, jeśli się w nich pomieścimy. Kurier. Jakies trzydzieści jardów z tyłu jest kantyna. Idź się ogrzej. Prześpij trochę. Do jutra nic nie będę dla ciebie miał.

– Dlaczego się ich pozbyłeś? – zapytał po chwili Bechter.

– Doprowadzasz ich do apopleksji. Oni obaj naprawdę wierzą, że Patriarcha jest Nieomylnym Głosem Boga.

– Dorosną. Co jeszcze?

Bechter powoli poznawał go coraz lepiej.

– Titus Consent do nas idzie. Nie powinien jeszcze wracać.

Usłyszeli następny grzmot. Głośniejszy, dobiegający jakby nie do końca wiadomo, z której strony. Hecht westchnął.

– Mam nadzieję, że się za czymś schowali, nim zapalili ten lont. Brzmiało to, jakby działo wybuchło. – Takie przypadki powodowały wiele problemów w trakcie testowania tej broni w Dreangerze.

Titus Consent wślizgnął się od tyłu do namiotu, rozbieganymi oczyma poszukując w kątach podsłuchujących, których tu nie było.

– Dowiedziałeś się o czymś niecierpiącym zwłoki? – zapytał Hecht. – Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przez kilka dni.

– Plany trzeba dostosowywać do okoliczności.

– Dobre wieści? Czy złe?

– Zależy od tego, co chcesz zrobić i kim jesteś.

– Masz zamiar zabawiać się ze mną w takie gierki?

– Nie. Wróciłem, ponieważ otworzyła się możliwość, byśmy... Cholera!

– Język, młody człowieku. Język.

Consent uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy białych, doskonałych zębów.

– Co to było?

– Jeden z psów zaszczekał. Nie myślałem, że będziesz zaskoczony. – Po chwili do ich uszu dobiegł drugi grzmot. To oznaczało, że armata jednak nie wybuchła. Hecht zwrócił się do Bechtera: – Idź sprawdź, co oni tam robią. I dowiedz się, o co chodziło z tym głośnym łomotem.

Sierżant Bechter skinął głową.

– Oczywiście, sir. Już się robi.

Chwilę później Consent powiedział:

– Nie musiałeś go odsyłać.

– Nie o to chodzi. Naprawdę chcę wiedzieć, co się stało. Był wybuch. Brzmiało to, jakby jeden z psów wyleciał w powietrze. Te rzeczy są drogie. I prawie tak samo niebezpieczne dla obsługi, jak dla wroga. Dobra. Dlaczego już tu jesteś?

– Nie biorą nas poważnie. W mieście interes kręci się jak zwykle. Żołnierze księcia i jacyś doradcy z Imperium Graala dokonali inspekcji fortyfikacji i zaczęli mówić o wzmocnieniu bram, ale się z tym nie śpieszą. Nie sądzą, byśmy otrzymali pomoc z naszych garnizonów. I spodziewają się własnych posiłków.

– Kiedy?

– Nie wiem. Oni też nie wiedzą. Ale Lothar obiecał przysłać kompanię Braunsknechtów.

– Czyli niedobrze. Ale przybył pierwszy transport pieniędzy od Anne z Menandu. To powinno zmienić równowagę sił.

Consent był nastawiony sceptycznie.

– W takim razie radzę natychmiast brać się do dzieła.

– Powiedz mi, o co ci chodzi.

Titusowi Consentowi chodziło o to, aby przeprowadzić walny szturm na Clearenę, zanim ktokolwiek uzna, że istnieje najmniejsza szansa, iż Wódz Naczelny pokusi się o coś więcej niż wywieszenie sztandaru.

Nocne niebo zaczęło się przejaśniać, gdy Patriarchalni ruszyli chyłkiem ku miastu. Nie robili właściwie żadnego hałasu, nie licząc warknięć towarzyszy broni, żeby nie hałasowali. Zza zimnych chmur zwiastujących śnieg wyglądały fragmenty tarczy księżyca.

Północna brama Clearenzy należała do mniejszych. Przez nią szły do miasta transporty płodów rolnych. Brama była zawarta, ale nie wbudowana w nią furta. Pod osłoną nocy, bowiem odbywał się nielegalny handel. Titus Consent i kilku devedian wysunęło się naprzód. Wszyscy prócz episkopalnych chaldaran za dnia nękami byli ogromnym pogłównym.

Wartownicy niczego się nie spodziewali. Byli tak rozluźnieni, że skradanie się okazało się niepotrzebne. Jedyny, który nie spał, aby zgarnąć łąpówki, był tak wpatrzony w dzban wina, że znalazł się w więzach, nim pojął, o co chodzi. Zdążył powiedzieć jedynie:

– O, cholera!

– To jakaś pułapka? – mruknął Piper Hecht – Przecież niemożliwe, żeby panowało tu takie rozprężenie, skoro wróg stoi u bram? – Choć taką samą niefrasobliwą postawę obserwował każdego dnia, wszędzie. Firaldiańscy żołnierze nie kultywowali profesjonalnych tradycji. Może dlatego, że w sumie dość rzadko walczyli. – Proszę, powiedz mi, że to nie pułapka.

– Jeśli tak, to zastawiają ją już od dziesięciu lat.

– Naprawdę? – Czy więc Pinkus Ghort miał tutaj swoją przygodę wcześniej? Czy też opowieść o służbie na wartowni stanowiła kolejną z jego bajek?

– To była łatwa część zadania – powiedział Consent. – Teraz musimy dotrzeć do cytadeli, nie wzniesając alarmu. Jeśli zamkną nas za murami cytadeli...

– Myślałem, że książę każdej nocy chodzi na kurwy.

– Nie każdej. Nie jest już taki młody jak niegdyś. Ale często.

– Żaden z nas nie jest już taki młody jak niegdyś. Poślij czujki.

Trzy drużyny po trzech mężczyzn udały się do domów uciech, które najczęściej nawiedzał książę Germa. Ich zadanie polegało na sprawdzeniu, czy książę tam nie ma. To będzie oczywiste. Gdziekolwiek się udawał, książę wszędzie włókł za sobą orszak. Łącznik przyniesie z każdego miejsca słowo dla Consenta. On będzie czekał pod cytadelą. Jeżeli fon Dreasser bawi w mieście, spróbują zdobyć bramę cytadeli. Wyruszając na swe podboje, książę zawsze zostawiał ją otwartą. Albo przynajmniej takie były jego zwyczaje od chwili nadejścia sił patriarchalnych, które zmusiły go do porzucenia dworu za murami miasta.

Hecht poinformował Bechtera:

– Jeśli teraz nam się nie uda, wykończę go, zakładając sobie kwaterę główną w jego dworze.

– Czy nie mamy oszczędzać jego własności? Wzniosły chce go mieć z powrotem po swojej stronie.

– Musiałem nie zrozumieć rozkazów.

Bechter westchnął. Dochodził do siebie po drodze z obozu. Był w niezłej formie, ale miał swoje lata, a próbował dotrzymać kroku ludziom zazwyczaj młodszym od Naczelnego Wodza.

– Mają dostateczną przewagę. – Oddział Consenta odszedł pięć minut temu. – Drużynami, ruszać. Szybko – zarządził Hecht.

Dowódcy drużyn przeszli odprawę u Titusa Consenta, ale Hecht był pewien, że któryś się zgubi. Clearenza nie była wielka, ale za to stara i rozwijała się w sposób organiczny. Ulice były kręte i nieoznakowane.

Zamieszanie to naturalny stan na polu bitwy. Hecht miał nadzieję spowodować więcej zamieszania w szeregach wroga, niż wkradnie się w jego szeregi. Jego ludzie powinni wiedzieć, co robić, nawet, gdy sytuacja zmieni się całkowicie.

Każdemu odchodzącemu dowódcy drużyny Hecht powiedział kilka słów otuchy. Nie chciał, by ktoś z nich zginął.

Zadrzał, przejęty nieoczekiwanym chłodem. To już nie była pogoda. Choć może tylko igraszki wyobraźni. A może nie.

Sierżant Bechter mruknął:

– Poczł pan to, sir?

– Co?

– To była jakaś zimna obecność. Nie wiem, jak to inaczej ująć. Jakby coś tu było. Zaraz za tobą. Zerkając ci przez ramię.

– A kiedy spojrzales, nic nie było.

– Właśnie. – To była omal wyczerpująca definicja Delegatur Nocy. – Ostatnio często mi się coś takiego przydarza.

– Mnie też. – Ale to niczego nie wyjaśniało. Przeciwnie, czyniło sytuację bardziej jeszcze niepojętą. Gdyby w pobliżu była jakaś istota Nocy o gabarytach sugerowanych przez dreszcze i odczucia Bechtera, nadgarstek bolałby go tak bardzo, że myślałby o oderżnięciu amuletu. – Zachować czujność – nakazał Hecht ludziom, którzy mieli zostać przy bramie. – Niech ci związani goście w wartowni będą dla was natchnieniem. Sierzancie, idziemy.

Idąc ciemnymi ulicami ku cytadeli, Hecht doszedł do wniosku, że jest tylko jeden powód, by jego amulet nie działał w obecności Delegatur Nocy. Mianowicie, że nie chciał tego er-Rashal al-Dhulquarnen, czyli człowiek, który go stworzył.

Tylko Gordimer Lew i Szakal wiedzieli, że amulet istnieje. Gordimer nie miałby pojęcia, jak się do niego zabrać.

Ale dlaczego czarownik chciał zabić Else'a Tage?

Tego Hecht nie potrafił sobie wyjaśnić. Pewien był natomiast, że er-Rashal próbował tego dokonać od momentu, gdy Else opuścił Dreanger. A może nawet wcześniej.



Ktoś wywołał tego bogona w Lesie Estery, w pobliżu Studni Nieszczęścia, na skraju Równiny Sądu. Else go zabił. A czyniąc to, dowiódł nieznaną jak dotąd słabości Delegatur Nocy.

Odtąd śmierć szła za nim w krok.

U bram cytadeli rozgorzał bój. Z wnętrza dobiegały raz po raz odgłosy wystrzałów, świadczące o tym, że żołnierze palą z ręcznej broni, nie bacząc na rozkazy, by używać jej wyłącznie wobec nadprzyrodzonych wrogów. Hecht rozumiał, dlaczego. Z tej broni można było powalić wroga, zanim znalazł się dość blisko, by zrobić człowiekowi krzywdę.

Jeden z jego młodszych oficerów doniósł:

– Zaskoczyliśmy ich, sir. Ale potem mieliśmy pecha, oni zaskoczyli nas.

– Jak?

– Tam są Braunsknechci. Nie wiemy ilu, ale nie zachowali neutralności.

– Co się dzieje, Titus? Nie wiedziałeś, że oni tam są?

– Wiedziałem, że są jacyś doradcy. Mówiłem ci. Myślałem, że jest tylko kilku. Tak sądzą ludzie w mieście. Poza tym nie musimy zdobywać cytadeli. Księżę zaniknął się w zamtuzie. Posłałem ludzi, żeby go wyciągnęli.

Gwałtowne huk strzałów oznaczały kontratak obrońców.

– Dobrze. – Hecht zgromadził przy sobie oficerów. – Nie naciskamy ich, dopóki porucznik Consent nie da sygnału. Ale zostaniemy tu, póki nie weźmiemy księcia. Titus, nie odchodź. Bechter, potrzebuję coś do rozpalenia ognia. – Dzięki temu Wzniosły powinien zebrać nowy plon nienawiści.

Zadrzał, czując znów ten powiew chłodu. Rozejrzał się dookoła. W oddali zaczęli się zbierać gapie. Przez tłumek przebiegało drzenie za każdym razem, gdy z cytadeli dolatywały strzały.

– Bechter. Rozpędź ten tłum, zanim zmieni się we wściekłą tłuszcę.

– Tak, sir. – Sierżant wziął kilku ludzi, którzy poza tym nie mieli nic innego do roboty.

– Mają go – doniósł Consent – kierują się ku bramie. Powinniśmy pomyśleć o odwrocie?

– Świetnie. Rozpalać ogień. – Pożar utrudni ludziom księcia ewentualną odsiecz.

Kiedy opuszczali miasto, Bechter szedł obok Hechta.

– W tłumie był jeden człowiek, którego widzieliśmy już wcześniej.

– Tak?

– W Brothe. Wzrostu nieco niższego niż średni, średnia budowa ciała, krótko przystrzyżone włosy. Podobnie broda. Ale policzki wygolone. Cera na odkrytych częściach twarzy smagła, więc raczej nie jeden z miejscowych. Włosy przyprószone siwizną. Szare oczy. Jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Wygląda bardzo podobnie jak Grade Drocker w jego wieku. To znaczy, jak wyglądałby Drocker, gdyby nie został kaleką.

– Naprawdę? – Będzie trzeba porozmawiać na ten temat z prowincjałem Delarim.

Uznał, że też musiał widzieć człowieka, o którym wspominał Bechter. Nie zwrócił jednak uwagi na podobieństwo do Drockera. Zresztą nie widział czarownika, nim ten został kaleką. Tylko przez chwilę, z daleka i niewyraźnie.

– Miał brązowe ubranie?

– Tak, sir. A za każdym razem, gdy go widziałem, nasilało się to niesamowite uczucie.

– Warto zapamiętać. Rozglądaj się za nim, gdy już wrócimy do Brothe. Zobaczę, czy nie uda się poszczuć na niego Kolegium.

Sam Patriarcha się pojawił, by wysłuchać raportu Pipera Hechta z operacji w Clearenzy, choć Naczelnemu Wodzowi znów nie udało się z nim bezpośrednio porozmawiać. W czasie, gdy zbierało się Kolegium, Wzniosły przyjął okup za Germe fon Dreassera i księżę już jechał do domu. Żołnierzom się to nie spodobało. Nie otrzymali żadnych udziałów w okupie. A przecież ponieśli straty, choć wprowadzie niewielkie i tylko w dwu wypadkach śmiertelne.

– Nie potrafię zrozumieć, co ten człowiek ma w głowie – Hecht zwierzał się Annie. – W ogóle nie rozumie ludzi. Za tydzień każe moim żołnierzom tłumić kolejne zamieszki. I nie będzie w stanie pojąć, dlaczego po prostu stoją z boku i się przyglądają.

– Tu się robi coraz straszniej, Piper.

Coś w jej tonie głosu zwróciło jego uwagę.

– Tak?

– Nie chodzi tylko o zamieszki. W ogóle już nie czuję się bezpiecznie poza domem. Nie lubię, jak dzieciaki wychodzą. Od czasu, gdy tamten człowiek został zabity. Bez przerwy mam wrażenie, jakbym była obserwowana. A nawet śledzona. Dzieci też to czują.

– Porozmawiam z Pellą. On rozumie ulicę lepiej niż ty czy ja.

Na Annie jego słowa nie wywarły oczekiwanego wrażenia. Powinien się bardziej postarać.

– Z tego, że się jest Naczelnym Wodzem Armii Wiary, wynikają określone korzyści.

– Jakies inne prócz prawa do posługiwania się nadętym tytułem?

– Tak. Mogę kazać ludziom robić różne rzeczy. A oni je robią. Nawet, jeśli uznają, że to absurd robić ćwiczenia w takim miejscu jak to. Zrobią, co każę, ponieważ będą się bali, że im nie zapłacą.

– A to, co niby ma znaczyć?

– Że mogę tu przyjść z żołnierzami i przewrócić całe sąsiedztwo do góry nogami, twierdząc, że to tylko sprawy zawodowe. Będę ścigał heretyków.

Heretycy wkrótce mieli się stać poważnym problemem. W Kolegium dużo już mówiono na temat herezji, głównie wśród zauszników Wzniosłego. Przygotowywano się psychicznie na to, co miało nadejść.

– Przyprawdzą tego idiotę Morcanta Farfoga. Może babok go dopadnie.

Hecht nie spotkał jeszcze biskupa Farfoga. Wiedział o nim niewiele ponad to, że kieruje Patriarchalnym Oficjum na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji, piastując w nim tytuł Głównego Sędziego. Plotka głosiła, że pustoszeją klasztory – tylu mnichów spieszyło z pomocą.

Ze strzępów informacji na temat Farfoga, które dotarły do uszu Hechta, wynikało, że jest on jeszcze bardziej paskudny niż świętej pamięci biskup Serifs z Antieux.

Dlaczego Wzniosły faworyzował takich ludzi?

– Dobra robota w Clearenzy – pogratulował Hechtowi prowincjał Delari, przyłączając się do niego w łaźniach.

Osa Stile uśmiechał się półgębkiem za plecami prowincjała.

– Dziękuję, panie. To głównie zasługa porucznika Consenta.

– Ale to ty wykorzystałeś zdobyte przez niego informacje i przekułś w plan. Ty podejmowałeś decyzje.

– Hm...

– Ty ryzykowałeś. Opłacało się. Większość ludzi wahałaby się, jak Tormond Czwarty, który nigdy sobie nie ufa na tyle, by skoczyć na głęboką wodę. Cierpimy na uwiąd zdecydowania. Każdy chce tylko pewniaka.

– Z pewnością przeżyliśmy niespodziankę, kiedy natknęliśmy się na tych Braunsknechtów. – Choć Imperialni byli jeszcze bardziej zaskoczeni.

Delari zachichotał.

Herren i Wiosna miały dziś lekki napad kultu gwiazd. I zachowywały się nadzwyczaj przyjaźnie.

– Przestań! – skarcił Wiosnę Hecht.

Delari znów zachichotał.

– Zwycięzcę każdy kocha.

– Jest pewien problem, panie.

– To nie brzmi dobrze. O co chodzi?

– Sądziłem, że tylko mi się wydaje, póki sierżant Bechter nie wspomniał, że ma ten sam problem.

Prowincjał słuchał. Hecht opowiedział o niesamowitych uczuciach, jakie go czasami dręczą, i o tym, jak Bechter łączył te uczucia z obecnością tamtego człowieka.

– Sam mogłem go widzieć, raz czy dwa. Bechter mówi, że tamten podobny jest do Grade’a Drockera na kilka lat przed jego nieszczęściem. Choć niższy.

Delari zmarszczył brwi. Śmierć Drockera wciąż go bolała.

Hecht również wołałby nie poruszać tego tematu. Ponieważ niegojące się rany Drockera, które w końcu doprowadziły do zgonu, były jego dziełem.

– Panie, donoszę tylko, com słyszał. Nie znałem Grade’a Drockera przed jego wypadkiem.

– To, co się przydarzyło mojemu synowi, wciąż nie daje mi spokoju, Piper. Spędza sen z powiek. Nie możesz sobie nawet wyobrazić jak bardzo. Ale mówienie ogródkami na nic się nie zda. Jeśli już musisz, powiedz, co ci chodzi po głowie.

– Tak, panie. Choć wiele więcej do powiedzenia na razie nie mam.

– Co u Anny?

– Zamartwia się – wyjaśnił Hecht.

– Z badań ciała zamordowanego mężczyzny nie dowiedzieliśmy się nic więcej. Nikt nie zgłosił się po ciało. Poza żeglarzami i personelem ambasady w mieście nie ma zbyt wielu praman. Zmarły chyba się z nikim nie kontaktował. Gdybym miał pod ręką kogoś o odpowiednich zdolnościach, spróbowałbym wywołać jego cień.

– Panie! – To już graniczyło z najczarniejszym z wyobrazalnych grzechów.

Osa Stile również wydawał się wstrząśnięty.

Może Hagid bin Nassim znał się w Dreangerze z Osą Stile, za dawnych czasów?

Może. Ojciec Hagida mógł wziąć udział w planowaniu operacji. Ale czy Osa widział trupa?

– Tylko myślę na głos. Powiedz Annie, żeby się nie martwiła. Zadbamy, by poczuła się bezpieczniej. – Starzec mówił tak, jakby dekretował nowe prawo przyrody.

Fragment za fragmentem, powoli niczym czoło lodowca, zza fasady prowincjała Muniera Delariego intryganta zaczęło się wyłaniać inne oblicze. Może to był prawdziwy Jedenasty Nieznany? Hecht był już teraz pewien, że Muniero Delari naprawdę jest jednym z czarowników wielkiego kalibru, jakich pospółstwo upatrywało w członkach Kolegium.

– Herren, przestań!

– Nie podoba ci się, Naczelnny Wodzu?

– Za bardzo mi się podoba. Przestań.

Osa Stile uśmiechnął się lubieżnie. Podobnie jak obie dziewczyny. Ale Herren posłuchała.

Delari wykonał drobny gest dłonią. Rozbawienie Osy pierzchno jak zdmuchnięte.

A więc może wcale Osa nie panował do tego stopnia nad starym, jak by sobie tego życzył.

– Istnieją dwa światy, Piper. To twierdzenie szczególnie prawdziwe jest w odniesieniu do Kościoła – wyjaśnił prowincjał Delari. Znajdowali się pod pałacem Chiaro, przyglądając się wielkiej mapie. Hecht nie dostrzegł na niej żadnych widocznych zmian. – Niemniej, jest ono prawdziwe wszędzie. Ordynarny stary świat codziennych namiętności, bólu i rozkładu. Zasadniczo ten świat, w którym dorastamy. Ale jest też inny, którego niewielu może sięgnąć, ale, o którym wszyscy wiedzą, że istnieje. To świat tajemnych mocy i tajemnych mistrzów. Milczące królestwo. Kształtuje ono świat ordynarny, nie zdradzając swej obecności. Równie niechybnie jak Delegatury Nocy, choć bardziej rozumnie i z większą świadomością celu. Milczące królestwo kryje się w przestrzeni między ludzkością a Nocą.

– Takie jest powszechne przekonanie ludzi z talentem? – zapytał Hecht.

Delari przyglądał mu się w napięciu, jakby starał się odnaleźć myśl stojącą za pytaniem.

– Niektórzy z nas zdobyli sobie przyczółek w tym świecie leżącym pośrodku. Wiemy o nim tylko dlatego, że nam go pokazano. Inni, jak nasi bracia ze Specjalnego Oficjum, odmawiają wszelkiej współpracy.

– Pokazano go wam bez żadnych oczywistych powodów? Tylko dla mglistych motywów tych, którzy już znaleźli się wewnątrz?

Na jeden raz kurtyna została uchylona dostatecznie mocno. Prowincjał Delari zmienił temat.

– Dziewczyna już przemówiła?

– Hę... Vali?

– Tak.

– Nie w obecności dorosłych. Rozmawia z Pellą. Czasami. Niekiedy Pella zniża się do tego, by nas poinformować, co ona myśli. Głównie martwi się tym, co się z nią stanie. Dowiedziałeś się czegoś na jej temat?

– Nie. Jest niejaka Vali Dumaine, ale ona jest hrabiną Bleus. Żona hrabiego, który zadarł z Anne z Menandu. Nie mają dzieci. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Plotka głosi, że złe czary nie pozwalają jej począć. Powiadają też, że Anne z Menandu chce kupić arcybiskupa z Salpeno tytułami Dumaine.

– Ona wszystko rozdaje.

– To bardzo zdeterminowana kobieta.

– Ma wszystko do zyskania. To rozumiem.

Hecht nie potrafił pojąć, jak zwykła nierządnicą mogła zdobyć takie wpływy.

– Prywatnie musi być naprawdę niesamowita. – Delari zadumał się.

– Ciekawy?

– W czysto intelektualnym sensie. Chciałbym się z nią spotkać.

– Hm. Ale czy nie można, choć zaryzykować hipotezy, gdzie do tego wszystkiego pasuje Vali?

– Poza zastrzeżeniem, że pośrednie dowody sugerują, iż jednak pasuje, to nie.

– Ale jeżeli Bractwo Wojny się nią interesuje... Panie! Właśnie przyszła mi do głowy mało przyjemna myśl. Związek, którego wcześniej nie dostrzegłem.

– Tak? – Zachowanie starego przywiodło Hechtowi na myśl emerytowanych instruktorów w Szkole Żywiłowego Narybku: czekali, aż wyciągnie wnioski, które wciąż mu jakoś umykały.

– Panie, ludzie przetrzymujący Vali spiskowali ze Specjalnym Oficjum. A do Domu Dziesięciu Galeonów zostałem wysłany przez tych drugich.

– A więc właśnie zdałeś sobie sprawę, że musieli wiedzieć, gdzie jest dziewczynka?

– Czasami bywam trochę tępy, panie. Pamiętaj, że jestem przede wszystkim żołnierzem polowym.

– Możesz dalej prowadzić to rozumowanie? Wyciągnąć kolejne wnioski?

– Panie?

– Czy oni zdecydowali, że lepiej będzie dla Vali, jak znajdzie się z tobą, z dala, bezpieczna przed ludźmi, których lojalność kupują za pieniądze? Może sami cię wysłali, żebyś wy dostał dziewczynkę z Sonsy?

– Nie potrafię stwierdzić, panie. Zazwyczaj myślę bardziej linearnie.

– Rozumiem. Jo jedna z twoich zalet. I całkiem możliwe, że główny powód, dla którego Bronte Doneto rekomendował cię swemu kuzynowi. Jesteś jak ostra klinga, przy której nie ma wielkiego ryzyka, że może cię w obie strony.

Hecht pożałował, że Gordimer Lew nie potrafił tego dostrzec.

– Może. Ale równocześnie Doneto myśli, że może mną manipulować wedle woli.

Delari kaszlnął.

– Jest jeszcze jedna możliwość, Piper. Dla mnie najbardziej widoczna i prawdopodobna.

– Panie?

– Może dziewczyna po prostu wymyśliła całą historię, żeby zdobyć pomoc i wydostać się z paskudnej sytuacji? Tworzenie fikcyjnych historii własnego życia nie jest rzeczą niesłychaną, Piper.

– Hm... zapytam Pelle.

– Dobrze. Zrób tak. Tutaj nie dzieje się nic nowego. Cały czas to samo, na dodatek sytuacja pogarsza się w przerażającym tempie. Czy cała woda z mórz skończy jako lód? Czy nawet Firaldia znajdzie się pod lodem?

Hecht uznał, że najpierw Firaldię zaleją uchodźcy.

Z wielkiej mapy wynikało, że nie będzie żadnej szybkiej i bezpośredniej konfrontacji na tle akcji w Clearenzy. Przełęcz wiodące do serca Imperium Graala pozostawały zamknięte. Kurier mógł się jakoś przedrzeć z wnętrza kontynentu, ale żadne poważniejsze siły zbrojne nie przekroczą gór jeszcze przez wiele miesięcy.

– Wiemy, gdzie przebywa Lothar i jego siostry? – zapytał Hecht.

Johannes Czarne Buty preferował imperialne miasta Firaldii, w szczególności Plemenę. Wolał przebywać w miarę blisko, żeby móc dać Wzniosłemu prztyczka w nos, gdy nasza go chęć.

– Chujwasser. Jeśli chodzi o Lothara.

– Panie?

– Przepraszam. Kiepski żart. Hochwasser. Literalnie oznacza „wysoką wodę”, ale zasadniczo tłumaczy się jako „powódź”. Nazwa wywodzi się ze starożytności. Kiedy nazywane było innym słowem, oznaczającym to samo.

Hecht wiedział co nieco o Hochwasser, ponieważ oficjalnie twierdził, że odwiedził miasto w drodze na południe z Duarnenii. Charakter miasta poniekąd garnizonowego zachowywało od czasów staroimperialnych. Dzisiaj mieściła się w nim kwatera główna straży przybocznej Imperatora Graala, Braunsknechtów.

Dążenia do utrzymywania nawet ograniczonych, ale stałych sił zbrojnych cieszyły się niewielkimi względami wśród szlachty imperialnej. Wszystko, co wzmacniało Imperatora, z konieczności osłabiało ich stan.

Delari powiedział:

– Lothar jest w Hochwasser. Katrin jest albo przy bracie, albo w Grumbrag. W kwestii miejsca pobytu Hespeth są niejakie wątpliwości. – Prowincjał gestem wskazał mapę. – Niech to nie osłabi twojej czujności. Jeżeli Lothar zdecyduje, że powinien coś zrobić, ma tutaj ludzi, którzy mogą uprzykrzyć nam życie. Chodźmy.

Hecht zszedł na dół, na główną posadzkę, mijając mnichów i zakonnice skupionych na swej pracy. Jedna z mniszek wyglądała, jakby była w zaawansowanej ciąży.

Prowincjał Delari podszedł do masywnych drewnianych drzwi. Starożytne, okute nasyconymi magią sztabami żelaza wyglądały, jakby mogły wytrzymać szturm barbarzyńców tudzież Nocy. Na kamiennej półce po prawej stronie stało kilka starożytnych mosiężnych latarni w rodzaju tych, w które wyposażeni byli imperialni kurierzy nocni. Miały nawet imperialną pieczęć na membranach służących do regulowania siły światła. Delari wybrał jedną lampę, sprawdził poziom paliwa, zapalił ją od świecy stojącej na końcu półki. Z grubej warstwy stopionego wosku należało wnosić, że świeca pali się tam przez cały czas.

– Otwórz drzwi, Piper.



Drzwi nie były ani zamknięte na zamek ani na zasuwę, ani zawarte podpórką. Hecht pociągnął. Otworzyły się.

W twarz wionęło mu chłodne, wilgotne powietrze. Pachniało ściekami i zastarzałą śmiercią.

– Katakumby?

– Nie inaczej. – Delari skinął głową. – Są jak najbardziej rzeczywiste. Weź swoją latarnię. Nigdy nie schodź na dół bez jednej z tych latarni.

– Nie mam zamiaru w ogóle nigdy tam schodzić. Jeśli przynajmniej połowa opowieści mówi prawdę.

– Niekoniecznie. Ale rzeczywistość może okazać się znacznie gorsza. Światło tych latarni odstrasza stwory Nocy.

Hecht przyjrzał się latarniom. Wszystkie wydawały się pełne. Wybrał najcięższą, zakładając, że najdłużej będzie się palić. Zapalił ją, przybrał wygląd gotowego na wszystko. Trzeba iść, to trzeba.

Delari zachichotał.

– Pamiętaj, tam w dole, jak i na górze, najgorsze potwory chodzą na dwóch nogach i mają kochające matki.

– Dlaczego w ogóle schodzimy?

– Czasami dobrze jest móc się poruszać, nie będąc widzianym. – To zabrzmiało jak z góry przygotowana odpowiedź. – Co z twoją matką?

Prowincjał przed momentem zagłębił się w tunel z kamienia łączonego bez zaprawy, przy wykorzystaniu mularskiej techniki Starego Brothe. Pytanie zaskoczyło Hechta.

– Panie?

– Pytałem o twoją matkę. Interesuje mnie to.

Hecht zwlekał z odpowiedzią, równocześnie próbując sobie przypomnieć, co mówił innym na temat tej kobiety.

– Podejrzewam, że zgodziłyby się z większością matek. Piper to dobry chłopak. Nie chce nikomu zrobić krzywdy. Tak naprawdę nie mógłby zrobić nic złego. Choć nie znałem jej, panie. Osierociła mnie w dzieciństwie. Gorączka połogowa.

– A ojciec?

– Był dobrym chaldaraninem. W Duarnenii oznacza to, że rychło poszedł do nieba, w ogóle go nie pamiętam. Powiadają, że w domu pojawiał się tylko po to, by wciąż zapładniać moją matkę.

Delari wydawał się rozbawiony. Dalej już nie drążył tematu.

– Te katakumby należą do nas. – Nie wyjaśnił, do kogo owo „nas” się odnosi. – Zazwyczaj są bezpieczne. Są osłony i obserwatory. Niewiele jest w stanie dostać się do środka. Ale nie można liczyć na to, że jest się bezpiecznym. Zawsze miej przy sobie własną latarnię.

Pod nogami zrobiło się mokro. W jednym miejscu kamień został wygipsowany. Warstwa gipsu spadła w wilgoć pod stopami.

– Jesteśmy niedaleko Teragi, ale znacznie głębiej – powiedział Prowincjał. – Moglibyśmy pójść do Castella lub Krois. Albo przejść na północną stronę, gdybyśmy chcieli. Ale jeszcze nie musisz wiedzieć, jak tam dotrzeć.

– To naprawdę domena milczącego królestwa – mruknął Hecht.

Wokół nie widział żadnych śladów życia. Szczurów. Pająków. Żadnego innego robactwa.

– Wyglądasz, jakbyś się nie czuł zbyt dobrze.

– Nie lubię ograniczonych przestrzeni. Ciasne miejsca pod ziemią są najgorsze.

Delari zachichotał. Najwyraźniej dziś wszystko go śmieszyło.

Hecht zapytał:

– Gdzie się podziało robactwo?

– Po tych korytarzach spacerują okrutne istoty. Nie obchodzi ich, co jedzą. Zjadłyby ciebie i mnie, gdyby nas zdołały złapać.

– Od tego nie robi mi się lepiej.

Delari znów zachichotał.

– Jesteś teraz w podziemnym świecie, Piper. Jak w starej mitologii.

– Będę się rozglądał za czarnymi rzekami i ślepymi przewoźnikami.

– Gdyby naprawdę taki tu był, dawno dostałby po głowie i zostałby obrabowany z monet za przewóz.

– Serce rośnie, gdy się tego słucha. Dokąd idziemy?

– Nie idziemy w żadne szczególne miejsce. Po prostu przyszła mi ochota zdradzić ci trochę tajemnic Kolegium.

Delari skrzył w lewo i zagłębił się w jakiś boczny tunel, który doprowadził ich do wielkiej komnaty. W słabym świetle latarni nie było widać przeciwległych ścian, tylko maszerujące w ciemność szeregi starożytnej kolumnady. Miejsce wyglądało jak opustoszała katedra w godzinie północnej. Katedra opustoszała przed wiekami. Wszędzie walał się gruz. Światło latarni nabrało błękitno-białego odcienia. Otoczenie

spowijały błękitnawe, szare cienie. Warstwa pyłu była gruba, a pajęczyn zatrzesienie.

I wszędzie leżały kości. Duże i małe, wszędzie. Niektóre wyglądały naprawdę paskudnie. To były kości, których Hecht nie potrafił rozpoznać. Może nie były to kości ludzkie. Ale woń rozkładu już się właściwie ulotniła.

– Tu, w dole, ciało nie trwa dość długo, by zgnić – oznajmił Delari.

Niektóre z tych większych kości były połamane, zapewne by odsłonić szpik.

– Kolejne milczące królestwo.

– Nie zawsze tak było. Choć teraz faktycznie tak. Zdarza się, że nietoperze zakładają tu kolonie, które wszak nie utrzymują się długo. Czasami poganie odprawiają demoniczne rytuały, co ma ironiczny wydźwięk. Tutaj, bowiem pierwsi chaldaranie zbierali się, by się modlić i chować swych zmarłych. Dzisiejsi czciciele demonów wykorzystują tamten odległy koniec, o tam. I włamują się do krypt, żeby pozyskać ciała potrzebne im do ich grzesznych obrzędów.

– Naprawdę? Jak to robią?

– Słucham?

– Co robią z ciałami? Jest taka historia, którą słyszałem w dzieciństwie. Tak naprawdę to podsłuchałem i to tylko trochę, ponieważ miałem spać. Bajarz twierdził, że opowieść pochodzi z Wielkich Bagien i każde jej słowo jest prawdą. Była naprawdę malownicza. Ale dotarł tylko do tego momentu, gdy trzech bracia, którzy byli jej bohaterami, wracali do domów z mumiami jakichś starożytnych czarowników... i wtedy zacząłem kichać. Potem dostałem różgi, odesłano mnie do łóżka i nigdy się nie dowiedziałem, co chcieli w ogóle z tymi mumiami zrobić.

Mimo słabego światła mars na czole Delariego był wyraźnie widoczny.

– Tak było w opowieści?

– Na północy mamy wędrownych bajarzy. Jak wy macie tu trubadurów. Tylko, że zazwyczaj nie śpiewają. I nie opowiadają romansów. Po większej części są to ponure opowieści heroiczne. Bajarze zawsze twierdzą, że ich historie są prawdziwe, ale zazwyczaj wie się lepiej. Ten bajarz... nie pamiętam jego imienia... słynął z przerażających historii. Ta o ukradzionych mumiach brzmiała naprawdę prawdziwie.

– Zmumifikowani czarownicy, powiadasz?

– Tak, panie. – Czy powiedział zbyt wiele?

– Ciekawe. Opowiedz więcej.

– Panie?

– Kim byli bohaterowie? Dokąd udali się po mumie? Kim byli martwi?

– Miałem pięć lat, panie. Pybus. Tak miał na imię brat, który dowodził ekspedycją Przypomniałem sobie. To był jego pomysł. I był jeszcze... Flogni? Coś takiego. On twierdził, że nie należy zakłócać spoczynku umarłych. Ale poszedł, ponieważ bracia powinni trzymać się razem. Miejsce, którego szukali, znajdowało się w górach, daleko na wschodzie. To był ukryty grobowiec. Nie mam pojęcia, skąd wiedzieli, gdzie go szukać. Pogrzebany był tam jeden ze starodawnych wodzów nomadów. Jeden z tych, których ludzie czczą do dzisiaj. Czarownicy z opowieści zostali zamordowani i pogrzebani na rozstajach wiatrów, żeby ich duchy strzegły grobowca. Rzekomo mieli być tak wściekli na los, jaki ich spotkał, że każdego, kto podejdzie dość blisko, żeby go zobaczyli, czekała niechybna zagłada. Od południowej strony pogrzebana została kobieta, która była także kochanką zdobywcy. Kiedy przekonała się, co mają zamiar z nią zrobić, rzuciła jakąś klątwę na jego plemię.

– Niezła historia. Chętnie usłyszałbym ją w oryginalnej wersji. – Prowincjał Delari przez cały czas szedł przed siebie, trzymając się pod ścianą i za każdym razem skręcając w prawo. Hecht podejrzewał, że wykonują w ten sposób długi, powolny krąg, a prowincjałem kieruje ściśle określony zamiar. Delari kontynuował: – Słyszałem opowieść podobną do tej, tyle, że działa się w Lucidii.

– Panie?

– W Lucidii jest pustynia Idium, na której stoi ukryta forteca zwana Andesqueluz. Wycięta w litej skale zbcza góry. Dawno temu stanowiła siedzibę wstrętnego kultu morderców. Reszta świata zjednoczyła się, żeby ich wymordować. Zawsze tak się kończy, gdy tego pokroju ludzie zrobią się nazbyt ambitni. Kilka lat temu wielki mag Dreangeru er-Rashal al-Dhulquarnen wysłał oddział wojowników sha-lugów do Andesqueluz, aby ukradli mumie wymordowanych czarowników.

– Er-Rashal al-Dhulquarnen? – Specjalnie źle wymówił nazwisko. – Czy to nie ten...?

– Był w al-Khazen. Tak. Odwróciliśmy jego uwagę, podczas gdy ty i Imperator wyeliminowaliście jego wspólników. Nie zdołaliśmy jednak

przeszkodzić mu w ucieczce. Spodziewam się, że obecnie jest z powrotem w domu i knuje nowe bezceństwa.

– A więc, co mógłbyście chcieć zrobić z martwymi ciałami? Cóż, powiedziałyście: mumiami. To nie do końca to samo.

– Zwłaszcza jeśli chodzi o zmumifikowanych czarowników, należących za życia do najlepszych w swojej dziedzinie. Jednych z najgorszych, jacy kiedykolwiek żyli. Niejeden pan na Andesqueluz dostąpił apoteozy, zanim śmierć powaliła pozostałych.

– Hm... Apoteoza? – Hecht prawie nic nie wiedział na temat czarów. Gdyby było inaczej, pewnie uważałby się za potępieńca.

– Tworzyli czary tak potężne, że zmieniły ich w Delegatury Nocy. Demony, jeśli wolisz. Dżiny ze wschodu były kiedyś ludźmi. Okrutna nieśmiertelność była niegdyś znacznie łatwiejsza do osiągnięcia, zwłaszcza tak blisko Studni Ihrian. Można oczekiwać, że Dreangerczyk ułożył sobie plan własnej apoteozy.

Delari dał kilka ostrożnych kroków w bok. Hecht poszedł za nim, omijając szkielet zawinięty w strzępy zbutwiałego lnu. Na czaszce wciąż jeszcze znajdowały się kosmyki włosów. Puste oczodoły zdawały się patrzeć w ślad za nim.

Dalej wały się dziesiątki szkieletów. Ktoś rozbił niezliczone krypty.

– Brakuje biżuterii – zauważył Hecht. – Rabusie grobów.

– Nie. To są pierwsi brotheńscy chaldaranie. Nie uznawali klejnotów. A do grobu nie brali nic prócz tego, co przynieśli ze sobą na świat w chwili narodzin.

– Czasy się zmieniły.

– Natura ludzka zawsze dojdzie do głosu.

– Jeżeli ten czarownik może zmienić się w boga... Cóż, co zrobiłby, gdyby tak się stało?

– Potoczna wiedza utrzymuje, że ten, kto doznał apoteozy, traci zainteresowanie swoim dawnym życiem. Bez reszty pochłania ich ta sama stara śpiewka Nocy: zdobywanie coraz większej mocy i władzy. Ale tak naprawdę to tylko spekulacje. Nikt przecież nie może wiedzieć. Nie wracają, by pogawędzić o tym, jak to jest po drugiej stronie. Poza tym w ciągu ostatnich kilku wieków nie zdarzało się to aż tak często. Stój! – Głos Delariego zniżył się do szeptu. – Nic nie mów. Nic nie rób.

Starzec powoli kręcił głową, nasłuchując uważnie. Oczy miał zamknięte, węszył. Wreszcie wydyszał:

– Czas wracać.

Uważnie zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszli, dając Hechtowi znaki, by milczał.

Hecht nie zadawał żadnych pytań. Amulet stał się nagle strasznie zimny.

W ciemnościach zaczęło się wiercić coś skrajnie niemiłego.

Kiedy weszli do tunelu wiodącego do pałacu Chiaro, starzec wyraźnie się rozluźnił.

– Co się stało? – zapytał w końcu Hecht.

– Omalże nie weszliśmy na coś bardzo mrocznego i bardzo potężnego. Spało, ale zniecka zaczęło się poruszać we śnie. Nie chciałem tego zbudzić. – Po chwili dodał: – To może być istota odpowiedzialna za te groteskowe morderstwa. Teraz, kiedy już wiemy, gdzie ma leże, możemy się do niej zabrać.

– Dlaczego nie od razu?

– Ponieważ jestem tylko starym człowiekiem, samotnym, zdanym na własne siły i zmęczonym oprowadzaniem cię po kawałku podziemnego świata. – Chichot. – I ponieważ jestem nieuzbrojony, a sądzę, że stwór może być bardziej paskudny, niż ktokolwiek wcześniej sądził.

## 6

# Księżniczka na Plemenzy

Księżniczka Hespeth wyruszyła w drogę zagniewana. Algres Strach wciąż opóźniał wyjazd. Jej gniew nie mijał. Strach upierał się, że odłożenie wyjazdu o kilka tygodni zdecydowanie ułatwi późniejszą podróż. Pogoda sprzyściła się ze Strachem, żeby pokrzyżować jej szyki. Stanać na drodze spełnienia jej najgłębszych pragnień.

Chciała być w swojej Plemenzy. Już.

Pogoda była winna temu, że raptem kilka dni po tym, jak Lothar nadał jej dobra Plemenzy, Hespeth i jej domownicy zdołali przebyć zaledwie drogę z Alten Weinberg do Hochwasser, na Bleune. Hochwasser było widmowym miastem, ożywającym dopiero wówczas, gdy oczekiwało Imperatora. Rzeka Bleune była szeroka, brudna i zawałona lodową krą, niekiedy rozmiarów okrętu wojennego.

Dopiero w Hochwasser nastąpiła pierwsza poważna zwłoka.

Kurierzy donosili, że tylko jeden bród można w ogóle uznać za przejezdny. Zima była najgorsza za ludzkiej pamięci. Tylko najbardziej wytrwali podróżni mogli żywić nadzieję, że dotrą do miejsca przeznaczenia. Hespeth zdecydowana była spróbować. I ostatecznie zrobiła to, w towarzystwie wyłącznie kapitana Stracha i dwóch Braunsknechtów, którzy zapewne czuli, jak wzrok ducha Johannesesa Czarne Buty jeży im włosy na karku. Nie mogli pozwolić, by córeczka Hansela wyruszyła samotnie w drogę, kiedy już stało się jasne, że nie da sobie tego wyperswadować.

Hespeth wykazała się uporem, który zasiał niepokój w sercach Braunsknechtów. Ani pogoda, ani ziąb jej nie zatrzymały. Za nic miała groźbę odmrożeń. Okropna nadprzyrodzona obecność w górach nie zmusiła

jej do zawrócenia, choć tropiła ich przez kilka dni, śpiewając do wtóru wichrom. Algres Strach był urzeczony i zarazem głęboko zmartwiony.

Gdzieś tam był księżę Nocy. Coś niewyobrażalnie niegodziwego i okrutnego, półbóg. Nie trzeba było mieć żadnych mistycznych talentów, żeby wyczuć jego obecność. Jednak tym razem zdecydował się pohamować swe zło. Lud u podnóża gór był zdumiony i poruszony.

Od niemal roku ten przerażający duch siał trwogę w okolicy, a zasięg jego przewin zwiększał się dramatycznie wraz z pogodą. Ludzie przypisujący sobie znajomość kształtów przyjmowanych przez Noc twierdzili, że musi to być jakiś ścigający wiatr demoniczny stwór z północy, wygnany z królestwa permanentnego lodu.

Ciemny lud doszedł do wniosku, że księżniczka cieszy się łaską Boga. Albo, że przeznaczona jest na oblubienicę Nocy. Każdy z dwóch wniosków pociągał za sobą inne lęki.

Helspeth dotarła do Plemenzy dwa dni przed kalendarzową wiosną. Wjeżdżała do miasta wśród błyskawic towarzyszących deszczowi ze śniegiem, które pokrywały ludzi i zwierzęta lodową skorupą, a kamienie bruku czyniły tak śliskimi, że księżniczka nie na żarty obawiała się, iż po pokonaniu najgorszych przeszkód wysokich gór Jago może umrzeć na ulicy.

Przez następny miesiąc po kilkoro docierali do Plemenzy pozostali Braunsknechci i członkowie jej świty. W następstwie kolejnej dramatycznej zmiany pogody, która nastąpiła niemalże w tej samej chwili, gdy księżniczka przekroczyła bramy pałacu Dimmel. Dziesięć dni później po firaldiańskiej stronie gór Jago nikt nie uświadczylby ani śniegu, ani lodu. Ruch przez przełęcz szybko się ustabilizował.

Algres Strach nie powiedział nawet słowa. Budziło to w Helspeth ochotę obicia go bambusową różgą, póki nie zwymiotuje całego swojego pełnego samozadowolenia „A nie mówiłem!”, które wciąż tkwiło w uśmiechu szarych oczu.

Jeszcze bardziej denerwująca była choroba, z którą zmagiła się przez kilka tygodni. Napady kaszlu zaczynały być już niebezpiecznie gwałtowne.

Ferris Renfrow pojawił się w życiu Helspeth w apogeum jej gorączki. Leżała w łóżku, zasłony były zaciągnięte. Zawsze było jej albo za gorąco, albo za zimno, nieustanny kaszel sprowadzał wyczerpanie. Udawała, że śpi, aby uniknąć wydziwiających nad nią kobiet. Najgorsze były lady Chevra



diNatale i lady Delta va Kelgerberg. Pierwsza była nieprzyjemną starą krową, spokrewnioną z poprzednimi hrabiami Plemienzy. Lady Delta natomiast była wszystkiego cztery lata starsza od Hespeth, ale miała skrajnie tradycjonalistyczne poglądy na temat tego, jak powinna się zachowywać imperialna księżniczka. Lady Chevra była zaprzysięgłą brotheńską episkopalną i, zapewne, narzędziem Komisji Doradczej. Va Kelgerberg była oddaną towarzyszką, ale męczącą aż do bólu.

Prawdziwe przerażenie zdejmowało ją na myśl, że obie kobiety najwyraźniej wierzyły, iż wiedzą, co jest najlepsze dla księżniczki Hespeth Ege.

Kiedy Hespeth po raz pierwszy usłyszała głos Renfrowa, uznała, że to halucynacje słuchowe od gorączki. Czyste myślenie życzeniowe. Przecież nie wszedłby do jej prywatnych apartamentów.

Renfrow zapytał o jej zdrowie.

– Sama to na siebie ściągnęła – zaopiniowała lady Delta, parsknąwszy z wyższością. – To zepsute, kapryśne dziecko. Zdecydowanie zbyt egoistyczne i nazbyt uparte. Zaraz musi dostać wszystko, czego chce i kiedy chce, nieważne, jakie koszty jej folgowania sobie muszą ponosić inni. To prawdziwy cud, że Algres Strach i ci dwaj sierżanci...

Renfrow zachichotał i wszedł jej w słowo:

– Cecha rodzinna.

– Johannes był kapryśny, ale nie małostkowy. Ani też szczególnie egoistyczny. Potrafił się uprzeć, ale nigdy przy swoich sprawach czy swoich przyjemnościach. Zawsze chodziło o to, co najlepsze dla Imperium. Panie, to dziecko może zostać Imperatorową. W jednej chwili, jeśli Bogu przydarzy się kiepskie popołudnie. Co się z nami stanie, jeśli nie zdąży dorosnąć?

– Jest bystra. Nauczy się.

– Nie znalazłyśmy w niej powodów do radości.

– Algres Strach to dobry człowiek.

– Zrobi wielką karierę, jeśli będzie prostował jej ścieżki, gdy ona zechce zrobić coś równie głupiego jak pokonanie Jago zimą.

– Porozmawiam z nią. Faktycznie, podejmuje bezsensowne ryzyko. Podejrzewam, że z początku nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a później miała szczęście. Tam grasuje prawdziwy baron Nocy. Niczego równie strasznego ziemie te nie widziały od czasów

Starego Imperium. Może natknęła się na niego, gdy drzemał. Może chłód go osłabił. Nie zareagował tak paskudnie, jak powinien. Nie jestem specjalistą. Nie mogę się skonsultować z odpowiednimi ludźmi. Wszyscy to lokaje Wzniosłego. Ale widziałem już w życiu robótki ręczne potwora. Możemy tylko dziękować Bogu, że nie zainteresował się dzieckiem.

Helspeth miała ochotę rozeźlić się na Deltę. Wcale sobie nie pobażała. Renfrow okazał się jednak znacznie bardziej krytyczny. A on zawsze był żelaznym młotem, który wykuwał wolę Imperatora. Skoro potwierdził jej zaniedbania, znaczy to, że powinna zrobić poważny rachunek sumienia.

Okoliczności życia Helspeth Ege nie sprzyjały szczególnej ekstrawersji, ale introspekcji też zanadto nie ulegała.

Uwagi lady Delty trafiły w czuły punkt. Krytyka Renfrowa szeroko otworzyła drzwi jej duszy.

Nie wierzyła, że zostanie Imperatorową, więc nie uznawała za konieczne podjęcia jakichkolwiek przygotowań. Pozostali najwyraźniej mieli inne zdanie w tej kwestii.

Członkowie rodziny Ege rzadko umierali na powikłania podeszłego wieku. A po Lotharze rzecz jasna nie oczekiwano, że dożyje końca następnego roku.

Ferris Renfrow poprosił, by wezwano go, gdy księżniczka zechce go widzieć. Nawet się nie zająknął w kwestii, iż może w ogóle nie chcieć.

A Helspeth właśnie nie chciała. Co sobie Renfrow wyobrażał, że kim niby jest?

Jakiś czas trwało, zanim zrozumiała.

Osoby jej najbliższe nie przepadały za nią. Powodem było jej zachowanie.

Zrozumiała. Katrin by się nie udało.

Nie wydawało się stosowne, by księżniczka przyjmowała mężczyznę sam na sam. Nie można sobie pozwolić nawet na najlżejsze poderwanie reputacji, kiedy człowiek znajduje się na małżeńskim rynku. Ale ona miała już dość nieustannego towarzystwa dam, podsłuchujących dla Komisji Doradczej, Patriarchy, jej brata, siostry czy jeszcze kogoś innego.

Była pewna, że wszystkie kobiety z jej otoczenia szpiegują. Tyle też powiedziała Renfrowowi.

Pokiwał głową.

– Oczywiście. Jesteś nadzwyczaj cennym obiektem. – Imperialny arcyszpieg przyjął filiżankę herbaty, podaną przez jedną z młodszych dziewczyn, które tego ranka zajmowały się Helspeth. Ona z kolei była pewna, że te głupiutkie córeczki i wnuczki pokręcą wszystko, co podsłuchają. – Nie masz przyjaciół.

Helspeth zdusiła w sobie gniewną replikę. To, co myślą inni, nie miało znaczenia. Problem jednak polegał na tym, że miało. Bolały słowa wypowiedziane przez Renfrowa w rozmowie z Deltą i Chevra.

Renfrow pokazał w uśmiechu zaskakująco białe zęby. Był gorącym zwolennikiem wschodniej mody na czyszczenie zębów.

Helspeth bez większego przekonania dbała o swoje, właściwie tylko dlatego, że było to akurat modne.

– Masz rację. Nie mam przyjaciół. Jestem bardziej samotna, niż wydawało mi się to możliwe, zanim tu przybyłam. – W takim pośpiechu, ponieważ wszystkie jej szczęśliwe wspomnienia związane były z Plemeną.

– Otaczają cię ludzie, którzy mogą zostać twoimi przyjaciółmi. Jeśli im pozwolisz. Większość z nich chce dla ciebie jak najlepiej.

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Póki wreszcie słowa same nie spłynęły z jej ust:

– Mój świat się skończył, kiedy zginął ojciec. Przedtem, mimo iż nie widywałam go szczególnie często, czułam, że kogoś mam. Miałam przynajmniej swoje miejsce w świecie. Niewiele ode mnie wymagano. Katrin i ja rozpieszczałyśmy Mushina. Bawiłyśmy się w żołnierki. Papa nam na wszystko pozwalał. Zwłaszcza mnie.

– Ponieważ ty byłaś najbardziej do niego podobna. To była taka fantazja. Z czego zresztą doskonale zdawał sobie sprawę. Ale pozwalał ci być synem, którym Lothar nie mógł się stać, i cieszyło go to. Okrutny żart ze strony Boga.

Helspeth napiła się herbaty.

– Boki zrywać. Rozejrzyj się. Wszyscy silni władcy mają słabych następców.

– Fakt, tu i tam mamy do czynienia z problemami sukcesji. Ale syn króla Piotra, na ile cokolwiek da się powiedzieć o niemowlęciu... powinien być godnym następcą ojca. To samo dotyczy potomka Anne z Menandu, który zapewne okaże się mocny, gdy odziedziczy tron Arnhandu.

Helspeth nie zwróciła uwagi na ostrość tych słów.

- Żałuję, że mój ojciec tak się rzucił do tego szturm na al-Khazen.
- Wyjawszy Wielkiego Księcia Omrona i jego zauszników, zapewne większość pozostałych by się z tym zgodziła. Być może nigdy nie nadrobimy tej straty. Ale Imperium Graala nie opiera się na „a co, jeśli?” i myśleniu życzeniowym. Przynajmniej zazwyczaj.
- Gdyby żył, nie skończyłabym tu w ten sposób.
- A może właśnie tak. Z tym samym dworem. Twój ojciec bardzo przejmował się konsekwencjami tego, co sam zresztą zaczął, pozwalając wam, dziewczynki, bawić się w chłopców. Martwił się zwłaszcza o ciebie. Wciąż nakładałaś zbroję i szukałaś walki. Al-Khazen mogło się okazać ostatnią kroplą. Mogłaś skończyć w klasztorze.
- Nie.
- Zastanawiał się nad tym.
- Hespeth była ogłuszona.
- Ale ja myślałam... Myślałam, że tego właśnie chciał. Myślałam, że będzie strasznie dumny ze mnie.
- Byłby, oczywiście, ale w najgłębszej tajemnicy serca. Niemniej pamiętaj, że był Imperatorem. Musiał brać pod uwagę względy dyplomatyczne. I twoją pomyślność. A ty wpakowałaś się w sytuację, z której musieli cię ratować Patriarchalni.
- Hespeth znowu musiała stłumić ostrą replikę. Miał rację.
- W porządku. Wpakowałam się. Uratował mnie sam Wódz Naczelny.
- Renfrow nieznacznie się uśmiechnął.
- Widziałem go kilka miesięcy temu.
- Nie udało jej się zamaskować nagłego przyływu zainteresowania.
- Miał się dobrze – rzekł.
- I?
- I gotów był stać się poważnym kolcem w podszewie Imperium. Clearenzanie właśnie dokładają wszelkich starań, by umożliwić Wzniosłemu wyposażenie swych sił.
- Co by papa zrobił?
- Prawdopodobnie ogłosiłby zaciąg i pomaszerował na Brothe. Żeby zatrzymać całą sprawę, zanim bodaj się zacznie.
- Ale teraz się to nie zdarzy.
- Nie. Lothar jest niepełnoletni. A ludzie w komisji nie aprobowali polityki Johannesesa nawet za jego życia.

– Co z Katrin?  
– Co ona robi? Nie wiem. Nikt nie wie. Włącznie z nią.  
– Jakich problemów mogłaby się spodziewać, gdyby została Imperatorową? Nie jest mężczyzną.  
– Mniejszych, niż sądzi większość. Wciąż miałyby Braunsnechtów.  
– I ciebie?  
– W pewnej mierze. Tak. – Na chwilę twarz Renfrowa stwardniała. Hespeth zadrżała. To był Ferris Renfrow, który sprowadzał koszmary na wrogów Hansela.  
– Co?  
– Nie masz chyba zamiaru urządzić sobie tutaj wakacji.  
– Hm...  
– Myślisz, że masz prawo? Jesteś córką Imperatora. Mieszkasz po tej stronie gór.  
– Nie miałam...  
– Wiem. Ci ludzie w Alten Weinberg i Hochwasser też o tym nie pomyśleli. Ale będziesz prokonsulem Imperium w Firaldii. Musisz postanowić, co zrobić na wypadek, gdy górskie przełęcze już zawsze będą niedostępne przez połowę roku. – A jedyna droga naokoło wiedzie przez terytoria Cesarstwa Wschodu i Arnhand.  
Czy jej się to podobało czy nie, Hespeth Ege musiała stać się dorosłą kobietą. Z poczuciem odpowiedzialności.  
– Poradzisz sobie – zapewnił ją Renfrow. – Jesteś córką swego ojca. I masz Algresa Stracha. To nie przypadek, że został przydzielony tobie. Twój ojciec go wybrał. Zaufaj mu. – Renfrow zaczął się podnosić, jakby sobie znienacka przypomniał, że przebywa w obecności księżniczki Imperium.  
– Masz coś innego do roboty?  
– Jak zawsze. Zawsze mam zaległości i zawsze jestem spóźniony.  
– Może potrzebujesz własnego Algresa Stracha.  
– Mam kilku. Ale trafiłaś w dziesiątkę. Przydałoby się ich więcej. Od śmierci twego ojca jestem jak jednoręki żongler z dwunastoma piłeczkami w powietrzu. Muszę zrezygnować z kilku rzeczy. Czasami zdarza mi się podejmować błędne decyzje.  
Renfrow zniknął z Plemenzy, jakby był tylko fantasmagorią. Hespeth zmusiła się, by nie użalać się nad sobą. Musiała się skupić na poprawieniu pozycji Imperium w północnej Firaldii.

Okazała się mniej skuteczna, niż Renfrow miał nadzieję. Komisja Doradcza sabotowała większość jej wysiłków.

Akceptowała więc, co przyniósł jej los. Nie robiła nic innego. Ale za jej chłodnymi, obojętnymi oczami czaiła się niepokojąca pewność, że słabowitość Muszina wkrótce zabierze go z tego świata i ona znajdzie się na drugim miejscu w porządku sukcesji.

Często pisała do Katrin, właściwie o niczym istotnym, ale w ten sposób próbowała odbudować i pielęgnować więzi rodzinne. Katrin rzadko odpisywała. A kiedy już się to działo, trudno było przewidzieć charakter listu. Bywała zła, małostkowa, napastliwa albo, przeciwnie, dzieliła się z nią wyrazami najgorętszej siostrzanej miłości. Hespeth podejrzewała, że nastroje Katrin zmieniają się wraz z postawą jej otoczenia. To nie wróżyło dobrze rządcom Imperatorowej Katrin. Wszelako wraz z każdym listem, ponurym czy wesołym, przerażenie Hespeth rosło.

Pewnego razu, gdy uczestniczyła w procesji religijnej z okazji któregoś ze świąt Plemeny, Algres Strach ostrzegł ją:

– Czas bardziej uważać na to, co mówisz i kto może to słyszeć. – Wybrał moment, kiedy z pewnością nikt nie podsłuchiwał.

– Co chcesz powiedzieć?

– Otrzymałem listy z północnej strony Jago. Uważaj, księżniczko.

Nie dano mu szans, żeby powiedział coś więcej.

Hespeth zamartwiała się przez wiele następnych godzin. Komisja Doradcza musiała zatruwać umysł Lothara. Sama nie potrafiła się obronić. Musiała się zamknąć i pilnować, by nikogo nie obrazić.

Życie księżniczki Imperium, nawet w cudownym mieście Plemenza, nie miało żadnego uroku po śmierci Johannesesa.

## 7

# Pożar w Skraju Connec

Ponieważ Tormond IV był Wielkim Niezdecydowanym, przez całą zimę przetrzymywał w Khaurene hrabiego Raymone'a Garete'a, seuir Brocka Raulta, brata Świecę i ich towarzyszy. A zima zaiste była sroga wszędzie tam, gdzie szlachta wadziła się ze sobą. Do Khaurene spływały roje głodnych chłopów. Tam, gdzie ludzie byli przywiązani do ziemi, chłopci pańszczyźniani uciekali z posiadłości. Ich panowie byli za bardzo zajęci, żeby ich ścigać. Wieśniacy przyłączali się więc do bandytów na wzgórzach, zostawali najemnikami najniższego sortu albo spływali do miast, gdzie żyli jak umieli. Co oznaczało, że wielu pewnie skończy jako drewno ociosywane toporem kata.

Hrabia Raymone złościł się. Prosił. Niemal codziennie otrzymywał listy z błaganiem, by wrócił do domu. Jedyłą rzeczą, jaką mógł zrobić w obliczu uporu Tormonda, było przekazanie kuzynowi Bernardinowi Amberchelle pełnomocnictwa, by przywrócił porządek i zapewnił Antieux obronę.

Brat Świeca był przerażony. Bernardin Amberchelle był zwierzęciem. Głupi, podły i całkowicie nieświadom istnienia sumienia.

- Panie! Nie możesz... Każdy, tylko nie Bernardin!
- Ponieważ jest ateistą? Czy dlatego że jest szalonym mordercą?
- Tak. Z tego drugiego powodu.
- Ale dzięki temu idealnie się nadaje.
- Co?
- Będzie zabijał tylko tych, których nie lubi.
- To nie są żarty.
- Będzie zachowywał się okrutnie, ale wyrządzi więcej dobra niż zła. A kiedy wrócę, w porównaniu z nim będę wyglądał wspaniale. Nawet moi

wrogowie będą zadowoleni, jak mnie zobaczą.

Brat Świeca długo kręcił głową nad jawnym cynizmem rozmówcy.

– Bernardin nie wymknie się spod kontroli – uspokajał go hrabia. – Dysponuje pewnymi umiejętnościami, choć w podłej sztuce. I słucha, kiedy mu wszystko jasno wykładam. Nikt nie oberwie, kto się nie będzie o to prosił.

Brat Świeca nie dał się przekonać.

Na dzień przed wyjazdem z Khaurene spotkał się z sir Eardalem w wytłumionej przed magią komnacie. Tym razem rycerz z Santerinu nie zrobił nic, by utajnić ich spotkanie.

– Teraz to już nie ma znaczenia – wyjaśnił. – Ta sprawa jest stracona.

– Żadna sprawa nie jest stracona, póki nie poddamy się rozpaczy.

– Rozpacz znalazła sobie u nas schronienie. I przyprowadziła wszystkich swoich braci i siostry.

– Więc wracaj do domu.

– Jestem w domu. Chciałem poznać twoje wnioski, zanim wyjedziesz.

Tormond był nieugięty. Brat Świeca miał przyłgnąć do hrabiego Raymone’a jak wyrzut. Wyrzut sumienia.

– Słyszałeś już wszystko, sir Eardale’u. Księżę nie chce słuchać. Niewiele więcej można zrobić.

Stary rycerz mruknął:

– A nasz zdrajca?

– Przepraszam? – Tytułem zyskania na czasie.

– Człowiek Wzniosłego u nas. Kto to jest?

Odpowiedź na to pytanie wywołała u Doskonałego Mistrza głębokie rozdarcie wewnętrzne. Od kilku miesięcy zmagał się z dylematem. Idąc za przykładem Wielkiego Niezdecydowanego.

Każde działanie oznaczało dokonanie wyboru między przyjaciółmi.

Sir Eardale zauważył:

– Są sprawy ważniejsze niż los kilku ludzi, bracie.

– Intelktualnie rzecz biorąc, tak. – W sensie emocjonalnym zawsze był to wybór między człowiekiem a człowiekiem.

– Całe Connec...

– Wiem, sir Eardale’u. Trucie księcia jest moralnie równoważne zatruwaniu Skraju Connec.

Prawda. Jedno i drugie było równie śmiertelne.



Dunn rzekł:

– Łotrem jest Bries LeCroes. To on zdecydował się dosiąść brotheńskiego kucyka. Obiecano mu, że zostanie biskupem Khaurene, jeśli utrzyma księcia na wodzy.

Brat Świeca zgodził z tym. Biskup Clayto zostanie zniszczony za nieustanną krytykę Wzniosłego.

Ale Bries LeCroes był przyjacielem. Razem przeszli calzirkską krucjatę.

– Nie zabiję go – obiecał Dunn. – Chyba, że zbyt wiele trudności sprawi mu autoreforma sumienia.

– Masz zamiar go przekabacić? – Było to kolejne przyznanie, że oskarżenie jest słuszne.

– Dostrzegam sposobność wykastrowania Rinpoche. I umieszczenia ucha w lokalnym Towarzystwie. – Towarzystwo na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji stało się już po prostu „towarzystwem”. Lokalnie nie wywierało większego wpływu. W okolicy było dość zbirów popierających Viscesment, skłonnych rozbijać probrotheńskie czaszki. – Oraz sabotowania ambicji Wzniosłego.

Brat Świeca się nie odzywał.

– Jak sobie chcesz, bracie – rzekł Dunn. – Ale musisz wiedzieć, co łotrostwa LeCroesa mogą oznaczać dla was, maysalczyków.

O to też chodziło.

– Nie potrafię zbić twoich wniosków – przyznał Doskonały. – Ale nie potrafię też wymyślić żadnych praktycznych zaleceń. W jaki sposób zatruwał księcia?

Dunn otworzył już usta, ale się rozmyślił. Miał swoje podejrzenia, nie chciał się nimi dzielić.

– Niech Bóg prostuje ci drogę do Antieux, bracie. – I wyszedł.

Wiosna w każdej chwili mogła eksplodować zielenią. Oddział hrabiego Raymone’a wjeżdżał ociężale do Antieux pod pustym wzrokiem tuzina odciętych głów. Kuzyn Bernardin dobrze wykonał swoją robotę.

Oczywiście na ich spotkanie wyszły tłumy. Pierwsi napotkani mieszkańcy miasta nie byli tak wylewni, jak książę mógłby chcieć. Ale wśród nich widać było ludzi o tak ostrym wyrazie twarzy, że mogli być tylko fagasami Towarzystwa.

Brat Świeca wszędzie dostrzegał rozpacz. Nadzieja jeszcze nie umarła w mieście, ale kruki już rzucały głębokie cienie, kołując nad jej drgającym

ciałem. Długa nieobecność hrabiego Raymone'a dała czas i pożywkę nieszczęściu.

Dusza Bries'a LeCroes nosiła płamę większą i ciemniejszą, niż brat Świeca sobie wyobrażał.

W głębi Antieux, bliżej cytadeli, nastroje tłumu były cieplejsze. Wiwatowali. Ciemne, zimne ryby Towarzystwa pojawiały się tu rzadziej. Potem podniósł się chór głosów. Domagano się skalpów brotheńskich episkopalnych. Młodzież podpaliła słomiane kukły, noszące znaki identyfikujące je jako Wzniosłego V, Morcanta Farfoga, Mathe'a Richenaua i Heltona Jaela.

– Kim jest Helton Jael? – zapytał Brock Rault.

Jael okazał się przełożonym lokalnego oddziału Towarzystwa. Niedawno przybył, żeby zastąpić Icate Dermota, który zaginął bez wieści. Sam Dermot nie tak dawno zastąpił kogoś innego.

– Nie podoba mi się to – zwrócił się brat Świeca do Raulta. – To oznacza wielkie kłopoty.

– Nagle cię oświeciło, że szykują się wielkie kłopoty, co, bracie? – drwiła Socia. – Wcześniej nie zdawałeś sobie z tego sprawy?

– Próbuję zachować resztki optymizmu, dziewczyno. Nie porzucam nadziei. Wciąż się modlę o uniknięcie katastrofy. Gdyby chcieli tego wszyscy ludzie dobrej woli, tak by się też stało.

– Wymień dwóch. Nie licząc siebie.

Socia miała rację, choć może sama sobie z tego nie całkiem zdawała sprawę.

Wszyscy powariowali. Wszystkim udzieliła się apokaliptyczna wizja świata. Czy była to jedna z tych epok, kiedy ludziom potrzebne jest oczyszczenie przez holokaust?

Bernardin Amberchelle spotkał się ze swym kuzynem pośród płonących kukieł. Szczerzył się uśmiechem idioty. Był dumny ze swoich osiągnięć. Oczekiwał nagrody.

Raultowie wkrótce opuścili Antieux. Twierdzili, że nie wyjeżdżają na długo. Pierwszego dnia lata miał się odbyć ślub hrabiego Raymone'a i Socii Rault.

Brat Świeca opuścił miasto razem z Raultami, ale nie towarzyszył im w dalszej drodze. Spędził kilka tygodni, sondując nastroje na prowincji. Był zdumiony. Dzikie postęпки Bernardina Amberchelle naprawdę wyrządziły

więcej dobra niż zła. Choć zapewne nie zgodziliby się z tym ci, których głowy zdobiły bramy Antieux.

Towarzystwo nie miało już śmiałości inicjować żadnych prześladowań w mieście. Ale Bernardin niespecjalnie czuł się odpowiedzialny wobec ludności wiejskiej. Zwłaszcza maysalczycy narażeni bywali na szykany. I tym sposobem, czego brat Świeca obawiał się od początku, sąsiad zwrócił się przeciwko sąsiadowi. Rodziny przyjaźniące się od pokoleń teraz zrywały stosunki. W Św. Jeules'u ande Neuis stolarz Jhean tłumaczył mu:

– Ludzie boją się tych czarnych wron. Są nieomal nadnaturalnie przerażeni.

Brat Świeca nie miał okazji przekonać się o tym na własnej skórze. Gdziekolwiek krzyżowały się drogi jego i Towarzystwa, wieśniacy skrzętnie usuwali go z drogi tamtych. Nawet lokalni brotheńscy episkopalni nie cierpieli wron Wzniosłego.

Hrabia Raymone rzeczywiście dojrzał. Najpierw zastanawiał się nad sytuacją, dopiero potem działał. Radził się swych rycerzy i przywódców lokalnych społeczności. Kiedy upewnił się, jak sprawy stoją posłał po brotheńskiego episkopalnego biskupa Antieux.

Antieux zostało podniesione do statusu archidiecezji. Na jej czele stanął niejaki Persico Parthini, który zastąpił biskupa Mathe Richenaua. Choroba złapana podczas uciech w towarzystwie prostytutek doprowadziła Richenaua do stanu śliniącego się szaleństwa.

Brat Świeca wrócił do miasta na czas, by być świadkiem pierwszego spotkania między hrabią Raymone'em i nowym miejscowym księciem Kościoła. Formalnie rzecz biorąc, Parthini przewyższał Raymone'a rangą. Niemniej, według hrabiego, brakowało mu mieczy, żeby tę różnicę uczynić rzeczywistą.

Arcybiskup przybył w pełni swej aroganckiej pychy. Hrabia Raymone ignorował go, póki pycha na twarzy tamtego nie zaczęła ustępować niepewności. Nieprzejednane, szalone i głodne spojrzenie Bernardina Amberchelle każdego mogłoby wyprowadzić z równowagi.

Raymone popatrzył na Parthiniego wzrokiem twardym i przeszywającym.

– Kim jest ten szczekający pies? Po co tu przybył? Żeby mnie rozzłościć?

Choć Parthiniego zapowiedziano wcześniej, główny herold hrabiego rzekł:

– To jest Persico Parthini, który mieni się arcybiskupem Antieux.

– Pies Uzurpatora?

– Tak, panie.

– Ty. Fałszywy kapłanie. Łamiesz zarówno prawo kanoniczne, jak i cywilne, przebierając się za członka kleru. Ale szczęście ci dopisało, wtrącił się twój anioł stróż. Maysalski Doskonały nalegał, abym wybaczył ci twoje wykroczenia. Tymczasem. Więc będę litościwy. Masz do wieczora pojutrze usunąć się z Antieux. Wszyscy rozbójnicy z twojej bandy mają się zabierać razem z tobą. Ci, którzy nie opuszczą Connec, mogą się spodziewać kar wymierzanych zwyczajowo wszystkim złodziejom i bandytom.

Arcybiskup poszarzał na twarzy, nie potrafił wykrztusić słowa. Widać było, że się boi. Nie było wątpliwości – hrabia Raymone mówił śmiertelnie poważnie. Poza tym stanowił straszny widok.

Pozytywną stroną całej sprawy było to, że kryminaliści Antieux odsiadali swoje wyroki w rodzinnym mieście, pomagając przy odbudowie. Nie sprzedawano ich do Sheavenalle na galery. Ani do zamorskich kopalń. Mało kto stamtąd wychodził żywy.

Hrabia Raymone wykonał gest dłonią. Parthiniego otoczyli funkcjonariusze i wyprowadzili.

Brat Świeca zapytał:

– Czy nie potraktowałeś go nieco za ostro? Nie wspominając już o braku szacunku?

– Poprosiłeś mnie, abym go nie zabijał. Masz, czego chciałeś. Nie zachowuj się wobec mnie jak kobieta, która chce ciągle więcej i więcej.

Brat Świeca otworzył już usta, ale się powstrzymał. Już dość zdenerwował hrabiego.

Raymone uśmiechał się chytrze, kiedy przechodził do następnego punktu rozkładu dnia.

Brat Świeca zrozumiał znaczenie tego uśmiechu w chwili, gdy opuszczał cytadelę.

Kuzyn Bernardin wraz z kilkunastoma swoimi gangsterami stawił właśnie przed katedrą pręgierze do chłosty. Pod ręką mieli dwóch klientów, gotowych do obsłużenia. Obaj nosili surową czerń Towarzystwa. Brat Świeca podszedł ostrożnie.

– Co ci ludzie zrobili?

– Zawłaszczyli dobra i dobytek, który nie należał do nich. Już po tym, jak hrabia nakazał im opuszczenie Antieux.

A więc zdecydowanie Towarzystwo nie miało żadnych możliwości dowiedzieć się o tym, co Raymone nakazał arcybiskupowi Parthinemu. Zresztą wcale bezpośrednio przed nim nie odpowiadali. Stąd paskudny uśmieszek Raymone'a.

Nie trzeba było wielkiego wysiłku wyobraźni, żeby przejrzeć intrygę hrabiego. Podczas gdy brat Świeca włóczył się po wsiach, Garete gromadził przy sobie ludzi godnych zaufania. Był już gotów utrwalić swą władzę.

Więźniowie otrzymali po tuzin razów i nakaz natychmiastowego opuszczenia Antieux. Cały ich dobytek ulegał konfiskacie.

Partyzanci hrabiego zorganizowali obławę, w którą wpadły równocześnie świeckie łotry, jak i wrony Towarzystwa. Niewielu dano szansę podjęcia choćby próby obrony. Kolejne znienawidzone wrony otrzymały długie wyroki ciężkich robót.

Ostatni szef Towarzystwa wykazał się pewnością siebie i odwagą co oczywiście nie było dlań dobre. Ale on też był tu nowy.

Inwood Bente zastąpił Heltona Jaela po jego nagłym i tajemniczym zniknięciu czy też dezercji. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że ci prowincjusze ośmielają się wystąpić przeciwko brotheńskiemu Kościołowi oraz że większość z nich uważa go za agenta obcego zbrodniczego spisku. Więc kiedy jego zwolennicy zaczęli cierpieć, udał się do hrabiego, przepełniony furią i pychą – jakoś nie zrozumiał lekcji płynącej ze zniknięcia jego poprzednika i upokorzenia arcybiskupa.

Brat Świeca próbował go ostrzec. Podwładni Bente'a nie dopuścili go. Posypały się kamienie. Wyzwiska. Wyzywali go od „przekłętego” i „heretyka” na oczach świadków, którzy odpowiednio przesadzali, kiedy kilka minut później Raymone wysłuchiwał ich zeznań.

Inwoodowi Bente'owi przyszło się spotkać z hrabią w szczególnie kiepskim dla tamtego okresie. Właśnie otrzymał pierwszy list od Socii Rault. W liście nie było nic, co chciałby w nim wyczytać.

Caron ande Lette ucierpiało srodze podczas długiej nieobecności seuir Brocka. Szybki powrót i spotkanie były wykluczone. Zbyt wiele było pracy do wykonania. Ślub trzeba będzie odłożyć.

Raymone wiedział, kogo za to winić.

Inwood Bente, który sam przez się mógł być nawet uczciwym człowiekiem, otrzymał trzydzieści batów za to, że nie potrafił zapanować

nad swymi podwładnymi. Osiem batów przed końcem kary dopadł go potężny atak.

– Zabijesz go – protestował brat Świeca.

Hrabia Raymone nie słuchał.

– Bracie, chcę, żeby te kruki srały ze strachu, gdy Wzniosły bodajże zasugeruje wysłanie któregoś do Connec. Chcę, żeby mieli całkowitą pewność, że nawet jeśli prowadzi ich Bóg, to i tak umrą. Paskudną śmiercią. Jeśli będą mieli szczęście. Jeśli nie będą go mieli, będą znosić męki bardziej okrutne, niż szykują im w ich piekle po dniu Sądu Ostatecznego.

Brat Świeca ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie zgadzasz się ze mną?

Raymone dał gestem znak. Jego ludzie odcięli Bente'a. Po tym, jak już przyjął ostatnie osiem razów.

– Oni są tak samo pewni swej prawości, jak wasza lordowska mość. Jednostki można onieśmielić. Ruchu społecznego nie.

– Zostaną eksterminowani jak każde inne robactwo. Ich ścierwa rzucimy świniom.

To był straszny świat. Jednak dopiero te słowa naprawdę wstrząsnęły bratem Świecą.

Z drugiej strony tylko tacy ludzie jak Raymone Garete, ludzie z żelaznymi kręgosłupami, tworzyli historię.

Hrabia Raymone nie ograniczał się wyłącznie do tego, co miał przed oczyma.

– Bracie, chciałbym cię poprosić o przysługę. – W głosie hrabiego zabrzmiały pojednawcze tony.

– Wasza lordowska mość?

– Proszę, żebyś się udał do Caron ande Lette.

Księżę Tormond chciał, żeby brat Świeca siedział na karku hrabiego Raymone'a, żeby dyszał mu w ucho gorącym oddechem. Żeby był jego sumieniem. Bezsensowne, beznadziejne przedsięwzięcie.

Ale stary pielgrzym nie składał przysięg, iż wypełni wolę księcia.

– Dojadło ci, nieprawdaż?

– Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak Socia.

– Jakoś nie potrafię zrozumieć, co dobrego przyjdzie z mojej obecności tam. Z drugiej strony, Poszukiwaczom w tej części Connec przyda się

duchowa pociecha. – Postanowił, że connekiński Doskonały musi walczyć z rozpaczą ogarniającą naród. Jeżeli nie da się pielęgnować nadziei... choćby w jakichś odosobnionych miejscach... ciemność zaleje świat.

– Pójdiesz?

– Pójdę. Ale nie dlatego, żeby być rzecznikiem twojej sprawy. Nie gram na lutni, nie potrafię śpiewać, a co dopiero skomponować uwodzicielską piosenkę.

Hrabia uśmiechnął się. Nagle iskierki w oczach zrobiły zeń innego człowieka.

– Gdyby Socię trzeba było w ten sposób uwodzić, nie miałbym żadnej nadziei. Mój talent muzyczny sprowadza się do tego, że głośno gram i śpiewam.

– Zauważyłem.

– Jak zapewne większość ludzi. Chciałbym po prostu, żeby mój głos brzmiał na tej scenie, Mistrzu. Żeby Raultowie nie zapomnieli.

– Oczywiście. – Brat Świeca podejrzewał, że bracia Raultowie wciąż świętują triumf swej intrygi. Znaleźli w końcu ewentualnego męża, który nie uciekł na widok panny młodej. I który poza tym ma wyższy status.

– Mam nadzieję, że kiedy odejdę, będziesz się właściwie zachowywał.

– Nie okażę mniej szacunku mojemu księciu niż jego pozostali wasale.

– Straszny pomysł. – Brat Świeca chciał ostrzec hrabiego przed zbytnim drażnieniem Kościoła brotheńskiego, ale wiedział, że tylko marnowałyby oddech.

Tego wieczora w trakcie medytacji brat Świeca zastanawiał się, jakie też wielkie siły nim powodują. Dlaczego Opatrzność chciała, by znów znalazł się w nieszczęsnej krainie na granicach Connec?

Obawiał się, że coś czyni zeń rodzaj historycznej zjawy, rodzaj nadprzyrodzonego świadka ostatnich dni connekińskiej idylli.

## 8

# Długa zima, krótka wiosna

Piper Hecht cieszył się rzadką okazją spędzenia wieczoru z Anną i dziećmiakami. Oraz Pinkusem Ghortem, który przyniósł kilka butelek z wyszperanych przez siebie roczników, żeby je wypić w towarzystwie. Zaproszony przez Annę Ghort stawał się powoli kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciela ze wszystkich ludzi w otoczeniu Hechta – choć jego stosunki z własnym sztabem też układały się nieźle. Ale jego sztabowcy byli wszyscy ludźmi żonatymi, niechętnie spędzali wolny czas z tymi, których na co dzień widywali w pracy. Jeśli zaś chodzi o zwierzchników... nie wydawało się jakoś stosowne, by Naczelnny Wódz Wszystkich Armii Patriarchalnych zbyt blisko przestawał z tymi, którzy mieli go wysłać w krwawy bój.

Pella popisywał się tym, czego się nauczył od czasu zamieszkania w domu Anny. Już czytał, choć powoli. Strasznie go to ekscytowało. Komuś o jego pochodzeniu literatura wydawała się pewnie bliska magii.

Anna i Pinkus grali w szachy, a Pella przedzierał się przez swoją lekturę. Hecht zerkał chłopcu przez ramię. Vali zaglądała z drugiej strony. Była wymyta, uczesana i ubrana jak laleczka. Sama o siebie zadbała. Niecierpliwiło ją wolne tempo lektury Pelli.

– Umiesz lepiej? – zapytał Hecht i zachichotał.

Vali całkowicie panowała nad sytuacją. Nie sposób było jej żadnym podstępem skłonić do mówienia. Czasami się odzywała, ale nadzwyczaj rzadko i zawsze rozmawiała wyłącznie z Pellą. Hecht sądził obecnie, że ma do czynienia z chytrą małą oszustką, która stworzyła sobie idealną legendę, aby wydostać się z okropnej sytuacji. A uparcie trwała przy swoim, żeby uniknąć konieczności tłumaczenia się.



Ghort przestawił figurę na szachownicy, mówiąc:

– Dzieciak już czyta dwa razy lepiej ode mnie. Może faktycznie cofnie się w czasie i zostanie tym Pellą, który napisał tę przeklętą sztukę.

Anna zapytała:

– Jesteś pewny? – Ale dopiero po tym, jak Pinkus zdjął palec z figury.

– Nic nie widzę – protestował Ghort.

– Ona chce cię po prostu wytrącić z równowagi – pocieszał go Hecht.

– Nie uda jej się. Widziałem, jak robi to tobie. Pokonałeś ją kiedy?

– Nie. Nawet Vali nie potrafię pobić. – W rzeczywistości to Vali była najlepszym graczem. Myślała daleko w przód, swobodnie tworząc rozwinięte strategie. – Pella, jestem pod wrażeniem. Uczysz się szybciej niż ja. Nie dołożyłbyś trochę do ognia?

Pella zawsze był chętny. Wiedział, co jest dla niego dobre. A zima na ulicach Brothe była ciężka.

Anna nie zrobiła nic szczególnie spektakularnego w odpowiedzi na ruch Ghorta. Ten westchnął i zapytał:

– Anna, nasz rajd na dzielnicę zdążył już wkurzyć sąsiadów?

– Jak dotąd nikt nie próbował mnie spalić – odrzekła.

Regiment Miejski – przynajmniej to, co z niego zostało – regularnie przeczesywał kwartał.

– Cieszą się, że mnie tu mają – ciągnęła. – Dzięki temu, że ty się o mnie troszczysz, czują, że o nich też się ktoś troszczy.

Pinkus Ghort określał teraz swój oddział mianem Regimentu Miejskiego, choć miał na liście płac pięciuset ludzi. Hecht wciąż podbierał mu najlepszych i wcielał do swoich rosnących sił patriarchalnych. Próbował stworzyć też jednolite dowództwo wszystkich patriarszych garnizonów.

Wzniosły zgadzał się na wszystko – przynajmniej tak twierdził prowincjał Doneto. Mając umowę z Anne z Menandu, z optymizmem patrzył w przyszłość. Wierzył, że będzie wyglądała tak, jak sobie zaplanował. W tym celu potrzebował skutecznego i kompetentnego wojska. Spodziewał się teraz, że stać go będzie na najlepszych żołnierzach.

Hecht zauważył, że jak dotąd do Brothe wpłynęło niewiele z obiecanych przez Anne pieniędzy. Może coś się pomieszało w terminarzach dostaw.

– Coś już znaleźliście? Cokolwiek? – zapytał Hecht.

– Moim zdaniem nic ważnego. Ale przez cały czas pod nogami płacze nam się dwóch, trzech prowincjałów. Mają więcej zabawy od nas.

- Słyszałam, że aresztowaliście jakichś ludzi – zauważyła Anna.
- Jasne. Zawsze są ludzie na tyle głupi, by podać ci swe prawdziwe imiona. Kiedy tuż za tobą stoi Facet w Czerni.
- Facet w Czerni, publiczny oprawca, nie głodował z powodu braku pracy. Zachowujących się źle ludków ścigano z zapalem.
- Ludzie Ghorta starali się sprawiać wrażenie, że są potrzebni.
- Ghort przesunął figurę. Anna nie ociągała się.
- Szach.
- Położył króla na szachownicy.
- Wiem, bijesz mnie na głowę. Jak myślisz, co się dzieje, Pipe? Oczywiście nie mówię o tym, że twoja pani właśnie skopała mi tyłek.
- Gdzie? Kiedy? Z kim?
- Dobre pytania, Pipe. Tutaj, w Brothe. Te wszystkie zamieszki coś za mało spontanicznie wyglądają?
- Tak myślisz? Jakiś głos mi mówi, że powinniśmy podziękować Ferrisowi Renfrowowi. Ale nie jestem pewien, czy powinniśmy ufać temu głosowi.
- Hm. Potrafiłbym wymienić jeszcze paru ludzi, którzy skorzystają na obywatelskich niepokojach u nas.
- Ten księżę w Connec?
- Zdecydowanie.
- To nie w jego stylu. On po prostu będzie czekał, aż Wzniosły umrze.
- Dlatego właśnie nazywają go Wielkim Niezdecydowanym? – wtrąciła Anna.
- Tak. Najpierw przyjrzałbym się Niepokalanemu.
- Nie. To nie jest Niepokalany – protestował Ghort. – Ale może ktoś inny z Viscement, kto uważa, że tego właśnie chciałby Niepokalany, gdyby miał odrobinę oleju w głowie. I nie lekceważyłbym Connec wyłącznie przez wzgląd na księcia Tormonda. On już tam nie rządzi. Hrabia Raymone z Antieux, ten, który zmiotł Haidena Backe’a, teraz dobrał się do mnichów Towarzystwa, których wciąż podsyła mu Wzniosły.
- Hecht zmarszczył czoło. Pinkus miał lepszy wywiad niż on.
- Nie podoba mi się to. Wzniosły może zdecydować, że trzeba udzielić im ochrony. I nie uwierzy, kiedy mu powiem, że nie da się tego zrobić.
- Anna zapytała:
- Co wam każe sądzić, że zamieszki są przez kogoś prowokowane?

– Tamci są zawsze pijani – Ghort odpowiedział. – Ktoś musi dostarczać im wino, a potem podsuwać powody, by się wściekli. Za wino trzeba płacić pieniędzmi. Bzdury są za darmo.

– Nie potrafisz przyznać, że być może powody są słuszne, co?

– Jasne, że potrafię. Nie powinni tu przyjeżdżać, nie mając żadnych widoków na przyszłość. Nikt im niczego nie obiecywał.

– Ty i Piper też przyjechaliście tu, nie mając żadnych widoków na przyszłość.

W wypadku Ghorta było to prawdą.

– Ale my nie oczekiwaliśmy, że ktoś nam coś da.

Anna wstała.

– Pella. Vali. Chodźmy nakryć do kolacji. – Ostatnio nie korzystała już prawie z wynajmowanej pomocy. W domu było zbyt wiele tajemnic. – Może nawet udało wam się złapać kilku złych ludzi, Pinkus, ale sąsiadów wciąż niepokoją tajemniczy obcy i nocne drapieżniki, które wyrywają ofiarom wątroby.

– Nie było następnych mordów.

– Nie o to mi chodzi. Będą. Sam najlepiej wiesz. Łapiesz tylko drobnych kryminalistów. Prawdziwe zło śmieje się z ciebie.

Hecht musiał zaoponować.

– To wcale tak nie wygląda. Nawet prowincjał Delari twierdzi, że Pinkus dokonuje cudów, mając do dyspozycji wybrakowany zestaw wadliwych narzędzi. Pinkus, niewykluczone, że pomoc jest już w drodze, ale oficjalnie nie mogę jeszcze nic powiedzieć. Potrzebujemy pozytywnej decyzji Wzniosłego.

– A z Delariego jaki niby pożytek? – warknęła Anna. – Co z tego, że jest największą małą w Kolegium, skoro przecież widzę, że on i jego kumple tylko przepłoszyli to, co czai się w mieście.

– Ona ma rację, Pipe. Nie mam żadnych konkretnych dowodów, ale jestem przekonany, że tylko zagnaliśmy to coś głębiej do podziemi.

Hecht sam wiedział. Delari też nie był zachwycony sytuacją. W istocie był w najwyższej mierze zawiedziony. Po bezowocnej zimie powoli zaczynał się martwić. Sytuacja więc wygląda mniej więcej tak, jak Ghort powiedział.

W mieście pełnym uchodźców nie sposób było stwierdzić, ilu ludzi znika. I dlaczego.

Byli tu tacy, którzy skupowali ciała, żywych i niedawno zmarłych. I inni, którzy je tamtym dostarczali.

– To wygląda prawie tak... Wygląda, jakby w okolicy był jeden z tych potwornych bogonów. Tutaj. I to szczególnie bystry. Historycznie rzecz biorąc, nie na wiele im się zdało unikanie ludzi.

– To nie jest bogon – sprzeciwił się Ghort. – Niemożliwe. Z bogonem Kolegium by sobie poradziło. Właśnie do takich zadań zostali powołani.

Mniej więcej. Choć teraz było senatem Kościoła i konsystorzem jego najwyższych kapłanów, w czasach pogańskich Kolegium stanowiło parlament czarowników stworzony do walki z Delegaturami Nocy.

– Tak było kiedyś. Teraz to są głównie karierowicze.

– Wobec tego może nadszedł czas, żeby wezwać Specjalne Oficjum.

Hecht nie wspomniał o tym, ale Specjalne Oficjum od początku było zaangażowane w całą sprawę. Oficjalnie nic na ten temat nie wiedział. Ale wśród ostatnich gości pałacu Chiaro rozpoznał kilka twarzy. Jedna z nich należała do człowieka, który wręczył mu portfel kurierski przeznaczony dla Sonsy.

Muniero Delari nie był tym uszczęśliwiony. Gardził Specjalnym Oficjum. Nienawidził Łowców Czarownic. Bractwa jako całości nie darzył wielką miłością. Winił ich za śmierć swego jedyne syna.

– Lepiej byłoby tego nie robić. Już są zbyt potężni.

– I z każdą chwilą ich potęga rośnie – zauważyła Anna. – Plotka głosi, że najważniejsi Łowcy Czarownic przybyli do miasta z Castella Anjela dolla Picolina. Chcą przejąć kontrolę nad Towarzystwem na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji.

Hecht dodał:

– Faktycznie tak to wygląda. Ale też wzbudza to niezadowolenie wielu ludzi.

Wszyscy w Kościele uważali, że Bractwo Wojny już cieszy się zbyt wielkimi wpływami i władzą. Samo Bractwo uważało, że powinno przewodzić Kościołowi Wojującemu. Kościołowi znacznie bardziej agresywnemu wobec niewiernych i Delegatur Nocy. W ich oczach działania podejmowane przez Honaria Benedocta były zdecydowanie zbyt mało energiczne.

– Jedzenie na stole, ludzie – oznajmił Pella.

– Na litość boską – warknęła Anna. – Nie potrafię nauczyć go manier nawet pod groźbą bicia.

– Na oficjalnych spotkaniach radzi sobie nieźle – bronił małego Ghort.

– Trochę tak jak ty – przyciął mu Hecht.

– Zdecydowanie tak jak ja. Kiedy mam publiczność, zmieniam się w chytrego lisa. Chłopak musi być moim duchowym dzieckiem.

– Nie opowiada tylu zmyślonych historii – dołożyła swoje Anna.

– Dajcie mu trochę czasu. To jeszcze dzieciak. Co jest na stole, Pella?

– Jagnię w cieście. Kiedy Piper jest w domu, zawsze chce coś z baraniny. Jakby był devem czy co.

– Po prostu lubię baraninę. A tutaj rzadko ją podają. – Odsunął krzesło od niskiego stołu.

Świat się zatrzęsł.

– Co, u diabła?

– Trzęsienie ziemi! – pisnęła Anna.

Pella rozdziawił usta. Ale nie wyszło z nich żadne słowo. Vali krzyknęła, był to pierwszy dźwięk, jaki wydała kiedykolwiek w obecności Hechta. Przytuliła się do Anny, schowała w jej spódnicach. Przerazona.

– Nie wydaje mi się, żeby to było trzęsienie – szepnął Ghort. – Trwa zdecydowanie zbyt długo.

Ziemia nie przestawała się trząść. Z zewnątrz dobiegał głęboki, odległy, nie kończący się grzmot, przerywany od czasu do czasu krzykami.

– Też tak uważam – zgodził się Hecht. Nie miał pojęcia, że w Brothe w ogóle zdarzają się trzęsienia ziemi. Ruszył do drzwi.

– Nie waż się wychodzić na dwór! – ostrzegła Anna.

Docierające z dworu odgłosy zamieszania świadczyły o narastającej panice.

W kuchni coś spadło na podłogę.

– Chcę zobaczyć...

– Każdy z tych idiotów będzie oczekiwał, że powiesz im, co się dzieje. I co należy w tej sytuacji zrobić.

Mogła mieć rację. Znała swych sąsiadów.

– Wobec tego ty idź sprawdź. Ja zobaczę, co się stało w kuchni.

Anna wyszła z domu. Dzieciaki poszły za nią, zbyt szybkie i ruchliwe, żeby dało się je zatrzymać.

– Tak czy inaczej będziemy musieli wyjść, Pipe – uznał Ghort. – Ponieważ cokolwiek to jest, sprawa jest poważna, a naszym zadaniem jest być tam, gdzie coś się dzieje.

Pinkus Ghort nie był jasnowidzem. Każdy, kto miał oczy i uszy, mógłby to powiedzieć. Stali się decydującymi kółkami w maszynerii administracyjnej Brothe.

Udało im się wyjść z domu, nie ściągając na siebie uwagi. Ludzie stali, jak jeden mąż zapatrzeni w wielką i gęstą chmurę tłustego dymu, która unosiła się ku niebu na północnym zachodzie.

– Co, u diabła? – mruknął zdjęty grozą Ghort.

– To nie wygląda jak zwykły dym. – Hecht nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem tyle pyłu mogło znaleźć się naraz w powietrzu.

Ziemia wciąż od czasu do czasu drżała pod ich nogami.

W kłębiącej się chmurze dymu zaskwierczała błyskawica.

– Czary – mruknął Ghort. – Nigdy w życiu nie widziałem zielonkawej błyskawicy.

– Mam złe przeczucia, Pinkus.

Następna błyskawica rozbłysła bardziej przekonująco od poprzedniej. Potem chmura rozjarzyła się od wewnątrz pulsującą liliową poświatą, która rozbłyskiwała i gasła, jakby w rytmie powolnego bicia serca. Odbiło się jej grzmotem.

– To musi być gdzieś przy hipodromie, Pipe. Może zawaliła się ta część, którą właśnie remontowano.

Stadion, na którym odbywały się wyścigi, stał od tysiąca czterystu lat. W starożytności był sceną walk gladiatorów i innych krwawych igrzysk. Remont rozpoczęto po zakończeniu jesiennego sezonu, ponieważ w trakcie ostatnich wyścigów rydwanów, w których firaldiańscy mistrzowie zmierzyli się z zawodnikami Cesarstwa Wschodu, tupiący nogami podniecony tłum doprowadził do zawalenia się części konstrukcji.

– To musiałyby być naprawdę poważna katastrofa.

Szli już w tamtą stronę, przeciskając się pod prąd uciekających. Zasłyszane strzępy opowieści o zdarzeniu nie miały krztyny sensu.

Błyskawice energiczniej zatańczyły w chmurze. Sama chmura kłębiła się, żyła, ale nie przesuwiała. Nie powiększała. Tylko z każdym rozbłyskiem wznosiła się wyżej. Rozbłyskujące/przygasające światło słało rozjarzone

fale jasności wzdłuż trzonu kolumny dymu, wraz z wysokością gasnące i spowalniające.

– To zdecydowanie pył – orzekł Hecht. – Już czuję jego woń.

– Może lepiej nie podchodźmy bliżej. W takiej ilości pyłu możesz utonąć tak jak w wodzie.

Chmurę przeszły szczególnie zjadliwa błyskawica. Tym razem nie zgasła.

Nastąpiła eksplozja.

– Cholera! Spójrz na to!

Chmura zapadła się w sobie. Kilka chwil później zza rogu ulicy, ćwierć mili przed nimi wypłynęła skłębiona powódź, pędząc w stronę ich szybciej, niż potrafiłby biec człowiek.

– Na owłosione jaja Aarona! – zaklął Ghort.

Hecht w panice zadarł sobie koszulę na twarz.

Na moment przed uderzeniem fali powodzi Ghort wciągnął go w bramę jakiejś czynszowej kamienicy. Zaczął łomotać do drzwi.

– Regiment Miejski! Sytuacja alarmowa! Otwierać!

Ku zdumieniu Hechta poskutkowało. Zza pleców kilkuletniego chłopca uzbrojonego w kawałek ułamanej deski patrzyła na nich zgarbiona staruszka. Pokryte bielmem oczy były zdumiewająco szeroko otwarte.

– Nie jesteśmy żadne strachy, babciu. Pipe, dawaj tu swoją dupę! Chcesz utonąć w tym gównie?

Ghort zatrzasnął drzwi. Przez szczeliny wsącżyły się do środka wirujące smużki pyłu. Zdążył już otrzepać kurtkę oficerską Regimentu Miejskiego, którą nosił stale, głównie przez wzgląd na przywileje, jakie zapewniała.

Chłopiec rozpoznał go.

– To pan komendant we własnej osobie, babciu. Naprawdę.

Stara kobieta nie wyzbyła się podejrzeń, co Hecht uznał za całkiem rozsądną strategię.

– Nie otwierajcie, póki kurz nie osiadzie – poinformował ją Ghort. – Teraz moglibyście się udusić. Chłopcze, czy z wnętrza można się jakoś wydostać na dach? – Kamienica miała trzy piętra.

– Proszę za mną, komendancie.

Hecht uniósł brwi. Ghort wprawdzie miał prawo do tego tytułu, ale nikt tak do niego nie mówił. Pomyślał sobie, że jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, jest właśnie świadkiem kultu bohatera w działaniu.

Niepokojąca myśl.

Dach znajdował się ponad zasadniczą warstwą pyłu. Ale niewiele więcej stamtąd zobaczyli.

Chłopiec gadał bez przerwy. Był wielkim fanem Ghorta. Kiedy dorośnie, chce być zawodowym żołnierzem.

Hecht kręcił głową i rozglądał się za źródłem eksplozji. Nie potrafił dostrzec nic oprócz zapadającej się, spłaszczonej kuli szarości, która skrywała całe miasto na północ od nich. Za nią ledwo było widać mającące sylwetki najwyższych wież Krois, Castella, pałacu Chiaro, pomników Memorium, odległych wzgórz i temu podobnych.

– To hipodrom – zaryzykował przypuszczenie Hecht. – Ale jakim sposobem?

– Czary.

To rzeczywiście był hipodrom. I nie tylko. Kiedy kurz opadł na tyle, by mogli zbliżyć się do sceny katastrofy, Hecht i Ghort przekonali się o tym na własne oczy.

– Czary – upierał się Ghort, spoglądając w wielkie rumowisko ziejące w miejscu, gdzie kiedyś był stadion.

– Czary – zgodził się Hecht. Wolałby raczej winę zwalić na czas i brak wytrzymałości znajdujących się niżej katakumb, ale nie sposób było zaprzeczyć świadectwu oczu.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Nigdy. – I jakby po namyśle dodał: – Byłeś przy mnie za każdym razem, kiedy wdawałem się w awanturę ze stworami Nocy.

– Hej! Nie zwałaj wszystkiego na mnie.

– Z tym akurat powinieneś sobie poradzić. – Paru żołnierzy Ghorta dotarło już na miejsce katastrofy, teraz stali oszołomieni. Obok setek gapiów. – Nie chcemy, żeby coś się stało temu tłumowi.

– Za późno, Pipe. Gotów jestem się założyć, że w tym bałaganie jest mnóstwo ciał. – Ghort spojrział w ziejącą dziurę.

Bez wątpienia. Rzemieślnicy zajmujący się naprawą stadionu. Poza tym dzicy lokatorzy, zawsze okupujący jego rozległe przestrzenie.

Hecht dostrzegał już ciała i fragmenty ciał.

– Na dole mógł ktoś ocaleć, Pinkus. Zajmij się tym. Ja zrobię przegląd swoich żołnierzy i przyślę ci pomoc.



Spod gruzów wydobył się blask jaskrawego światła. Po nim dobiegł ich uszu trzeszczący, stłumiony grzmot. Potem ziemia zadrżała.

Wycofali się. Bruk, na którym przed chwilą stali, przechylił się i powoli zsunął w dziurę. Po jej przeciwległej stronie ostatnia ocalała ściana hipodromu majestatycznie runęła na ziemię. W powietrze wzbiły się dalsze chmury pyłu, ale znacznie rzadsze niż pierwsza. Wiejący z południa wiatr poniósł pył znad miejsca, gdzie stali Hecht i Ghort.

– Później – powiedział Hecht. – I uważaj.

– Ostrożność to moje nowe imię. Widziałeś wokół coś, co warto byłoby ukraść?

– Hę?

– Obawiam się, że moi chłopcy będą się musieli bardziej przejmować szabrownikami niż ratunkiem i sprzątaniami.

Hecht mruknięciem przyznał mu rację, po czym ruszył w stronę Castella.

Wchodząc do kwatery przydzielonej mu przez Bractwo, Hecht zastał swój sztab w komplecie i przy pracy.

– Słyszeliście, co się stało?

– Jakaś katastrofa – powiedział pułkownik Smolens. – Posłałem ludzi na miejsce, żeby sprawdzili. Tak samo zareagowało Bractwo.

– Katastrofa. Tak. Zawalił się hipodrom. Nie wytrzymały znajdujące się pod spodem katakumby. W grę wchodzi czary. Widziałem ich skutki. Straszne zamieszanie. Spodziewam się, że będziemy musieli pomóc w utrzymaniu porządku.

Zaczął jeden przez drugiego zadawać pytania.

– Nic więcej nie wiem. Prócz tego, że są ofiary w ludziach. Zwołajcie żołnierzy. Niech się zbiiorą w Rejonie Zamkniętym. Broń i ekwipunek. Starczy nam łączników?

– Możemy pożyczyć z Bractwa. Mają tu dość zbędnych ludzi.

– Dobrze. Zróbcie tak. Titus. Kto jest właścicielem hipodromu?

– Kościół. Dlaczego?

– Tak też myślałem. To znaczy, że Kościół będzie musiał posprzątać i zająć się odbudową. Jeżeli Wzniosły będzie musiał się tym zająć, nie będzie mógł tyle zainwestować w nas i realizację swych ambicji.

– Mówisz o sabotażu? Ktoś to zrobił, żeby zaszkodzić Wzniosłemu?

– Nie. Obaj znamy ludzi, którzy są dość bezwzględni. Ale wiemy też, że nie są dość bystrzy, by złapać nadarzącą się okazję. Tak naprawdę sądzę,

że katastrofa jest produktem ubocznym czegoś znacznie mroczniejszego.

Wszyscy jak jeden mąż oderwali się od pracy i odwrócili w jego stronę.

– Zaangażowane w całą sprawę czary były potężne. Nie uwierzycie relacjom naocznych świadków.

Hecht zabrał ze sobą Titusa Consenta i poszedł dokonać przeglądu oddziałów. Garstka żołnierzy gubiła się w rozległej przestrzeni Rejonu Zamkniętego. Pułkownik Smolens złożył raport:

– Więcej nie zdołaliśmy ściągnąć. Na razie.

Hecht uznał, że ma przed sobą jakichś stu dwudziestu ludzi.

– Musimy opracować plan na taki wypadek.

– Jaki? – zapytał Consent.

– Jak reagować na wypadek nieprzewidywalnego. Pułkownik Smolens zauważył:

– Pojawią się, gdy tylko dotrze do nich wieść. Przydałby się sygnał. Może róg.

Hecht coś odmruknął. To była jego wina. Nie chciał, by żonaci żołnierze mieszkali z dala od swoich rodzin. Zbyt dobrze pamiętał – z czasów, gdy był sha-lugiem – jak dotkliwa potrafi być rozłąka. Pomysł z rogiem wydawał się dobry, gdyby nie jeden kłopot – miasto było zbyt duże.

– Mamy towarzystwo. Nadchodzi prowincjał Doneto – powiedział Titus Consent.

Doneto, Donel Madisetti i kilka pomniejszych gwiazd Kolegium. Doneto natychmiast zażądał raportu:

– Jakie podjąłeś działania, Naczelny Wodzu?

– Zbieram żołnierzy, żeby przywrócić porządek wokół miejsca katastrofy.

Wkrótce miał zapaść zmrok. Przy świetle księżycy szabrownicy wyruszą na miasto.

– Gratuluję – rzekł Doneto. – Właśnie tego rodzaju odpowiedzialnych działań się po tobie spodziewamy, Naczelny Wodzu. Ale przybyłem tu, by zmienić twoje plany.

– Panie? – Szaleństwo. Lud Brothe wpadnie we wściekłość, jeśli Kościół nic nie zrobi. Kościół Matka Kochająca z jej niezmiernym miłosierdziem.

Prowincjał Doneto zrobił jedną z tych niepokojących sztuczek z czytaniem w myślach, które tak łatwo przychodziły członkom Kolegium.

– Przecież z rozmysłem nie wstrzymywalibyśmy pomocy, Naczelny Wodzu. – Wskazał głową na bok. Chciał porozmawiać na osobności.

Hecht poszedł za nim parę kroków.

– Panie?

– W nocy szykuje się powstanie. Niewykluczone, że ma to związek z wydarzeniami na hipodromie.

– Od kiedy pułkownik Ghort podjął bardziej agresywne działania, niepokoje ustały.

– Podejrzewam, że to tylko zmiana strategii po stronie tych, którzy podburzają lud.

– Co mam zrobić?

– Wesprzeć gwardię pałacową. Tłum rzekomo na nas uderzy tutaj.

Prowincjał Doneto był zdolnym kłamcą, właściwie nie sposób było odczytać tego, co naprawdę myśli. Hecht uznał jednak, że teraz jest szczerzy, choć nie mówi mu wszystkiego.

– Tego chce Jego Świątobliwość?

– Stanowczo.

Och? Z odpowiedzi można było wnosić, że kuzyn Patriarchy jest całą sprawą szczególnie zainteresowany.

Ludzie wciąż schodzili się na miejsce zbiórki. Smolens ze swym sztabem pilnował porządku, a Hecht konferował z Donetem. Pojawili się bracia Drumm, brudni, spoceni i bez tunik. Najstarszy, dysząc, doniósł:

– W Memorium gromadzi się wielki tłum. Ścigali nas. Zobaczyli mundury. Ledwie udało nam się uciec.

Tłum już było słychać na zewnątrz, coraz głośniejszy.

Pałac Chiaro zbudowano u szczytu potęgi Starego Imperium Brotheńskiego, kiedy granice znajdowały się w odległości tysiąca mil, a w mieście kwaterowały całe legiony, zdolne w jednej chwili stłumić zamieszki. Budowniczości nie widzieli potrzeby, by pałac uczynić zdatnym do obrony. Jako bastion biurokracji przetrwał nietknięty nawet burzliwą epokę wojen domowych w Imperium.

Niezależnie od tego, kto mianował się Imperatorem, potrzebował rejestrów podatkowych i instrumentów, dzięki którym można było ściągać należności z obywateli.

Tłum wlał się na teren Rejonu Zamkniętego. Od sześćdziesięciu pokoleń Brotheńscy przyzwyczajali się do takiego zachowania. Pielgrzymi byli pijani. Niektórzy nieśli pochodnie. Inni zaimprovizowaną broń: maczugi,

cegły, narzędzia, noże, rzadko dziedziczny zardzewiały miecz, ukradziony gdzieś przez któregoś z przodków.

– Wygląda mi na to, że jest tu wielu uchodźców – poinformował Hechta Titus Consent. – Już słyszałem kilka języków, którymi nie mówi się w Firaldii.

– Mimo to nie wyglądają na skorych do konfrontacji.

Tłum zaczynał powoli trzeźwieć.

Jakiś zawodowy prowokator rzucił kamień. Hecht zwrócił się do swego sztabu:

– Nie podejmujcie żadnych działań, póki nie zaczną na poważnie. Pozwólmy im tu postać trochę, a kiedy zaczną boleć ich głowy, rozejdą się do domów.

W tłumie jakieś głosy ponaglały do działania. Nie trzeba było rozumieć słów, żeby wiedzieć, o co chodzi.

– Jeżeli nie zareagujemy, wkrótce będą zbyt zmęczeni i skacowani, żeby stanowić jakąś groźbę – uznał Hecht.

Patriarchalni żołnierze Naczelnego Wodza Pipera Hechta byli weteranami. Ranga zapewniała mu możliwość wybierania najlepszych z najlepszych. Ponieważ wcześniej już spotkali się ze słoniem i poczuli z bliska jego stęchły oddech, nie spieszyli się do krwawej rozprawy.

Gwardia pałacowa niestety nie mogła się poszczycić takim poziomem zdrowego rozsądku.

– Przez tego cholernego głupca wszystkich nas tu pozabijają – zachnął się pułkownik Smolens, wskazując oficera gwardii, poprzedzanego przez trzech umundurowanych piechurów.

– Pewnie sądzi, że liberia czyni go nieśmiertelnym – zauważył Hecht. – Prowincjale Doneto, może byś... Gdzie on się podział? – Doneto, Madisetti i pozostali zniknęli. – Doneto mógłby mu rozkazać, żeby wrócił do szeregu. – Sam nie miał takich uprawnień. Nosił wprawdzie tytuł Naczelnego Wodza, ale były tysiące wyjątków spod jego władzy.

Titus Consent zauważył:

– Może poradzą sobie z nim szybciej, niż tłum zdąży się rozsierdzić. Patrz! Co robisz?

Hecht już wychodził przed szyk. Wybuch Consenta zatrzymał go.

W świetle pochodni, którą ktoś wymachiwał, pokazały się dwie znajome twarze. Jedna należała do Bo Biogny, człowieka Pinkusa Ghorta. Biogna z

pewnością był całkowicie na miejscu w zbuntowanym tłumie – identyfikował prowodyrów. To na widok człowieka stojącego obok Bo Hechtowi zamarło serce.

Był już nieco starszy, odrobinę bardziej posiwiały, na czubku głowy miał zaczątki łysiny, której wcześniej tam nie było, i broda była jakaś mniej rozwichrzona, niemniej nie mogło być wątpliwości. Hecht poznałby Szkieleta w każdych okolicznościach, nawet gdyby tylko szkielet z niego został. Bo i Szkielet. Szkielet i jego szkielet. Co, u diabła, robił Szkielet po tej stronie Morza Ojczystego? Poza tym tutaj, w pierwszym szeregu tłumy szybko tracącego entuzjazm do szturm na bijące serce zachodniej religii?

Hagid.

Musiał istnieć jakiś związek.

Szkielet, którego Hecht nie znał pod żadnym innym imieniem i żadnego innego wedle jego wiedzy nie nosił, był starszym sierżantem w oddziale specjalnym dowodzonym przez kapitana sha-lugów, Else'a Tage.

– Sir?

– Bechter. Jesteś wreszcie.

Sierżant Bechter został zmuszony do wybrania długiej drogi okrężnej. Towarzyszyli mu: nowo powołany prowincjał Bruglionich Gervase Saluda i stary Hugo Mongoz. Prowincjał Mongoz najwyraźniej bawił się świetnie. Hecht zwrócił się do Saludy:

– Gratuluję. W końcu.

Paludan Bruglioni, senior rodu, nominował Saludę już dawno temu, po tym jak prowincjała Divina Bruglioniego znaleziono martwego na polu bitwy pod al-Khazen, ledwie kilka godzin przed szczęśliwym zwieńczeniem krucjaty calzirskiej.

Nominacja Saludy spotkała się z żywiołową opozycją. Zarzucano mu, że od czasu chrztu ani razu nie był w kościele. Nie miał żadnych talentów nadprzyrodzonych. Był silną osobowością. Na zawsze związał swój los z rodziną Bruglionich. A z punktu widzenia Hechta był na dodatek niebezpiecznie bystry. Przez ostatnich dziesięć lat to on utrzymywał rodzinę Bruglionich w całości.

– Sprawiedliwi zawsze zatriumfują – odparł Saluda sarkastycznym tonem. Był do niemożliwości amoralny i cyniczny.

– Wybacz. Mamy tu kryzys.

Zapewne niejeden. Z tyłu za żołnierzami zmaterializował się w cieniach Osa Stile. Chłopak próbował zwrócić uwagę Hechta.

Hecht znowu przyjrzał się tłumowi, ale tym razem nie potrafił już wypatrzeć w nim Szkieleta ani Bo Biogny. Ciżba zresztą już rzedła, prowokatorzy zmyli się pierwsi. Ci, którzy zostali, zadowalali się drwinami z gwardii pałacowej.

Hechta przeszył dreszcz.

– Sierzancie Bechter?

– Sir?

– Tam, po lewej. W drugim szeregu. Za facetem z wielką brodą. W brązowym ubraniu.

– Widzę go, proszę pana. To ten sam człowiek, o którym mówiłem. Przed chwilą poczułem ten sam dreszcz.

– Cloven Luty – ocenił Hugo Mongoz, opierając się na ich ramionach, mrużąc oczy i spoglądając we wskazanym kierunku. – To będzie Cloven Luty. Nie mam wątpliwości. Dziewiąty Nieznany we własnej osobie.

Tylko Hecht zrozumiał.

– Dziewiąty Nieznany, wasza miłość? Ależ on nie żyje od pięćdziesięciu lat.

– Tak – zgodził się stary w zadumie. – Powinien. Tak wszyscy myślą. – Na moment w oczach Mongoza rozbłysła zazdrość, potem zasnuł je cień, ciało obwisło. Hecht i Bechter wzięli go pod ramiona. Tamten nagle jakby się wystraszył, jakby przestawał rozumieć, co się dzieje.

– Ja się nim zajmę, Naczelnny Wodzu – zaofiarował się Gervase Saluda. – Biggio. Pomóż mi, proszę.

Błyskawiczna zmiana, jaka zaszła w osobowości tamtego, stanowiła memento ludzkiej słabości.

– Sierzancie Bechter, gdzie ten człowiek w brązowym? – zapytał Hecht.

Czy był to Dziewiąty Nieznany, czy zwykły ziemski demonstrant, zniknął.

Hecht skinął głową Osie Stile, dając mu znak, że go widzi. Dotąd ignorował go tylko przez wzgląd na napiętą sytuację.

Choć sprawa musiała być ważna, Osa nie pojawiał się publicznie bez swego protektora.

Nowy prowincjał Bruglionich, który właśnie zbierał się do odejścia z prowincjałem Mongozem, powiedział:

– Kiedy znajdziesz chwilę, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, Naczelnny Wodzu. Sprawy rodzinne. Mogą mieć pewne znaczenie dla Paludana.

– Oczywiście. Sierżant Bechter będzie w stanie znaleźć chwilę, pasującą do naszych rozkładów zajęć. – W Imię Boga Wszechwiedzącego i Miłosiernego! Co to za wyrażenia? Jeszcze rok temu nie potrafiłby sobie wyobrazić, że coś takiego powie. – Bechter?

– Rozumiem, sir.

Hecht obszedł Rejon Zamknięty, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja.

– Ten idiota tyle gada, że wkrótce sam siebie przekona, iż jest bohaterem.

Z tłumu została może jedna trzecia. Oszołomieni alkoholem mieli już wygląd psów z podwiniętymi ogonami i trwali na miejscu wyłącznie dlatego, że nie chcieli opuścić przyjaciół, z którymi tu przyszli.

– Zawodowi agitatorzy już się zmyli – zaobserwował Hecht. – Teraz tylko inercja utrzymuje tłum w całości. Już po sprawie, chyba, że kogoś złapie w ostatniej chwili atak szaleństwa. Ludzie, okrążyć ich! Lepiej nie ryzykować plagi durniów. Macie wolną rękę, róbcie co konieczne, nawet wobec naszych.

– Nie zostaniesz? – zapytał pułkownik Smolens.

– Nie. Mam inny problem, który domaga się natychmiastowej uwagi.

– Sir?

Nie wyjaśnił.

– Kiedy ci debile już sobie pójdą, zaprowadź żołnierzy na hipodrom, żeby pomogli pułkownikowi Ghortowi.

– Tak jest.

Hecht rozejrzał się dookoła. Grupa Mongoza zniknęła. Był najwyższy rangą. Mógł zrobić, co chciał.

A chciał znaleźć tę męską dziwkę.

– Armand. – Hecht dogonił chłopaka w połowie drogi do apartamentów prowincjała Delariego.

Chłopak skinął mu ręką i przyspieszył kroku. Wolał porozmawiać, gdy znajdzie się już w bezpiecznym schronieniu apartamentów prowincjała.

– Co jest? – zapytał Hecht, gdy już znaleźli się w bezpiecznym schronieniu.

Osa był zawodowcem i nie podjąłby ryzyka, gdyby zaniechanie działania nie wiązało się z większym ryzykiem.

– On został uwięziony tam, na dole.  
– Co? Kto? Zaczynaj od początku.  
– Prowincjał. Nasz prowincjał. Delari. Jest na dole, w katakumbach. Miał wrócić już dawno temu.  
– Wciąż nie chcesz zacząć od początku. Miał coś wspólnego z zapadnięciem się hipodromu?  
Osa był zbity z tropu.  
– Jakim zapadnięciem?  
– Zawaliły się katakumby pod hipodromem. Stadion zwałił się do powstałej dziury. Potworna katastrofa. Mnóstwo ludzi zginęło.  
Osa zbladł.  
– Myślałem, że to tylko kolejne zamieszki. Musimy coś zrobić.  
Hecht zazgrzytał zębami.  
– Naprawdę został na dole?  
Chłopak pokiwał głową.  
– O, cholera! To bardzo źle. Potrzebujemy starego, bez niego sobie nie poradzimy. Ani ty, ani ja. Jesteś całkowicie pewien?  
– Poszedł z samego ranka. Wstał wcześniej niż zwykle. Powiedział, że wymyślił, jak poradzić sobie z tym, co tam jest. Cokolwiek to miało znaczyć. Nie mówi mi nawet w połowie tak dużo, jak myślisz. Wyszedł zaraz po śniadaniu. Pogwizdując. Zapewniał mnie, że wróci na obiad.  
Hecht zastanowił się nad możliwościami wyjścia z sytuacji. I dostrzegł tylko jedną. Wydostać Delarię.  
– Idę z tobą – powiedział Osa. – Zanim Hecht zdążył się sprzeciwić, dodał: – Jestem sha-lugiem.  
Był. Tak. Przede wszystkim. Uczył się w Szkole Żywiłowego Narybku.  
– W porządku. Włóż coś, w czym nie będziesz wyglądał jak dziwka.  
– Pójdę się przebrać.  
Kiedy wrócił, w niczym nie przypominał uróżowionego, wyperfumowanego łózkowego króliczka, z którym Muniero Delari dzielił noce. Ani nie pachniał.  
Ten Osa nie miałby najmniejszych trudności z roztopieniem się w brotheńskim tłumie. Łatwość, z jaką przeobrażał się w prostaka, nasuwała wniosek, że od czasu do czasu tak właśnie czynił.  
Osa uśmiechnął się.  
– Taki zawód, kapitanie. Wiesz, dokąd mamy iść. Prowadź.



Hecht zastanawiał się, czy przypadkiem Stile nie korzysta ze sposobności wykrycia tajemnic, do których nie dopuszczał go jego opiekun.

Smugi szarego pyłu stawały się coraz wyraźniejsze, w miarę jak zbliżali się do łaźni. Wewnątrz obsługa zajmowała się czyszczeniem sprzętów i usuwaniem z powierzchni wody powłoki brudu.

Wyszła im na spotkanie Hermin.

– Ten brud przyleciał od tyłu, stamtąd, gdzie nikomu nie wolno wchodzić – wyjaśniła. – Razem z mnóstwem zimnego, śmierdzącego powietrza. Dzisiaj nie możemy cię wykąpać.

– Nie ma sprawy. Tylko przechodziliśmy tędy.

Oczy Hermin się rozszerzyły.

– Udajemy się na tyły, gdzie nikomu nie wolno wchodzić.

– Proszę uważać, panie. Tam zdarzyło się coś naprawdę złego.

Komnata mapy była jednym obrazem zniszczenia. Pył jeszcze nie osiadł do końca.

– Co to za miejsce? – zapytał Osa.

– Nie musisz wiedzieć. Więc nie pytaj.

Księża i zakonnice wzięli się do sprzątnania, ale nie wkładali w to wiele serca. Niektórzy tylko stali lub siedzieli ze szklistymi oczyma. Jedna z siedzących kobiet kołysała się na boki, zamknięta we własnym sekretnym wszechświecie.

Jeden z przełożonych przeszkodził Hechtowi. Mówił wolno, dużo kaszłał i wciąż pociągał nosem.

– Idziesz po Nieznanego?

– Tak.

Ksiądz się rozkaszłał.

– Poszedł przez Stare Drzwi. Nie wrócił. Potrzebujemy go. To straszna katastrofa. Trzej bracia zginęli.

Niedobrze.

– Znajdziemy go – powiedział pocieszająco Hecht. – Tymczasem róbcie, co on chciałby, żebyście robili.

– Ale...

– Co jeszcze, bracie? Rozejrzyj się dookoła. Co trzeba zrobić? – Hecht przez całe życie nie potrafił się wyzbyć zdumienia, że tak wielu ludzi nie weźmie do ręki nawet miotły, póki ktoś im nie każe. – Ty jesteś tu przełożonym. Bierz się do roboty. – Pociągnął Osę za sobą.

Nie dawało się iść tak szybko, jak zamierzał. Spiesząc się, podnosili z ziemi obłoki pyłu, a wtedy oddychanie sprawiało ból. Trochę pomagało osłanianie ust rękawem.

Hecht powtórzył instrukcje obsługi latarni, usłyszane od prowincjała Delariego.

– Raz tu tylko byłem. – I tym razem powinien przyjść sam. Osa Stile nie musiał wiedzieć o podziemiach. – W kwestii tych latarni prowincjał był nieugięty. Pewien jestem, że wiedział, co mówi. Omalże nie nadzialiśmy się na coś, co nawet nim wstrząsnęło.

– Prawdopodobnie to coś, na co potem przyszedł zapolować.

– Co ci powiedział?

Hecht przyjrzał się masywnym drzwiom. Zostawiono je nie zamknięte. Naturalnie Delari chciał przez nie wrócić. Potężny wiatr niosący tony pyłu wyważył je. Nie sposób było ich zamknąć.

– Prawie nic. Nie potrafię z niego wydobyć nic, o czym nie chce mówić.

– Podejrzuwa cię?

– Nie. Po prostu powiedział, że to nie moje sprawy.

– Aha?

– Z Delarim poszło mi znacznie gorzej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Choć związek z nim jest korzystny. Otwiera drzwi. – Uśmiechnął się tym swoim triumfującym uśmiechem.

– Idziemy. Powoli. Ten pył może być niebezpieczny.

I tak musieli iść powoli. Każdy niepewny krok wzniecał duszące tumany.

– Prawdopodobnie nie jest to najmądrzejszy sposób załatwienia całej sprawy – powiedział Hecht. Ale nie zawrócił.

Jego samego zaskoczyło, że tak emocjonalnie podchodzi do losu prowincjała Delariego.

Unikając wciągania głębiej powietrza w płuca, Osa zapytał:

– Co to było za miejsce? Ci wszyscy starzy księża i zakonnice?

– Zapytaj Delariego. Powie ci, jeśli będzie chciał, żebyś wiedział.

– Masz zamiar zataić całą rzecz przed swoimi panami z al-Karn?

– Moi panowie w al-Karn opuścili mnie, bracie.

– Nie rozumiem.

– Ani ja. Ale od czasu, gdy wyjechałem z Dreangeru, było przynajmniej siedem zamachów na moje życie. Wszystkie ślady, jakie odkryłem, prowadzą do Szakala.

Osa zatrzymał się. W świetle latarni jego wielkie oczy wyglądały niesamowicie,omalże nieludzko.

– Mówisz prawdę?

– Tak. A nie jestem w stanie dotrzeć z moimi pytaniami czy wiadomościami do Gordimera. Jak więc mogę nie myśleć, że spisano mnie na straty? Że wciąż łamię komuś serce, ponieważ nie chcę się położyć i umrzeć?

– Ale... – Osa Stile pokręcił głową. Wydawał się całkowicie skonfundowany.

– Poza tym dzieje się coś znacznie większego. – Opowiedział Osie o brutalnym morderstwie Hagida. O tym, jak parę godzin temu widział w Rejonie Zamkniętym Szkieleta.

– Hagid? Syn Nassima Alizarina?

– Ten sam.

– To faktycznie wielka tajemnica.

– Naprawdę?

– Niepotrzebny ten sarkazm. Wieści o tym mogą spowodować wielkie polityczne trzęsienie ziemi w domu. Syn Nassima Alizarina był dla niego całym życiem. Ojciec miał nadzieję, że Hagid zostanie następnym Marszałkiem sha-lugów.

– Kiedy tego słucham, zupełnie się już gubię. Po co Góra miałby wysyłać Hagida do Calziru, jeśli cały chaldarański zachód oblażł to królestwo jak robaki ścierwo.

– Calzir?

– W al-Khazen widziałem kilku z mojej starej kompanii. Podejrzewam, że nie udało im się uciec z pozostałymi sha-lugami i Lucidianami.

Zbliżali się do wielkiej podziemnej katedry. W ciemnościach przed nimi coś załomotało. Gruz ulegający czarowi grawitacji? Czy coś się szamocze?

Teraz obaj już milczeli. Rozmowy mogły okazać się niebezpieczne. Nie wiadomo, kto może słuchać. Co może słuchać. Może sama Noc podsłuchuje tych, którzy tutaj folgują sobie niebacznym słowem.

– Coraz większa samotność – powiedział Osa.

Nic więcej nie dodał i nie musiał. Hecht rozumiał doskonale. A Osa był po tej stronie Morza Ojczystego dłużej niż on.

Hecht założył, że obwał nastąpił w podziemnej katedrze. Pod Brothe nie mogło być więcej tak ogromnych pustych przestrzeni. A może?

Niemożliwe.

Przez nową szczelinę nad ich głowami do komnaty sączyła się księżycowa poświata. Po płytkach ogromnej posadzki wały się mniejsze i większe fragmenty rumoszu. I wszędzie leżały kości. Mocny zwierzęcy zapach tłumił odór starej śmierci i świeżych ścieków. Wcześniejsza wizyta nie przygotowała Hechta na to, co da się zobaczyć przy bodaj najśłabszym świetle sierpa księżyca.

– Skąd tu te wszystkie kości? – wymamrotał Osa.

– Ze starożytności. Brothe było kiedyś znacznie większe. Pierwsi chaldaranie przynosili tu swoich zmarłych. Przez wieki.

– Niektórzy mieli dość dziwne kości. – Osa wskazał na kości zasadniczo humanoidalne, ale całkiem różne od pozostałych. – To nie może być właściwe miejsce.

– Chyba nie. – Hecht wbił wzrok w kurtynę ciemności. To właśnie w tym miejscu poprzednim razem wyczuł coś okropnego. Teraz nie czuł nic.

Amulet milczał. W pałacu Chiaro nigdy nie pozostawał nieaktywny. Do tego stopnia, że Hecht już przestał zwracać uwagę na leciutkie mrowienie.

– Kiedy skręcaliśmy po raz drugi, w istocie oddaliliśmy się od hipodromu. Powinniśmy wrócić i pójść w drugą stronę – zauważył Osa.

– Skąd możesz wiedzieć? Nigdy nie byłeś tu na dole.

– Prawda. To wszystko dla mnie kompletna egzotyka. Ale mam doskonałą orientację w terenie.

– Och? – Coś, co lepiej zapamiętać. – Wobec tego prowadź.

Osa poprowadził. Doszli do skrzyżowania korytarzy, na którym jego zdaniem zbłądzili.

– Na tej drodze pył staje się gęstszy.

Pył niemal już uniemożliwiał oddychanie. Światło latarń nie sięgało daleko. Amulet Hechta pozostawał uśpiony, ale...

Wskazał dłonią, równocześnie otwierając maksymalnie przesłoną latarni.

Ślady stóp. Ktoś tędy szedł.

– Masz jeszcze paliwo, Osa?

– Wystarczy. – Szeptem.

Szli już po śladzie.

– Może powinienem iść pierwszy?

– Poradzę sobie. Odgryzę im jaja.

Hecht pozwolił, żeby rzeczy szły swoim trybem. Chwilowo przynajmniej. Ale wyciągnął z pochwy krótki miecz, który był właściwie tylko symbolem rangi. Broń nie bardzo nadawała się do walki. Inną jednak nie dysponował.

Amulet zaczął reagować na bliskość mocy. Słabo.

– Stój – szepnął.

Osa zamarł.

– Gdzie byśmy byli, gdybyśmy znajdowali się na powierzchni ziemi?

– Z grubsza rzecz biorąc, powiedziałbym, że na północ od hipodromu. Jakies kilkaset jardów.

Z góry dobiegł zgrzytliwy pisk. Brzmiało to, jakby kamień ocierał się o kamień.

Hecht skoncentrował się na wrażeniach wywoływanych przez amulet.

Żadnych zmian.

– Co? – zapytał Osa.

– Słucham. – Prawda, przynajmniej w metaforycznym sensie.

Prowincjał Delari zszedł na dół, żeby zapolować na coś wielkiego i paskudnego. Coś przynajmniej równie strasznego jak bogon. Może nawet bardziej mrocznego, jeśli wspomnieć przerażenie starca podczas ostatniego spotkania.

Jeżeli Delari tylko ją zbudził, potęga będzie przytomna i zła.

– Idę pierwszy. Bez dyskusji. – Hecht przecisnął się obok Osy Stile. I pożałował, że nie ciągnie za sobą falkonetu, nabitego srebrem i żelazem. – Och.

– Co?

– Właśnie coś mi się przypomniało. Od początku chodziło mi po głowie, ale dopiero teraz zrozumiałem, o co chodzi. Pójdziemy po tych śladach.

Ruszył powoli. Znowu zabrzmiał ten kamienny odgłos. Mróz przeszedł mu po plecach. Amulet zareagował z umiarkowaną siłą. Było tu coś, ale... Doszli do sterty gruzów, leżały na niej luźne kamienie ze ścian korytarza. Wieki mijały. Szło się coraz wolniej. Warstwa pyłu miała już cał grubości. Potem, po kilku następnych jardach, zupełnie zniknęła – wymieciona eksplozją.

Hecht dostrzegł przed sobą migotanie. Okruch srebrnego światła okazał się plamką księżycowej poświaty, sączącej się przez niewielką szczelinę w stropie. Gruz prawie bez reszty tarasował drogę. Dalej znajdowała się jakaś

komnata, której rozmiarów nie dawało się określić ze względu na obwał i brak dostatecznie jasnego światła.

– Najwyraźniej nie jest to miejsce głównego zawałiska – odezwał się Osa.

– Najwyraźniej. Będziemy musieli dołożyć wszelkich starań, żeby znaleźć wszystkie takie miejsca. W przeciwnym razie miasto będzie się zapadać wokół nas.

– Prowincjał Delari – przypomniał Osa. Aby Hecht nie tracił z oczu podstawowego zadania.

– Tak. – Był zmęczony. Minęła już pora, o której kładł się do łóżka.

Czuł, że się starzeje. I robi się miękki. Życie na zachodzie było zbyt rozkosznie gnuśne.

Znowu usłyszał ten dźwięk. Tym razem bliżej.

– Co to za odgłos?

– Brzmi jak kamień ocierający się o kamień. Albo może pokrywa jednej z tych wielkich kruz z terakoty, w których przechowuje się ziarno.

– Masz rację. Brzmi, jakby ktoś próbował ją odsunąć. – Masywne naczynia chroniły ziarno przed myszami i szczurami.

– Cii. – Hecht usłyszał głosy.

– Słyszę. – Bezdźwięcznym szeptem żołnierza.

Hecht wyregulował przesłone latarni, póki światło nie sączyło się z niej tylko ledwie, ledwie. Osa zrobił to samo.

Hecht poszedł dalej, myśląc, że musi mieć jakiś niezrozumiały pociąg do świata podziemnego. Tu i teraz. Al-Khazen, podczas krucjaty calzirskiej. I Andesqueluz. Tam było najstraszniej. Mimo iż w świętej górze eksterminowanego kultu nie napotkali żywej duszy.

Odgłosy przesuwania terakoty po kamieniach powróciły, wraz z nimi odezwał się też amulet.

Z przodu dał się słyszeć dźwięk osypującego się gruzu. Stosunkowo słaby.

– Idę pierwszy – wydyszał Osa. – Jestem niższy.

Hecht ustąpił. Przed nimi zamigotało światło, wyławiając z mroku sterty gruzów wysokie do pasa. Gruz spłynął z góry do wnętrza przypominającego wielką kopalnię, w której zostawiono potężne kolumny surowca, żeby podtrzymywały ziemię nad głową. Pyłu właściwie nie było. Unoszące się w powietrzu resztki kapały otoczenie w pomarańczowej mgiele.

Głosy brzmiały coraz donośniej, ale słów wciąż nie sposób było wyróżnić. Hecht doszedł do wniosku, że słyszy obcy język. Dwaj ludzie kłócili się. Po chwili dołączył do nich umęczony jęk trzeciego, a potem czwarty zaczął zawodzić coś w rodzaju: „Czemu ja?”

Co tamci robili? Z pewnością nie mieli dobrych zamiarów. Pojęcie to wydawało się abstrakcyjne w takim otoczeniu.

Osa zatrzymał się, wyciągnął rękę, powstrzymując gestem Hechta. Potem postawił latarnię i ruszył dalej na czworakach.

Hecht oddychał ciężko, serce mu waliło. Pocił się. Na odkrytej skórze gromadziła się warstwa zawilgoconego pyłu.

Stile nie stracił umiejętności sha-luga. To oznaczało, że jeszcze istnieje jakaś nadzieja dla kapitana sha-lugów, który dał się uwieść zachodniej dekadencji.

Osa zniknął za kupą gruzów. Po chwili Hecht przyłączył się do niego i od razu zobaczył sześciu mężczyzn stojących na krytej płytami posadzce, z pozoru równie rozległej jak w podziemnej katedrze. Posadzka po większej części była pogrzebana pod gruzem. Cała szóstka miała na sobie mnisie habity. Kaptury odrzucili na plecy, twarze przewiązane mieli szmatami – przez wzgląd na pył, nie z jakichś złowieszczych powodów. Choć efekt był ten sam.

Kłótnia między dwoma z szóstki trwała. Kolejna dwójka dorzucała swoje przypadkowe uwagi, jeszcze dwaj stali w milczeniu na krawędzi światła rzucanego przez sześć glinianych lamp. Ci ostatni wydawali się bez reszty skupieni na czymś w ciemnościach za nimi.

Mogąc wreszcie usłyszeć ich bez przeszkód, Hecht doszedł do wniosku, że chyba rozumie, co mówią. Słyszał już ten język.

Uznał, że właściciele głosów też powinien rozpoznać.

Tamten odgłos powrócił. Dobiegał zza pleców milczących obserwatorów. W końcu, narzekając, cała grupa powędrowała w stronę źródła dźwięku.

– Nie rozumiem – wyszeptał Hecht do ucha Osy. – To mi się nie podoba.

– Mają więźnia. Przez cały czas próbuje się wyrwać. Czekają na dalsze instrukcje. Wysłali dwóch ludzi. Nie otrzymali odpowiedzi. Kłótnia dotyczyła kwestii, czy wysłać następnego.

– Zrozumiałeś, co mówili?

– Mówili dialektem creveldiańskim. Trudno nadażyć, ale zasadniczo mówili o rzeczach prostych. Nie mogą stąd odejść, ale bardzo się boją tego,

co im może grozić, gdy zostaną.

Kolejny głuchy zgrzyt terakoty.

– To są Łowcy Czarownic – skończył Osa. – I złapali coś, co nie pozwala im stąd odejść.

Dwaj kłócący się wrócili w obszar światła, które w niczym nie przypominało żadnego światła, jakie Hecht w życiu widział. To nie tylko pył zabarwiał płomienie lamp na dziwny kolor. Zapewne pełniły tę samą funkcję co latarnie prowincjała Doneto.

Kolejnym dowodem była twarz, którą Hecht zobaczył, gdy jeden z tamtych zdjął płócienną osłonę i wysiąkał nos, zatykając jedną dziurkę i wydmuchując drugą, a potem na odwrót.

To był człowiek, który wręczył Hechtowi przesyłkę do Sonсы, kiedy wraz z Ghortem wyślizgiwał się z Brothe.

Osa mocno ścisnął jego ramię, ostrzegając przed gwałtowniejszym poruszeniem.

Czas mijał.

Tamci na nowo podjęli swą kłótnię. Teraz zrządzający włączali się do niej częściej. Wszyscy byli zmęczeni, spragnieni, głodni. I wciąż nic istotnego się nie działo.

Hecht nie musiał rozumieć słów. Przez całe życie był żołnierzem.

Co robić? Nie było sposobu, żeby wydostać się z tej pułapki. Zadanie było absurdalne. Nie mieli żadnego planu, zachowywali się całkowicie bezmyślnie. Czysty nonsens z opowieści heroicznych.

Kłótnia przeszła we wrzaski.

Jeden z milczących uniósł ręce, ostatecznie sfrustrowany, i odszedł w ciemność. Pozostali nie od razu się zorientowali. Potem kłótnia stała się jeszcze bardziej gwałtowna.

Osa szepnął:

– Pięciu uważa, że szóstka Łowców Czarownic to minimum, którego trzeba, żeby kontrolować to coś.

– To coś?

Stile wzruszył ramionami.

– Może tego kogoś. Ci dwaj natomiast chcą się jak najszybciej wydostać stąd, zanim zostaną rozpoznani.

Hecht łapał już przypadkowe frazy. Nie mógł się nie zgodzić z interpretacją, jaką zaproponowała ta męska dziwka. Nie lubił znajdować się



na łasce kogoś, komu ufał w tak niewielkim stopniu.

Uśmiechnął się. Zapewne Osie też nie musiało się podobać, że znajduje się na łasce Pipera Hechta.

Terakota zazgrzytała po kamieniu. Łowcy Czarownic ucichli. Zidentyfikowany przez Hechta objął dowodzenie.

Odgłosy z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej złowieszcze. Łowcy Czarownic zareagowali z szybkością ludzi, którzy wiedzą, że mają tylko jedną, niewielką szansę. Zareagowali na odgłos. Strachem. Podczas gdy wokół niósł się echem bełkot w starobrotheńskim.

Przez chwilę Hechtowi wydawało się, że lewą dłoń wyrwało mu z nadgarstka.

– Co? – zapytał zaskoczony Osa.

– Uderzyłem dłonią o kamień. – I faktycznie tak zrobił, w reakcji na przemożny ból.

– To nie było mądre.

Ból przeszedł w tępe pulsowanie, jakim mogłaby się odzywać odniesiona przed godziną rana. Dla Hechta nie była to pierwszozna.

Przerażone i zagniewane krzyki. Lament terakoty drapiącej kamień. Krzyki triumfu. Ból w nadgarstku Hechta zniknął.

Osa już miał przejść przez oświetlony obszar, kiedy triumfalne odgłosy i wzajemne gratulacje tamtych urwały się jak nożem uciął. Ledwie zdążył zanurkować w cień. Wrócili dwaj Łowcy Czarownic, podtrzymywali trzeciego, który nie potrafił utrzymać się na nogach. Położyli go w centrum światła.

Ranny stracił przytomność natychmiast po tym, jak tamci go położyli. Jeden z pozostałych powiedział:

– Musimy się stąd wynosić! Wyczerpaliśmy zapas szczęścia.

Ostatni dwaj chwiejnie weszli w krąg światła.

Dowodzący Łowca Czarownic wydawał rozkazy. Trzej mężczyźni pospieszili z powrotem w ciemność. Zaraz dobiegły stamtąd jakieś hałasy.

Główny Łowca Czarownic rozsunął habit nieprzytomnego towarzysza. Tamten niewiele miał pod spodem. Na ile Hecht zdołał się zorientować, na jego ciele nie było żadnych widocznych ran ani obrażeń.

– Przywalają coś kamieniami, żeby nie mogło się poruszyć – doniósł Osa.

Jeden z tamtej trójki wkroczył w krąg światła, wybełkotał coś.

Osa przetłumaczył:

– Dwaj pozostali właśnie uciekli. On chce, żeby ten facet powlókł za nim swą dupę. Tamten mówi, że nie zostawi kumpla.

Hecht szepnął:

– Może my też powinniśmy się stąd wynosić.

Nikommu nie została dana szansa ucieczki.

W rzeźeniu terakoty pojawił się triumfujący ton. Łowcy Czarownic porwali nieprzytomnego towarzysza...

Poleciał kamień.

Hecht i Stile przytulili się do popękanej posadzki. Wokół powietrze przeszywały kamienie wielkie niekiedy na pięść, tłukąc w gruz i kolumny. Wszyscy trzech Łowcy Czarownic oberwali.

Potem w powietrze podniósł się pył. Oczy Hechta wyschły w jednej chwili. Stłumił kichnięcie. Osa faktycznie kichnął, potem rozpaczliwie wysmarkał nos, ale nikt prócz Hechta tego nie usłyszał. Łowcy Czarownic leżeli nieprzytomni.

Odezwał się czyjś cienki głos:

– Pomocy. – Miał w sobie coś znajomego.

Aż do ostatnich chwil kamiennej burzy żadna z lamp nie ucierpiała. Dopiero wtedy jedna pękła, tryskając płonąca oliwą na osiem stóp. Ciało jednego z Łowców Czarownic zajęło się płomieniem. Poderwał się na równe nogi, potem pobiegł na ślepo, wciąż krzycząc.

– Pomocy! – Nieco głośniej. Po czym nastąpił słaby zgrzyt terakoty i szmer osypującego się gruzu.

– To brzmi jak głos prowincjała! – nie wytrzymał Osa.

Hecht też tak myślał, ale zawsze kiedy wszystko szło zbyt łatwo, w nim akurat budziły się podejrzenia.

– To miałyby być łatwo? – zapytał Stile.

– Sprawdzimy. – Nie wdając się w spory, łatwo poszło czy nie. – Ale tam są ludzie i nie chciałbym, żeby nas zobaczyli.

– Poderźnijmy im gardła.

– Zobaczymy, może uda się rzecz załatwić mniej brutalnie i ostatecznie.

– To jest Bractwo Wojny. Specjalne Oficjum. Najgorsi z najgorszych.

– Nie jesteśmy w Ziemi Świętej. Nie działamy na poziomie taktycznym. Niech prowincjał zdecyduje, co z nimi zrobić. Jeśli go znajdziemy.

– Pomocy! – Jeszcze głośniej.

– Wie, że tu jesteśmy.

– Do roboty.

Stile wyciągnął skądś paskudnie wyglądający niewielki nóż z lekko zakrzywionym czubkiem. Odciął pasy materii z habitu mężczyzny, który ongiś wręczył Hechtowi portfel kurierski.

– Tak. On pierwszy. Jest niebezpieczny.

Obaj mężczyźni doszli do siebie w trakcie krępowania. Hecht nie był tym uszczęśliwiony. Ale trzymał się postanowienia, żeby zostawić ich na łasce prowincjała Delariego.

Lewy nadgarstek tępo poboлеwał przez cały czas.

Na posadzce stało sześć kruz z ziarnem. W trzech znajdowały się ciała. Ciała niedawno zmarłych. W następnej był prowincjał Delari. Pokrywa krzywo spoczywała na wylocie wielkiego dzbana. Wokół wszędzie wały się bloki gruzu. Pokrywa wydała znajomy zgrzyt, kiedy odsuwali ją na bok.

Stary był słaby, ale w dobrym nastroju, wręcz rozbawiony.

– Wygląda na to, że miały tu miejsce jakieś czary – powiedział Osa. – Choć oni sami się nimi nie posługiwali. Po prostu dbali, by pokrywa została na miejscu.

Hecht pomógł staremu się wydostać.

– Dziękuję – wydyszał Delari. – Już sądziłem, że tym razem popełniłem fatalną pomyłkę. Jak mnie znaleźliście?

– Przypadek i inteligencja. Armand wiedział, że zszedłeś na dół na polowanie. Ja odgadłem, że będzie to miejsce, do którego zapadł się hipodrom.

– Zapadł się?

– Zawalił. W wielką dziurę w ziemi.

– Myślałem, że runęła tylko część stropu, kiedy... Och, psiakrew! Poważnie się pomyliłem w rachubach, co?

– Nie wiem. Co zrobiłeś?

– Przyniosłem baryłkę prochu... – Rozkaszłał się. – Zmieszanego ze srebrnymi i żelaznymi pociskami. Zadziałało. Potwór wpadł w pułapkę. Odpaliłem proch. Wybuch zabił stwora.

Hecht westchnął. Prowincjał nie był szczery, żeby rzecz ująć najłagodniej.

Delari kontynuował:

– Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z prochem strzelniczym. Wybuch był gwałtowniejszy, niż przypuszczałem. Ustawiłem baryłkę pod

kolumną, żeby cała siła wybuchu poszła w potwora.

– To nie działa w ten sposób.

– Dopiero miałem się przekonać.

– Jakim sposobem znalazłeś się tutaj? – zapytał Stile.

– Wsadzili mnie. Słudzy bestii. Znaleźli mnie nieprzytomnego i zamknęli w środku.

– Łowcy Czarownic?

– Łowcy Czarownic?

– Ludzie, którzy na ciebie napadli, byli ze Specjalnego Oficjum – wyjaśnił Hecht. – Jeden z nich wplątał mnie w sonsanską intrygę.

– Gdzie oni są? Jak udało wam się przejść obok nich?

– Nie udało się.

W końcu Stile się zlitował:

– Większość uciekła. Dwóch związaliśmy.

– Zabierzcie mnie do nich. – Stary wyraźnie dochodził do siebie.

Mimo to Hecht wziął Delariego na ręce i zaniósł do miejsca, gdzie w więzach wili się dwaj Łowcy Czarownic.

– Postaw mnie, Piper. Odwróć ich tak, żebym mógł zobaczyć twarze.

Ach! Gryfen Pledcyk. – Z tym człowiekiem Hecht spotkał się na nabrzeżu.

– Wyjaśnij mi, o co tu chodzi.

Pledcyk unikał spojrzenia starego.

Osa powiedział:

– Pozostali twierdzili, że idą po pomoc.

– Niech pomoc nadejdzie. Bo będzie to człowiek, który stoi za całą sprawą. – Delari przyjrzał się drugiemu ze schwytanych. – Tego nie poznaję. Obnażcie mu plecy.

Hecht zrobił, jak mu polecono. Delari jęknął.

– Sir?

– Ma tatuaż. To znaczy, że to operacja Bractwa.

Bezimienny zaczął protestować. Zamknął się, kiedy Pledcyk obrzucił go wrednym spojrzeniem.

– Zabij Pledcyka – polecił Delari. – Zbyt dużo czasu zabrałoby złamanie go. Drugi będzie gadał, żeby ocalić skórę.

Hecht zawahał się. W tej samej chwili Osa znalazł się za Pledcykiem, złapał go za włosy, odchylił głowę do tyłu. Pledcyk nie walczył.

Delari skinął głową.

Stile to zrobił. Za pomocą tego nieprzyjemnego nożyka.

Hecht drgnął, zaskoczony.

Nikt nie był bardziej zaskoczony niż Gryfen Pledcyk.

Delari zapytał drugiego:

– Możesz iść?

Łowca Czarownic skinął głową sterroryzowany.

– Armand. Zabierz go do moich apartamentów. Jeśli będzie sprawiał jakies kłopoty, zabij. Postaraj się nie zwracać na siebie uwagi. Przesłucham go, ale najpierw tu posprzątamy.

Osa skinął na jeńca.

– Idziemy.

– Jesteś pewny, panie? – zapytał Hecht.

– Chodzi ci o to, czy sobie poradzę?

– Właśnie.

– Poradzę sobie. Ale jeśli wyczerpię wszystkie siły, będziesz mnie niósł.

– Jeżeli trafię.

Pledcyk wciąż się wykrwawiał, w jego oczach lśniło przerażenie.

Hecht podejrzewał, że prowincjał w ten sposób formułuje wiadomość, która ma dotrzeć do rozmaitych uszu.

– Nie stracę przytomności – zapewnił Delari.

Hecht nie miał nic więcej do powiedzenia. Przyglądał się, jak Osa zagania jeńca w ciemność. I martwił się, że Delari być może wcale nie jest tak ślepy co do prawdziwej natury swej męskiej dziwki, jak można by mieć nadzieję.

– Zachowałem się zbyt ostro, Piper?

– Z Pledcykiem? Myślę, że tak. Tak.

– Widział ciebie. Wie, że zszedłeś tu na dół. Gdzie jego bandy zresztą też nie powinno być. Nie powiedziałyby mi, dlaczego mnie zamknęli. Zresztą nie miałem tego przeżyć.

– W pozostałych trzech znaleźliśmy ciała. Nie mam pojęcia, kim byli. Tak. Rozumiem powody zabicia Pledcyka. Jestem żołnierzem. Ale mógł nam opowiedzieć interesujące rzeczy.

– Mógł. Tak. To jest prawidłowe żołnierskie myślenie. Ale czarownik może zmierzać innymi drogami do prawdy. O czym nie powinieneś zapominać. Teraz zamierzam się zdrzemnąć. Obudź mnie, gdy będziemy mieli towarzystwo.

– Sir?

Ale stary człowiek już zapadł w sen – jakby ktoś zdmuchnął świecę.

Hecht podejrzewał, że tamten miał rację. Ktoś się pojawi. Jeśli już nie z innych powodów, to choćby po to, żeby zatrzeć ślady.

Potwór, którego Delari, jak twierdził, miał zabić? Czym był? Prawdziwą Delegaturą Nocy? W Brothe? Dlaczego? Jak się tu dostał? Czy naprawdę odpowiadał za te wszystkie potworne śmierci?

Niezależnie jaka była prawda, Delari wcześniej należycie głęboko przemyślał kwestię niebezpieczeństwa, a dopiero potem zdecydował się osobiście zejść do katakumb, żeby je zlikwidować.

Hecht szarpnął prowincjała za ramię.

– Ktoś się zbliża, panie.

– Schowaj się. Wkroczysz, kiedy nie będę w stanie sam sobie poradzić.

– Wiesz, kto idzie?

– Mam swoje podejrzania. Jeżeli ciebie tu zobaczą, rzecz raczej na pewno wyrwie się spod kontroli. Zmykaj!

Hecht poszedł do miejsca, gdzie on i Osa kryli się wcześniej. Poczł się nieco lepiej, gdy odzyskał swoją latarnię. Zauważył też, że Osa zabrał swoją.

Delari zgarbił się, tworząc obraz człowieka zbyt wyczerpanego, by stać go było na cokolwiek więcej niż kolejny oddech.

Hecht przykucnął z latarnią i bronią w pogotowiu, mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Nadchodzący z pewnością nie będą wygłodniałymi uchodźcami uzbrojonymi w zardzewiałe narzędzia.

Pierwszy wkroczył w krąg światła czujnie, demonstrując nieuzbrojone dłonie. Przyjrzał się Delariemu i ciału Gryfena Pledcyka. Twarz miał przewiązaną płótnem, chroniącym przed pyłem.

Hecht nagle się wystraszył. Ślady. Będą wskazywać prosto jak strzelił... Ale coś je wymazało. Pył wydawał się nietknięty.

Delariemu udało się zrobić to tak niewielką ilością mocy, że amulet Hechta ledwie drgnął.

Lekcja? Z pewnością kwestia warta zapamiętania.

Drugi człowiek wkroczył w krąg światła. Na nim ciało Gryfena Pledcyka wywarło nieco większe wrażenie.

Przybyli kolejni dwaj. To ci, którzy uciekli wcześniej.

Prowincjał Delari przeszedł nagłą przemianę. Zmęczony, zgarbiony strzęp starca stał się nagle istotą potężną. Wydawał się wyższy niż normalnie i znacznie młodszy. Tak silnego głosu Hecht jeszcze u niego nie słyszał.

– Wyjdź na światło.

Nic się nie stało.

– Czas porzucić ciemność. Nie będziesz ulegał Woli Nocy.

Poza zasięgiem światła lamp Hecht wyczuwał czyjąś obecność. Chwilę później tamten się pojawił. Kolejny Łowca Czarownic z tych, którzy uciekli wcześniej. Udawał, że w ogóle nie widzi ciała Gryfena Pledcyka.

– Gdzie Tomaz i Chollanzc? – zapytał.

Delari gestem pokazał ciemność.

– Gdzieś tam. Ty. Tam. Wyjdź z ciemności. Jeszcze nie jest za późno. Bestia nie żyje. Ale przybędzie następna. Wcześniej czy później Noc się wślizgnie; Wyjdź na światło. Póki możesz.

Pojawił się Bronte Doneto. Podobnie jak pozostali miał na sobie mnisi habit. Twarz pozostawała zakryta. Ale Hecht poznał go, zanim nawet tamten się odezwał:

– Wiedziałeś, że to ja.

– Tak naprawdę to podejrzewałem Honaria. Nikt inny nie stara się równie rozpaczliwie odmienić kształtu świata, aby ten uległ jego fantazjom. Zdołałeś przekonać sam siebie, że możesz bezkarnie pociągać za sznurki Delegatur Nocy?

Doneto nie odpowiedział na pytanie.

– Mój kuzyn ma plan. Zanim go zrealizuje, zniszczy Kościół.

– Poddałeś się Woli Nocy, żeby uratować Matkę Kościół przed szaleństwem Wzniosłego?

W jaki sposób ten szatan zdołał tak szybko dojść do tych wniosków? Ale Hecht był zbyt przytłoczony pojawieniem się Doneta, żeby kwestię rozszyfrować – poza tym należało pamiętać, że Delari miał całe życie na obserwację Doneta.

Delari powiedział:

– Wiem, o czym myślisz, Bronte, lepiej nie. Ponieważ myślisz sobie: „On ma tysiąc lat. Tyle przeszedł, musiało go to wycieńczyć. Nas jest sześciu, on jeden”. Ale tym jedynym jest Nieznany. Masz odrobinę talentu. To wszystko. Wróć na światło.

– Twój rodzony syn...

– Był lordem Bractwa. I był potężny, zanim spotkało go nieszczęście. Ale nawet w najgłębszej rozpaczynie nigdy nie uległ Woli Nocy.

Hecht nie był do końca pewien, czy w tej kwestii Delari ma rację.

– Wróć na światło, Bronte Doneto. Wyjaśnij, jaką intrygę prowadzisz w Sonsie. Zrób co trzeba, żebyś ty i twoi Łowcy Czarownic nie skończyli jak Gryfen Pledcyk.

– Wychodzi na to, że wszystko sobie już ułożyłeś w głowie.

– Ale mogłem się całkowicie pomylić. Teraz tak sobie myślę, że być może ktoś podejmuje starania, aby uniemożliwić Wzniosłemu odebranie pieniędzy od Anne z Menandu. Albo po prostu chce je ukraść. Zawsze byłeś bliżej z Honariem, niż udawałeś przed resztą z nas. I zawsze byłeś mniej lojalny, niż to przed nim udawałeś. Pozwól się ostrzec przed pokusą. Nie jesteś dość silny.

Hecht widział, jak Doneto waży swoje szanse.

Muniero Delari wykonał zniechęcające dwa szybkie gesty. Stojący najbliżej niego człowiek wrzasnął i upadł jak rażony gwałtownym atakiem. Drugi wrzask dobiegł do uszu Hechta z zawałonej gruzem ciemności, z nad prawego ramienia Delariego. Jęknęła kusza. Zaszczekał po kamieniach bełt, którego żadnemu z obecnych nie dane było zobaczyć.

Wszyscy przykucnęli. Wyjąwszy prowincjała Muniera Delariego. On zrobił coś innego. Dwaj kolejni Łowcy Czarownic upadli. Tym razem w całkowitej ciszy.

Starzec powiedział:

– Zostało was trzech. Wróć na światło, Bronte Doneto.

Prowincjał Doneto pochylił głowę w akcie uległości. Hechtowi wydało się to podejrzane. Z pewnością myśl taka przyszła do głowy prowincjałowi Delariemu. I z równą pewnością Bronte Doneto musiał o tym wiedzieć.

Udawanie, nic innego jak tylko ciągle udawanie.

– Cóżes nawyprawiał, młody Bronte? – zapytał Delari.

– Domyśliłeś się. Chcieliśmy zapobiec realizacji planu Honaria.

Może i tak, pomyślał Hecht. Ale musiało chodzić też o coś więcej.

Symulowana uległość Doneta była wybiegiem mającym zakończyć tę konfrontację w taki sposób, żeby nikomu nie stała się krzywda. Co nastąpi później, zależało od tego, jak bardzo Doneto był oddany swoim ambicjom. I za jak bystrego się uważał.

Delari ostrzegł go:



– Tysiąc par oczu będzie cię obserwować, Bronte. Teraz nie jest już tajemnicą, kogo należy obserwować.

Doneto stłumił napływ gniewu. Rozumiał, że znajduje się w zdecydowanie niekorzystnym położeniu.

– Tak już lepiej, mój panie – powiedział starzec. – Poświęć nieco czasu, aby zastanowić się nad wartością litości. I konsekwencjami sytuacji, gdy jej zabraknie. Sabotuj plany kuzyna, jeśli tego chcesz. Ale bez przywoływania Delegatur Nocy.

Doneto zmilczał.

– Jeszcze jedna rzecz – ciągnął Delari. – Kim jest Vali Dumaine? Jak ona pasuje do twojej intrygi?

Doneto wydawał się kompletnie zbity z tropu.

– Mówisz o tej sierocie, którą twój pieszczołek generał adoptował zeszłej jesieni?

Prowincjał Delari patrzył zimno na Doneta. Otaczająca go aura mocy była prawie namacalna.

Doneto pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, kim ona jest. W każdym razie ona nie ma z tym nic wspólnego.

Nie to Hecht miał nadzieję usłyszeć, ale w sumie tego się spodziewał. Ghort z pewnością wspomniał o Vali w obecności Doneta. Bez wątplenia Doneto kazał Ghortowi baczyć na wszystko, co dzieje się w życiu Hechta. Ponieważ uważał, że Piper Hecht jest mu coś winien. Być może zresztą Ghort nie wiedział, że jest tak wykorzystywany.

Może. Hecht nikomu nie ufał bez reszty. Nawet Annie. Anna miała inne lojalności, zanim zaprowadziła go do swego łóżka.

– Możesz odejść – zezwolił prowincjał Delari. – Będziemy mieli jeszcze wiele sposobności, by sobie porozmawiać, już w naziemnym świecie.

– A ranni? Tutaj nie będą bezpieczni.

– Ci dwaj już dochodzą do siebie. Pozostali nie dojdą. Jeżeli chcesz zabrać ich ciała, będziesz musiał je nieść.

Hecht wcisnął się głęboko w cień, żeby nie zauważyli go dwaj, którzy poszli zebrać ciała padłych kuszników. Prawie już zasypiał, kiedy Delari zawołał:

– Możesz już wyjść, Piper.

Otrząsając się z senności i powłócząc nogami, Hecht wyszedł. Łowcy Czarownic zostawili swoich poległych.

Delari przyłapał go, jak patrzy na Pledcyka.

– Wróć po niego. Jestem wykończony, Piper. Gdyby spróbowali raz jeszcze, mieliby mnie.

– Blefowałeś?

– Od razu uderzyłem z całej siły, żeby oczekiwali najgorszego. Będziesz musiał mnie nieść.

– Gdzie twoja latarnia?

– Nie mam pojęcia. Zgubiłem. Będziemy się o to martwić innym razem. Zastanów się lepiej, jak całą rzecz rozegrać. Musimy się stąd wynieść, nim Doneto zda sobie sprawę, jak bardzo muszę być słaby.

– Z powrotem drogą, którą przyszedłem?

– Oczywiście. Na swojej drodze odwrotu z pewnością zastawią pułapki. – Czas pytań dobiegł końca. Stary zapadł się w nie udawaną nieświadomość.

Sierżant Bechter obudził Hechta. Naczelnemu Wodzowi udało się wyrwać ledwie trzy godziny snu.

– Ma pan zamiar wylegiwać się przez cały dzień?

– Całą noc byłem na nogach. Przez tę katastrofę.

Bechter uniósł brwi. W nocy nigdzie nie widział Naczelnego Wodza. Ale nie zaprzeczył słowom Hechta.

– Jest tu prowincjał Bruglioni. Chce się z tobą zobaczyć. Nalegał. Ponoć wczorajszego wieczora rozmawiał z tobą na temat spotkania. Zaproponowałem mu dzisiejszy ranek. Już czeka od jakiegoś czasu.

Hecht jęknął.

– Co jeszcze jest dziś w rozkładzie? Na co jeszcze się spóźniłem?

– Mamy wolną drogę dla twojej propozycji połączenia dowództwa. Sztab chce już zacząć nad tym pracować. Mamy czterdzieści trzy miejskie milicje, które przywykły do robienia rzeczy na swój sposób. Trzeba je zintegrować w jednolitą strukturę.

– To wyzwanie, na jakie czekałem. – Wierzył, że uda mu się poradzić z problemami napęczniałych ego i lokalnych szowinizmów. – Poproś Saludę. Porozmawiam z nim, kiedy będę się ubierał. Tak na marginesie, jak się miewa Polo? Wiesz coś na ten temat? – Służący od dawna już prowadził wyczerpujące zmagania z raną, jaką odniósł podczas jednego z zamachów.

– Słyszałem, że wkrótce wypuszczają go do domu. Do Bruglionich. Pan i pułkownik Ghort zdobyliście sobie wiele uznania, zajmując się nim.

To był świat ludzi, których łatwo można się pozbyć. Ale sha-lugowie nie zostawiali swoich braci, niezależnie od ran, jakie tamci odnieśli.

Wierności muszą dochować obie strony.

Zazwyczaj działa się tak do momentu, gdy robiło się to niewygodne dla strony dominującej, dla jakiegoś lorda. Powiedzmy, dla Gordimera Lwa.

Na zachodzie ludzi zdradzano i pozbywano się wszędzie, łatwo, każdego dnia.

– Przypomnij Saludzie, że nie mogę mu poświęcić zbyt wiele czasu.

Prowincjał Bruglioni pojawił się w pomieszczeniu prawie od razu.

– Ciekawe czasy, co?

– Dużo się dzieje. Nowe stanowisko najwyraźniej ci służy.

– Mnie się podoba. Paludanowi nie. Kilku jego kuzynów twierdzi, że mają większe kwalifikacje.

– Mało prawdopodobne.

– Słyszałem, że wspomniałeś Pola. Od dwu dni jest już w domu. Śpiewa peany na twoją cześć.

– Dobrze. Ale czy go należycie traktujecie? Z jedną ręką nie na wiele się przyda.

– Zajmiemy się nim. Jest dla niego robota.

– Dobrze. Ale nie przyszedłeś tu w sprawie Pola.

– Kiedy wyprowadzałeś się do pałacu Chiaro, Divino dał ci sakwę z monetami.

– Dał. Tak. Dzięki nim udało mi się przetrwać trudne chwile przeprowadzki.

– Czy w sakwie był może pierścień?

Hecht zmarszczył brwi. Prawda była taka, że pierścień był. Wyglądał jak prosta złota obrączka, póki nie podniosło się go do światła.

– Dziwne pytanie. Divino też mnie o niego pytał. Ale w sakwie były tylko jakieś stare monety. Wszystkie raczej niezwykle i stare. Zabrałem sakwę do złotnika i wymieniłem na współczesną walutę. Prawdopodobnie przy okazji mnie oszukał. Ale oszczędził mnóstwa kłopotów, jakie miałbym z różnymi monetami za każdym razem, gdy chciałbym coś kupić.

– Pierścienia nie było?

– Nie pamiętam żadnego pierścienia. Dlaczego to takie ważne?

– To magiczny pierścień. Przynajmniej Divino w to wierzył A Paludan wciąż wierzy. Od wieków był w rodzinie. Zniknął. Doszliśmy do wniosku, że musiał być w sakwie.

– Nie widziałem.

– Ale Hanfelder też nie widział. Więc gdzie on jest?

– Kto to jest Hanfelder?

– Złotnik. Doszliśmy do niego. Śliski dev. Ale chyba nie kłamie.

– Teraz już zaczynam się denerwować. Zadałeś sobie tyle trudu. Dla rodzinnego klejnotu.

– Pierścień jest magiczny.

– Zrozumiałem. Ale co czyni go tak ważnym?

– Nie wiem. I nie jestem pewien, czy Paludan wie. Prawdopodobnie Divino wiedział. Ale zginął, zanim zdążył komukolwiek powiedzieć. Wiemy tylko tyle, że pierścień potrafi omamić właściciela tak, żeby ten o nim zapomniał.

– Zapomniał?

– Może raczej, żeby przestał o nim myśleć. A potem, kiedy już sobie pomyśli, okazuje się, że pierścień zniknął.

– W porządku – powiedział Hecht, rozmyślnie rozciągając słowa, przez co jego głos nabrał sceptycznych tonów.

Saluda uśmiechnął się promiennie, co czynił nadzwyczaj rzadko.

– Wiem. Wiem. Ale muszę robić, o co mnie poproszą. Nawet jeśli w moich oczach nie ma to sensu.

– Jeżeli ten pierścień umie się sam chować, znalazłbym zaufanego czarownika i przeszukał apartamenty Divina w posiadłości Bruglionich. Pewnie jest schowany pod jakimś materacem.

– Przekażę twoją sugestię Paludanowi – odrzekł Saluda, chmurząc czoło.

– Pewien jestem, że o tym nie pomyślał.

– Po prostu staram się być pomocny, prowincjale. Sierzancie Bechter? Jaki mamy następny punkt w rozkładzie zajęć?

– Program konsolidacji. Można się spodziewać lokalnego oporu.

– Myślę, że wiem, jak uniknąć niektórych problemów.

– Sir?

– Będziemy stręczyć. Żeby zaspokoić lokalne poczucie własnej wartości. Jeżeli Patriarcha się zgodzi. Niemniej, jeśli uda się sprzedać sprawę

provincjałowi Doneto, on przekona kuzyna. Dobrze. Jestem gotów. Coś jeszcze oprócz brakującego pierścienia, prowincjale?

– Mów mi Gervase, Hecht. Nie. Ale tamtą sprawę uważamy za dość istotną.

– Przykro mi, że nie mogę się okazać bardziej pomocny, Gervase.

– Trochę niezręcznie wyszło, co?

– Zaiste. Czekał. Nie powiedziałeś mi, jak ten pierścień wygląda. Coś masywnego, ostentacyjnego i paskudnego, racja? Jeśli ciąży na nim podejrzenie o czary?

Saluda wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie widziałem. Paludan twierdzi, że to zwykła złota obrączka.

– Tylko tyle? To nie brzmi szczególnie imponująco.

– Coś było na nim wygrawerowane.

Hecht czekał. Saluda nie rozwinął opisu.

– Zaklęcia? Historia rodzinna?

– Nie wiem. Nie powiedziano mi. Nie należę do rodziny.

– Naprawdę? Z mojego punktu widzenia jesteś w większym stopniu Bruglionim niż ktokolwiek, kto z mocy urodzenia nosi to nazwisko.

Saluda mruknął coś nieartykułowanego. Hecht trafił w czule miejsce, pytał więc dalej:

– Stary dom wciąż się trzyma? Pani Ristoti daje sobie radę z zarządzaniem?

– Zrobił pan tam mnóstwo dobrej roboty, panie Naczelnny Wodzu. Dom się jeszcze nie rozsypał.

– Dobrze. Jaka płaca, taka praca.

– Tak naprawdę zrobiłeś dla nas znacznie więcej. Od tamtego czasu Paludanowi zaczęło zależeć. Jesteś pewien, że z pierścieniem nie możesz pomóc?

– Ty jesteś teraz księciem Kościoła. Zastraszyć jakiegoś nieważnego znachora i każ mu go szukać. Musi być gdzieś w domu. Chyba że ściągnął go ktoś z tych, których wyrzuciłem.

– To nie wydaje się prawdopodobne.

– To wszystko? Nie masz nic ważniejszego?

– Tylko ten pierścień.

– Wobec tego musi być znacznie ważniejszy, niż sobie wyobrażam.

Saluda zastanawiał się przez chwilę, potem przyznał:

– Może być. Paludan nie mówił mi, dlaczego tak nagle mu zaczęło na nim zależeć. Może znalazł jakąś notatkę, którą zapisał sam dla siebie, i zdecydował zająć się sprawą, zanim znowu zapomni.

– Rozumiem. Powiadom mnie, jeśli coś się okaże. – Hecht nieznacznym gestem dał znak Bechterowi. – Mamy robotę w Castella. Och, Gervase. Czy wczorajsza katastrofa dała się czymś we znaki Bruglionim?

Saluda znów błysnął oślepiającym uśmiechem.

– Nie bardzo. Oberwali głównie Madisetti i Arniena. I Cologni. Wraz z całym systemem hipodromu skończyła się fortuna robiona na wyścigach.

– Rozumiem. Daj znać, jeśli się coś okaże. Sierzancie, te papiery, które chciałeś, żebym przeczytał. Przynies je, kiedy będziesz odprowadzał prowincjała.

Redfearn Bechter postąpił zgodnie z rozkazem. Hecht zapoznał się z raportami po drodze do Castella dallas Pontellas. Połowa dotyczyła ostatnich wydarzeń w Brothe. Powinny więc raczej trafić do Pinkusa Ghorta.

– Mam pytanie, Bechter. Jak powinniśmy zareagować na katastrofę? – Ofiary w ludziach były poważniejsze, niż początkowo sądził. Hipodrom roił się od dzikich lokatorów.

– Ta kwestia już została rozwiązana, sir. Patriarcha zarządził zbiórkę pieniędzy. W miarę jak darowizny będą wpływać, pieniądze będą szły na uprzątnięcie terenu i odbudowę.

– Nie ma zamiaru wydawać ani grosza z własnych funduszy?

– Raczej nie. Poza tym nie ma dużo. Większość arnhandzkiej łapówki wciąż nie przybyła.

Plan polegał na tym, by płacić bezrobotnym uchodźcom jedzeniem i pracą.

– Doneto pokazał się na naradzie sztabu? – zapytał prowincjał Delari.

– Tak. I nie zdradził niczym, że sądzi, iż mogę go podejrzewać. Ale może był zbyt zmęczony, żeby się ze mną zabawiać. Ja byłem.

– Dobrze. Trochę się martwiłem. – Starzec nalał białego wina do migoczącego szkarłatem clearenzańskiego pucharu i podsunął go Hechtowi po blacie stołu z polerowanego orzecha gładszego niż szkło. Muniero Delari żył życiem skrajnie surowym, ale nie odrzucał prezentów, które sprawiali mu ludzie pragnący sobie zaskarbić jego względy. – Przedstawiłeś mu swoją sprawę?

– Tak. Powiedział, że to znakomity pomysł. Że Wzniosły powinien się zgodzić. Przed końcem tygodnia powinienem otrzymać Bullę Patriarchalną.

– Tego się właśnie obawiałem.

– To znaczy?

– Wnioskuje stąd, że akurat poszukiwali czegoś takiego, co im właśnie wręczyłeś.

– W porządku. Wręczyłem. Co zrobiłem źle?

– Nic. Wykonujesz swoją pracę. Po prostu ja znalazłem się w położeniu politycznym, w którym jest mi to nie na rękę. Chcesz zobaczyć swojego jeńca?

– Nie, chyba że to konieczne. Wydobyłeś coś z niego?

– Oczywiście. Wprawdzie nie był dopuszczony do wewnętrznego kręgu spiskowców, ale mniej więcej wiedział, jakie cele przyświecają Łowcom Czarownic. Chodzi o zdobycie kontroli nad Patriarchatem.

– Wzniosły im się nie podoba? Przecież ten człowiek ma prawdziwą obsesję na punkcie Ziemi Świętej, heretyków i niewiernych.

– Nie podoba im się ani trochę. Wzniosły nie wojuje z Nocą. Łowców Czarownic nie obchodzi Connec. Odzyskanie Ziemi Świętej również. Wierzą, że to wszystko nastąpi automatycznie, jeżeli zatriumfują nad Nocą.

– A więc do czego zmierzają?

– Chcą przeszkodzić Wzniosłemu. Osłabić go. Chcą zdobyć pozycję polityczną, która odda w ich ręce kontrolę nad Patriarchatem. W skrócie chodzi o to, żeby mogli zdecydować o osobie następcy Wzniosłego. Który zapomni o Connec i Dreangerze, a w zamian ogłosi krucjatę przeciwko samej Nocy.

Hecht pokręcił głową.

– Nie rozumiem waszego świata. W moich oczach to nie ma najmniejszego sensu.

– Lepiej zacznij się przyzwyczajać. Załóżmy, że Wzniosły się potknie na czymś.

– To rozumiem. Czy możemy zmienić temat?

– Oczywiście.

– Spójrz na to. – Hecht pokazał prowincjałowi pierścień Bruglionich. – Jak rozumiem, jest magiczny.

Delari poszedł z pierścieniem do lepiej oświetlonego miejsca.

– Skąd go masz?

– Znajdował się w sakwie pełnej starych monet, która wpadła mi w ręce w czasach, gdy walczyliśmy z calzirskimi piratami.

Ze spojrzenia Delariego można było wyczytać, że nie wierzy w ani jedno słowo.

– Jeżeli podniesiesz go do światła i zaczniesz zmieniać kąt widzenia, zobaczysz rozmaite wersety pisma. Wewnątrz. Poświęciłem nieco czasu na ich zbadanie. Oto, co zapisałem. – Z rękawa wyciągnął skrawek papieru.

Na papierze zapisane były z drobiazgową starannością cztery wersy, jeden nad drugim. Rezultat godzin pracowitego wyęźniania oczu.

– Jeden z tych języków to pewnie klasyczny brotheński. Większość słów przypomina kościelny brotheński. Ale nie wszystkie. Poza tym pewne litery wyglądają trochę inaczej.

– Masz rację. To jest zakłęcie. Jego celem jest dezorientacja. Jeżeli wypowiesz je, mając na palcu pierścień, zdeorientujesz i wprowadzisz w konfuzję wszystkich wokół. Zapomną, co chcieli zrobić.

– To straszne.

– I pożyteczne, jeśli spędzasz dużo czasu z ludźmi, którzy nie życzą ci dobrze.

– Innych rodzajów pisma nie rozpoznałem.

– To wszystko są alfabety starsze do starobrotheńskiego. Drugi wers jest w fileańskim, języku, którym mówiło się w starożytności na Ziemi Świętej. Z niego wywodzą się języki, którymi dzisiaj tam mówią. Znam uczonych, którzy potrafią nam to przetłumaczyć. Ale nie sądzę, aby dziś jeszcze ktokolwiek potrafił się nim posługiwać.

– To też będzie zakłęcie?

– Bez wątpienia. Trzeci wers jest zapisany w alfabecie archaicznego ageańskiego, ale słowa nie są ageańskie. Podejrzewam, że to zapis fonetycznych słów dreangerskich. Właściwie to tylko zgaduję, opierając się na częstotliwości występowania spółgłosek.

– Czy ten pierścień naprawdę może być tak stary?

Krótkotrwałe imperium ageańskie władało wybrzeżami wschodniej części Morza Ojczystego, w czasach gdy Brothe było dopiero średniej wielkości miastem znajdującym się pod władzą Konfederacji Felscjańskiej.

– Faktycznie wyczuwam, że jest bardzo stary, Piper.

– Co z ostatnim wersem?



– Nie mam pojęcia. Widziałem już taki kształt liter, ale nie pamiętam gdzie. Musiałbym przeprowadzić badania. Powinienem też sprawdzić, czy nie ma jakichś wzmianek na temat samego pierścienia. Jeżeli jest ważnym artefaktem, zostawił za sobą ślad wiodący przez czas. Najprawdopodobniej kamienie milowe różnych kłopotów.

Hecht pokiwał głową. On też doszedł do takiego wniosku, opierając się na zasłyszanych historiach o magicznych przedmiotach.

– Nie sposób się nie zastanawiać, jak coś takiego mogło wpaść w ręce kogoś takiego jak ty – powiedział prowincjał.

– Tak, jak opowiedziałem.

– Och, w to akurat wierzę. Znacznie bardziej interesowałby mnie umysł, który stał za tymi wydarzeniami. Który właśnie ciebie wybrał. Tak jak wcześniej stałeś się przedmiotem uwagi duszodawców. Kto? Dlaczego? Czy ma dobre zamiary? A może to mina-pułapka?

– Nie mam pojęcia. I nie zamierzam się dowiadywać. Tobie zostawiam tę przeklętą rzecz.

– Piper, radzę ci nie pozbywać się czegoś, co ma tak wielką potencjalną wartość.

– Czemu nie? Mnie się do niczego nie przyda. Przecież nie jest tak, że idę nad Teragi, wypróżniam kieszenie i wyrzucam pieniądze do wody. Ten pierścień mógłbym tylko sprzedać za cenę jego złota.

– Albo czarownikowi dla mocy, jaką posiada.

– Ale nawet ty nie potrafisz powiedzieć, na czym ta moc polega. Więc i dla ciebie jest to tylko odrobina złota o nieokreślonym potencjale.

Delari wzruszył ramionami.

– Życie już takie jest. Moje życie. Próby wyciśnięcia potencjału z upartych samorodków.

Hecht nie odpowiedział. Jeśli Delari będzie chciał wydobyć potencjał z tego akurat samorodka, będzie musiał mówić bardziej otwarcie.

Prowincjał wydawał się bardziej rozbawiony niż zawiedziony.

– Cierpliwość to moja największa cnota, Piper. W porządku. Przyjrę się tej bestii. W wolnym czasie, którego jak wiadomo mam aż nadto. I poinformuję cię, jeśli odkryję coś interesującego. Kto może wiedzieć? Może się okazać takim niewypałem, że niewykluczone, iż najlepiej będzie go zwrócić Bruglionim.

Tym razem stary go zaskoczył. A Hecht dał to po sobie poznać.

– Wszyscy wiedzą, przynajmniej ci, którzy zwracają uwagę, że Bruglioni poszukują talizmanu będącego własnością prowincjała Divino. I podejrzewają, że rzeczony talizman przeszedł przez ręce ich niegdysiejszego pracownika Pipera Hechta.

Delari jak zawsze był lepiej poinformowany, niż powinien. To było dość straszne.

Piper Hecht miał sekrety i lepiej, by nimi pozostały, nawet dla najbardziej mu życzliwego członka Kolegium.

Starzec uśmiechnął się, jakby doskonale znał myśli krążące po głowie Hechta.

Mimo powtarzających się zamachów na swoje życie Hecht nie otaczał się gromadą ochroniarzy. Wierzył, że najlepszą ochroną okaże się anonimowość. Nigdy nie ubierał się stosownie do piastowanej pozycji. W pałacu Chiaro wywoływało to krzywe spojrzenia, ale zapewniało możliwość rozplynięcia się w ulicznym tłumie.

Zmierzał do domu Anny Mozilli, ale drogą obok hipodromu, gdzie spotkał się z Pinkusem Ghortem. Ghort założył tam obóz wojskowy, rozbijając go po prostu na placu.

– Wyglądasz okropnie – oznajmił Hecht na jego widok. – Powinieneś się trochę przespać.

– Ja też cię kocham. Tak, mam. Zaraz się położę. A tak na poważnie, to udało nam się opanować sytuację. Faktycznie, będę się mógł przespać. Nie ma już szans na znalezienie kogokolwiek przy życiu. Dzięki za przysłanie chłopaków.

– Nie ma sprawy. Będą się krzywić, ale mnie nie zwolnią.

– Przejeśli się tym tłumem? Słyszałem, że o mało co nie doszło do walk.

– Tak. Jeden z twoich chłopców był w samym centrum wszystkiego.

– Bo? Robi dobrą robotę. Kiedy skończymy już z tym głównym tutaj, mam zamiar zająć się tymi podżegaczami.

– Bardzo go potrzebujesz?

– Bo? Czemu?

– Chciałbym go wypożyczyć. W tym tłumie był jeszcze jeden człowiek, którego nie powinno tam być. Nie powinien nawet być wśród żywych. Chcę go znaleźć.

– To ważne?

– Może być ważne. Chcę się upewnić.

– Gdzieś tu się kręci. Porozmawiam z nim, jak się obudzę.

– Będę w domu Anny.

Tego ranka, im bliżej Hecht był domu Anny, tym bardziej robił się niespokojny. Nie potrafił pozbyć się odczucia, że jest obserwowany. Próbował wypatrzeć śledzącego, ale bez skutku. Na ulicy był zbyt wielki tłum.

– Wyglądasz potwornie – powiadomiła go Anna, gdy tylko wszedł do domu.

Przekazał jej ocenzone wersję ostatnich wydarzeń.

– Jak po wszystkim masz zamiar ułożyć sobie stosunki z prowincjałem Doneto? – zapytała.

– On nie wie, że ja wiem o jego zamiarach.

– Nie stawiałabym swego życia na taki zakład. Co z Pinkusem?

Już wcześniej zadawał sobie to pytanie, analizując wszystkie możliwe odpowiedzi, jakie potrafił wymyślić.

– Co z nim?

– Jaka jest jego rola w tym wszystkim? Nigdy nie udawał, że jest czymś więcej niż tylko człowiekiem Doneta. Co robi w tym konkursie sikania na odległość?

– Nie wiem. Ale wątpię, by w tym siedział. Poza tym na takie pytania się nie odpowiada, póki nie jest to konieczne. Nie wiem nawet do końca, jaka jest moja rola w tym wszystkim. Przypuszczam, że jestem człowiekiem prowincjała Delariego. Wolę myśleć, że jestem. Ale to Kościół płaci mi żołąd. A Doneto uchodzi za najwierniejszego zwolennika Wzniosłego, przynajmniej oficjalnie.

– Tylko uważaj.

– Będę. Obiecuję. Wychodziłaś gdzieś ostatnio?

– Tylko po wodę. Z dziećmi. Dlaczego?

– Co się mówi pod fontanną? – Jak wszędzie, również tutaj sąsiadki nie spieszyły się z nabieraniem wody, wymieniając plotki.

– Dzisiaj były spokojniejsze. I wszystkie wiedziały. Choć nie miały pojęcia dlaczego.

– To nietrudne. Zły stwór nie żyje.

Do pokoju weszły dzieci. Vali niosła serwis do herbaty. Pella trzymał w ręku książkę. Wyraźnie miał zamiar popisywać się umiejętnością czytania.

Hecht pozwolił mu na to, pewien, że w ciągu kilku dni nie mógł dokonać zbyt wielkich postępów. Nie dokonał.

– Zgrabnie ci poszło z podaniem herbaty, Vali.

Vali jak zwykle się nie pomyliła. Obrzuciła go spojrzeniem, z którego wynikało, że musi się bardziej postarać.

Uśmiechnął się i mrugnął do niej.

Vali odpowiedziała tym samym.

– Martwię się, bo nie wiem, co robi Delari – wrócił do rozmowy z Anną.

– To znaczy?

– Kiedy go znaleźliśmy, powiedział nam, że obwał powstał w wyniku eksplozji baryłki z prochem strzelniczym. Za jej pomocą zabił potwora.

– I co? Nie sądziłeś, że jest w stanie unieść baryłkę z prochem? Czy że jedna baryłka może doprowadzić do tak wielkiej katastrofy?

– Do katastrofy w ogóle nie powinno dojść. To jest niesamowity towar. Kiedy dobrze się go wykona i zajmują się tym zdolni rzemieślnicy. Nie. Martwi mnie to, czego nie chciał wyjaśnić. Mianowicie te wszystkie czary, których świadkami byliśmy. Już po zawaleniu się hipodromu.

– Och. Rozumiem.

– Jeżeli wybuch zabił bestię, skąd te wszystkie późniejsze czary?

Hecht zerknął na Vali. Dziewczynka wyglądała, jakby sama miała za chwilę wybuchnąć. Zebrała na tacę serwis herbaciany i umknęła do kuchni, ciągnąc za sobą Pellę.

Anna zachichotała.

– Niedługo usłyszysz ciekawą teorię.

Więc tak. Może sposobem na Vali Dumaine było pobudzenie jej inteligencji?

Ktoś zapukał do frontowych drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał Hecht.

Anna pokręciła głową.

– To pewnie do ciebie. Albo do dzieciaków. – Mimo to sama poszła sprawdzić.

Pella wrócił z kuchni i oparł się o krzesło, które właśnie opuściła Anna.

– Ta istota, która zginęła w podziemiach, powinna być uważana za coś w rodzaju boga. Racja? – Było to w zasadzie stwierdzenie.

– Naprawdę potężna Delegatura, tak. Ale demon. Jest tylko jeden Bóg.

– A więc to, co widziałeś, to mogła być po prostu jej śmierć. Racja?

Spazmy agonii? Tego kalibru?

– Może. – Był pod wrażeniem.

Spróbował sobie przypomnieć, co stało się z Dawnym Bogiem, który umarł pod murami al-Khazen. I znalazł dziurę w pamięci. Dziurę ewidentną, ponieważ wiedział, czego nie pamięta i co powinien pamiętać. Po głowie tłukły się tylko niewyraźne strzępy dramatycznego rozstrzygnięcia.

Więc to się właśnie działo, gdy umierali bogowie? Nawet pamięć o nich zniknęła ze świata? Ale przecież na świecie wciąż było wielu starożytnych bogów, którzy kryli się w mitach i legendach.

Może pamiętano o nich, ponieważ jeszcze nie umarli.

– Piper. To na pewno do ciebie – zawołała Anna.

Hecht już szedł ku drzwiom. Zerknął przez wąską szczelinę, na której uchYLENIE pozwalały ciężkie łańcuchy przy drzwiach.

– W porządku. Znam go.

Na ganku stał Bo Biogna: niski, barczysty i trochę przestraszony.

– Nie jestem pewna, czy chcę wpuścić tego człowieka do mego domu – szepnęła Anna.

– To ważne. – Choć powody obecności Biogny akurat tutaj były raczej zagadkowe. – Zabiorę go do kuchni.

– Nie możesz załatwić sprawy na zewnątrz?

– Nie, kochanie. Tam mogą nas śledzić wrogie oczy. Gwarantuję, że nie schowa niczego do kieszeni.

Annie nie było do śmiechu.

– Właż – zwrócił się Hecht do człowieka Ghorta. – Chodź za mną. – Zaprowadził tamtego do kuchni. – Pella. Znajdź nam jakieś stołki. Vali. Nalej panu Biognie filiżankę. Pod warunkiem, Bo, że lubisz herbatę.

– Chętnie się napiję. Ale nie przyszedłem tu z towarzyską wizytą.

Anna weszła do kuchni i zajęła się parzeniem herbaty, mając oko na gościa. Biogna wyczuwał jej skrępowanie i podejrzliwość. Wydawał się bardziej rozbawiony niż urażony.

– Co jest? – zapytał Hecht.

– Przysłał mnie pułkownik Ghort. Powiedział, że potrzebujesz mojej pomocy. Że masz dla mnie jakąś niecierpiącą zwłoki robotę.

– Aż takie ważne to nie jest. Możesz się tym zająć, robiąc to, co właśnie robisz. Chciałbym, żebyś znalazł i zidentyfikował jednego człowieka. Stał

obok ciebie wtedy, w Rejonie Zamkniętym. – Hecht opisał Szkieleta.

– Wiem, o kogo ci chodzi. To akurat nie jest zaskakujące. Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ był trochę straszny. I źle pachniał.

– Znajdź wszystko, czego się możesz dowiedzieć. Kim jest. Gdzie mieszka. Takie rzeczy.

Biogna przyglądał mu się przez chwilę spod krzaczastych brwi. Nabrał sporo ciała. Teraz wyglądał bardziej na prosperującego zbira niż wygłodzonego uchodźcę, którego Hecht spotkał na drodze do Brothe.

– Masz dla mnie jakiś punkt zaczepienia? Brothe to wielkie miasto.

– Nie mam. Tylko tyle, że widziałem go już parę razy. Na oko szpieg. Mój człowiek, Bechter, wyłuskał go przede mną. Wychodzi na to, że ma na oku mnie i mój sztab.

– Imperialny?

– Przychylałbym się do tej hipotezy. Jeśli nie, to Connekianin. A może Arnhandczyk.

– A może to nasz wielki szef ma na ciebie oko?

– Ma ludzi w środku, którzy się tym zajmują.

– Może. Poprosiłeś o mnie, ponieważ chcesz, żeby rzecz załatwić dyskretnie. Racja?

– Tak.

Biogna pokiwał głową.

– Masz mnie. Dobra herbata, proszę pani. Dziękuję. Muszę już iść.

Hecht nie protestował. Odprowadził Biognę do drzwi. Kiedy tamten wyszedł za próg, zapytał:

– Widujesz się jeszcze z Po Prostu Zwyczajnie Joem?

– Cały czas. W jego towarzystwie czas miło płynie.

Taka była prawda, Hecht pamiętał. Po Prostu Zwyczajnie Joe nie był wiele bystrzejszy od zwierząt, którymi się opiekował, ale zazwyczaj był dobrym towarzystwem.

– Jasne. Następnym razem, jak go zobaczysz, pozdrów ode mnie. I zapytaj, czy jest zadowolony z roboty.

– Do diabła, Pipe. Oczywiście, że jest. Przecież to Po Prostu Zwyczajnie Joe. Joe jest szczęśliwy. Gdziekolwiek się znajduje, jest to najlepsze z możliwych miejsc.

– Znalazłbym zajęcie dla człowieka, który zna się na zwierzętach.

– Niedługo zacznie się rozglądać za robotą. Jak my wszyscy. Chyba że Pięć Rodzin wystraszy się czegoś tak bardzo, że postanowią nas zatrzymać.

– Jeżeli wyleją cię z pracy, przyjdź do mnie.

Biogna energicznie pokiwał głową, rozejrzał się dookoła, szukając ewentualnych obserwatorów, a potem poszedł.

Hecht popatrzył za nim. Jak bardzo można mu zaufać?

Im wyższą zajmował pozycję, tym bardziej czuł się zagrożony.

– Jesteśmy obserwowani – oznajmił Hecht, wróciwszy do kuchni. Anna chyba przeglądała inwentarz, na wypadek gdyby Bo okazał się złodziejem z umiejętnościami prestidigitatora. – I już nigdy nie zaproszę Biogny do środka, jeśli tak na niego reagujesz.

– To dobrze. I następnym razem, kiedy się tu pokaże któryś z twoich ludzi, najpierw mnie zapytaj, zanim go poprosisz do środka.

O to chodziło. Korzeń wszystkich innych spraw.

– Oczywiście.

– Co z tym, że jesteśmy obserwowani?

Dostrzegł znajomą twarz u człowieka, który stał oparty o mur sto jardów dalej. Twarz, której nie widział od lat. Tamten nazywał się al-Azer er-Selim. Był Panem Duchów oddziału sił specjalnych dowodzonego ongiś przez kapitana sha-lugów Else'a Tage. Az był weteranem. Nie dałby się łatwo dostrzec, gdyby tego nie chciał.

Az chciał nawiązać kontakt.

Ale później. Kiedy będzie mniej świadków.

– Jest tam człowiek, który nie ma żadnego interesu tu być.

– Kto go przysłał?

– Dobre pytanie. To jest ciemna strona bycia Naczelnym Wodzem. Wszyscy... włączywszy w to człowieka, który płaci mój żołd... chcą wiedzieć, co robię.

Anna pokiwała głową. Skończyła już inwentarz sztućców. Teraz zaczęła przebierać wśród garnków i rondli, zabierając się do przygotowywania kolacji.

– Nie będę się interesować tym, co robisz, póki twoi ludzie będą się trzymać z dala od mojego domu. Wszyscy. – Bogactwo wszelakiego dobytku, jaki zgromadziła, określało w jej opinii jej status społeczny. Nowa patelnia była zawsze mile widzianym prezentem.

– Nawet Pinkus?

– Pinkusa ścierpię. Ledwie. Titus też może być. Jeżeli będzie chciał uczestniczyć w życiu towarzyskim i przyprowadzi Noë oraz dzieciaki. Ale żadnych interesów. Urządziłam tu sobie dobre życie, Piper. Chcę jak najszybciej zapomnieć o przeszłości.

– Mali wywiadowcy.

Pella i Vali wydawali się nadzwyczaj zainteresowani rozmową. Anna zaczęła się zarzekać:

– Żeby mi żadne z was dwojga nie mówiło przyjaciołom waszego... Żadnym przyjaciołom Pipera, że ich nie lubię. – Kiedy znowu spojrzała na Hechta, oczy miała szeroko rozwarte ze zdziwienia.

Nikomu nie umknęło, że o mało co nazwała Hechta ich ojcem. Co zdradzało myśli, jakie musiały jej krążyć po głowie,

W przedłużającą się ciszę wtargnęło nowe pukanie do drzwi. Tym razem dość gwałtowne.

– Pella, idź otwórz – powiedział Hecht.

Podszedł do Anny, wziął ją za ręce i zajrzał głęboko w ciemnobursztynowe oczy. Nie wiedział, co powiedzieć. Ona zaś albo nie mogła, albo nie chciała dać mu żadnej wskazówki.

Nie dano mu jednak szansy, żeby coś zrobił.

– Wodzu Naczelny. Na moment.

– Przepraszam, Anna. Nie potrafiłem go zatrzymać – sumitował się Pella.

Hecht natomiast zagapił się nieprzytomnie, a w głowie kołatało mu stare powiedzenie: „O wilku mowa”.

– Titus? Co ty, u diabła, tu robisz?

– Mamy problem.

– Tak?

– To jest problem, od którego świat się może zatrząść w posadach. Kurier zajeździł dwa konie, pędząc z wieściami.

– Więc? – Powoli trwoga zaczynała podpełzać do gardła Hechta.

– Tutaj, sir?

– Tak. Tutaj. Na uszach wszystkich. Gadaj.

– Jak chcesz. Imperator nie żyje.

– Lothar?

– On. Tak. W tej chwili nie wie nikt prócz nas.

I wspólnoty devediańskiej, rzecz jasna. Oraz wszystkich Delegatur Nocy. I każdego, kto pozostaje z nimi w zażyłości.



Hecht odwrócił się do Anny. Zanim zdążył się odezwać, powiedziała:  
– Czas na ciebie. Nie marnuj ani chwili. Właśnie zmienił się świat.

## 9

# Hochwasser, uroczystości żałobne, święta życia

Księżniczka Hespeth, grafina fon Supfer, markiza va Runjan, hrabina Plemenzy et cetera myślała dotąd, że doskonale nad sobą panuje. Wiedziała, że wcześniej czy później należy się tego spodziewać. Miała czas oswoić się z prawdą w trakcie podróży na złamanie karku z Plemenzy do Hochwasser. Lothar stacjonował tam wraz z niewielką armią, której celem było przeprowadzenie ograniczonej kampanii w północnej Firaldii. Ale widok Muszina w trumnie, w komnacie wyłożonej blokami lodu, zmienił charakter całej sytuacji, zastępując czysto intelektualne zrozumienie intymnością bólu i rzeczywistej straty.

Rzuciła się na blade, nieruchome ciało chłopca. Muszin był taki zimny. I znacznie drobniejszy niż w jej pamięci.

Straciła panowanie nad sobą.

Poczuła dłoń na swoim ramieniu. Uniosła wzrok. Katrin stała nad nią. Jej oczy były zaczerwienione i puste. Ból szarpał jej duszę pazurami.

Siostry padły sobie w ramiona. Płakały do czasu, aż na twarzach kobiet fraucymeru Katrin i poczesnych ludzi Imperium pojawiły się naganne grymasy. Niemniej większości najpotężniejszych członków Komisji Doradczej nie było na miejscu. Jakoś się nie spieszyli, by towarzyszyć Imperatorowi Lotharowi podczas wypełniania ostatniego rytualnego obowiązku wobec Imperium Graala.

Hespeth wzięła się w garść szybciej niż Katrin. Zresztą ku własnemu zaskoczeniu – w końcu to Katrin nazywano lodową damą. To ona skrywała

wszystko, co działo się w jej wnętrzu. Ale właśnie Katrin skupiła wszystkie splątane i stłumione uczucia na swym ukochanym Muszinie.

– Mój świat runął, Hespeth – odezwała się.

Hespeth przelotnie zastanowiła się, dlaczego Katrin jej nie nadała żadnego pieszczotliwego imienia.

– Jest gorzej niż wówczas, gdy umarł tato. Choć zawsze wiedziałam, że to nastąpi.

– Z ojcem trudno było żyć – przypomniła Hespeth. Było to wyjaśnienie, jakie usłyszała od Katrin tłumaczącej jej brak głębszej rozpaczy po śmierci Johannesesa pod al-Khazen. Sama Hespeth była wtedy zbyt wstrząśnięta, żeby zrobić użytek ze swej inteligencji. – Kim są ci ludzie? – Wskazała trzech księży, którzy próbowali trzymać się z boku.

– Ojciec Volker. Mój spowiednik. Pozostałych dwóch nie znam. Ojciec Volker przedstawił mi ich, ale byłam zbyt roztrzęsiona, żeby zapamiętać imiona. Jeden z nich jest biskupem. Odprawi pogrzeb, i odbierze moje pierwsze ślubowania.

– Och.

– Nie chcę być Imperatorową, Hespeth. Nie chcę mieć nic wspólnego z Omrą va Still-Patter i wszystkimi tymi zimnokrwistymi sępami. Pomóż mi, Hespeth.

– Zawsze, droga siostrze. Jestem twoją najwierniejszą poddaną. O cokolwiek mnie poprosisz, zrobię to. Tylko powiedz.

Iskierka chłodnego podejrzenia zaślniła w oczach Katrin.

Katrin Ege wstąpiła na tron imperialny następnego dnia po przybyciu Hespeth do Hochwasser. Uczyniła tak pod nieobecność Komisji Doradczej, za to z błogosławieństwem biskupa Hrobjarta z Carbon. Racja stanu nakazywała, by biskup przyjął od niej tymczasowe ślubowanie. Oficjalną ceremonię koronacji wyznaczono na koniec lata, podczas święta Kramas. Święto to wywodziło się jeszcze z czasów starożytnych, ale jego właściwy sens zaginął w pomroce dziejów. Tego dnia oficjalnie wynoszono imperatorów Graala na tron. I działo się tak od momentu, gdy Nowe Imperium Brotheńskie zrodziło się w głowie Patriarchy Zgodnego II. Ci, którzy interesowali się historią, twierdzili, że Kramas upamiętniało triumf plemion nad nacierającymi legionami Starego Brothe.

Bitwa pod Carmue odbiła się w historii brotheńskiej takim echem, że już nigdy imperatorzy nie podjęli próby podbicia serca kontynentu.

Decyzja Katrin nie przeszła bez sprzeciwów. Obecni na miejscu członkowie Komisji Doradczej nalegali, by opóźnić uroczystości. Twierdzili, że potrzebna jest zgoda całej komisji.

Nikt tego wprawdzie nie stwierdził, ale wszyscy wiedzieli, że komisja w pełnym składzie będzie miała mniej kłopotów z zastraszeniem Katrin.

Helspeth bardzo się pilnowała, by nie wygłaszać żadnych negatywnych uwag na temat tych starych, brzydkich ludzi.

Algres Strach zasugerował jej w cztery oczy:

– Jeżeli chcesz coś ważnego przekazać Imperatorowej, zrób to, zanim pokaże się Hilandle. Później z Katrin będzie się trudno spotkać. On zadba, aby dostęp do Imperatorowej był ściśle ograniczony.

Helspeth była pod wrażeniem. Ten człowiek nigdy naraz nie wypowiedział tylu słów, odkąd Lothar zlecił mu opiekę nad nią. Poza tym rada była jak najbardziej sensowna.

– Kapitanie, potrzebuję cię teraz bardziej niż dotąd. Jak mogę zapewnić sobie twoją lojalność?

– Moją lojalność masz zapewnioną, księżniczko. Taka była wola imperatorów: ojca twego i brata. Tylko śmierć może nas rozłączyć. Będę ci bliższy niż własnej żonie.

Dosłownie. Żona Stracha odmówiła udania się do Plemenzy.

– Nie jestem do tego stworzona, Algres.

– Nikt nie jest, póki nie zostanie powołany.

– Ale...

– Jesteś córką Johanna Ege i Terezii z Nietzchau.

Helspeth chciała się dalej spierać, ale była zbyt zmęczona i przygnębiona. Nienawidziła swego życia. Nie rokowało zmian na lepsze. Nawet Plemenza straciła wiele ze swego czaru.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczy.

Strach spochmurniał.

– Dość masz spraw na głowie. Idź odpocząć. Ale zobacz się z siostrą jak najszybciej.

Katrin nie zareagowała na wiadomość od Helspeth. Zamknęła się w odosobnieniu razem ze spowiednikiem i pozostałymi ludźmi Kościoła.

Ferris Renfrow dotarł na miejsce przed Wielkim Księciem, zdążył akurat na czas pochówku i pośpiesznej ceremonii sukcesji, odprawionej przez biskupa Hrobjarta. W pewnej chwili po prostu zmaterializował się po lewej

ręce Hespeth. Bez patrzenia wiedziała, że to on. Na jej emocjonalnym nieboskłonie powoli zaczynało się przejaśniać. Już się nie garbiła.

Dręczyło ją natomiast poczucie winy.

Jego źródłem musiał być Algres Strach. Na tym zresztą polegała jego misja. Nie poradziłaby sobie bez kapitana Stracha i jego braunsknechtów, ale nigdy nie potrafił jej tak zainspirować jak Ferris Renfrow.

To zresztą też było smutne, ponieważ lojalność Ferrisa Renfrowa dotyczyła w pierwszym rzędzie Imperium Graala, a nie smętnej młodszej córki jego przedostatniego Imperatora.

Katrin uklękła przed biskupem. Po przyciszonej wymianie zdań Hrobjart odwrócił się w lewo i wziął koronę z rąk bezimiennego duchownego, który wszędzie mu towarzyszył. Ojciec Volker jedną ręką wymachiwał kadzielnicą, drugą kropił wodą święconą.

Wszyscy trzej księża byli w bieli. Szaty ojca Volkera były proste. Anonimowego kapłana – wręcz surowe. Natomiast biskup Hrobjart miał na sobie koronki, nieoszlifowane kamienie szlachetne, a jego ornat naszywany był perłami. Ostatnim razem Hespeth widziała kapłanów w bieli na koronacji Lothara. Na co dzień nosili szarości lub brązy. Albo czernie.

Hespeth nienawidziła tych nowych wron w czerni. Służyli bezdusznym zakonom: Towarzystwu na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji; Bractwu Wojny; Rycerzom Zakonu Graala. Po drugiej stronie gór Jago dwa pierwsze z nich z każdym dniem stawały się coraz potężniejsze.

I tylko na północ od Jago Imperium Graala dokładało wszelkich starań, żeby udaremnić rozrost potęgi Towarzystwa i Bractwa. Niemniej Zakon Graala – rodzaj północnego Bractwa – cieszył się ogromnymi wpływami na tych obszarach, gdzie wyznanie episkopalne zderzało się ze światem pogańskim.

Wyrwał ją z zamyślenia Ferris Renfrow. Nadszedł czas, by świadkowie przyklękli przed nową Imperatorową. A potem opadli na kolana, gdy biskup Carbon dawał błogosławieństwo. Po nim nastąpiło długie responsorium. Nie musiała szczególnie uważać, by nadążyć za wiernymi. Był to standardowy rytuał pytań i odpowiedzi Kościoła brotheńskiego. Pięciolatek potrafiłby brać w nim aktywny udział, a równocześnie obmyślać nową psotę.

Kiedy wychodzili z kościoła, Renfrow powiedział:

– Po powrocie do Plemenzy, księżniczko, będziesz zapewne musiała się zmierzyć z dramatycznymi wyzwaniem. – Mówił, jakby go nie obchodziło, że ktoś może podsłuchać. – Patriarcha z pewnością zechce poddać próbie nowy ład.

– Wzniosły przekonana się, że córki Ege są równie godnym przeciwnikiem jak ich ojciec. – Pomyślała o Naczelnym Wodzu. Ich ścieżki mogą się już nigdy nie skrzyżować.

– Miejmy nadzieję – odparł Renfrow. – Niestety realistyczne rokowania nie wydają się równie obiecujące.

– To znaczy?

Renfrow zerknął na Algresa Stracha. Jak zawsze podczas wystąpień publicznych i świąt, Strach był w zasięgu ręki Helspeth.

– Czas pokaże, księżniczko. Teraz muszę cię opuścić. Niech się pan nią opiekuje, kapitanie.

W okamgnieniu Renfrow zniknął. Rozejrzała się na boki, zerknęła za siebie – nigdzie go nie było.

– Jak on to zrobił? – zapytała Helspeth.

– I na dodatek w jego wieku. Czary? Czy w ogóle mamy do czynienia z człowiekiem? – Strach szanował Renfrowa, ale nie przepadał za nim. Starł się narzucić takie podejście swej podopiecznej.

– Co masz na myśli mówiąc: w jego wieku?

– Chodzi mi o to, że od zawsze właściwie jest przy nas. I zajmuje się tą samą robotą. Steruje Imperium. Delikatnie. Niektórzy do dziś uważają, że stał za wyborem twojego ojca. Jak też za Ustawą o sukcesji.

– Ojciec powiadał, że Renfrow zna wszystkie sekrety. I nie waha się posłużyć swoją wiedzą.

– Na szczęście jesteś zbyt młoda, żeby mieć jakieś sekrety.

– Faktycznie mam szczęście. Jakbym w ogóle miała szansę zrobić coś, co potem chciałabym ukryć. – Powoli otaczały ją damy fraucymeru, żeby odgrodzić od chwackiego dowódcy straży osobistej. Za nic nie należało dopuścić, by reputacja księżniczki mogła zostać wystawiona na szwank.

Dwór Katrin z całym spokojem zniósł to, że Imperatorowa zamknęła się w odosobnieniu z trzema księżmi i to bez żadnej damy do towarzystwa. W czasach, gdy księża mieli znacznie gorszą opinię niż inne kategorie mężczyzn. Spokój zburzyło dopiero oświadczenie Katrin, że naprawi błąd

ojca i wycofa poparcie dla Viscesment, w zamian aktywnie opowiadając się po stronie Brothe.

Jakby nie dość było tego ciosu dla imperialnej arystokracji, Katrin oznajmiła następnie, że zamierza odbyć pielgrzymkę do Miasta Ojczystego. Gdzie sam Patriarcha miał ją koronować.

– Wielki Książę zapewne dostanie apopleksji – zauważył Algres Strach, pakując się.

– Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, by Hilandle’owi starczyło wyobraźni. To jego wina. Powinien tu być. A on koniecznie chciał nam dać do zrozumienia, że Imperium nie może funkcjonować bez jego przyzwolenia. Uznał, że córka rodu Ege pewnie dostanie spazmów. Katrin jest równie bystra, jak był Muszin. Może nawet bardziej. Nie będzie skrywała pogardy dla tych ludzi. Choć z drugiej strony, nie powinna w taki właśnie sposób dowodzić swej niezależności.

Strach odmruknął coś niezrozumiale. Dworki Hespeth znajdowały się w pobliżu. Jak zawsze. Podśluchiwały. Kilka doniesie Imperatorowej. Świadectwa innych dotrą do uszu Komisji Doradczej.

Wśród imperialnej szlachty działała też frakcja probrotheńska. Nastroje niechętnie Wzniosłemu apelowały jednak do większych grup, na dodatek cieszących się wyższym statusem i bardziej patriotycznie zaangażowanych.

Kiedy dwór gotów był do wyjazdu, Hespeth poprosiła o pozwolenie na powrót do Plemienzy.

Oczekiwała na odpowiedź, kiedy zobaczyła zbliżającą się lady Chevrę. Na jej twarzy szalała burza uczuć. Wyraz zmartwienia zastępowało głupawe otepienie, a po nim pojawiała się mina złośliwego triumfu.

– Tak czy nie? – Bez wątpienia stara krowa przynosiła złe wieści. Chciała postępować właściwie, ale nie potrafiła stłumić radości z nieszczęścia innych.

– Jej Wysokość odmawia zgody na twoją prośbę. Masz jej towarzyszyć w pielgrzymce do Miasta Ojczystego.

– Czeka nas zmiana planów, kapitanie Strach.

Strach pokiwał głową.

– Proszę uzgodnić marszrutę z ludźmi Imperatorowej. Możemy ograniczyć koszty podróży, jeśli wybierzemy drogę przez imperialne miasta Firaldii.

Lady Chevra wyraźnie nie była tym pomysłem uszczęśliwiona. Poza tym dziewczyna, której nieszczęściem chciała się cieszyć, zniosła rozczarowanie bez jednego słowa.

Helspeth Ege nie będzie narzekać ani jęczeć. Nigdy. Ani wobec decyzji Wielkiego Księcia Hilandle'a, ani wobec decyzji Imperatorowej Katrin Ege.

Cała sprawa miała też jaśniejszą stronę. Aby zadbać o utrwalenie swych wpływów, Wielki Książę będzie musiał towarzyszyć córkom Hansela aż do serca Firaldii. Nienawidził tej krainy, ponieważ nikt tam nie wiedział, kim on jest. I nikogo to nie obchodziło.

Tam właśnie, zdała sobie po chwili sprawę, leży Brothe. W którym umieścił kwaterę główną Naczelnego Wódza armii fałszywego Patriarchy.

Poczuła dreszcz podniecenia. Być może mimo wszystko podróż nie będzie tak zupełnie na nic.

– Wszystko w porządku, księżniczko? – zapytała lady Delta va Kelgerberg. – Zrobiłaś się czerwona jak burak.

Poczuła, że nie tylko to – jej oddech stał się płytki i nierówny.

Wielki Książę niewłaściwie ocenił nową sytuację. A miał zbyt wybujałe ego, żeby spokojnie przyjąć taki cios z dłoni tej suki Ege.

Gdzieś na południe od Alten Weinberg zrozumiał, że powinien się naprawdę pośpieszyć. Trzeba zdążyć do Firaldii na czas, by zdusić szaleństwo tej nieznośnej dziewczuchy. Przecież nie uklęknie przed tym ospowatym brotheńskim pederastą, Wzniosłym V.

Na początku podróży orszak Hilandle'a liczył czterdzieści trzy osoby. Niemal od razu liczba ta zaczęła topnieć. Pół tuzina zapodziało się w Hochwasser. Przeklinając, parł nieugięcie przez łańcuchy górskie Jago. Ku gwałtownej, zupełnie nieoczekiwanej o tej porze roku śnieżnej burzy.

Niektórzy jego ludzie namawiali, by znaleźć jakieś schronienie i przeczekać. Ale mieli zbyt mało zapasów jedzenia. Trzeba było zawrócić lub jechać naprzód.

Kilku zawróciło. Trzydziestu dwóch pojechało naprzód.

Gdy pewnego dnia dokuczliwy mróz okazał się silniejszy od wierności kolejnych towarzyszy Wielkiego Księcia, następnego zawrócili do Hochwasser. Tam zaczynały się gromadzić wojska Lothara, wciąż oczekujące rozkazów. Tymczasem korzystały z imperialnych magazynów żywności.



Głęboką nocą, kiedy w płomieniach niewielkich ognisk śnieg kłębił się nieważką zamiecią odłamków kości słoniowej, obozujących obudził krzyk.

Czterej ludzie pełnili wartę. Ciało trzech nie udało się odnaleźć. Ostatni nic nie widział i nie słyszał nic prócz krzyków.

Do rana nikt nie zasnął.

Popołudniem następnego dnia śnieg przestał padać. Ale jego gruba pokrywa jakoś nie chciała topnieć. Orszak Wielkiego Księcia znajdował się powyżej linii drzew. Mieli ze sobą tylko tyle opału, ile mogli załadować na konie.

W okolicy nie było żadnych gospód, schronień czy postojów. Wszystkie porzucono. Nawet imperialne pocztalernie stały puste. Trzymały się tylko nieliczne małe zamki, które dostarczały dla nich koni. Nawet nie wpuszczono ich do środka. Orszak Imperatorowej ogołocił je ze wszystkich zwierząt.

Kolejna noc przyniosła nowe krzyki.

Owinięty w koce, trzęsąc się z zimna, Wielki Książę siedział przy jedynym ognisku z obnażonym mieczem na kolanach i walczył z sennością.

Omro va Still-Patter, Protektor, był dziś pożalowania godnym starcem. W młodości nie znający strachu śmiałek, spędził trzy lata w Ziemi Świętej i dwa z Zakonem Graala, nawracając dzikusów z Wielkich Bagien. Ale choć wiek wykrzywiał mu kości i dramatycznie podwyższał nietolerancję na brak wygod, nie pozbawił go zdolności zachowania zimnej krwi w obliczu niebezpieczeństwa.

Krzyki obudziły Hilandle'a. Dobiegały z odległości kilkunastu stóp. Skoczył na równe nogi, ściskając miecz w obu dłoniach.

Coś ruszyło na niego. Jedynie przelotnie dostrzegł, że to coś wielkiego. Włokło zakrwawione ciało. Postać miała owadopodobną, przypominało największy z możliwych do wyobrażenia kostur podróżny z licznymi nogami. W bulwiastych oczach gorzał płomień.

Sięgnęło szponem po Hilandle'a. Wielki Książę sparował cios. Odcięte od kończyny chwytne kleszcze upadły na ziemię. Ale w tym momencie drugie kleszcze rozszarpały jego koce, zbroję i lewe ramię. Siła ciosu odrzuciła go na bok.

W chwili bezpośredniego kontaktu cielesnego strumień myśli zalał mózg Hilandle'a. Część z nich zdawała mu się całkiem rozumna. Omalże filozoficzna. Ich źródłem był umysł, który obserwował i klasyfikował. Ale

przeważało szaleństwo, ukorzenione w nienawiści, żądzy krwi i przymusie nie kończącej się zemsty, karmionej tysiącem obrazów przeszłych mordów i nadzieją na następne.

Potem to coś zniknęło, ani na moment nie wypuszczając ofiary.

Rozciągnięty w zakrwawionym śniegu grubości pół stopy, ogłuszony, walczący rozpaczliwie z okrutnymi wizjami, Wielki Książę rozbił nos o odcięte kleszcze, które wciąż zaciskały się i otwierały.

– Hartwell – wyjęczał, kierując swe słowa do pierwszego człowieka, jaki się pojawił. – Znajdź coś, w co moglibyśmy to owinąć. Chcę to zabrać ze sobą.

– Wasza lordowska mość?

– Przecież mówię wyraźnie, człowieku. Może w ten sposób dowiemy się czegoś o tym stworze.

Potwór nie wrócił. Przynajmniej wtedy.

Hilandle'owi wydawało się, że leży w śniegu wiele godzin, z umysłem schwytanym w pułapkę krwawego szaleństwa stwora. W rzeczywistości były to minuty. Jeden z jego koniuszych zabrał się do oczyszczania rany.

– Widziałeś potwora? – zapytał człowieka.

– Jakiego potwora, panie? – Na polu bitwy, podczas wyprawy, Hilandle nie upierał się przy zachowaniu form należnych jego pozycji. Zaskakiwało to jego wrogów, którzy uważali go za pompatycznego, nadętego bufona.

– Potwora.

– Nie, panie.

– Był jak... – Mściwy bóg. Ale tego powiedzieć nie mógł. Ponieważ był tylko jeden Bóg. A On nie był gigantycznym, odrażającym drapieżnym insektem. – To była jedna z Delegatur Nocy. Z pewnością jeden z Wielkich Diabłów.

Koniuszy, który miał na imię Horace, wydawał się nieprzekonany. Mimo krzyków, zakrwawionego śniegu i nieobecności ciał towarzyszy.

Następnego ranka w drogę wyruszyło dwudziestu trzech ludzi. Po zaginionych prawie wszelki ślad zaginął, jakby nigdy nie istnieli. Został tylko ekwipunek i dobytek osobisty, który porzucili, ponieważ nie miał go kto nieść.

Wielki Książę i jego ludzie parli wciąż naprzód, często skracając dzienną marszrutę, jeśli nie było pewności, czy przed zmrokiem dotrą do nadającego się do obrony miejsca na obóz. Przez cały czas Hilandle się

wściekał, ból rany nie dawał mu wytchnienia nawet na chwilę. Coraz większa odległość dzieliła go od tych dziewczuch Ege. I wciąż tracił ludzi.

Ostatecznie do przyjaznego pogórza północnej Firaldii dotarło dwunastu, w tym Wielki Książę. Wezwał do siebie najbliższego z ocalałych towarzyszy.

– Jak dojdziemy do siebie, przypomnij mi. Najważniejszym problemem, przed jakim dziś staje Imperium, jest ten potwór, z którego łap właśnie uszliśmy. – Skrzywił się. Sztywniał na każdą myśl o potworze. A rana odzywała się bólem bardziej dotkliwym niż ciągłe pulsowanie.

W niczym nie poprawiło jego nastroju, gdy przekonał się, że suka Ege pokonała góry bez żadnych przeszkód.

Wiadomości z Connec też go nie rozweseliły.

# 10

## Caron ande Lette, fala powodzi

Więści rzadko docierały do Caron ande Lette w sensownym czasie. Podróżni byli w tych stronach rzadkością. Wszystko, co Raultowie wiedzieli o świecie, zawdzięczali łaskawości kurierów, którzy skręcali tu z Antieux.

Raymone Garete dochodził do wniosku, że powiedzenie o rozłace zmiękczającej serce jest co najmniej eufemistyczne.

Uczucia Socii wahały się między podnieceniem, z jakim reagowała na atencję hrabiego, a przerażeniem intensywnością jego emocji.

Upłynął już miesiąc od śmierci Imperatora Lothara, kiedy nadeszły wieści.

– To niedobrze – oznajmił Brock kilka chwil po tym, gdy kurier przekazał informację.

Brat Świeca podejrzewał, że Brock liczył się z tą możliwością od momentu, gdy chorowity chłopiec przywdział gronostaje.

Jak cały zachód.

– Też nie potrafię sobie wyobrazić, by mogło stąd coś dobrego wyniknąć – wyznał brat Świeca. – Te wieści wyzwolą wszelkiego rodzaju bezceństwa. – Ponieważ nikt nigdzie nie wierzył, by córka Johanna była w stanie wzuć czarne buty i rządzić żelazną ręką.

Brat Świeca nic o dziewczynie nie wiedział. Catherine? Coś w tym stylu. Ale dość długo już włączył się po świecie, by poznać istotę ludzkiej natury. Wszyscy ci ludzie, którzy zabierali się właśnie do kręcenia młynów

spisków, postrzegali rzeczywistość przez pryzmat myślenia życzeniowego. I oczekiwali, że świat ulegnie ich wyobrażeniom.

A rzeczywistość uwielbia rozbijać pancerze samooszukiwania się.

– Ciekawe czasy z pewnością staną się jeszcze ciekawsze – zauważył milcząco zazwyczaj Thurm Rault.

Natomiast Brock zarządził:

– Musimy wzmocnić patrole. Bez wątpienia kłopoty nadciągą z Grolsach, wystarczy, że tamci się tylko dowiedzą. Thurm. Każ powiadomić sioła. Chłopi muszą mieć czas, żeby się przygotować. Poza tym musimy zgromadzić ich zapasy w bezpiecznym miejscu.

– Myślisz, że się zgodzą?

– Mam nadzieję, że wciąż mi ufają. – Podczas jego nieobecności chaos omal nie zwyciężył. – Wyjeżdżając, powinienem cię tu zostawić. – Lud nie rozumiał, dlaczego jego pan miałby bez żadnych protestów ulegać wszelkim kaprysom księcia Tormonda IV. Tak daleko od Khaurene Szalony Książę był postacią na poły mitologiczną. Hrabia Raymone był znacznie bardziej realny. Głównie dlatego że pomógł zniszczyć Haidena Backe'a.

Mniej znających świat, bardziej ignoranckich i upartych ludzi brat Świeca nie potrafił sobie wyobrazić. Zdumiewało go, że w ciągu jednego pokolenia herezja maysalska zdołała się tu zakorzenić.

Ścieżka przynosiła wizję świata pozostającą w jaskrawej sprzeczności z rutynową rozpaczą codziennego życia.

Raultowie zaczęli przygotowania. Lud, choć z wahaniem, poszedł ich śladem. Zagrożenie wydawało się przesadzone. Ale co szkodzi na wszelki wypadek coś zrobić?

– Twoje leniuchy już sarkają – powiedział żartobliwie pewnego ranka brat Świeca, stojąc na blankach. – Gdyby nie wymagało to tyle wysiłku, chłopi by się zbuntowali.

Ale była to właściwie prawda. Connec szczerze darzyło swe dzieci, nawet tutaj. Ludzie nie musieli mozolić się od rana do zmierzchu tylko po to, żeby przetrwać. Ponieważ jednak ludzka natura jest jaka jest, głęboko wierzyli, że wszelkie dodatkowe wymogi nakładane na nich są całkowicie nie w porządku.

– Oto Socia, pędzi, jakby ją ściagały wszystkie Delegatury Nocy.

Mogło zresztą być i tak. Przynajmniej w odniesieniu do delikatniejszych stworów. Chłopi wciąż donosili o dziwnych światłach i zapachach.

Socia zawsze lubiła jazdę co koń wyskoczy. Niemniej brat Świeca uznał, że tym razem przesadziła. I poczuł współczucie dla wierzchowca.

Dziewczyna osadziła konia przed nimi. Jednym tchem wyrzuciła z siebie:

– Zaczęło się, Brock. Urządziliśmy zasadzkę na kilku Grolsacherów pod Małym Thysoup. To był oddział zwiadowczy.

– Małe Thysoup to strata czasu – zauważył Brock. – Co można stamtąd zabrać? Parę wychudzonych kur i trójnogiego psa?

– Było ich czterech – podjęła wątek Socia. – Rodzina, jak mniemam. Rozpętała się walka. Chcieli uciec. Nie pozwoliliśmy im.

Brock już chciał zapytać o jeńców, ale brat Świeca go uprzedził:

– Jest jeden. Dziecko.

Grupa chłopek ciągnęła właśnie jeńca ku bramie warowni. Na szyję zarzuciły mu arkan. I nie były szczególnie delikatne. Chłopi rzadko miewali okazję do uzewnętrznienia gniewu, który zazwyczaj musieli dusić w sobie.

Jeniec faktycznie był dzieckiem. Chłopcem. Najwyżej jedenaście lat. Był poraniony, przerażony, blady i roztrzęsiony. Brudną twarz znaczyły ślady łez. Właśnie był świadkiem brutalnego zamordowania swego ojca, dziadka i wuja.

– Okażcie mu trochę delikatności – zaproponował brat Świeca, ale jego głos pobrzmiwał żelazem.

Socia pokiwała głową, pogalopowała z powrotem na dół. Brock i Doskonały ruszyli za nią w tempie odpowiednim do możliwości starego człowieka.

Socia bynajmniej nie była strasznie krwiożercza i bezpardonowo wojownicza. Kiedy brat Świeca dotarł do dziedzińca za bramą, zobaczył, że już odseparowała jeńca od jego dręczycielek. Teraz oglądała jego rany. Chłopak trzął się tak bardzo, że ledwo mógł ustać na nogach.

Brat Świeca poradził:

– Daj mu trochę zupy. Na początek tylko bulionu. – Po chłopcu widać było oznaki wygłodzenia. – Znajdź mu jakieś ciepłe miejsce. Daj trochę wina i zawiń w koce.

– Posmaruj maścią te obtarcia od liny – dorzucił Brock. – Poza tym mocno poraniony?

– Jedno płytkie cięcie, choć nie trzeba szyć. Mnóstwo siniaków i obtarć. Zbili go.

Brock zwrócił się do przestraszonej gromadki chłopek.

– Dobra robota, drogie panie. Ale to dopiero początek. Czekają was jeszcze dwie rzeczy do zrobienia. Po pierwsze, usunąć ciała. Poza tym, ostrzec wszystkie farmy, żeby ludzie wykopali sobie jakieś schrony. A kiedy coś się zdarzy, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Brock nie miał wątpliwości, że poradzi sobie z napastnikami, pod warunkiem że będzie wiedział, gdzie ich szukać. Jego ludzie są w stanie stawić czoło dziesięciokrotnej liczbie wygłodzonych i zdrożonych Grolsacherów.

– Jak myślisz, jak się tu dostali? – zastanawiał się brat Świeca.

– Pieszo. Gdyby mieli konie, zjedliby je.

– Myślałem raczej, jaką trasą, *seuir*. Bezpośrednia droga wiodłaby przez *Impa* lub *Manu*. A wtedy ktoś podniósłby alarm.

– Więc zapewne obrali dłuższą drogę, wokół zachodniego krańca *Ormienden*. Przez *Arnhand*, za zgodą *arnhandzkiej* szlachty.

– To mógł być plan przygotowany na wypadek śmierci Imperatora.

– Mógł być. Zapytamy. *Socia*. Kiedy nasz gość będzie mógł mówić?

– Zależy, jak bardzo ci zależy na jego zdrowiu.

– Niech sam się zatroszczy o swoje zdrowie. Jeżeli nie będzie chciał ze mną rozmawiać, może o nim zapomnieć.

Brat Świeca mruknął:

– Nie przestraszysz go, Brock. Już jest zbyt wystraszony, żeby myśleć. I wydaje mu się, że nie ma nic do stracenia.

– Czy ciebie to nie męczy, że zawsze masz rację?

– Rzadko. Chociaż takie pytania zadaje mi hrabia *Raymone*.

– *Socia*. Pomatkuj chłopcu. Poszepcz mu słodkich słów do uszka. A potem przyprowadź, żebyśmy mogli go odetkać.

Do następnej potyczki doszło cztery mile na zachód od *Małego Thysoup*, wieczorem. Brała w niej udział nieokreślona liczba *Grolsacherów*, którzy ponieśli porażkę, ale tylko dlatego że wici z *Caron ande Lette* dotarły na miejsce krótko przed nimi. Chłopi, zasadniczo uzbrojeni tak samo kiepsko jak najemnicy, dali odpór. Zginęło czterech *Connekian*. Najeźdźcy też czterech zostawili w polu. Ci, co przeżyli, byli mocno pokiereszowani.

Brat Świeca i *Socia Rault* na zmianę siedzieli przy chłopcu. Nazywał się *Gres Refello*. Jego strach nie rozwiązał się do końca, ale uwierzył *Doskonałemu Mistrzowi*, gdy brat Świeca obiecał, że nie spotkają go już żadne krzywdy. Sam miał w rodzinie *Poszukiwaczy Światła*. Nie miał zaś

na tyle przebiegłości, by kłamstwem chronić rodaków, których nawet nie znał.

Zapytany odpowiadał, mamrocząc po cichu.

– Wychodzi na to, że walą na nas całą zgrają – oznajmił Brock Rault przy kolacji. Po pierwszych dwóch przyszły kolejne incydenty.

W wielkiej komnacie Caron ande Lette zgromadzili się najważniejsi ludzie okolicy: Raultowie, brat Świeca, kurier z Antieux oraz seur Lanne Tuldse, który usłyszawszy o obecności Grolsacherów na północy, przyprowadził ze sobą garstkę wiarusów. Grolsacherzy jedli, co im wpadło w ręce. Taka obfitość żywności musiała wydawać im się czymś niezwykłym.

Wielka komnata nie była wcale taka wielka. Samo Caron ande Lette nie było duże. Największą budowlą w mieście był mur obronny.

– Proszę o chwilę ciszy – zadudnił Brock. – Doskonały Mistrz spędził cały ranek z chłopcem, którego złapaliśmy wczoraj. Powinniście wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Zmęczony życiem, kuszony rozpaczą brat Świeca oderwał się od swego rozrzebanego talerza i wstał. Nie miał nastroju na pieczeń z zająca.

– Seur ma rację. Nadciąga ich cała zgraja. Ale nie są w ogóle zorganizowani. Większość wlecze ze sobą rodziny. – To oznaczało, że kobiety i dzieci będą się plątać pod nogami, gdy zacznie się rzeź. – Anne z Menandu obiecała im ziemię i łupy. Ogólnie rzecz biorąc, Arnhandowie zdecydowali, że odsuwając kwestie religijne na bok, Connec stanowi prawowitą część Arnhandu. Wzniosły wspiera te zapatrywania. Arnhand umożliwia Grolsacherom przemarsz przez swe terytoria. Zaopatruje każdego Grolsachera, który przysięgnie wierność Anne i Kościołowi brothenskiemu. Chłopak nie jest na tyle rozgarnięty, żeby cokolwiek z tego rozumieć, wszystko bierze do siebie. Ale sprawa będzie mieć doniosłe konsekwencje dla całego zachodu. – Brat Świeca nie poinformował ich, że jego zdaniem celem Anne z Menandu jest zostanie królową matką za tronem tego, który wedle jej nadziei stanie się najpotężniejszym monarchą episkopalnego świata. – Najeźdźcy nadciągną doliną Sadew. Tam jest zwierzyna i woda. Poza tym myślą, że nie będziemy oczekiwać ich od tej strony.

Haiden Backe i biskup Farfog skorzystali z łatwiejszej drogi, bardziej na wschód.



Brock Rault powiedział:

– Podejrzewam, że w efekcie ostatnich potyczek zatrzymają się gdzieś, póki rosnące szeregi nie zmuszą ich do wyruszenia dalej. Damy sobie z tym radę. Prawdziwym problemem jest to, co wlecze się za nimi. Bracie?

– O ich planach chłopak tak naprawdę nie wiedział więcej, niż wasze dzieci wiedzą o waszych. Ale najwyraźniej wyobraża sobie, że arnhandzka armia będzie szła za nimi, dając osłonę. I po to, by później przywrócić porządek. – Do tej wymówki Arnhand uciekał się dość powszechnie podczas poprzednich najazdów.

Brock rozkazał:

– Ralf, zabierz ze sobą chłopaka do Antieux. Zawieziesz list do hrabiego. Reszta niech przyprowdzi swoich ludzi do Catna Calci przed jutrzejszym wschodem słońca.

Brat Świeca nie był zachwycony tą decyzją. Obawiał się, że Brock ma ochotę na powtórkę Masakry pod Czarną Górą.

Protestowałyby, ale wiedział, że to tylko strata czasu. Grolsacherzy, którzy wtargnęli w dobra Raulta, wiedzieli, że czynią to pod groźbą katowskiego topora.

Socia Rault w niedopasowanej zbroi z wyprawianej skóry pokazała się, gdy było już zbyt późno, żeby zrobić jej scenę z powodu zachowania niegodnego kobiecego stanu. Brat Świeca z trudem skrywał rozbawienie. Brock Rault był zbyt młody, żeby żyły tak mu pęczniały na czole.

Czy naprawdę wierzył, że powstrzyma ją skonfiskowanie kolczugi, którą przywdziała wcześniej?

Jak na tę porę roku panował ziąb. Zęby szczękały. Mgła zalegała grubymi pasmami w zagłębieniach terenu wzdłuż strumienia spływającego z doliny Sadew. Jak każdego z trzech poprzednich poranków, wąły szereg najeźdźców przedostał się bez przeszkód. Czekano na nich dopiero parę mil dalej. Niektórym pozwoli się wrócić, aby donieśli, że lud Connec podjął zorganizowane wysiłki obrony własnego terytorium.

Pod trzech dniach oczekiwania ludzie Brocka zaczęli się niecierpliwić.

Wszyscy jednak zachowali całkowite milczenie, podczas gdy obok przechodzili trzej mężczyźni, zażarcie się kłócąc. Kiedy oddalili się poza zasięg głosu, Brock zapytał:

– Co to był za język, bracie?

– Nie mam pojęcia – musiał przyznać brat Świeca. – To już druga grupa, która posługuje się tym narzeczem. – Ale przez to najazd zaczynał się prezentować w jeszcze bardziej niepokojących barwach. Uciekinierzy przed nadciągającym lodem mogą wzmocnić wrogów Connec dodatkową siłą destrukcji.

Oszczędziwszy wszystkim zwyczajowego komentarza na temat zachowania Socii, seuir Brock zwrócił się do rodziny:

– Dłużej już nie dam rady powstrzymywać moich ludzi.

Ich siły zbrojne składały się z trzydziestu pięciu osób. Trzydziestu trzech zbrojnych, jedna kobieta i Doskonały Mistrz. Niektórzy pochodzili z sąsiednich dóbr i nie bardzo mieli ochotę podporządkować się dowództwu seuire Brocka.

W górnej części doliny najeźdźcy rozbili obóz na podmokłej łączce. Najwyraźniej mieli dowódcę, który wystawił pikiety. Nie były zbyt sensownie rozmieszczone ani nadto czujne, ale były. Zwiadowcy mieli problemy z podkradnięciem się do obozu. Wśród zgromadzonych w nim kilkuset ludzi znajdowały się dziesiątki kobiet i dzieci.

Z całkowicie odmiennych powodów zarówno seuir Brock, jak brat Świeca chcieli się przyjrzeć obozowi.

Thurm zauważył:

– Grunt jest tu zbyt podmokły na porządny obóz. Wszędzie są oczka wodne. W niektórych miejscach można się zapaść po pas. Miliony komarów. Jeżeli zostaną tu przez dłuższy czas, wszyscy nabawią się dyzenterii, malarii czy czego tam.

Brock odrzekł:

– Pozostaje się modlić, aby byli tak głupi.

– Więc się módlmy – mruknął brat Świeca.

– Żeby Bóg oczyścił nasze dusze, zanim znowu skazimy się grzechem? – zachichotał Brock. – Tak. Zaczynam już rozumieć sposób, w jaki myślisz.

W tym miejscu nie było możliwości, by przedyskutować dobro, zło oraz koszty obrony współczesnego Connec. Ile razy będzie musiało się obrócić Koło Życia, zanim odpokutowane zostanie zło dzisiaj wyrządzone?

Pojawił się jeden ze zwiadowców, zbiegał ze wzgórza. Zasłane igłami sosen zbocze było strome i zdradzieckie.

– Seuir, do obozu Grolsacherów przybyli jacyś ludzie. Lepsze rzeczy, konie, jakichś dwudziestu, dwudziestu pięciu. Przynajmniej ośmiu to

rycerze. Ale nie potrafiliśmy rozpoznać proporców.

– Arnhandowie – skwitował Thurm.

Socia splunęła przez lewe ramię, jakby chciała odpędzić klątwę.

– Nie spodziewałem się ich tak szybko – westchnął Brock. – Co to było?

Od wejścia do doliny dobiegł ich głośny ryk.

– Mogę tylko zgadywać... – zaczął brat Świeca. – Ktoś chyba dał właśnie najeźdźcom wolną rękę.

– Myślicie, że cały ten motłoch tu pędzi?

– Najszybciej dotrą tu najzdrowsi. I najbardziej niebezpieczni – odpowiedziała Socia.

Brock nie był uszczęśliwiony tą perspektywą.

– Arnhandowie z pewnością nie wezmą udziału w pierwszej fali ataku. – To oznaczało, że przygotowana zasadzka może nie zadziałać zgodnie z jego przewidywaniami. Ale od razu podjął decyzję. – Postawić barykady. – Cały czas kazał swym ludziom zbierać gałęzie i chrust, żeby stworzyć barierę w poprzek doliny. Z pewnością nie zatrzyma najeźdźców, ale stworzy wąski przesmyk, dzięki któremu łucznicy będą skuteczniej razić wroga.

Grolsacherzy nadbiegli jak fala powodzi. Wśród nich byli kolejni obcy. Od pierwszego rzutu oka widać było, że wspólnym mianownikiem łączącym członków hordy była skrajna nędza.

Tuzin łuczników wziął się do pracy. Ochroniali ich zbrojni z tarczami i włóczniami. Łucznicy rzadko chybiali.

Najeźdźcy, którzy uniknęli strzał, wspięli się po stromym stoku, a potem uciekli w dół strumienia. Nielicznym tylko udało się pokonać barykadę.

W górnej części doliny drugi oddział Connekian przeprowadził uderzenie na maruderów tłuszczy. Ci również uciekali w dół strumienia. Brat Świeca i Socia Rault otrzymali zadanie ubezpieczania ich tyłów.

Zdarzył się tylko jeden incydent z udziałem tej dwójki. Brat Świeca uniknął na szczęście krwi na swych rękach i sumieniu.

– Boogie-woogie? – zapytała Socia szyderycznym tonem. – Co to, u diabła, było?

– Uciekł przecież?

– Z powrotem na łączkę. Gdzie poskarży się, jak to wpadł na straszego czarownika.

– Fuj.

– Myślisz, że się przyzna, że uciekł przed Doskonałym maysalczyków?

– Stało się. Nie!

Za późno. Socia przebiła jęczącą i poranioną starą kobietę. Życie tych zrozpaczonych najeźdźców nie znaczyło dla niej więcej niż karaluchy czy szczury.

– Co?

– Nieważne.

– Musimy wracać do Caron ande Lette. Szybko. – Obrona fortecy składała się z kobiet, dzieci i paru staruszków.

Brock Rault miał jednak inny pomysł.

Było już po rzezi. Dolina Sadew zmieniała się obecnie w dolinę śmierci. Brat Świeca wiedział, że umysł lubi przesadzać w obliczu bezpośredniej grozy, niemniej sądził, że poległych jest co najmniej setka. Z kryjówek w krzakach dobiegały jęki i zawodzenia. Brock nie zwracał na nie uwagi. Po odprawieniu do domu sześciu rannych mruknął:

– Teraz zabiorę się do tych, którzy to zaczęli.

– Och, nie – szepnął brat Świeca. – To tylko pogorszy sytuację.

– Bracie, tej sytuacji nic już nie pogorszy. Chcą nas pozabijać, zabrać wszystko, co mamy, i wcielić Connec do Amhandu. Ale bez jego heretyków. Samoobrona to nie grzech. Tak postanowił twój synod w Świętym Jeules’u.

Doskonały skłonił głowę. Taka była prawda. Poza tym we własnej opinii nie zasługiwał już na tytuł Doskonałego. Jego myśli znalazły się pod całkowitym panowaniem emocji.

– Nie prosimy cię, byś podrzynał gardła – ciągnął Rault. – Po prostu nie stawaj nam na drodze. – Głosem wyraźnie już rozdrażnionym.

– To mogę dla was zrobić. – Ale nie został na miejscu, gdy zdrowi i chętni ruszyli przeciwko obozowi na łączce.

Obóz stanowiła gmatwanina żalosznych schronów zbudowanych z chrustu, gałęzi krzewów, trzciny i obszarpanych kocy. Siedlisko zupełnie niewyobrażalnej nędzy.

Po przybyciu przekonali się, że obóz bynajmniej nie jest pusty. Dziesiątki chorych, starych, kobiet, dzieci, a nawet zdrowych mężczyzn, którzy nie przyłączyli się do ataku doliną Sadew. W obozie wrzało.

Socia zerknęła na brata Świecę.

– Boogie-woogie.

– Co? – zapytał Brock.

– Prywatny żart.

Brock spojrział na nią z ukosa, a potem zwrócił się do Thurma:

– Znasz teren. Czy konni w zbrojach mogą na nim swobodnie walczyć?

– Nie wszędzie. I niezbyt sprawnie.

Po krótkiej naradzie Brock wybrał kierunek, z którego pójdzie atak na obóz. Potem ruszył śmiało. Łucznicy strzelali zapalonymi strzałami, wywołując parę pożarów. Kilku Grolsacherów w złości ruszyło na nich. Nic nie działali. Tylko zostawili w polu poległych.

Brock kazał wypuścić jeszcze kilka zapalonych strzał, potem zarządził swobodny odwrót.

– Aha. Oto są.

Kolumna jeźdźców opuściła obóz, natychmiast rozsypując się w tyralierę. Rycerze, giermkowie i konni sierżanci, wszystkiego razem osiemnastu.

– Nie wyglądają lepiej od Grolsacherów – ocenił Thurm.

– Najemnicy – podsumował Brock.

– Zapewne. – Co oznaczało, że będą chytry i okrutni.

Ostatnio Arnhand i Imperium weszły w okres niejakich przemian. Tradycyjnie młodszy bracia, którzy nie mieli perspektyw na żadne dziedzictwo, udawali się do Ziemi Świętej lub wstępowali w szeregi Rycerzy Graala, by wziąć udział w wojnach o nawrócenie pogan ze wschodu. Ale te wyprawy na krótkie, brutalne, czasami śmiertelne wygnanie straciły emocjonalny powab. Mimo to jakoś przecież trzeba żyć. A wychowano ich w sposób pozwalający na wybór jednej tylko profesji.

– Umyślili sobie wyciąć dla siebie fragment Connec – powiedział Thurm.

– Zobaczmy, może się uda ich rozczarować.

Connecianie wciąż się cofali. Dzień miał się ku końcowi. Dolna część tarczy słońca usadowiła się na szczytach sosen za ich plecami.

Brock rozkazał łucznikom, by ostrzelali salwą Arnhandczyków. Większość drzewcy nie doleciała. Kilka trafiło w cel, a w jednym wypadku w tarczę, uniesioną dla ochrony przed pociskiem.

– Te cholerne komary doprowadzają mnie do szaleństwa! – poskarżyła się Socia.

Ponad głowami w powietrzu śmigały jaskółki. Wkrótce na ucztę przybędą nietoperze. Brat Świeca miał tylko nadzieję, że nie pojawią się kruki. Ptaszyska żyły po obu stronach granicy z Nocą. Wiara ludzka uposażyła je w wielkie moce symboliczne i wieszczce.

Jeźdźcy ruszyli naprzód. Nie spiesząc się. Miarowym krokiem. Zrobili właśnie to, czego Brock nie chciał.

– Jeszcze jedna salwa, potem zmykać na drzewa. Ale patrzcie pod nogi.

Jeźdźcy byli już bliżej. Większość strzał dotarła do celu. Jednak tylko jedna trafiła w żywe ciało i to na dodatek w konia, gdy grot odbił się od tarczy.

Kilku Arnhandów wbiło ostrogi w końskie boki, wiedząc, że las jest zbyt gęsty na skuteczny pościg. Pozostali poszli ich śladem. Po chwili dwie trzecie rumaków ugrzęzło w wąskim, leniwym strumieniu, który wił się pod roślinnością maskującą jego powierzchnię.

– Łucznicy, strzelać na zmianę – zarządził Brock. – Celować w konie.

Rozległy się narzekania. Zwierzęta były więcej warte niż dosiadający ich jeźdźcy. Ale to nie była walka o łupy.

Rozkaz Raulta był sensowny taktycznie, ale trudny do wykonania. Łucznikom zostało ogółem nie więcej niż kilkanaście strzał.

– Cholera! Miałem nadzieję, że więcej ich ugrzęźnie – zdenerwował się Brock. – I że niektórzy się potopią. Wtedy moglibyśmy z nimi skończyć, nim wyplątaliby się z uprzęży, zielska i błota.

Arnhandowie nie dopuścili, by się tak stało.

Stracili tylko jednego człowieka i cztery konie. Ci, którzy mieli na czym, kontynuowali konny pościg.

– Przynajmniej spłonie ten ich cholerny obóz – sarknęła Socia.

Brock Rault upierał się, by podróżować nocą. Postępy były powolne i okupowane wyczerpaniem. A często bólem. Przed świtem brat Świeca poprosił seaira Brocka:

– Zostawcie mnie. Nie mogę nadążyć. Wszystko będzie dobrze. Nie skrzywdzą przecież świętego człowieka.

– Kuszysz los, starcze. Ścigają właśnie takich jak ty. Przeżyjesz tylko wówczas, jeśli zdecydują wysłać cię do Salpeno na proces pokazowy.

Rault zarządził godzinny postój. Sam z Thurmem pojechał na zwiady.

W trakcie odpoczynku brat Świeca zeszywniał do tego stopnia, że ledwo się mógł ruszyć. Nie miał nawet siły opędzać się od komarów.

– Wyssają mnie do cna – mrucał, nie kierując swych skarg do nikogo w szczególności.

Powoli opadała go rozpacz. Myślał o Margete, w całkowicie ziemski sposób żałował wyborów, jakich oboje dokonali. Margete była obecnie

siostrą Prawością w maysalskim klasztorze we Fleaumont. Nie widział jej od lat. Czy ona widywała się z dziećmi? O nim tego powiedzieć nie było można. Jeden z jego synów, materialistycznie nastawiony Aimechiel, wyparł się go, ponieważ przekazał cały majątek na rzecz Poszukiwaczy.

Było mu wstyd. Nie wiedział nawet, gdzie przebywa którekolwiek z jego dzieci.

Doskonały otrząsnął się z zamyślenia, zdjęty nagłym strachem.

Noc nagle wydała się strasznie pusta.

Komary zniknęły.

Nad doliną Sadow zrobiło się cicho jak w grobie. A ciemność z każdą chwilą gęstniała.

Nawet jeden owad w niej nie bżyknał. Sowy przestały plotkować o tym, gdzie znaleźć najtłustszą mysz. Wśród zeschniętych liści i igieł poszycia nie przemykało żadne ze stworzeń, próbując znaleźć sobie jakiś posiłek i równocześnie nie stać się posiłkiem.

Mrok gęstniał z każdą chwilą coraz bardziej.

Wtedy zaszeleściły liście – to wrócili Brock i Thurm.

– Znajdujemy się dwieście jardów od skraju lasu – szepnął Brock. – Bez trudu możemy dotrzeć przed świtem do domu. Nawet gdybyśmy musieli nieść naszego kapelana. Co?

Brock zamarł, wyczuwając w końcu grozę. Bezdenną grozę. Nadeszła bez ostrzeżenia.

Nie przeszła obok nich dostatecznie blisko, by ją dostrzegli. Ciemność spowijała ją niczym płaszcz, ale nie potrafiła zamaskować smrodu ani też cichych odgłosów towarzyszących z bliska jej pochodowi. Smród był wonią tygodniowej padliny w środku lata. Na odgłosy składało się brzęczenie tysięcy much.

Brat Świeca gwałtownie potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z nozdrzy smród, a równocześnie wyprzeć się mocy starożytnej Nocy. Przecież ci Dawni Bogowie odeszli! Rook został rozbrojony, rozczłonkowany, powstrzymany w najwcześniejszych dniach Starego Imperium. Nawet inny bóg nie byłby w stanie strzaskać mistycznych okowów krępujących pokonane Delegatury.

Ci srodzy starzy bogowie zostali pokonani przez ludzi. I tylko ludzkie instrumenty mogły uwolnić ich znowu.

Smród podryfował dalej, zmierzając śladem trupów w głąb Contiec. Ciemność nabrała normalnego charakteru. Wróciły odgłosy lasu.

Connekianie podjęli podróż. Nie mogli uwierzyć, że spotkali się z prawdziwym Rookiem, roniącym robaki na poszycie lasu. Woleli raczej wierzyć swoim kapłanom niż zmysłom. Ta Delegatura wydawała im się zbyt straszna, by w ogóle myśleć o niej. Któregoś dnia ściągną na siebie uwagę Władcy Much. Chyba że nadzwyczaj usilnie będą się modlić do własnego większego boga.

Arnhandowie najwyraźniej również nie uwierzyli, choć coś do tego stopnia przeraziło ich konie, że większość uciekła mimo mroku. Ocalała ludność obozu, pozbawiona już dachów nad głową, uwierzyła łatwiej. Skrycie, w milczeniu, pod cienkim chaldarańskim pancerzykiem w Grolsacherach żyły wspomnienia o Dawnych Bogach. W warunkach równie nędznych jak te, w których przyszło żyć samym Grolsacherom.

Powróciły komary. Kiedy to nastąpiło, Brock Rault zaczął nalegać:

– Wstawaj, Mistrzu. Już niedaleko. I najgorsze za nami. Zanim słońce wszędzie, będziesz spał w puchowych piernatach.

Brat Świeca wspiął się na parapet ponad bramą do Caron ande Lette. Słońce zachodziło. Przespał jedenaście godzin. Bolały go wszystkie stawy. I każdy mięsień. Był zbyt stary na poszukiwanie przygód.

Zanim wspiął się na górę, najadł się do przesyty. Teraz zadowolony, choć dokuczał mu ból, stał w promieniach zachodzącego słońca i oglądał żalostną, mimo liczebności, armię oblegającą miasto.

W dole mrowiły się setki Grolsacherów. Powinno być ich znacznie więcej, ale dalsze rzesze udały się w poszukiwaniu aprowizacji; nie znalazły zresztą ani żywności, ani łupów. Ci, co zostali, nie byli w szczególnie bojowych nastrojach. W końcu byli to dekwownicy. Ocaleni z wczorajszej katastrofy. Poza tym trudno było wśród nich znaleźć wielu zdrowych mężczyzn.

Za każdym razem, gdy tamci znajdowali znajome ciało, podnosił się lament. Choć brat Świeca nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jakim sposobem mogli identyfikować ciała po przejściu Rooka.

On sam na własne oczy nie widział jeszcze ofiary Delegatury. Ale opisywano mu. Podczas jedzenia. Wielki Demon zostawiał po sobie suche truchła tak lekkie, że można było je podnieść jedną ręką.

Brock Rault trwał na posterunku. Jak zawsze. Doskonały zapytał:



- Postanowiłeś tu zamieszkać?
- Stąd widzę wszystko, Mistrzu. Nie jest może tego dużo, ale wystarczy, żeby wiedzieć, co się dzieje.
- A wychodzi na to, że wiele się nie dzieje.
- Właśnie. Dużo udawania, ale nic naprawdę poważnego. Złamaliśmy ich ducha.

Pojawili się Thurm i Socia. Rault wygrzebywał okruchy jedzenia z rudych wąsów w kącikach ust.

- A Arnhandowie? – Brat Świeca skinieniem głowy powitał Sodę.
- Próbują uzupełniać zapasy. Bez powodzenia. Gdyby zdecydowali się wysłać liczniejsze siły, musieliby się podzielić, a wtedy nie uniknęliby ataku. Kiedy natomiast ruszają dużymi oddziałami, trafiają tylko na ludzi zbyt głupich albo upartych, żeby skryć się w lesie.
- Więc ktoś oszukał Grolsacherów, wmawiając im, że zastaną tu krainę mlekiem i miodem płynącą. I Arnhandów, że nie napotkają żadnego oporu.
- To nieźle. Ale i tak nic nie zdziałamy i możemy tylko siedzieć beczynnie na miejscu.

Brat Świeca nie uwierzył mu. Siedzenie beczynnie na miejscu nie pasowało do charakteru Raulta.

- Zostało ci sporo możliwości przejęcia inicjatywy, starszy bracie. – Socia gestem dłoni wskazała przedpole.

W gasnącym świetle ledwie było widać szanice, do których kopania najeźdźcy zabrali się za dnia, zresztą bez entuzjazmu i pośpiechu. W sumie tylko część obcych przystąpiła do oblężenia. Większość zdatnych do walki poszła szukać żywności i łupów. Wielu z nich nigdy już nie wróciło do swych bliskich.

- Tak? – zaciekał się Brock.
- Kiedy Arnhandowie wyślą swoich furazerów, urządz wycieczkę. Zniszcz ich obóz. Ukradnij lub zarznij zapasowe konie. A także koniuszych i służbę.
- Tylko po co ryzykować? – mruknął Thurm. – Moglibyśmy po prostu zaczekać... Ile czasu potrwa, nim hrabia Raymone uratuje swą ukochaną Socie?

Siostra poczęstowała go kuksańcem. Wywiązała się kłótnia. Socia okazała się gotowa właściwie do natychmiastowej jednoosobowej wycieczki przeciwko Grolsacherom.

– Trzeba wyrywać chwasty. Żeby nie rozplenily się do stanu, w którym sobie z nimi nie poradzimy.

Brat Świeca obawiał się, że nerw jej argumentu jest niestety prawdziwy. To, czego byli świadkami, mogło stanowić tylko pierwszą, nieśmiałą falę powodzi. A wkrótce doliną Sadew popłynie rzeka zdesperowanych ludzi i płynąć będzie, póki nie zaleje Connec.

Opatrzność jedna wiedziała, że prowincja nie jest gotowa na zorganizowany wysiłek samoobrony. Władze centralne pozostawały w stanie pomieszania i niezdecydowania, jeśli nie w stanie terminalnym. Zapobieżenie spiskowi trucicieli nie doprowadziło do normalnego funkcjonowania księstwa. Pomniejsza szlachta wciąż zainteresowana była głównie naprzykrzaniem się sąsiadom. Ci, którzy zachowali resztki poczucia odpowiedzialności, czekali, aż kłopoty same do nich przyjdą. Tylko hrabia Raymone Garete – przez wzgląd na swe dawne sukcesy – mógł marzyć o zgromadzeniu znaczniejszej liczby zwolenników. Ale nie miał żadnej prawnej władzy ogłoszenia zaciągu ani wydawania rozkazów poza granicami swego hrabstwa.

Z punktu widzenia Kościoła brotheńskiego hrabia Raymone był najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Connec. To tłumaczyło, dlaczego Antieux cieszyło się tak wielkim zainteresowaniem Towarzystwa.

W miarę jak zapadała noc, wszędzie wokół Caron ande Lette rozbłyskiwały kolejne ogniska. Było ich zbyt mało, żeby można mówić o blokadzie miasta. Ale to się mogło zmienić.

Brock nie miał zamiaru dopuścić do rozwoju tej inwestytury. Zebrał oddział ochotników, w liczbie pięciu. Spuścili się po linach z południowych murów obronnych, gdzie do ziemi było najbliżej.

– Będą się spodziewać wycieczki główną bramą – wyjaśnił Rault.

Później brat Świeca spędził godziny na oczekiwaniu, wypatrywaniu, nasłuchiwaniu. Nie było czego nasłuchiwać. A widać było tylko świetliki. Brock działał z podziwu godną zręcznością.

Przed północą siły opuściły starego. Jego zużyte ciało musiało przecież wciąż reperować tysiące defektów.

Doskonały obudził się raz, mniej więcej w okolicach tego, co nazywano godziną duchów. Noc wydała mu się pełna czegoś strasznego. Ale przecucie rozwiało się, zanim się jeszcze na dobre wybudził. Poszedł

opróżnić pęcherz, wrócił do łóżka. Zanim z powrotem nadszedł sen, drżał, jakby był sam środek chłodnej, wilgotnej zimy.

Brat Świeca wstał z pierwszym brzaskiem. Choć spał długo, czuł się słaby i otepiały, miał ochotę tylko leżeć.

Thurm i Socia przyłączyli się do niego podczas śniadania. Składało się ono ze świeżo upieczonego chleba, marynat i bekonu do woli. Brat Świeca poczuł ukłucie współczucia na myśl o rodzinach obozujących pod miastem Grolsacherów.

– Ta istota nocy znowu przeszła pod miastem – zagał Thurm.

– Istota?

– Ta sama co przedtem. W dolinie. Władca Robaków.

– Och, przestań ściemniać i powiedz to – zaprotestowała Socia. – Rook! Rook! Rook tam był i szedł w ślad za Brockiem, kiedy ten eksterminował robactwo.

Brat Świeca już otwierał usta, ale Socia tylko warknęła:

– Nie warto strzępić języka. Może i jesteś mądrzejszy niż przeciętny episkopalny ksiądz, ale nawet ty nie potrafisz tak wykręcić kota ogonem, żeby mi wmówić, że to nie był Rook.

Brat Świeca odparł:

– Delegatura zwana Rookiem nie może żyć w dzisiejszym świecie.

– Idź jej to powiedz, matole. Pewna jestem, że się zawstydzi i znowu gdzieś schowa.

Thurm dał swej siostrze po łapach.

– Okaż odrobinę szacunku, dziewczynko.

– Nie twierdzą, że nic wielkiego i strasznego nie przechadza się po nocy – bronił się brat Świeca. – I że nie jest w jakimś sensie podobne do dawnego pogańskiego boga rozkładu. Ale ten bóg już nie istnieje.

Socia uśmiechnęła się szyderczo.

– Jeśli to wygląda jak kupa, śmierdzi jak kupa i przyciąga muchy jak kupa, to jest to kupa.

Thurm powiedział:

– Może Rook nie do końca został spętany. A może jego część wydostała się na wolność. Na Białych Wzgórzach zdarzyło się coś dziwnego, kiedy Amhandowie szli na Antieux. To znaczy ci, którzy zostali później zabici podczas Masakry pod Czarną Górą. Powiadają że otworzyły się jakieś stare groby i wyszły z nich złe stwory.

Możliwe, pomyślał brat Świeca. Białe Wzgórza, położone na północno-wschodnim krańcu Altai, nazywano również Nawiedzonymi Wzgórzami. Mimo iż śmierząca i przerażająca, istota nie wydawała się szczególnie potężna. Więc może faktycznie była tylko drobnym fragmentem boga, gnany pierwotnym instynktem?

Czy spróbuje dorosnąć do swych pierwotnych rozmiarów? Czy to w ogóle możliwe? Czy będzie szukać rozproszonych części samej siebie? Czy uwolni inne grozy z epoki swej młodości?

– W tej kwestii chętnie zrezygnuję z myślenia życzeniowego i przyznam się do całkowitej ignorancji – oznajmił Doskonały. I choć obawiał się pozytywnej odpowiedzi, zapytał: – Czy Brock odniósł jakieś sukcesy zeszłej nocy?

Twarz Thurma na nowo rozbłysła podnieceniem.

– Nie inaczej. Udało mu się dostać do koralu Arnhandów i ukraść kilka koni. Następnie zabił je w takim miejscu, gdzie Grolsacherzy mogli je poćwiartować i zjeść.

To powinno zasiać podejrzenia w obozie przeciwnika.

Oblicze Thurma pociemniało. Doskonały wyczuwał, że jest coś jeszcze, czym tamten nie chce obarczać świętego męża.

– Rozumiem. Pewnie nie powinienem się dopytywać.

Brat Świeca poszedł na swoje miejsce na parapecie ponad bramą. Najeźdźcy robili okop wokół Caron ande Lette, wyrzucając ziemię na przeciwległą niż miasto stronę. Jeżeli oblężenie potrwa dostatecznie długo, w ziemię tę wbita zostanie palisada. Pozostali zajmowali się robotami ziemnymi przy czymś, co nawet z odległości łatwo było rozpoznać jako cmentarz. A kilku Arnhandów zajmowało się umocnieniami wokół swego obozu.

Na małym dziedzińcu za bramą fortecy gromadzili się jeźdźcy. Na wschodzie, niedaleko rzeki, oddział obszarpańców włókł się na wschód, omijając Caron ande Lette.

Brama otworzyła się i wypadła z niej Socia Rault na czele może jakichś dwunastu młodzieńców. Nie zwracali uwagi na oblegających. Przegalopowali obok nich i rozbili oddział nad rzeką. Zabili mężczyzn i uciekli, zanim Arnhandowie zdążyli się przygotować do walki. A ponieważ trwało to dość długo, Socia zdążyła jeszcze popełnić okropne rzeczy w szeregach kopiących okop. Skuleni, żeby ich nie widziano, łucznicy

odepchnęli na bok brata Świecę i zajęli pozycje. Inni przygotowywali do pracy balistę.

Socia próbowała zwabić Arnhandów w zasięg strzału. Nie dali się nabrać.

Pokazał się seuir Brock. Błady jak śmierć. Kiedy przybyła Socia z dzikim uśmiechem na twarzy, warknął:

– Jeszcze raz zrobisz coś takiego i pożałujesz. Rozumiemy się? Bracie Świeco, czy pogwałciłbyś instrukcje hrabiego Raymone’a, gdybyś miał odeskortować moją siostrę z miasta?

Socia przestała słuchać Brocka w momencie, gdy zaczął mówić, czego nie wolno jej robić.

– Nie wiem, czy to mądry pomysł. Mając na względzie tych wszystkich banitów, którzy grasują po okolicy.

– I tak ryzyko jest mniejsze – odrzekł cicho Brock.

– Seuir?

– Nie ocalejemy tutaj. Jeśli wszystko potrwa dostatecznie długo. Są zdeorganizowani i niekompetentni. Zabiję tysiące, ale w końcu stracę człowieka, potem drugiego. I nie będę miał ich kim uzupełnić. Wyniszczą mnie. Jak brzeg zakola, które pochłania nie kończący się strumień. Znajdą sobie kryjówki w lesie. Nie chcę, aby Socia była tu, kiedy to nastąpi.

– Jeżeli zabiorę ją do Antieux, a ty polegiesz, wiedz, że zostaniesz pomszczony – zauważył brat Świeca. Socia wydawała mu się osobą, która gotowa jest spalić i utopić we krwi cały Arnhand, jeśli Charlve Głupek czy Anne z Menandu ją rozdrażnią. – Ona znajdzie jakiś sposób.

– Może masz rację.

– O czym wy dwaj tam szepczecie? – zainteresowała się Socia. – Mówicie o mnie?

– W pewnym sensie. Próbuję przekonać Doskonałego, by stąd odszedł, póki jeszcze może.

– Bzdury. O czym naprawdę rozmawialiście?

– Zawsze tak jest. Ona musi mi się sprzeciwiać. W każdej chwili, każdego dnia.

Brat Świeca pokiwał głową. Może to sposób, by zmusić dziewczynę, żeby zrobiła to, co konieczne?

– Siostrzyczko, chodźmy się napić wina – zaproponował Brock. – Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Może będzie to najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobisz.

Wzgórza Artlan ande Brith zniknęły za ich plecami. Brat Świeca wciąż nie potrafił przestać podziwiać politycznych talentów Brocka Raulta. Seuir najpierw jemu sprzedał konieczność uratowania Socii. Potem sprzedał Socii pogląd, wedle którego brat Świeca był zbyt ważnym maysalskim filozofem, żeby go utracić. Moralnym gigantem, którego trzeba za wszelką cenę ochronić. Apotem przekonał ją że tylko ona cieszy się odpowiednimi względami hrabiego Raymone'a, aby zagwarantować mu tę ochronę.

Listy, które każde z nich miało dla seaira Lanne, przekonały szlachcica, aby zaopatrzył ich na dalszą drogę, w którą udali się w przebraniu i w towarzystwie pary kuzynek Tuldse oraz dwóch osłów. Konie zostawili w Artlan ande Brith. Oczywiście ekwipunek żołnierski Socii znalazł miejsce w jukach jednego z osłów.

Dziewczyna i kuzynki przebrane były za chłopskich synów. Brat Świeca miał na sobie to, co nosił już od lat. Wszyscy Doskonali przywdziewali te same szare szaty.

Nawet na południe od Artlan ande Brith należało uważać. Grolsacherzy dotarli już poza warownię Tuldse.

Seuir Lanne widział przyszłość w równie czarnych barwach jak seuir Brock Rault.

Hrabia Raymone ucieszył się na widok Socii, nie był zaś zadowolony z widoku Doskonałego Mistrza. Siostrzenice Tuldse w ogóle się nie liczyły. Znalazły schronienie w domu miejscowych krewnych.

Hrabia Raymone traktował Socie niemal unizenie i przeproszał, że nie wysłał wojska na północ.

Faktycznie zakochał się do szaleństwa.

Ale potem padły słowa:

– Zostaliśmy sami, Mistrzu. Powiedz prawdę. Co się stało? Co tak naprawdę dzieje się na północy?

Brat Świeca opowiedział wszystko ze szczegółami.

Hrabia Raymone wytrzeszczył oczy, słysząc o zachowaniu Socii, ale zapytał tylko:

– Rook? Naprawdę?

– Niewykluczone, że tylko jakiś jego fragment. Albo coś, co nie chce, by o nim zapomniano. Może coś, co ma szerzyć trwogę i chaos, budząc grozę przed zbudzeniem ze snu dawnego zła.

– Myślę, że to naprawdę on. Okruch prawdziwego Rooka.

– Ale...

– Otrzymuję wieści z setek źródeł, bracie. Twoja historia o zbudzonej Delegaturze nie jest jedyną. To dzieje się wszędzie tam, gdzie wciąż żyją stare opowieści o nawiedzeniach. W tych doniesieniach musi tkwić ziarno prawdy.

– Dlaczego nie posłałeś wojsk do Caron ande Lette? – zapytał brat Świeca.

– Ponieważ łotry Wzniosłego nie dają mi spokoju. Działają tu naprawdę paskudni duchowni. Z każdym dniem zmieniają taktykę działania tak, aby mi dokuczyć, a zarazem nie naruszyć prawa cywilnego w sposób, który pozwoliłby mi ich pozamykać. I przybywa ich z każdą chwilą coraz więcej. Nie mam pojęcia, skąd oni biorą tych wszystkich ludzi.

– Klasztory kierują tu swoich kandydatów. Głód nie grozi nikomu, kto należy do Kościoła. A niektórym skapnie jeszcze odrobina władzy nad resztą z nas.

– Nie to chciałem usłyszeć, Mistrzu. Ale ostatnio jakoś mało dociera do mnie dobrych wieści. Nie dalej jak wczoraj usłyszałem, że nowa Imperatorowa Katrin została osobiście koronowana przez Wzniosłego. W zamian ugięła kolano przed Patriarchatem Brotheńskim.

– To może oznaczać wojnę domową w Imperium.

– Może. Ale bez najmniejszych wątpliwości oznacza, że Imperium nie będzie już osłaniać Connec. To z kolei prowadzi nas do następnych kiepskich wieści. Wzniosły jest gotów proklamować krucjatę przeciwko herezji maysalskiej.

Brat Świeca zadrzał, potem westchnął ciężko. Poszukiwacze żyli wszędzie, ale w Connec wiedli życie najmniej skryte, byli najliczniejsi i cieszyli się najlepszą pozycją w społeczeństwie. To przez Connec popłynęła główna rzeka krwi.

– Tak czy inaczej fałszywy Patriarcha splądruje nasz kraj.

– Lepiej niech się pospieszy – odrzekł hrabia. – Zanim wszystko zniszczymy w naszych wewnętrznych waśniach.

Towarzystwo otrzymało instrukcje z Brothe. Ostatni brotheński episkopalny biskup wydał hrabiemu Raymone'owi rozkaz, żeby ten stawił się przed nim. Ale posłańcy biskupa nie mogli nigdzie znaleźć hrabiego. Poza tym kilku z nich nie powróciło z misji.

Hrabia Raymone rozwiązał dwa problemy za pomocą jednego szybkiego posunięcia: wezwał wszystkich ochotników, by przyłączyli się doń w ekspedycji na północ. Na miejscu został Bernardin Amberchelle i narzeczona hrabiego, oni mieli się zająć wszelkimi kłopotami oraz rosnącą arogancją agentów Brothe. Potem z kolei zniknął Amberchelle. Niemniej plotka głosiła, że to on stoi za zabójstwami i zniknięciami, które dalej nękały Antieux. Do miasta przybywało coraz mniej braci z Towarzystwa. Ci, którzy już się na miejscu znaleźli, coraz częściej chodzili przebrani i w dużych grupach.

A mimo to wciąż ponosili straty. Niektóre wypadki były naprawdę przerażające.

Zdumiewające, jak wiele można przelać krwi Kościoła, kiedy odpowiedzialni za to ludzie ani nie boją się ekskomuniki, ani nie krępują ich własne sumienia.

Po kilku tygodniach stanu, który sama określała mianem regencji, Socia wreszcie znalazła brata Świecę.

– To jest jeden wielki spisek, Mistrzu! Ci ludzie twierdzą, że jestem obecnie panią na mieście! Potem zachowują się, jakby to była prawda, i proszą mnie o rozkazy. A kiedy je już otrzymają, idą sobie i robią, co chcą!

– Raymone tak to wszystko urządził, kochana. Aby nie można było zwalić na niego winy za dziejące się niegodziwości. Nie ma go tutaj i nie może nic zrobić. A oczywiście ty również nic nie możesz poradzić, ponieważ jesteś tylko kobietą.

Po dłuższej chwili, która minęła jej na zmaganiach z własnym gniewem, Socia powiedziała:

– Szczerze przyznam, że to jestem w stanie zrozumieć. To dość chytra taktyka. Pojąć natomiast nie mogę, skąd się biorą ci wszyscy obcy, którzy zaangażowali się w walkę z Towarzystwem.

To nieco zbiło z tropu starego. Hrabia Raymone nie wynajął żadnych najemników.

– Obcy? Nie wiem, o czym mówisz, dziecko. Jacy obcy?

– Wszyscy pewnie myślą, że jako kobieta jestem za głupia, żeby się zorientować. Zanim zniknął, Bernardin prowadził się z jakimiś cudzoziemcami, którzy mówili dialektem jeszcze trudniejszym do zrozumienia niż firaldiański. Z ludźmi, którzy wyglądali, jakby rzezali i



piekli na rożnach własne matki, gdy tylko poczują się odrobinę głodni. Bernardin zniknął, ale ci ludzie wciąż tu są.

– Najwyraźniej ostatnio nie przykładałem do tego dostatecznej wagi. Nie zauważyłem ich.

Naturalnie, kiedy Socia próbowała mu kogoś takiego wskazać, nigdzie nikogo nie potrafiła znaleźć.

I tylko wojna z psami Wzniosłego nie osłabła nawet na moment.

## 11

# Powroty do domu w Brothe

– **J** co? – zapytała Anna Mozilla, kiedy Piper Hecht zwał się na sofę. – Jest aż tak źle?

– Jest strasznie. Gorzej niż strasznie. Wzniosły to opętany szaleniec. Jeśli sprawy potoczą się po jego myśli, cały zachód stanie w płomieniach. Zdecydował się dokonać inwazji na Connec. Anne z Menandu chyba już zdobyła całkowitą władzę w Salpeno. Do pomysłu krucjaty podchodzi bardzo poważnie. Ma swoich ludzi w Connec. Do tego stopnia skupiła uwagę na południu, że prawdopodobnie znalazła sobie gdzieś tam surogat Santerinu. Jeżeli Arnhandom w Connec się nie powiedzie, król Nagład może zaanektować samo Pail. Aby poprzeć swe roszczenia do tronu Arnhandu.

– Dość już tej polityki, Piper.

– Jak tam dzieciaki?

– Tyją. Poza tym już w łózkach. Bechter przysłał wiadomość, że będziesz dziś w domu.

– Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

– Jak wyglądała koronacja? – W pytaniu zabrzmiała ostra nuta. Kochanki Naczelnego Wodza nie zaproszono.

– To było całe tygodnie temu – odrzekł Hecht.

– I od tego czasu ani razu nie byłeś w domu.

– Hę? Nie zdawałem sobie sprawy... Naprawdę ciężko pracujemy.

– To ty jesteś dowódcą, Piper.

Westchnął. Wkrótce już trudno będzie cokolwiek przed Anną ukryć. Titus Consent musiał opuścić dzielnicę devediańską. Zamieszkał niedaleko. Noë i Anna zaprzyjaźniły się.

Żadna z nich nie miała dużej rodziny, od której mogłaby oczekiwać pomocy.

Anna stawała się domatorką w coraz bardziej dokuczliwy sposób. Była starsza od Hechta. Może wypaliła się w niej namiętność do przygód.

Zostało jej natomiast aż nadto przygód w gospodarstwie domowym.

Na poły śpiąc, Hecht leżał w poobiedniej ekstazie i próbował nie myśleć o koronacji. Ale tkwiła w nim jak uparta melodia, której nie sposób się pozbyć. Niczym ostatnia miłosna piosenka jakiegoś conneckiańskiego trubadura. Księżniczka Hespeth przez całą ceremonię nie odrywała od niego oczu. Rzecz była tak oczywista, że nawet kilka osób o nią zapytało. Wyjaśnił, że uratował jej życie pod al-Khazen.

Miał nadzieję, że on sam wykazał się większą subtelnością.

Dziewczyna fascynowała go.

Ale była to tylko próżna fantazja. Hespeth Ege była następczynią tronu Nowego Imperium Brotheńskiego. On był płatnym mieczem na usługach największego wroga jej ojca.

Imperialny orszak wciąż jeszcze nie opuścił Brothe. Ale od ceremonii Naczelnego Wódza nie widział żadnego z ludzi wchodzących w jego skład. Z drugiej strony, i tak nie znalazłby czasu.

Wzniosły zamierzał posłać armię przez Ormienden do Skraju Conneca. Okazało się, że dysponuje znacznie większym poparciem, niż Hechtowi wydawało się możliwe. Liczni poplecznicy, rozczarowani wynikami krucjaty calzirskiej, najwyraźniej z ogromną chęcią zamierzali puścić kolejne bogactwa ze ściekiem, w nadziei wzbogacenia się na Conneca.

Z raportów Titusa wynikało natomiast, że niewiele zostało na miejscu rzeczy, które można by zabrać. Źle się tam działo.

Wzniosły jak dotąd otrzymał dopiero czwartą część pieniędzy obiecanych przez Anne z Menandu. Identyczna suma rzekomo zniknęła podczas transportu. Krążyły też plotki, że Anne finansuje arnhandzki najazd na Conneca, używając reszty łapówki dla Wzniosłego jako zabezpieczenia pożyczek na jej własny wysiłek wojenny.

Brotheńscy pożyczkodawcy coraz niechętniej robili interesy z Patriarchatem.

W końcu zasnął. A w snach nawiedziła go Hespeth. Zresztą jak każdej nocy. Nie miał możliwości z nią porozmawiać. Ani wtedy, ani potem. Wkrótce imperialny orszak opuści miasto. Imperatorowa Katrin chciała

pokonać góry Jago, kiedy sytuacja na przełęczach będzie najlepsza z możliwych.

Anna przewróciła się na drugi bok i wtuliła twarz w jego pierś. Obudził go jej gorący oddech.

– Nie możesz się wyluzować? – mruknęła. – Choć na jedną noc nie możesz wyrzucić tego wszystkiego z głowy?

Nie mógł. Kiedy nie męczyły go obsesje związane z Hespeth Ege, myślał o prowincjale Delarim, Osie Stile, kłopotach z werbunkiem, kolejnej próbie zamachu i o tym, co stało się z al-Azerem er-Selimem. Zależało mu na długiej rozmowie ze swym niegdysiejszym Panem Duchów. Ale Az nie pojawił się powtórnie.

Nie miał też żadnych wieści od Bo Biogny. Już od dawna nikt go nie widział.

Piper Hecht się martwił.

Niebezpieczeństwa krążyły wokół jak niecierpliwe sępy.

– Staram się, kochanie. Naprawdę się staram. Ale...

W końcu sen powrócił. Nadszedł prawie w pół zdania.

Pella i Vali zrobili śniadanie. Wyszło im całkiem niezłe. Przynieśli je do sypialni Hechta i Anny, którzy wciąż leżeli. Żadne z dzieci nie czuło się zażenowane. Potrzeba prywatności nie była aż tak rozpowszechniona.

Mimo to Hecht nie czuł się szczególnie dobrze w tej sytuacji, choć wiedział, że tu, na zachodzie, nawet wśród szlachty, całe rodziny sypiały w tym samym pomieszczeniu, a często w tym samym łóżku. Zwykłe sprawy między mężczyznami a kobietami toczyły się swoją drogą.

Hecht zapytał:

– Nasza mała dziewczynka wreszcie przemówiła?

– Nie. Ale zmieniły się jej motywacje. Teraz już nie chodzi o ukrywanie czegokolwiek. Teraz po prostu jest uparta. – Anna nachyliła się ku niemu i wyszeptała: – Słyszałam, jak rozmawiała z Pellą. Nie wiedziała, że jestem w sąsiednim pokoju.

– Dojdzie do siebie. – Po kilku minutach beczynnego leżenia, jedzenia i napawania się przyjemnością dotykania oraz bycia dotykany Hecht powiedział: – To dobre dzieciaki.

– Zdumiewające, zważywszy na ich pochodzenie, ale to prawda. Tak.

– Czy nie odnosi się to do nas wszystkich? Pella zdradza oznaki tęsknoty za domem? A Vali?

- Pella? Nigdy nie widziałam.
- On wie, że mu się poszczęściło.
- Raz wspomniał o swojej siostrze.
- Tej prostytutce?
- Zapytał, czy może przeczytać książkę, w której jest o nim i o niej. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.
- Bronte Doneto ma egzemplarz – wyjaśnił Hecht. – Przynajmniej Pinkus tak twierdzi. A nawet, że ją przeczytał. Wątpię jednak, by Doneto pozwolił nam ją pożyczyć. Książka jest zakazana we wszystkich Państwach Patriarchalnych. Autor naśmiewa się w niej z Kościoła. Podobno.
- Nie dowiedziałeś się nic nowego o Vali?
- Tylko tyle, że naprawdę nie może się nazywać Vali Dumaine. Titus nie znalazł nigdzie żadnych Dumaine'ów, którzy straciliby córkę. W ogóle nie ma żadnych zaginionych dziewczynek o imieniu Vali, przynajmniej na tym poziomie drabiny społecznej, na którym mogłoby to spowodować jakieś zamieszanie.
- Jest po prostu bystrą oszustką.
- Może. Ale wciąż nie potrafię przejść do porządku nad tym zbiegiem okoliczności. Co ona robiła w domu uciech, służącym za przykrywkę operacji Łowców Czarownic ze Specjalnego Oficjum. Przykrywkę dla operacji Bractwa, której celem jest zakłócenie realizacji umowy, którą Wzniosły zawarł z potajemną kochanicą z Arnhandu.
- Gdybyś nie musiał tu być, gdybyś mógł się po prostu wycofać i zacząć żyć własnym życiem, dokąd byś pojechał? Co byś zrobił?
- Nagle Anna zeszywniała. Jego odpowiedź miała dla niej znaczenie. Nie były to zwyczajne pogaduszki w łóżku.
- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. – Zew Dreangeru słabł z każdą chwilą, nie wspominając nawet o nieprzyjaznym nastawieniu ojczyzny wobec niego, od kiedy znalazł się po tej stronie Morza Ojczystego. – Mówię ludziom, że chcę się na tyle wzbogacić, by kupić jeden z tych interesów z latyfundiami rolnymi, ale tak naprawdę wcale o tym nie myślę. Na roli jest za dużo roboty. Nawet dla właścicieli.
- Pracowałeś kiedyś na roli?
- Nie.
- Wobec tego zdecydowanie nie powinieneś zaczynać. Farmer jest na łasce wszystkiego i wszystkich. Robactwo. Gryzonie. Bankierzy. Pogoda.

Zarazy. Pokój. Wojna. Kaprysy Boga i człowieka. Gdyby nie przywiązanie do ziemi, większość tych, którzy wykonują prawdziwą pracę, zrezygnowałaby.

– Mówisz z doświadczenia?

– Miałam wielkie szczęście, że w młodości miałam dobrą cerę, wielkie oczy, ładną buzię i świetne cycki. Dzięki temu wykupiłam się z wiejskiego życia.

Hecht niewiele wiedział o życiu Anny poprzedzającym ich spotkanie. Nigdy nie kusił losu i nie próbował niczego z niej wyciągnąć. Ona sama rzadko opowiadała o tym, co przeżyła lub widziała, zanim otworzyła mu drzwi tamtej nocy w Sonsie. Ta prosta czynność oznaczała dla obojga początek nowego życia.

Mruknął więc tylko:

– Hm?

– Powinieneś mnie widzieć, jak miałam szesnaście lat, Piper. Nie wydaje mi się, by jakakolwiek dziewczyna wyglądała tak dobrze.

– Przykro mi, że nie miałem okazji. Choć nie potrafię sobie wyobrazić, abyś mogła być bardziej pożądana niż teraz.

– Masz talent do chwytania byka za rogi, Piperze Hecht. A kobieta w moich latach od czasu do czasu musi usłyszeć takie słowa. – Objęła go. – Czy zwierzak jest zainteresowany kolejną przygodą?

Anna Mozilla doprowadziła Pipera Hechta do stanu, w którym zapomniał całkowicie, że w pokoju obok są dzieci.

Pella i Vali byli młodzi, ale bynajmniej nie całkowicie nieświadomi spraw męsko-damskich. Po prawdzie, gdyby Hecht jej nie uratował, Vali już zdążyłaby zdobyć na ten temat całkiem konkretną wiedzę. Na młode dziewczynki zawsze był rynek. Na chłopców też, choć pula chętnych konsumentów była nieco mniejsza.

Hecht na poły spał, niezobowiązująco myśląc o prowincjale Delarim. Od tygodni nie miał okazji spotkania ze starym. Delari zajęty był odbudową swego podziemnego świata. Równocześnie unikał stania się celem ewentualnych machinacji prowincjała Doneto.

Anna przytuliła się, mrużąc:

– Chyba powinniśmy pomyśleć o wstaniu.

Hecht właśnie skończył się ubierać, kiedy nastąpił koniec świata.

Hecht obudził się na noszach. Powietrze było przesycone dymem i smrodem spalonego prochu. Żołnierze z Regimentu Miejskiego nieśli go we czterech. Odziani byli w watowane skórzane koszule i mocne skórzane czapki nowych patroli milicyjnych, zwanych constabulari. Wbiegli po schodach do jakiegoś kościoła. Po drodze wpadli na innych constabulari, niosących kolejne nosze.

W miarę jak stan Regimentu Miejskiego się kurczył, jego szeregi uzupełniali cywile wolontariusze, wykonując obowiązki przewidziane przez nowo ustanowione prawa miejskiego senatu, które następnie zaaprobował Kościół i panujące w Brothe rodziny. Wszyscy zdolni do służby zobowiązani byli obecnie raz na dziesięć dni do odsłużenia szczyty w straży pożarnej lub patrolu ulicznym w obrębie swych rodzimych dzielnic; porządek wart określały rzemieślnicze cechy i sąsiedzkie stowarzyszenia społeczne.

I choć posługiwano się określeniem „dzielnice”, Brothe było podzielone obecnie na dziewięć militarnych dystryktów wojskowych. Patrole drastycznie zmniejszyły poziom przestępczości.

Hecht zastanawiał się, skąd Pinkus Ghort wziął ten model. Z Cesarstwa Wschodu?

Constabulari postawili nosze na posadzce. Przenieśli Hechta na pryczę. Jeden zawołał:

– Ojczy Capricio! To może być ktoś ważny. – Potem zniknęli, pewnie poszli po nowego klienta.

Hecht wbił wzrok w wysoki sufit. Między dźwigarami wymalowane były anioły. Obok niego przyklęknął jakiś ksiądz.

– Aha. Odzyskałeś świadomość. – Miał na sobie habit charakterystyczny dla zakonów szpitalnych. – Możesz mi powiedzieć, jakie masz obrażenia?

– Wstrząs mózgu. Myślę, że był wybuch.

– Potężny. Kilkanaście budynków legło w gruzach.

– Anna. Dzieci... – Spróbował się podnieść.

– Leż spokojnie. Constabulari się tym zajmą. Ranne kobiety i dzieci trafiły tu w pierwszej kolejności. Jeden z diakonów lub ministrantów pomoże ci potem poszukać. Będziesz mnie potrzebował?

– Jeszcze nie wiem. Mam kłopoty z percepcją.

– Nie widzę żadnych zewnętrznych obrażeń. A mam tu ludzi naprawdę poważnie rannych.

– Idź.

Skąd Ghort wziął ten pomysł z trzema departamentami milicji?

Każde miasto patriarchalne musiało obecnie zorganizować własną milicję. Pomysł pochodził od Naczelnego Wodza. Pinkus Ghort, który nadzorował milicję brotheńską, utworzył lokalną służbę według własnych standardów, dzieląc ją na constabulari, guari i equestri. Guardi stanowili załogę stałych posterunków na murach miasta, z nich też wywodziła się obsada kilku bram. Oni sami pochodzili z wyższych klas niż constabulari. Już niektórzy gromadzili fundusze, aby opłacić kogoś, kto za nich przejmie obowiązki. Wszyscy ci ludzie do wynajęcia byli weteranami Regimentu Miejskiego. Stawali się więc jeszcze bardziej posłuszni człowiekowi, któremu tyle razy zawdzięczali pracę: pułkownikowi Pinkusowi Ghortowi.

Trzecia służba wywodziła się z szeregów najbogatszych rodzin. Z warstwy ekwitów, czyli ludzi, których stać było na konia. Samo słowo pochodziło ze starożytności. Dzięki temu można było dodatkowo nadymać spuchnięte ego. Choć do prawdziwej wyprawy w pole jakoś się nie kwapili.

Brotheńska milicja, jak w pozostałych miastach patriarchalnych, miała być gotowa do oddelegowania części swych sił na służbę poza granicami rodzinnego miasta.

Od starożytności suweren miał prawo powołać pod broń całość męskiej populacji poddanych. W powstającym właśnie systemie organizacyjnym milicjant mógł się spodziewać czterdziestu dni służby w polu raz na sześć lat.

Nawet najmniej entuzjastycznie odnoszące się do tego pomysłu miasta zniosą jakoś dziesięcioprocentowy pobór. Albo, na co liczył Hecht, zdecydują się wpłacić pieniądze. Dzięki temu będzie mógł zwerbować doświadczonych żołnierzy z szeregów uchodźców.

Znalazła go jedna z sąsiadek Anny, wdowa Rety.

– Tu jesteś. Anna wychodzi z siebie. Powinieneś lepiej ją traktować.

– Może masz rację. Nic jej się nie stało? Z dziećmi wszystko dobrze?

– Tak. Dziewczynka jest cała zalana krwią, ale był to tylko krwotok z nosa.

– Dobrze. Powiesz im, że mnie znalazłaś?

– Dlaczego sam im nie powiesz?

– Nie leżę tu bez przyczyny. Ani dlatego że chcę się zdrzemnąć w wygodnym łóżku.



Pani Rety należała do tych kobiet, które wszędzie wściubiają nos. Mimo to skinęła głową zdecydowanie i poszła.

Chwilę później zemdłał, próbując wstać.

– Pinkus?

– Jeden, jedyny. Jak to się stało, że się tu wylegujesz? – Ghort siedział ze skrzyżowanymi nogami, po części opierając się na pryczy Hechta, po części zaś na legowisku jakiegoś mężczyzny, którego przyniesiono, gdy Hecht był nieprzytomny. Tamten z pewnością nie miałby nic przeciwko temu. Nie żył.

– Ostatnim razem, gdy spróbowałem wstać, zemdlałem.

– Tak słyszałem. Mam tu w okolicy paru chłopców. Na wypadek, gdyby spróbowali ponownie.

– Co?

Ghort się zreflektował.

– Racja. Ty nic nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Wielkie bum. Sądzymy, że ty byłeś celem. Tylko że ładunek wybuchł za wcześnie.

– Hę?

– Dobra. Od początku. Wózek zaprzężony w osła i załadowany baryłkami z prochem strzelniczym. Zrobił się z tego niezły wybuch. Miał eksplodować przed domem Anny.

„Niemożliwe, że mogłem mieć tyle szczęścia” - pomyślał Hecht. Podejrzewał, że Ghort zgodziłby się z tym stwierdzeniem. Pinkus tymczasem powiedział:

– Złapaliśmy dwóch ludzi. Dlatego wiemy, co się miało zdarzyć. Pójdziemy po śladach. Od nich i od źródeł prochu strzelniczego.

– Brzmi to, jakbyś miał już wszystko pod kontrolą.

– Tak pewnie jest. Powiedz mi coś, Pipe.

– O co chodzi?

– Jak to możliwe, że ciągle ktoś próbuje zabić twoją dupę? Możesz sobie być pierdolonym Naczelnym Wodzem, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego ciągle ktoś się ciebie czepia.

– Pinkus, naprawdę chciałbym wiedzieć. Gdybym wiedział, to możesz postawić reputację twojej matki, że pierwszy zająłbym się całą sprawą. Ale nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. Tu nie może chodzić o widma przeszłości. Nie mam aż tak interesującej przeszłości.

– Nienormalne.

– Kompletnie nienormalne. Przeraza mnie to znacznie bardziej, niż gdybym wiedział dlaczego. Ponieważ wtedy wiedziałbym kto. Pewien jesteś, że chodziło właśnie o mnie?

– Jestem pewien, jak można być czegokolwiek pewnym. Poza tym jestem pewien, że chcieli tego tak bardzo, że nie zależało im, ilu ludzi oberwie, pod warunkiem że ciebie zabiją.

– Masz więźniów, którzy brali udział w zamachu. Chętnie bym z nimi porozmawiał. A jeśli przewidujesz dla nich coś specjalnego, to może przekazałbyś ich prowincjałowi Delariemu.

– Może uda mi się to zorganizować.

– Dobrze. Teraz pomóż mi się podnieść.

Zanim zdołał przyjąć pozycję pionową, ogarnęły go mdłości, świat zawirował.

– Jeszcze nie czas. Połóż mnie.

I znowu Hecht zapadł w nieświadomość.

Obudził się. W głowie łupało. Przeszło mu przez myśl, że to Anna za tym stoi. Zaczął się martwić ewentualnymi skutkami wstrząsu mózgu... Nie Anna. Ani Pella czy Vali. Nikt z jego obecnego życia. Ale na pryczy zajmowanej przedtem przez zabitego leżał obecnie ktoś, kto miał oblicze z jego poprzedniego życia.

– Az?

Al-Azer er-Selim, Pan Duchów. Prawie nie do rozpoznania w zachodnim ubraniu i bez zarostu. Zdradziły go oczy. Te oczy patrzyły w jądro Nocy, ale wciąż pozostało w nich rozbawienie nad niepohamowanym szaleństwem człowieka i wszelkiego stworzenia bożego.

– Kapitanie.

– Cicho. Najłżejszym szeptem.

– Co tu robisz?

– W inny sposób nie udało mi się z tobą spotkać. Najwyraźniej nas unikasz.

– Wcale nie. Los sprzysiągł się, aby mnie wodzić na manowce.

– Los, kapitanie? – Choć Az na co dzień utrzymywał stosunki z Nocą, pozostał wiernym pramanem.

– Zły dobór słów. Trudno w tych stronach nie nabawić się kiepskich nawyków. Zwłaszcza kiedy trzeba się wtopić w otoczenie.

Az nie kłopotał się odpowiedzią. Ale z pewnością musiał zdawać sobie sprawę, na czym polega problem.

Hecht zapytał:

– Nikt nie zwraca na nas uwagi?

Przeczący ruch głową.

– Jak się tu dostałeś?

– Dałem się przynieść. Z gruzów wciąż wyciągają nowych ludzi.

Hecht podniósł się do pozycji siedzącej. Czuł się już nieco lepiej. Ale o bieganiu nie miał co marzyć.

– Wiesz, że to ty byłeś celem?

– Co? – Jakby wcześniej nie słyszał o tym od Pinkusa Ghorta.

– Wybuch miał zniszczyć dom kobiety i zgładzić ciebie. Od tygodni czekali na swoją szansę.

– Skąd wiesz?

– Znamy kilku z tych ludzi. Wiemy, kto im płaci.

– Świetnie. Dlaczego tu jesteś?

– Żeby porozmawiać z moim kapitanem.

– Tu, w Brothe. To nie miejsce dla ciebie.

– Nie dano nam wyboru, kapitanie. Nie wpuścili nas na statek, który zabrał sha-lugów i Lucidian z Calziru. Ludzie, których znaleźliśmy, koledzy ze szkół, pokazali nam ostrze broni i zmusili do pozostania. Nie mieliśmy przeżyć oblężenia al-Khazen. Dzięki twojemu atakowi, atakowi Imperatora, manifestacji Delegatur i ingerencji Kolegium udało się nam uniknąć rzezi. Najwyraźniej to, że przeżyliśmy, okazało się dla kogoś skrajnie niewygodne. Od tego czasu ścigają nas.

– Mniej więcej tak, jak podejrzewałem. Ale jakoś nie potrafię w tym dostrzec sensu. Paranoja Gordimera nie wyjaśnia wszystkiego.

– Nie chodzi o Gordimera. To Szakał. Jesteśmy pewni. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafię się domyślić, boi się każdego z tych, którzy przywieźli mu mumie z Andesqueluz. Z całą determinacją próbuje nas wszystkich zlikwidować. A ciebie w szczególności.

Hecht powoli pokręcił głową, sprawdzając, czy ktoś nie zwraca na nich uwagi.

– Jakie są straty?

– Straciliśmy Agbana, Nortsa i Falaka. I Hagida. To mogło być wielkim błędem. Błędem Szakała.

- Wiem o Hagidzie. To się stało...
  - Chciał się za wszelką cenę z tobą skontaktować. Jakiś wielki sekret. Tak wielki, że potajemnie opuścił al-Karn i przebył całą tę drogę, by ci powiedzieć. Najwyraźniej wywarłeś wielkie wrażenie na tym chłopaku.
  - I er-Rashał zabił go.
  - Nie osobiście. Sprawił, że spotkała go śmierć.
  - Jesteś całkowicie pewien? Nie są to tylko spekulacje?
  - Pół na pół. Szakał ma długie, silne ręce po stronie Nocy.
  - O co mu chodzi?
  - Nie wiem. Nie chcę spekulować. Może po prostu próbuje zataić fakty.
  - Że splądrowaliśmy Andesqueluz? Traci czas. W Kolegium to już tajemnica poliszynela. To znaczy sam fakt, a nie konkretnie, kto tego dokonał.
  - Co?
  - Słyszałem, jak o tym rozmawiali. Wiedzą mnóstwo rzeczy, o których nawet się nie domyślamy, że wiedzą. Widziałeś broń na proch strzelniczy pod al-Khazen.
  - Obwinałem o to ciebie. Myślę, że jak wszyscy pozostali.
  - Już ją mieli, kiedy tu dotarłem. Po co przybyłeś do Brothe?
  - Żeby cię pilnować. Idzie twoja kobieta.
- Miłosiernie się Az zachował. Poza tym w jego słowach nie było nawet śladu dezaprobaty.
- Anna była tak blada, że takiej jej Hecht jeszcze nigdy nie widział. I dopiero gdy na niego spojrzała, na jej twarzy pojawiła się ogromna ulga.
- Wszędzie cię szukałam.
  - Cały czas tu jestem.
  - Nie bądź taki mądry.
  - Naprawdę, Pinkus miał ci powiedzieć. A potem wdowa Rety. Powiedziała, że powinienem się wstydzić, że przysparzam ci tyle zmartwień. A kiedy próbowałem wstać, żeby iść cię poszukać, zemdlałem. Dzieci. Co z dziećmi?
- Z boku, w miejscu gdzie Anna nie mogła nic dostrzec, Az zrobił nieznaczny gest, gdy Hecht wspomniał wdowę Rety. Drobnym ruchem palcem oznaczający: wróg.
- Wszystko dobrze. Z początku były w szoku. Ale teraz jest to dla nich przygoda. Vali nawet zaczęła coś mówić, ale zamknęła się po paru słowach.

Są przy domu. Pilnują, żeby nikomu nie przylepiły się do rączek moje rzeczy. Dwaj ludzie Pinkusa też tam są. Ale nic nie mówili na twój temat. Oprócz tego, że powinnam iść poszukać cię wśród rannych.

– Pinkus tu był. Myśli, że proch strzelniczy był przeznaczony dla mnie, ale ładunek eksplodował, zanim znalazł się pod domem.

Oczy Anny zmieniły się w gorejące studnie grozy.

– Nie.

– Przykro mi. On tak sądzi. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mógłby coś takiego zrobić.

– Możesz wstać?

– Myślę, że już tak. Ale pewnie będziesz musiała mi pomóc. – Tym razem udało mu się stanąć na nogach. Nawet nie chwiał się za bardzo. – Miło się z panem gawędziło, panie Suppor. Postaram się zapamiętać pańską radę. – Dziesięć kroków dalej wyszeptał do Anny: – Każdemu się wydaje, że lepiej ode mnie wie, jak mam wykonywać swoją pracę.

– Wyglądał na cudzoziemca.

– Dev z Calziru. W następstwie krucjaty przybył do Brothe, bo ma tu rodzinę. Opowiedział mi dokładnie, jak spieprzyłem całą sprawę w Calzirze i jak wszystko mogłem zrobić lepiej. Trzeba to oddać regimentowi... wszystkich traktują z jednakową troską. – Potknął się.

Anna schwyciła go za ramię, zanim nogi się pod nim ugięły.

– Pewien jesteś, że możesz iść?

W ich kierunku zmierzał braciszek z zakonu szpitalnego.

– Wszystko będzie dobrze. Chodźmy stąd. – Pewne rzeczy po prostu musiał być w stanie zrobić. Pozycja Naczelnego Wodza obejmowała ogromne symboliczne zobowiązania.

Hecht czuł się już w miarę dobrze, póki nie zobaczył zniszczeń spowodowanych wybuchem. Można się było załamać.

Część ceglanego licowania odpadła od domu Anny. Wstrząs eksplozji sproszkował zaprawę między cegłami. Kolejnych kilka budynków ucierpiało w równym stopniu. Albo bardziej. Między nimi, pośrodku ulicy, ziała dziura na głębokość wzrostu Hechta. Ledwie mógł sobie wyobrazić konsekwencje rozmiarów leja. Taki wybuch wymagał setek funtów prochu strzelniczego, zapewne nie najlepszego gatunku, mając na względzie trudności z jego wytwarzaniem.

Taka ilość prochu strzelniczego oznaczała ogromne inwestycje.

Znacznie mniejszy ładunek doprowadził do zawalenia się hipodromu.

Własne zapasy, przeznaczone dla sił zbrojnych pod jego komendą, wynosiły pół tony. A alchemicy pracowali po dziesięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Największym wyzwaniem było pozyskiwanie saletry.

Przed domem Anny stał sznur wozów.

– O co chodzi? – zapytał Hecht.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Woźnice nie pojawili się tu, aby pomóc komuś z sąsiadów. Stali oparci o swe pojazdy, czekali. I wyglądali na rozczarowanych.

– Jest ich sześciu. Ha. Oto znajoma twarz.

– To ta kobieta, która była na imprezie z okazji nawrócenia się Titusa? – zapytała z przekąsem Anna.

Obok pierwszego wozu w szeregu, tuż przed stopniami na ganek domu Anny, stała blondynka.

– Wygląda jak ona. – Jednak nie miał pewności. Wcześniej rozpoznał Osę Stile, który kręcił się koło kobiety. – To ona. Herros? Nie pamiętam dokładnie imienia.

Osa miał na sobie przebranie, w jakim udawał się do miasta. Dzięki temu wyglądał jak ulicznik w wieku Pelli. Widać było, że prowadzi fajne życie. Łachmany nie były zbyt odrażające. I nie ze szczeniem brudne.

Podchodząc bliżej, Hecht zapytał:

– Co się dzieje?

Kobieta odrzekła:

– Dziadek chce, żebyś się przeprowadził do jego miejskiej rezydencji. – Najwyraźniej nie była z tego powodu uszczęśliwiona.

Osa Stile dodał:

– Naczelnny Wodzu, prowincjał Delari ma nadzieję, że ty i twoja pani przyjmiecie jego ofertę pomocy. – Urwał, skinął dłonią. – Proszę ze mną, panie. – Kiedy znaleźli się dostatecznie daleko, by kobieta nie słyszała, dodał: – Umowa jest taka. Pakujecie wszystko i przeprowadzacie się do jego miejskiej rezydencji. I tak jej nie używa. Po remoncie możecie wrócić do siebie.

Hecht nie zareagował. Był zdezorientowany. Spojrzał na dom Anny. Pella i Vali stali w miejscu, gdzie przedtem były drzwi wejściowe. Zerknął na strażników przydzielonych mu przez Ghorta. Znał obu. Wykonają swoją robotę.

– W porządku. Już rozumiem. – Wrócił do Anny. – Prowincjał Delari proponuje nam przeprowadzkę do swej miejskiej rezydencji, póki nie odbudujemy naszego domu. Wozy mają zabrać wszystko, co chcemy uratować przed złodziejami.

Na twarzy Anny odbiła się procesja emocji: gniew, rozdrażnienie, wdzięczność. Nie była zadowolona. Ale w obecnej sytuacji nie mogła grymasić. Pinkus Ghort nie będzie zawsze strzegł domu. Po chwili milczącej walki z sobą rzekła:

– Wdzięczna jestem prowincjałowi za jego troskę i szczodrość. W porządku.

Hecht doniósł o zgodzie Anny.

– Niech pokaże woźnicom, co mają zabrać – poinformowała go blondynka.

Hecht zdrzął. Jej głos sprawił, że włosy stanęły mu dęba na głowie. Ale nie był to odruch walki. Raczej coś w rodzaju reakcji na bliskość niewidzialnego żywiołu Nocy.

Cofnął się o krok. Dlaczego ta kobieta budziła w nim tak niepokojące uczucia? Czy wyczuwał jakieś subtelne zagrożenie? Amulet milczał. Nic mrocznego nie włączyło się w pobliżu.

Wrócił do miejsca, gdzie wciąż stała Anna. Osa Stile uważnie mu się przyglądał.

Zmaterializował się Pinkus Ghort.

– O co chodzi z tymi wozami, Pipe?

– Delari je przysłał. Przeprowadza nas do swej miejskiej rezydencji.

– Słodkie życie. Naprawdę załatwiłeś sobie anioła stróża.

– Tak. Mam szczęście. I to mnie martwi.

– Boisz się, że zajdzie cię od tyłu w łaźni?

– Nie. Z tym sobie dam radę. – Wtedy zrozumiał, że Ghort żartuje. – Szczęście sprawia, że robię się nerwowy. Nigdy go za wiele nie miałem.

– Dobrze. Ponieważ wtedy nie martwisz się w dostatecznym stopniu. Właściwymi rzeczami. – Zmieniając temat, dodał: – Aresztowaliśmy paru ludzi.

– Już?

– Już. Odrobina szczęścia, mnóstwo starej dobrej głupoty i stu ludzi, którzy sprawdzili, skąd pochodził proch strzelniczy. To wszystko pomaga

szybko załatwiać sprawy. Dorzuć do tego jeszcze trochę głupoty i już masz ludzi, których możesz wsadzić w łańcuchy.

– Łatwiej bym zrozumiał, gdybyś dorzucił kilka szczegółów. – Obserwowałem, jak Anna naradza się z blondynką. Traktowały się nawzajem z wyraźną nieufnością.

– Dziesięć minut zabrało mi odkrycie, że w Brothe jest tylko jeden prywatny wytwórca prochu strzelniczego. Wiggin Pinska i Synowie w dzielnicy devediańskiej. Dziesięć minut zabrało im przekonanie nas, że nie sprzedali tego, co tu wyleciało w powietrze. Potrafili się rozliczyć z każdej uncji, jaką kiedykolwiek sporządzili. Wszystko sprzedali tobie. Obejrzałem sobie ich zakład. Jeśli nawet w tajemnicy wyprodukowali coś więcej, nie mogło tego być więcej niż kilka funtów. Mają ogromne trudności ze zdobyciem saletry. Sprowadzają ją z Shippen lub Artecipei. Ale według Wiggina Juniora, dwa miesiące temu ktoś próbował u nich kupić pięć baryłek. Pinska odesłali go do braci Graumachi. Aptekarzy. Oni mieli trochę saletry. W następnej kolejności ich odwiedziliśmy. Bracia powiedzieli tamtym, że chętnie wezmą zamówienie i zrobią trochę prochu strzelniczego, pozostaje tylko jeden problem. Nie wiedzą jak.

Ciekawe. Choć broń miotająca zaczynała się rozpowszechniać, tajemnica prochu strzelniczego była ściśle strzeżona przez tych, którym udało się wejść w jej posiadanie.

– Od tego momentu rzecz robi się ciekawa – podjął Ghort. – Halo, poruczniku.

Titus Consent dołączył do nich, wkrótce po nim Anna.

– Dzień dobry, pułkowniku. Naczelnny Wodzu.

– Titus. Mów dalej, Pinkus. Jak bardzo ciekawa?

– Nabywcy powiedzieli aptekarzom, że mają pozwolenie z Artecipei na przekazanie im formuły i receptury. Sami nie mieli pojęcia, jak robi się proch strzelniczy.

– Artecipea?

– Gdzie rzekomo ukrywa się Rudenes Schneidel.

– Myślałem, że jest w Viscesment.

– Już nie – uciął Ghort. – Próbowałem go tam wyśledzić.

– Ja też – dodał Titus Consent. – Wszyscy, którzy cokolwiek wiedzą, twierdzą, że wrócił na rodzimą wyspę. Tam mi się nie powiodło i nic więcej nie znalazłem. Sonsanie i Navayanie wciąż się wtrącają.



– Tak czy siak – kontynuował Ghort – posłałem paru gości do portu. Już przejęli jakichś Artecipear, powiązanych z ludźmi, których tu aresztowaliśmy.

– Imponująca sprawność. Nadzwyczaj imponująca.

– Nie aż tak bardzo, kiedy zdasz sobie sprawę, że ci wszyscy ludzie okazali się zbyt głupi, żeby zrozumieć, iż po czymś takim będzie wielka pieprzona obława. Kto chodzi po mieście i chwali się, że brał w niej udział? Titus, mój dobry, masz coś dla Pipe'a?

– Nic, co mogłoby pomóc w tej sprawie. Wcześniej wyszedłem z pracy, ponieważ pułkownik Smolens kazał mi się zorientować, co się stało. Mamy opóźnienia w harmonogramie. A on nie chce zwiększać tych opóźnień tylko dlatego, że nie wie, czy Wódz Naczelny nie oberwał zbyt mocno, by pracować. Patriarcha chyba najzupełniej serio podchodzi do pomysłu ekspedycji, mającej ukarać hrabiego Raymone'a za jego krnąbrny opór.

– Głupiec! Głupiec! – wybuchnął Hecht. – Czy nikt nie potrafi go zmusić do posłuchania głosu rozsądku?

– Nie. Słyszy tylko to, co chce słyszeć. Jego zauszniczy mówią mu to, co chce słyszeć. A teraz chce słyszeć tylko o nieszczęściach nękających Connec.

– Coś nowego? Kolejni jego bandyci dali się zarżnąć?

– To właśnie. I nie tylko. W tym tygodniu przybył kufer z monetami z Arnhandu. Kolejny kufer gdzieś się zapodział po drodze w zeszłym miesiącu. Wzniosły obwinia Connecian. Plotka głosi, że ludzie przewożący złoto doszli do wniosku, że im jest bardziej potrzebne niż Wzniosłemu. Bardziej złowieszcza wieść niesie, że zaginięcie transzy zaaranżowała Anne z Menandu, żeby sfinansować jakieś swoje szalone ambicje.

– Wariactwo – podsumował Hecht. – Mam nadzieję, że ci dwoje rzucą się sobie do gardeł.

– Nawet gdyby tak się stało, pewnie nie byłbyś zadowolony. Musielibyśmy walczyć z Arnhandem.

– Nie mam ochoty teraz się nad tym zastanawiać. – Należało unikać nawet najlżejszej aluzji do buntu.

– Kolejny powód, dla którego tu przybyłem. Znalazłem robotników, którzy zajmą się odbudową. Zaczną rankiem. Nie masz nic przeciwko, Anno?

– Och, nie, w porządku. Dzięki Bogu, wszyscy są tak troskliwi i praktyczni. A ja potrafiłam się tylko zamartwiać o Pipera i dzieci.

– Naprawdę przenosisz się do domu Delariego? – zapytał Ghort.

– Na to wychodzi.

– Szczęśliwy gówniarz. Mój anioł ma cholernego węża w kieszeni.

– Co on mówi na temat Delariego? Zwłaszcza ostatnio?

– Nie bardzo za nim przepada. Co z tego? Żaden z nich nie lubi drugiego. A Hugo Mongoz, kiedy tylko obudzi się na dostatecznie długi czas, nienawidzi całego przeklętego świata. Ale jakoś nie widać, aby spieszyło mu się z odejściem.

– Jakiś czas temu słyszałem, jak się kłócili. Zrobiła się porządna awantura. Coś na temat tego, że Doneto sabotuje działania Wzniosłego.

Ghort wyglądał, jakby ktoś przyłożył mu deskę.

– To obłąd.

– Może źle słyszałem.

– Musiałeś. Słuchaj. Ci goście będą strzegli domu Anny. Chciałbym móc im powiedzieć... Oto, jak zrobimy. Pod koniec miesiąca muszę odpuścić sobie kolejnych chłopców. Będą znacznie bardziej szczęśliwi, jeśli trafią do ciebie, niż jeśli będą musieli czekać na miejsce w milicji.

– Brzmi to, jakbym musiał ich przyjąć, chcę czy nie chcę. Dobra. Powiedz im. Ale muszą pilnować wszystkich innych domów, nie tylko Anny.

Anna pobiegła, żeby nakrzyczeć na woźnicę, który nie dość uważnie zajmował się jej meblami.

Hecht rozejrzał się za Osą Stile i blondynką. Jej nigdzie nie było, natomiast Osa był niedaleko, podsłuchiwał. Właściwie bezwstydnie.

Ghort też go zauważył.

– Czy to nie...? – Wziął Hechta pod ramię, odszedł kilka kroków, potem odwrócił się do Osy plecami. – Dwadzieścia minut temu otrzymałem wiadomość od Bo. Ma coś dla ciebie.

– Naprawdę? Tak długo to trwało, że myślałem już, że nic z tego nie wyjdzie.

– Miał z tym nieprzyjemną, ślamazarną przeprawę. Gdzie chcesz się z nim spotkać?

– Niech przyjdzie do miejskiej rezydencji. Będę tam, póki Anna i dzieciaki się nie rozgoszczą.

- A potem?
- Potem zapewne czeka nas podróż do Connec.
- Niech Bóg ma w opiece nas wszystkich.
- Nie wydaje mi się, abyśmy mogli na kogoś innego jeszcze liczyć.

Zapadał zmrok. Służba prowincjała Delariego pomogła woźnicom zanieść rzeczy do domu, ale bez entuzjazmu. Piper Hecht stał w połowie drogi między wozami a drzwiami, nie obserwując woźniców, tylko nadciągającą noc. Nigdy, przenigdy nie ufał nocy.

Gdzieś w mieście byli ludzie, którzy chcieli go zabić. Gdzieś było zło samej nocy.

Podrapał się po lewym nadgarstku. Niedaleko odprawiano pomniejsze czary. Może wewnątrz miejskiej rezydencji. Niewykluczone, że prowincjał był w środku.

Drapiąc się, zrozumiał, że zanim wóz eksplodował, nic go nie ostrzegło. Kolejny raz atak nastąpił bez użycia magii. Ponieważ stojący za nim umysł wiedział, że przed czarami zostanie ostrzeżony?

Zapewne nie. Ktoś po prostu posługiwał się narzędziami, jakie miał pod ręką.

Komuś kiepsko szło. Ale smutna prawda była taka, że wystarczy, iż wyjdzie mu jeden, jedyny raz.

Blondynka przyłączyła się do niego. Ale nie miała nic do powiedzenia. Więc on zaczął:

- Zrobimy co w naszej mocy, żeby nie sprawić kłopotów.

Odchrząknęła jak mężczyzna.

– Z pewnością nie będę najlepszą gospodynią. Nie wiem, jak się to robi. Żyję jak pustelniczka. Rzadko wychodzę na miasto. Regularnie widuję się właściwie tylko z Turkingiem i Felske. I z panią Creedon. Oraz oczywiście z dziadkiem, kiedy przychodzi mnie odwiedzić.

W jej głosie brakowało życia. To przejęło Hechta mrozem.

- Turking i Felske?

– Służba. Są małżeństwem. Pani Creedon gotuje i pomaga pozostałej dwójce. Jest wdową.

– Ty tu mieszkasz. Ty ustalasz zasady. W granicach rozsądku. Nie chcę, żeby dzieciaki spały w ogrodzie.

Kobieta roześmiała się słabo.

– Nie jestem przyzwyczajona do tych małych potworów, ale myślę, że jakoś to zniosę.

– Potrafią być całkiem spokojne, jak na swój wiek.

– Przede wszystkim chodzi jednak o twoją kobietę. Nie lubi mnie.

– Czuje się zagrożona. Nie wiem dlaczego.

– Lubi kawę?

– Nie wiem. Odkąd jesteśmy razem, ani razu nie piliśmy kawy.

– Pójdę zaparzyć. – Nieznaczny uśmiech. – To jedyna rzecz, jaką robię dobrze. – Odeszła zdecydowanym krokiem, choć przez cały czas się lekko garbiła, jakby oczekując ciosu. W jednej chwili zaczęła wyglądać na skoncentrowaną i pełną życia.

Hecht przelotnie zastanowił się, jakie też mogła mieć życie.

Nadeszła Anna. Hecht był zaskoczony, uzmysłowiwszy sobie, jaka jest niska w porównaniu z tamtą kobietą. W myślach zawsze wydawała mu się znacznie wyższa.

– O co chodziło?

– Próbowaliśmy ustalić, jak będziemy razem mieszkać. Jak rozumiem, nie jest szczególnie przyzwyczajona do cudzej obecności. Ale zależy jej, by wszystko poszło gładko. Ponieważ prowincjał tego chce.

– A on ją utrzymuje.

– Nas w obecnej chwili też.

Anna nie odpowiedziała, ale wyraźnie postanowiła sobie, że będzie niemiła.

– Masz z nią jakiś problem? Znasz ją skądś? – zapytał.

– Nigdy jej nie widziałam przed nawróceniem Titusa. I nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak mnie niepokoi. Po prostu tak jest.

– Wiesz co? Mnie ona również niepokoi. I ja również nie wiem dlaczego, ale nie czuję się zagrożony.

Odjechał ostatni wóz.

– Postaram się, żeby wszystko poszło dobrze – powiedziała Anna. – Chyba powinniśmy wrócić do środka.

– Czekam na kogoś.

– Może zapukać.

Kawa blondynki wyraźnie wpłynęła na zmianę nastawienia Anny.

– Och. Nie piłam kawy od ślubu. Zapomniałam już, jak jest cudowna.

Blondynka rzekła:

– Czasami opłaca się mieć dziadka w Kolegium.

To zaskoczyło Hechta. Ponieważ brzmiało niczym próba powiedzenia żartu.

Pojawił się Turking.

– Jest tu człowiek, który chce się z tobą widzieć, Wodzu Naczelny. – I jest to ktoś, czyjej obecności nie aprobował.

– Gdzie?

– Przy drzwiach.

Hecht zwrócił się do kobiety:

– To w interesach. Szpieg. Gdzie mogę z nim porozmawiać, żeby nie narobić kłopotów?

– Najlepiej w tym pomieszczeniu, w którym rozmawiałeś poprzednio z dziadkiem. Po to właśnie jest.

Hecht zostawił kobiety przy pogawędce.

Bo Biogna zachowywał się nerwowo. Zaglądał we wszystkie kąty. Nie chciał usiąść na jednym z niewygodnych krzeseł. Chodził w tę i z powrotem po pomieszczeniu.

– Co, u diabła, Bo? Dlaczego tak się zachowujesz? – W normalnych okolicznościach Biogna był chłodny, wyzbyty szacunku i sarkastyczny. – Co znalazłeś?

– Ten facet w brązowym... Nie wiem... Nie mogę... To może być duch. Przynajmniej pojawia się i znika jak duch. Nikt nie wie, kim on jest. Ale...

– Co spowodowało, że nagle zrobiłeś się taki nerwowy? – wszedł mu w słowo Hecht.

– Śledziłem go, Pipe. Jestem na tyle dobry, żeby wysledzić ducha do jego nory. Mając dość czasu.

– I?

– On mieszka tutaj, Pipe.

Hecht drgnął. Nagle sam zaczął rozglądać się po kątach.

– Jesteś pewny?

– No. Poza tym teraz ty też rozglądasz się za duchami.

– Faktycznie. – Ponieważ uwierzył Hugonowi Mongozowi. Mężczyzna w brązach to był Cloven Luty. Dziewiąty Nieznany. Poprzednik prowincjała Delariego, który powinien od dawna nie żyć. I który być może nie żył, a mimo to spacerował po ziemi, nawet w świetle dnia.

Hechta ogarnęła chwilowa panika. Zdało mu się, że ściany wałają się na niego. Poczuł całe napięcie związane z piastowaną funkcją, którego normalnie nie odczuwał. Gorzej. Zazwyczaj bywał tym, którego w nim widziano, najlepiej jak mógł wywiązując się ze swych obowiązków. Piper Hecht był wszystkim, czego Wzniosły mógł chcieć od swego Wodza Naczelnego, wyjąwszy tylko bezrozumny fanatyzm wobec ambicji pracodawcy.

– Znasz Titusa Consenta?

– Tego deva, co się nawrócił? Wiem, kto to jest. Facet od szpiegów. Mieszka niedaleko twojej kobiety.

– Skąd wiesz?

– Widziałem go, kiedy śledziłem brązowego ducha, który zresztą zawsze cię obserwuje, gdy na niego trafiam.

Hecht jeszcze bardziej energicznie zaczął się rozglądać po pustych kątach. Przyczyna swędzenia w nadgarstku mogła się okazać przykrą niespodzianką.

– Zobacz się z Consntem. Idź do jego domu. Dam ci dla niego kartkę. Powiedz mu, żeby spisał twoją historię. W każdym szczególe. Ale nie pokazuj tego nikomu oprócz mnie.

– W porządku – powiedział Biogna cokolwiek zdeprymowanym głosem.

– Teraz musisz się stąd wynosić. Porozmawiamy gdzie indziej. – Hecht chciał wypytać Biognę o jego wizytę w Viscement, choć to były już stare wieści.

– Mnie nie musisz tego mówić. – Biogna wciąż się czał.

Hecht nagryzmołił notatkę, potem odprowadził Biognę do drzwi.

– Doceniam, co zrobiłeś, Bo. Odwdzięczę się.

– Znajdź mi pracę. Regiment Miejski nie dotrwa do końca lata.

– Rozumie się samo przez się. Zobacz, jak ci pójdzie z Titusem Consentem. Są spore szanse, że on może coś dla ciebie mieć.

– O co chodzi? – zapytała Anna głęboką nocą.

– Nie mogę spać.

– Naprawdę? Tylko dlatego że ktoś chciał cię dziś zabić?

Nie o to chodziło. Zrozumienie tego jego samego zaskoczyło. Tę sprawę wygnał ze swych myśli. Zadręczał się myślami o człowieku w brązach.

– Nie o to chodzi. Tę sprawę odsunąłem na bok, kiedy tylko zagrożenie zniknęło. Tak trzeba. Inaczej nie można by funkcjonować.

– Musisz? Funkcjonować? Moglibyśmy... – Umilkła. Wiedziała, że wypytywanie jest stratą czasu. Zamiast tego więc zajęła jego uwagę, jak tylko kobieta potrafi.

Po wszystkich tych zabiegach nie miał żadnych kłopotów z zaśnięciem.

Hecht wcześniej opuścił miejską rezydencję. Czekają na niego sześciu zbrojnych jeźdźców. Z dodatkowym zwierzęciem. Wszystkich sześciu znał. Wiedział, że może im ufać.

Nie dyskutował. Wybór w tej sprawie nie należał już do niego. Stał się zbyt wartościowym atutem.

Być może nigdy nie będzie już sam. Całe jego życie zostanie ułożone tak, by pasowało do wymogów ochroniarzy.

Spędził sześć godzin w Castella dollas Pontellas. Organizacja milicji w Państwach Patriarchalnych przebiegała sprawnie, wyjątkiem była kwestia zdobycia broni. Z Krois nie dotarła jeszcze oficjalna zgoda, jego sztab miał wszakże pewność, że rozkazy nadejdą wkrótce. A ich następstwem będą działania mające na celu ujarznienie Connec.

Wzniosłemu wydawało się, że może robić, co chce. Nie obawiał się już działań, jakie może podjąć Imperium, gdy tylko odwróci się do niego plecami. Imperatorowa Katrin zdecydowała się wesprzeć Patriarchat Brotheński. Wbrew tradycji, elektorom i imperialnej szlachcie.

– Panowie, sam sobie gratuluję umiejętności doboru właściwych ludzi – powiedział Hecht, ale żart zabrzmiał nieco pompatycznie. – To znaczy, jestem po prostu pod wrażeniem roboty, którą wykonujecie. I tym, jak sprawnie wam idzie.

– W ten sposób chcesz nam delikatnie zasugerować, że znowu będziemy zdani na samych sobie? – Na twarzy pułkownika Smolensa zastygł szeroki uśmiech.

Hecht z czasem polubił tego człowieka.

– To też. Przynajmniej jeszcze przez czas jakiś. Muszę się zobaczyć z prowincjałem Delarim. Ale chcę, żebyście wszyscy wiedzieli, iż zadbam, by za długie godziny pracy odpowiednio wam zapłacono. Po prostu trzeba spróbować wykonać parę z tych rzeczy, o które nas zapewne poproszą. W porządku. Do roboty.

Titus Consent dogonił Hechta w momencie, gdy ten miał już odjechać. Miał przy sobie kurierską sakwę.

– Nie wyspałem się ostatniej nocy. Noë jest już gotowa cię przeklinać. Mimo twego nieszczęścia.

Wyglądał na wyczerpanego.

– Doceniam to. Powiedz Noë, że Anna ugości was wystawnym obiadem, kiedy już wrócimy do domu.

– Nic nie zrozumiałem z tego, co mówił twój człowiek, gdy spisywałem jego słowa.

Hecht wzruszył ramionami.

– O to też chodziło. – Podszedł do nich Clej Sedlakova. Okaleczony, sprawiał wrażenie dość przypadkowego zestawu członków, a nie całego człowieka. – Sam jeszcze nie do końca wiem, o co w tym chodzi, poruczniku. Ale jestem pewien, że sprawa jest ważna. Panie Sedlakova?

– Sprawa osobista, sir. To znaczy występuję tu w imieniu Bractwa. Mamy zamiar użyć wszelkich naszych sił i wpływów, żeby znaleźć tych, którzy chcieli cię zabić.

– Naprawdę? – Co za zdumiewający pomysł. – Dlaczego?

– Sir? Nie...

– Proszę wybaczyć. Chciałem powiedzieć, że wolałbym chyba, abyście tego nie robili. – Mimo iż obserwatora Bractwa narzucono mu przy sztabie, Hecht dał mu prawdziwą robotę i wykorzystywał jak mógł. Pomysł polegał na tym, by Sedlakovę zrobić istotnym elementem przedsięwzięć tego, którego miał szpiegować.

Clej Sedlakova zajmował się większością spraw personalnych, on też opracował jednolity system szkolenia i wyposażenie dla miejskiej milicji. Cieszył się też pewną reputacją jako saper. Mimo fizycznych niedostatków zawsze starał się brać udział w ćwiczeniach polowych.

Teraz Sedlakova wydawał się lekko urażony reakcją Hechta.

– Prawdziwie rycerska propozycja. I doceniam zainteresowanie. Poważnie. Ale nagle okazało się, że jestem otoczony ludźmi, którzy chcą mnie chronić. Od czasu, gdy wczoraj odzyskałem przytomność, od wszystkich dookoła słyszę, że znajdą tych, którzy to zrobili. A teraz jeszcze Bractwo... Czekał chwilę. Czekał chwilę. Wy macie też inne źródła, nieprawdaż?

– Słucham? – Konsternacja.

– Kiedy pułkownik Ghort i ja ścigaliśmy ludzi, którzy urządzili na nas zasadzkę, wypłynęło pewne imię. Rudenes Schneidel.



- Słyszałem. – I najwyraźniej imię miało swoją wagę. – Czarownik.
- Schneidel miał rzekomo jakieś powiązania z Niepokalanym. Ghort wysłał ludzi do Viscement. Ale nie potrafili znaleźć tych powiązań. I nie potrafili znaleźć Schneidela. Wyjechał do Artecipei.
- Kolejna postać z tego mistycznego gniazda. Jak Starkden.
- Właśnie. A Starkden była na czele listy proskrypcyjnej Bractwa, zanim bodaj o niej usłyszałem.
- Na liście Specjalnego Oficjum. Łowców Czarownic.
- Może Schneidel też jest na ich liście. Może mogą mi powiedzieć coś ważnego na jego temat.

Sedlakova wzruszył ramionami.

- Mogę spróbować coś znaleźć. Ale niewykluczone, że w tym celu będę potrzebował pomocy Łowcy Czarownic. A tych ludzi ostatnio zrobiło się jakoś dziwnie mało. – Odszedł i wyglądało to tak, jakby zestaw jego członków nieharmonijnie i dość przypadkowo zmierzał po prostu w jednym kierunku.

Consent mruknął:

- Popęniłbyś błąd. Nie należy obrażać żadnej frakcji Bractwa.
- Uczę się. Muszę się zobaczyć z prowincjałem Delarim. Jeszcze raz dziękuję. – Poklepał portfel kurierski.

Prowincjał Delari utrzymywał kilkoro służby, która nie mieszkała na miejscu i rzadko więcej niż jedno z nich było w domu. Wszyscy pracowali u niego już od wielu lat. Na pukanie Hechta odpowiedział sędziwy starzec. Gotował dla prowincjała.

– Dobry wieczór panu – powiedział. – Oznajmię pańskie przybycie panu Armandowi.

– Dziękuję. – A więc oczekiwano go. Dlaczego jednak prowincjał przyprowadził chłopca?

Wkrótce pojawił się Osa Stile.

– Jeszcze go nie ma. Jest w jednym ze swych tajnych miejsc. Ale to nie powinno potrwać długo. Powiedział, że masz zaczekać.

– Tak powiedział, co? Skąd mógł wiedzieć...?

– To logiczne założenie.

– Tak myślę. Zaczekam.

– Głodny?

– Tak. Ale nie rób sobie kłopotu. Towarzystwa również nie potrzebuję. Przyniosłem sobie pracę.

– Jak chcesz. Ja też mam coś do zrobienia.

Hecht skrył zaskoczenie. Rozsiadł się wygodnie. Starzec przyniósł wino, ciastka, ser i kiełbasę. W tej części świata kiełbasa była wszechobecna. Zjadł. I przeczytał, co Bo Biogna miał do powiedzenia Titusowi Consentowi.

Bystry Bo. Zrelacjonował wszystko, co mógł chcieć wiedzieć Piper Hecht, używając słów, które Consent mógł rozumieć dwuznacznie. Szkoda tylko, że Titus sam był bystry i zapewne przejrzał na wylot wysiłki Bo.

– Piper.

Hecht zaskoczony poderwał się na nogi.

– Wasza miłość. Przepraszam. Przeglądałem dokumenty. Zasnąłem.

– Zła noc? Mało snu?

– Otóż to. Po części dlatego tu jestem.

– Nie ustaliłem jeszcze, kto ponosi winę za wszystko, ale wyeliminowałem ewidentnych podejrzanych.

– Winę ponosi artecipeański czarownik imieniem Rudenes Schneidel. Nie mam pojęcia, dlaczego chce mojej śmierci. Ale tego samego chcieli Starkden i Masant el-Seyhan. Szczerze mówiąc, mam już tego dosyć. Nie powinien próbować zabić Anny i dzieciaków. Ani sąsiadów, tylko po to, żeby mnie dostać.

– Uspokój się.

– Przepraszam, wasza miłość. To nie przez Rudenesa Schneidela tu jestem. Chodzi o Clovena Lutego.

– Dziewiątego Nieznanego? – zdziwił się Delari. – A co on ma z tym wspólnego?

– Najpierw powiedz mi, co się z nim stało.

– Na ile wiem, nie żyje. Czemu?

– Widziałeś ciało?

– Nie. Dlaczego?

– Pewien człowiek pojawia się wszędzie tam, gdzie coś się dzieje. Widziałem go ładnych parę razy. W noc nawrócenia Titusa Consenta. W sąsiedztwie domu Anny. W Rejonie Zamkniętym tego dnia, gdy zawalił się hipodrom. Wśród gapiów przyglądających się, jak braliśmy do niewoli księcia Clearenzy. Redfearn Bechter widywał go jeszcze częściej niż ja. On

mi go wskazał... Pułkownik Ghort też go widział. Spodziewam się, że Anna i dzieciaki też go zobaczą.

Delari zmarszczył brwi skonfundowany.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Tylko kreślę tło całej sytuacji. Kiedy ten człowiek pokazał się w Rejonie Zamkniętym, Hugo Mongoz wyteńczył wzrok i zapewnił mnie, że to Cloven Luty. Był pewny.

– Prowincjał Mongoz jest starszy niż większość brotheńskich pomników. A jego umysł jest w jeszcze większym stopniu dotknięty erozją.

– Z tym jestem w stanie się zgodzić. Ale człowiek ten pasuje do wszystkich opisów Clovena Lutego, jakie w życiu słyszałem. Pożyczyłem kogoś od Ghorta. Kazałem mu chodzić za tym człowiekiem, nie dając mu na początek właściwie nic więcej. W teczce jest jego raport. Wiele wyjaśnia. Jednak kwestią zasadniczą jest to, że on mieszka w twojej miejskiej rezydencji.

Delari wyglądał na przerażonego. Przez chwilę tak krótką, że Hecht nie miał pewności, czy sobie wszystkiego nie wyobraził.

– Nie.

– Co?

– Jeżeli to duch... Dom należał do Clovena Lutego. Dawno temu.

– Naprawdę? Myślałem, że jest własnością twojej rodziny. Że wybudowali go twoi przodkowie.

– Wybudowali. Cloven Luty był moim dziadkiem.

– Och. – Dlaczego był zaskoczony? A jednak był.

– To wymaga namysłu. I dalszego śledztwa. Jakoś wam się układa z Heris?

– Z kim? Ach. Z blondynką.

– Tak. Z nią. Heris. Moja córka. Jak już niejednokrotnie wspominałem. Układa się wam? Rozmawialiście?

Ton głosu starego brzmiał dziwnym, jakby zupełnie nowym diapazonem niepokoju. Czekał na coś. A Hecht nie chciał mu tego dać.

– Rozmawialiśmy o tym, jak uniknąć wzajemnego grania sobie na nerwach. Nie jest szczególnie zadowolona, że ma nas u siebie. Wydaje się typem dość samotnym. Anna z początku jej nie lubiła, ale potem Heris sparzyła kawę. To pomogło.

Nie to chciał usłyszeć stary prowincjał.

- Masz tu jeszcze coś do roboty, Piper? A może w Castella?
- Zawsze jest coś do roboty. Ale nie mam nic takiego, z czym musiałbym się uporać do rana.
- Wobec tego od razu zajmujemy się całą sprawą. W innym razie... Z wiarygodnego źródła wiem, że długo już nie pozostaniesz w mieście. Wzniosły podjął decyzję w sprawie Connec.
- Choć znów go to nie zaskoczyło, Hecht zaklął. Delari rzekł:
- Masz rację. To głupota. Ale on jest Nieomylnym Głosem Boga. A gdyby Bóg nie zgadzał się z tym, co on mówi, zamknąłby mu przecież usta.
- A gdyby ktoś się sprzeciwił i uciszył Głos?
- Wówczas ten ktoś okazałby się Dłonią Boga w działaniu, czyż nie? A skutek i tak zgodny byłby z Wolą Boską, nieprawdaż?
- Był to nieomal pramański sposób widzenia świata. Sposób na usprawiedliwienie wszystkiego, niezależnie jak byłoby niegodziwe.
- Armand!
- Osa Stile pojawił się jakby za sprawą magii. Podśluchiwał. Albo próbował.
- Wasza miłość?
- Jedziemy do miejskiej rezydencji. Zajmij się przygotowaniami. Chłopak lekko skłonił głowę. Wydawał się zbity z tropu. Więc nie słyszał.
- Ruszaj! Czas, abyś przydał się tu na coś.
- Hecht kątem oka dostrzegł mrugnięcie prowincjała.
- Oczywiście, wasza miłość.
- Kiedy Osa Stile odszedł, Hecht zapytał:
- Odkryłeś coś więcej na temat mojego pierścienia?
- Delari zmarszczył brwi.
- Pierścienia?
- Dałem ci pierścień, żebyś go obejrzał. – Powoli zaczynał sobie przypominać pewne fakty dotyczące pierścienia. Na przykład, że pokazał go Polowi tego dnia, gdy otrzymał go od Divina Bruglioniego. Czy Polo wspomniał o tym w obecności Paludana lub Gervase Saludy? Czy będą pamiętać? Hecht przypominał sobie nawet, że przyznał, iż otrzymał pierścień od prowincjała Divino. Czy zmarły mówił o tym komuś?
- Och. – Delari znów zmarszczył brwi. – Dałeś. Gdzie ja go podziałem?
- Rzekomo pierścień potrafi sprawić, abyś o nim zapomniał. Ale zadaję sobie pytanie, czy nie jest możliwy efekt odwrotny? Może nagle wszystko

sobie przypomnisz? – Czy dlatego właśnie Gervase Saluda zniecka się zainteresował?

– Teraz już pamiętam. Chciałem tak wszystko urządzić, żebyś mógł go zatrzymać przy sobie. Nawet gdybyś miał o nim zapomnieć, dzięki niemu mógłbyś sprawić, że inni by się tobą nie zainteresowali. Nie gwarantowałyby ci niewidzialności, jak pierścienie czy peleryny w bajkach, po prostu nikt by nie pamiętał, że cię widział.

– To nie byłby wcale taki dobry pomysł. W końcu mam być Naczelnym Wodzem.

Przez kilka chwil jeszcze rozmawiali o pierścieniu. Wreszcie Delari zaopiniował:

– Szok wywołany wybuchem jest najbardziej prawdopodobną przyczyną tego, że sobie przypominałeś. Powinieneś wszystko spisać. Od razu. Aby zachować informację na wypadek, gdybyś znowu zapomniał.

Hecht jęknął, zastanawiał się przez chwilę.

– Być może to dobry pomysł.

– Usiądź tutaj.

Czas mijał.

Pojawił się Osa Stile.

– Wszystko przygotowane, wasza miłość – oznajmił. – W każdej chwili możemy jechać.

– Jeszcze kilka minut, Armand.

Anna i wnuczka prowincjała Doneto doszły do porozumienia. Teraz razem wyszły przed dom, żeby przywitać przybyłych. Było już późno. Dzieci i służba domowa wycofały się na spoczynek. Anna nie wstydziła się okazać swoich uczuć, choć wydawała się wciąż zdenerwowana.

Armand z forysiami zajęli się wnoszeniem utensyliów prowincjała do domu.

– Gdzie twoi ochroniarze, Piper? – dopytywała się Anna.

Więc tak. O to jej chodziło.

– Ach...! Zapomniałem o nich.

Anna spojrzała z nadzieją na Delariego, a potem z wściekłością na Hechta, spojrzeniem, które obiecywało, że nie będzie więcej żadnego zapominania.

Prowincjał Delari wziął wnuczkę na bok. Zaczęli rozmawiać – on z zapałem, ona powoli, nieustannie marszcząc czoło. Potem skłoniła pokornie

głowę i odeszła.

– Nie powinien jej tak surowo traktować – powiedziała Anna. – Wiodła straszne życie, póki Grade Drocker nie znalazł jej parę lat temu.

– Ach, tak.

– Dużo rozmawialiśmy. Spojrzałam zupełnie nowym okiem na to, jak mimo wszystko miałam dobrze.

– I?

– Jej matka, ona i jej cała rodzina zostały schwytane przez handlarzy niewolników, kiedy miała pięć lat.

Hecht przypomniał sobie, jak Delari wspominał, że matka kobiety była niewolnicą wyzwoloną przez Grade'a Drockera w Ziemi Świętej. A więc później z powrotem trafiła w niewolę.

Anna mówiła dalej:

– Handlarze niewolników sprzedali ich różnym nabywcom. Drocker był już w Bractwie postacią tak znaczną, że mógł wykorzystać swe wpływy, aby ich poszukać. Ale znalazł tylko ją. Czy to nie straszne?

Straszne, ale taki był świat. Tego rodzaju historie działy się każdego dnia.

Anna umilkła. Prowincjał Delari podszedł do nich i rzekł:

– Piper dołącz do mnie w cichym pokoju, najszybciej jak będziesz mógł.

– Wasza miłość?

– W pokoju, w którym rozmawialiśmy podczas confirmacji Consenta.

– Och. Rozumiem.

– Szczerze wątpię. Ale przyjdź. Heris zaparzy kawę. Z ziaren ambonypsgańskich.

– Tak, wasza miłość.

– Nie ociągaj się. – Delari poszedł dalej, by nakrzyczeć na swą męską dziwkę i forysiów.

Hecht zerknął na Annę. Zmarszczył brwi. Zareagowała wzruszeniem ramion. Ona też nie wiedziała, o co chodzi.

Prowincjał Delari powiedział:

– Nie chciałbym urazić pani uczuć, pani Mozilla, ale ta sprawa nie dotyczy pani. Proszę, zajmij się dziećmi.

Hecht był zdumiony. To graniczyło z impertynencją. Ale może to przywilej wynikający z życia tak długiego, że czyni z człowieka właściwie postać historyczną? Zwrócił się do Anny:

– To prywatna sprawa, kochanie. Najwyraźniej. – I po chwili: – To jego dom.

– Oczywiście.

Prowincjał Delari spacerował po pomieszczeniu, marszcząc czoło. Przypomniał Hechtowi:

– Za warstwą gipsu jest kamień z kamieniołomów w Ziemi Świętej, niedaleko miejsca narodzin Aarona. Jedną z tradycji twierdzi, że ojciec Aarona pracował w tych kamieniołomach.

Przybyła wnuczka prowincjała z kawą. Hecht poczuł, jak ślina napływa mu do ust.

Delari zamyślił się.

– Ten dom jest w rodzinie od wieków. Usiądź gdzieś, Heris. Uspokój się.

Blondynka podała kawę, a potem zajęła miejsce. Ostatnią propozycję puściła mimo uszu. Napiła się kawy i czekała w napięciu.

Hecht westchnął. Kiedy piła, wydawała mu się jakoś znajoma.

– Piper?

– Nic, wasza miłość. Jakies niejasne wspomnienie, które wymknęło mi się, zanim zdążyłem je uchwycić.

– Aha. Więc mówiliśmy o domu. To znaczy, miałem wyjaśnić. W rodzinie od wieków. Przekazywany z ojca na syna. Jak zwykle. Wyjątkiem jest to, że wszyscy zostawaliśmy członkami Kolegium.

– Jak to możliwe, skoro kler rzekomo nie może się żenić, a dzieci z nieprawego łoża nie dziedziczą po swoich ojcach?

– Władza i pieniądze, Piper. One potrafią nagiąć najbardziej nawet żelazne reguły. Nasza rodzina od zawsze zasobna była w tę pierwszą. Dlatego wolą mieć nas w Kolegium, niż pozwolić działać na własną rękę. Czarownicy, których nie ma się po swojej stronie, zawsze sprawiają wiele kłopotów. Członkiem Kolegium z naszej strony zostaje zazwyczaj największy nasz czarownik. Dzięki temu potrafimy znaleźć niekonwencjonalne rozwiązania rozmaitych spraw.

– Oczywiście. – Władza i pieniądze mówią zrozumiałym głosem. Gdziekolwiek się jest.

Delari zwrócił się do kobiety:

– Mamy pewien problem, Heris. Dotyczący rodziny i domu.

– Tak? – Najwyraźniej nie to ją kłopotowało.

– Wiarygodni świadkowie widzieli, jak Cloven Luty wchodził do domu i wychodził.

– Co?

– Mężczyzna, taki wysoki, zawsze nosi brązy. Podobny do twojego ojca. Zanim przytrafiło mu się tamto nieszczęście w Sonsie. – Głos Delariego stwardniał. – Na ile lat wygląda, Piper?

– Czterdzieści pięć. Mniej więcej. Zdecydowanie nie na swój prawdziwy wiek.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nikogo takiego nie widziałam. Poza tym, czy Cloven Luty nie umarł? Powiedziałeś, że już był stary, gdy ty się urodziłeś?

– Racja. Powinien od dawna nie żyć. Ale ktoś, w kim rozpoznano Clovena Lutego, wchodził i wychodził z tego domu. Musimy się tym zająć. To może się okazać nadzwyczaj ważne.

– Turking czy Felske mogą coś wiedzieć. Albo pani Creedon. Większość tego, co dzieje się w domu, uchodzi mojej uwagi. W wielu pokojach nigdy nie byłam.

– Wkrótce się to zmieni. We troje dokładnie sprawdzimy dom. Piper?

– To był długi dzień. Wczorajszy też nie był dla mnie łatwy.

– Jesteś tysiąc lat ode mnie młodszy, Piper. Ale poszukiwaniami zajmiemy się później. Teraz chciałbym cię zapytać, co pamiętasz z najwcześniejszego dzieciństwa?

– Było bardzo zimno. – Prawda. Wspomnienie chłodu należało do najwyraźniejszych obrazów z dzieciństwa. – Nawet w tamtych czasach w Duarnenii trzy pory roku zasługiwały na miano zimy. Pamiętam, że chciałem szybciej dorosnąć, żeby mieć w brodzie kryształki lodu, jak ojciec, gdy przychodził z dworu. Mama dużo płakała... Często chowała twarz w jego brodzie, żeby skryć łzy. Była taka szczęśliwa, kiedy wracał. Kiedy go nie było, spędzała całe godziny ze wzrokiem wbitym w drzwi. Cały czas przerażona, że nigdy już się w nich nie pojawi. A potem, pewnego razu, nie pojawił się. Przyszedł jego brat, Tindeman. A my wszyscy zaczęliśmy płakać, zanim powiedział choć słowo. Wtedy zrozumiałem, że nigdy nie będę tak dobrym chaldaraninem, aby pójść w ślady Roberta Hechta. Mamie złamało to serce i umarła. W dniu, gdy ją pogrzebaliśmy, moi bracia ruszyli na wschód, by pomścić tatę. Kazali mi zostać w domu, ponieważ byłem za młody. Godzinę po ich odejściu,



wziąłem stary, zardzewiały długi sheardański nóż, skórzany hełm i trzy funty sera, a potem ruszyłem na południowy zachód. Zanim dzień dobiegł końca, złamałem nóż i nie mogłem się bronić, kiedy mnie pobili i zabrali mi ser. Hełm uratował mi życie. Miałem go do czasu, kiedy nas uwięzili w Plemenzy. To był mój talizman na szczęście. Nie zwrócili mi go.

Prowincjał Delari i kobieta patrzyli na niego w osłupieniu.

Sam był zadziwiony. W miarę jak snuł opowieść, wierzył prawie w każde słowo.

Delari zapytał:

– Są jakieś szanse, że twój ojciec się pomylił, Heris? Najmniejsze nawet szanse?

– Nie, dziadku. Konsultowałem się w tej sprawie z samymi Delegaturami.

– Rozumiem. Poszło ci całkiem nieźle, Piper – powiedział Delari. – Co ty pamiętasz z najwcześniejszego dzieciństwa, Heris?

Kobieta obrzuciła Hechta dziwnym spojrzeniem.

– Było prawie tak, jak on powiedział. Matka okropnie się zamartwiała. Ojciec cały czas przebywał poza domem, walczył. Kiedy już wracał, nigdy nie zostawał na długo. Płakaliśmy, kiedy wracał do domu, ponieważ byliśmy tak szczęśliwi, mogąc go widzieć. Potem płakaliśmy, kiedy wyjeżdżał, ponieważ nie chcieliśmy, aby nas opuszczał. Matka zawsze błagała, by został. Nie chciał. Nie mógł. Czas spędzany z nami był czasem ukradzionym wielkiemu dziełu jego życia.

– Ona trochę koloryzuje, ale taka była prawda – wtrącił Delari – Mój syn... możesz mówić na niego Grade Drocker, ponieważ takim nazwiskiem wolał się posługiwać... żył dla swojej misji. Widziałeś go. Nawet pod koniec... Odrzucał swe dziedzictwo i samego siebie, żeby móc walczyć z Nocą. I na samym końcu na nic mu się to zdało.

Kobieta kontynuowała:

– Kiedy pojawili się handlarze niewolników, ścigał potwory w Ziemi Świętej. Tamci przybyli nocą. Zaskoczyli wszystkich. Nikt nie widział wcześniej statków. Tak twierdziła matka. A przecież nie miało tak być. Od lat nie było żadnych napaści. Aparion i Dateon miały odstraszać handlarzy niewolników Przez całą drogę na statek to powtarzała. Właściwie nic więcej nie pamiętam z tej nocy.

Ziemia usunęła się Piperowi Hechtowi spod stóp.

Jego najwcześniejsze wspomnienie dotyczyło sytuacji, gdy śmierdzący mężczyźni mówiący obcym językiem ciągną go na pokład statku. Statek udawał jednostkę handlową. Handlarze brali tylko młodsze kobiety, dziewczęta i małe dzieci. Dziesiątkami.

To najwcześniejsze wspomnienie również nawiedzało jego sny. Kiedy się budził, nic nie pamiętał. Trzydzieści lat spędził na odpychaniu od siebie tych wspomnień.

Prowincjał Delari i kobieta wpatrywali się w niego z napięciem. Delari powiedział:

- Wydajesz się poruszony.
- Myślę o tym, co ona powiedziała. Żyjemy w okrutnym świecie.
- Podgrzej mu kawę, Heris. Piper, mam zamiar spróbować rzucić na ciebie drobny czar.

Hecht odzyskał panowanie nad sobą. Przynajmniej zewnątrz – w środku wciąż trwała burza uczuć.

Wspomnienia. Miał siostrę imieniem Heris. Starszą siostrę.

Delari wspomniał raz, że Heris była jak dwie krople wody podobna do matki.

Idealnie wpisywała się w strumień dręczących go obrazów.

- Przypuszczam, że już to zrobiłeś. Co było w kawie? – Jednak amulet wciąż tylko leciuteńko swędział.

Delari zapytał:

- Jeszcze raz zapytam: pewna jesteś, że się nie mylił, Heris?
- Całkowicie. Wydał fortunę i spędził wiele lat, żeby się upewnić. Gdzieś tutaj lub w Castella są kopie jego archiwów. Od momentu, gdy dowiedział się o naszym porwaniu, cały czas nas szukał i ścigał ludzi, którzy nas zabrali. Dopadł praktycznie rzecz biorąc każdego, kto był wówczas na pokładzie tamtego statku. Umierali, wiedząc za co. Z wyjątkiem ostatnich kilku. Starkden, która wszystko zaplanowała, i kilku devów, którzy sfinansowali ekspedycję. Gdziekolwiek obecnie ojciec przebywa, pewna jestem, że jest zadowolony z losu, jaki spotkał Starkden. Ale z devami rzecz ma się inaczej. Wciąż nikt ich nie znalazł.

Delari odkaszlnął. Potem spojrział na Hechta.

Piper wciąż nie czuł pod stopami ziemi. Na coś takiego nie był gotów.

- Staralem się delikatnie naprowadzić cię na prawdę w nadziei, że sam ją odkryjesz. Ale ty jesteś nadzwyczajnie, konsekwentnie i uparcie ślepy –

powiedział prowincjał.

Blondynka westchnęła ze znużeniem. Podeszła i stanęła przed nim.

– Nic nie pamiętasz, Gisors?

– Gisors? – zapytał.

– Takie imię dał ci mój syn. Nie wiem, dlaczego. To wschodnie imię. Podobnie jak imię Heris. Ale dalej będziemy cię nazywać Piper. Przywykłeś do tego imienia, poza tym wszyscy cię pod nim znają. Dzięki temu nie będzie pomyłek. Jest już zdecydowanie za późno, żeby cię przedstawić światu jako od dawna utracone dziecko.

Hecht chciał zaprotestować. Zaprzeczyć. Zagrzebać się wygodnie z powrotem w swoich historiach o Duarnenii. Sprzedał je im przecież w sposób prawdziwie mistrzowski. Z tym, że ci ludzie po prostu nie chcieli ich kupić.

Więc milczał. Do niczego się nie przyzna. Niezależnie od wszystkiego. Jakkolwiek nim to wstrząsnęło. Był sha-lugiem. Był najbardziej obiecującym owocem Szkoły Żywiolowego Narybku.

– Handlarze niewolników byli devami – ciągnęła Heris. – Dzięki temu udało im się wprowadzić do zatoki statek z tyłoma ludźmi na pokładzie. Dlatego też ojciec nienawidził devów. Dlatego znalazł się tam, w Sonsie. Wszyscy sądzą, że był tam, ponieważ Bractwo chciało splądrować dzielnicę devów. Pozwalał na to, nie przeczył. Wykorzystał ich chciwość. Ale przybył z Runch tylko dlatego, że się dowiedział, iż jacyś devowie spośród tych, którzy sfinansowali napaść, akurat przebywają w Sonsie. Był okrutny i inteligentny. I chytry. Wykorzystał Bractwo Wojny dla realizacji swej zemsty. I nikt się nie zorientował. Ponieważ dawał im to, czego chcieli.

Oblicze Hechta nie zdradzało żadnych emocji. To było zbyt absurdalne, aby mogło być prawdziwe.

Wydawało im się, że wiedzą, kim on jest. Musieli go zdradzić jacyś devedianie, którzy wiedzieli. Albo Anna. Może Titus Consent. To wszystko sztuczka mająca go nakłonić, by się otworzył.

– Kiedy zrozumiał, kim musisz być, twój ojciec... On wybaczył ci to, co mu zrobiłeś.

Czy sha-lug Else Tage wystrzeliłby ładunek, który okaleczył Grade'a Drockera i doprowadził do jego powolnej śmierci, gdyby wiedział, że czarownik Specjalnego Oficjum jest jego rodzonym ojcem?

Niewykluczone. Gdyby nie wiedział nic więcej poza tym. Nie miał powodów, by kochać Grade'a Drockera. I odwrotnie. Ledwie parę dni wcześniej Tage próbował go zabić.

– Upierał się, by powierzono mu dowództwo nad kampanią calzirską. Chciał cię chronić i zadbać o twoją karierę.

W głowie Hechta kłębiły się setki pytań. Żadne nie znalazło drogi do jego ust.

Nie będzie się kłócił, żeby nikogo nie rozdrażnić. Ale też do niczego się nie przyzna.

– Nie udało mu się. Kiedy było już oczywiste, że jego dni są policzone, pojawiłem się, żeby podjąć jego dzieło. Sam próbowałem zaopiekować się twoją karierą. Odniosłem na tym polu kilka sukcesów. Ale nigdy takich, na jakie liczyłem. Mój wnuk stał się pierwszym żołnierzem chaldarańskiego świata. Ale za nic nie chciał przyznać, że jest członkiem mojej rodziny. A poza tym zdarzyło się tak, że po pokoleniach, z których wywodzili się najpotężniejsi czarownicy świata episkopalnego chaldaraństwa, ród zrodził dzieci nie mające więcej mocy niż przeciętny świniopas.

Hecht zaczerpnął uspokajający oddech.

– Myślałem, że zajmiemy się tajemnicą nieoczekiwanie dobrego zdrowia Clovena Lutego.

Delari wymienił z wnuczką rozdrażnione spojrzenia. Prowincjał powiedział:

– Jak sobie chcesz, Piper. Jak sobie chcesz. Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał. Ale radzę ci, żebyś się zastanowił, jakie ryzyko związane jest z upartą odmową zaakceptowania prawdy.

Czy była to groźba? Czy tylko stwierdzenie faktu? A może jedno i drugie?

W myślach zaczął sporządzać listę osób, które mogły wiedzieć, że w swoim czasie był kapitanem sha-lugów Else'em Tage.

Ewentualna liczba okazała się przeraźliwie duża.

– Jeśli to konieczne, mogę być Gisorsem – powiedział. – Nauczyłem się, że czasami muszę być tym, kim każe mi się być.

Nauczył się tego, gdy pozostawał w niewoli u Imperatora Graala. Umiejętność ta przydała się, gdy zatrudnił go Bronte Doneto. W mniejszym stopniu poskutkowała, gdy pracował z rodem Arniena, Bruglionimi i kiedy dowodził Regimentem Miejskim podczas krucjaty calzirskiej. Sztuczka

polegała na tym, aby skłonić ludzi, żeby widzieli, co chcieli widzieć, a równocześnie nie przeszkadzali mu w robieniu tego, co chciał robić.

Prowincjał Delari nie chciał żadnych złudzeń. Chciał, czego chciał. Wyraźnie było to widać po napięciu malującym się na jego twarzy.

– Heris. Zbierz służbę. W kuchni. Stamtąd zaczniemy.

Służba nie była zadowolona. Kucharka pojawiła się w koszuli nocnej, przecierając oczy. Spokojnie domagała się wyjaśnień:

– Długo to potrwa? Wczesnie wstaję.

– Od was zależy, jak długo to potrwa.

Turking i Felske byli z miasta, oboje w średnim wieku. Felske siwiała, a Turking wkrótce miał wyłysieć. Nie znali innego życia niż służba w miejskiej rezydencji. W przeciwieństwie do pani Creedon jeszcze się nie kładli.

– Czy w domu mieszka ktoś, o czyjej obecności mnie nie powiadomiono?

– zapytał prowincjał.

Służba wymieniła zmieszane spojrzenia.

– Więc?

Odpowiedziała pani Creedon:

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co pytasz, wasza miłość.

– Przecież się nie jąkam. I mówię jasno. Kto bez mojej wiedzy i zgody mieszka w moim domu?

Kucharka pokręciła głową. Para służących popatrzyła po sobie, oboje wzruszyli ramionami. Turking powiedział:

– Nikt, wasza miłość. Nie ośmielilibyśmy się.

– A jednak widziano, jak mężczyzna średniego wzrostu, podobny do mojego syna, koło czterdziestki, pięćdziesiątki, zawsze w brązowym ubraniu, wchodził i wychodził z domu.

Służący zaczęli się wiercić pod groźnym spojrzeniem Delariego. W końcu pani Creedon udało się wykrztusić:

– Czy to możliwe, że to młody pan Drocker, wasza miłość?

– Niemożliwe. Nadzorowałem wykonanie jego testamentu. Byłem przy jego kremacji. – Prowincjał spojrział za siebie. – Któreś z was ma jakiś pomysł?

Hecht zapytał:

– Czy ostatnio nie zdarzyło się nic niezwykłego? Jakieś niewyjaśnione odgłosy? Znikające jedzenie? Może któreś widziało ducha?

Służący wyglądali na przestraszonych. Przestraszonych nie na żarty i przypartych do muru.

– Wychodzi na to, że w końcu coś mamy – zauważył Delari. – Pani Creedon. Proszę mi opowiedzieć swoją historię grozy. Turking, Felske, nie przerywajcie. Ale dajcie mi znać, jeśli będziecie coś mieli do dodania. Mów, kobieto.

Ostatecznie nie miała wiele do opowiedzenia. Niewyjaśnione odgłosy. Kroki. I nikogo, kiedy szła zobaczyć. Czuła się obserwowana. Zwykle objawy. Ale żadnej aktywności poltergeista. Żadnych wtargnięć w domenę żywych.

– Felske?

– Duch nie wydaje się szczególnie złośliwy. Nie taki, o jakich słyszałem. Wygląda, jakby mu po prostu nie zależało.

– Rozumiem. Przypuszczam, że to pasuje.

– A może to naprawdę duch? – zapytał Hecht.

– Nie. Pani Creedon, gdzie pani najmocniej czuła obecność ducha?

Hechtowi zrobiło się nieswojo. W grę mogła wchodzić jakaś znaczniejsza Delegatura Nocy. Jego spotkania z tą stroną rzeczywistości nigdy nie były przyjemne. Ale aktywność amuletu była nie większa niż zazwyczaj w obecności prowincjała Delariego. Najbardziej niemożliwego ze wszystkich dziadków.

Delari skonsultował się z pozostałymi.

– Ty też, Heris? – zapytał.

– Nie znam tej części domu. Ale czułam tam na sobie czyjeś spojrzenie.

Stary spojrział Hechtowi w oczy.

– Chodźmy się przekonać.

Kiedy znaleźli się dostatecznie daleko, aby służba nie mogła ich usłyszeć, Hecht powiedział:

– Wasza miłość, publicznie nigdy nie będę mógł uchodzić za tego człowieka, jakiego chcesz we mnie widzieć.

– Dlatego na zawsze pozostaniesz Piperem Hechtem. Żołnierzem, który ma anioła stróża.

Jak to powszechnie bywało w brotheńskich domach bogaczy, miejska rezydencja prowincjała miała wewnątrz patio z ogrodem. Budynek był zresztą znacznie mniejszy niż rezydencje Pięciu Rodzin. Brakowało mu ściany fasadowej, oddzielającej od ulicy. Ogród znajdował się w stanie

dalece posuniętego zaniedbania – wyjątkiem była grządka ziołowa kucharki. Choć w istocie niewiele było widać przy glinianych lampkach, które każde z nich miało w ręku.

– Muszę przeprowadzić remont – zauważył Delari.

Skrzydło domu, w którym się wkrótce znaleźli, przede wszystkim domagało się szczotki i szmaty. Delari znowu odezwał się pierwszy:

– Jeżeli mamy dzikiego lokatora, z pewnością zamieszkał tutaj. Od wieków nikt nie korzystał z tego skrzydła.

– Skoro uważają skrzydło za nawiedzone, nic dziwnego, że tu nie bywają – zauważyła Heris.

Nie tylko sprzątanie było tu potrzebne, ale gipsowanie i malowanie. Warstwa kurzu na podłodze zdradzała ślady czyichś regularnych spacerów.

– Mimo to służba powinna się lepiej wywiązywać ze swoich obowiązków – powiedział Delari. – Ten duch jeszcze nikogo nie ugryzł.

– Nie mają pozwolenia na wydawanie twoich pieniędzy. Ani na zatrudnienie robotników – broniła tamtych Heris.

– Ty masz. Od teraz. Zajmij się wszystkim. Piper? Co?

– Tam.

Coś zaszczękało. W świetle lamp zamigotały drobiny kurzu wzbitego w powietrze.

– Drzwi – powiedział Hecht. – Musiały być uchylone. Nie zauważyłem. – Amulet odezwał się śwędzeniem. Prawie od razu śwędzenie przeszło w ból.

– Wszystko w porządku, Piper? – zapytał Delari.

– Skurcz żołądka. Miewam je czasami.

Prowincjał zmarszczył brwi. Zanim zaczął dalej drążyć temat, Heris zapytała:

– Otworzymy te drzwi, dziadku? – Głos jej się łamał. Była przerażona.

– Hę? Och. Tak. Ruszaj pierwsza. Przecież powiedziałem, że duch jeszcze nic nikomu nie zrobił.

Kiedy pociągnęła za klamkę, na korytarz wylały się potoki jaskrawego światła.

Hecht wskoczył zaraz za nią do wnętrza małego, kwadratowego pokoju. Usłyszał cichy śmiech.

– Jak to się stało, że światło zgasło?

– Miało nas zaskoczyć i odwrócić naszą uwagę. – Hecht jednak zobaczył wyślizgującego się z pokoju mężczyznę.

– Widziałeś? To był on? Naprawdę?  
– Zwyczajny człowiek, chyba że to jakiś naprawdę żwawy duch. Tak czy siak, zdecydowanie Pan Milczącego Królestwa.  
– Cloven Luty.  
– Tak.  
– Twój dziadek?  
– Twój prapradziadek.  
– Wciąż żyje. I wygląda młodziej od Grade’a Drockera, gdy pierwszy raz go spotkałem.  
– Też nie pojmuję, jak to możliwe.  
– Myślałem, że to ty jesteś Panem Milczącego Królestwa – rzekł Hecht.  
– Byłem. Nigdy nie czułem się zupełnie dobrze w tej roli. Ale skoro on żyje, to już nim nie jestem. On jest właściwym władcą. On zarządzał Konstruktem.

– Hę?  
– Mnie brakuje ognia. Mojemu ojcu zresztą również brakowało. Nie mamy w sobie dość silnej dramatycznej żyłki. Obecnie program po większej części popadł w zapomnienie.

Program mógł sobie popaść w zapomnienie, ale nie dotyczyło to lęku, jaki wzbudzał prowincjał. Całe Kolegium drżało przed Munierem Delarim.

– Chodź, Heris.

Delari rozejrzał się po pokoiku. W każdej ścianie były drzwi. Posadzkę i ściany wyłożono polerowanym marmurem, który przy świetle lamp połyskiwał jakby cieliście. Szare żyłki nadawały mu wygląd sera pleśniowego.

Prowincjał Delari zachichotał.

– Nie ma wątpliwości, pokój zdradza jego poczucie humoru. Te drzwi prowadzą na ulicę. Otwierają się w zachodniej ścianie domu. Może ich używać zawsze, gdy nie chce, aby go ktoś zauważył. Drzwi, przez które właśnie wyszedł, doprowadziłyby nas na korytarz wzdłuż zewnętrznej ściany domu. Zaprojektowano je dawno temu z myślą o funkcji obronnej, dziś są zupełnie niepraktyczne. W korytarzu powinno być niewielkie oszklone okienko, które w południe wpuszcza tylko tyle światła, by można było sprawdzić, czy służba wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Hecht i Heris czekali na polecenia. Prowincjał spojrział na nich i znowu zachichotał.



– Potrafię być czasami prawdziwym draniem, nieprawdaż?  
– Ty to powiedziałaś, dziadku – rzekła Heris. – Nigdy nie ośmielę się powtórzyć tych słów.

– O! Bystra dziewczynka. Wszedł tędy, więc sprawdzimy zewnętrzny korytarz. Zostawił nam wszystkie wskazówki, jakie jego zdaniem będą nam potrzebne.

– Wasza miłość? – zapytał Hecht.

– Och, przestań wreszcie, Piper. Idziemy. Wy przodem, ja zaraz za wami. Choć z pewnością nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli Dziewiąty Nieznany będzie w złym humorze.

Hecht precyzyjnie przeszedł przez drzwi. Korytarz za nimi potwierdził najbardziej ponure przypuszczenia prowincjała.

– Jaki to ma sens? – prychnął. – Może się nam wymykać tak długo, jak będzie chciał. My musimy uważać. On nie. Dysponujesz umiejętnościami czarownika. Może czas znaleźć dla nich zajęcie?

Do sformułowania tej sugestii skłoniło go śwędzenie pod amuletem i niepokój, jaki czuł, zaglądając w zgęstniałą ciemność.

– On jest znacznie bardziej utalentowany, Piper. Spuściłby mi lanie.

– Zrób coś, dziadku. Piper ma rację. W przeciwnym razie będziemy błąkać się przez całą noc.

Stary spochmurniał. I zbladł.

W korytarzu zrobiło się znienacka jasno jak w dzień.

Z drzwi znajdujących się kilkanaście stóp przed nimi wypadł człowiek w brązach ze zjezonymi włosami i wytrzeszczonymi oczami. Wyskrzeczając:

– Co zrobiłeś?

Delari odparł:

– Chodź, poznaj moje wnuki.

Mężczyzna w brązach przyjął tę deklarację bez mrugnięcia powieką.

– Dużo czasu ci to zabrało.

Od wstrząsu do spokoju, wreszcie grymasu zirytowania nie na żarty – a wszystko to w ciągu parunastu sekund.

– Nie rób tego! – warknął Hecht, kiedy zdało mu się, że mężczyzna w brązach ma zamiar zrobić coś nieprzyjemnego.

Tamten pohamował się zaskoczony.

– To na pewno Luty? – zapytał Hecht.

– To on. Wygląda dokładnie tak samo, jak wówczas, gdy zostałem jego uczniem. Myślałem, że nie żyjesz, dziadku.

– Miałeś tak myśleć, Muno. Podobnie jak wszyscy pozostali.

– Dlaczego?

– Łatwiej jest się włóczyć po świecie i wtykać wszędzie swój nos, gdy ludzie myślą, że nie żyjesz. Więc tak. W końcu mnie znalazłeś. Wejdźcie. Porozmawiamy o tym, co trzeba zrobić.

– Nie wszyscy uważają cię za zmarłego – stwierdził Hecht. – Prowincjał Mongoz rozpoznał cię w tłumie w Rejonie Zamkniętym.

– Hugo już się urodził jako zadra w dupie. To między innymi z jego powodu zniknąłem. Zbudował swoją karierę na próbach ograniczenia moich funduszy. A chodziło wyłącznie o sprawy osobiste. Przestał być takim dupkiem, gdy tylko Humberto przejął całą sprawę.

– Mój ojciec – wyjaśnił Delari. – Jego syn.

Jeśli w rodowych koligacjach, które wyszły na jaw dzisiejszej nocy, tkwiło choć ziarno prawdy, Hecht był ostatni w długiej linii drani.

Przynajmniej uniknął zostania episkopalnym księdzem. I czarownikiem. Dzięki Bogu i matce, jak podejrzewał.

Cloven Luty zaprowadził ich na swoje skromne, lecz wygodne apartamenty, wyraźnie zdradzające ślady zamieszkania. Tylko żadnych krzeseł nie było.

– Nikogo tu nie przyjmuję – wyjaśnił nie pytany. – A ty nigdy byś się nie zorientował, Muno, gdyby ten chłopak tak mi nie utrudniał zadania ochrony go. I to w sytuacji, gdy polują na niego naprawdę groźni ludzie.

– Wymień choć dwa imiona – prowokował go Hecht. – I wyjaśnij dlaczego.

– Er-Rashal al-Dhulquarnen. Dlaczego, to wciąż pozostaje niejasne, nawet w obliczu posiadanych przeze mnie informacji. W Dreangerze wykluwa się coś mrocznego. Coś, z czego nie zdają sobie sprawy ani kaif, ani Gordimer.

Hecht nie zaprzeczył. To pasowało do jego własnych podejrzeń.

– Potem masz Niepokalanego Drugiego, Anne z Menandu, księcia Tormonda z Connec i wszystkich, którym zależy na tym, by Patriarchat pozbawiony był możliwości narzucenia swej woli. Przerażasz ludzi, jak świat długi i szeroki. Na koniec jeszcze Rudenes Schneidel z Artecipei. Którego pobudki są równie nieprzejrzyste jak er-Rashala. Ukrywa się

głęboko w Wysokich Athafile, w Arn Bedu, kraju nigdy do końca nie ujarzmionym przez imperatorów. Nie da się nasadzić na niego żadnych szpiegów. I choć motywy Schneidela są niejasne, musisz przecież pamiętać, że czarownicy Masant el-Seyhan i Starkden też próbowali się ciebie pozbyć.

– W porządku. Nie mam pewności, czy to kupuję...

– Na tym nie koniec. Kolejka wydaje się jeszcze dłuższa. I żaden z tych twoich ewentualnych zabójców nie ma pojęcia, dlaczego masz zginąć. – Luty dodał: – Na każdy atak, który powiódł się na tyle, byś zauważył, że coś się dzieje, udaremniłem tuzin następnych.

– Dlaczego?

– Należysz do rodziny.

– Nie zaczynaj...

– Milcz! To nie wszystko. Ale zasadniczo o to właśnie chodzi. I żadne twoje kłamstwa na jotę nie zmienią tego, kim jesteś.

Prowincjał Delari zapytał:

– Jesteś pewien, dziadku?

– Nie ma najmniejszych wątpliwości. Choć może on w głębi duszy wierzy w coś innego. Ponieważ nie chce, żeby to była prawda.

– Wiedzieli, kogo nam tu przysyłają? – drążył Delari.

– Nie. Wciąż nie wiedzą. Posłali go, bo chcieli się go pozbyć. Gordimer obawiał się jego popularności wśród żołnierzy. Er-Rashał obawiał się go przez wzgląd na to, co wiedział. Nie mógł go uciszyć na miejscu, bo zrodziłoby to wiele pytań.

Hecht nie polemizował.

– Świat jest pełen głupców.

– A jeden z nich nazywa się Piper Hecht – podsumował prowincjał. – Nie trzeba wiele inteligencji, żeby skojarzyć sobie informacje nawet z trzeciorzędnych źródeł. Ta historia o braciach, którzy splądrowali nawiedzaną nekropolię.

Człowiek w brązach rzekł:

– Młody Piperze, nie musisz się obawiać zdrady. Tylko my troje wiemy, kim naprawdę jesteś.

– Naprawdę? Właśnie wspomniałeś Szakala. A co z pół tuzinem devów, którzy pomogli mi na początku? Albo z Anną? Albo z Ferrisem Renfrowem, mistrzem szpiegów Imperium? – Zdecydował się nie

wspominać Osy Stile, Szkieleta ani pozostałych członków jego oddziału zdradzonych.

Cloven Luty patrzył na niego w milczeniu. Usta wykrzywił mu drobny, wszytkowiedzący uśmiech.

– Byłem Dziewiątym Nieznanym, Piper. Człowiekiem potężniejszym od Patriarchy. Zrezygnowałem z tego, by móc oglądać świat gołym okiem zamiast przez pryzmat Konstruktu. W ten sposób zmarnowałem najlepszą część pięćdziesięciu lat życia. Głównie na zmaganiach z niełaskawym losem. Rajd, w wyniku którego wy, dzieci, trafiliście do niewoli, był całkowitym zaskoczeniem. Gdyby istniało choć najmniejsze prawdopodobieństwo, że handlarze niewolników uderzą tak daleko od zwykłych terenów działania, żadne z was nie trafiłoby do niewoli. Ale nawet sami bogowie nie wystrzegają się niemożliwego.

Mężczyzna zdawał się jakoś nie dorastać do legendy Kolegium. Nie miał dziewięciu stóp wzrostu i nie pierdział piorunami. Po prostu człowiek w średnim wieku, tak przyzwyczajony do władzy, że wydawało mu się niemożliwe, by ktoś go nie wysłuchał. Nic w jego postaci nie przywodziło na myśl nadprzyrodzonej mocy czy stosunków z Nocą.

Ale też nic nie sugerowało, że Muniero Delari był czarownikiem wagi ciężkiej. Mimo to Hecht widział, co tamten potrafi zdziałać. A choć dobrze po siedemdziesiątce, Delari wciąż stał onieśmielony przed obliczem dziadka.

Mężczyzna w brązach rzekł:

– Muno, ty i Heris możecie już odejść. Rozwiązałeś swoją tajemnicę. Przyłączę się do was podczas śniadania.

Delari chciał coś powiedzieć.

– Rankiem, Muno. Teraz muszę porozmawiać na osobności z Piperem.

Heris zachowywała się w tym towarzystwie jak posłuszne dziecko, choć przecież w istocie była dorosłą kobietą, starszą od Hechta. Ruszyła ku drzwiom. Jej oczy zasnuwała mgła.

– Jeśli mogę prosić, to tymi drzwiami. Tamtymi Muno. W interesie całkiem praktycznym. Wychodzą na zewnętrzny korytarz. Będzie ci wygodniej.

– Jak zawsze muszę się podporządkować twojej ocenie sytuacji.

– Nie spodobało mu się to – zauważył Luty, gdy Heris i Delari wyszli.

– A na jego miejscu tobie by się podobało?

– Nie byłbym zachwycony. Zgoda. Sam przez to przechodziłem z moim dziadkiem. On też nie chciał przejść na tamten świat ani pozostać w grobie. Ale w moim szaleństwie jest metoda, by użyć wyświechtanego komunału. Po pierwsze, Muno naprawdę powinien już iść. Ma robotę do wykonania. Od razu. A emocje i długie wyjaśnienia tylko zawróciłyby mu w głowie.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że nie mam zielonego pojęcia, o czym, u diabła, właściwie mówisz.

– Bystry chłopak. Świetnie. Widzę, że dużo się nauczyłeś od swego przyjaciela, Pinkusa Ghorta.

– Jeżeli jest to coś na tyle ważnego, że musiałeś wyrzucić prowincjała...

– Gdzie byłem godzinę temu? Tutaj. Ale nikt o tym nie wiedział. Sam fakt, że zaczęłeś mnie szukać, zmienia wszystko. Teraz nie będę mógł już być duchem w ścianie, który odgrywa rolę twojego anioła stróża. Wiesz, że istnieję, wiesz, że tu mieszkam, Muno też wie i już samo to zmienia twoje nastawienie wobec rozmaitych spraw. Mogę w każdej chwili trafić ze świata legend na świat, gdzie nie tylko ten dupek Hugo Mongoz będzie wiedział o moim istnieniu.

Hecht nie pojmował. Ale jakoś nie miał ochoty na oświecenie.

Luty kontynuował:

– Nie wspomnieliśmy jeszcze o całym szeregu potencjalnych zamachowców. O Delegaturach Nocy.

– Co?

– Duszodawcy, których pokonałeś pod al-Khazen, nie byli ani początkiem, ani końcem twojej wojny z Nocą. Rozumowanie jest wszakże błędne. Nie da się wcisnąć z powrotem dzina do butelki. Z drugiej strony, Noc postrzega czas inaczej niż my. Oni myślą w kategoriach wieków. Rzadko kiedy udaje im się wyłowić z naszego świata konkretne jednostki. Ale ciebie znają. Stanowisz zagrożenie. Jesteś Bogobójcą. Trzeba cię powstrzymać. Dla nas oczywiste jest, że wielu ludzi już połapało się w całej sprawie. Ale dla nich jesteś iskrą, która rozbłysła dostatecznie jasno, by ją dostrzegli.

– Z czego Piper Hecht jakoś nie potrafił zdać sobie sprawy.

Cloven Luty wyjaśnił:

– Przecież już zdecydowałeś, że się przystosujesz do nowej sytuacji. Więc przestań się upierać, że jesteś Piperem Hechtem z Duamenii. Pozwól nam określić, kim chcemy, abyś był. Jak kiedyś pozwoliłeś Ferrisowi

Renfrowowi. Jak pozwalałeś wszystkim, odkąd przybyłeś do Firaldii. Tutaj i teraz powiadam ci... tak między nami, chłopcze... że czas bzdur dobiegł końca. Znam wszystkie szczegóły twojego życia. Ale najbardziej istotne w nim jest to, że przypadkiem wpadłeś na pomysł, jak zabijać Delegatury Nocy. One nie mają pojęcia, jak to zrobiłeś ani jak to jest możliwe, ale widzą twoją iskrę. Tamta noc w Lesie Estery wywarła decydujący wpływ na całą resztę twojego życia. A twoje życie jest tylko jednym z tysięcy. Po obu stronach zasłony między światem a Nocą. Zapewne więcej jest takich po drugiej stronie. Uczą się powoli, ale potrafią zwęszyć niebezpieczeństwo, zanim stanie się naprawdę śmiertelne. Duszodawcy, którzy mieli cię zgładzić, weszli na tę drogę ponad dwieście lat przed twoimi narodzinami. I choć na razie zawiedli, to jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa. Udowodniłeś światu, że istnieje sposób na uwolnienie się spod Tyranii Nocy. Niestety się składa, że ci, którym przyświeca podobny cel, są zakładnikami szaleńca imieniem Wzniosły, który z kolei pozostaje niewolnikiem własnych obsesji. I którym cały czas manipulują ludzie dbający z całych sił, aby nigdy nawet w najbardziej odległy sposób nie zetknął się z rzeczywistością.

– Nie jestem żadnym mesjaszem.

– Oczywiście że nie. Nie możesz proklamować krucjaty przeciwko Delegaturom Nocy. Nie dysponujesz ani wolą, ani umiejętnościami, ani odpowiednim charakterem. Jesteś talizmanem. Totemem żywych. Póki żyjesz, Noc czuje się zagrożona.

– Czy bez mojej osoby nie czułaby się zagrożona, skoro sekret wyszedł już na światło dzienne?

– Rzecz jasna. Ale Noc pozostaje we władzy ograniczeń własnego myślenia mitologicznego. Musisz to zrozumieć. Nie możesz rezonować Nocy, w nie większym stopniu niż krokodyłowi. Ale studiując padające na nią cienie, możesz zrozumieć, co dzieje się za zasłoną.

– Zgubiłem się. Jak zawsze w obliczu takich słów.

Luty kontynuował wyjaśnienia:

– Na całym świecie słabną Studnie Mocy. To samo wydarzyło się w starożytności. Po części dzięki temu ludziom udało się poskromić tamtą generację Delegatur. Potem studnie znów się wypełniły. Miejmy nadzieję, że i tym razem tak będzie. Tymczasem musimy znosić konsekwencje. Obniża się poziom mórz. Lód wędruje na południe. Gromadzi się na

szczytach wysokich gór. Szybko. Całe ludy uciekają przed nim. Mówię tu o Delegaturach Nocy, ale też o ludziach i zwierzętach.

– Zwierzętach?

– Nie minie wiele lat, jak zaczniemy tu spotykać gatunki występujące wcześniej tylko na północy. To akurat nie powinno nastęcać większych problemów. Co innego uchodźcy. Już tu są. Ale najgorsze będą ukryte rzeczy. W miarę jak będą uciekać przed lodem, kontakty między nimi a nami będą się stawać coraz bardziej nagminne. Drapieżcy będą rośli w siłę. Uwięzione, spętane i zmiażdżone potwory dnia wczorajszego zaczną okupować wyobraźnię głupców, karmiąc ich kłamstwami. „Uwolnij mnie, będę twoim Bogiem, przed którym nie będziesz miał innych, a potem wyniosę cię ponad inne narody”. Takie rzeczy.

– Zmartwychwstanie starych diabłów.

– Można to tak nazwać. Nieważne, jak się o nich mówi. Ważne jest, że te rzeczy już się dzieją na skraju lodu. Oraz w innych chłodnych miejscach. W Skraju Connec podobno ukazał się Rook. Ducha Wędrowcy Wichru widziano w miejscu, gdzie twoi wymyśleni przodkowie pokonali pogańskie hordy. Na stepach...

– Pozwól na moment. Kharoulke Wędrowiec Wichru nie jest bogiem Sheardów. Należy do panteonu, który zdetronizowali północni Dawni Bogowie.

– Masz rację. A ci Dawni Bogowie upadli, poniekąd dzięki tobie zresztą. Część ich siły przejął potwór żyjący w górach Jago. Ocaleli zostali zamknięci w kieszonkowej rzeczywistości, która sama z siebie pozostaje uwięziona w zamkniętym królestwie, jakie zbudowali dla siebie dawno, dawno temu. Co oznacza wszelako, że nie są w stanie już panować nad grozą, którą pokonali w akcie swego wyniesienia. Po Wędrowcy Wichru z pewnością pojawią się inni.

– Pojawią się jeszcze gorsze stwory?

– Tak się stanie, Piper. Wszędzie. Ale tym razem możemy walczyć.

– Hm?

Luty, najwyraźniej już zirytowany, warknął:

– Dzięki twojej przeklętej armatce! Jak się nazywała? Falkonet? Srebrny i żelazny pocisk z czegoś takiego zatrzyma najpotężniejszą Delegaturę.

– Nawet Boga we Własnej Osobie?

Luty zawahał się tylko na mgnienie.

– Zapewne. Jeśli przyjmie cielesną postać.

Hecht zadrżał. To była prawda. Bogobójca.

– Czy się to podoba, czy nie, Bóg chaldaran i Bóg praman są tylko uświęconymi skrzatami.

– Przepraszam?

– Skrzatami, Piper. Słuchaj, co mówię. Skrzat: mała, drobniotka Delegatura. Jediną różnicą między ziarnkiem piasku a górą jest rozmiar skały. Skrzat to Bóg, który jeszcze nie urósł.

– Nie ma Boga nad Boga.

– Niemożliwe, żebyś był takim ignorantem. Kiedy będziesz miał wolne pięć minut, wykorzystaj je, żeby się porządnie zastanowić. A potem weź następne pięć minut i zastanów się głębiej.

Hecht zaczął mówić coś, co wynikało z jego wiary. Wiary, na której opierało się jego życie od pierwszych dni w Szkole Żywiołowego Narybku.

– Przestań, Piper. Przecież nie wierzysz już w te bzdury.

Hecht zdał sobie sprawę, że w jakimś sensie faktycznie, nie wierzy. Ale dogmat był tarczą przeciwko rozumowi. Wiara zaś sposobem, w jaki człowiek bronił się przed faktami świata.

– To trudne.

– Nikomu to nie przyszło łatwo, chłopcze. Przez trzy dziesięciolecia godni zaufania starsi karmili cię półprawdami i fałszami, a ich jedynym celem było, aby ten, kto przyjdzie po nich, nasiąkał tym samym nonsensem, który oni zinternalizowali w młodości. A potem nagle zaczynasz odnajdywać szczegóły krajobrazu i kształt horyzontu, którego ci twoja wiara nie wyjaśnia. Zaczynasz nabierać podejrzeń. Ale jesteś częścią swojej kultury, która nie jest w stanie istnieć i rozwijać się, ponieważ przesycona jest nagminną niewiarą w absurd.

Hecht nie potrafił się powstrzymać.

– O czym, u diabła, bełkoczesz, wasza miłość?

– Mówię, że to wszystko bzdury, chłopcze. Episkopalne Chaldarańskie Objawienie. Cała prama. Wszelkie inne religie, o których mógłbyś wspomnieć. Każda religia. Prawda jest taka, że istnieją Delegatury Nocy. Wielkie jak Bóg. Małe jak wodne duszki. Wszystkie neutralne. Wszystkie skończenie niegodziwe w ustach fanatyków innych religii. Wierzący swoją wiarą kształtują Delegatury. Swoją wiarą tworzą rzeczywistość. Zmień umysły prawdziwie wierzących, a zmieni się twarz



ich Boga. Tak właśnie postąpili pierwsi pramianie. I pierwsi chaldaranie. Przed Aaronem i Założycielami devedianie przekonali się, że nie mogą już dłużej czcić surowego boga dainschauów.

– Twierdzisz, że nie ma żadnego znaczenia, w co wierzę? Że Bóg ma taką twarz, jaką zechcę mu nadać? Że każde wyznanie, jakkolwiek heretyckie, jest tyle warte co wszystkie pozostałe?

– Jest to dość brutalny sposób sformułowania mojej myśli. Ale bliższy prawdy, niż przyznałaby większość parających się moją profesją.

Hecht był szczery.

– Potrzebuję fundamentu.

– Większość ludzi potrzebuje. Jest to rzecz niezbędna dla ich duchowej pomysłowości. Muszą być cegłą w wielkiej budowlu, żeby nie czuć się pozbawionymi znaczenia.

– Jestem zadowolony ze swego życia.

– Świetnie. Ale co ci z tego w sytuacji, gdy szpony Nocy ciągną cię w dół. Pamiętaj: ani mój, ani twój Bóg nie pokazał się pod al-Khazen. Ale bogowie tam byli.

Bogobójca zastanowił się: Któż inny, jak nie Bóg Który Jest Bogiem, natchnął go, aby naładował falkonet srebrem tamtej nocy w Lesie Estery?

Cloven Luty znów nieznacznie się uśmiechnął, zdradzając, że wie doskonale, o czym Hecht myśli. Powiedział:

– Nie jestem naganiaczem Przeciwnika, Piper. Staram się rozdmuchać tę drobną iskierkę rozumu, którą masz w sobie. Musisz wystrzegać się rzeczy, które nie są tym, czym się wydają.

– Tak. – Z nutą sarkazmu.

– Weźmy na przykład amulet, który nosisz. Przydaje się, nieprawdaż? Bez wątpienia wiele razy ratował ci życie. Ale teraz stał się poważną przeszkodą dla twego wielkiego wroga, który pewnie po dziś dzień przeklina samego siebie, że ci go dał. Na dodatek nadając mu taką właśnie postać.

– Panie?

– Uspokój się. Jak dotąd nikt jeszcze nie wykazał się umiejętnościami koniecznymi do jego wykrycia. Choć Bronte Doneto i Muno z pewnością podejrzewają, że jest w tobie więcej, niż widać gołym okiem.

Hecht zmilczał. Zacisnął usta. Nic nie powie.

– Osobiście sędzę, że er-Rashal wykrył coś bardzo niepokojącego, kiedy wyposażył cię w amulet i posłał w drogę. Może dowiedział się tego od mumii. Może kluczowe okazało się doświadczenie z Lasu Estery. Nagle stałeś się znacznie bardziej cenny, żywy lub umarły. Ale przez ten amulet nie mógł uderzyć bezpośrednio w ciebie. Wynajęci przez niego ludzie zawiedli w trakcie frontального zamachu w Runch... – Wyraźnie stary myślał teraz na głos. – Fiasko w Sonsie. Zresztą nie była to wina er-Rashala. Grade został ostrzeżony, że na statku może znajdować się człowiek, którym się interesuje, ale nie dlatego ruszył w podróż. Porażka w Węźle Ownvidiańskim. Poważna porażka, którą ponieśli Starkden i al-Seyhan, zarówno tu, jak i pod al-Khazen. Niepowodzenia duszodawców, a nawet Tego Który Dławi Głos. I potem kolejne, liczne porażki. Wygląda to prawie tak, jakbyś miał anioła stróża w postaci jakiejś Delegatury.

– Wielkie dzięki.

– W wypadku wózka z prochem strzelniczym omal nie zawiodłem. Czy zawsze będzie mi dopisywać szczęście? Amulet. Wiem, jakim błogosławieństwem się okazał. Ale i na niego przyszedł już czas. Dzięki niemu mogą cię znaleźć.

Hecht już chciał machinalnie przytaknąć. Wyczerpanie dawało mu się we znaki. Stary obiecał mu:

– Dam ci w zamian coś lepszego. Gdy tylko będę mógł. Bardzo boli?

Był już zbyt zmęczony, by udawać.

– Kiedy coś wielkiego znajdzie się blisko, bywa naprawdę źle.

– Naprawię to. Er-Rashal nie jest nawet w połowie tak wielkim czarownikiem, jak mu się wydaje. Usiądź. Niech obejrzę twój nadgarstek. – Luty usiadł na posadzce ze skrzyżowanymi nogami, ujął lewą dłoń Hechta, lekko przesunął palcami po jego nadgarstku. – Szaleniec okazał się sprytniejszy, niż podejrzewałem. Trudno go wyczuć, nawet wiedząc, że tu jest.

– Au!

– Jeszcze sprytniejsze. Mnie też zabolalo. Ale problem polega na czym innym. On się orientuje w momencie, gdy go zdejmujemy. I będzie wiedział, gdzie się to stało. To otwiera przed nami strategiczną sposobność ulokowania cię we właściwym miejscu i o właściwym czasie, tak aby ktoś najadł się trochę strachu.

– Panie, nie jestem szczególnie chytry. Chyba wolę po prostu podrzynać gardła, może to ich zniechęci. Zostaw w spokoju moich ludzi.

– Rozumiem twój gniew. Twoje rozgoryczenie. Świadkiem ilu nieszczęść członków mojej rodziny byłem? Ale takich ludzi jak tamci w ten sposób nie przekonasz. Przecież nie zrezygnowali, mimo iż parę razy cisnąłeś im piaskiem w twarz.

– Powoli mam ochotę naprawdę coś w tej sprawie zrobić.

– Jeżeli będziemy musieli, zrobimy. Jest jeszcze jedna rzecz. Pierścień.

– Hm... Pierścień?

– Pierścień, który przypadkiem otrzymałeś od prowincjała Bruglioniego. Pierścień zapomnienia. Gdzie on jest?

Aha. Zapomniał o nim. Tak szybko.

– Dałem go prowincjałowi Delariemu, żeby go zbadał. Dlaczego?

– Teraz to nie ma znaczenia. Ale może mieć, któregoś dnia. Jeżeli jest to ten pierścień, o którym myślę, że jest.

– Grinling?

– Proszę?

– Złośliwie paskudny i zdradziecki pierścień magiczny w północnej mitologii. Pod pewnymi względami podobny do naszego.

– To nie ten pierścień. Zresztą tamten prawdopodobnie nie istnieje. Jeżeli jest inaczej, to należy mieć nadzieję, że spoczywa pogrzebany pod lodem. Zresztą taki artefakt można stworzyć chyba wyłącznie przy współpracy Delegatur Nocy. Dopiero później zaczyna niezależny żywot. Jeżeli Grinling albo dowolny inny mistyczny miecz, młot, lasso, włócznia runiczna czy co tam jeszcze nie trafił do kieszonkowej rzeczywistości stworzonej przez zbuntowanego duszodawcę, będziemy się z tego powodu martwić wtedy, gdy skusi odpowiedni zły charakter.

Hecht patrzył w milczeniu.

– Wszystko jest realne, pamiętaj. Nie ma Boga ponad Boga. Oraz dziesięciu tysięcy innych bytów, równie niegodziwych. – Z sarkazmem.

– Wasza miłość!

– Przeżyj sto lat na tym padole rozpaczy. Albo bodaj dziesięć wewnątrz Konstruktu. Zobaczysz świat nowymi oczami. Jeżeli uda ci się zachować bodaj resztkę religijnego sentymentu, będzie to raczej rodzaj dualistycznej herezji maysalczyków lub ich teologicznych braci.

– Nie wiem nic na temat herezji maysalskiej, wasza miłość. Ale nie wątpię, że nie minie wiele czasu, nim zapoznam się bliżej z heretykami.

– Nie, to nie potrwa długo. Odzyskaj pierścień. I nie spuszcza go z oka.

Otępiały, wyczerpany Hecht szedł ulicą. Jeden z jego ochroniarzy pomógł dosiąść konia, przyprowadzonego przez innego. Dowodzący sierżant patrzył wściekle, ale nic nie powiedział na temat tego, że wczoraj Hecht uwolnił się spod ich opieki.

W Castella dollas Pontellas wrzało. Hecht nie zwrócił na to uwagi. Pułkownik Smolens zauważył:

– Wydajesz się roztargniony.

– Hm. Łagodnie mówiąc.

– Coś, o czym chciałbyś porozmawiać?

– Sprawy rodzinne.

– Kłopoty z kobietami. – Buhle Smolens brał czasami dni wolne z powodu kłótni z żoną.

– No. – Wymówka wystarczająco dobra. – Co mamy na dziś?

– Od rana kursują najdziksze plotki.

– Gorsze niż zazwyczaj?

– Znacznie. A Consent powtarza, że Dominagua, Stiluri, Vangelis i jeszcze parę miast może się próbować wykręcać ze zobowiązań, kiedy wezwiemy ich kontyngenty.

– Wiemy, że będą kłopoty z Dromedan i Państwami Patriarchalnymi w Ormienden. Heretycy mają tam spore wpływy. Bracie Sedlakova. Dzień dobry.

Clej Sedlakova zauważył:

– Mimo iż dualiści stanowią wygodną wymówkę, tak naprawdę winę ponosi głęboka niechęć do odpowiedzi na wezwanie Patriarchy do broni.

– To znaczy?

– To znaczy, że uważają, iż Wzniosły upadł na głowę. To znaczy, że herezja maysalska nie spędza im snu z powiek na tyle, by z jej powodu zabijali swoich kuzynów i sąsiadów.

– Patriarcha naprawdę stanowi problem – włączył się do rozmowy Titus Consent. – Zawsze można na niego liczyć, że w każdej sytuacji wybierze głupsze wyjście.

– Proszę? – warknął Bronte Doneto. – Co powiedziałeś?

Jakim sposobem Doneto zdołał się niepostrzeżenie znaleźć obok nich? Hecht odpowiedział:

– Ten człowiek stwierdził zwykły fakt, wasza miłość. Zdawał sprawę z tego, co myślą ludzie w Państwach Patriarchalnych. I wszędzie indziej, jak podejrzewam.

Wiarygodność Sedlakovy jako episkopalnego chaldaranina pozostawała poza podejrzeniem.

– Setki biskupów i książąt modlą się codziennie, aby Bóg powołał swego nieomylnego sługę do Siebie, wasza miłość. Taka jest prawda. Nie zmieni się, nawet jeśli gorąco będziemy sobie tego życzyli.

Prowincjał wciąż patrzył wilkiem, ale nie drążył dalej kwestii. Nie był ślepy na nieustannie spadającą popularność kuzyna.

– Naczelnny Wodzu, proszę ze mną.

Dwaj ochroniarze Hechta towarzyszyli mu do centrum planowania. Tym razem nie mieli zamiaru pozwolić, by zniknął im z oczu. Podeszli bliżej. Hecht powiedział:

– Możemy zaufać Jego Miłości. – A nawet gdyby nie było to prawdą, na cóż mogliby się przydać?

Doneto ruszył. Hecht poszedł za nim.

– Czy oni wszyscy są równie niechętnie nastawieni wobec mojego kuzyna? Ty też? – zapytał prowincjał.

– Zasadniczo są. Ja staram się powstrzymywać od osądzania. Widziałem go tylko kilka razy, nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Więc skąd masz wiedzieć. Szybciej. Tracimy czas.

– Wciąż jeszcze odczuwam skutki wybuchu.

Doneto zmierzał ku sektorowi Castella, w którym Hecht nigdy jeszcze nie był. Na dół, korytarzami najwyraźniej rzadko używanymi: zimnymi, mokrymi, strasznymi i oświetlanymi tylko przez lampy, jakie goście przynieśli ze sobą. Doneto powiedział:

– Tu, na dole, nie jest szczególnie przyjemnie. W każdej chwili spodziewam się, że wpadnę na jakiegoś minotaura czy innego potwora ze starych mitów.

– To miejsce wygląda, jakby można było się w nim natknąć na wszystkie Delegatury Nocy – wydyszał Hecht. – Dokąd idziemy?

– Do Krois.

Hecht już więcej się nie odzywał. Przez cały czas starał się nie spuszczać z oka prowincjała Doneto. Nie żeby się czegoś obawiał. Przynajmniej nie tu i nie teraz.

Podziemie. Znowu. Tym razem pod korytem Teragi. Wyobrazenie tej całej wody nad głową sprawiło, że poczuł się, jakby tonął.

– Przygnębiające, co? – zapytał Doneto, kiedy weszli na długie schody. Skręcały w prawo, czyli w kierunku odwrotnym niż zazwyczaj w fortcach. Z czego należało wnosić, że architekci wyobrażali sobie odwrót raczej na dół niż w górę.

Myśli Hechta rzadko oddalały się od kwestii związanych z jego profesją. Nie potrafił spojrzeć na wzgórze i docenić w nim wzgórze – elementu krajobrazu. Natychmiast zaczynał się zastanawiać, jak bronić lub zdobywać ten konkretny element ukształtowania terenu. Tak samo było ze wszystkimi budynkami, ocenianymi z zewnątrz i od wewnątrz. A ten akurat, z pozoru tak bezpieczny na swej wyspie, miał słaby punkt, którym były drogi odwrotu zeń.

Nie podzielił się swymi myślami z prowincjałem.

W końcu natrafili na wartowników. Dwaj strażnicy z gwardii patriarchalnej stali pod łukiem dzielącym klatkę schodową od ukrytej wnęki. Hecht nie lekceważył wojskowych umiejętności obrońców Wzniosłego. Poradzili sobie zupełnie nieźle, gdy calzircy piraci zaatakowali Miasto Ojczyste.

Tamci oczekiwali prowincjała Doneto. Pozdrowili go imieniem, ale nie przepuścili bez oględzin. Wódz Naczelny został sprawdzony jeszcze dokładniej. Tymczasem pojawili się następni gwardziści, wezwani w jakiś tajemniczy sposób.

Hecht miał przy sobie broń, szesnastocalowe ostrze. Patriarchalni nie zabrali mu go. Kiedy on i Doneto szli śladem swej eskorty, Hecht zapytał:

– O co tu chodziło?

– Chcieli się upewnić, czy nie szmuglujemy do środka jakiegoś natchnionego Nocą bezceństwa.

Hecht podrapał się po lewym nadgarstku. Amuletu najwyraźniej nie odkryli.

Er-Rashał al-Dhulquarnen faktycznie był utalentowany.

Hecht przeżył prawdziwe zaskoczenie. Honario Benedocto, który przybrał imię Wzniosłego V, sprawiał wrażenie zupełnie wyniszczonego.

Był blady, pocił się, drżał. Ubranie wyglądało na niezmienniane od wielu dni. Brzydko pachniał. Ledwie można było w nim rozpoznać Honaria Benedocta. A jego zauszników jakby to wcale nie obchodziło.

Hecht wcześniej widział go już kilka razy, wymienił z nim nawet na osobności parę słów. Ten człowiek był cieniem swojego dawnego ja.

Umierał?

Hecht opadł na kolana, dotknął czołem zimnych kamieni posadzki. Doneto wcześniej go poinstruował. Ceremoniał nieznacznie różnił się od form wymaganych w obecności kaifa al-Minfet. Doneto poszedł za jego przykładem, nieco bardziej powściągliwie.

Zausznicy Patriarchy krążyli wokół jak muchy nad krowim łajnem. Naczelnym Wódcz nie znał żadnego z nich.

– Wstańcie – warknął Wzniosły. – Nie mam dziś dobrego dnia. Nie chcę tracić czasu na błahostki.

Krążące muchy zatrzymały się, zaskoczone.

Hecht powstał, ale oczy wciąż miał spuszczone.

– Do usług, Ojczy.

– Możesz to zrobić?

– Co zrobić, Wasza Czcigodność?

– Oczyścić Skraj Connec. Wytępić heretycką zarazę, mieniącą się Poszukiwaczami Światła. Żyję w udręce. Mam tu piekło na ziemi. Nie mogę spać. Nie potrafię utrzymać jedzenia w żołądku. Te gdaczące stare kwoki powstrzymują, opóźniają i dekoncentrują mnie... Nadszedł czas, by spełniła się Wola Boża. – Drobnym człowieczekem zatrzęsł się, jakby przeszyty nagłym dreszczem.

Hecht przeżegnał się, wciąż nie unosząc oczu.

– Niech się dzieje Wola Boża.

Wzniosły lekko zatoczył się do tyłu. Opadł w masywny fotel, w którym jego postać zdawała się gubić. Nie spowijała go już atmosfera jego chwały.

Po dłuższej chwili milczenia Wzniosły wykrzyknął:

– Wy, wszyscy! Wyjdźcie! Chciałbym narodzić się na osobności z Naczelnym Wódczem.

Zausznicy i sekundanci Wzniosłego oraz prowincjał Doneto zaprotestowali jednym głosem.

– Zostawcie nas samych! – wyskrzecztał tamten niczym kurwa oszukana przy zapłacie.

Pieczeniarze wyszli, Bronte Doneto na końcu. Obdarzywszy wcześniej Hechta najcięższym ze spojrzeń.

– Nie cierpią, kiedy muszą mnie zostawić samego – zauważył Wzniosły.

Hecht pokiwał głową. To było oczywiste.

– Boją się, że jakaś nieocenzurowana myśl może przeskoczyć z twojej głowy do mojej.

– Wasza Czcigodność?

– Zapomnij o tytule. Przez kilka następnych chwil jestem tylko Honario Benedocto. Powiedz mi, co naprawdę myślisz o krucjacie przeciwko connekiańskim heretykom. Twój Patriarcha wkrótce ma zamiar ją ogłosić.

Racja. Oto będzie sobie gawędził z tym człowiekiem, jakby byli kolegami po fachu, którzy przy obozowym ognisku oddają się druzgoczącej krytyce swoich przełożonych. Już przez to przechodził. Przyjaźń rozwieje się jak dym, gdy tylko powie choć jedno szczere słowo.

– Uważam, że operacja jest ryzykowna. Nie mam żadnych godnych zaufania doniesień wywiadu z Connec. Z tej odrobiny, którą dysponuję, wynika, że lokalne poglądy nacjonalistyczne są silniejsze, niż ktokolwiek z zewnętrznych obserwatorów podejrzewa.

– To znaczy?

– Że nawet najbardziej pobożnym wiernym Kościoła nie podobają się próby zewnętrznej ingerencji w ich sprawy. Głównym powodem tego faktu jest plaga niekompetentnych, skorumpowanych, cudzoziemskich biskupów.

Honario Benedocto skrzywił się straszliwie. W powietrzu krążyły słowa, których nie miał zamiaru słuchać. Zorientował się, że kwestionowana jest jego ocena sytuacji.

Hecht ciągnął:

– Kiedy nadejdzie rozkaz, zrobię wszystko, żeby z herezji maysalskiej uczynić tylko złe wspomnienie. Ale musisz zrozumieć, że Connecianie to lud uparty. Będą się zdecydowanie przeciwstawiać zewnętrznej interwencji. Moi szpiedzy donoszą, że Connecianie ze wszystkich obozów filozoficznych wspólnie walczą z uchodźcami i arnhandzkimi najemnikami, którzy obecnie nękają prowincję.

– Też o tym słyszałem. A tymczasem moich legatów traktuje się z niechęcią i pogardą. Nie pojmuję tego.

– Wasza czcigodność, ciebie widują tylko twoi doradcy. Kłamstwa twoich wrogów mogą swobodnie zapuszczać korzenie, ponieważ chaldarański lud



nigdy nie widzi cię na oczy. Nie znają prawdziwego Wzniosłego.

Hecht plótł nonsensy, aby uniknąć konieczności wyrażenia krytyki. Zostawiał Patriarsze możliwość wyciągnięcia wniosku, że wszelkie zło jest winą kogoś innego.

Hecht nie miał zamiaru dostarczać Wzniosłemu narzędzi, które uczynią zeń bardziej realistycznego przywódcę. Jeżeli faktycznie dojdzie do kampanii w Connec, poprowadzi ją tylko tak skutecznie, jak będzie tego wymagało dowodzenie zbrojnymi siłami Patriarchatu. Gdyby Wzniosły dożył ogłoszenia krucjaty przeciwko Dreangerowi i Ziemi Świętej, Hecht chciał być jej dowódcą.

– Możesz wykorzenić herezję maysalską, Naczelnny Wodzu? – zapytał znów Wzniosły.

– Tak uczynię. Choć rzecz nie będzie łatwa. W trakcie krucjaty calzirskiej król Piotr odkrył na Shippen wciąż żywe religie pogańskie. Po tysiącu lat chaldarańskiej i pramańskiej władzy.

Patriarcha przyglądał mu się w milczeniu i tak długo, że Hecht zaczął się robić nerwowy.

– Nich mi Bóg wybaczy te słowa – oznajmił w końcu Wzniosły. – Ale jeżeli będą się opierać, pozabijaj ich wszystkich. Bez wyjątku. Bóg rozpozna swoich.

– Czy to moment, na który czekaliśmy? Każesz mi działać?

– Oczekiwanie dobiegło końca. Podjąłem decyzję. Nie mam już cierpliwości do Connec. Pozbądź się herezji. Przywołaj zbuntowanych episkopalnych do porządku. Wyposażę cię we wszystkie pełnomocnictwa, dokumenty i uprawnienia, jakich będziesz potrzebował.

– Wedle rozkazu, Wasza Czcigodność. Stanie się, jak zechcesz. Ale narzędziem, którego najbardziej potrzebuję, są pieniądze.

– Podejdź tu, Naczelnny Wodzu. Pomodlimy się.

Hecht zastosował się do polecenia. Zastanawiając się, co by sobie pomyśleli sha-lugowie, gdyby go widzieli klęczącego obok samego wicekróla Przeciwnika w Królestwie Wojny.

Kiedy mruczał wersety modlitwy, równocześnie myślał o tym, co będzie musiał zrobić, zanim poprowadzi w pole armię Wzniosłego.

Wariackie przygotowania zajęły dwadzieścia dwa dni. Hecht nie miał nawet chwili, by się porządnie wyspać. I zaznał więcej rozczarowań niż sukcesów. Mimo obietnic Patriarchy.

Poza terenem pałacu Krois entuzjazm dla krucjaty był raczej skromny.

– Byłeś na prywatnej audiencji? – zapytał Pinkus Ghort. Teraz bez przerwy plątał się pod nogami. Został mianowany dowódcą polowej brygady Brothe, która miała wejść w skład armii Patriarchy. Nalegał na to prowincjał Doneto.

– Jasne. Pomodliliśmy się razem, zjedliśmy posiłek i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, rozmawialiśmy.

– Co sądzisz? Jaki jest naprawdę?

– Jest szalony. – Znajdowali się na dworze, sami. Mógł mówić swobodnie. W określonych granicach. – To było jak spotkanie z trzema ludźmi, którzy zamieszkują to samo ciało. Jest zmienny. W jednej chwili podniecony, w następnej przygnębiony. Przekonany, że chce zrobić z tej wojny krwawą łaźnię... póki nie dochodzi do wniosku, że to koszmarny pomysł, który podpowiedzieli mu jego zausznicy. Tylko że nie wspomina żadnych imion.

– Tak sobie myślałem. To pasuje do plotek. Wiesz co? Bronte Doneto też się wprosił.

Bynajmniej nie zaskoczony Hecht zapytał:

– Myślisz, że tęskni za Connec?

– Może i tak. Ostatnim razem przeżył tam niezapomniane chwile.

– Ja nie jestem zachwycony. – Ta niemożliwa i głupia wojna była już dostatecznie zła. A zaglądnący mu przez ramię kuzyn Patriarchy mógł tylko pogorszyć sprawy.

Zwłaszcza jeśli, jak sądził prowincjał Delari, jego kuzyn po uszy tkwił w jakiejś własnej wielkiej intrydze.

Hecht podrapał się po lewym nadgarstku i zadał sobie pytanie, jak głęboko Pinkus zaangażowany jest w machinacje prowincjała Doneto.

## 12

# Plemenza, inicjatywa na rzecz uwolnienia Jago od potwora

Natchnione listy i osobiste błagania kierowane do Katrin przez cały czas pobytu Imperatorowej w Brothe wyjednały w końcu Hespeth pozwolenie na wyjazd do domu do Plemenzy – dzięki temu mogła uniknąć konieczności powtórnej przeprawy przez Jago do Alten Weinberg, gdzie całkowicie zdana byłaby na łaskę i niełaskę siostry. Hespeth powzięła twarde postanowienie, że z całych sił postara się być wspianą młodą księżniczką. Nie chciała dostarczać Katrin usprawiedliwień, które tłumaczyłyby dalsze pogłębianie jej niedoli.

Katrin miała własne zmartwienia. Po większej części były dziełem Komisji Doradczej. Szczególnie dokuczliwy okazywał się Wielki Książę Hilandle. Był zły z powodu rozpaczliwych wysiłków, jakie podejmował, by doścignąć pochod imperialny, zanim ten dotrze do Brothe. Hespeth nie mogła uwierzyć w historie, które opowiadali ocaleli. Brzmiały jak opowieści spreparowane specjalnie po to, by ukryć nikczemność potworów w ludzkiej skórze.

Po dotarciu do pałacu Dimmel Hespeth spała dziesięć godzin. Potem wstała, zdjęła ubranie podróżne, zjadła coś i znów przespała kilka godzin. Wreszcie z trudem zwlokła się z łóżka. Miała obowiązki. Długo jej nie było.

Ci, których zostawiła na miejscu, poradzili sobie nieźle. Na doraźnej sesji sądu pojawiło się tylko kilku piniaczy. Z ich petycjami poszło łatwo. Potem Hespeth wycofała się do swych apartamentów.

W jej fraucymerze zaszły zmiany. Gburowata pani Chevra di Natale pojechała do domu. Pani Delta va Kelgerberg załatwiła sobie przeniesienie do bardziej nobilitującego orszaku Katrin. Na jej miejsce przyszła lady Hilda Daedal z AVERAGE.

Helspeth ucieszyła się z tego, gdyż dziewczyna była niewiele starsza od niej. Helspeth poznała ją na dworze imperialnym. Jej teść był faworytem Johanna Czarne Buty.

Lady Hilda była wysoka, szczupłą blondynką jak Katrin Ege. Miała dwadzieścia trzy lata, od niemal dziewięciu była zamężna. Ze swoim mężem Strumwulfem widywała się tylko tak często, żeby regularnie zachodzić w ciążę. Pięć razy rodziła. Przeżyło dwoje dzieci.

Obraz życia lady Hildy trwożył Helspeth. A jednak było typowe dla kobiety z jej klasy i epoki.

Mimo licznych ciąż pozostała atrakcyjna.

Krążyły plotki. Być może lady Hilda nie była wierna landgrafowi fon AVERAGE. Czasami podejrzewano, że jej kochankiem jest ojciec męża, Stemhelm, graf fon Sonderberg. AVERAGE było miastem warownym położonym w baranowskich włościach Sternhelma.

Inne nazwiska, które padały, należały bez wyjątku do mężczyzn w podeszłym wieku.

Lady Hilda była brotheńską episkopalną.

– Nie będę kryła prawdy, księżniczko – powiedziała, zwracając się do Helspeth. – Wszyscy oczekują, że dopilnuję twych praktyk religijnych. Chociaż sama nie jestem fanatyczką.

– Nie rozumiem. Katrin nigdy nie zdradzała żadnych religijnych inklinacji, dopóki nie umarł ojciec.

– Ale żyły w niej. Potajemnie. Jej matka była bardzo religijna. Teraz przede wszystkim chodzi jej o wyrwanie się z uścisku Wielkiego Księcia i Komisji Doradczej. Kiedy już pozbędzie się tych sprośnych starców, rozluźni związki ze Wzniosłym.

– Ludzie, którymi się obecnie otacza, są niewiele od nich lepsi.

– Podzielą los Komisji. Katrin chce się stać tak potężna jak wasz ojciec. A przy tym nie chce się tak bez reszty poświęcać Imperium.

Helspeth nie dowierzała lady Hildzie. W Brothe regularnie widywała się ze swoją siostrą. I Katrin nigdy jej o takich rzeczach nie wspominała, nawet gdy były sam na sam w jej apartamencie w Penital, nawet gdy nikt nie

patrzył. Ale nie miała zamiaru polemizować z dwórką. Chciała się uczyć od bardziej doświadczonej kobiety.

– Czym ty się przez cały czas zamartwiasz? – zapytała lady Hilda.

Gdy przyłączyła się do niej, Hespeth już od jakiegoś czasu czytała list. Usiłowała odszukać jakiś przegapiony niuans. Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę. Podjąć ogromne ryzyko. Uwierzyć kobiecie, której duszy nie znała, tylko i wyłącznie z tej prostej przyczyny, że ją polubiła.

– Chodzi o list.

– Z tego, w jaki sposób to mówisz i jak się czerwienisz, wnoszę, że musi być od mężczyzny. Wobec którego żywisz nieczyste zamiary.

Hespeth poczuła, jak jej policzki oblewa fala gorąca.

Lady Hilda roześmiała się cicho.

– To nie jest śmieszne.

– Nie... Mniejsza z tym. Biedna dziewczyna. Być w twoim wieku i jeszcze nie zaznać mężczyzny. Ponieważ jesteś zbyt cennym pionkiem w grze Imperium. – Wyciągnęła rękę. – Pokaż mi, co pisze.

Hespeth poczuła się, jakby ogarnął ją trans.

Pismo nie wywarło na lady Hildzie żadnego wrażenia.

– Wyraźnie widać, że nie ma w tym większej wprawy niż ty. I ani razu nie pofolgował sobie żadnym romantycznym słowem ani konkretnym wyznaniem. Nieprawdaż?

– Nie rozumiesz. Najważniejsze jest to, że w ogóle odpowiedział. Niemal umierałam z niepokoju, czy odpowie.

– Ty napisałaś do niego? Pierwsza?

Znowu poczuła na policzkach przypływ fali gorąca.

– Tak. Kilka razy. Chciałam...

– Zupełnie nie tak, jak w pieśniach trubadurów.

– Nic nie poradzę. Jestem nim zafascynowana. Jak mysz zahipnotyzowana przez węża.

– Ten wąż nie sprawia wrażenia, żeby mu się spieszyło z pożarciem myszy. List jest dość ostrożny. Boi się, że jesteś chodzącą pułapką.

Hespeth wykrzywiła twarz w grymasie. Księżniczka dziedziczka tronu Hespeth Ege, śmiertelna pułapka.

Czy naprawdę zasypywała Naczelnego Wodza listami, kiedy była w Brothe? Bo poza tym nie miała okazji zrobić nic, jak tylko wymieniać z

nim spojrzenia. Ten jedyny raz, kiedy zarysowała się szansa na spotkanie, on akurat znalazł się w strefie jakiegoś wybuchu.

Ale najważniejsze było, że jej odpowiedział. Dwukrotnie.

Drugiego listu nie pokaże nikomu. Za nic. Zawierał aluzje, którymi karmiła się jej wyobraźnia. Poza tym znajdowały się w nim treści, po których można się było domyślić autora.

– Zamierzasz na mnie donieść?

– Ależ skąd. Spodziewają się po mnie, że będę chroniła twoją duszę, a nie niewinność. Masz dość rozsądku, by wiedzieć, że powinnaś pozostać dziewicą, zgadza się? Poza tym z tego i tak nic nie będzie.

– Nie jestem... To nie jest kwestia...

– Uspokój się. Wiem, przez co przechodzisz. Chociaż sama przez to nie przeszłam do chwili, gdy byłam już od jakiegoś czasu zamężna. Właśnie wchodziłam w siedemnastą wiosnę życia. Byłam w ciąży. Trzeci raz. Łatwo zachodzę w ciążę. Najpierw dwa razy poroniłam. Za trzecim razem dziecko urodziło się martwe. Strumwulf wyjechał do Ziemi Świętej. Nie było go już ze dwa lata. Mówię rzeczy, których nie powinnam.

Helspeth schowała list z powrotem. Złożyła go i wsunęła do skrytki, w której spoczywał, kiedy w pobliżu były inne kobiety.

– Wstydzisz się?

Lady Hilda wydawała się zdumiona. Jakby to akurat nawet nie przeszło jej przez myśl.

– Nie. Ciało ma swoje potrzeby. Niektórzy znoszą je lepiej niż inni. Czy potrafisz sobie wyobrazić smoka w rodzaju lady Chevry w namiętym uścisku? Albo ofiarę jej żądz?

– Ty nie potrafisz nad sobą panować?

– Potrafię. Ale nie chcę. Zresztą, jak miałabyś zrozumieć? Może nie dowiesz się nawet po ślubie. Jeżeli nie uda ci się poślubić mężczyzny, który umiejętnie wprowadzi cię we wszystkie tajniki. – Cierpki ton lady Hildy wskazywał na jej własne, przykre doświadczenia. Ciągnęła dalej: – Smutna prawda jest taka, że skończy się na tym, iż twojego męża bardziej będzie interesować jakaś uległa, wiejska fleja... Mniejsza z tym. W moim sercu nie ma miejsca na gorycz. Spodobało się opatrności, aby niektórzy z nas byli jak zwierzęta w rui, księżniczko, niezdolni nad sobą zapanować niczym kopulujące psy.

– Wcale mi nie pomagasz, lady Hildo. Sprawiasz, że coraz bardziej pragnę kochanka, który pokaże mi przyjemności przywoływane aluzyjnie w pieśniach trubadurów.

– Przepraszam, księżniczko. Nie chciałam, abyś pożałowała swej cnoty. Nie zwracaj na mnie uwagi. Twoja niewinność jest bezcenna na rynku małżeńskim.

– Pewnie – powiedziała cierpko. Chociaż znała swoją cenę w oczach Imperium. Ze wszystkich dzieci Johannesesa Czarne Buty ona była najbardziej podobna do Okrutnego Małego Hansa.

– Wątpię, czy potrafisz długo udźwignąć ten ciężar, księżniczko. Frakcje z Alten Weinberg żywo zabiegają obecnie o mężów dla was obu, ciebie i Katrin. Gdyby twoja siostra mogła wybierać, wzięłaby Piotra z Navai.

– Ale...

– On już jest zajęty. Poza tym wie o nim tylko tyle, co zobaczyła na obrazie w Brothe. Podbił ją swoją brodą.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Katrin czuje Wolę Bożą, ale nie wie, co to jest. Albo nie chce się przyznać.

– Zawsze tym gardziła, kiedy byłyśmy młodsze.

– Dwór chciałby znaleźć dla niej partię w Arnhandzie w osobie Regarda z Menandu albo syna hrabiego Earistnei, kuzyna Charlve'a, którego niektórzy chcą uczynić jego następcą.

– Czy o dziedzictwie nie przesądziłoby małżeństwo z Imperatorową?

– Najprawdopodobniej. Głównym kandydatem dla ciebie jest książę Brandecast.

– Kto? Cholera. Czyż narzeczonym nie powinien być ktoś, o kim bodaj się słyszało?

– Errol, pierwszy książę Brandecast. Najstarszy syn króla Nagłada z Santerinu. Następca tronu. Pewnego dnia zostałabyś królową.

– I na zawsze wplątałabym się w wojnę z moją siostrą, gdyby ona została królową Arnhandu. Ale twój nieprzyjemny uśmiezek mówi mi, że tkwi w tym jakiś żart.

– Errol ma jedenaście lat.

Helspeth splunęła. To idiotyczne! Ale wiedziała, że przez cały czas prowadzi się podobne negocjacje.

Lady Hilda powiedziała:

– Wspomina się też o Jaimie z Castaurigi w Direcji. Twojej siostrze zależy na dobrych stosunkach z Direcją. Jaime jest też młodszy od ciebie, ale ma lat siedemnaście. I będzie królem, pod warunkiem że Navaya nie wchłonie Castaurigi. Jaime to przystojny chłopak, a przy tym wytrawny rozpustnik.

– Kiedy rozważam te możliwości, dochodzę w wniosku, że chyba jednak nie wyjdę za mąż. Imperium przetrwa bez tego.

– Imperium być może tak, księżniczko. Ale co będzie z Imperatorową?

– Nie rozumiem.

– Już teraz widać zniechęcenie. Zbliżenie Katrin ze Wzniosłym nie znalazło uznania w oczach większości. Niepopularna jest zgoda, jaką wyraziła na działalność Towarzystwa w granicach Imperium. Jej dekret, w myśl którego kościoły w Imperium muszą przekazać dwanaście procent dochodu na rzecz Brothe, by sfinansować wojnę z herezją, należy do nadzwyczaj niepopularnych. Nie zjednała sobie przyjaciół.

– Posunęła się za daleko. Nawet mój ojciec nie odważyłby się dyktować Kościołowi, jak ma rozdzielać swoje wpływy. Choćby mógł za to dorzucić do tytułów imperialnych Obrońcę Wiary. Co jest, Claire?

Claire była to jasnowłosa iskierka w wieku dziesięciu lat, córka jednej z nowych dam dworu Helspeth.

– Miałam ci powiedzieć, że przyjechał człowiek, który nazywa się Ferris Renfrow. Kapitan Strach kazał mi to przekazać.

– Zaraz go przyjmę. Lady Hildo, proszę pomóc mi się przygotować.

– Czy na osobności nie mogłybyśmy zrezygnować z ceremonialnych tytułów, księżniczko? Mów do mnie po prostu Hilda. Jesteś podniecona. Czy to on? Mistrz szpiegów? Czy może chodzi o tego kapitana Braunsknechtów?

– Nie chodzi o żadnego z nich. Ferris Renfrow był przyjacielem mojego taty. Jest dla mnie jak drugi ojciec. Lubię, kiedy jest w pobliżu. Dzięki niemu czuję się bezpieczna.

Lady Hilda odprowadziła Helspeth na spotkanie.

– Większość Komisji Doradczej nie chce, żebyś przebywała tu sama, oddzielona od nich łańcuchem Jago, księżniczko. Gdzie możesz sobie znów odgrywać mężczyznę. Wielki Książę i Lord Admirał już ofiarowali się, że przygarną cię pod swój dach.

– Zazdroszczę wieśniakom, że ich myśli wolne są od takich bredni.



– Poza tym nie ma im czego zazdrościć.

Ferris Renfrow był jak zwykle zmęczony, a Algres Strach zmartwiony. Nikt nie powiedział nic istotnego do chwili, aż zniknęły Claire oraz lady Hilda.

Renfrow zapytał:

– Jak się udał pobyt w Mieście Ojczystym?

– Nie za bardzo – odpowiedziała zaskoczona. Zdążyła zapomnieć, jak mało Ferris Renfrow dbał o zachowanie form na stopie prywatnej. – Miałam bardzo niewiele okazji, by przypatrzeć się słynnym pomnikom i zabytkom.

– Albo komuś jeszcze.

Rzuciła gniewne spojrzenie.

– Co? Nikogo tam nie znam.

Uśmiech Renfrowa starczył za odpowiedź. Wiedział, że podjęła próbę zobaczenia się z Naczelnym Wodzem. Natomiast Algres Strach nie wiedział. Choć mógł to podejrzewać.

– Będzie wojna – powiedział Renfrow. – Przyjdzie chaos. To być może ostatnie lato, w którym bezpiecznie da się pokonać góry Jago. Stajesz w obliczu trudnych decyzji, księżniczko.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła po chwili milczenia.

– Wzniosły spuścił ze smyczy Naczelnego Wodza. Rozkazał mu poskromić heretyków w Connec. Wojska patriarchalne po drodze gromadzą siły z Państw Patriarchalnych. Jest z nimi dwóch najbardziej onieśmielających członków Kolegium. Poczynania Wodza Naczelnego i jego sztabu w pełni potwierdziły nasze wcześniejsze obawy. Zdziałali cuda. Zmienili zupełnie tryb załatwiania tych spraw, jaki dotychczas obowiązywał w Firaldii. Liczebność sił Patriarchatu może sięgać dwudziestu tysięcy żołnierzy, w tym głównie doskonale wyposażonych i dobrze przygotowanych weteranów. Na naszych oczach powstaje coś, co może się stać najbardziej profesjonalną armią, jaką widziano od czasów Starego Imperium. Frakcje w Arnhandzie wystawiły kilka pomniejszych armii. Gdy wyruszą w pole, Santerin z pewnością spróbuje na tym skorzystać. Król Nagład zeszłej zimy ogłosił pobór. Żadnej z arnhandzkich frakcji chyba nie interesuje rozejm. Król Piotr z Direcji też jakoś się zaangażuje, dla dobra Izabeli. I dla własnej korzyści. Gdy wojska patriarchalne utkną w oblężeniach kolejnych miast, z pewnością ruszą się

niepodległe republiki i księstwa firaldiańskie. Nawet niektóre ze związanych lennem z Imperium. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wiedziała. Widoczna słabość imperialnego prokonsula Plemenzy będzie wielu ośmielać do nieładnych zachowań. Co mogła w tej sytuacji zrobić zwykła dziewczyna? A zwłaszcza zwykła dziewczyna, która miała przy sobie tylko ochronę osobistą oraz motłoch miejskiej milicji?

– Nie chodzi tylko o to, że jesteś kobietą. Przede wszystkim o to, że Imperium nie jest już monolitem, rozpada się na kawałki. Większość naszej szlachty nie zgadza się z Imperatorową w kwestii uległości wobec tego niegodziwca, Wzniosłego.

– W tej kwestii nie zajmę stanowiska. Zwrócę tylko uwagę na to, co najbardziej oczywiste. Pewnego dnia, już wkrótce, powiem to samo w Alten Weinberg. Służę Imperium. Mam nadzieję, że Katrin mnie posłucha.

Nie chcąc usłyszeć odpowiedzi, której się spodziewała, Hespeth spytała:

– Co masz na myśli, gdy mówisz, że to być może ostatnie lato, w którym możemy przejść przez Jago?

– Można potraktować to jako hiperbolę. Ze względu na coraz gorszą pogodę i zagrożenie ze strony obłąkanej Delegatury, przełęcz Remyne wkrótce będzie nieprzejezdna.

– Można jechać inną drogą.

– Pod warunkiem że ludzie na północy przestaną szaleć na tle religijnym i zaczną uważać. Trzeba zabezpieczyć wschodnie i zachodnie szlaki. A potem będziemy musieli poradzić sobie z potworem z Jago.

Świadectwa ocalałych członków oddziału Wielkiego Księcia nie zawierały, niestety, ani cienia przesady. Hespeth powiedziała:

– Jeżeli trzeba coś zrobić, proszę, śmiało.

Jej słowa zaskoczyły obu mężczyzn.

Hespeth zrobiła wielkie oczy małej dziewczynki. Uśmiechnęła się słodziutko.

Posłużyła się manewrem stosowanym przez Johannes'a Czarne Buty. W ten sposób zachęcał innych, aby podjęli działania, za które sam nie chciał brać odpowiedzialności.

– Co z potworem? Jak go zgładzimy? – zapytała.

– Zgładzić go? To niemożliwe, księżniczko. Niewykłuczone, że da się jakoś ograniczyć wyrządzane przez niego szkody...

– Zgładzić go! To nie jest niemożliwe. Widziałam, co się stało ze starszą i sto razy bardziej potężną istotą pod al-Khazen. – Zawahałaby się, gdyby miała nazwać Ordana bogiem, choć w swoim czasie mógł być kimś takim.

– Delegatury Nocy nie są już niepokonane.

– Nigdy nie były, księżniczko.

– Nie mówię o zwabieniu ich w posążek bóstwa, który następnie można pogruchotać na tysiące kawałków i rozrzucić jak kontynent długi i szeroki. Mówię o zgładzeniu ich. O tym, co stało się z Szarym Wędrowcem pod al-Khazen. Mówię o zabiciu Mrocznych Bogów. – Zaparło jej dech w piersiach. Wcześniej nie miała zamiaru stawiać sprawy tak otwarcie.

Algres Strach zauważył:

– To będzie niezwykle ryzykowne, księżniczko. Nie wiemy, jak to się stało. To mogło być uderzenie magiczne.

– Ferris? – Było pewne, że Ferris wie lepiej.

– Otrzymałem pewne raporty. Przyznam, że nie wydają mi się szczególnie wiarygodne.

– Dlaczego nie?

– Metoda jest zbyt prosta. Obrzuca się Delegaturę mieszaniną srebra i żelaza. Czy na pewno umiera? Srebro i żelazo były tu od zawsze. Oczywiście Delegatury Nocy nigdy za nimi nie przepadały. Wszystkie amulety wykorzystują żelazo i srebro, by odwrócić złośliwość Nocy. Ale dlaczego sami bogowie nagle mieliby się stać śmiertelni?

– O czymś zapomniałeś.

– Nie wyobrażam sobie, co to jest. Ale masz rację. Coś jest. Nie wiedząc, co to, nie zaatakowałbym nawet wodnego duszka.

– Odkryj. Czy nie na tym polega twoje zadanie?

– Próbuję. Z mniejszym powodzeniem, niżbym chciał.

– Gdzie jest teraz armia patriarchalna?

– Księżniczko?

– Gdzie się znajduje? W tej chwili. Wiecie, gdzie jest, no nie?

– Mniej więcej. W północno-zachodniej części Firaldii. A może we wschodnim Ormienden. Najprawdopodobniej w Dominagui, odpoczywa i czeka na rozkazy Wzniosłego. Możliwe, że planują jakąś pomocniczą kampanię przeciwko Sonsie. Aparion albo Dateon mogły przekupić Wzniosłego, aby z nimi skończył. Albo może coś mi umknęło.

Helspeth nie przypominała sobie, by kiedykolwiek dawniej Ferris Renfrow wyrażał się dwuznacznie.

– Czyli niewykluczone, że są dokładnie po drugiej stronie Węzła Ownvidiańskiego, nieprawdaż?

Renfrow przyznał jej rację, zaciskając oczy w wąskie szparki.

– Tak. Są. Czemu pytasz?

– Wódz Naczelny to autorytet w kwestii zabijania bogów. Jeden z was, mianowicie Algres Strach, zna drogę, więc powinien zgłosić się na ochotnika, by przejść Węzeł i zapytać, jak to zrobić.

– Nie – powiedział Renfrow.

– Nie mogę stąd odejść – upierał się Strach. – Obiecałem twojemu ojcu.

– Mój ojciec nie żyje. Wydaję ci rozkaz.

– Wódz Naczelny nie przekaże ci tak po prostu swej tajemnicy. Jest zbyt cenna – argumentował Renfrow.

– Poza tym on nie chciałby otwarcia przełęczy za swoimi plecami. Imperium mogłoby mu spłatać figla – dodał Strach.

– Imperium już spłatało wszystkie figle. Moja siostra popiera Patriarchę. A ty, Ferris, dobrze powiedziałaś, że jeśli nic nie zrobię, zostanę odcięta po tej stronie Jago. Musisz zgodzić się ze mną, że nie ma innego wyjścia.

Zapadło krótkie milczenie.

– Jest kropka w kropkę jak jej ojciec – zauważył Strach.

Renfrow pokiwał głową.

– Tym razem słyszałem echo jego wrzasków.

– Kapitanie, czego będziesz potrzebował? – spytała Helspeth.

## 13

# Connec, pierwsza rozpacz i pierwsza ucieczka

Czarna rozpacz spowiła Skraj Connec. Nawet hrabia Raymone Garete stracił resztki optymizmu. Wschodnie hrabstwa zaścielał kobierzec trupów. Glebę tysięcy farm użyźniała krew grolsacherskich głodomorów oraz arnhandzkiego żołdactwa. A wciąż nadciągali następni. Choć inwazja rzadko przybierała zorganizowaną postać.

Najazdy Arnhandrów miały charakter skrajnie anarchiczny, ponieważ nie stały za nimi żadne władze centralne. Przyjaciele i wrogowie Anne z Menandu ścigali się o lepsze. Wszyscy płacili najwyższą cenę.

Caron ande Lette padło. Podobny los spotkał Artlan ande Brith. Do Antieux nie dotarło ani jedno słowo na temat losów braci Rault bądź rodziny Tuldse. Brat Świeca i Socia obawiali się najgorszego.

Hrabia Raymone wciąż prowadził agresywne działania, ale próbując powstrzymać potop, był jak stara kobieta, która ściga kury.

Brat Świeca zasiadł wspólnie z Socją Rault do obiadu. Zawzięta córka Raultów powiedziała:

– Raymone napisał. Ma kłopoty, bo nie może zmusić swych ludzi, by robili to, co należy. Zmęczyło ich zabijanie, które do niczego nie prowadzi.

Doskonały Mistrz zadrżał ze zgrozy. Znał ludzi hrabiego Raymone’a. Nieliczni tylko ustępowali okrucieństwem Bernardinowi Amberchelle. Trudno było wyobrazić sobie rozmiary rzezi, które mogłyby ostudzić ich zapał do dalszych zbrodni.

– Wszyscy zdani jesteśmy na łaskę i niełaskę naszych sumień.

– Sumienie to nie problem – zareplikowała Socia. – Chodzi o to, że jeżeli nie jesteś ze szczętem szalony, w pewnym momencie nie potrafisz już znieść widoku krwi.

– Rozumiem. – Większość ludzi mogła stawiać czoło uzbrojonym najeźdźcom, nie dokonując kłopotliwych rachunków sumienia, ale rżnięcie nie kończących się strumieni uchodźców było czymś zupełnie innym.

– Jestem pewna, że Raymone przesadza, kiedy opowiada, że zamordował ponad dziesięć tysięcy. Ale...

Brat Świeca obawiał się, że prawda jest dokładnie odwrotna. Że Raymone pomniejszał podawane liczby z powodu przerażających rozmiarów rzezi.

Żywiołowa i optymistyczna natura hrabiego Raymone'a sprawiała, że nie zauważał przyziemnych, nieprzyjemnych cech charakteru tych, których kochał.

A może chodziło tu o jego skłonność do spontanicznego samooszukiwania się. Najeźdźcy, właśnie odnoszący korzyści z moralnego wyczerpania synów Connec, powinni dziękować swemu bogu za to, że nie musieli się zmierzyć z tą córą connekiańskiej ziemi.

Dziewczyna wprawiła go w zdumienie, mówiąc:

– Wysłałam listy w imieniu Raymone'a do Tormonda, Piotra, Jerriaux, Huntara z Biorgras, Deitricha z Cienioune i tuzina innych. Prosiłam o pożyczanie żołnierzy. Tylko w celu wsparcia obrony Antieux. Hrabiego stać na to, żeby im zapłacić.

Brat Świeca nachmurzył czoło. Ta dziewczyna okazała się nawet bardziej mroczna i nikczemnie inteligentna, niż przypuszczał. Każdy z wymienionych szlachciców zajmował się werbowaniem najemników dla prywatnych i lokalnych armii w Connec.

Poziom domowych waśni wyraźnie spadał ostatnio w hrabstwach, w których pojawili się najeźdźcy z Arnhandu. Garbaty Rinpoche, obecnie biskup opłacany przez Anne z Menandu i posłuszny jej, posiadał własną małą armię złożoną z ośmiuset żołnierzy. Szybkością i furiackim manewrem zdobył Tomacadour i Firac. Teraz utkwiał po drugiej stronie rzeki Pies, naprzeciwko Calour. Oddziały jego, ze zbytnim entuzjazmem plądrujące okolicę i ścigające heretyków, naruszyły granice Tramaine. To nie zjednało im nikogo spośród szlachty związanej lennem z Santerinem, która już wcześniej z chęcią naprzykrzałaby się Arnhandowi.

– Jak sądzisz, gdzie uderzy armia patriarchalna? – spytała Socia.

Dobre pytanie. Wyglądało na to, że po dotarciu do Ormienden nie ma w ogóle ochoty ruszyć się z miejsca.

– Tu. Jeżeli ksiązę Tormond zawiedzie w Salpeno. Wrogowie Conneć najedli się za dużo wstydu pod Antieux.

Ksiązę Tormond pojechał do Arnhandu z prośbą do swego dalekiego kuzyna, króla Charlve'a. Większość uznawała sam pomysł misji za głupi. Charlve był pieskiem pokojowym tej dziwki, Anne z Menandu. Ale inni widzieli w tym dobry znak. Ksiązę wreszcie coś robił. Trucizna przestała trzymać go w swej mocy.

Brat Świeca zamyślił się.

– Wódz Naczelny, raz spuszczonej ze smyczy, przybędzie tutaj. Potem ruszy na Sheavenalle i na Castreresone. Następnie do samego Khaurene. A potem Conneć spocznie u stóp Wzniosłego.

– I nie sądzisz, że możemy go powstrzymać.

Nie sądził. Armia Patriarchy była olbrzymia, dobrze wyszkolona, doskonale wyposażona, wynagradzana i kompetentnie dowodzona. Nieznane jej były konflikty wewnętrzne, charakterystyczne dla gromadzących się pod bronią Connećian.

– Mówię tylko, jak moim zdaniem, oni się do tego zabiorą. Być może im się nie uda. Powstanie ruch oporu. Ale nie będzie skuteczny, jeżeli nasi żołnierze będą się zajmować Arnhandami i Grolsacherami.

– To wszystko takie wstrętne. Tak przerażające.

– Ale ty jesteś znaną z okrucieństwa Socia Rault, nieustraszoną narzeczoną hrabiego Garete.

– Hrabia Raymone. Zaczynam się zastanawiać. Dlaczego nie wróci tutaj i nie wyleczy mnie z dziewictwa?

– Hm?

– W porządku. Wiem. Choć mamy niektóre sakramenty wspólne z Kościołem, w tym również małżeństwa, od maysalczyków wymaga się braku zainteresowania dla uciech ciała.

– Zgadza się.

– Więc skąd weźmiesz nowych Poszukiwaczy Światła? Przypuśćmy, że nawrócisz każdego. Czy w ten sposób już wkrótce wszyscy nie wymrą?

– Nie ma powodu się zamartwiać, dziecko. Grzech jest wieczny. Zawsze będą grzesznicy. To gwarantuje nam nieprzerwaną dostawę uczniów.

– Mogło się to jakoś inaczej ułożyć? To znaczy, bez wojny.

- Wojna jest jak grzech, dziecko. Jest z nami zawsze.
- Mogłaby być dużo gorsza.
- Mogłaby. Ale wymagania Wzniosłego są znośne. Zwłaszcza od czasu, gdy nie stoi za nim Imperator, gotów zadać mu cios w plecy.
- Nie potrafisz odpowiedzieć mi wprost?

Brat Świeca uznał, że potrafi.

- Trwają negocjacje. Każdy z wyjątkiem Towarzystwa chciałby uniknąć holokaustu. Ale nikt nie jest gotów wpłacić zaliczki za pełną cenę pokoju.

Connekianie byli dumni, uparci, niezdyscyplinowani i żywili organiczny wstręt do obcych wpływów. Gorliwi brotheńscy episkopalni służyli pod hrabią Raymone'em, mimo wydanych przeciw niemu Bulli ekskomuniki i anatemy. Mimo publikacji listów ogłaszających odpust zupełny, wymazujący ogół grzechów z każdego, który przystąpi do bitwy z herezją, połączonych z dekretem sankcjonującym zgodę Ojca Świętego, aby walczący w imieniu Boga konfiskowali majątki heretyków, Wzniosły nie wydał jeszcze ostatecznego rozkazu, ogłaszającego krucjatę przeciw maysalczykom.

Określone siły w łonie Kościoła brotheńskiego wciąż starały się zapobiec obłudowi.

Tak głosiła plotka.

Socia Rault była cyniczna.

- Te plotki to tylko myślenie życzeniowe. – Była przekonana, że każdy ksiądz, który został biskupem, jest równie skorumpowany jak Morcant Farfog ze Strangu albo biskup Serifs z Antieux, jako też wszyscy następcy Serifsa. – Prawda wyjdzie na jaw. To tylko kwestia czasu.

Brat Świeca uważał, że właśnie wychodzi i to w całej rozciągłości.

- Cena pokoju... To prostsze niż wy, stare pryki, sobie wyobrażacie.
- Doprawdy? – W jego głosie dało się słyszeć rozbawienie.
- Kłopot w tym, że wy, ludzie z dawnych czasów, chcecie tylko rozmawiać. Ale istnieje realne rozwiązanie: zabić wszystkich brotheńskich biskupów episkopalnych. – Liczba mianowanych na biskupów Skraju Connec wahała się między osiemnastoma a dwudziestoma czterema. Margines błędu brał się stąd, że granice Connec były w przeważającej mierze kwestią punktu widzenia. – Oraz każdego, kto ma cokolwiek wspólnego z Towarzystwem.



Towarzystwo zaczęło już przejmować taktyki nawracania stosowane przez Doskonałych. Zakonnicy włączyli się po okolicy, próbując przekonać prosty lud, iż Kościół brotheński ma monopol na prawdę duchową. W miastach misjonarze dyskutowali z przywódcami maysalskich wspólnot.

Przywódcy zazwyczaj podejmowali wyzwanie. Zdaniem brata Świecy nie było to zbyt mądre posunięcie ze strony Towarzystwa. Myślący, wymowni Poszukiwacze zazwyczaj robili wodę z mózgu misjonarzom, którzy umieli tylko powoływać się na dogmaty, a nie przedstawiali zasadnych argumentów. A jednak misjonarze niemal zawsze twierdzili, że wygrali w tych debatach.

– To mogłoby okazać się skuteczne. Na pewien czas.

Stał się sarkastyczny. Do niej to nie docierało. Kolejny podział międzypokoleniowy. Młodzi byli przyziemni, płascy i okrutnie bezpośredni.

Ksiązę Tormond z Salpeno rozesłał posłańców na wszystkie strony świata. Widać było, że gotów jest zrobić wszystko, aby uratować pokój. Silna armia miała wkrótce narzucić stan faktyczny, którego nadejście odwlekał od tak dawna. Wysłał posłów do Brothe, aby bronili jego sprawy przed Patriarchą. Błagał swoją szlachtę o opamiętanie, rozpuszczenie prywatnych wojsk i zwrócenie majątków skonfiskowanych Kościołowi brotheńskiemu. Apelował o pokój z brotheńskimi biskupami i ingerencją w poczynania Patriarchalnego Towarzystwa na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji. Natomiast hrabiemu Raymone'owi polecił zaprzestać działań militarnych. Rozkazał mu powrócić do Antieux i przygotować miasto na czystkę heretyków i niewiernych.

– Jak sięgam pamięcią, ludzie się skarżyli, ponieważ ksiązę Tormond nie chciał zająć wyraźnego stanowiska. Ani podjąć decyzji. Czy zadziałać. Wygląda na to, że mają to, co chcieli – zauważyła Socia Rault.

Tormond nie wyjednał sobie sympatii ani w Connec, ani w Brothe. Hrabia Raymone nie pokwapił się, aby zapoznać się z treścią jego listów. A całą odpowiedzią na nie była zasadzka zorganizowana na kompanię rycerzy Arnhandu i wymordowanie ich w sposób bardziej okrutny niż podczas Masakry pod Czarną Górą.

Kuzyn Tormonda, Charlve, nie mógł nic dlań zrobić. Choć równocześnie ignorował też żądania Wzniosłego, by Arnhand natychmiast rzucił przeciwko tej nikczemnej prowincji całą swoją potęgę. Charlve był być

może tępy, ale rozumiał, że rzucenie wszystkich sił królestwa przeciw kuzynowi spowoduje, że zostanie goły jak go Pan Bóg stworzył wobec ewentualnych zakusów króla Nagłada albo Imperatora Graala. A Santerin już badało grunt.

Charlve grał na zwłokę, przejmując obyczaje dalekiego krewniaka. Nie stawiał jednak przeszkód nikomu, kto postanowił przywdziać płaszcz krzyżowca. Po domach zostaną ludzie, których będzie można powołać, jeśli sąsiedzi zrobią się naprawdę zادیorni.

Książę Tormond zmienił marszrutę. Zrzucił plan odwiedzenia Imperium. Wieści nadchodzące z domu sprawiały, że trzeba było pospieszyć z powrotem do Khaurene.

Niepokoili Tormonda sieć spisków, którą omotany był Charlve. Głęboką nocą wymknął się z Salpeno. Wraz z garstką stronników popędził ku terytorium Santerinu, zaledwie trzydzieści mil na zachód od stolicy Arnhandu.

Sześćdziesiąt godzin później książę Tormond stanął przed obliczem pana wyspiarskiego królestwa, którego obecności na kontynencie nie podejrzewano jeszcze w Arnhandzie. Król Nagład czekał na właściwy moment, by ugodzić sztyletem w serce Arnhandu. Zachęty i obietnice, których udzielał Tormondowi, były całkowicie przejrzyste.

Nagład uczynił hrabiemu podarunek w postaci regimentu czterystu celebrytańskich kuszników, których żołd opłacił na rok z góry. Celebrytanie słynęli z tego, że na każdym polu bitwy potrafili utrzymać nieugięty front. Wcześniej niejeden Patriarcha odgrażał się, iż obłoży ich miasto rodzinne interdyktem, jeżeli w dalszym ciągu używać będą swej złowrogiej broni przeciw bliźnim chaldaranom.

Ten interdykt nigdy nie wszedł w życie.

Wiść o zdobyciu Sonsy obiegła Skraj Connec. Nikt nie potrafił przejrzeć zamiarów Patriarchy. Wrogowie Wzniosłego byli przekonani, że za akcją kryje się jakaś plugawa intryga.

Wkrótce po wieściach na temat Sonsy nadeszły pogłoski, że brotheńscy żołnierze zaskoczyli Viscesment i przy nikłym oporze zdobyli miasto.

– Usłyszałam dziś ciekawą historię, panie – odezwała się Socia Rault do brata Świecy, gdy zasiedli do spóźnionej, prostej kolacji.

– Tak? – Przekonany był, iż znajdą się w niej jakieś krwawe szczegóły.

– Pamiętasz ojca Rinpoche? Był w Khaurene, gdy my tam byliśmy. Taki obrzydliwy, mały garbus.

– Pamiętam. Niewielu jest ludzi bardziej aroganckich i odrażających. O co chodzi z tym Rinpoche?

– Zrobili go biskupem pomocniczym. I udzielili pozwolenia, aby zaciągnął własne siły zbrojne w celu rozprawienia się z herezją maysalską.

– Trudno uwierzyć, jak wiele głupoty może równocześnie szerzyć się na świecie.

– Ja jakoś nie mam z tym problemu. W każdym razie gang Rinpoche przez cały czas plądrował oddalone, północno-zachodnie części Connec. A on za swój kłopot prawie dał głowę.

– Bez wątpienia przez własną głupotę. – Brata Świeca znał ojca Rinpoche jedynie przelotnie. Ale naprawdę nie trzeba było wielkiego wysiłku, żeby wiedzieć, co to za człowiek. Rinpoche miał wszystko wypisane na twarzy. – Za chwilę pęknie. Więc mi opowiedz.

– Znalazł się po niewłaściwej stronie rzeki Pies, żeby móc zaatakować Calour. Jest tam wielu Poszukiwaczy.

Brat Świeca zdawał sobie sprawę. Odwiedził Calour. To był dziki kraj.

– Przywódcy lokalnych wspólnot jakoś skłonili go do mówienia – ciągnęła Socia. – Zwodzili go niemal przez miesiąc, utrzymując w przekonaniu, że może dostać to, co chce, bez walki. Że przekażą mu miejscowych Poszukiwaczy, jeżeli potraktuje dobrze wszystkich pozostałych. Ale wykorzystali ten czas, aby ściągnąć dwustu włóczyków z Sevanfax.

– Chyba wiem, co będzie dalej.

Sevanfax było odległym górskim księstwem leżącym między Dircją a Tramaine. Kilka ościennych państw rościło sobie względem niego prawa do zwierzchności lennej. Sevanfax nie uznawało żadnego z tych roszczeń. Walczyli z każdym, kto próbował ich poskromić. I wynajmowali się jako najemnicy.

Ich sława znacznie przewyższała reputację Grolsacherów. Byli nadzwyczaj profesjonalni. Ich ulubioną bronią były krótkie włócznie do rzucania, krótsze niż oszczepy, lecz dłuższe i cięższe od strzały. Włócznie te potrafiły wbić się we wszystko, pomijawszy tylko najgrubsze pancerze. A biskup Rinpoche miał przy sobie tylko garstkę zubożałych rycerzy.

– Włócznicy mordowali Arnhandów dziesiątkami, kiedy ci spróbowali przebyć w bród rzekę Pies. Kapitan Sevanfaksów, o imieniu, które brzmiało mniej więcej jak Ghaitre, pozwolił im jednak przepłynąć na drugi brzeg. Sam wycofał się do miasta. Kuznicy na murach osłaniali ich, aż znaleźli się w środku. Arnhandowie byli zmęczeni, przemoczeni i zziębnięci po przeprawie przez rzekę. Nie obstawali przy ataku na miasto.

– A więc...

– Więc kiedy to wszystko się działo, ludzie z miasta, którzy przepłynęli rzekę noc wcześniej, zaatakowali obóz Rinpoche. Zniszczyli jego zapasy, wybili zwierzęta, puścili dekonników w rozsypkę. Rinpoche omal nie utonął, próbując się przedostać na drugi brzeg, aby ratować, co się dało. I mógłby zostać zabity później, gdy włócznicy znów opuścili miasto, aby dobić jego zgraję.

Więc teraz pozbawione przywódcy bandy staną się zmorą tej części Connec. Należy tylko mieć nadzieję, że spróbują wrócić do rodzinnego Arnhandu.

Obrońcy Connec niewątpliwie dołożą wszelkich starań, by im się nie udało.

Wieści nabrały nieco jaśniejszych barw po policzku wymierzonym Rinpoche. Strumień uchodźców zmalał. Brock Rault zdołał przekazać wiadomość do Antieux. Okupanci Caron ande Lette uciekli do Ormienden. Raultowie byli teraz z hrabią Raymone'em. Kilka niewielkich potyczek z rozproszonymi siłami arnliandzkimi poszło nieźle.

– Nie tylko nieszczęścia chodzą parami. Łotrzy poniosą klęskę – zwróciła się do brata Świecy Socia.

Skłonny ostatnio do pesymizmu Doskonały zauważył:

– W dalszym ciągu dobrze odżywiona armia patriarchalna czeka w Ormienden.

To wciąż pozostawało wielką zagadką. Patriarcha wysłał swoje wojska z Firaldii, najwyraźniej radośnie czekając na zniszczenia, jakie ściągną na kraj. A teraz wszyscy ci żołnierze po prostu tam siedzieli beczynnici.

Szerzyły się plotki o jakichś ukradkowych zabiegach dyplomatycznych. Ale z czyjej strony? W jakim celu?

Walki słabły. Hrabia Raymone zdołał zabezpieczyć całość obszarów rolnych na południe od Yperi, najdalej na południe wysuniętego przyczółku amhandzkiego najazdu. Triumfujący, lecz wyczerpani zwolennicy

Raymone'a zaczęli napływać do Antieux. Większość zabawiła jedynie na krótko, nim udała się w podróż do domu.

Pesymizm nie opuszczał brata Świecy. Przewidywał następujący rozwój wydarzeń:

– Następnym razem Arnhandowie będą mieli gotową strategię. I znajdą dowódcę, który dopilnuje, żeby wszystko poszło zgodnie z planem. Jeśli Patriarchalni zostawią tu cokolwiek wartego zniszczenia. – Popatrzył na północny wschód, w stronę Wodza Naczelnego Wzniosłego i jego wspólników z Kolegium, którzy zawiśli nieruchomości jak sępy, czekając, aż Connec wyzionie ducha, a jego ciało padnie ich łupem.

Wokół szerzyły się tysiące ponurych pogłosek o gwałtownym wzroście aktywności stworów Nocy. Każdy cudzoziemiec przynosił ze sobą historie o zleżalej niegodziwości, która znowu wyszła na świat.

Brat Świeca przypominał każdemu, kto chciał słuchać:

– Żaden z tych ludzi osobiście nic nie widział. Zdajecie sobie z tego sprawę, no nie? Każdy z tych bazarzy sprzedaje coś, co usłyszał od kogoś, kto z kolei dowiedział się tego od kuzyna, który za nic w świecie nie skłamałby w żadnej sprawie.

Socia zawsze potrafiła przypomnieć mu na czas:

– Byłeś tam, gdy Rook podszedł tak blisko, że następnego dnia rano musiałeś wyrzucać robaki z pościeli.

Mógłby coś odburknąć, ale nie potrafił zakwestionować prawdy.

Bernardin Amberchelle prześliznął się do Antieux wraz z grupą pielgrzymów podążających na wschód, ku świątyniom w Khaurene, stamtąd zaś ku źródłom świętego Overdreta. Jakoś zdołał zamaskować swoją przerażającą naturę. Sprawiał wrażenie rozsądnego dżentelmena w średnim wieku, typowego mieszkańca zamożniejszych dzielnic connekiańskiego miasta. Był korpulentny, miał ciemne włosy i oczy, usta pokąsane przez pszczoły. Z bliska jednak widać było, że cuchnie, jest brudny i ma na sobie strzępy zamiast ubrania.

Obstawał przy tym, że niezwłocznie musi się zobaczyć z Mistrzem Doskonałym i narzeczoną kuzyna.

Żadne z nich nie należało do bliskich znajomych Bernardina. Miejscowi ludzie hrabiego Raymone'a zapewnili ich, iż jest człowiekiem ściśle przestrzegającym form towarzyskich. Niemniej upierał się, że musi ich zobaczyć zaraz – i ani jednego dnia nie chciał poświęcić na odpoczynek,

podczas którego mógłby wyzdrowieć i wystroić się odpowiednio do dworskiej etykiety, którą tak rzekomo lubił.

– On naprawdę przybywa od hrabiego – stwierdziła Socia.

Amberchelle spotkał się z nimi w komnacie hrabiego, wyłożonej kamieniem sprowadzonym z Ziemi Świętej. Nie potrafił powściągnąć lękliwej ekscytacji.

– Hrabia Raymone ma pewien plan – powiedział. – Wy dwoje odgrywacie w nim kluczową rolę. Pierwszy krok to przygotowanie Antieux do długotrwałego, ciężkiego oblężenia.

Zmarszczyli brwi w zdumieniu.

– Raymone nieoczekiwanie znalazł przyjaciół. Przejrzał na wskroś plany naszych wrogów. A także cele naszych nieoczekiwanych sprzymierzeńców.

Odpowiedzią były jeszcze głębsze zmarszczki na czołach starego mężczyzny oraz dziewczyny.

– Towarzystwo przysłało tu swoich agentów. Ujawnią się dopiero wtedy, gdy zacznie się oblężenie. W nocy zdobędą bramę Antieux i otworzą ją. Wtargną wrogowie, potem zabiją wszystkich, maysalczyków, devów i dainshauów.

– Dainshauów? – spytał brat Świeca. – Ja tu nigdy nie widziałem żadnego dainshaua.

– Są tu, Mistrzu. Kilka rodzin. Towarzystwo planuje ich eksterminację. Tutaj i wszędzie. Jak również devów i maysalczyków. A w Antieux zamierzają zabić wszystkich. Nawet swoich. To ma być przykład dla mniejszych miast, zobowiązanych do wierności lennej wobec hrabiego Raymone’a. W następstwie masakry poddadzą się bez walki.

– To ta właśnie obłąkańcza racjonalność, którą można napotkać jedynie u bogów... – westchnęła Socia.

Brat Świeca ścisnął ją za ramię.

– Rozum nie ma tu nic do rzeczy – zaproponował Amberchelle. – Przykazano mi, abym przygotował miasto do długiego oblężenia. Waszym zadaniem będzie wyprowadzić stąd devów, dainshauów, Poszukiwaczy Światła oraz wyznawców Niepokalanego, dopóki jeszcze można. Niewierni muszą iść do Sheavenalle. Poszukiwacze powinni udać się do Castreresone lub jeszcze bardziej na zachód. Może na Białe Wzgórza.

Socia wzięła głęboki oddech, potem jeszcze jeden, gotując się do kłótni. Amberchelle uprzedził ją.

– Trzeba przygotować się na niespodzianki. Mnie też nie powiedziano wszystkiego. Wiem tylko, że jeżeli chcemy doczekać następnego lata, każdy musi wykonywać swoją część roboty, zgodnie z planem Raymone’a, bez pytań i bez dyskusji, tak szybko jak się da. – Nachylił się nad bratem Świecą. – Otaczają nas ponure knowania. Jednak jeszcze zwyciężymy. Ale z ręką na sercu mówię ci, że musisz przedsięwziąć właściwe kroki. I to zaraz.

Brat Świeca zrozumiał. Nawet nie znając szczegółów. Uciszył Socie, zanim zdążyła otworzyć usta. Potem zapytał, jakich szczegółów i wskazówek potrafi dostarczyć Amberchelle.

Mniejszości narodowościowe z Antieux chętnie opuszczały kraj. To zadziwiło brata Świecę. Był też zdumiony, że hrabia Raymone zamierza odesłać ludzi, którzy mieli wszelkie powody, by energicznie opierać się brotheńskim najeźdźcom episkopalnym.

Pani hrabiego oraz jej doradca duchowy w towarzystwie Doskonałego z Antieux szli na czele pochodu. Kolumna ciągnęła się na całe mile. Wiele najwybitniejszych rodzin z Antieux wysyłało dzieci do krewnych w Sheavenalle lub Castreresone albo, dla bezpieczeństwa, nawet jeszcze dalej.

Przesiedlanie dzieci miało sens. To były brzuchy, które trzeba i czymś nakarmić. Ciała, do których przyczepione były te brzuchy, nie na wiele zdałyby się w trakcie obrony miasta.

Wiejski lud także gotował się do wojny. Rzeczy wartościowe i artykuły spożywcze trafiały do miasta lub pobliskich fortyfikacji. Albo do kryjówek na wzgórzach. W ciągu ostatnich kilku lat hrabstwo doświadczyło paru najazdów. Ci, co przeżyli, nie sprzedadzą tanio swej skóry.

Brat Świeca nie potrafił przekonać sam siebie o sensowności oporu. Mimo panującego chaosu członkowie Towarzystwa nieprzerwanie przenikali na terytorium Connec, wszędzie propagując sprawę Kościoła brotheńskiego. Gdzie nie znajdowali posłuchu, uciekali się do coraz bardziej ekstremalnych posunięć. Książę Tormond wydawał regularne proklamacje, usprawiedliwiające racje Wzniosłego. Lecz nikt nie zwracał na nie uwagi. Wedle powszechnego przekonania miał zmienić zdanie w tej samej chwili, gdy znikną naciski Kościoła brotheńskiego.

Nawet agenci Towarzystwa powątpiewali w szczerść hrabiego Tormonda.

Oprócz fiaska w zwalczaniu herezji Towarzystwo nie mogło się poszczycić żadnymi sukcesami w działaniach przeciwko zwolennikom Niepokalanego II. Nie potrafili nawet skutecznie karać tych, którzy atakowali bądź bronili się przed agentami brotheńskiego Kościoła episkopalnego. Nie żeby to miało jeszcze jakieś większe znaczenie. Wieści nadchodzące z Viscesment były jasne – Wzniosły zakończył wreszcie na swoją korzyść długą wojnę z prawowitą linią Patriarchów. Ale Towarzystwo wciąż nie mogło się poszczycić sukcesami w odzyskiwaniu mienia skonfiskowanego skorumpowanym duchownym, fortyfikowaniu kościołów oraz przerwaniu zatrudniania devów i heretyków w delegaturach państwa. I tak w kółko, bez przerwy. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by spostrzec, iż książę nigdy nie sprosta nałożonym na niego wymaganiom.

Rozwiązanie proponowane przez Socie Rault było być może jedynym ratunkiem dla Tormonda IV.

Rodziny devów i dainshauów odłączyły się od kolumny niedaleko za zachód od Antieux. Zmierzały na południe, ku Sheavenalle. Chaldarańscy uchodźcy nieprzerwanie kierowali się na wschód, wzdłuż starożytnej drogi, w kierunku Castreresone. Droga wyraźnie świadczyła, jak mocno żąb czasu nadgryzł Connec. Brotheńscy legioniści wybudowali ją tysiąc pięćset lat wcześniej. Mosty również pochodziły z tego czasu, jednak nawet obecnie niewiele trzeba było starań, aby utrzymać je w dobrym stanie. Jak wskazywała sama nazwa, Castreresone było niegdyś siedzibą okręgowego wojskowego dowództwa imperialnego. Mury jego spoczywały na fundamentach, które położyli saperzy legionów.

– Nastaly ciężkie czasy dla tej ziemi – powiedział Doskonały do Socii.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Była za młoda, by oceany czasu znaczyły dla niej cokolwiek. Wszystko, co zdarzyło się przed jej narodzeniem, zaliczało się do historii starożytnej.

– Przyznaję, że jest tu trochę strasznie. – Obejrzała się na Bernardina Amberchelle, którego oddział podążał za nimi. Wraz z kuzynem hrabiego podróżowali niektórzy niewygodni ludzie.

Brat Świeca także poczuł się nieswojo, gdy zastanowił się nad ludźmi z oddziału Amberchelle'a. Nie znał tych mężczyzn. Nigdy nie widział ich w okolicy Antieux. Bernardin twierdził, że była to pomniejsza szlachta, jak Raultowie, którą wygnano z domów rodzinnych w okolicach Viscesment.



Żaden nie należał do Poszukiwaczy Światła. I posługiwali się dialektem, który nie brzmiał jak connekiańska mowa.

Socia dorzuciła:

– Będę szczęśliwa, gdy wreszcie opuścimy tę prowincję. – W ustach prowincjonalnej dziewczyny było to dość dziwne spostrzeżenie.

Komentarz jej jasno uzmysłowił Doskonałemu niepokój, który odczuwał od paru dni. Te południowe prowincje Connec sprawiały zdecydowanie nieprzyjemne wrażenie. Bez żadnych wyraźnych powodów. Kiedyś tu było inaczej. Przemierzał tę ziemię od dziesiątków lat i nigdy nie czuł nic podobnego.

Myśli jego powędrowały z powrotem ku lasom wokół Caron ande Lette. Rook. Szerzyły się plotki, że zmartwychwstają również inne starożytne Delegatury. W morzu coś się ruszało. Stwory Nocy krążyły w mroku. Ale zawsze były to tylko pogłoski.

Mimo to jednak prosta suma doniesień wskazywała, że coś ohydneho i straszego pełzło naprzód spośród grobów, które od tak dawna strzegły jego szczątków.

Miasto wydawało się więc najlepszym miejscem.

Droga na zachód wiodła wzdłuż północnego brzegu rzeki Wawrzyn, która toczyła swe wody na wschód, z powrotem tam, skąd przybyli, następnie zaś skręcała na południowy wschód, do Sheavenalle, i wpadała do Morza Ojczystego. Droga tą podróżowano, pieszo i rzeką, jeszcze w epoce poprzedzającej czasy, gdy ludzie nauczyli się spisywać dzieje.

Wawrzyn, żeglowna aż do Castresone i jeszcze dalej, mogła poszczycić się dziesiątkami łodzi i barek o płytkim zanurzeniu, z których część była pod żaglami, niektóre zaś napędzała praca wiosł. Brat Świeca powiedział do Socii:

– Nieraz myślałem, że gdyby moje życie potoczyło się inaczej, mógłbym zostać przewoźnikiem na barce.

– Czyżbyś nie dostał rozstroju żołądka podczas przeprawy do Shippen i z powrotem?

– Otwarte morze to coś całkiem innego. Tylko wariat mógłby prowadzić taki tryb życia.

– Każdego dnia dowiaduję się o tobie czegoś niesamowitego.

– Każdego dnia powinnaś o czymś innym dowiadywać się czegoś nowego, niesamowitego i cudownego, dziecko.

Kiedy w zeszłym roku zdążali do Khaurene, minęli Castreresone w odległości trzydziestu mil od północy. To osławione miasto stanowiło siedzibę gubernatorów Cis-Endonensis, prowincji Starego Imperium. Khaurene było stolicą Trans-Endonensis.

Cis-Endonensis było urodzajne i nastawione pokojowo, dlatego cieszyło się wielką łaską Imperatorów Brothe.

Castreresone stanowiło imponujący widok. Niektórzy nazywali je Białym Miastem. Wapienne lica jego obwarowań były niemal równie jasne jak marmur. Same zaś mury, choć posadowione na starożytnych fundamentach, były najnowocześniejsze i najlepiej utrzymane w całym Connec. Obecnie przeprowadzano tam renowacje – zewnętrzne mury kurtynowe podwyższono, w newralgicznych miejscach dobudowywano machikuły, a nad przejściami na szczytach murów umieszczano zadaszanie. Wokół dwóch zamożnych przedmieść, które wyrosły w ostatnim stuleciu, wznoszono nowe mury kurtynowe z wieżami przyściennymi w kształcie litery „D”.

Castreresone zajmowało osobliwą pozycję w hierarchii feudalnej Skraju Connec. Jego suweren mógł rościć sobie prawo do zwierzchnictwa feudalnego nad większością terytoriów nadbrzeżnych Connec, począwszy od Terliagi po deltę rzeki Dechear, z wyjątkiem tych lenn, które należały bezpośrednio do książąt Khaurene. Na przykład Sheavenalle. W Castreresone brakowało jednak rodziny dziedzicznych władców. Zgodnie z tradycją miasto należało do spadkobiercy księcia Khaurene. Tormond IV nie miał żadnego oficjalnego następcy. Castreresone więc znalazło się w rękach jego stryja, Rogera Shale’a, który był, ściśle rzecz ujmując, młodszy niż Tormond. Roger Shale, maysalczyk, nigdy się nie ożenił i nie miał prawowitych spadkobierców. Jego następczynią została wyznaczona bratanica, Isabeth.

Roger Shale w niczym nie przypominał Tormonda. Był energiczny, skuteczny w działaniu i dobrze zorganizowany. Podczas ostatnich zamieszek utrzymał spokój w miejscu swego panowania. Nie miał jednak najmniejszego wpływu na szerszy krajobraz polityczny Connec. Energię wyładowywał, czyniąc z Castreresone najlepiej bronione miasto Skraju Connec.

– Niesamowite i cudowne – powiedział brat Świeca. – Nie wiedziałem. Ale teraz mogę powiedzieć jedno: temu spokojnemu, pięknemu miastu jest

znacznie bliżej do serca narodu connekiańskiego niż Khaurene, Antieux lub Altai.

Altai stanowiło część Connec wysuniętą nieco na północ względem centrum kraju, krainę górską i najbardziej skłonną do herezji. W owym czasie wielu Poszukiwaczy tam właśnie znalazło schronienie. Cała altajska ludność była przekonana, iż są oni jedynymi „prawdziwymi Connekianami”.

Kolumna uchodźców ze wschodu zobaczyła Castreresone w promieniach wschodzącego słońca. Lśniły białe mury. Droga opadała w dół, do mostu nad rzeką Wawrzyn; most był dość szeroki, by pomieścić ośmiu mężczyzn maszerujących ramię w ramię. Na południowym brzegu droga przez pół mili biegła pod górę, wspinając się na wysokość stu stóp i otwierając na płaską, otwartą równinę rażenia pod olbrzymim barbakanem o skomplikowanej konstrukcji, który strzegł głównego wejścia do Białego Miasta. Na murach wisiały: czarne wieńce, smutna pamiątka żałobna wydarzeń w Viscesment.

To właśnie tam, gdy czekali na wpuszczenie do miasta, dotarły do nich wieści o larwie boga.

– Jak to należy rozumieć? – zapytała Socia, a cały jej zwykły złośliwy nastrój prysł. Zrobiła się przygaszona, ponieważ widziała, że stary jest głęboko wstrząśnięty.

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że to znak, iż Delegatury Nocy coraz poważniej angażują się w sprawy świata.

– Bogowie znów będą chodzić wśród nas?

– Może tak się zdarzyć. Tak może być. I to mnie przeraża.

## 14

# Krzyżowcy, wilki na krzesłach

Marsz na północny zachód przebiegał zbyt gładko na gust Naczelnego Wodza.

– Martwię się, gdy wszystko idzie dobrze – zwrócił się do swego sztabu, gdy armia zatrzymała się na postój w pobliżu kompleksu klasztornego w Dominagui. – Nie możecie być aż tak dobrzy w tym, co robicie.

Dwuznaczny komplement wywołał uśmiechy na ich twarzach, ale na krótko.

W chwili gdy Hecht miał już ruszać w dalszą drogę, prowincjał Doneto przywiózł wieści od swego kuzyna.

– Jego Świątobliwość zaangażowany jest w delikatne negocjacje, Wodzu Naczelnym. Chce, abyś wstrzymał marsz na kilka tygodni.

– Dlaczego? Od tak dawna tak bardzo mu zależało.

– Mnie to też zdumiewa. Nie jestem członkiem jego najbliższego kręgu, mimo iż stanowią rodzinę.

– Czy to znaczy, że mam się tu zatrzymać? Czy zająć lepsze pozycje do czasu, aż otrzymam wolną rękę? Są jeszcze jakieś inne ograniczenia?

Prowincjał Doneto wydawał się skonfundowany. Rozejrzał się dookoła, jakby nie po myśli mu była obecność tylu świadków.

– Po prostu nie masz zgody na rozpoczęcie kampanii connekiańskiej. Na razie.

Hecht przyjrzał się członkom swego sztabu. Ani on, ani oni nie przerwali pracy. Podczas postoju opracowano kilka nowych koncepcji taktycznych. Zawodowcy chcieli jak najwięcej wyciągnąć od milicji miejskich w trakcie tego krótkiego okresu, w jakim były dostępne.

Legalnie można było je trzymać w polu jedynie przez czterdzieści dni. Ziarna piasku przesywały się w klepsydrze. Istniały oczywiście rozmaite rozwiązania tej sytuacji. Można było zapłacić tym, którzy zechcą służyć dłużej, a wśród pozostałych wprowadzić rotację uzupełnień.

– On rozumie, że za miesiąc jego armia zacznie się kurczyć? – zapytał Hecht. – A kiedy możemy się spodziewać tej kiepskiej pogody?

– Przekazuję, co mi kazano, Naczelnny Wodzu. To wszystko. Mogę wysłać list, w którym dam wyraz twoim troskom, ale nie potrafię zmusić adresata, aby go przeczytał. A jeśli nawet przeczyta, nie sprawię, aby się nim przejął.

– Chciałbym zająć pozycje na granicy.

Doneto wzruszył ramionami.

– Ty dowodzisz wojskiem.

Hecht zwrócił się do Titusa Consenta.

– Ci zwiadowcy już wrócili?

– Jeden oddział. Taka liczba ludzi sprawi kłopoty przy przeprawie promowej. To może potrwać i tydzień.

– Ostatnim razem zabrała nam cały dzień, a mieliśmy tylko kilka setek żołnierzy. Przeprawę trzeba jednak zabezpieczyć. Nawet jeśli zostaniemy po tej stronie, będziemy mogli kontrolować ruch na rzece. Pułkowniku Ghort. Przejdźmy się. Chciałbym zasięgnąć twojej rady.

Hecht przestał zwracać uwagę na Doneta, co prawdopodobnie musiało zirytować prowincjała. Nie dbał o to. Miał własnego, prywatnego prowincjała. Muniero Delari podróżował w wolnym tempie, ale posuwał się naprzód. Jego obecność zapewniała dobre zachowanie Doneta. Nie zanosilo się między nimi na żadne kłopoty.

Jak długo to potrwa?

W chwili obecnej znacznie bardziej niepokojące wydawało się głębokie przywiązanie, jakim Pinkus Ghort darzył swego patrona.

Doneto uważał, że Pinkus Ghort jest mu zaprzędany ciałem i duszą. Ghort może by się z tym nie zgodził, niemniej uznawał, że ma wobec prowincjała wielki dług. Nie było tajemnicą, że wciąż mieszka w jego domu.

– Co jest? – zapytał Ghort, gdy tylko znaleźli się z dala od ciekawskich uszu.

Ochroniarze Hechta trzymali się na odpowiedni dystans, ale dość blisko, aby wkroczyć, w razie gdyby zło ujawniło swe oblicze.

– Przypominasz sobie, o czym rozmawialiśmy, jadąc tutaj? Wtedy, jak puszczałeś wodze wyobraźni?

– Rozmawialiśmy o mnóstwie rzeczy. Psiakrew, ale tu miło. Lubię taki chłód.

Dzień był wietrzny i zimny jak na tę porę roku, niebo bezchmurne.

– Może źle wpłynąć na zbiory winogron.

– No. Zapewne. Jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Nie znam się na winie. Ale myślę o Sonsie. Sprawdź na mapie. Miasto leży ledwie siedemdziesiąt mil stąd.

Jeżeli Bronte Doneto był wplątany w intrygę Specjalnego Oficjum, rajd na Sonse nie mógł być po jego myśli. A jeżeli Ghort tkwił po uszy...

– Myślisz o zwykłym rajdzie? Czy surowym ukaraniu miasta za to, że okazało się nieprzyjazne?

– Myślę, że gdybyśmy zmusili Trzy Rodziny do zgięcia karków, Wzniosły mógłby na nas spojrzeć łaskawszym okiem.

– A przy okazji moglibyśmy się przyjrzeć bliżej Karlicy i jej załodze?

– Właśnie. Dalej interesuje mnie prawdziwa historia Vali.

Zatrzymali się, rozejrzeli dookoła po wzgórzach i stokach porośniętych winoroślą. Kraina była naprawdę piękna.

– Connec też jest ładne. Przynajmniej to, co z niego widzieliśmy.

– Znow odwiedzimy te tereny. Wzniosły jest właściwie opętany postacią hrabiego Raymone'a – zauważył Hecht.

– Na nastroje panujące w Towarzystwie też to wpływa. Ale wolałbym nie. To nie będzie przyjemna wycieczka. Nawet z dwoma czarownikami wielkiego kalibru, którzy się za nami włoką.

– Jednym czarownikiem. Prowincjał Delari nie jest tutaj dla celów profesjonalnych. Ma mieć na oku twojego szefa.

– Mojego szefa? Czy ciebie? Myślałem, że coś jakby cię adoptował.

– Doneta.

– Doneta? Co masz na myśli, mówiąc: Doneta? Nie pracuję dla niego. Pracuję dla miasta. Co chcesz powiedzieć, jak mówisz, że Delari chce mieć na niego oko?

– Wciąż mieszkasz w jego domu, Pinkus. A on uważa cię za swojego człowieka. Od czasu do czasu mnie też próbuje za takowego uważać. Nie mam pojęcia, co jest między nim a Delarim. Ale jest tam dużo złej krwi.

– On to świetnie ukrywa.

– Faktycznie. Gdyby nie chłopak, nic bym o tym nie wiedział.

– Armand? Z nim jest coś nie w porządku, Pipe.

– Ha! Nic ci nie umknie.

– Chodzi mi o to... Dobra. O wilku mowa.

Bronte Doneto wyszedł na przechadzkę. W czym nie byłoby nic niezwykłego. Niemniej jakimś sposobem trasa marszu wiodła go coraz bliżej ku nim.

– Idź i zdobądź Sonzę – powiedział Hecht. – Jeżeli potrzebujesz więcej sił niż tylko kontyngent brotheński...

– Powinni aż nadto wystarczyć. Kiedy?

– Ja już swoje powiedziałem. Odtąd to twoja misja. Podejmij wszystkie niezbędne przygotowania i ruszaj, kiedy będziesz gotów. Wasza miłość.

– Panowie.

Ghort zagał:

– Właśnie opowiadałem Pipe'owi, że tak ma wyglądać miejsce, w którym chcę spędzić resztę życia... jeśli będę miał szczęście i zdobędę dość łupów. Zajmę się winiarstwem.

– Najpewniej przepijesz wszystkie zyski – skomentował Hecht.

Tej samej nocy człowiek Ghorta, Bo Biogna, opuścił obóz z drużyną specjalnie dobranych ludzi. Następnego ranka w drogę wyruszył cały kontyngent brotheński. Na porannym spotkaniu sztabu Hecht oznajmił:

– Dałem Pinkusowi misję specjalną. Jeżeli nasz pan spuści nas ze smyczy, dogonią nas później.

Natychmiast pojawiły się pytania. Hecht nie odpowiedział na żadne. Ci ludzie nie musieli nic wiedzieć.

Wśród pytających był prowincjał Bronte Doneto. Może Pinkus faktycznie przestał już czuć zobowiązania wobec niego?

Może.

– Zapomnijcie o Ghorcie – uciał. – Musimy myśleć o przemarszu do Dechear. Pułkownikowi Smolens. Tobie i porucznikowi Consentowi zleciłem badania nad możliwością wykonania tego manewru. Głównie po to, by trzymać was z dala od kłopotów. Zastosowaliście się do moich rozkazów?

– Tak – odparł Smolens. – To powinno być łatwe, sir. – Tytuł pojawił się tylko dlatego, że obecni byli członkowie Kolegium.

– Nie mają żadnych planów poważniejszych działań defensywnych – oznajmił Titus Consent. – Interesują ich tylko zamachy.

Hecht kątem oka zerknął na Muniera Delariego. Stary nie zdradzał szczególnego zainteresowania. Pozostawało mieć nadzieję, że nic z tego nie dotrze do Osy Stile.

– Dobrze. Proszę wydać rozkazy przygotowawcze do wymarszu. Smolens, zajmij się tą drugą sprawą.

– To rozkaz, sir? – zapytał Smolens. Cały aż się palił do działania.

– Przygotować i wykonać.

Teraz już Delari wyraźnie się zainteresował. I zniechęca nabrał podejrzeń. Cokolwiek ktokolwiek sobie myślał, Piper Hecht wciąż miał własne zdanie.

Armia patriarchalna posuwała się wolno na zachód, pokonując ledwie sto mil w ciągu dziesięciu dni. Awangarda dotarła do Decheur i założyła obozy przy miejscach wyznaczonych na przeprawę. Najbliższy ocalały most znajdował się w górze rzeki, w Viscesment. Naczelny Wódz podzielił swoje siły, aby zmniejszyć obciążenia, jakie ich obecność nakładała na Ormienden, i zachować lepszą manewrowość. Prowincjał Doneto zdecydował się pozostać przy dywizji wysuniętej najdalej na południe. Tej samej, którą preferował sam Naczelny Wódz. Była to największa dywizja z tych, które uderzą w kierunku Antieux. Doneto czuł krew. Miał swoje rachunki do wyrównania.

Pracy było dość nawet dla prowincjałów, włączywszy w to kolejne warty na przyczółku, który Naczelny Wódz ustanowił na zachodnim brzegu. Doneto i Delari spędzali godziny na wywiadach z miejscową ludnością i wędrownymi członkami Towarzystwa, próbując wydobyć prawdę z plotek o dziwnych wydarzeniach nękających Connec.

Piper Hecht z zadowoleniem doszedł do wniosku, że żaden z prowincjałów nie zauważył nieobecności pułkownika Smolensa. Zakładali, że jest przy którejś z pozostałych dywizji.

Smolens uczyni Viscesment to, co Pinkus Ghort miał zrobić Sonsie.

O operacji wiedzieli tylko najbliżsi współpracownicy ze sztabu Hechta.

Zawiązały się między nimi więzi tak silne, że nawet Clej Sedlakova cieszył się przynależnością do wewnętrznego kręgu tych, którzy zajmowali się prawdziwym działaniem.

Hecht rozmawiał z Sedlakową, odświeżali wspomnienia o terenach otaczających Antieux.



– Nie popełnią drugi raz tych samych błędów. Z pewnością wybudowali kolejne cysterny, które będą teraz pełne wody. Titus twierdzi, że przebudowali główną bramę, dodając machikuły i drugą opuszczaną kratę, którą manipuluje się z oddzielnej wartowni, przez co zmniejsza się ryzyko zdrady.

– Tak czy siak nie bardzo wierzyłem w sekretnych przyjaciół z Towarzystwa.

– Mimo to wciąż jeszcze może się udać.

– Jak wygląda grunt, na którym stoi miasto? Podkop jest możliwy?

– Wydaje mi się, że stoi na podłożu skalnym. Nie zbudowano go nad samą rzeką, tylko na skalnym wzgórzu. Kiedy dotrzemy do Castreresone, zobaczymy coś podobnego, tylko na większą skalę.

– Jak wysokie są mury? Jeżeli naprawdę poważnie podchodzą do uprawy winorośli, to wokół nich powinna się znajdować gruba warstwa wierzchniej gleby.

– Nie całkiem rozumiem, o co ci chodzi.

– To coś, czego już nie robimy, a co często robiono w starożytności. Można zbudować rampę na szczyt murów. Można nawet zbudować nieco wyższą i wtedy atakuje się z wysokości.

Bystrzy członkowie Bractwa Wojny posłużyli się tą taktyką w Ziemi Świętej podczas pierwszych krucjat. Odtąd pramańskich zamków już nie budowano w miejscach pozwalających na taki szturm.

Znajdowali się na drugim piętrze starego wiatraka, który od lat już nie pracował. Nie było więc żadnych powodów, by dalej stał opuszczony. Do pomieszczenia wszedł Titus Consent.

– Masz coś? – zapytał Hecht.

– Kilka rzeczy. Wszystkie trafienia.

– I?

– Smolens wykonał swoją robotę. Choć miał trochę problemów z gwardią Niepokalanego.

– Nie poddali się?

– Nie od razu. W efekcie Smolens poniósł większe straty w ludziach.

– Tego się obawiałem. Ale skąd się tam wzięli, skoro Imperatorowa przeszła na stronę Wzniosłego?

– Nie wiem. Braunsknechci biorą poważnie swoją robotę. To może być problemem.

– To znaczy?  
– Mamy tu jednego na dole. Chce się z tobą zobaczyć.  
– Smolens wziął jeńców?  
– Ten przybył z Plemenzy. Nie wie, co się zdarzyło w Viscesment. Jeszcze.

Nie minie dużo czasu, nim wieści dotrą do najdalszych krańców chaldarańskiego świata.

Świat ten wiedział już, że wojska Patriarchy okupują Sonsę. Krążyły plotki, że Wzniosły zaatakował miasto na mocy umowy, jaką zawarł z Dateonem i Aparionem. A może nawet z Piotrem z Navai, którego platadurańscy sprzymierzeńcy od dawna marzyli o sonsańskich posiadłościach na Artecipei.

Ten Braunsknecht przybył z Plemenzy? To znaczyło, że od księżniczki Hespeth.

Trzeba sprawę załatwić w rękawiczkach.

– Braunsknecht powiedział, czego tu chce?  
– Chce rozmawiać z tobą. I sądzi, że ty zechcesz porozmawiać z nim.  
– Nie łapię.  
– Powiedział, że chodzi o potwora, który siedzi w górach Jago.  
– Aha. – To było znacznie mniej ryzykowne. – Coś jeszcze?  
– Pułkownik Ghort jest gotów do opuszczenia Sonsy. Trzy Rodziny złożyły Wzniosłemu hołd lenny. Obiecali użyć swoich flot, kiedy nadejdzie czas na nową krucjatę w Ziemi Świętej, i wyrazili nadzieję, że wkrótce to nastąpi. Ich żeglarze głodują, okręty próchnieją na nabrzeżach, a tymczasem Platadura przejmuje kontrolę nad zachodnimi obszarami Morza Ojczystego.

Hecht pokiwał głową. Zszyfrowana wiadomość głosiła, że Pinkus wziął jeńców i wydobył z nich wszystkie informacje, jakie tylko mógł.

– To dobre wieści. Coś jeszcze?  
– Jeszcze jedno. Pułkownik Smolens donosi, że kiedy przybył na miejsce, w Viscesment znajdowali się jacyś dziwni ludzie. Uciekli, zanim zdążyli ich wyłapać. Uciekli do Connec. Twierdzi, że to tylko niepokojące przeczucie, ale wolałby, żebyś nigdzie nie ruszał się bez ochrony.

Hecht zadrzał. Jego ochroniarze znajdowali się wszyscy na dole. Źle się czuł w ich obecności, trzymał ich na dystans.

– W porządku. Gdy tu skończymy, powiedz Madoucowi, że chcę się z nim widzieć.

– Tak jest. Jeszcze jedna rzecz.

– Już to mówiłeś.

– Prawie zapomniałem.

– No?

– Hrabia Raymone może być znacznie bystrzejszy, niż sądzimy.

– Co znowu zrobił?

– Chodzi o to, że chyba niedługo zrobi. Namawia wszystkich conneckiańskich devów i dainschauów, aby wyemigrowali do miejsca, gdzie Wzniosły i Towarzystwo nie mają żadnej władzy.

– Jaki to ma sens? Pozbywa się całej kasty ludzi wykształconych.

– Ma sens, jeżeli podejrzewa ich o szpiegowanie. Czego raczej nie chcieli dla nas robić. Towarzystwo nie zdobyło sobie zbyt wielu przyjaciół. A ma to jeszcze więcej sensu, jeśli spodziewa się przegrać wojnę. Nie znajdziemy na miejscu nikogo zdolnego do prowadzenia archiwów. A zapewne również żadnych archiwów.

– Myślenie strategiczne, a nie tylko taktyczne. Ciekawe. Dobra. Jeżeli nie masz jeszcze jednej rzeczy, wprowadź Braunsknechta, a potem przekaz Madoucowi ostrzeżenie Smolensa.

Hecht spotkał się z Braunsknechtem pod młynem. Na jego widok zmarszczył brwi.

– Powinienem cię znać, nieprawdaż?

– Algres Strach, sir. Dowodziłem oddziałem, który wziął cię do niewoli podczas odwrotu z twojej poprzedniej conneckiańskiej przygody.

– Ach, tak. Niewola w Plemenzy. Mam nadzieję, że wtedy nie obraziłeś zbyttno Bronte’a Doneta. Obecnie jest już członkiem Kolegium. I jest tu z nami. Znów.

Hecht przyglądał się Strachowi. Tamten przekroczył trzydziestkę, ale wyglądał na starszego. Brodę i skronie miał przyprószone siwizną. Piwne oczy były tak wyprane z emocji, że nieomal bezduszne. Twardy mężczyzna, nawykły do trudów wojaczki. Którego znienacka znalazł się w nazbyt komfortowych warunkach związanych z aktualnym zadaniem i którego w najmniejszym stopniu nie niepokoila możliwość, że naraża się członkowi Kolegium.

Głupota? Czy nieświadomość?

– Poprosiłeś o spotkanie ze mną – rzekł Hecht. – Zdecydowałem się poświęcić ci chwilę czasu. Przez wzgląd na szacunek wobec rodziny, której służysz. Ale mam na głowie przygotowania do wojny. Więc czego chcesz? – Zdławił iskierkę nadziei, że Strach przywiózł jakąś osobistą wiadomość od księżniczki Hespeth.

– Księżniczka Apparent ma prośbę. Nie mam pojęcia, dlaczego wyobraża sobie, że ją spełnisz. Ale nie jestem tu od myślenia.

– Wszystko w granicach zdrowego rozsądku. I oczywiście politycznej stosowności.

– Chce, żebyś zabił boga.

Nic chyba nie mogło go bardziej zaskoczyć.

– Zabić boga?

– Delegaturę. Demona, jeśli wolisz.

– Nie rozumiem. – Ile Ferris Renfrow powiedział księżniczce Hespeth?

– Rozumiesz. Zabiłeś Szarego Wędrowca. Pod al-Khazen. Metodycznie i z rozmysłem. Księżniczka chce wiedzieć, jak się to praktycznie robi.

– Niech mnie. Po co?

Strach opowiedział mu o potworze polującym na podróżnych w górach Jago.

– To wielki insekt?

– Niewielu ludzi przeżyło, żeby go opisać. Najlepsze i najbardziej godne zaufania świadectwo pochodzi od Wielkiego Księcia Omrona va Still-Patter. Udało mu się oderznąć potworowi szpon. Zgodnie z jego opisem, potwór jest rodzajem gigantycznej modliszki z mnóstwem dodatkowych nóg.

– Wiem, o co chodzi. Był pod al-Khazen. Jeśli właściwie rozumiem całą sprawę, przedtem był człowiekiem. Teraz jest szaloną Delegaturą. Jakoś nie przyszło mi to do głowy, ale kiedy teraz o tym myślę, to sądzę, że w zeszłym roku grasował niedaleko na północ od Alicei.

– Jak mamy go zabić?

Nie chciał przyznać, że zna odpowiedź. Nie był pewien dlaczego. Tajemnica powoli się szerzyła. Ale nikt nie rozumiał, dlaczego sposób jest skuteczny.

Kapitan Strach go rozszyfrował.

– Jakimi argumentami cię przekonać?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego znienacka coś mnie zaniepokoiło.

– To dlatego, że nie wiesz, jak to zrobić?

– Rzecz jest łatwa. Nie musiałeś z tym przybywać do mnie. Księżniczka sama była przy zgubie Szarego Wędrowca.

– Nie jest to w ścisłym sensie prawdą, sir. – Strach wyciągnął zza pazuchy irchowy portfel. – Osobista prośba księżniczki, sir.

Hecht wziął do ręki list i przeczytał. Z jego zawartości dowiedział się przede wszystkim, jak bardzo dziewczyna ufa doręczycielowi. W przeciwnym razie nigdy nie zdecydowałaby się przelać takich myśli na papier.

– Ufa ci bardziej, niż ja komukolwiek byłbym w stanie zaufać. Podejrzewam, że nie bez powodu, ponieważ twoim zadaniem jest jej ochrona. Jednak dlaczego ja miałbym ci zaufać?

Strach zrozumiał.

– Prawda. Służę Imperium Graala. Nie potrafię cię skłonić, żebyś mi zaufał. Może więc ty mi wyjaśnisz, dlaczego tak ważne wydaje ci się, aby nikt się od ciebie nie dowiedział, jak zgładzić Delegaturę Nocy?

– Ale... – Tak. Wszyscy wiedzieli. Żelazo i srebro. Metale, które od tysięcy lat dawały niejaką ochronę. Ale...

On sam doszedł do tego dopiero niedawno, mimo wcześniejszych niezliczonych godzin łamania głowy nad zagadką.

Jego reakcja w Lesie Estery zrodziła się z czystego panicznego natchnienia, a srebro tworzyło promień rażenia tak szeroki, że bogon po prostu nie mógł go uniknąć. Hecht miał szczęście. Ten konkretny bogon był szczególnie wrażliwy na srebro. A wszelkie żelazo w pocisku trafiło doń wyłącznie mocą czystego przypadku.

Teraz jego artylerzyści mieli w falkonetach tajne naboje. Trzy naboje antyboskie na każdą z dwunastu broni, jakie posiadał.

Rozum przywiódł go w końcu do wniosku, że to nie ładunek zabił wówczas bogona w Ziemi Świętej. Ani też Szarego Wędrowca pod al-Khazen. Delegatury Nocy radziły sobie z żelazem i srebrem od najdawniejszych czasów.

A więc na czym polegała różnica?

Proch strzelniczy.

Broń miotająca, falkonety lub broń lekka, jaką zastosowali devediańscy fizylierzy pod al-Khazen, miotała pociski z prędkością zbyt wielką, by można było je dostrzec i uniknąć trafienia.

Ponownie odczytał wybrane fragmenty listu, nie przestając się dziwić, że dziewczyna potrafi wypisywać takie rzeczy, a potem komukolwiek zawierzyć, iż nieprzeczytane dostarczy mu do rąk.

Poszedł do drzwi młyna.

– Titus? Jeszcze tu jesteś? Znajdź Bechtera. Muszę pożyczyć Dragona Proseka. – Zwrócił się do Stracha: – Trochę potrwa, zanim wszystko zorganizuję.

Strach tylko pokiwał głową.

Hecht zaprowadził go do młyna, a potem na górę.

– Usiądź gdzieś. – Wziął pióro i papier, zaczął pisać.

Strach czekał w milczeniu. Wreszcie Hecht posypał piaskiem ukończone dzieło. Właśnie składał list, kiedy przybył sierżant Bechter, ciężko dysząc.

– Prosek już tu idzie – oznajmił. – Co jest? – Obrzucił spojrzeniem Algresa Stracha. I ocenił go właściwie.

– Nasi nowi najlepsi przyjaciele z Imperium mają problem. Tylko my możemy go rozwiązać. Chcę, żeby Prosek pojechał z kapitanem Strachem i zajął się wszystkim.

Bechter pokiwał głową. Ponownie spojrzął na Stracha.

– Braunsknecht?

– Tak. Bractwo Wojny?

– Na emeryturze.

– Oczywiście.

Przybył Drago Prosek.

– Proszę o pozwolenie na wejście do środka.

– Właż – rzekł Hecht. – Prosek. Ten pan to kapitan Strach z gwardii Braunsknechtów przydzielonej księżniczce Imperialnego Apparent. Przybył z prośbą o pomoc. Postanowiłem jej udzielić. Przyjaźń księżniczki może się nam przydać.

– Tak jest. – Bez cienia zastrzeżeń wobec jego wojskowego geniuszu.

– Mam zamiar dać ci szansę wykazania się.

– Tak jest. Co to będzie, sir?

– Weźmiesz dwa falkonetu do Plemenzy. Z obsadą. Proponowałbym Varleya i Sterna, ale wybór należy do ciebie. Do każdego falkonetu weź dwa specjalne naboje.

Brwi Proseka uniosły się. Oczy rozszerzyły.

– Sir...

– W górach Jago mieszka coś paskudnego. Jakiś pomiot Nocy. Byłeś pod al-Khazen. Kapitan Strach poinformował mnie, że to ten potwór, który nam się wówczas wymknął.

Oczy Proseka stały się wielkie jak spodki. Nawet Bechter zareagował.

Hecht mówił dalej:

– Idź, sprawdź, jak zwabić go w zasadzkę czy wpędzić w pułapkę, potem zabij. Zrób, co będzie trzeba. A potem szybko wracaj, ponieważ prawdopodobnie będziemy już wtedy oblegali Antieux i będziemy chcieli, żebyś dotrzymał nam towarzystwa w trakcie głodowania.

– Tak jest. – Prosek zupełnie zignorował ton głosu Naczelnego Wodza. Zwrócił się do Stracha: – Drago Prosek, sir. – Wyciągnął rękę. Strach wydawał się zaskoczony.

Hecht spojrzał kapitanowi w oczy.

– To wszystko, co mogę zrobić.

– Wystarczy. Tak sędzę. Dziękuję.

– Zawieź ten list do księżniczki. – Oddał tamtemu irchowy portfel. – Prosek.

– Sir?

– Nie pozwól tym ludziom mówić ci, co masz robić. Nawet samej księżniczce. Niech ci służą tylko wsparciem. Jesteś dostatecznie bystry, żeby wiedzieć, co należy zrobić. I na tyle inteligentny, żeby wykombinować jak.

– Tak jest.

– W porządku. Wszyscy wychodzą. Muszę pomyśleć.

Kiedy wyszedł ostatni człowiek, Hecht po raz czwarty przeczytał list od księżniczki. I wciąż nie potrafił uwierzyć, że dziewczyna do tego stopnia zaufała Strachowi. Choć zasadniczo na treść listu składały się błagania o pomoc przy uwolnieniu Jago od potwora.

Titus Consent tłumaczył Hechtowi:

– Jest problem ze zdobywaniem informacji wywiadowczych z Connec.

Hecht był zmęczony. Im mniej zadań wykonywała armia, tym więcej roboty zostawało dla niego. Nie chciał wysłuchiwać kolejnych złych wieści. Miał ochotę położyć się do łóżka. I może śnić o Annie. Albo o Hespeth Ege. Która oczarowała go w sposób, jakiego wciąż nie pojmował. Westchnął.

– Mów.

– Towarzystwo nam tylko szkodzi. Ich nastawienie wobec devów jest czarno-białe. Ktoś nie jest chaldaraninem? Zły. Zabić. A więc connekiańscy devowie nie chcą mieć z nami nic do czynienia. A poza tym i tak się wynoszą.

– Wyjaśnij.

– Mniejszości devów i dainschauów emigrują. Towarzystwo zachowuje się tak nieznośnie, że w niektórych miejscach nawet maysalczycy i niektórzy chaldaranie wynoszą się razem z nimi.

– Naprawdę? – Początkowo sądził, że napotka szalonych fanatyków, którzy będą woleli męczeństwo od poddania się Wzniosłemu.

– W najlepszych czasach Connec ma dość luźną strukturę polityczną. Zawsze na krawędzi anarchii. Od czasów imperialnych Connekianie cieszyli się spokojnym życiem. Gotowi są tolerować właściwie wszystkich, którzy odpłacają im wzajemną tolerancją. I tak było, póki Wzniosły nie zdecydował się wściubić tu swojego nosa.

– Więc... Ho, ho! – Pojawił się prowincjał Delari.

Niektórzy ludzie najwyraźniej nie potrzebowali pytać o pozwolenie, żeby nachodzić Naczelnego Wodza. Wszyscy oni byli członkami Kolegium.

– Zobaczymy się później – oznajmił Consent. Nie czuł się swobodnie w towarzystwie prowincjała Delariego. Mimo iż tamten był jego chrzestnym poręczycielem.

Delari przyglądał się, jak Consent zbiega po schodach.

– Ten człowiek jest strasznie nieśmiały jak na żołnierza.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo przerażasz zwykłych ludzi, nieprawdaż?

– Dlaczego miałby się mnie bać? – zapytał zmieszany prowincjał.

– Dla zwykłych ludzi jesteś kimś, kim dla ciebie jest Cloven Luty. – Ten akurat przyszedł Hechtowi na myśl, ponieważ Redfearn Bechter widział go nie dalej jak wczoraj. – Tylko bardziej.

Delari nie był uszczęśliwiony tą perspektywą. Ale postanowił nie drążyć tematu.

– Słyszałem, że wraca pułkownik Ghort.

– Już niedługo. Dobrze, że przyszedłeś. Dzięki temu nie muszę cię szukać. Pinkus powinien mieć jeńców, którzy nam wyjaśnią to, z czym się tam spotkaliśmy. I którzy może nam powiedzą, kim jest Vali. Ale prowincjał Doneto może próbować utrudnić nam kontakt z nimi.



Od czasu tamtego starcia w katakumbach Delari ani słowem nie wspomniał o swoim konflikcie z Donetem.

– A ty boisz się, że pułkownik Ghort wciąż jest człowiekiem Doneta?

– Tak.

– Doneto nie ma pojęcia, co robi Ghort. Jak wszyscy wie tylko, że pacyfikuje republikę niechętną Patriarsze. Z czego wnoszę, że Sonsa go nie interesuje.

– Dlaczego więc tu jest?

– Wzniosły go przysłał.

– Ale...

– Wszystko jest strasznie skomplikowane, prawda?

– Nie wiem, jak możecie tak żyć.

– Mówisz? Zresztą nieważne. Pewien jestem, że Bronte Doneto przybył tu dla jakichś własnych powodów, o których jego kuzyn nic nie wie. I nie mają one nic wspólnego z żadnym spiskiem przeciwko poczynaniom Wzniosłego. Doneto żywiłowo nienawidzi Antieux. Przeżył tu niezbyt miłe chwile.

– Sam się prosił.

– To nieistotne, Piper. Jeżeli wróg okazuje się na tyle butny, by się bronić, i na dodatek jeszcze cię pokona...

Wrócił Titus Consent, wszedł niezaproszony. Był blady i wstrząśnięty.

– Sir, przyszła wiadomość od pułkownika Smolensa. Ktoś zamordował Niepokalanego.

– Co? Cholera! Cholera! Żałuję, że nie potrafię przeklinać jak Pinkus. Dawaj tutaj, Titus. Mów.

– To wszystko, co wiem. Ktoś dostał się do Pałacu Królów. Braunsknechci zostali już zwolnieniu ze służby. Nie było powodów, by wystawiać silne warty. W końcu Niepokalany został zdetronizowany.

– Rozumiem.

Consent kontynuował:

– Smolens aresztował sprawców. Zabójcy byli dość sprytni, żeby dostać Niepokalanego, ale nie na tyle sprytni, żeby uciec.

– Wieści nie są całkiem złe, co?

– Ludzie, których złapali, należą wszyscy do Towarzystwa, Naczelnny Wodzu. Kiedy zostali złapani, zajmowali się właśnie niszczeniem i plugawieniem symboli władzy Viscement.

– To niedobrze – zauważył prowincjał Delari. – Właśnie dorobiliśmy się tysiocy nowych wrogów.

Hecht pokręcił głową.

– Co oni sobie wyobrażali? Mniejsza o to. Wiem. Potęga ludzkiej głupoty jest niezmierna. Zamiast krucjaty przeciwko Nocy może byśmy się zajęli wyplenieniem głupoty? Titus. Natychmiast pchnij kuriera. Smolens powinien publicznie przeprowadzić przesłuchania zamachowców. Potem publicznie ich stracić. Szybko. Nie przepuszczę złu, nawet dokonanemu w imię Boże. Czego chcesz?

Pojawił się prowincjał Doneto, również niezaproszony.

Prowincjał Delari powiedział:

– Weź głębszy oddech, Piper. Obojętnie jak jesteś wściekły, nie możesz się w ten sposób zwracać do członka Kolegium.

– Proszę o wybaczenie, wasza miłość. Słyszałeś wieści, które tak wytrąciły mnie z równowagi?

– Podśledzałem instrukcje, jakich udzieliłeś porucznikowi Consentowi. Są cokolwiek drakońskie. Tak dramatyczna reakcja z pewnością ograniczy inicjatywę członków Towarzystwa.

Prowincjał Delari ujął łokieć Hechta i ścisnął z zaskakującą siłą.

– Daj spokój, Piper. Bronte, każda słabsza reakcja wywoła burzę z piorunami.

– Cóż. Tak. Może masz rację. Ci ludzie faktycznie przestają rozumieć, gdzie przebiegają granice ich misji. Poruczniku, proszę zapomnieć o rozkazach.

Delari ścisnął tak mocno, że Hecht aż musiał zacisnąć zęby.

– Sam udam się do Viscement – kontynuował Doneto. – Proces i wyrok spotkają się ze znacznie większym oddźwiękiem, jeśli trybunałowi przewodniczyć będzie kuzyn Patriarchy.

– Pod warunkiem że wyrok nie zostanie wykonany wyłącznie na jakichś biednych statystach – warknął Hecht.

Doneto spojrział na niego wściekle. Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy rozzłościł się naprawdę.

Prowincjał Delari znów ścisnął łokieć Hechta.

– Titus, tak to zrobimy. – Hecht ukłonił się nieznacznie w stronę Doneta.  
– Wszystko jest w twoich rękach, wasza miłość. Proszę rzecz załatwić szybko, nim rana zacznie jętrzyć.

Można będzie też wykorzystać chwilową nieobecność Bronte'a Doneta w głównym obozie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Naczelnny Wodzu. Za godzinę ruszam w drogę. – Doneto odwrócił się i wyszedł.

Trzeba mu to oddać: w drogę wyruszył bez żadnego orszaku. Kiedy chciał, potrafił podróżować szybko.

Hecht odczekał piętnaście sekund i dopiero wtedy zapytał:

– Myślisz, że to on za tym stoi?

– Nie. Rozgniewał się naprawdę – orzekł Delari. – Towarzystwo szybko staje się naszym przekleństwem, choć miało być mieczem. Niewielu ma przyjaciół w Kościele.

– Więc jak długo jeszcze będę musiał tu siedzieć, gdy tymczasem oni będą komplikować przyszłość? – denerwował się Hecht. – Wzniosły staje się równie miękki jak książkę Tormond.

– Może będziemy mieli szczęście – powiedział Consent. – A Tormond i Patriarcha nie zrobią nic poza czekaniem, aż drugi umrze.

– O takie rozstrzygnięcie z pewnością modlą się miliony.

– Wieści z Viscesment powinny zainspirować Wzniosłego – stwierdził prowincjał. – Uzna morderstwo za wydarzenie pomyślne. Przekona sam siebie, że jego śladem pójdzie rychły krach episkopalnych z Viscesment. Że pozostanie mu już tylko eksterminacja heretyków, którzy jako nieludzczy słudzy Przeciwnika sami ustawią się w kolejce na szafot.

Hecht, którego serce biło już normalnym rytmem, rozkazał:

– Titus, pułkownik Ghort wiezie jeńców z Sonsy. Wyjedź mu na spotkanie. Przejmij ich. Przywieź do prowincjała Delariego. Żaden kurier udający się do Viscesment nie ma prawa wiedzieć nic na temat Ghorta czy Sonsy.

Potem Hecht próbował zająć się pracą przeznaczoną na ten dzień. Ale był zbyt niespokojny. Zwrócił się do Delariego:

– Muszę wyjść na powietrze. Wypuścić trochę pary.

– Rozumiem.

Sierżant Bechter wyszedł za Hechtem z młyna. Kilku ochroniarzy poszło za nimi. Hecht miał ochotę rozkazać im, żeby się zmyli. Ale nie marnował słów. Nie odejdą.

– Naczelnny Wodzu, widziałem dziś rano człowieka w brązach – oznajmił Bechter.

– Jeżeli tak bardzo rzuca się w oczy, to pewnie chce pogadać.  
– Słucham?  
– Już wiem, kim on jest. Nie jest groźny.  
– Kim jest?  
– Nie uwierzysz, jak ci powiem. We własnym pojęciu jest Delegaturą. Ale nie stwarza niebezpieczeństwa. Chyba, że jakiś głupiec wejdzie mu w drogę.

– Czarownik?  
– Pierwszej wody. Przejdźmy się na tę łączkę na południe od obozu. Tam, gdzie pasą się nasze zwierzęta. Pooglądamy ruch na rzece. – Czuł się, jakby wiodł luźną pogawędkę o mułach czy wołach z Po Prostu Zwyczajnie Joem. Joe i jego muł imieniem Żelazny Wieprz czuli się dobrze i wygodnie w swoich żywotach. Jakim wspaniałym i dostatnim miejscem byłby ten świat, gdyby każdy był jak Żelazny Wieprz lub Joe.

Sześciu ochroniarzy wlokło się za nimi. Kiedy Hecht opuścił granice obozu, trzymali się na dystans. Wiedzieli, dokąd zmierza.

Rośliny na łące kołysały się w podmuchach lekkiej bryzy. Wiatr niósł woń kwiatów późnego lata. Po tej stronie rzeki rośło niewiele drzew i pojedyncze kępy krzaków. Stoki wzgórz na wschodzie znaczyły plamy żółci, karminu, fioletu i różnych odcieni zieleni. Zwierzęta armii jeszcze nie wyskubały całej trawy z okolicy. W oddali na rzekę spoglądały ponure, szare ruiny zamczyska. Hecht nie wiedział, jak zamek się nazywa, w ogóle nic na jego temat. Sama rzeka była leniwą wstęgą mętnego oliwkowego syropu, toczącą swe wody niewidocznym nurtem. Na connekiańskim brzegu żołnierze patriarchalni wzniesli palisadę wokół sioła przewoźników. Tam z kolei było mnóstwo drewna. Hecht wysłał oddziały robocze, żeby wycinały drzewa na tratwy. Z każdym dniem nieco więcej żołnierzy przekraczało rzekę. Powolna – jakby od niechcenia – inwazja.

Na pierwszy rzut oka tereny wokół sprawiały wrażenie żyznych. Musiało je dotknąć jakieś nieszczęście. W przeciwnym razie te łąki byłyby winnicami lub farmami, jak reszta Ormienden.

Ciekawe. Płynąca w dole rzeka, Dehear, była jednym z wielkich szlaków transportowych kontynentu. Handel wykorzystywał ją jeszcze przed powstaniem Starego Imperium Brotheńskiego.

Nigdzie nie widział Po Prostu Zwyczajnie Joego. Żelazny Wieprz, muł jedyne w swoim rodzaju, stał na wzniesieniu, panując rumakom kawalerii.

– Nie wydaje ci się, że wiatr niesie chłód? – rzucił Hecht.

Brak odpowiedzi. Rozejrzał się wokół siebie. Był sam. Odszedł daleko od swych obrońców. Jakoś chyba tego nie zauważyli.

Amulet zaswędziało go wyjątkowo mocno.

Ruszył w kierunku swojej ochrony.

– Czekaaj.

Kilkanaście stóp od niego stał Cloven Luty, który zmaterializował się jakby znikąd.

– Ach. He?

– Wymowa, Piper. Wymowa. Nie każ ludziom myśleć, że jesteś półgłówkiem.

– Słyszałem, że się gdzieś tu kręcisz. Co jest?

– Słyszałeś? Jak to możliwe? Użyłem najsilniejszych czarów, żeby pozostać niewidzialnym.

– Co jest? – Mężczyzna w brązach przerażał go jak niewiele innych rzeczy. To z kolei denerwowało go, ponieważ dostrzegał w tym swoją słabość.

– Chcę cię ostrzec. Jesteś celem rozmaitych intryg.

– Trudno to uznać za rewelację.

– Prawda. Ale strzały już lecą. Nie wiem jakie. I dokąd. Niemniej wiedz, że rzecz nadchodzi. Poza tym już czas, żebyś pozbył się tego amuletu. Wykonałem dla ciebie drugi, który spełnia te same funkcje, a na dodatek będzie odwracał uwagę ludzi interesujących się twoją przeszłością. No i doda ci nieco osobistej ogłady.

Luty wybuchnął śmiechem, widząc wyraz twarzy Hechta.

– To ostatnie nie jest prawdą. Ale musisz sobie zdać sprawę, Piper, że jesteś trochę nieokrzesany.

– Po co tu przybyłeś?

– Żeby zamienić twój amulet na nowy, poprawiony model, dzięki któremu twój wróg nie będzie w stanie cię wysledzić. I z tego samego powodu, dla którego zawsze trzymam się blisko. Żeby być twoim aniołem stróżem.

Hecht zebrał się w sobie, żeby zaprotestować.

– Ile razy próbowali cię zabić?

Hecht zabrał się do liczenia, poczynając od próby Benatara Pioli w Runch na należącej do Bractwa wyspie Staklirhod.

– Bardzo dobrze. Przynajmniej pamiętasz te próby, z których zdawałeś sobie w trakcie sprawę.

– To znaczy?

– To znaczy, ty tępa i niewdzięczna namiastko potomka, że na każdy zamach, o którym wiesz, udało ci się wyjść cało z dwu kolejnych. Głównie dzięki twemu prapradziadkowi, ponieważ od zakończenia krucjaty calzirskiej stałeś się celem prawdziwego rozbójniczego przemysłu.

Słowa starego nie miały dlań sensu. Jak zawsze zresztą. Hecht wyraził to głośno.

– Masz rację, Piper. Ale tylko w ramach tego, co potrafisz dostrzec. Jesteś nadzwyczaj utalentowanym wojskowym. Miałeś trochę szczęścia. Chronią cię tajemne czary. Ale nie ma powodów, by mniemać, że potrafisz odmienić kształt świata. Znacznie prościej przyjąć założenie, że wzbudziłeś zabójczą obsesję w kimś o ogromnej potędze.

– To łatwe. Chodzi o Szakala. Nigdy nie byłem w bliskich stosunkach z nikim innym, kto miałby związki z Delegaturami Nocy.

– Szakal?

– Er-Rashal al-Dhulquarnen. Wielki...

– Wiem, o kogo chodzi. Z tych nielicznych informacji, jakie udało mi się zdobyć, on faktycznie wydaje się prawdopodobnym kandydatem na twojego wielkiego wroga. Poza tym jest kompletnie szalony.

– Naprawdę?

– Sarkazm ci nie przystoi, Piper. Wymieńmy ten amulet. Twoi ochroniarze zaczynają sobie niejasno zdawać sprawę, że coś się dzieje. Podaj mi lewą dłoń.

Cokolwiek nastąpiło potem, nie zostawiło żadnego śladu w pamięci Hechta. Coś działo się z jego lewym nadgarstkiem, a potem przyszedł moment, gdy poczuł, jakby cały ciężar świata zdjęto mu z ramion. W jednej chwili znów stał sam na łące. Lewy nadgarstek swędział przeraźliwie.

Przemknęło mu przez głowę, że musi być kimś znacznie większym niż Piper Hecht, Naczelnny Wódz sił zbrojnych Patriarchatu. Na usta cisnęło się słowo: duszodawca. Ale zdusił w sobie te myśli.

Po tych wszystkich latach spędzonych wśród niewiernych mógł się stać człowiekiem złym, ale narzędziem Delegatur Nocy nie był i nie będzie.

Zanim do reszty otrząsnął się z oszołomienia, otoczyli go zupełnie zdezorientowani ochroniarze.

Uznał, że ma już dość napawania się świeżym powietrzem.

– Bechter! Titus! Co to jest? – Na swej mapie Skraju Connec Hecht znalazł cztery identyczne pierścienie. Mapa rozłożona była na jego własnym nieporządnie skleconym stoliku. Trzy pierścienie były srebrne. Czwarty był złoty.

– Nie mam pojęcia – powiedział Consent.

Pierścienie pokryte były symbolami, ale chaldarańskich wśród nich nie było. Dwa oznaczały miejsca, gdzie wcześniej sprawę Wzniosłego spotkały poważne niepowodzenia. Miejsca, w których starający się czynić dzieło Boże Arnhandowie i Grolsacherzy doznali ciężkich porażek.

Następny pierścień spoczywał na miejscu oznaczającym Viscement. Ostatni ulokowany był w Antieux, osiemdziesiąt mil na południowy zachód w Skraju Connec.

– Sierzancie Bechter, proszę poszukać prowincjała.

– Którego?

– A ilu ich mamy? Może Doneto jakimś cudem zdążył wrócić?

– Nie. Ale ostatniej nocy przybyło jeszcze dwóch. Bruglioni i Gorin Linczski z Aparionu.

– Linczski? Nie znam. Poza tym nazwisko nie brzmi po apariońsku.

– Wydaje mi się, że urodził się w Creveldii. Sedlakova mógłby ci więcej na jego temat powiedzieć.

– Po co tu przyjechali?

– Aparion? Sonsa? – Bechter wzruszył ramionami.

– Chcę się widzieć ze starym.

– Wobec tego pędzę go poszukać.

– Bechter, kiedy tacy ludzie pojawiają się w moim obozie, chcę o tym wiedzieć, póki znajdują się jeszcze na horyzoncie. A nie następnego dnia. Żadnych wymówek.

– Znaczenie tego faktu znacie tylko ty i dziadek. Rozmawiałeś z nim? – zapytał Delari.

Hecht pokiwał głową.

– Głównie rozmawialiśmy o uratowaniu mnie przed zakusami ludzi, którzy chcą mnie widzieć martwym. Pewien jesteś, że to jego dzieło?

– Tak. Pierścienie mogły należeć do kogoś, kto zamierzał cię zamordować. Choć w istocie tylko zgaduję. Nawet kiedy dziadek wyjaśnia mi coś bezpośrednio, nie rozumiem połowy tego, co mówi. Pozwól, niech

obejrzą te pierścienie. – Kilka sekund później: – Wszystkie mają wybity wewnątrz ten sam symbol. – Prowincjał wskazał trójząb wyglądający jak pikujący ptak. – Piper?

– Przepraszam. Zaskoczyło mnie to. Już go gdzieś widziałem. To pogański symbol religijny. Ze starożytności.

– Wschodni?

– Tam go widziałem. Ale myślę, że występował wszędzie, zanim Stare Imperium Brotheńskie ujarzmiło Delegatury Nocy.

– Zerknijmy znów na mapę. – Po uważnych oględzinach prowincjał zapytał: – Czy ktoś sporządził mapę manifestacji w Connec?

– Manifestacji?

– Trzona. Rooka. Tkacza. Cienia.

– O dwóch ostatnich nigdy nie słyszałem.

– To samo. Personifikacje. Waśń. Zaraza na plony.

– Święci?

Delari zachichotał.

– Można tak powiedzieć. Odpowiedz na pytanie.

– Nie potrafię. Ale pewien jestem, że Titus potrafi. – Krzyknął na dół po Consentu. Kiedy Titus przybył, Hecht powiedział: – Chcemy wiedzieć, gdzie te wszystkie dziwne istoty były widziane. W Connec.

– Sir? – Consent wydawał się roztargniony.

– Rook. Trzon. Te stwory. Wiem, że słyszałeś opowieści. Rozmawialiśmy o tym.

– Ach. Tak. Prowadzę zapiski.

– Pokaż nam jakieś miejsca na mapie.

– Wszędzie tutaj, gdzie po raz pierwszy pokazali się Grolsacherzy. Dolina Sadew. – Consent wymieniał dalej.

Manifestacje skupiały się blisko miejsca, gdzie leżały dwa z pierścieni. Ale najczęściej odnotowano ich na obszarze Caron ande Lette. A tam nie było żadnego pierścienia.

– Co z Antieux? Albo Viscement?

– Stamtąd nie mam żadnych doniesień.

– Ciekawe – skomentował Delari.

– Coś nie tak, Titus? – zapytał Hecht.

– Sir?

– Wydajesz się rozkojarzony.



– Otrzymałem właśnie list od Noë. Z Anną i dziećmiakami wszystko dobrze. Przeprowadzili się z powrotem do jej domu.

Hecht wiedział. Jako kobieta Naczelnego Wodza, Anna mogła korzystać z poczty kurierskiej.

– Dostałeś jakieś złe wieści?

– Mój wujek, Shire. Spotkałeś go. Shire Spereo. Umarł.

– Przykro mi.

– Dziękuję. Ale to nie twój problem. Nie rozumiem natomiast jednego: popełnił samobójstwo.

– Nie! To zupełnie do niego nie pasuje.

– Masz rację. Ale odkąd umarł Gledius Stewpa, przydarzyło się kilka zadziwiających samobójstw.

– Coś się dzieje?

– Jeżeli nawet, nie potrafię się w tym rozeznaczyć. Wszyscy byli mocno posunięci w latach. Oprócz Stewpa i jeszcze jednego uciekiniera z Sonsy, od dwudziestu lat żaden nie opuszczał dzielnic.

– Byli bogaci? – zapytał prowincjał Delari.

– Jasne. Właściwie to jedyna rzecz, która ich łączy. Poza tym wszyscy się znali.

Delari pokiwał głową do jakichś swoich myśli.

– Przynieś mi swoje notatki na temat manifestacji Delegatur. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, zadaj sobie pytanie, w jaki sposób ci ludzie doszli do bogactwa. Może dopadły ich spóźnione wyrzuty sumienia?

Consent przekrzywił lekko głowę i zamarł z otwartymi ustami.

– To naprawdę ciekawa myśl. – Zadrżał. – Przyniosę dziennik. – Jego kroki zadudniły po schodach.

Zanim Hecht zdążył zadać pytanie, Delari oznajmił:

– Nie. To nie ja. – Po chwili dodał: – Ale być może misja Grade'a nie umarła razem z nim.

– To mały świat. Jeśli faktycznie o to chodziło.

– To mały świat, jeśli brać pod uwagę ludzi, którzy nim trzęsą. I zdarza się w nim znacznie mniej przypadków, niżli chcielibyśmy wierzyć. Delegatury Nocy snują spiski, które obejmują pokolenia. Nie umiemy dostrzec, czy przypadkiem nie tkwimy w sieci.

Hecht stworzył postać Pipera Hechta z taką pieczołowitością i konsekwencją, że teraz nie poczuł najmniejszej nawet pokusy sprzeciwienia

się herezji.

– Bawi cię to? – zapytał Delari.

– W normalnym trybie powinniśmy teraz, jak zresztą wiele już razy przedtem, trafić na listy proskrypcyjne Towarzystwa. Aby właściwie wykonywać moją pracę, muszę brać pod uwagę draństwa stworów, w których istnienie nie wolno mi wierzyć.

– Wolno ci wierzyć. Po prostu nie możesz ich nazywać bogami. – Starzec zachichotał. – Musimy się przekonać, jakie dziwne zdarzenia zaszły na obszarach zaznaczonych pierścieniami.

– Ale...

– Nie chodzi o coś w rodzaju Rooka, z którego sypały się robaki. Chodzi o wszystkie niezwykle, niewyjaśnione zdarzenia. Wszelkie niesamowite historie. Na tak głębokiej prowincji, nawet o najdawniejszy folklor.

– Titus może wysłać ludzi, żeby poszukali. Ale póki co nie będziemy zbijać bąków.

W Connec powoli robiło się coraz spokojniej. Potok grolsacherskich uchodźców kurczył się. Rozproszone oddziały arnhandzkich krzyżowców postanowiły zaczekać na Wzniosłego, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Patriarcha umyślił sobie im zostawić umieranie, a dopiero potem spaść na prowincję zbyt wyczerpaną, aby stawiała opór.

– Frakcja Doneta musiała aktualnie zdobyć przewagę. Ale to nie potrwa długo. Przyszło mi coś do głowy w sprawie tych pierścieni. Założmy, że wskazują miejsca, w których ktoś uwolnił rozproszone fragmenty Dawnych Bogów?

– Był taki bóg na północy. Starszy nawet od Dawnych Bogów. Kharoulke Wędrowiec Wichru. Który nie potrafił pokonać granicy lodu. Teraz twierdzi się, że rzekomo odzyskał wolność. I jest prawie równie okropny jak pierwowzór. Ale to nie może być przecież współczesna rekonstrukcja?

– Dzisiaj Kharoulke Wędrowiec Wichru jest przykładem nieprzewidzianych konsekwencji.

– Wasza miłość?

– Kilku ginących Dawnych Bogów wysłało duszodawców, żeby zgładzili kogoś zwanego Bogobójcą. W wyniku tej decyzji paru z nich niechcący naraziło się na zgubę. Jeden z duszodawców, nazbyt blisko związany z boskością, doznał apoteozy i sam stał się Wielkim Demonem. Apoteozowany, gnany żądzą zemsty na swoich werbownikach, ruszył

przeciwno tym, którzy jeszcze żyli. W efekcie zamknął ich w kieszonkowym świecie, który stworzył wewnątrz kieszonkowego wszechświata, stworzonego przez nich jako królestwo bogów. Ostatecznie utonęli w izolacji tak całkowitej, że nie potrafili już powstrzymać monstrów, jakie pokonali u zarania czasu. I dzięki temu na świat mogą wracać obecnie istoty w rodzaju Wędrowca Wichru.

Hecht gapił się na tamtego. Po chwili zdał sobie sprawę, że ma otwarte usta.

– Hm... W jaki sposób złożyłeś to wszystko do kupy?

– Przyglądam się z uwagą. Jeśli chcesz, możesz przyswoić sobie tę sztuczkę.

Pojawił się znowu Titus Consent.

– Oto dziennik, wasza miłość.

– Dziękuję, poruczniku. Czy grozi nam bezpośrednio niebezpieczeństwo ze strony żądnych krwi connekiańskich hord?

– Mogą sobie być żądni krwi Connekianie, wasza miłość, ale ci ludzie nie potrafiliby się połączyć w hordę, nawet gdyby każdy, kto się stawi, miał obiecane dwadzieścia sztuk złota.

– Wobec tego możesz wziąć chwilę wolnego, Piper. To dobrze zrobi twojej duszy.

Wrócił Pinkus Ghort. W taborach miał jeńców, a także zakładników wyznaczonych przez Trzy Rodziny z Sonsy. Naczelny Wódz spotkał się z nim najszybciej, jak to było możliwe.

Ghort wszedł do środka, mówiąc:

– Cholera, Pipe, to było znakomite. Nie ma nic lepszego, niż dopaść cel z opuszczonymi portkami.

– Cieszę się, że się dobrze bawiłeś. Następnym razem pozwolę ci spróbować szczęścia w Antieux.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to będę się trzymał z tyłu i robił notatki. Ci ludzie już nigdy w życiu nie dadzą się przyłapać na drzemce czy głupocie.

– A więc co masz?

– Mam Karlicę, Małego, ale Łowcy Czarownic dawno już zniknęli. Karlica sądziła, że uciekli do Durandantich, ale tam ich też nie znaleźliśmy. Wygląda jednak na to, że ich dziełem jest zniknięcie jednego transportu

złota. O co chodzi z tym, co słyszałem o Donecie, że pognął do Viscement?

– Ich też zaskoczyliśmy. Pojechał zająć się Niepokalanym.

– Nie miał szczęścia, co?

– Można się zastanawiać.

– To znaczy?

– Pogadajmy z Karlicą.

– Tak sobie pomyślałem, że nie dasz jej czasu na zastanowienie. Jest na dole.

– Dobrze. Mamy w obozie dwóch nowych prowincjałów. Jak słyszałem, bardzo ich interesuje Sonsa. Jeden jest z Aparionu. Trzymaj go z dala od naszych niedawno odnalezionych przyjaciół. Jeśli potrafisz. Dawaj ją tu.

Ghort krzyknął coś na dół.

Dwaj mężczyźni wprowadzili kobietę. Za nimi szedł Titus Consent. I prowincjał Delari.

– Chcesz, żeby tu byli? – szepnął Ghort.

– Mogą się przydać.

Karlica pozostawała nieustraszona. Ale się nie opierała. Po prostu zgadzała się na wszystko, co może się zdarzyć. Uległa losowi. Tak w życiu bywa.

Wybrała sobie niełatwy fach.

Natychmiast rozpoznała Hechta.

– Mathis Schlink. Tak sobie myślałam, że jesteś kimś więcej, niż wskazuje twój wygląd. Dlaczego kazałeś ciągnąć starą kurwę całą drogę aż tutaj?

– Mam pytania. A jestem zbyt zajęty, by sam się do ciebie wybrać.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście.

– Jeśli masz ochotę, usiądź.

Stara kobieta usiadła na składanym krześle. Rozejrzała się dookoła. Prowincjał Delari wpatrywał się w nią badawczo, kilkakrotnie zmieniając miejsce, żeby spojrzeć pod innym kątem. To sprawiało, że czuła się nieswojo. Może się bała, że zostanie rozpoznana.

Hecht zagaił:

– Znasz Bucka Fantila. Ten młodzieniec to Titus. Jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż wygląda. Ostatni dżentelmen to obserwator z ramienia

Kolegium.

Karlica była osobą praktyczną.

– Co chcesz wiedzieć?

– Miałaś kontakty z ludźmi ze Specjalnego Oficjum Bractwa. O co im chodziło?

– Specjalne Oficjum? O tym nie wspominali. Kilku ukrywało się Pod Dziesięcioma Galeonami od czasu ruchawek wśród devów.

Prowincjał Delari stanął w końcu za Karlicą tak, aby nie mogła go widzieć. Skinął głową. Mówiła prawdę.

– Musiałaś przecież podejrzewać, że o coś im chodzi, skoro z twojego przybytku zrobili sobie kwaterę główną.

– Tak. Ale dobrze mi za to płacili.

– Potem przekażę cię Titusowi. Opowiesz mu wszystko od początku. Podasz mu nazwiska, jakie słyszałaś. I wszystko, co podsłuchiłaś, a co mogło ci się wydawać niezwykle.

– Ja... Oczywiście.

– Chodzi o to, że ci Łowcy Czarownic mogli spiskować przeciwko Patriarsze oraz reszcie Bractwa. Niewykluczone, że ulegli Przeciwnikowi.

Karlica nie kupiła tego.

Hecht zresztą również nie. Ale celem sformułowania tej hipotezy było zmuszenie ludzi do myślenia.

– Opowiedz mi o Vali Dumaine, Karlica.

Starucha zmarszczyła brwi.

– Musisz mi coś więcej powiedzieć. Nie znam tego nazwiska.

Pojawił się jeden z zastępców członków sztabu na moment i skinął na Titusa Consenta, poszeptali chwilę, a potem Titus ruszył za tamtym na dół.

– Buck i ja trafiliśmy do twojej oberży. Załatwiliśmy interes. Żeby pomóc nam się wydostać, przebrałaś nas. Aby zbiry na zewnątrz nie spaliły twojego lokalu. Częścią przebrania były kobiety i dzieci.

– Pytasz o tę, która nie wróciła.

– Pytam.

– Co ona ci nagadała?

– To nie jest tematem naszej rozmowy. Tematem jest: kim ona jest?

– Urodzoną kłamczucha. Przekonała pozostałe dziewczyny, że została porwana...

Karlica była twardą kobietą, która od dawna dawała sobie radę w trudnym fachu. Niełatwo było ją onieśmielić.

Lecz prowincjał Delari stworzony był do niełatwych zadań. Zaczęła się jąkać.

– Karlica, odpuść sobie. Chcę wiedzieć, kim jest ta dziewczynka.

– Powiedziała. Urodzoną kłamczucha. Urodzoną aktorką. Kupiłam ją od jej matki. Zrobiłam tej kobiecie przysługę. Potrzebowała pieniędzy. I od tego czasu żałuję, co nie?

Hecht zerknął na Delariego, który pokręcił głową. Karlica nawet nie zbliżyła się do prawdy. Hecht rzekł:

– Prawdziwe nazwisko, Karlica. Nazwisko matki.

Na ten kierunek przesłuchania podstarzała madame najwyraźniej nie była przygotowana.

– Wydaje mi się, że Erika Xan.

W wyjściu na schody pojawił się Titus Consent. Gestem przyciągnął uwagę Hechta. Ten skinął głową, uniósł palec.

– Wasza miłość, ta kobieta najwyraźniej nie potrafi powiedzieć słowa prawdy. Może zajmiesz się nią przez kilka dni? – Poszedł sprawdzić, czego chce Consent.

– Pułkownik Smolens chce wiedzieć, czy ma zachować kontrolę nad mostami w Viscesment – powiedział Titus.

Hecht był zaskoczony, że Consent przerywa mu w tak błahej sprawie, ale odparł:

– Tak. Nawet jeśli sami z nich nie skorzystamy, możemy decydować, kto będzie ich używał. Załatwił sprawę z tymi zabójcami?

– Z trzema. Czwartego przysłał nam. Żeby uratować głowę, opowiada zupełnie niesamowite historie.

– Możemy z nim porozmawiać, gdy już tu skończymy. To wszystko?

– Nie. Przyszły wieści z Connec. Umarł wuj księcia Tormonda, który w jego imieniu zarządzał Castreresone.

– Dlaczego to takie ważne?

– Castreresone przechodzi na siostrę Tormonda, Isabeth. Jest żoną Piotra z Navai. To oznacza, że kiedy zaatakujemy Castreresone, Piotr może uznać to za akt agresji.

– Nie podoba mi się to. Brzmi jak fortel. Donoś, gdy tylko będziesz wiedział coś pewnego.

– Jestem pewien, że cała rzecz została zaaranżowana. I może właśnie dlatego Wzniosły nie wydał jeszcze rozkazu do wymarszu.

– Może. Ale to nie jest sprawa decydująca. A ja jestem zajęty.

– Przepraszam. – Consent wycofał się na dół.

– O co chodziło? – zapytał Delari.

Hecht streścił otrzymane wieści.

– Prawdopodobnie fortel, który ma zająć myśli Wzniosłego. Siadaj. Dama zrozumiała implikacje sytuacji, w jakiej się znalazła.

– Gotowa do współpracy, Karlica?

– Twój czarownik mnie przekonał. Bardziej rozsądny wydaje mi się strach przed diabłem pod ręką niż tym, który rodzi się z imaginacji.

– Szczera prawda. Opowiedz mi o dziewczynie.

– Erika Xan ją przyprowadziła. Powiedziała, że jest matką dziewczyny. Nie była. Erika Xan miała ciemne włosy, ciemne oczy i smagłą cerę. Mała odwrotnie, no i mówiła po firaldiańsku z bardzo słabym akcentem. Natomiast Erika Xan miała silny artecipeański akcent. Dobrze mi zapłaciła, żebym ukryła dziewczynę. Nigdy po nią nie wróciła.

Hecht zerknął na prowincjała Delariego, prosząc o opinię.

– Mówi prawdę, a przynajmniej to, w co wierzy.

– Znowu Artecipea.

– Tak.

– Karlica, dlaczego początkowo również wspomniałaś o tej Erice Xan? – Z marsu na jej czole wywnioskował, że miała nadzieję, iż to akurat pytanie nie padnie.

– Jest moją kuzynką. Ze strony matki. W swoim czasie też pracowała w tym interesie, ale znalazła sobie sponsora. Kiedy do mnie przyszła, była śmiertelnie przerażona. Wplątała się w coś naprawdę paskudnego. Nie chciała o tym mówić.

– I jest Artecipeanką. Co z ciebie też czyni Artecipeankę.

– Tak.

– Nie zorientowałem się. Uznałem, że masz creveldiański akcent.

– Gdzie dziś przebywa pani kuzynka? – wtrącił prowincjał Delari.

– Nie wiem. Zakładam, że to, co ją tak przerażyło, w końcu ją dopadło.

– I nic więcej nie powiedziała na temat dziewczyny?

– Nie.

– Piper, ja jej wierzę. Nie chciała powiedzieć prawdy i krążyła wokół niej jak mogła, ale w końcu ją powiedziała. Proszę pani, jakie jest prawdziwe nazwisko dziecka?

– Nie wiem.

Hecht zapytał:

– Skąd wymyśliła sobie Vali Dumaine?

– Nigdy go nie używała w mojej obecności.

– Tak, Piper. Kolejne ślady wiodące na Arceipeę – uznał Delari.

– Karlica, czy twoja kuzynka nie wspomniała, skąd dziecko pochodzi? Albo gdzie zdobyła pieniądze, żeby ci zapłacić za jej przechowanie? – indagował Hecht.

– Pochodziła z wyspy. Podejrzewam, że pieniądze ukradła.

– I nie powiedziała ci nic na temat tego, co się dzieje?

Z wymuszoną cierpliwością:

– Uciekała. Nie miała czasu.

Prowincjał Delari przerwał śledztwo Hechta.

– Zaczekaj, Piper. – Stary medytował dobrą minutę, w końcu oznajmił: – Inne życie. Inny sposób myślenia, Piper. Potrafisz to zrozumieć.

Hecht pokiwał głową. Burdel był dla niego ziemią nieznaną. Jak mógł zrozumieć, co się w nim dzieje?

– Kogo jeszcze przywiózł Ghort?

– Głównie zakładników od Trzech Rodzin, ale również jakichś krewnych tej kobiety.

– Potrzebna mi dziewczynka w wieku Vali. Wnuczka tej kobiety. Nie pamiętam imienia.

– Myślę, że mamy ją.

Starucha nie zareagowała najdrobniejszym nawet gestem. Twarde życie dobrze ją ukształtowało. Powiedziała:

– Przesłuchiwanie właścicielki domu uciech jest stratą czasu, Naczelny Wodzu. Istotą mojej profesji jest dyskrecja. Klienci oczekują, że nie będę zwracała uwagi.

Delari udzielił jej odpowiedzi:

– To, droga pani, brzmi nadzwyczaj podobnie do twoich pierwszych konfabulacji. Każda kurwa i każdy alfons na tym świecie szukają wszelkich sposobów na wyciśnięcie swych klientów. Być może nie jesteś w stanie podać odpowiedzi, jakie chciałby usłyszeć Naczelny Wódz. Ale masz



szczerze odpowiadać na jego pytania. Albo twoja wizyta u nas potrwa naprawdę długo.

Hecht kazał odprowadzić staruchę z powrotem do Ghorta.

– Musimy zbadać te artecipeańskie powiązania. Co rusz wychodzą na jaw.

– Znając mojego dziadka, sprawa jest już w toku.

– On gdzieś tu jest, sam wiesz. Węszy niczym wilk wokół zagrody dla owiec. To właśnie podsunęło mi pewną myśl. Chętnie dla odmiany zjadłbym raz baraninę.

– Jesteś gotów przesłuchać zabójcę z Towarzystwa?

– To się nigdy nie skończy.

– Gdybyś trzymał się roli statysty, leniuchowałbyś gdzieś teraz, mając nadzieję, że twój kapral nie odnajdzie cię i nie zapędzi do kopania latryny albo ścinania drzewa.

– To znaczy?

– To znaczy, że dokonałeś wyboru. Mówiłeś „tak” za każdym razem, gdy ktoś powiększał zakres twoich obowiązków. Och! – Delari zbladł jak ściana. Schwycił się obiema dłońmi za pierś. Przez mgnienie Hecht myślał, że to atak serca. Potem...

Ziemia uniosła się, opadła, zadrżała niczym tyłek tancerki brzucha. Od wielu dni towarzyszył im drobny, ledwie słyszalny rumor. W niczym nie przypominający tego, co się teraz działo. Z dachu młyna posypał się kurz i trociny. Za nimi poleciały większe kawałki.

– Na dół! – zarządził Hecht. – Wszyscy na dwór! Trzęsienie ziemi! – Lewy nadgarstek Hechta swędział przeraźliwie. – To czary, nie...

Prowincjał Delari blady jak śmierć już ruszał w dół, mówiąc:

– Wiem. Na dwór. Trzeba opanować sytuację.

Panika mijała. Hecht wy dostał się na dwór. Przepchnął się przez tłum gapiów, wszyscy spoglądali w dół rzeki. Ruin zamku nie było widać. Ich miejsce zajęła chmura pyłu czy może mgły. Lekki wiatr powoli szarpał ją i unosił ponad rzeką na zachód, w kierunku Connec.

Prowincjał Delari dał Hechtowi kuksańca pod zebra.

– Nie gap się. Ruszamy.

Hecht ruszył. Ku chmurze, po której już prawie nie było śladu. Nadgarstek wciąż mu dokuczał. Warknął:

– Pułkownik! Sedlakova! Proszę natychmiast zwołać do mnie oficerów.

Ziemia wciąż drżała.

Z wysokości pagórka, położonego jakieś dwieście jardów na południowy zachód od młyna, Hecht dostrzegł, że ćwierć mili schodzącego do rzeki zbocza rozdarło się niczym siedzenie zbyt obcisłych spodni. W kilku miejscach dostrzegał bladą błękitno-perłową powierzchnię. Pulsowała.

Muniero Delari szedł za nim, dysząc ciężko.

– Chodź, Piper. Chodź. – Ruszył w górę. Chciał się z bliska przyjrzeć szczelinie.

Ziemia zadrżała. Perłowy błękit poruszył się.

Pinkus Ghort dogonił ich w chwili, gdy Hecht ze starym wspięli się dostatecznie wysoko, by móc obejrzeć z góry całą długość szczeliny w ziemi. Wybuchnął:

– Święte gówno! To jest wielki pierdolony w dupę robak!

– Larwa – poprawił go Delari. – Stadium larwalne.

Wzdłuż wyglądającego ze szczeliny ciała stworzenia przebiegały drżenia. Niższy koniec poruszył się lekko. Swędzenie w nadgarstku Hechta poważnie przybrało na sile.

– Piper! Powinieneś...

Hecht sam zdecydował, co powinien.

– Consent! – Zadyszany Titus właśnie ich doganiał. Za nim szli przygodnie zebrani oficerowie, mocno zbici z tropu. – Wyciągać falkonety! Ze specjalnymi nabojami! Muszę je tu mieć na wczoraj! Wasza miłość. Widzimy to, co myślę, że widzimy?

– Narodziny boga. Mniej więcej.

– Ale co...?

– Nie wiem wiele więcej niż ty. Może właśnie wykluwa się jajo złożone, zanim ludzkość przybyła w tę część świata. Ale nie dysponujemy luksusem czasu na zastanawianie się kto, co, gdzie i tak dalej. Musimy działać.

Prawda. Ta rzecz z pewnością nie okaże się żadnym przyjacielem Pipera Hechta. Ani też nikogo wokół.

To był znowu Las Estery. Kolejny wyścig z czasem. Istota dojrzewała z każdą chwilą. Czuł, jak karmi się tą niewielką ilością swobodnej mocy, jaka krążyła w pobliżu. Wkrótce przejdzie do wyzerki na serio.

Na jej dolnym końcu zaczął się tworzyć wygięty do tyłu róg.

– Tam na dole jest głowa? – zapytał Hecht.

– Na to wychodzi – odparł Delari.

– Pinkus, nie jesteś częścią hierarchii dowodzenia, ale potrafisz gadać. Idź, powiedz tym gapiącym się głupcom, że sprawa jest poważna. – Cała armia chciała obejrzeć potwora. Z pozoru nikt nie był na tyle bystry, by się bać. – Powiedz tym idiotom, moim oficerom, że wszyscy mają się wynosić w górę rzeki. Ze zwierzętami. Wyjątkiem są artylerzyści.

Obsady falkonetów biegały bezładnie po łączce, gdzie zbudowali sobie bunkry na broń i proch strzelniczy. Hecht miał nadzieję, że nie będą próbowali zaprzęgać broni. Nie. Oto nadchodził Kait Rhuk ze swoim oddziałem – dwaj żołnierze wlekli falkonet, trzej inni dźwigali amunicję. Pozostałe obsady brały przykład z Rhuka.

Hecht zwrócił się do prowincjała Delariego:

– Muszę iść, poprowadzić to przedstawienie. Tylko w teorii wiedzą, co robić. Jeżeli wymyślisz coś praktycznego, nie wahaj się i powiedz.

Niezgrabnie zszedł ze stoku. Natychmiast podeszło doń kilku oficerów. Powtórzył wydane wcześniej rozkazy, aby przede wszystkim usunąć jak najdalej żołnierzy.

– Ta istota będzie chciała jeść. Nie stańmy się jej pierwszym posiłkiem.

Clej Sedlakova zapytał:

– Co masz zamiar zrobić?

Hecht odnotował, że kaleki oficer był jednym z pierwszych, którzy pojawili się po instrukcje.

– Mam zamiar go zabić.

Siedem falkonetów stanęło na pozycjach. Pozostałe trzy obsady wciąż nie radziły sobie z organizacją. Później przyjdzie czas na korekty zachowania personelu. Jeżeli ktokolwiek ocaleje.

Boska larwa wciąż próbowała strząsnąć z siebie okowy ziemi. Hecht podszedł do dolnego końca, który wydobywał się z ziemi kilkanaście jardów od rzeki. Powstał na nim już wyraźny otwór gębowy, zamajaczyły ciemne plamy, gdzie pewnie rozwiną się oczy.

Podbiegł Pinkus Ghort.

– Co ty tu robisz? – zapytał Hecht.

– Za nic tego nie przegapię.

– Możesz tego jeszcze pożałować, jak niczego w życiu. Rhuk! Weber! Gotów. Do diabła, Pinkus, powinniśmy stanąć z tyłu.

Rhuk i Weber potraktowali gwałtowny gest jego dłoni jako sygnał do oddania wystrzału.

Równoczesny huk obu dział plujących chmurami siarkowego dymu powalił Hechta i Ghorta. Hecht przetoczył się i podniósł na czas, by zobaczyć setki czarnych plam, wykwitających na szerokim obliczu larwy. Wypaliły kolejne falkonety, szarpiąc ciało potwora na całej długości.

Ziemia zadrżała. Trzy czwarte ciała larwy poderwało się w powietrze. Uderzyło z powrotem o ziemię. Hecht, który właśnie próbował się podnieść, upadł znowu.

Plamy przyszczy na larwie szybko rosły. Podobnie jak plamki, z których miały rozwinąć się oczy.

– Celować w oczy! – krzyknął Hecht. – Oślepić go!

Odezwały się kolejne falkonety. Najmniej kompetentne obsady wreszcie sobie poradziły. Rhuk i Weber przygotowywali się do oddania następnego strzału.

Prowincjał Delari przykuśtykał do miejsca, gdzie klęczał Hecht, zrezygnowawszy już z prób ustania na nogach.

– Nie ma wyboru. Wiem, że nie ma wyboru. Nie potrafię odgadnąć, co spowodziło ten... Piper, idzie burza.

Hecht nawet nie zdążył zapytać, o co tamtemu chodzi. Falkonety wypaliły. Zniszczyły oblicze larwy i wyrwały dymiące czarne rany wzdłuż całego ciała. Podniosło się dziesięć tysięcy smug pary niczym ptasi puch powiewający na wietrze. Larwa zadrżała i wrzasnęła – wewnątrz wszystkich umysłów, w promieniu wielu mil.

Nowy amulet Hechta rzekomo nie miał mu przysparzać bólu. To dobrze. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo by go bolało, gdyby miał na rękę dar od er-Rashala.

W świecie zawsze istniała swego rodzaju moc tła. Powstrzymywała postępy lodu, umożliwiała czary, karmiła Delegatury Nocy. Jak powietrze, moc zawsze była dostępna. I tak samo niedostrzegalna. Zdawano sobie z niej sprawę dopiero wtedy, gdy jej brakowało.

Boska larwa przestała zwyczajnie absorbować moc tła i zaczęła ją aktywnie wchłaniać, wsysać. Stan jej ran się ustabilizował.

Hecht jęknął.

Burza przybyła.

– To jest zbyt, cholera, kosztowne!

Falkonety odzywały się nierówno, głosy gubiły się w psychicznym wyciu. Ponad larwą zaczął się tworzyć wir mocy. Ciemniał, rósł, wirował,

mieniać się wstęgami wszystkich wyobrażalnych kolorów.

– Musisz zabrać stąd swoich ludzi – powiedział Delari. – Jeżeli falkonety się nie sprawdzą...

– Ewakuacja w toku.

Oficerom udało się w końcu zmusić gapiów do wzięcia nóg za pas.

W górze stoku Hecht zobaczył Clovena Lutego. Pod nogami tamtego ziemia trzęsła się ze zdwojoną energią.

Powoli robiło się ciemno. Hecht ledwie dostrzegł, jak Luty się przewrócił. Ruszył w kierunku starego, czując się, jakby brodził po pas w miodzie. Muniero Delari krzyknął coś, czego nie zrozumiał.

Starzec w górze zbocza próbował się podnieść. Upadł znowu i zaczął się ześlizgiwać w stronę wyrwy, w której miotała się larwa.

Dwa kolejne pociski uderzyły w jej bok i grzbiet. I tym razem ślady po trafieniach nie zaczęły od razu się goić.

Czerń zaczęła się rozszerzać. Przypływ lepkiego miodu osłabł. Larwa miotała się coraz bardziej gwałtownie. Jak wąż z przetrąconym kręgosłupem.

Kwaśny, wstrętny owadzi odór uderzył w nozdrza Hechta. Oczy zaszyły mu łzami.

Cloven Luty coraz szybciej ześlizgiwał się ku zagładzie.

Palcami szarpał trawę porastającą zbocze. Hecht wiedział, że nie dotrze do niego na czas.

W pewnym momencie lewa stopa starego zaplątała się w jakieś porastające grunt pnącze. Hecht wreszcie dotarł na miejsce, gdzie Luty kołysał się bezradnie. Złapał za zaplątaną kostkę starego, uwolnił ją, a potem wciągnął na górę, przerzucił przez ramię i pobiegł.

Już nie kierował się przemyślaną decyzją, tylko odruchami. Miał kłopoty z utrzymaniem się na nogach. Larwa katowała ziemię wokół siebie. Smród dusił powietrze.

Hecht chwiejnie pokonał sto jardów, rozpaczliwie łapiąc oddech – wtedy przypomniał sobie śmierć Szarego Wędrowca.

Pobiegł z jeszcze większym wysiłkiem, aż w końcu ogień w płucach powalił go na ziemię. Wpełzł w jakieś zagłębienie w gruncie, ciągnąc za sobą Clovena Lutego. Starzec mruczał niezrozumiałe ostrzeżenia.

Gdzie był Muniero Delari?

Świat pogrążył się w jaskrawym rozbłysku. Grunt zadrżał, jak jeszcze nigdy dotąd. Przez ziemię przetoczyło się głucho dudnienie, ale w ślad za przeraźliwą błyskawicą nie poszedł żaden grzmot.

Cloven Luty poruszał się słabo. Próbował coś powiedzieć. Hecht nie słyszał. Tamten trącił go lekko palcem. Hecht spojrzał.

Kolumna szkarłatu wznosiła się na tysiąc stóp, odcień czerwieni pogłębiał się szybko. Srożyła się nad nią czerwono-czarna kula. Na jej powierzchni można było ledwo, ledwo wyróżnić rysy twarzy cherubinowatego demona, spoglądającego na coś, czego nigdy nie będzie mu dane zobaczyć – twarz nie miała oczu.

Hecht leżał długo na ziemi, przyglądając się temu. Z kolumny szkarłatu został tylko dym i sadza. Część poniósł wiatr. Większość opadła na ziemię czarnym śniegiem.

Stary chciał czegoś od niego.

Wstań i obejmij dowództwo. Wstań i znajdź Muniera Delariego. Wstań i wymamrocz sprzeciw wobec Nocy.

Hecht zdołał się wreszcie podnieść. Był zupełnie wyczerpany. W pobliżu dostrzegł na ziemi drewniane drzewce. Stanowiło część wyciora służącego do czyszczenia lufy falkonetu. Teraz został tylko ułamany kij, ale wystarczająco długi, by się nim podeprzeć.

Wziął kij, potem podniósł starego.

– Trzymaj się. Nie jestem cię w stanie ponieść. Ale pójdziemy powoli.

Luty schwycił się go, a potem coś wymruczał o bólu w boku.

Hecht przeszedł kilkanaście jardów w górę zbocza i dopiero stamtąd mógł się przekonać, jak mądrze postąpił, szukając schronienia w zagłębieniu gruntu.

Z niewielkiego wzniesienia dostrzegł, że połowa świata zgorzała. Tam, gdzie rosły krzewy i drzewa, wciąż jeszcze płonęły ognie. Dym podnosił się znad spalonej trawy. Mimo to wiele miejsc znaczyły łąty i pasy zieleni, teraz szybko znikające pod opadającą z nieba sadzą.

Eksplodował jaszcz z prochem strzelniczym.

Falkonet na dymiącej lawecie wyglądał, jakby był zrobiony z wosku pozostawionego zbyt długo na słońcu.

Wszędzie leżały ludzkie ciała. Te czarne były popalone, choć kilka z nich wciąż jeszcze próbowało się ruszać. Zewsząd dobiegały krzyki bólu. Niemniej na zielonych obszarach podnosili się ludzie i zafascynowani

patrzyli na opadającą kolumnę dymu ponad stosem pogrzebowym boskiej larwy.

Czerń sięgała na ćwierć mili ku młynowi. Wciąż stał, mimo iż skrzydła wiatraka odpadły i leżały, dymiąc na ziemi. Czerń przechodziła w brąz zeschniętej trawy, a potem w niezdrowo wyglądającą żółć. Milę dalej wszystko wyglądało normalnie.

Ruiny zamku zapadły się do reszty. Chmura szarego pyłu wciąż dryfowała z wiatrem.

Luty słabym gestem wskazał kierunek.

– Idź. Pomóż Munowi.

Hecht posadził go w miejscu, gdzie będzie można go bez trudu znaleźć, potem powlókł się tak szybko, jak pozwalała na to fizyczna kondycja.

Prowincjała znalazł w odległości stu jardów – ruszał się słabo w zagłębieniu gruntu, które wszak nie okazało się dostatecznie głębokie. Pośladki Delariego zostały spalone. Plecy częściowo.

– Prowincjale? Słyszysz mnie?

Z gardła Delariego wydobywały się dziwne odgłosy. Hecht delikatnie odwrócił go. Nozdrza i usta starego znaczyły plamy krwi. Wytarł ją palcami, ponieważ nic nie miał pod ręką. Delari wyskrzecztał:

– Dziadek?

– Żyje. Może ma trochę siniaków, ponieważ upadłem na niego. O innych nic nie wiem. Widziałem wiele ciał.

Eksplodowała kolejna baryłka z prochem strzelniczym. Patriarcha się wścieknie, kiedy usłyszy o kosztach.

– Wszyscy... którzy nie znaleźli się... w linii bezpośredniej... powinni... ocaleć.

Złapał go gwałtowny atak kaszlu. Brzmiało to jak kaszel, który męczył Grade'a Drockera przed śmiercią.

Czy to sumienie Hechta zbudziło demony, które teraz go nawiedzały?

Delari jęknął:

– Nie doznałem trwałych uszkodzeń... jak Grade. Dojdę... do siebie. – Spróbował stanąć na czworakach. Udało mu się, ale nie zdołał stłumić okrzyku bólu. – Co, u diabła? – Przez dwadzieścia sekund dyszał jak pies, potem sięgnął ręką do tyłu.

Hecht poinformował go:

– Nie do końca udało ci się schronić przed wybuchem.

– W jaki sposób... będę mógł pokazać się... w łaźniach?

Hecht zachichotał.

– Zastanawiam się, jak dosiędziesz konia.

Czyjś głos zaproponował:

– Na noszach, twarzą ku ziemi. – Cloven Luty pojawił się niepostrzeżenie. Wyraźnie odzyskał siły. Na twarzy szeroki uśmiech. – Ale w łaźniach widok może być zabawny.

Delari odwarknął:

– A kiedy ty w ogóle odwiedzasz łaźnie? Poza tym czy nie sądzisz, że nie powinieneś się tak rzucać w oczy? Nie jestem tu jedynym członkiem Kolegium. Pozostali na pewno zaraz się tu pojawią, próbując coś dla siebie zyskać w sytuacji, gdy niebezpieczeństwo minęło. – Odwrócił się lekko, spojrzał ponad ramieniem Hechta. – Oto nadchodzi Ghort.

Pinkus z wypalonymi na mundurze pasami czerni szedł chwiejącym krokiem. W pewnym momencie potknął się, po czym spędził pół minuty na czworakach, nim wreszcie znów się podniósł. Hecht ruszył w jego stronę. Kiedy po chwili obejrzał się za siebie, Clovena Lutego już nie było.

– Jak on to zrobił?

– Chciałbym wiedzieć – odparł Delari. – Za kilka chwil ta wiedza mogłaby się bardzo przydać.

Gervase Saluda i prowincjał z Aparinu prowadzili procesję ciekawskich. Nadzwyczaj ostrożnie.

– Saluda nie jest tchórzem – zauważył Hecht.

– Gorin Linczski też nie. Spędził kilka lat w Ziemi Świętej. Ich ostrożność jest jak najbardziej usprawiedliwiona.

Wspomnienie z Lasu Estery.

– Jeżeli jesteś w stanie... Może byśmy obejrzeliby tę dziurę? Titus Consent wraz z innymi oficerami też zmierzał w jego stronę. Powoli pojawiały się również obsady falkonetów.

Eksplodowała kolejna baryłka prochu. Zbliżający się jak jeden mąż przypadli do ziemi.

Wędrując w stronę szczeliny w zboczu, Hecht zapytał:

– Dasz radę?

– Tak, tylko nie proś mnie, żebym biegł.

Grunt wokół wądołu larwy był wciąż gorący. Palił przez podeszwy butów. Szczątki owiec i kóz zaścielały stok. Razem z ich padłym psem



pasterskim.

Delari wydyszał:

– Oto twoja baranina.

– Dziś wieczorem najemy się do syta. – Spojrzał w dół. I zobaczył to, czego się spodziewał. – Tam. Ta rzecz w kształcie jaja. Wciąż jeszcze świeci.

– Tak?

Słowa z trudem przeszły mu przez usta.

– Widziałem już coś takiego. W Ziemi Świątej. Nie wiem, co się dalej z tym stało.

Bardziej szczerze już nie potrafił się wyrazić. Zerknął na zbliżający się tłum ciekawskich. Uwagę większości przyciągnęły stopione falkonety, martwi ludzie i zwierzęta, w ogóle skutki zagłady larwy boga.

Z góry obraz zniszczeń był przerażający. Choć ograniczały się one głównie do pobliskiej przyrody. Porzucony zamek był jedynym dziełem człowieka, które poważnie ucierpiało. Okolica wyglądała jak bok czarno-zielonej zebry, pasy zieleni pozostały w miejscach, gdzie wyniosłości gruntu zapewniły ochronę trawie. Wiatr powoli zdmuchiwał sadzę.

Hecht zapytał:

– Co myślisz?

– Na dole jest jeszcze zbyt gorąco. Ale nie możemy dopuścić, by ktoś inny wszedł w jego posiadanie. Powiedz mi, jak wyglądało tamto.

– Wielkie bursztynowe jajo. Z pociskiem z falkonetu uwięzionym w środku.

– Ciekawe.

– Wiesz, co to jest? Co to znaczy?

– Nie. Załóżmy, że zajmę się tymi dwoma prowincjami i odwrócę ich uwagę. – Zamiast wszakże zrobić jak powiedział, zwiesił lekko głowę i wbił wzrok w poczerńiałe zbocze.

– Co?

– Szukam dziadka. Ci dwaj są chyba zbyt młodzi, żeby go rozpoznać. Ale po co ryzykować?

Hecht odnosił wrażenie, że wokół niego dzieją się jakieś rzeczy, których nie dostrzega. Ostatnio zbyt często czuł się jak ślepy żebrak na ulicach intryg.

– W porządku. Oto przybywa również Kait Rhuk. Nie mam pojęcia, jak udało mu się ocaleć. – Maszyna jego umysłu znowu się obracała, jakby drewniane osie natłuszczono świeżym smalcem.

Było dużo do zrobienia. W pierwszym rzędzie należało dokonać inspekcji wojska i sprawdzić, kto przeżył, a komu się nie udało.

Prowincjał Delari ruszył w stronę swoich braci z Kolegium. Hecht poszedł spotkać się z Rhukiem.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem podobny pokaz odwagi.

– Ja tam nie wiem, sir. – Rhuk mówił z ciężkim akcentem. Trudno było zrozumieć poszczególne słowa. – To znaczy, nie wiedziałem. Może gdybym wiedział, nawet nie potrafiłbym wycelować, a co dopiero wytrwać na stanowisku i strzelać.

– Prawdopodobnie wszyscy tak się czują.

– Ten stary czarownik. Wie może, na co się natknęliśmy?

– Nie jestem pewien, czy mu wierzę. Syn Przeciwnika. Próbował dostać się na ten świat w taki sposób, jak to czynią motyle. – Większość ludzi w młodości lubiła przyglądać się cyklowi życiowemu motyli.

– Ciekawe czasy. – Rhuk zareagował zdecydowanie eufemistycznie.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Oberwałem kilkoma okruchami z wybuchającej baryłki z prochem. Poza tym czuję się dobrze. Bóg mnie kocha. W ostatnim momencie wpadłem do jakiejś dziury.

– Jeżeli możesz funkcjonować, wobec tego mianuję cię przełożonym całej artylerii falkonetów. Pierwsze twoje zadanie polega na ocenie strat. Ile broni ocalało? Ile amunicji? Trzeba zorganizować oddziały robocze, które zajmą się odzyskaniem wszystkiego, co się da.

Rhuk zmarszczył czoło.

– W tej armii sukces nigdy nie uniknie kary, Rhuk. Ja również ocalałem. Po to, żeby teraz nie spać przez kilka najbliższych dni.

Rhuk zdołał się słabo uśmiechnąć, potem lekko skłonił głowę i ruszył w dół zbocza. Hecht był naprawdę zaskoczony, widząc, ilu artylerzystów przeżyło.

Z drugiej strony zazwyczaj jakoś tak było. Nawet najstraszniejsze wydarzenia okazywały się w końcu mniej potworne, niż początkowo oceniał uczestniczący w nich umysł.

Zdało mu się, że kątem oka dostrzegął sylwetkę Dziewiątego Nieznanego, ale kiedy się odwrócił, nie zobaczył nikogo. Co teraz kombinował stary?

Okazało się, że dobrze wybrał swoich oficerów. Mimo rozmiarów dramatu zaczęli już przywracać porządek. Dowódcy pododdziałów gromadzili swych żołnierzy, żeby oszacować straty w ludziach – zabrali się do tego, zanim dotarły do nich jego rozkazy.

Co zrobić z tym, co spoczywało w jarze?

Podszedł w kierunku szerniałej ziemi na krawędzi szczeliny. Ziemia chrzęściła pod stopami. Cienka jak papier warstwa gruntu stopiła się i stwardniała. Gleba pod nią była bardziej sucha niż piach pustyni. Ale był w stanie przejść tylko tych kilka kroków, nim gorąco stało się zbyt intensywne.

W odległości jakichś stu jardów w kierunku młyna wypatrzył Madouca, który stał z wyrazem okropnej złości na twarzy.

– Znowu zapomniałem. Będą musieli mnie zabić, żeby móc mnie wreszcie skutecznie chronić. – Nie mając żadnej wymówki, ruszył na dół, żeby przeprosić.

– Chyba uwięzę ci dzwoneczki, sir.

Tamten był naprawdę solidnie rozzłoszczony.

Hecht nie okazał skruchy. Gdyby strzegli go ochroniarze, nie znalazłby się w pobliżu boga larwy.

Apel zorganizowany przez oficerów dobiegł końca. Porządek został przywrócony. Ale morale doznało porządnego uszczerbku. Żaden z żołnierzy nie wierzył, by pojawienie się potwora można było przypisać przypadkowi. Nawet weterani nie lubią stawiać czoła tego rodzaju niespodziankom.

Hecht nie potrafił z nimi ani polemizować, ani raczyć ich pustymi zapewnieniami. Obawiał się, że faktycznie ktoś znowu wziął go na cel. I ocalał tylko dzięki użyciu broni, której tak bały się Delegatury.

Kolejna lekcja do przyswojenia. Dla obu stron.

Było blisko, mimo że huczało dziesięć falkonetów. Potrzeba większej broni, by powalić... Najlepiej nawet o tym nie myśleć. I zamiast tego modlić się za Dragona Proseka, który z dwiema tylko armatami ruszył przeciwko potworowi z Jago.

Po apelu odbyło się posiedzenie sztabu. Przebiegało w ponurej atmosferze. Nikt nie miał wiele do powiedzenia. Titus jeszcze dołożył swoje:

– Wieści z Brothe nie są pomyślne. Najwyraźniej nie dlatego tkwimy wciąż na miejscu, że prowadzone są jakieś negocjacje, ale ponieważ Patriarcha jest śmiertelnie chory.

Hecht zdał sobie sprawę, że jego sztab zaczyna kibicować Śmierci.

– Kto może go zastąpić? Jak to na nas wpłynie?

O tym jeszcze nikt dotąd nie pomyślał. Włączywszy członków Kolegium. Wzniosły był młody.

– Coś za dużo tych spekulacji na temat przyszłości, nie? – oznajmił Hecht. – Prześpijmy się trochę. Czekają nas długie dni wytężonej pracy. Titus. Zostań. Sam wiesz, że nie musisz długo spać. Jeszcze nie jesteś wystarczająco stary.

– Tak jest. – Zrezygnowany.

Kiedy pozostali, z wyjątkiem prowincjała Delariego, wyszli, Hecht zapytał:

– Co się stało z naszym zabójcą z Viscesment? Nie udało mi się go przesłuchać.

– Ciekawe, że o to pytasz. Okazał się jedynym nieszczęśnikiem z taborów, którego spotkał w trakcie całego zajścia śmiertelny wypadek.

– Titus.

– Ktoś poderżnął dupkowi gardło.

– Prowincjale? Czy on nie był pod twoją pieczęcią?

– Teoretycznie tak. – Delari był zły. – Lepiej sprawdzę, co z Karlicą i jej córką. Oraz z zakładnikami. Wkrótce ci się przydadzą.

Consent zwrócił się do Hechta:

– Nie wydajesz się zaskoczony.

– Już chyba nic nie potrafi mnie zaskoczyć, Titus.

Wszyscy prowincjałowie pokazali się rankiem. Delari przybył pierwszy. Pokazał Hechtowi ciężki pierścień, w którego wnętrzu wytłoczono ptasiopodobny trójząb.

– Nic więcej nie mam do powiedzenia. Gdyby nie został pobity prawie na śmierć, kazałbym szukać Armandowi innego dobroczyńcy.

– Karlica i tamci?

– Karlica nie żyje. Córka jest w gorszym stanie niż Armand. Wszędzie było mnóstwo krwi. – I po chwili: – Chłopak porządnie walczył. Naznaczył ich. Zostaną znalezieni i ukarani. Zakładnikom nic się nie stało.

Właśnie wtedy nadeszli Gorin Linczski i Gervase Saluda. Przynieśli ze sobą wieści od Kolegium. Drżącym charakterem pisma Hugo Mongoz dopytywał się, co Hecht sobie wyobrażał, atakując Sonse? To był list z najstarszą datą. Kolejny, od samego Patriarchy, napisany dłonią jeszcze bardziej roztrzęsioną, wyrażał entuzjazm ze zdobycia Viscesment i schwywania Patriarchy Pretendenta, ale poza tym zupełnie brakowało mu treści.

Treść listów od rozmaitych prowincjałów układała się w spektrum zgodne z ich politycznymi stanowiskami. Hecht przeczytał je wyłącznie z grzeczności.

Potem pojawił się Bronte Doneto.

– Nie wiedziałem, że już jesteś z powrotem – powitał go Hecht.

– Przyjechałem późno w nocy. Powinienem szybciej wyjechać z miasta. Nie zdążyłem na całe to zamieszanie.

– Ciesz się. Co się przydarzyło Niepokalanemu?

Opowieść Doneta nie odbiegała znacznie od tego, co Hecht już wiedział. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do tego, że Niepokalany nie żyje. I zginął z ręki kogoś, kto bynajmniej nie służył interesom brotheńskiego Kościoła episkopalnego.

– Przyczyną mojego powrotu – wyjaśnił Doneto – był wszelako list, jaki otrzymałem od kuzyna. Przeszmuglowany z Krois, specjalnie dla mnie, ponieważ „oni” cenzurują wszystkie wiadomości do ciebie. – Doneto podał Hechtowi list. Charakter pisma był znacznie mniej drżący od tego, z którym zapoznał się kilka chwil temu. Nosił wcześniejszą datę niż pismo dotyczące Viscesment.

– To szmuglowanie jakiś czas trwało.

– Tak. Udało się w końcu jednemu z jego synów.

– Jednemu z jego synów.

– Ma trzech. Wszyscy o tym wiedzą.

Z pewnością. Choć faktycznie młodego Honaria Benedocta otaczała reputacja babiarza.

– Sądzę, że to nie jest aż tak istotne.

– Zgoda.

– Czytam tu, że już miesiąc temu miałem rozpocząć działania.

– Nigdy nie jest za późno, Naczelnym Wodzu. Mój kuzyn zdaje sobie sprawę, że wieści do ciebie nie docierały. Dlatego właśnie zawsze mamy w pogotowiu kanały dla przekazywania istotnych komunikatów. Jeśli się da.

Hecht nie był w nastroju na trywialne debaty filozoficzne.

W liście zawarte były rozkazy, na których nadejście czekał, których nadejścia się obawiał. Gdyby przybyły na czas, Antieux byłoby już oblegane. Zapewne Sheavenalle również. Główne siły dawałyby się we znaki Castreresone. A Antieux nie miałyby czasu na ewakuację swoich obywateli.

Utalentowani ludzie również stanowili rodzaj zasobów i cenne łupy dla zwycięskich zdobywców. Dlatego właśnie tylu devedian można było znaleźć wokół wybrzeży Morza Ojczystego.

Hecht przez moment zastanawiał się nad paradoksem, że nawet dzieci niewolników nie gardziły udziałem w handlu niewolnikami.

A dziadek dziadka niewolnika nie gardził ukaraniem handlarzy za ich bezczelne okrucieństwo. Ani też nie dbał, że sam musiał mieć niewolników wśród swych przodków. Każdy miał. Gdzieś daleko w przeszłości.

Piper Hecht był wściekły na spóźniony rozkaz wymarszu. Lubił wyzwania. Właściwie już cały, prócz najgłębszych zakamarków duszy, stał się Piperem Hechtem, Naczelnym Wodzem z ramienia brotheńskiego episkopalnego Kościoła chaldarańskiego.

– Hecht?

– Przepraszam, wasza miłość. Stałem oko w oko z faktem, że będę tworzył historię. Która zostanie zapamiętana długo potem, gdy nieszczęścia dobiegną końca.

Doneto zamilkł. Jakby ta przypadkowa myśl uzmysłowiła mu coś naprawdę ważnego.

– Prawdziwą historię. Może masz rację. Kiedy armia przekroczy Dechear, znajdzie się w annałach historii jako coś więcej niżli uczestniczka drobnej potyczki. Zwycięska krucjata connekiańska określi przyszłość zachodu.

– Prawda. Ale teraz nie ma czasu na spekulacje o przyszłościach zrealizowanych bądź uniemożliwionych w wyniku naszych czynów. Mam już miesiąc spóźnienia. – Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, czy tak długie opóźnienie działań wojennych w większym stopniu nie było

spowodowane potajemnymi intrygami niż trudnościami w przekazie komunikatów.

Hecht krzyknął do ludzi na dole. Zażądał natychmiastowego zwołania posiedzenia sztabu, w którym mieli uczestniczyć wszyscy jego zastępcy. I chciał, żeby przyspieszono przeprawę promową wojsk.

Mimo iż nie otrzymał żadnych rozkazów, zdołał już przeprowadzić na drugi brzeg trzy tysiące ludzi. Ich obecność ułatwi przeprawę reszty. Nie będzie żadnego oporu.

Pinkus Ghort, zafrasowany, przyznał:

– To byli moi ludzie, Pipe. Znowu. – Mówił o mordercach, zdradzonych przez rany, których pochodzenia nie umieli wyjaśnić, a zidentyfikowanych następnie przez Osę Stile i córkę Karlicy.

– Zakładam, że poradzisz sobie z ich ochroną dopóki nie zostaną przesłuchani?

– Tak, Pipe. Naprawdę!

Gniew Hechta rozwiął się. Odrobinę.

– Powiedzieli już coś?

– Tylko tyle, że nic nie wiedzą. Że zaproponowano im wysoką nagrodę. Facet, który ich wynajął, uciekł, kiedy zobaczył, że zabójstwa nie do końca się powiodły. Nazywał się Ingram Pięć. On i jego brat Anton przeprowadzili się przez rzekę zaraz po zamachu. Nie stawili się do raportu po drugiej stronie. Po prostu pojechali dalej.

– Takie rzeczy się zdarzają. Ale my musimy na nie reagować. I reagujemy. Jak mamy dalej poprowadzić tę sprawę, Pinkus? Ci ludzie nie działają w próżni. Ktoś musiał ich widzieć. Jak mamy ich wyłapywać, zanim ktoś jeszcze zginie?

– Ruszasz w drogę. Żołnierze są bardziej lojalni wobec ciebie niż Wzniosłego. Daj im zwycięstwo, a będą twoi. Sami pozbędą się łotrów.

Armie ubóstwiały zwycięskich dowódców. Zbyt często jednak im to uderzało do głowy.

– Prześledzę tę sprawę od samego początku. Rozbiję parę czaszek. Kilku ludzi trafi na stos. Dla innych okażę się nieprzyjemnym gościem.

– Najpierw powinniśmy dokonać inwazji na Arceipeę. Wszystkie ślady wiodą tam.

Pinkus Ghort rzadko sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. To była jedna z tych rzadkich chwil.

– To nie ma sensu, Pipe. Żaden z nas nigdy nie miał do czynienia z nikim stamtąd. Przynajmniej nie sądzę. A ty? Więc dlaczego ktoś stamtąd tak się pali, żeby cię załatwić?

– Przez cały czas zadaję sobie to pytanie. I jedyne, co mi przychodzi do głowy, to tyle, że nie kochają nas Delegatury Nocy.

– Mocno się nie wysiliłeś, żeby na to wpaść.

– Tylko rozmawiamy, opierając się na tym, co powiedział prowincjał Delari. Mogę zrobić kiedyś coś takiego, co zaszkodzi Delegaturom Nocy. A więc chcą mnie zniszczyć, zanim to zrobię.

Hecht uważał, że już zrobił to, czego Noc tak się obawiała. Znalazł narzędzie, którego śmiertelni ludzie mogli użyć, aby zakończyć Tyranię Nocy. Cokolwiek robiła teraz Noc i jej agenci, sprowadzało się do próżnego potrząsania szabelką. Dżin już wydostał się butelki. A butelka została stłuczona.

– Bo już skończył? – zapytał Hecht.

Bo Biogna i jego doborowe zbiry zostali ukarani za dobrą robotę w ten sposób, że dano im szansę pozbierania wszystkich interesujących śladów w szczelinie, kędy larwa wyszła na powierzchnię ziemi. Dostępu do jaru zdecydowanie bronili żołnierze wybrani przez Titusa Consentia. Tych z kolei obserwowali członkowie Bractwa nadzorowani przez Redfearna Bechtera.

– Znalazł chyba wszystkie fragmenty bursztynu. Teraz jego ludzie przesiewają ziemię w poszukiwaniu pocisków. Aby się tam dostać, musieli najpierw skruszyć zeszkloną warstwę. Jednak nie znajdują dość srebra, by to usprawiedliwiło cały ten trud. Większość się spaliła, zabijając stwora.

Oczy Ghorta zasnuły wspomnienia niedawnych strasznych wydarzeń i zadrżał.

– Ciekawe czasy, Pipe. Ciekawe czasy.

Hecht westchnął.

– Faktycznie. Ale posiłki jadamy regularnie. Mam dla ciebie robotę. Jeśli chcesz.

– Znasz mnie. Namiętny masochista. Co to jest?

– Potrafisz dochować tajemnicy?

– Może. Ale nie mów mi nic takiego, co mógłbym sprzedać za dość pieniędzy, by mi to gwarantowało emeryturę.

– Niewykluczone, że właśnie chodzi o coś takiego.



- Dobra. Co masz?
  - Chcę, żebyś zwerbował ludzi z zaciągów. Tych, którzy mieliby ochotę służyć dalej za żołd.
  - O takich nietrudno. Jeżeli naprawdę możesz im zapłacić.
- Hecht uśmiechnął się z wysiłkiem.
- Mogę.
  - Jak?
  - To właśnie tajemnica, której musisz dochować.
  - Podpuściłeś mnie i zwiodłeś słodkimi słówkami.
  - Smolens znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Przechwycił ostatni transport złota z Salpeno.
- Na twarzy Ghorta przez moment odbijało się zaskoczenie, które po chwili przeszło w zadziwienie. Które z kolei zastąpiło rozbawienie.
- Masz zamiar okraść własnego szefa?
  - Przecież te pieniądze są rzekomo przeznaczone dla armii. Gdybym pozwolił im pojechać do Brothe, a dopiero potem wrócić, ile zginęłoby po drodze?
  - Prawdopodobnie większość.
  - A widzisz. Więc jak z objęciem dowództwa nad brygadą ochotników?
  - Przechodzimy na drugi brzeg rzeki, racja?
  - Wkrótce.
  - Wchodzę w to. Tam musiało jeszcze zostać coś do ukradzenia.
  - Może. Pójdiesz na Antieux. Razem z Donetem. Clej Sedlakova będzie dowodzić. Postaraj się, żeby Doneto za bardzo nie szalał.
- Ghort pytająco uniósł brew. Hecht dostrzegł siwiznę w jego włosach.
- Wolałbym, żeby nie zapamiętano mnie jako człowieka, który zmienił Connec w pustynię.
- Ghort obrzucił go badawczym spojrzeniem.
- Co ty będziesz robił?
  - Ja idę pod Castreresone. Smolens spróbuje zdobyć Sheavenalle.
  - Castreresone? Mimo iż Roger nie żyje?
  - Tak. – Nie zaszkodzi, jak Wzniosły V i król Piotr poprężą trochę mięśnie i powarczą na siebie. – Ewentualne zamieszanie powinno pracować na naszą korzyść.
  - Szkoda, że nie ruszyliśmy się wcześniej.
  - Ja też żałuję. Naprawdę. Idź. Masz robotę do wykonania.

Kiedy Ghort dotarł do wyjścia na schody, Hecht zapytał jeszcze:

– Z tą córką Karlicy wciąż wszystko w porządku?

– Dochodzi do siebie.

– Pilnuj, żeby się jej nic nie stało. Kiedy będziesz wysyłał do miasta godnych zaufania ludzi, każ im wziąć ją ze sobą. Uprzedzę Annę.

– Nie sądzisz, że najpierw powinieneś ją zapytać?

Hecht wzruszył ramionami.

– Powiniennem. – Ale... – Prowincjał Delari z pewnością też będzie chciał z powrotem swoją zabawkę. Jeśli oczywiście Armand da radę podróżować.

– Najchętniej usunąłby Osę Stile z drogi.

– Ten dzieciak przyprawia mnie o dreszcze, Pipe. Z nim jest coś naprawdę nie w porządku.

– Wobec tego lepiej pilnuj, żeby się nie wślizgnął do twojego namiotu.

– To nie było śmieszne, Pipe.

Ale od czasu do czasu Hecht się nad tym zastanawiał. Ghort rzadko mówił o kobietach. To jakoś nie pasowało do żołnierza.

Ze szczytu wzgórza, które kiedyś było winnicą, Naczelnny Wódz obserwował maszerujące wojska.

– Pinkus byłby niepokieszony, gdyby wiedział – zwrócił się do Clovena Lutego.

Stary zmaterializował się w momencie, gdy Hecht przyglądał się siłom, jakie Sedlakova, Ghort i Doneto zabierali do Antieux. Ochrona Naczelnego Wodza jeszcze nie zobaczyła Lutego. Po tamtym nie było widać żadnych śladów lania, jakie spuścił mu umierający bóg.

– Chodzi ci o winnicę? Ach, tak. Rozumiem. Ci ludzie wyglądają na zdrowych, dobrze wyszkolonych i odpowiednio umotywowanych. Dobra robota.

– Naprawdę? Przyszedłeś tutaj i żaden z tych ludzi cię nie zauważył.

– To akurat nie jest powód do zmartwień. Każdemu doczesnemu wrogowi napędzą sporego stracha. Ja zajmę się Nocą.

– Nie bardzo nam pomogłeś z tym robalem.

– Jeżeli tak myślisz, to chyba nie patrzyłeś uważnie. Jak myślisz, dlaczego wyklął się tam, a nie pod twoim młynem?

Hecht nie wiedział. Wzruszył ramionami.

– Wyklął się w miejscu, gdzie znajdowała się jakaś nieszczęsna koza z twoim amuletem na nóżce. Dzięki temu teraz gdzieś na świecie pewien

dreangerski czarodziej przeżywa naprawdę niemiłe chwile. – Stary zachichotał.

Hecht nie wiedział, co powiedzieć. Luty nie miał powodów mijać się z prawdą.

Dziewiąty Nieznany rzekł:

– Pamiętasz, jak mówiłem, że w celu zdobycia potęgi i dla innych względów głupcy mogą się sprzysiężyć ze starszymi Delegaturami? – Zerknął na ochroniarzy Hechta. Powoli zaczęli się robić nerwowi.

– Tak.

– Ci głupcy już się objawili. Ich emblematem jest pierścień z trójzębem. Rudenes Schneidel jest ich wodzem na zachodzie. A równocześnie porucznikiem er-Rashala al-Dhulquarnena, który najwyraźniej postanowił wskrzesić starożytnych bogów Dreangeru.

Hecht nie był szczególnie zaskoczony.

– Zawsze krążyły pogłoski, że stara religia bynajmniej nie została ze szczeniem wykorzeniona. Er-Rashalowi zawsze zarzucano religijną obojętność, w najlepszym wypadku, ale był zbyt użyteczny, żeby go karać.

– Twoi towarzysze z oddziału sha-lugów doszli do tego na własny rachunek. Ten człowiek, Szkielet, wrócił do Dreangeru. Chce przez Nassima Alizarina dotrzeć do Gordimera i ostrzec go.

– Jeżeli Szkieletowi uda się przekonać Górę, Szakala czekają trudne chwile.

– Nie zapominaj, kim jest er-Rashal.

Ochroniarze usłyszeli wreszcie głosy, w ich mniemaniu jakby dobiegające znikąd. Zaczęli się naradzać. Ale nie mogli dostrzec starego, nie zorientowali się też, że ich podopieczny rozmawia z niewidzialną osobą.

– Nie ma wątpliwości. Robią się nerwowi. Niedługo będziesz się musiał zbierać.

– Tak.

– Co er-Rashal chciał zrobić z tymi mumiami?

– Nie wiem. Ale z ich posiadania nic dobrego dlań nie wyniknie. Może chce przywołać cienie czarowników, którzy kiedyś zamieszkiwali ciała. Choć musiałby to robić nad samymi Studniami Ihrian, żeby starczyło mu mocy. I potrzebna mu będzie zgoda Nocy. W przeciwnym razie musiałby utrzymywać przygotowania w najściślejszej tajemnicy, a potem gnać na złamanie karku, żeby Delegatury się nie zorientowały.

– Mało prawdopodobne, jeśli potrafią wyczuć niebezpieczeństwo na dwieście lat w przód.

– Więc może go czekać niemiła niespodzianka. Znowuż, jeżeli nie zawrze właściwych sojuszy z Nocą.

Ale to był problem większości czarowników, włącznie z tymi, którzy pienili się w Andesqueluz. Z czasem zaczęli przeceniać swoją wartość i nie doceniać Delegatur Nocy. A potem Delegatury ich zżarły.

Ochroniarze byli już zaniepokojeni nie na żarty. Żaden nie potrafił ustać spokojnie. Ale wciąż nie widzieli starca w brązach.

– Co się zmieniło od czasu, jak przekroczyliśmy Decheat? – zapytał Hecht.

– O co pytasz?

– Na wschód od rzeki nie mieliśmy kłopotów z Nocą. Tylko te same zwykłe psoty co zawsze. A odkąd przeprawiliśmy się przez rzekę, rozpętała się prawdziwa plaga. Paskudna. Jakby duchy kamieni, strumieni i drzew były znacznie bardziej rozdrażnione naszą obecnością niż hrabiego Raymone’a i jego przyjaciół. Prowincjał Delari nie chce o tym rozmawiać. Może po prostu nie umie wyjaśnić.

– Może zajęty jest sprawami bardziej niecierpiącymi zwłoki?

– To znaczy?

– Może i nastąpił wzrost aktywności Nocy, ale to wciąż jeszcze tylko drobna niedogodność. Środki ostrożności, jakie nauczyliście się podejmować podczas przeprawy, zapewne wystarczą, by poradzić sobie z tą małąpiarnią. Niemniej powinieneś się spodziewać intensyfikacji. Tak. Sama kraina czuje się zagrożona, ponieważ faktycznie tak jest. Niestety, na mnie już czas. Twój chłopak z jasnoblonde czupryną właśnie dostrzegł coś kątem oka. Zaraz o tym komuś wspomni. – Stary wykonał gwałtowny w tył zwrot. I zniknął.

– Nie – mruknął Hecht. – Nie można tak sobie zniknąć.

– Sir? – W jednej chwili Madouc pokonał dwadzieścia jardów opuszczonej winnicy.

– Wydawało mi się, że coś widziałem. Kątem oka. Ale kiedy spojrzałem, nic tam nie było. Czy one zaczęły już wychodzić na świat za dnia? Czy są w stanie?

– Nie wiem, sir. Powinien pan o to zapytać prowincjałów. Ale uważam, że powinniśmy zejść niżej, gdzie będziesz miał lepszą osłonę.

– Może i tak. Prowadź. – Hecht zastanawiał się czasami, czemu Noc nęka patriarchalnych najeźdźców, skoro zostawiła w spokoju Arnhandów i Grolsacherów.

– To nieprawda – rzekł prowincjał Delari, kiedy zwrócił się do niego z tym pytaniem. – Arnhandowie i Grolsacherzy też napotkali wiele istotnych manifestacji. Rook i Trzon byli na miejscu od samego początku. Tkacz i Cień pokazali się niejeden raz. Pozostali poruszają się we śnie. Śmierć. Skillen. Kint. Ktoś uwalnia ich rozproszone fragmenty. I niektóre z nich mogą być już na tyle integralne, żeby zacząć się karmić pomniejszych duchami.

– O tych jeszcze nigdy nie słyszałem. Śmierć, Skillen, Kint?

– Śmierć to śmierć. Jej personifikacja. Reaktywna, nieaktywna. A więc nie tyle mająca własne roszczenia, ile proklamująca fakt dokonany.

– Hę?

– Śmierć się ukazuje, kiedy ktoś ma umrzeć. Jak herold. Rook, Trzon oraz pozostali przybyli, by wykańczać ludzi.

– Skillen? Kint?

– Nieszczęście. Rozpacz.

– Czy starożytni mieli jakichś szczęśliwych bogów?

– A czy ktokolwiek ma? Dzisiejsi bogowie mieszczą się w spektrum między niemiłymi a psychotycznymi. Bóg Który Jest Bogiem, Wszchemogący i Miłosierny, kiedy zechce się ujawnić... a zwróć uwagę, że nie miało to miejsca w ciągu ostatnich kilkuset lat... pojawia się tylko po to, by zapobiec katastrofie, zarazie i innym plagom. Podobnie ma się z devediańskim Bogiem i naszym chaldarańskim bóstwem w ich aktualnej postaci. Bóstwo dainschauów jest świrem z prehistorii, zawsze pogrążonym w bezrozumnym gniewie. Żaden z nich nie potrafi sam się obronić. Potrzebują takich ludzi jak Towarzystwo, żeby wkładali im słowa w usta i łamali za nich gnaty.

– Od tej strony cię jeszcze nie znałem.

– Connec źle wpływa na moją dyskrecję. Bóg powinien być w stanie sam się obronić. Jeżeli nie podoba Mu się twoja herezja, sam mógłby cię wykorzenić.

– Wybacz. Powinienem się odsunąć od ciebie na kilkanaście jardów, żeby przez pomyłkę nie trafił mnie grom z jasnego nieba.

– Już przypieczętowałeś swój los, Piper. Mówiąc, coś powiedział. Bóg z definicji nie może popełnić pomyłki.

– Sarkazm wyraźnie też mu nie przeszkadza.

Droga wspinała się, schodziła w dół i zakręcała, a do Madouca docierały pojedyncze słowa. Był wstrząśnięty tym, co słyszał.

– Ci z Jego sług, którym się wydaje, że On potrzebuje ich pomocy, trafiają się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, Piper. Nawet wśród ochrony osobistej Naczelnego Wodza Jego Żyjącego Głosu – zawyrokował Delari.

Hecht chciał oprotestować absurdalność tego podejrzenia. Ale wcale nie było takie bezsensowne. Nie wybierał sam swojej ochrony. Jeden z nich z pewnością musiał należeć do Bractwa Wojny. Towarzystwo również mogło umieścić wśród nich swego szpiega.

Nie zaprotestował. Przynajmniej na głos.

– Nigdy nie jesteśmy tak nietykalni, żeby jakiś padalec nie mógł nas załatwić – dodał Delari.

– Nawet ty?

– Nawet ja. Nie zapomnieli o mnie, Piper. Po prostu starają się zyskać na czasie. A ich dzień kiedyś nadejdzie.

Nadejdzie. Oczywiście. W popiołach zawsze tli się żar.

Z północy przybył Buhle Smolens. Minął od tyłu główne siły Patriarchy. Po drodze przekazał zdobyte złoto Arnhandu i sprawozdanie ze wszystkiego, co zrobił, czym się zajmował i czego się dowiedział w Viscesment. Wybrał sobie dodatkowe dwa tysiące ludzi.

W raporcie były nazwiska i materiały na kilka osób, z którymi Hecht chciałby się spotkać.

Świadkowie z Viscesment twierdzili, że wszyscy byli Artecipecanami. Po przybyciu Smolensa uciekli do Skraju Connec. Najwierniejsi stronnicy Niepokalanego postąpili podobnie. Większość przebywała obecnie w Antieux.

Podczas swego pobytu w Viscesment Artecipecanie nie zrobili nic, co by ich bezpośrednio obciążało. Mimo to lokalni mieszkańcy traktowali ich jak zapowietrzonych. Ludzie o tak odrażających obyczajach mogli być tylko skończonymi łotrami.

Po każdym kolejnym zmroku Noc dawała się coraz bardziej we znaki. Choć nigdy nie chodziło o nic więcej niż złośliwe psoty, nieustanne

prześladowania odbijały się na morale. Pinkus Ghort miał kłopoty z werbunkiem członków milicji. Choć wszyscy byli niewzruszonej chaldarańskiej wiary, równocześnie spodziewali się, że w każdej chwili z nocy może wypaść na nich jakikolwiek wyobraźalny demon czy złośliwy duch – rozsądek nakazywał więc znaleźć sobie miejsce, w którym spotkania z tymi stworami będą mniej prawdopodobne.

W końcu jednak doszło do zaledwie kilku aktów dezercji z sił patriarchalnych. Natomiast wielu rodzimych mieszkańców wyrażało chęć pomocy Kościołowi w wykorzenieniu heretyków z Connec.

Nadeszły deszcze. I nie chodziło o krótkotrwałe prysznice, po których wspomnienie znikało w ciągu kilku godzin, lecz o burze z piorunami i gwałtowne wichry, którym często towarzyszył grad. Kiedy nie padało, na niebie bezustannie zalegała gruba warstwa chmur.

Wilgoć dawała się we znaki ekwipunowi, ubiorom, butom, stopom i kopytom zwierząt.

– Pogoda jest całkiem normalna na tę porę roku – zapewniał Hechta prowincjał Delari, kiedy ten zapytał, czy to sami bogowie sprzysięgli się, by zniszczyć armię za pomocą pleśni, grzyba, grzybicy i rdzy. – Po prostu tego roku trochę bardziej daje się we znaki. Tak twierdzi okoliczna ludność. – Na niebie rzadko rozbłyskiwało słońce.

W dniu, w którym zobaczyli Castreresone, pogoda była zupełnie do niczego. Mury miasta zrobiły na nich wrażenie równie odstręczające jak niebo. Mieszkańcy miasta i najbliższej okolicy ze zdumieniem obserwowali armię najeźdźców, która rozłożyła się obozem po obu stronach szerokiego, starego mostu na Wawrzynie. Wcześniej w ogóle nie mieli do czynienia z wrogiem – żadnych zwiadowców ani potyczek. Widety napotykały tylko zaskoczonych chłopów i zdumionych podróżnych.

– Jak mogli nie wiedzieć, że nadchodzimy. Żadna piechota nie wędruje szybciej niż wieści o jej zbliżaniu się – dziwił się Hecht.

– Wiedzieli – z przekonaniem stwierdził Titus Consent. – Nie uwierzyli. To przecież niemożliwe. Kryją się za tarczą Piotra z Navai. Nawet Wzniosły Piąty nie jest dość szalony, by ryzykować starcie z królem Piotrem.

Naczelną Wódz rozbił główny obóz na przeciwnym brzegu rzeki niż Białe Miasto, a równocześnie ulokował silny kontyngent po drugiej stronie mostu, umacniając przyczółek Inconje. Sam most stanowił jaskrawy

symbol tego, że wojna od dawna omijała Connec. Powinien mieć umocnienia na obu brzegach. Główne przesło należało tak wykonać, żeby umożliwiać jego szybkie zniszczenie.

Wschodni kraniec mostu otaczały niskie budynki nieufortyfikowanych przedmieść, zamieszkanych przez prosperujących devów, dainschauów i innych, dla których nie było miejsca w mieście lub jego obwałowanych przedmieściach: Burgu i Nowym Mieście. Mieszkańcy uciekli. Nie zostawili po sobie wiele rzeczy wartych splądrowania.

– Te mury wyglądają naprawdę porządnie – oznajmił Hecht. – Nie będziemy ich zdobywać. A nie mamy dość ludzi, żeby otoczyć miasto i wziąć je głodem. – Połowa armii poszła na Antieux i Sheavenalle. Zdobycie miasta portowego miało decydujące znaczenie dla sukcesu kampanii. – Będziemy ich nękać do czasu, aż znajdzie się kilku zdrajców, którzy otworzą nam bramy. Źle zrobiłem, że nie zatrzymałem Sedlakovy. Mógłby zobaczyć coś, co mi umknęło.

Consent zasugerował:

– Pogadaj z Haganem Brokke. Pracuje ciężiej niż inni. Poza tym może być odrobinę rozczarowany, jako że to właśnie jednonogiemu dałeś szansę zmierzenia się z Antieux. Myśli, że nie doceniasz jego zdolności i wysiłków.

Hagan Brokke towarzyszył Hechtowi przez większość jego brotheńskiej kariery – najpierw w Regimente Miejskim podczas krucjaty calzirskiej, a teraz w siłach patriarchalnych podczas krucjaty connekiańskiej. Hecht faktycznie traktował pomoc jednego ze swych najlepszych oficerów jako coś zrozumiałego samo przez się.

– Zna się choć trochę na pracach oblężniczych?

– Pogadaj z nim.



## 15

# Plemenza, oko w oko z Synem Nocy

Księżniczka Hespeth warknęła zniecierpliwiona:

– Jest pan tu od sześciu tygodni, Prosek! Kiedy pan wreszcie coś zrobi?  
Algres Strach ujął ją za łokieć, ścisnął, lekko pociągnął.

Prosek miał swoje rozkazy.

– Kiedy będę gotów, proszę pani. – Zawsze to „proszę pani”, zamiast tytułu należnego księżniczce Apparent w Imperium Graala. – Jeśli tak wam się spieszy, możecie sami spróbować.

Hespeth gotowała się w środku. Strach też miał kłopoty z utrzymaniem nerwów na wodzy. Udawało mu się tylko dlatego, że rozumiał Proseka. Reagował tak właśnie, ponieważ go zadrażano.

Hespeth nie cierpiała Proseka, gdyż jej pozycja w ogóle nie robiła na nim wrażenia – a ona sama była dlań tylko utrapieniem.

Strach znowu ścisnął jej łokieć.

– Nie zapominaj się. Bractwo Wojny.

Hespeth powściągnęła język. Zaczęła się przyglądać, jak ludzie Proseka nanoszą poprawki na mapę wysokich Jago. Działania wywiadowcze przebiegały mozolnie i napotykały liczne trudności. Niewielu podróżnych przedostawało się przez niebezpieczny teren, chętnych na zwiady było jeszcze mniej.

Na szkicowej mapie pojawiła się brązowa plama. Prosek postukał w nią palcem. Zerknął na swoich woźniców: jakiegoś Varleya i kogoś, czyjego imienia Hespeth nie potrafiła zapamiętać, mimo iż wiele razy jej mówiono.

Varley żałośnie pokiwał głową. Ten drugi głęboko i głośno westchnął. Prosek z wymuszonym uśmiechem powiedział:

– Dlatego właśnie płacą nam jak księżetom. Głowa do góry, Stern. Zostawimy po sobie piękne trupy.

Helspeth uznała, że to miał być żart. Stern był najbrzydszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

– Wybraliśmy miejsce na zasadzkę, proszę pani – oznajmił Prosek. – Kapitanie Strach. Zmajstrował już pan te ładunki, o które prosiłem?

Helspeth zgrzytnęła zębami. Prosek doskonale zdawał sobie sprawę, że są gotowi. Po prostu przypominał wszystkim, jaki tu obowiązuje profesjonalny porządek dziobania. Nieświadom, że chronią go nie jego doświadczenie i umiejętności, ale koneksje z Naczelnym Wodzem.

Nie miała zamiaru zadać pytania, ku któremu wiodły ją sugestie Proseka.

Strach znowu dotknął jej łokcia, lekko, aby przypomnieć, że jego zdaniem kłopoty, jakie ma z Dragonem Prosekiem, są jej autorstwa, a nadto że istnieją zapewne wyłącznie w jej wyobraźni. Uważał, że Prosek jest tak oddany swej pracy, że nie zdaje sobie sprawy z żadnych konfliktów.

– Sześć ładunków, wykonanych zgodnie z dostarczonymi przez siebie specyfikacjami – odparł.

– Świetnie. Wobec tego jesteśmy gotowi. Możemy ruszać rankiem. Sprzyja nam pogoda. Siły ludzkie i transport przygotowane.

Ostatnio pogoda na obszarze między Węzłem Ownvidiańskim i Jago nie była szczególnie życzliwa, aczkolwiek ładnych dni wciąż było więcej.

– Postaw w stan gotowości ludzi, którzy pójdą ze mną – polecił Prosek. – Niech wszyscy dobrze się najedzą i wyspią. Wkrótce może nam tego zabraknąć.

Kolejna denerwująca cecha tego człowieka. Był przekonany, że znacznie lepiej znosi trudy i niewygody niż jacyś zniewieściali Imperialni. Strach z chęcią nauczyłby go szacunku, ale musiałby z tym poczekać do czasu, kiedy już przestanie być potrzebny księżniczce. Zresztą wątpił, aby ta przyjemność miała mu być dana. Dziewczyna ani na jotę nie naruszy postanowień umowy.

– Przykro mi, że przeze mnie przybywa ci siwych włosów na głowie, kapitanie – zwróciła się Helspeth do Stracha. – Któregoś dnia może okazać się warta znoszenia moich kaprysów.

– Znosiłem gorsze rzeczy niż cokolwiek, co przydarzyło mi się w twojej służbie, księżniczko. To otaczający cię ludzie sprawiają najwięcej kłopotów.

– Wobec tego do rana, kapitanie.

Zobaczyła, jak nagłe podejrzania zasnuwają mu oczy mgłą.

Głupia. Nie powinna tyle gadać.

Strach zbladł, kiedy zobaczył księżniczkę wśród ludzi towarzyszących Prosekowi. W tej samej zbroi i z tym samym orężem co pod al-Khazen. Narzuciła na siebie gruby płaszcz, który maskował płeć i mizerną posturę.

Broń i oręż skonfiskowano jej za panowania Lothara, ale chytryością i uporem zdołała je odzyskać. W Imperium nie brakowało skorumpowanych funkcjonariuszy, którzy usłudze gubili przedmioty powierzone swej pieczy.

W łowach na przygodę postanowiła również wziąć udział lady Hilda, mimo iż to nie kto inny jak ona właśnie miała zapobiegać wszelkim ewentualnym wybrykom księżniczki Apparent. Ale życie w pałacu Dimmel zdążyło ją tymczasem zanudzić prawie na śmierć.

Kapitan Strach odkrył obie panie podczas apelu. W nieufności, z jaką Prosek traktował Imperialnych, tkwiło ziarno prawdy. Paru żołnierzy było wyraźnie zniechęconych pogodą, która przyniosła chłód i wilgoć. I która w wysokich Jago miała stać się jeszcze gorsza.

Podczas apelu z początku okazało się, że Strach ma dwu żołnierzy za dużo. Zanim wyłowił z oddziału przebierańców, Drago Prosek już ponaglał woźniców na kozłach wozów z ekwipunkiem i zapasami ekspedycji.

Helspeth tłumaczyła Strachowi:

– Z własnej woli nie zostanę. Jeżeli mnie zmusisz, urządzę piekło.

– I piekło też mnie czeka, jeśli cię nie zmuszę. Powinienem rzucić się na miecz i oszczędzić Imperatorowej kosztów karmienia mnie w celi przez czas potrzebny na podjęcie decyzji o egzekucji.

– Proszę nie tragizować, kapitanie. Obiecuję, że nie sprawię kłopotów.

– Na miłość boską! Sama twoja obecność już oznacza masę kłopotów.

– Lady Hilda mnie obroni.

– Boże, daj mi cierpliwość! Księżniczko...

– Jadę. Lepiej wbij sobie to do głowy, kapitanie. I przywyknij do tej myśli. Możesz się pocieszać, że jest to najprawdopodobniej ostatni raz, kiedy będę mogła bodaj odetchnąć bez aprobaty mojej siostry i Komisji Doradczej.

Choć w Jago siedział sobie potwór blokujący ruch przez góry, wieści mimo to docierały. W Alten Weinberg powoli przewagę zdobywały zamysły ulokowania księżniczki Apparent w takim miejscu, gdzie można będzie sprawować nad nią pełniejszą kontrolę. Bynajmniej nie chodziło o to, że zrobiła cokolwiek, co mogłoby kogokolwiek urazić. Nikt nie kwestionował jej działań w roli legata Imperium na południe od gór. Była po prostu zbyt cennym walorem. I ewentualną ostoją tych, którzy sprzeciwiali się brotheńskiemu Patriarchatowi.

Karin dawała wyraz swemu zaniepokojeniu. W jej listach z rzadka tylko przebijała bodaj odrobina siostrzanych uczuć.

Helspeth powtórzyła:

– Jadę, kapitanie. Marnujemy tylko czas i zostajemy z tyłu.

Algres Strach popełnił błąd, którego – jak podejrzewał – nigdy sobie nie wybaczy. Uległ. To było łatwiejsze od kłótni. Był już zmęczony ciągłymi sprzeczkami, zwłaszcza z tą dziewczyną. Nigdy nie ustępowała.

Jej otoczeniu niewiele czasu zabrało, żeby pojąć tę prawdę. Helspeth mało wiedziała o codziennych sprawach marchii. Wszystko zawsze robili dla niej inni. Lady Hilda nie była lepsza. Ale Helspeth potrafiła zdobywać sobie względy mężczyzn. Przekonywać ich, że są zdolni do prawdziwych cudów.

Drago Prosek oczywiście nie potrafił zamilczeć – gadał na lewo i prawo, wróżył katastrofę związaną z obecnością obu kobiet.

Po sześciu dniach męczącego chłodu i zimnej wojny emocjonalnej oddział dotarł do miejsca, które Prosek wyznaczył na obóz etapowy.

Prosek, obsady dział, Algres Strach i księżniczka Helspeth skupili się przy wielkim ognisku. Wszyscy chcieli zerknąć na mapę.

– Tutaj i tutaj – mówił Prosek. – Doskonałe stanowiska dla falkonetów. Niższe ma prostą linię ostrzału na sto pięćdziesiąt jardów i osłonę głązów. Wyższe położone jest pod przewieszką, z tyłu jest jaskinia. Poza tym znajduje się na wysokości trzydziestu stóp w zboczu góry. Można się domyślać, że od czasów starożytnych stanowiło punkt obserwacyjny. Stern, ty je obejmiesz, ponieważ nie jesteś dość bystry, aby się przestraszyć czy zdenerwować. Będziesz strzelał w drugiej kolejności, kiedy Varley już unieruchomi stwora swoim pociskiem. Jeżeli zaistnieje konieczność odwrotu, będziesz mógł się wycofać do jaskini. Nie jest na tyle duża, by potwór wlaźł do środka.

Helspeth chciała już przypomnieć Prosekowi, że diabeł jest zmiennokształtny, ale zobaczyła, jak Algres Strach znacząco zaciska usta. To jej przypomniało, że obiecała nie mleć ozorem.

– Mamy jeden problem – kontynuował Prosek. – I nie chodzi tylko o tę przeklętą pogodę. – Było zimno. Niebiosa zsyłały na świat przelotne, lecz dotkliwe potoki lodowatego deszczu. – Jak zwabimy stwora?

Helspeth powoli zaczynała się zastanawiać, co ją podkusiło, żeby tu przyjechać. Czuła się strasznie źle na ciele, jej życie i dusza były zagrożone, a przygoda z pewnością splami jej przyszłą małżeńską reputację. W Alten Weinberg wzrosnie grono jej krytyków i tych, którzy jej nie ufali.

Ale potencjalny spadek jej wartości jako waloru w kalkulacjach innych zupełnie jej nie kłopotał.

Prosek zapytał:

– Ktoś wie coś może o tej bestii, czego mi dotąd nie powiedział? Czy ona wie, że tu jesteśmy, albo orientuje się w charakterze naszej misji? Według Naczelnego Wodza była kiedyś człowiekiem. Czy wciąż zachowała ludzką zdolność rozumowania? Racja. Nikt nic nie wie. Cały los operacji w rękach Dragona. Księżniczko? Ty byłaś pod al-Khazen.

– Przykro mi, panie Prosek. Byłam zajęta gdzie indziej, kiedy tego człowieka spotkał ten los. Wiem mniej niż ty.

– Szkoda, że nie mamy ze sobą czarodzieja. Ale gdyby życzenia miały skrzydła... Naczelnny Wódz był przekonany, że sobie poradzę. Może zna mnie lepiej, niż sam się znam. Strach. Wyglądasz na człowieka, który lubi polować. Jak zwabiłbyś stwora?

– Polowałem tylko na jelenie i kozice. Sam po nie idziesz. Albo urządzasz zasadzkę.

Helspeth tym razem nie wytrzymała.

– Byłeś w Ziemi Świętej, nieprawdaż, panie Prosek?

– Byłem. Pięć lat. I widziałem Indalę al-Sul Halaladyna z tak bliska, że znam kolor jego oczu. Są szare. Trudno uwierzyć. O co ci chodzi?

– Sha-lugowie, plemiona Peqaad, Indala al-Sul Halaladyn, a nawet H'un-tai At, wszyscy stosują taktykę mylącego odwrotu. A ich wrogowie co rusz się na to nabierają.

– Na nieszczęście to prawda – niechętnie przyznał Prosek. – Wielu dowódców krzyżowców, zwłaszcza nowych w Ziemi Świętej i żądnych

chwały, nie potrafiło uwierzyć, że niewierni są tak bystrzy jak oni. Że mają do czynienia z weteranami. Co z tego?

– Człowiek, którym był potwór, zanim zmienił się w duszodawcę, żył w Andoray dwieście lat temu. Z pewnością to wpłynie jakoś na bieg jego obecnych myśli. Nieprawdaż?

– Wydaje się prawdopodobne. Więc?

– Wówczas popularny był heroiczny indywidualizm. Gdyby ktoś z nas przywdział pełną zbroję i poszedł w góry niczym Czerwony Młot rzucający wyzwanie Olbrzymowi z Midwynd...

Oczy Proseka załśniły. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko zasysał ślinę w tę i z powrotem przez zęby.

– To jest myśl. Dlaczego byśmy nie... – Powtórzył sugestię Hespeth właściwie słowo w słowo. Kiedy prawie już się gotowała, mrugnął do niej i wyszczerzył zęby. – Jest tylko jeden problem. Trzeba wybrać bohatera. W tej kwestii mam złe przeczucia. Jesteś jedyną w towarzystwie odpowiednio wyposażoną do tej roli. Kapitanie Strach. Czy ktoś jeszcze jest dość drobny, żeby przywdziać jej zbroję?

– Nie ma mowy...

– Zgadzam się. Ale nikt inny nie zabrał ze sobą równie przekonującego kostiumu.

Lady Hilda zgłosiła się na ochotnika:

– Ja jestem dość drobna...

– Zapomnij – ucięła Hespeth.

Minęły dwa dni męczącej mżawki. Oba falkonety znalazły się na stanowiskach, obsady przeprowadziły pozorowane manewry. Strach i Prosek urządzili zwiad na przełęcz, docierając aż do następnego zajazdu. Obaj niejasno wyczuwali obecność potwora w okolicy. Wokół obozu rozmieścili małe, standardowe amulety, żeby pomniejsze istoty Nocy nie szpiegowały ich na rzecz potwora.

Trzej Braunsknechci Stracha wrócili ze zbroją odpowiednią dla dorosłego mężczyzny. Przynieśli do kompletu dwie kopie, razem z proporcami.

Nie było ochotników do przywdziania zbroi i odegrania roli przynęty w pułapce.

Prosek narzekał:

– Tu i tak jest za zimno. Stern, Varley. Zbieramy się. Ci ludzie nie są poważnie zainteresowani.

Strach wziął do ręki dłuższą kopię.

– Zobaczymy, czy wciąż potrafię utrzymać się na koniu, mając na sobie cały ten majdan.

Helspeth pocałowała osłonę jego rękawicy.

– Nie rób nic głupiego.

– Chcesz, żebym to zrobił czy nie?

Cofnęła się w milczeniu. Kapitan nie oczekiwał, że wyjdzie z tego cało, może nawet tego nie chciał. Jeśli mu się uda, i tak dostanie za swoje.

Nie miał prawa wyrazić zgody na jej udział w ekspedycji. A teraz nie miał prawa zostawiać jej samej i ruszać na harce z potworem. Nie na tym polegała jego praca. Nie na tym polegała jego misja.

Poczucie winy przeszło jej duszę na wylot.

Drago Prosek ruszył w pewnej odległości za Strachem, po drodze dokonując jakichś pomiarów. Wciąż te jego tajemnicze przygotowania.

Helspeth przytuliła lady Hildę.

– Kiedy usłyszymy, że Strach wraca, chcę, abyś odwróciła uwagę pozostałych Braunsknechtów.

– Księżniczko?

– Zrób wszystko co w twojej mocy. Daj mi parę sekund.

Algres Strach znalazł się w górnej części przełęczy, poza zasięgiem wzroku tamtych. Pogoda się nieco poprawiła i tylko wiatr wciąż był niczym zastęp duchów kłócących się wśród głazów i karłowatych drzew. Obsady falkonetów czekały w gotowości.

Drago Prosek nie ufał zapalnikom i wolnotłącym lontom w sytuacjach, w których nie było miejsca na margines błędu. Obok każdej armaty płonęło karmione węglem ognisko, dając ciepło obsadzie i rozgrzewając żelazny pręt, którego nie zdmuchnie wiatr ani nie zdusi deszcz. Sam Prosek bezustannie przechadzał się między oboma stanowiskami. Był zdenerwowany, ale z przyczyn innych niż reszta. Zamartwiał się tym, aby wszystko poszło właściwie w odpowiednim czasie. Reszta martwiła się o przetrwanie.

Braunsknechci zupełnie nie znali się na broni Proseka, nie oczekiwali więc po niej niczego dobrego. Obsady falkonetów również nie wiedziały, czego się spodziewać. Jeszcze nigdy nie byli w takiej sytuacji.

– Księżniczko? – szepnęła lady Hilda. – Co robisz?

– Próbuje się modlić. Nie bardzo mi wychodzi. – Nie bardzo jej wychodziła również rola przywódczyni. Tak się właśnie dzieje, kiedy przedkłada się osobiste pragnienia nad potrzebę bycia odpowiedzialną. Ludzie cierpią.

Przełęczą przetoczył się ryk, którego źródła nie sposób było zidentyfikować, ponieważ po drodze jego echa odbiły się wielokrotnie od ścian kanionu. Tyle tylko, że był głośny.

Lady Hilda zrozumiała, co jej wcześniej nie dawało spokoju.

– Jak wszyscy na świecie, robisz właściwą rzecz z niewłaściwych powodów.

Pojawił się Algres Strach, pochylony nisko nad karkiem wierzchowca. Zwierzę uciekało, ale utykając na lewą tylną nogę. Strach nie miał w dłoni kopii ani miecza.

Za nim pojawiła się jakaś rozkołysana postać. Ona była źródłem odgłosów niosących się echem po kanionie. Kopia Stracha sterczała z czegoś, co można było określić jako lewy bark stwora. Sterczała na wysokości oczu – jakby potwór się schylił, by uniknąć oślepienia.

Helspeth ruszyła naprzód, zamierzając ująć drugą kopię. Ludzie Stracha złapali ją. Przez chwilę szarpała się słabo. Równocześnie dostrzegła, że na miejsce utraconego szpona potwór wyhodował sobie nowy.

Potwór był rozwścieczony. I doganiał rannego Stracha.

Jeden z Braunsknechtów wziął kopię. Ruszył naprzód. Prosek uderzył go lekko otwartą dłonią.

– Wszystko ma przebiegać zgodnie z planem. – Ale nawet on nie potrafił się powstrzymać i dał kilka kroków przed siebie.

Klacz Stracha zobaczyła przyjaznych ludzi. Znalazła w sobie resztkę sił i na ostatnie pięćdziesiąt jardów przyspieszyła kroku.

Ludzie Stracha otoczyli ją, gdy tylko minęła ostatnie głazy osłaniające niżej usytuowany falkonet.

Ścigający ją potwór w ostatniej chwili wyczuł niebezpieczeństwo. Zamachał kończynami, zatrzymał się. Odrazająca głowa kołysała się w tył i w przód. Drżały antenki, smakując powietrze. Ale wiatr wiał od strony przełęczy. Potwór miękko ruszył naprzód, szukając miejsca, skąd lepiej będzie mógł wyczuć to, co wzbudziło jego podejrzenia.

Helspeth kazała Braunsknechtom się uciszyć. Nieświadoma, że słuch jest najsłabiej rozwiniętym zmysłem potwora.



Drago Prosek wciąż szedł naprzód. Nie podejmował żadnych wysiłków, aby się skryć przed potworem. Miał w ręku mniej więcej jard wolnotłącego lontu. Czyli właśnie to, od czego nie chciał uzależniać swych falkonecistów.

Potwór szybko przebiegł kilkanaście jardów, czujny w obliczu niebezpieczeństwa. Gdyby nie był tak chorobliwie podejrzliwy, już by ucztował.

Pokręcił głową. Antenki posmakowały powietrze.

Coś wyczuł. Zastygł, a potem odwrócił się do ucieczki.

Prosek odstąpił na bok, skrył się między głazami.

Wypalił wyżej stojący falkonet, trafiając potwora w dolną część tułowia w chwili, gdy ten już się wyprostował, zbierając do biegu. Górną częścią ciała potwora szarpnęło, jał dobywać z siebie odgłosy, które dawały się opisać wyłącznie jako boleśnie przeszywające. Potem przewrócił się i potoczył kilka jardów. Ogłuszony.

Wypalił niżej stojący falkonet. Kilka kończyn stwora poleciało na wszystkie strony. Z grzbietu odpadły fragmenty chityny. Na otaczające skały polał się żółtozielony płyn.

Po chwili drobniejsze rany potwora zaczęły się zasklepieć. Dochodził do siebie. Zaczął się rozglądać po otoczeniu. Antenka złowiła pasmo dymu, snujące się spod skalnego nawisu osłaniającego drugi falkonet.

Potwór ruszył do ataku.

Niższy falkonet znowu plunął jadem. Impet uderzenia odrzucił potwora. Przez cały czas bestia wydawała z siebie przeraźliwe ryki. Myśli Hespeth zaplątały się w szaleństwie istoty, gdy ta na moment sięgnęła do jej umysłu. Wszyscy tego doświadczyli.

Gubiąc resztki rozumu, bestia natarła na niższy falkonet.

Znienacka węża ognia pobiegły po ścianach wąwozu. Najpierw po prawej, dwie sekundy później po lewej – wybuchy poszarpały boki monstrum.

Hespeth widziała wcześniej, jak Prosek się tam kręcił, ale... Co to było?

Eksplozje prawie rozerwały potwora na dwie części. Niemniej wciąż się nie poddawał.

Znów zagrzmiał górny falkonet. Moment później eksplodował dolny. Obsada zaczęła wrzeszczeć.

Zmaterializował się Prosek, biegł. Był blady, jego twarz wykrzywiała groza. Obejrzał się za siebie, żeby zobaczyć, czy potwór go nie dogania.

Potwora nie obchodziło już nic prócz ucieczki. Jego rany przestały się zasklepiać. Miał ogromne kłopoty, aby się odwrócić, nie rozpadając przy tym na dwoje. Rozerwane ciało parowało smużkami mgły w barwie jego posoki.

– Nie chce zdechnąć – mruknęła Hespeth. – Tyle zrobiliśmy, a on wciąż nie chce zdechnąć!

Prosek zatrzymał się wśród głazów spiętrzonych wokół dolnego falkonetu. Zawołał o pomoc. Huk wystrzału górnego falkoneru pochłonął jego krzyk. Ładunek smagnął bok potwora, odrywając kolejne nogi, ale nie czyniąc większych krzywd właściwemu tułowiu. Echa grzmotu ucichły. Prosek znów zaczął krzyczeć na obsadę Sterna.

Paru Braunsknechtów poszło pomóc falkonecistom. Prosek opuścił stanowisko ogniowe, uginając się pod ciężarem baryłki prochu i ładunków, których nie zużyła broń Varleya. Wspiął się na skalny nawis.

Strach, mimo iż ranny, odzyskał już kamienny spokój.

– Znów udało się oszukać śmierć – mruknął, grzebiąc niezdarnie przy rzemieniach pogiętej części nakolannika, której specjalistycznej nazwy Hespeth nie potrafiła sobie przypomnieć. – Ale noga może być złamana. Ktoś powinien zbiec do obozu woźniców. Niech zabiorą rannych.

Braunsknechci przynieśli Varleya i jego obsadę, położyli przy ognisku. Wszyscy przeżyli. Varley jednak pewnie wolałby umrzeć. Tylko dzięki gęstemu zarostowi lewy policzek i część żuchwy jeszcze się trzymały. Zostanie po tym jedna masa blizn.

Któryś z podwładnych Varleya wyjaśnił:

– Podczas drugiego strzału użyliśmy podwójnego ładunku prochu. Falkonet musiał pęknąć od wewnątrz. W szczelinie pewnie utkwily płonące pakuły. Następny ładunek eksplodował podczas nabijania działa. – Przyjął wodę z rąk lady Hildy. – Zabierzcie falkonet. Nie wolno go tu zostawić.

Broń Sterna huknęła znowu, głośniejsz. Ostatni z rannych artylerzystów mruknął:

– Dali mocniejszy ładunek. Pozałują.

Hespeth podczołgała się naprzód, żeby spojrzeć na potwora. Leżał nieruchomo, spowity zielonkawą mgiełką. Ponieważ jej strażnicy nie zwrócili na to uwagi, poczołgała się dalej, ku falkonetowi Varleya. Wybuch

wyrwał szczelinę wzdłuż lufy. Wokół mocno pachniało prochem strzelniczym. Gdyby wiatr nie zwiewał dymu w dół przełęczy, nie byłoby nic widać.

Kilka jardów przed nią zazgrzytały kamienie. Prosek i Stern ścigali drugi falkonet na dół. Przeklinając rozrzedzone powietrze, Prosek poinformował Hespeth:

– Jest zbyt daleko. Ostatni strzał miał zbyt duży rozrzut. Ten wystrzelimy mu prosto w.. To znaczy, strzelimy do niego z bliska.

– Panie Prosek.

– Hm... Proszę pani?

– Manewr mylącego odwrotu. Proszę uważać. – Przez spowijającą cielsko mgiełkę nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, że rany monstrum znowu zaczęły się zasklepić.

– Dobra rada – uznał Prosek. – Nigdy nie ufaj Nocy. – Wraz ze swymi falkonecistami upewnił się, że broń jest gotowa do strzału. Potem ruszyli z nią ku apoteozowanej Delegaturze.

Hespeth miała rację. Monstrum było lżej ranne, niż udawało. Zabiłoby Proseka, Sterna i pozostałych, gdyby tamci nie uważali.

Prosek zaryzykował kolejny ponadnormatywny ładunek. Część pocisków przebiła potwora na wylot.

Zgasło echo grzmotu. W ciszy, jaka potem zapadła, rozległ się stek przekleństw Dragona Proseka. On i jego ludzie szybko nadbiegli z góry.

– Czas się stąd wynosić, proszę pani – powiedział, gdy dotarł do Hespeth. – Ładunek załatwił i ten falkonet.

U wylotu lufa rozchyliła się jak płatki lilii.

– Jeżeli potwór teraz wstanie, niewiele będziemy mogli zrobić. – Mimo to bynajmniej nie ruszył zaraz biegiem. Krzyknął na swoich żołnierzy, dokooptował do nich dwu ludzi Stracha. Zaprzągnął ich do uszkodzonych falkonetów, sam zebrał pozostały proch strzelniczy. – Teraz stwór już wie, jak smakuje ból. Nawdychał się prochu i nie będzie chciał się zbliżyć. Dlatego właśnie ustawiłem tam te torpedy. Aby nauczył się bać zapachu świeżego prochu. Wracaj do swojej straży. Wynos się stąd. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś teraz przeze mnie zginęła. – Pochylił się nad baryłkami prochu. – Idź, kobieto! Idź.

Hespeth się wycofała. Znalazła Algresa Stracha już na nogach.

– Powiedziałaś, że masz złamaną nogę.

– Przemawiał przeze mnie nadmierny pesymizm, księżniczko. To tylko wielki siniak. Au!

Helspeth stopą trąciła go w łydkę.

– Możesz sobie być uparty i męski, jeśli chcesz, kapitanie. Ale nie pozwolę, byś opóźniał marsz pozostałych tylko dlatego, że nie dotrzymujesz kroku.

– W takim razie ruszam pierwszy.

Przybyli woźnice z noszami. W pierwszej kolejności Braunsknechci odesłali na dół rannych. Nikt nie jechał konno. Nawet księżniczka Apparent. Jej postawa w oczach jednych była skandaliczna, innych natomiast skłoniła do jeszcze większej miłości wobec władczyni, która nie wynosi się ponad tych, co jej służą.

Kiedy wieści o tym dotrą do Alten Weinberg, z pewnością nie wzbudzą entuzjazmu.

– Hilda, moje dni niezależności są już zdecydowanie policzone. Nawet jeśli ekspedycja zostanie uznana za ogromny sukces.

– Zwłaszcza jeśli uznają ją za sukces. Dziewczyna w twoim wieku zabija potwora, któremu nie potrafił stawić czoła żaden z wielkich starych wygów Imperium? Córka Johannes'a Czarne Buty? Niedobrze, Helspeth. Teraz twoja siostra będzie się ciebie bała. Jak też ci wszyscy ludzie o czarnych sercach, którzy sączą jej jad do uszka. A jej wrogowie zechcą się tobą posłużyć, dowodząc, że w tobie płynie więcej prawdziwej krwi Zapalczywego Małego Hansa.

Algres Strach, któremu mimo protestów ranną nogę wsadzono w łupki, zauważył:

– Żaden dobry uczynek nie uniknie kary, księżniczko. A im szlachetniejsze intencje, tym gorsze niezamierzone konsekwencje. – Upił duży łyk rozcieńzonego środka przeciwbólowego.

Helspeth chciała się kłócić, ale była zbyt zmęczona i wyczerpana emocjonalnie.

Jaskrawe światło rozbłysło ponad przełęczą, którą przed chwilą opuścili. Chmura dymu lub pyłu uniosła się w górę, zachodzące słońce zabarwiło ją na pomarańczowo. Rozbłysły w niej bladozielone nici.

Huk eksplozji potoczył się po przełęczu i dotarł od ich uszu dopiero w momencie, gdy blask już gasł.

– Może pobiegniemy? – zapytał Strach.

– Nigdy tak nisko nie schodził – odrzekła Hespeth.

– Tak. Po drugiej stronie Węzła – przypomniał jej Strach.

Woźnice nie okazali się zbyt zmęczeni, aby pobiec. Ich zaprzęgi były już nakarmione i wypoczęte. Załadowali wozy i ruszyli, ranni jechali.

– Dogoni nas – obiecał Stern towarzyszom falkonecistom.

Ale Drago Prosek nigdy ich nie dogonił.

To samo odnosiło się do strasznej apoteozowanej Delegatury.

I wszystkim nadzwyczaj przypadło to do gustu.

Ruch przez Jago niemalże od razu wrócił do normy.

## 16

# Castresone, oblężenie

– Jestem obserwatorem – mówił brat Świeca do Socii Rault. – Tu jest moje miejsce, robię swoje.

Zapalczywa młoda kobieta próbowała spojrzeć na niego złym okiem, ale nie udało jej się. Była w dobrym humorze, przekonana, że Patriarchalni popełnili fatalny błąd, przystępując do oblężenia Castresone.

Zgodnie z niedawno nabytym zwyczajem, znajdowali się na szczycie murów, obserwując wrogie masy w dole. Tym razem był tam również Naczelny Wódz patriarchalnych armii we własnej osobie. Towarzyszył mu groźnie wyglądający oddział zbrojnych.

Socia wyraźnie była pod wrażeniem, ponieważ wyrwało jej się:

– Siła ich.

– Naczelny Wódz ma mocne wsparcie Wzniosłego i Kolegium.

– Ale to są ludzie z czterdziestodniowych kontyngentów. Racja? Jeżeli utrzymamy się przez miesiąc, pójdą sobie.

Robiła dobrą minę do złej gry. Kośćcem krucjaty Wzniosłego byli wybrani i wyszkoleni przez Naczelnego Wodza zawodowi weterani. Ewenement w epoce, gdy nawet dowódcy armii nie byli zawodowcami. Przynajmniej w świecie chaldarańskim i nie licząc zakonów rycerskich.

– Niektórzy – odparł brat Świeca. – Przypuszczam, że część czterdziestodniowych kontyngentów została już zluzowana przez następne. Ale większość tych żołnierzy zostanie tu, póki nie zaczną głodować albo nie dopadnie ich zaraza. – Brat Świeca nie był żadnym fanatycznym patriotą, niemniej samo pojęcie zwycięskiego szturm na Castresone nie pasowało do connekiańskiego obrazu świata. Roger Shale uczynił Białe Miasto niezdobytym.

Widać było od początku, że Patriarchalni rzeczowo biorą się do oblężenia. Póki nie ufortyfikowali swojego obozu, poprzestali na wysyłaniu patroli. Nie przybył od nich żaden herold, który domagałby się poddania miasta, zaproponował warunki albo nawiązał jakiegokolwiek rozmowy. Potem najeźdźcy przystąpili do rozbiórki nie bronionego przedmieścia Inconje, drewno wykorzystując na budowę machin oblężniczych i baraków, z kamienia zaś wznosząc wieże na krańcach mostu, a resztę odkładając jako amunicję.

Profesjonalizm Patriarchalnych zerował na wyobrażeniach Castreresończyków. Zajmowali się swoją pracą, jakby to była... no właśnie, tylko praca. Miasto ignorowali całkowicie do czasu, aż pierwsze maszyny miotające zaczęły bombardować pociskami zewnętrzne mury – skupiając się na tych miejscach, o których Castreresończycy wiedzieli, że są najsłabsze. Oraz na spóźnionych cieślach, którzy próbowali instalować osłonięte drewniane galeryjki.

– Powinniśmy pojechać do Khaurene. Albo do Altai. – Socia przyglądała się, jak maszyna oblężnicza miota wielkim kamieniem, a potem jak ten leci, zdawałoby się, prosto na nich. Obsada jednak nie osiągnęła jeszcze mistrzostwa w swoim fachu. Nie udało im się zaliczyć ani jednego porządnego trafienia. Ten kamień upadł za daleko. Uderzając w ziemię, rozprysnął się jak gliniana kula.

Głazy na tutejszych polach były miękkie i łatwo się kruszyły.

– Może masz rację – zgodził się brat Świeca. Niepokoiła go absolutna pewność siebie oblegających. To nie był żaden grolsacherski motłoch ani niezdyscyplinowany melanz awanturników i fanatyków, jak Arnhandowie, którzy przyszli i poszli. Ci ludzie mieli pracę, wiedzieli, jak ją wykonywać, i pracowali ciężko. Poza tym z całym rozmysłem demonstrowali teraz swe kompetencje i skuteczność.

– To nie potrwa długo – zdecydowała Socia. – W okolicy nie ma dość żywności i paszy. Musimy po prostu wytrwać.

Kłopoty z żywnością i paszą równie dobrze mogły dotknąć Castreresone. Do miasta wpuszczono wszystkich uciekinierów z odległego wschodu, gdzie zwolenników maysalskiej herezji było naprawdę sporo. Bezużyteczne gęby skonsumują zapasy przeznaczone dla obrońców.

Cóż za brak miłosierdzia, mieć takie myśli.

Trzeba było odrzucić świat i zamknąć się w klasztorze. Nie był już Doskonałym. Ani trochę. Świat doczesny zbyt głęboko wżarł się w jego duszę.

Mieszkańcy Białego Miasta szydzili z Patriarchalnych. Wiara w potęgę murów obronnych nie poniosła jeszcze najdrobniejszego uszczerbku. Poza tym wróg nie otoczył miasta szczelnym pierścieniem. Mimo całej swej liczebności aż taki silny nie był. Od północnego i południowego zachodu, gdzie wyrosły nowe przedmieścia, ludzie wchodzili i wychodzili z miasta wedle woli. Wróg nie ingerował w ten ruch. Oba przedmieścia – Burg na północnym zachodzie i Nowe Miasto na południu – miały własne mury obronne, będące rozszerzeniem starych. Tyle że nieco niższe i cieńsze.

– Być może to wcale nie jest do końca poważnie – rozmyślał pewnego popołudnia Doskonały Mistrz. – Może to tylko demonstracja siły, której celem jest zastraszenie miasta i zmuszenie do poddania. Powiadają, że Naczelny Wódz jak nikt oszczędza swoich ludzi.

– Powiadają też, że jest bardzo bystry.

Wieści o zgładzeniu boskiej larwy na ormiendeńskim brzegu rzeki Dechear dotarły do Castreresone na krótko przed patriarchalnymi widetami. Ludzie nie chcieli wierzyć, że Naczelny Wódz mógł tak łatwo pokonać znaczną Delegaturę Nocy. Ale z drugiej strony przecież bez trudu zdobył Sonkę. Wziął z zaskoczenia Viscement oraz Niepokalanego II, a straż Niepokalanego stawiała tylko symboliczny opór. Jego dowódcy dotarli już pod Antieux i Sheavenalle, w tym drugim wypadku odnosząc niespodziewany sukces.

Tydzień po przybyciu armii patriarchalnej nastroje zaczęły się zmieniać. Wróg przystąpił do systematycznego zdobywania pobliskich miasteczek i fortec. Tempo, w jakim się poddawały, było przerażające.

Nastroje podupadły jeszcze bardziej, gdy rozeszły się wieści, że najeźdźcom towarzyszą mroczni bracia z Kolegium.

Tylko czary mogły wyjaśnić sukcesywne upadki tylu silnych punktów oporu.

Czary i zdrada.

Patriarchalne Towarzystwo na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji wszędzie miało swoich ludzi. Ci pędzili teraz swoje ciemne młyny zdrady.

Bernardin Amberchelle był człowiekiem nieokrzesanym, okrutnym, ale chytryści mu nie brakowało. Jego agenci przeniknęli do Towarzystwa.



Ósmego dnia oblężenia jeden z nich ujawnił plan opanowania i otworzenia sekretnych furt. Reputacja Amberchelle'a sięgnęła szczytu po tym, jak zdrajcy zostali zrzućeni z najwyższej wieży barbakanu. Siedemnastu księży i świeckich. Wśród nich był pod każdym innym względem niewinny brotheński episkopalny ksiądz, który miał odwagę błagać o miłosierdzie dla spiskowców.

Miasto pozbawione było władzy centralnej. Nikt nie zastąpił Rogera Shale'a. Magnaci nie mogli dojść do porozumienia. Isabeth znajdowała się w drodze z Navai razem ze stoma rycerzami Piotra i czeladzią. Mieli zejść z pokładów statków w Sheavenalle, a potem pomaszerować w górę Wawrzynu. Ale większość Sheavenalle znajdowała się obecnie w rękach Patriarchalnych. Próba wylądowania wiązała się ze sporym ryzykiem, więc statki zawróciły na morze. Niewykluczone, że popłyną do Terliagi, dwie trzecie drogi z powrotem ku Platadurze, skąd przyżegłowały.

Zmiana pogody przyniosła deszcz i wiatr. Do tego czasu pracownicy jak pszczołki Patriarchalni sklecili własne miasto, zatrudniając do tego miejscową siłę roboczą. Podobnie postąpił Naczelny Wódz podczas krucjaty calzirskiej.

Choć armia patriarchalna przybyła, nie wlokąc za sobą żadnego ogona dekowników, obecnie już ich miała.

Ludzie robili co trzeba, aby przeżyć. A sporej części ludności wiejskiej nie interesowało, kto okupuje zamki i miasta. Z perspektywy chatynki węglarza warstwy rządzące niczym nie różniły się od siebie.

Piętnastego dnia Bernardin Amberchelle wezwał do siebie Socię Rault i brata Świecę. Wydawał się zatopiony w myślach. Rzecz niezwykła u tego niskiego, barczystego mężczyzny, który wszystkie zagadki rozwiązywał ciosem pięści.

Nieco z boku trzymała się garstka egzotycznych sojuszników Amberchelle'a, a także kilkunastu wiodących Castreresończyków, w tym Berto Bertrand, długoletni towarzysz i zastępca Rogera Shale'a, obecnie kasztelan na czas do przybycia Isabeth. Brat Świeca podejrzliwie przyjrzał się zebranym. Mieszkańcy miasta wyraźnie nie potrafili wyłonić spośród siebie przywódcy. W przeciwnym razie, dlaczego gięłiby karki przed na poły szalonym obcym – Amberchelle'em? Tylko dlatego, że miał dość nerwów, by dopuszczać się masowych morderstw?

A co z tymi przyczajonymi, smagłymi mężczyznami mówiącymi dziwnym akcentem, w których obecnie dość powszechnie dopatrywano się Artecipean?

– Dziękuję za przybycie – zaczął Amberchelle, udowadniając, że jeśli tylko chce, umie się zachować zgodnie z manierami.

– Do usług – odparł stary. – Choć prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem powód wezwania. Na co mógłbym się przydać?

– Możesz służyć radą.

– Jeśli potrafię. Choć dysponujesz znacznie bardziej praktycznymi umysłami niż mój.

– Zaraz do ciebie wrócimy, Mistrzu. Mamy pytanie do narzeczonej hrabiego.

Socia powoli uczyła się odpowiedniego zachowania. Jak dotąd nie powiedziała żadnej bzdury tylko w tym celu, żeby zaznaczyć swoją obecność. Czekala na pytanie Amberchelle'a.

– Panienko... Czy otrzymałaś jakąś odpowiedź na swoje prośby o pomoc?

Socia się skrzywiła.

– Ani jednej. Choć król Piotr wysłał Isabeth, aby na miejscu potwierdziła jego prawa do miasta.

– Tego się właśnie obawialiśmy. Mistrzu. Wróg nie będzie z nami rozmawiał. Zignorowali wszystkie propozycje negocjacji.

– Wzniosły twierdzi, że nie ma czego negocjować.

– Nasi szpiedzy wchodzą i wychodzą z ich obozu. Tamtych również nie interesują opinie Wzniosłego.

– Naczelnny Wódz z pewnością spodziewa się, że wśród miejscowych robotników będą szpiedzy. Najwyraźniej nie dba o to, czego się mogą dowiedzieć.

– I?

– Wróg jest przekonany, że da radę przetrzymać na miejscu... jeśli miasto się nie podda. A niewykluczone, że będziemy musieli, kiedy całkowicie odetną nasze szlaki komunikacyjne. Już zaczęli nękać wszystkich zmierzających do miasta z żywnością i towarami.

Stary człowiek powtórzył:

– I?

– Spożywamy żywność znacznie szybciej, niż otrzymujemy dostawy.

– Tak bywa podczas oblężenia.

Socia wtrąciła:

– Wypędź ludzi, którzy nic nie wnoszą w wysiłek obronny. Niech wróg się nimi zajmuje.

– W takiej sytuacji lepiej się od razu pakujemy, dziewczyno – zareplikował brat Świeca.

Socia popatrzyła na niego złym wzrokiem. Stary ciągnął:

– Niemniej ona ma rację. Nietutejsi Poszukiwacze mogą wyslizgnąć się z miasta i udać do Khaurene. Albo do Altai.

– Zakładając, że wróg im pozwoli.

– Zakładając. – Naczelnny Wódz może zdecydować, że jego najgroźniejszą bronią jest przeludnienie i głód. Może też chcieć, by przerażeni uchodźcy roznieśli panikę po całym Connec. – Ale co innego chodzi ci po głowie, nieprawdaż? Nie po to mnie potrzebujesz, żeby usłyszeć takie słowa.

– Noc – mruknął Amberchelle, jak chłopiec schwytyany na czymś, czego mu robić nie wolno. – Noc jest... nie jest... Cokolwiek się stało nad Dehear, wygląda na to, że obecnie Noc boi się tych ludzi. Mimo że zdziesięciokrotniła aktywność w porównaniu z zeszłym rokiem.

Brat Świeca zmarszczył brwi. Wszystko, co wiedział o tym wydarzeniu, ograniczało się do przesadnych plotek ulicy. Dlaczego Amberchelle był taki zatroskany? A może to chodziło o jego dziwnych przyjaciół? Przyjaciół, którzy, jak się dowiedział, uciekli z Viscement po nieoczekiwanym pojawieniu się wojsk patriarchalnych?

– Nie utrzymuję stosunków z Nocą. Jestem filozofem, a nie czarownikiem czy księdzem. Jeżeli Noc unika Patriarchalnych, należy racjonalnie zakładać, że boi się, iż podzieli los istoty, którą spotkała zguba na brzegu Dehear.

Amberchelle westchnął.

– Nie sądziłem, abyś mógł nam wiele powiedzieć. Mimo to miałem nadzieję... – Energicznie potrząsnął głową. Nic z tego nie wyszło. – Mają ze sobą prowincjałów.

To akurat nie było żadną rewelacją.

– Podejrzewam, że znacznie się ich przecenia – powiedział brat Świeca.

– Ma rację. Znacznie się nas przecenia.

Głos dobiegał jakby znikąd. Socia pisnęła. Connekianie zagapili się, potem w panice zaczęli pytać jeden drugiego. Niektórzy uznali całą rzecz za czyjś żart. Ale smagli przyjaciele Amberchelle'a przestraszyli się nie na żarty. Kilku wyciągnęło broń, której nie powinni mieć przy sobie. Zaczęli walczyć jakby z niewidzialnym przeciwnikiem. Inni uciekli.

– Mistrzu – odezwała się Socia głosem przestraszonej małej dziewczynki.  
– Coś mnie właśnie dotknęło. Schwyciłam to. – Uniosła jakiś pierścień.

Brat Świeca przybliżył pierścień do światła najbliższej lampy. Dwaj najbliżej stojący obcy zbledli, gdy go zobaczyli. Niższy zadrżał, jakby zaraz miał zemdleć.

– Co to jest? – zapytał stary.

Nikt mu nie odpowiedział. Przywódca grupy obcych wyprowadził swoich ludzi z komnaty. Berto Bertrand, Bemardin Amberchelle i Socia otoczyli brata Świecę.

– To sygnet – oznajmił Doskonały. – Nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Hm. – To wyglądało jak kropelki zaschniętej krwi. – Natomiast z tymi symbolami gdzieś się już spotkałem. – Doszedł do wniosku, że w górach Altai, na północ od Kliaurene. W ciemnych lasach, do których Eis i Aaron oraz ich wyznawcy przybyli późno, a Dawni Bogowie, choć już nie czczeni, nie zostali jeszcze zapomniani.

– Bernardin. Sprawdź, czemu ten sygnet tak zdenerwował twoich przyjaciół. – Sam miał ochotę przepytac Socie, jakim sposobem weszła w jego posiadanie.

Za nic nie chciał uwierzyć w jej tłumaczenia. Gdyby pozwolił się przekonać, że po Castreresone spacerują niewidzialni ludzie, to nawet on mógłby wpaść w panikę.

Amberchelle odwarknął coś, najwyraźniej zdenerwowany zachowaniem swoich sojuszników. Berto Bertrand rzekł:

– Rozpuszczę słowo, że ludzie, którzy mają dokąd pójść, powinni opuścić miasto.

Bernardin Amberchelle nie był niepodzielnym władcą Castreresone. Konsulowie, jego magnaci i miejscy nobiles słuchali go tylko dlatego, że był kuzynem hrabiego Raymone'a. Grzecznie kiwali głowami, a potem robili wszystko po swojemu. Nie dopuszczali do siebie myśli, że obecność dużej armii wroga może stanowić przesłankę dla stworzenia silnej władzy centralnej.

Szesnastego poranka rozeszła się wieść, że wróg ma nowe pomysły. Z Firaldii przybyło kilka tysięcy żołnierzy czterdziestodniowego kontyngentu. Naczelnny Wódz miał zamiar w pełni wykorzystać swą przewagę. Później tego samego dnia kurier z Sheavenalle przyniósł wiadomość, że miasto portowe poddało się.

Brat Świeca znajdował się wówczas na murach obronnych.

– I na to właśnie czekali. Teraz będą mogli uruchomić transport po Wawrzynie – skwitował.

Zastanawiał się też, jaki los czeka Poszukiwaczy z Sheavenalle. Jak też devediańską i dainschauową diasporę miasta. Ludzie Naczelnego Wodza nie byli fanatykami, ale Towarzystwo szło za nimi w ślad.

Siedemnastego ranka najeźdźcy przypuścili szturm na Burg i Nowe Miasto, zaskakując obrońców, mimo iż ci przecież zostali ostrzeżeni. Atakujący przedostali się przez mury Nowego Miasta i bez zwłoki zdobyli bramę. Walki rozgorzały po całych przedmieściach. Przed zmierzchem obrona się załamała. Patriarchalni od razu urządzili w budynkach stanowiska machin oblężniczych i zaczęli bombardować miasto właściwe.

Na terenie północno-zachodnich przedmieść, zwanych Burgiem, obrońcom udało się utrzymać szczyt murów obronnych, choć nie potrafili zapobiec stworzeniu dwu wyłomów, co było dziełem chytrych saperów wroga. Mimo to po jakimś czasie odbili te wyłomy i zapieczętowali pod gradem pocisków z drewnianych wież oblężniczych, które atakujący zmontowali z zaskakującą szybkością. Ustawione na nich ciężkie balisty ciskały płonące włócznie na zabudowę przedmieść.

Brat Świeca zwrócił się do Bertona Bertranda:

– Nie jestem żołnierzem, ale nie wydaje mi się, aby wycieczka stanowiła dobry pomysł. – Niemal każdego dnia obrońcy próbowali rajdów za mury. Żaden nie przyniósł oczekiwanych rezultatów.

– Dziś wieczorem przeprowadzimy kontratak na Nowe Miasto – uciął Bertrand. Tak zdecydowali magnaci i konsulowie. – I atak przeciwko wieżom bombardującym Burg.

Na murach obronnych przedmieść stacjonowała tylko lekka artyleria defensywna. Jak dotąd wszelka broń miotająca Castreresone nie na wiele się przydała. Balistom i trebuszom brakowało amunicji. Decydenci wciąż ufali w siłę murów obronnych Białego Miasta.

A brat Świeca powoli zaczynał się obawiać, że cały wysiłek Rogera Shale'a wkrótce pójdzie na marne.

– Jutro uderzymy na główny obóz – dodał Bertrand. – Tego się z pewnością nie spodziewają. Odepchniemy ich za rzekę i zdobędziemy ich wieże panujące nad mostem.

Plan na tym się nie kończył. Był rozwiniętą i skomplikowaną strategią. Niewyszkoleni rekruci wroga znajdą się w pułapce na tym brzegu rzeki i zostaną wycięci w pień...

Jego twórcy nie tylko zapomnieli o tym, że żaden skomplikowany plan nic może się powieść w całości, ale również o owym głosie znikąd.

Brat Świeca uważał, że szanse zaskoczenia wroga są zerowe. Poszedł spać, nie chcąc patrzeć na rozwijającą się katastrofę. Wolał oszczędzić sobie dalszego bólu.

Socia wpadła do celi brata Świecy. Nie potrafiła opanować podniecenia. Kiedy przecierał oczy, dziewczyna skakała obok jak psiak.

– Kobiecie z twoją pozycją nic przystoi tu przebywać. – Hrabia Raymone zadbał o nią tylko w ten sposób, że powierzył ją pieczy Doskonałego Mistrza. – Ale skoro już tu jesteś... Spróbuj się opanować. Mów do rzeczy.

– Wszystko idzie tak, jak sobie zaplanowali! Odbili Nowe Miasto. Zwalili wieże ostrzeliwujące Burg. – W tym momencie jej entuzjazm cokolwiek osłabł. – Ale nie zdołali ugasić wszystkich pożarów.

Brat Świeca sypiał na trzcinowej macie. Usiadł na niej, otulił się dziurawym kocem. Noce zrobiły się zimne.

– Naprawdę ich zaskoczyliśmy?

– Całkowicie!

Jakoś nie potrafił uwierzyć, że to nie podstęp wroga.

– Wyjdź na minutę. Pozwól mi się ubrać. – Życie Socii w Caron ande Lette było proste, spokojne, ale i dość nieokrzesane. W Castreresone tego rodzaju swoboda była wykluczona. Hrabia Antieux nie mógł sobie pozwolić na to, by jego narzeczona stała się przedmiotem niewybrednych plotek.

– Chodź już! – ekscytowała się Socia, kiedy stary człowiek wychodził z celi. – Chcę to zobaczyć!

Nie pozwolił się poganiać. Przystanął jeszcze na chwilę, aby przerwać swój post: zjadł chleb posmarowany ciemnym, gęstym, omalże gorzkim miodem. Zanim dziewczyna wyciągnęła go wreszcie zza stołu, niebo na

wschodzie już jaśniało blaskiem – na północy zresztą też, ale dlatego że tam wciąż płonął Burg.

– Myślę, że powinniśmy się udać na wschodnie mury.

Na ulicach kłębił się uzbrojony tłum. Arsenaly opróżniono do cna. Ci ludzie mieli za zadanie zdobyć most na Wawrzynie oraz broniące go umocnienia.

Brat Świeca miał wrażenie, że obserwuje paradę poległych.

Ich rodziny też nie spały, płacząc się pod nogami. Czuło się wiszący w powietrzu strach. Kobiety i dzieci wiedziały, że wielu ich mężów i ojców nie wróci.

Czy wrócą bodaj nieliczni? Brat Świeca bał się odpowiedzi na to pytanie.

Błogosławił każdemu, kto go poprosił, tak maysalczykom, jak i wszystkim pozostałym. Większość episkopalnych nie wzdragała się przed uzyskaniem świętej posługi, nieważne od kogo. Choć kapłani lojalni wobec Viscesment mieli czekać przy bramie, błogosławiąc wiernych, kiedy ci będą przechodzili obok.

Brat Świeca wątpił, aby księza Wzniosłego odważyli się wystąpić oficjalnie, choć wiernych episkopalnych brotheńskiego wyznania nie brakowało wśród tych, którzy szli walczyć o swoje miasto. Przecież i oni mieli swoje wątpliwości i obawy, jak to zwykle bywało w godzinie przed bitwą. Ale wierzyli w słuszność swej sprawy.

Brat Świeca podzielał te wątpliwości i obawy, nie mogąc zarazem partycypować w dobrodziejstwie niekwestionowanej wiary.

– Socia. Kochanie. Obawiam się, że kiedy to już dobiegnie końca, będę cię musiał opuścić.

– O czym ty mówisz?

– Zapomniałem, kim jestem. Zatraciłem się. Muszę odsunąć się od świata i na powrót odnaleźć siebie. Gubię swą duszę.

Socia wszczęła z nim spór, cytując zresztą twierdzenia, które wyszły kiedyś z jego własnych ust.

Żołnierze wyszli z miasta, zanim dziewczyna i starzec dotarli na swój punkt obserwacyjny. Niemal zagarnął ich strumień ludzi wylewających się przez bramę. Tylko całkowity brak manier Socii uratował ich przed niechcianą przygodą.

Na murze wszystkie najlepsze miejsca dawno już były zajęte.

Castreresończycy ruszyli ku fortyfikacjom Inconje bezładną zgrają, jeden wpadał na drugiego. Byli zbyt liczni i zdezorganizowani, żeby maszerować w szyku.

– Cóż za marnotrawstwo! – jęknął brat Świeca. – Tym miastem rządzą idioci.

Nic obchodziło go, że kilku spośród tych idiotów znajduje się obok – zamiast być na dole ze swymi ludźmi zmierzającymi ku śmierci.

Minęło trochę czasu i brat Świeca musiał przyznać – w duchu – że być może konsulowie i magnaci mimo wszystko nie są aż takimi idiotami. Okazało się, że pełen lęku entuzjazm i przeważająca siła liczebna też mają swoją wartość.

Czystym impetem ludzkiej masy Castreresończycy obalili palisadę osłaniającą przyczółek Inconje. Wypchnęli Patriarchalnych z ich pozycji obronnych. Poharatali ich mocno. Część tamtych już szukała ucieczki w wodach Wawrzynu. Castreresończycy zdobyli nieukończoną wieżę strażniczą i zachodni kraniec mostu. Ruszyli ku wieży na jego wschodnim krańcu.

Wieża trzymała się przez dwie godziny. Wróg wykorzystał ten czas, aby podprowadzić bliżej artylerię i kuszników. Ci pokryli most stałym ostrzałem. Wśród formacji artyleryjskich można było dostrzec maszyny robiące głośny hałas i plujące dymem siarkowym. Jednak mimo poważnych strat Castreresończycy zdobyli drugą wieżę i zaczęli przygotowania do jej obrony.

Kontratak Patriarchalnych nie nastąpił.

Zamiast tego zbudowali drewniane wieże, które z końcem dnia: pozwoliły im położyć ogień zaporowy na utracone bastiony i wszystkich, którzy chcieliby zdobyć most.

Obserwatorzy na murach ochrypłymi głosami gratulowali sobie zwycięstwa.

Brat Świeca nie przyłączył się do nich. Ani Socia Rault.

Dziewczyna rozumiała. Patriarchalni nie ponieśli druzgoczącej klęski. Na dłuższą metę sukces dzisiejszego dnia niewiele znaczył. Zwłaszcza jeśli straty Castreresończyków miały im później uniemożliwić obronę całej długości murów przed zaskakującym atakiem.

Dopiero po zapadnięciu nocy rozmiar poniesionych strat stał się widoczny. Zawodzenia wewnątrz miasta musiały cieszyć serca w obozie



wroga. Liczba zabitych wynosiła ponad tysiąc, rannych i okaleczonych było wielokrotnie więcej. Niektóre rodziny straciły wszystkich mężczyzn. Większość pozostałych czekał ten sam los, gdy na pole bitwy wkroczy sepsa.

Brat Świeca gotów był się założyć, że wróg nie ucierpiał nawet w jednej dziesiątej tak bardzo, jak odważni głupcy z Białego Miasta.

Zapłakał. I nie wstydził się łez w chwili, gdy konsulowie proklamowali wielki triumf.

Brat Świeca zwrócił się do Bernardina:

– Nie odeszli. I gwarantuję ci, że wkrótce znowu o nich usłyszymy.

Wkrótce nadeszło znacznie szybciej, niż Doskonały Mistrz mógł się spodziewać.

Przed wschodem słońca nastąpił kontratak. Naczelny Wódz kazał ludziom przepłynąć Wawrzyn, wpław i na łodziach, powyżej i poniżej mostu. Triumfatorzy z wczorajszego dnia nie wystawili żadnych pikiet, aby temu zapobiec. Żołnierze, którzy pokonali rzekę w górze nurtu, dołączyli do odciętych wcześniej na zachodnim brzegu. Siły z dołu nurtu zaatakowały bezpośrednio umocnienia Inconje. Pokonali kiepsko uzbrojonych cywilów, wyjątkiem okazały się załogi dwu wież. Świt zastał zbocze pod nowym barbakanem zaścielone świeżymi zwłokami. Wrogowie nie okazywali sobie wzajem litości.

Uciekinierzy z pobliskich miasteczek i zamków zgodnie twierdzili, że Patriarchalni są bezlitośni wszędzie tam, gdzie natrafiają na opór. Więc miasteczka poddawały się tak szybko, jak tylko wojska Naczelnego Wodza nadążały przyjmować kolejne kapitulacje. Niewielu starczyło nerwów na to, żeby podjąć walkę.

Kiedy uwagę miasta odwróciła rzeź na przedpolu, wróg znowu zaatakował Nowe Miasto, wdzierając się przez kiepsko ponaprawiane wyłomy. Przedmieście zostało ponownie zdobyte, nieomal w tempie marszu nacierających. Późnym rankiem Patriarchalni zaczęli podkop pod główne mury i budowę wież artyleryjskich, z których mogliby ostrzeliwać parapety.

Wtedy okazało się, że wiara we własne siły i niezdecydowanie Castreresończyków zdradziły ich znowu. Nie zbudowano wcześniej żadnych osłon, które chroniłyby przed zmasowanym ogniem. Nie zainstalowano drewnianych galerii, co znacznie utrudniało atak na saperów

podkopujących się pod mury. A przez furty atak nie mógł pójść, ponieważ wróg wiedział, gdzie się znajdują. I systematycznie je blokował. Główna brama wiodąca z miasta do Nowego Miasta została zasypana drewnem i chrustem, które następnie podpalono.

Historia pisała się pod niebem wciąż zasnutym szarością i często siąpiącym deszczem. Z pełnym i chętnym udziałem Nocy.

Brat Świeca martwił się już nie na żarty. W obliczu krążących strasznych opowieści nawet najbardziej fanatyczni z brotheńskich episkopalnych bali się teraz Nocy. Ślimaczy ślad Rooka na stoku przedpoła, gdzie tak wielu zginęło. Sama Śmierć pod barbakanem wnosząca zapiski do swych Godzinek. Tysiące ludzi utrzymywało, że ich kuzyni lub wujowie widzieli Trzona. Odpryski Kinta czaiły się w każdej alejce.

Brat Świeca nie miał okazji być świadkiem niczego takiego. Ani też nikt inny, z kim zdarzyło mu się rozmawiać. Wszystko opierało się na zasłyszanych pogłoskach. Ale ich łączne oddziaływanie było poważne.

– Dlaczego Dawni pomagają brotheńskiemu uzurpatorowi? – chciała wiedzieć Socia. – Przecież Kościół chce ich zniszczyć. – Niedawno w małym pokoiku przy kuchni w stołbie hrabiów Castreresone zasiedli do głodowego obiadu złożonego z twardego sera i jeszcze twardszego chleba.

– Mogę tylko spekulować – odparł brat Świeca. – Ale założę się, że ci ludzie tam, za murami, też pytają, dlaczego Dawni pomagają nam, skoro nikt z nas nie chce ich powrotu na świat.

Dziewczyna chciała już coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnowała. Zasznurowała usta.

– Noc nie opowiada się po żadnej stronie. Tylko nam się tak wydaje, ponieważ nie wiemy nic więcej ponad to, co usłyszymy i zobaczymy na własne uszy i oczy. – Niemniej nie należało zapominać o wydarzeniach na wschodnim brzegu Dehear, które faktycznie mogły skłonić Noc do opowiedzenia się po konkretnej stronie w tym akurat konflikcie śmiertelników.

– Mają do pomocy członków Kolegium.

– Mają – zgodził się brat Świeca. – Niewykluczone, że najlepszych z najlepszych. – Wróg nie ukrywał tego. Nie wszystkich członków Kolegium otaczała jakaś szczególna sława. Ale postać Muniera Delariego spowijały przerażające plotki. A z Bronte'a Doneta, który obecnie znajdował się pod Antieux, opinia ludu czyniła być może najgroźniejszego ze wszystkich

provincjałów. Doneto miał rzekomo całe dorosłe życie ukrywać prawdziwą moc.

– Nie mamy im kogo przeciwstawić.

– Nie. Wszelka przewaga jest po ich stronie.

Pokazał się Bernardin Amberchelle. Był przygnębiony.

– Odbili wieżę na przeciwległym krańcu mostu. I zaczęli budować most pontonowy. Dzisiejszej nocy spróbujemy go zniszczyć. Ale nie spodziewam się, by nam szczęście dopisało. Niewielu obywateli ma ochotę na następną wycieczkę.

Ale Amberchelle’owi wyraźnie coś innego chodziło po głowie. Brat Świeca zrobił nieznaczny gest dłonią, zapraszając do dalszych wynurzeń.

– Patriarchalni wciąż mają za mało ludzi, żeby zamknąć pierścien blokady. – Ponieważ dwie piąte ich sił znajdowały się pod Antieux i Sheavenalle, a z reszty połowa nękała okolicę, Patriarchalni nie mogli mieć pod murami miasta więcej niż osiem tysięcy żołnierzy. Mimo to tak wielkiej koncentracji wojsk Connec nie widziało od pokoleń. – Powinniśmy rozważyć możliwość wyniesienia się stąd, zanim nastąpi pogorszenie sytuacji.

– Myślałem, że Castreresone jest niezdojete. – Doskonały zdawał sobie jednak sprawę, że ludzie zaczęli uciekać zeń od dnia, gdy pojawiły się wojska Patriarchy. Te zresztą chętnie puszczały ich wolno. Ponieważ dzięki temu mieli stać się ekonomicznym obciążeniem dla kogoś innego.

– Może i jest. Gdyby miało przywódców zdeterminowanych go bronić. Konsulowie i magnaci nie chcą mieć nic do czynienia z prawdziwym oblężeniem. Nikt nie chce, by jego nieruchomości zmieniły się w zgłiszcza. Niech innych najpierw spotka ten los. I rzecz jasna przekonani są, że otrzymają pomoc z Khaurene czy Navai, zanim sprawy przybiorą naprawdę zły obrót.

Brat Świeca pokiwał głową. Wiedział. Wiedział od samego początku. Ludzie nie mogli uwierzyć, że Tormond IV nawet w obliczu takiej katastrofy pozostanie Wielkim Niezdecydowanym. A król Piotr zapewne nie wyśle więcej ludzi, niż obecnie towarzyszyło Isabeth. Gdyby osłabił się bardziej, książęta al-Halambry z pewnością skorzystałyby z okazji i proklamowali rekonkwistę.

Od Santerinu też nie należało się spodziewać żadnej bezpośredniej pomocy, cokolwiek głosiłoby myślenie życzeniowe. Choć w chwili obecnej

incydenty, jakie król Nagład prowokował na granicy Arnhandu, do pewnego stopnia odwracały uwagę Charlve'a Tępaka i Anne z Menandu.

Mając najeźdźców w odległości ledwie sześćdziesięciu mil, księżę Tormond po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać nad militarnymi możliwościami wyjścia z kryzysu.

Brat Świeca miał nadzieję, że Tormond posłucha rady sir Eardale'a Dunna.

– To ciebie hrabia Raymone uczynił dowódcą. Ja jestem tutaj tylko po to, by mieć was wszystkich na oku.

Amberchelle był wyraźnie rozczarowany. Oczywiście. Miał nadzieję, że ktoś mu powie, co ma robić.

– Wobec tego poczekamy, zobaczymy. Jeżeli tutejsi magnaci wciąż będą udawać, że sytuacja nie jest rozpaczliwa, wtedy podejmiemy działania. Ale bądź gotów, by móc w każdej chwili stąd się wynieść.

Dwa dni później brat Świeca wdrapał się na mur po południowej stronie barbakanu. Na zewnątrz zobaczył płonącą setkę ogni, które przyświecały patriarchalnym artylerzystom. Ich maszyny pracowały dzień i noc. Obsady zmieniały się w regularnych odstępach czasu. Miejscowa ludność donosiła kamienie i opał na ogniska.

Kilka godzin temu zawaliła się część barbakanu. Główny mur zaczynał trzeszczeć, jęczeć, pękać.

Patriarchalni zaczęli budowę pływających doków na wschodnim brzegu Wawrzynu, poniżej mostu pontonowego. Cumowało przy nich już kilkanaście barek i łodzi, rozładowywano je w nocy. Na brzegu wznoszono budowle, które miały się stać magazynami dla przychodzących towarów.

Oblegający żyli znacznie lepiej niż oblegani.

Choć oblężenie mogło skończyć się już wkrótce. Nowe Miasto było już stracone. Wszystko wskazywało na to, że lada chwila najeźdźcy uderzą znów na Burg.

Na wąskich, zacienionych uliczkach królowały nastroje przygnębienia. Nieliczni jeszcze wierzyli, że to miasto, którego przez ostatnie pięć wieków nie zdobył nikt, i tym razem się utrzyma. Wszystkie nadzieje pokładano w królowej Isabeth i księciu Tormondzie.

Isabeth ze swymi rycerzami znajdowała się dwadzieścia mil od miasta. Wielki Niezdecydowany wysłał wici, aby ochotnicy szli na odsiecz drugiemu co do wielkości miastu Connec.

Brat Świeca obawiał się, że wiele z tego nie wyniknie.

Światło nowej, choć skromnej nadziei zaświtało w Viscesment.

Zwolennicy Niepokalanego zebrali się po odejściu Patriarchalnych. Wybrali następcę zamordowanego Antypatriarchy. Nieznany biskup, Rocklin Glas z Sellars w Imperium Graala przyjął gronostaje wraz z mało obiecującym imieniem Waleczny. Obiecywał ostrą kampanię przeciwko najeźdźcom Uzurpatora z Brothe. Nie tradycyjny opór, lecz agresywna kontrkampania. Ogłosił krucjatę. Choć poza Viscesment nikt nie traktował go poważnie, w prowincji zaczęły się srogie prześladowania Towarzystwa. Tamci wreszcie zbierali, co zasiali.

Waleczny obiecał egzekucję jednego członka Towarzystwa za każdym razem, gdy z jego rąk ucierpi jakiś niebrotheński episkopalny. On i Wzniosły wdali się w pracowitą wymianę ekskomunik i oficjalnych Bulli anatemy.

Kolejne szaleństwo, myślał brat Świeca.

Może obie strony dokonają obopólnej samozagłady. I zostawią świat niewiernym, Poszukiwaczom oraz tym, których upiorne stare bóstwa właśnie powstawały z łajna i cienia.

Ale obserwując oblegających, Doskonały Mistrz czuł, jak duch w nim się załamuje. Rozumiał, że widzi coś niespotykanego od upadku Starego Imperium.

Zawodowi żołnierze, dowodzeni przez zawodowych dowódców, wybranych dla swych umiejętności zamiast szlchetnego pochodzenia, wszystko weterani – ludzie, którzy zajmowali się swoimi interesami z beznamiętnością rzeźników i murarzy. Niezależnie od tego, jak bardzo szlachta po obu stronach frontu gardziła nimi, to oni byli szybką i niechybną śmiercią.

Ciekawe, co zrobią w obliczu zmasowanej szarzy ciężkiej kawalerii?

Bemardin Amberchelle znalazł go pogrążonego w czarnych przeczuciach.

– Bracie, mam za sobą właśnie kolejne spotkanie z konsułami i magnatami.

– Niech zgadnę. Nie mogą się zgodzić na żaden rozsądny kierunek działań.

– Powinieneś być zawodowym hazardzistą, bracie.

– Ależ w jakimś sensie jestem, przynajmniej w obecnej sytuacji. Ryzykuję duszę, ścigając ziemskie złudzenia.

Niskie, barczyste ciało Amberchelle'a przeszył dreszcz.

– Powzięłem decyzję. Oni nie zrobią tego, co konieczne. Rankiem Patriarchami powinni zaatakować Burg. Dzisiejszy wieczór to zapewne ostatnia szansa na wydostanie się z miasta.

– Tego się obawiałem. Rzecz jasna, jestem gotów do drogi.

– Dobrze. Księżyc na niebie, światła będzie dość. Do wschodu słońca powinniśmy już być daleko. – Głos Amberchelle'a drżał jak napięta struna. Był przerażony i próbował to ukryć.

– Jest coś, co cię martwi?

– Plotki. Okropne stwory ciemności.

Brat Świeca pokiwał głową, choć te okropne stwory, o których słyszał, były straszne zasadniczo na czysto intelektualnym poziomie. Rook. Trzon. Pozostali zmartwychwstańcy. Byli odrażający, ale nie było powodów się ich obawiać. Przynajmniej póki nie odzyskali pełni sił.

Ledwie zasługiwali na miano duchów bogów, którymi kiedyś byli.

– Świetnie. Zabiorę swoje rzeczy i pogonię dziewczynę – powiedział brat Świeca.

– Już z nią rozmawiałem.

– Znakomicie. Być może uda się przed wschodem słońca opuścić miasto.

Była północ. Socia Rault i brat Świeca w towarzystwie Bernardina Amberchelle i jego towarzyszy opuszczali furtę na północnym krańcu Castreresone. Przez pół godziny czekali na swoją kolej. Poprzedzała ich ludzka rzeka.

W słabym mętym świetle księżyc brat Świeca zorientował się, że głównie są to Poszukiwacze i inne mniejszości. Ci, którzy mieli najwięcej do stracenia, gdyby Castreresone padło.

Nie pokonali jeszcze nawet mili, nim księżyc na dobre zniknął za chmurami. Zerwał się chłodny wiatr, z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Noc ukazała niemiłe oblicze.

Jakąś milę dalej ścieżka skręcała wokół wzgórza. Mrok się pogłębił. Uciekinierzy wlekli się noga za nogą, rękoma macając drogę przed sobą. Ktoś mówił coś o pochodniach. Nikt wcześniej nie pomyślał, żeby się w nie zaopatrzyć. Ktoś inny, najwyraźniej trzeźwo myślący, zauważył, że pochodnie przyciągnęłyby uwagę pikiet wroga. Który gdzieś tu musiał być. I z radością wszystkich ich ograbi i zamorduje. Zaciągi z miast

patriarchalnych wykorzystywano zasadniczo do przeprowadzania czystek w okolicy. Naczelnny Wódz w ogóle nie starał się powściągnąć ich chciwości.

Oczywiście stała za tym racjonalna kalkulacja – jeżeli pozabijają wszystkich, którzy będą stawiać opór, wkrótce w Connekianach wygaśnie żądza walki.

Ta ciemność nie była przyjazna. Skrywała ich, ale równocześnie oślepiała. Ścieżka wiała się wśród łagodnych wzgórz. W końcu doszli do rozstajów. Prawa odnoga wiodła do starego imperialnego traktu, którym łatwo można się poruszać nawet w całkowitych ciemnościach. Bernardin Amberchelle miał nadzieję z pierwszym brzaskiem wstąpić na ten szlak w miejscu oddalonym o kilkanaście mil od Białego Miasta.

Tak się nie stało.

Zalśnił pierwszy brzask. Dotąd nie znaleźli jeszcze starego traktu.

Mieli opóźnienie, a jego powodem nie była wyłącznie ciemność.

W nocy coś się poruszało, szło za nimi. Jakieś śmierzące istoty. Istoty, które śmiały się paskudnie. Istoty, które niespodzianie przebiegały im przez drogę i którym najwyraźniej przyświecała chęć straszenia ludzi i słuchania ich wrzasków.

Grupa brata Świecy nigdy nie dotarła na imperialny trakt. Ktoś rozpuścił wieści, że zajęty jest przez wojska patriarchalne, które idą na zachód, żeby mieć oko na królową Isabeth. Uznali, że na wieść o kolejnym ataku na Burg królowa może coś przedsięwziąć.

W końcu grupa dołączyła do reszty uciekinierów, zawracających, by poszukać innej drogi.

Zaczął padać śnieg.

– Żadnego odpoczywania dla niegodziwych – mruknął Doskonały do Socii. Nie miał ochoty dołączać do orszaku królowej. Poszedł w tamtą stronę tylko dlatego, że droga mijała Mohela ande Larges. I ponieważ Navayanie mogą posłużyć jako znakomita przeszkoda dla ewentualnego pościgu. Poszedł za człowiekiem, który rozpoznał go wśród gromady uchodźców. – Michaelu Carharcie, dlaczego mi to robisz? – Zdumiał go widok devediańskiego filozofa poza murami Khaurene.

Carhart zachichotał.

– Uspokój się. Isabeth po prostu chce porozmawiać o Castreresone. Jest niegroźna.

– Podobnie jak żmija. Niegroźna dla tych mądrych ludzi, którzy nie wieczerzają w towarzystwie węży.

Michaelowi Carhartowi nie spodobały się te słowa.

– Pilnuj swego języka, stary przyjacielu. W tych czasach nobilowie nie mają cierpliwości do takich rzeczy.

– Tak. Pamiętam tamte czasy, kiedy trubadurzy włóczyli się swobodnie jak dzikie kury, paplając swe uwodzicielskie słówka do uszka każdego, kto chciał słuchać.

– Możesz się z tego śmiać. Ale sam dobrze wiesz, że mam rację. Więc uważaj.

Brat Świeca rozumiał. Moźni tego świata nie byli szczęśliwi. Mieli ochotę komuś zrobić krzywdę.

W wielkim holu Mohela ande Larges, małego zamku zawłaszczonego przez Isabeth, zobaczył więcej znajomych twarzy. Królowej towarzyszyło sześciu ponuro przystojnych mężczyzn, z których żaden nie był jej mężem. Zaiste, król Piotr musiał im ufać. Z drugiej strony być może godnymi jego zaufania było tych parę kobiet, kryjących się w cieniach i wyglądających na naprawdę surowe przyzwoitki.

Michael Carhart przyłączył się do dwóch ludzi, których obecność zaskoczyła brata Świecę: Hanak el-Mira i biskup Clayto. Przyjaciele. Albo tak bliscy tego miana, jak to tylko możliwe dla ludzi wywodzących się z odmiennych kultur. Tylko biskupa LeCroes brakowało.

Co się stało z LeCroes'em? Powinien o to zapytać. Nie miał pojęcia, jaki był finał afery truciciela.

Przystojni mężczyźni nic nie powiedzieli. Patrzyli na Doskonałego Mistrza z udawaną obojętnością, graniczącą z pogardą. Szlachta navayańska była brotheńskiego wyznania episkopalnego, ale konieczne kompromisy ze sprawami świata łagodziły wymogi ich wiary. Król Piotr miał więcej sojuszników wśród praman Direcji niż wśród episkopalnych książąt.

Królowa okazała się za to nadzwyczaj uprzejma.

– Proszę usiądź, Mistrzu. Zajmiemy się twoimi towarzyszami. Jak rozumiem, są skonani.

Brat Świeca skłonił głowę.

– Socia Rault i ja spędziliśmy miesiące, wymykając się Arnhandom, Grolsacherom, zmartwychwstałym demonom, a ostatnio również



Naczelnemu Wodzowi Patriarchy Uzurpatora.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło od czasu, kiedy ostatni raz skrzyżowały się nasze ścieżki.

Brat Świeca opowiedział. Ze szczegółami. Siostrzyczka księcia Tormonda okazała się kobietą znacznie bardziej cierpliwą, niż była jako dziecko. Przystojni mężczyźni znudzili się na długo przed końcem jego opowieści. Ona nie.

Isabeth zauważyła:

– Na wschodzie Noc jakby się zaktywizowała. Docierają do nas tysiące plotek stamtąd, ale z dalekiego zachodu właściwie nic.

– Budzą się Delegatury kojarzone zazwyczaj z konfliktem i chaosem. Wszędzie na świecie panuje pokój, wyjątkiem jest okolica wokół Anticux i Castreresone.

Isabeth pokiwała głową. Ponieważ brat Świeca znał ją wyłącznie jako dziecko, miał obecnie poważne kłopoty z wyobrazeniem sobie, jak istota składająca się właściwie tylko z chudych i niezgrabnych kończyn mogła nabrać tak królewskiego majestatu. Przez moment pomyślał o jej synu. Gdzie był? Czy miał się dobrze? Plotkom na temat spraw rodzinnych nie poświęcano ostatnio wiele uwagi.

– Czy Castreresone naprawdę jest w niebezpieczeństwie? – zapytała Isabeth.

– Całkiem poważnym.

– Ale te mury...

– Mury są wspaniałe. Zasadniczą słabość stanowią ludzie skrywający się za nimi. Połowa wciąż wierzy, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Naczelną Wódz robi, co chce, kiedy chce i gdzie chce. A ci ludzie nie robią tego, co muszą, aby skutecznie stawić mu opór. Ich strategia sprowadza się do oczekiwania, aż ty i twój brat ich uratujecie. – Kilka minut poświęcił na charakterystykę wad przywódców społeczności Castreresone. – Berto Bertrand stara się jak może, pada z wyczerpania, ale nikogo jeszcze nie nakłonił do nadstawienia ucha.

– Bóg to okrutny żartowniś. Wystarczyło jeszcze przez pół roku zostawić wśród nas Rogera Shale'a.

Brat Świeca nie odpowiedział. Nie był to odpowiedni moment na konfrontowanie różnych koncepcji teologicznych.

Isabeth oznajmiła:

– Sytuacja wygląda źle. Hrabio Alplicova. – Jeden z przystojnych mężczyzn wystąpił naprzód. – Znasz przynajmniej w ogólnym zarysie stanowisko moje i mojego króla w kwestii naszych connekiańskich terytoriów.

Mężczyzna skłonił się lekko.

– Znam, Wasza Wysokość.

Brat Świeca wyczuł w jego głosie ślad romantycznego oddania. Ale nie należało wyciągać stąd żadnych wniosków. Direccjanie, którzy nieustannie toczyli wojny i z konieczności mieli obyczaje mniej swobodne niż ich connekiańscy kuzyni, nie folgowali sobie dworskimi gramami miłosnymi, które po całym świecie sławili trubadurzy.

Doskonały Mistrz wreszcie się połapał. Hrabia Alplicova. Czy mógł być więcej niż jeden? Diagres Alplicova przez panów wojny z al-Halambry nazywany był Mieczem Niewiernych. Jego klingą król Piotr wykuł swe największe triumfy. Dlaczego znajdował się tutaj, skoro w Direccji pozostały pramańskie zamki do zdobycia?

– Wasza Wysokość – odezwał się śmiało, nie pytany. Doskonali często lekceważyli reguły ceremoniału. – Imienia dżentelmena, które przed chwilą wspomniałaś, nie powinno się wymieniać głośno... jeśli faktycznie jest to dżentelmen, który zasłynął pod tym imieniem. – Opowiedział Isabeth o niewidzialnym intruzie w Castreresone.

Isabeth odparła:

– Doceniam twoją troskę. Ale nie czynię tajemnicy z obecności przy nas naszego kuzyna. Mój mąż uważa, że jego imię stanowi dla nas dodatkowy atut. Jeśli zaś chodzi o twojego niewidzialnego człowieka, sam zaprzeczyłeś swoim podejrzeniom, wspominając o skutecznym ataku na most przez Wawrzyn. Ktoś ci spłatał figła.

– Och, rzeczywiście. Ale to nie byłem ja.

Głos zdawał się dobiegać spomiędzy poczerńiałych od dymu belek pod sufitem.

Towarzyszył mu śmiech. Królowa i jej ludzie zaczęli coś szemrać o czarach.

– Och, tak. To są czary na najwyższym poziomie. Ale nawet w połowie nie tak złowrogie jak te, którymi raczy nas wyspa Artecipea.

Hrabia Alplicova, zauważył brat Świeca, nie poddał się przesądnej reakcji zebranych. On i jego towarzysze bacznie przyglądali się ceniom,

zmierzając równocześnie do drzwi, by je zablokować.

Królowa Isabeth krzyknęła. Wstrząśnięta wbiła wzrok w coś, co leżało na jej kolanach.

Mężczyźni podbiegli do niej. Zadźwięczały klingi opuszczające pochwy.

Kątem oka brat Świeca zobaczył mgnienie postaci w brązowych szatach, opuszczającej komnatę. Tamten zasalutował mu prześmiewczo. Ale kiedy brat Świeca odwrócił głowę, aby się lepiej przyjrzeć, w drzwiach nie było już nikogo.

Wcześniej już widział tego człowieka – na ulicach Castreresone i na murach obronnych, wśród gapiów.

– Właśnie wyszedł. – Opisał im mężczyznę.

Tamci nie byli zainteresowani. Cała ich uwaga skupiła się na Isabeth.

Rzecz leżąca na jej kolanach była ręką. Obsypaną solą kamienną.

– Chodzi o pierścień – oznajmił brat Świeca. – Treścią wiadomości jest pierścień.

– Wyjaśnij – nakazał spokojnie hrabia Alplicova.

Otaczała go reputacja człowieka, którego nic nie potrafi wyprowadzić z równowagi.

– Niewidzialny człowiek z Castreresone wsunął podobny pierścień w dłoń narzeczonej Raymone'a. Byli przy tym ludzie z Artecipei. Zareagowali w taki sposób, jakby otrzymali właśnie wieści o druzgoczącej klęsce.

Isabeth doszła już do siebie.

– To nie jest ludzka ręka.

Ręka była dziwna. Skóra czarna z niebieskim odcieniem. Palce zbyt długie, paznokcie nieco ostrzej ukształtowane. Skóra pod paznokciami żółta. Same paznokcie były spękane i połamane.

Direccjanie jakoś nie byli przekonani. Jeden powiedział:

– Pramanie hodują dziwne rasy ludzkie za Groblą Gebr al Thar.

– To wygląda jak ręka małpy – powiedziała Isabeth.

– A ma to jakieś znaczenie? – odezwał się brat Świeca. – W moich oczach bardziej przypomina dłoń wcielonego demona. A niewidzialny człowiek ucieka. – Opisał mężczyznę, którego widział. Widziałem go już wcześniej, zawsze trzyma się na skraju tłumu.

Szaleńcze poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów.

Kiedy Isabeth wyczerpała już zasób informacji brata Świecy, oznajmiła mu:

– Nie chcemy, abyś rozpowiadał po obozie maysalskie nonsensy. Zabierz swoją podopieczną do Khaurene. Dam ci listy do mego brata. On się tobą zaopiekuje. Nie dawaj mu spokoju. Jego ludzi morduje się w imię Boga, którym większość z nich gardzi.

Uśmiechnął się łagodnie. Wiarą Isabeth nie napełniłoby się nawet naparstka. Wiedział, że królowa wręcz skłania się nieco ku jego poglądom. Nie mogła jednak tego zdradzić w obecności ludzi jej męża. Polityka zdeptała wiarę. Jak zawsze.

Brat Świeca zachował się w każdym calu jak należało w obliczu królowej. Ludzie Piotra przyglądali mu się z kamiennymi twarzami, w oczach lśniła kategoryczna dezaprobata.

Doskonały opuścił komnatę pewny, że coś ważnego mu umknęło. Kłótnia zaczęła się, zanim jeszcze zniknął za drzwiami. Kilku Navayan bardzo się przejęło sprawą niewidzialnego człowieka. Przynajmniej ci z nich, którzy nie uznali jej za sztuczkę oddającego cześć diabłu heretyka.

Heretyk opuścił dwór z listami do swego księcia i garścią srebra, która miała ułatwić jemu i jego podopiecznej pokonanie czterdziestu mil dzielących ich od Khaurene.

Kiedy się pojawił, w jego niewielkim obozie panowało zamieszanie.

– Ludzie królowej aresztowali zagranicznych przyjaciół Bernardina! – obwieściła Socia. – Zawlekli ich do zamku! Bernardina też by zabrali, gdyby jeden z nich nie rozpoznał w nim znajomego z dawnych czasów. Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Możemy zapytać Bernardina. Kiedy już znajdziemy się na drodze do Khaurene. A tam właśnie rozkazano nam się udać.

– Khaurene? – jęknęła dziewczyna. – Zaraz? Nie możemy zostać choćby dnia dłużej?

– Ona chce, abyśmy ruszali od razu. Pamiętasz, jak się sprawy miały podczas naszej poprzedniej podróży? Więc może lepiej dać jej to, czego chce?

Na wschodzie ku niebu podniósł się dym. Czarne plamki wędrowały po zboczach odległego wzgórza.

Naczelnny Wódz podprowadzał bliżej swe odwody.

Socia patrzyła. Twarz jej pobleadła.

– Myślisz.... – Nie potrafiła wyartykułować swego strachu.

– Nie. Antieux nie padnie, póki jego obrońcy nie zaczną się zjadać nawzajem. Póki ostatni człowiek, Raymone Garete, będzie stał na nogach. I jeszcze zabierze ze sobą do grobu kilkunastu Patriarchalnych.

To chyba chciała usłyszeć. Zresztą niekoniecznie musiała być to nieprawda. Chyba że Raymone padnie ofiarą zdrady.

Socia zaczęła coś mówić. Zamiast tego z jej gardła wydarł się okrzyk wściekłości.

– Ktoś mnie właśnie uszczypnął w pośladek!

Kątem oka brat Świeca zobaczył starego mężczyznę w brązach. Tamten wyszczerzył zęby, zasalutował mu, odwrócił się i zniknął.

Dni stały się jeszcze bardziej przerażające niż noce. W każdym miasteczku i zamku panował wróg. Dobrze przynajmniej, że ludzie nie odeszli. Gotowi byli niewielkim kompaniom udzielić schronienia przed najeźdźcami i Nocą. Za dnia jednak oddział brata Świecy musiał ruszać w drogę. Poruszali się wolno. Wojska Patriarchy i psy Towarzystwa były wszędzie, patrolując wszystkie drogi. Oddział rozpadał się na coraz mniejsze grupki, aż w końcu brat Świeca miał ze sobą tylko Socie Rault i Bernardina Amberchelle.

Od pewnego momentu najeźdźcy zaczęli się zachowywać inaczej. Nastąpiło to po tym, jak opuścili Mohela ande Larges i ponieśli srogą porażkę z rąk ludzi królowej Isabeth. Podróż stała się łatwiejsza.

Doskonały uległ w końcu impulsywności dziewczyny. I przed końcem dnia miał tego pożałować.

## 17

# Nowy świt i nowa noc

Każdego dnia przyprowadzano po dwóch wybranych przez sztab obiecujących jeńców. Naczelnny Wódz poświęcał chwilę czasu na ich przesłuchanie i wtedy Madouc oraz jego ochroniarze nie mieli co robić.

- Titus, zaczynam nabierać podejrzeń.
- Sir? Co do czego?
- Tych jeńców. Specjalnie ich dobieracie tak, żeby mi mówili, co chcę usłyszeć?
- Wolałbyś więcej niepomyślnych informacji? Czy żeby bardziej się opierali?
- Dobra, nieważne. Jak długo to jeszcze potrwa?
- Czyli co?
- Castreresone.
- To już od nich zależy. Nieprawdaż? Jeżeli naprawdę obstajesz przy tym, aby ograniczyć ofiary i rozmiar zniszczeń.
- Sztabowcy twierdzili z uporem, że Castreresone można zdobyć w każdej chwili, niech tylko Wódz Naczelnny wyda rozkaz. Ale zginą tysiące, a przy okazji samo miasto może poważnie ucierpieć.
- Nie spieszy mi się. Jeszcze nie.
- Powinieneś zaproponować warunki kapitulacji. Wzniosłego tu nie ma.
- Wciąż ślady szacunku dla swego pana?
- Póki życia starczy.
- Nie afiszuj się z tym tak bardzo. Typki z Towarzystwa są wszędzie. Na miejsce jednego zabitego przez Connekian wyrasta dwóch następnych.
- Jakoś nie potrafię zapamiętać, że reszta świata rządzi się innymi prawami niż nasz zaciszny kącik.

– Lepiej o tym nie zapominaj. Gdzie Bechter? Nie widziałem go od wielu dni. – Kiedy nie był potrzebny, Bechter ciągle plątał się pod nogami.

– Robi inspekcję prac obłączniczych. Ma doświadczenie z Ziemi Świętej.

– Udało ci się zwerbować jakieś solidne źródła informacji? Jakiegokolwiek? Consent pokręcił głową. Wyglądał na z lekka przybitego.

– Wspólnoty devedian i dainschauów nie chcą ze mną rozmawiać. Poza tym oni wszyscy się stąd wynoszą. Uciekają do Terliagi, Platadury, wszędzie tam, gdzie Towarzystwo nie będzie w stanie pójść za nimi.

Hecht nie bardzo potrafił to zrozumieć. Piotr z Navai, było nie było Lew chaldarańskiej rekonkwisty, oficjalnie pozwalał niewiernym osiedlać się w swoich prowincjach. I dbał, aby traktowano ich przyzwoicie.

Consent powiedział:

– Piotr na własne oczy widział, co udało ci się osiągnąć w Calzirze.

– Skoro tak, to znalazł w tym potwierdzenie słuszności realizowanej przez siebie polityki. Podczas krucjaty calzirskiej towarzyszyło mu wielu praman. Teraz prowadzi werbunek na Shippen i w Calzirze. – Słyszał, że dwa tysiące praman z Shippen zostało przetransportowanych na Artecipecę, żeby tam wcielać w życie zamierzenia Piotra.

Hechta przeszył lekki dreszcz podejrzania. Szkielet ze swym oddziałem też przebywał na wyspie.

– Widzę Bechtera. Wciąż jest ci potrzebny?

– Tak.

Otoczony grupą ochroniarzy Hecht przeszedł kilkanaście jardów, aby z innej perspektywy spojrzeć na barbakan chroniący główną bramę Castreresone. Barbakan obecnie zmienił się w kupę gruzu i tylko jako taki wywiązywał się jeszcze ze swej defensywnej roli. Oddziały robocze dobywały stamtąd kamienie na amunicję.

Tylko najbardziej zajadli w rosnących szeregach fanatyków Towarzystwa ośmielali się uskarżać na wysiłki, jakie Naczelnny Wódz podejmował w celu zdobycia miasta. Ale za to byli głośni. Hecht utemperował ich zajadłość, oferując broń i miejsca w pierwszym szeregu szturmujących miasto.

Jak dotąd nikt się nie zgłosił.

– Naczelnny Wodzu, chciałeś się ze mną widzieć?

– Sierzancie. Tak. Zastanawiałem się. Ten człowiek w brązach. Widziałeś go może ostatnio?

– Nie widziałem go od kilku tygodni, sir. To ważne?

– Nie. Po prostu ja go też od dawna nie widziałem.  
– Rozpracowałeś go już?  
– Nie. Ale myślę, że wiem, kto to jest. Albo był.  
– Był, sir?  
– To może być duch.- Albo ktoś, kto dostąpił pomniejszej apoteozy. Ale o tym Hecht nie ośmieliłby się wspomnieć publicznie.

Bechter zmarszczył brwi. Nawet to, co usłyszał, nie pasowało do poglądów Bractwa na temat tego, jak powinien funkcjonować ten świat.

– Jeszcze jedna sprzeczność między prawdą, jaką chcemy widzieć, a tą, którą narzuca nam świat – pocieszał go Hecht.

W obliczu ostatnich wydarzeń sprzeczności te dręczyły wszystkich prócz członków Towarzystwa na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji. W obliczu napięcia, w jakim żyli, wiara zaczynała podupadać.

Fanatycy z Towarzystwa uważali, że Bóg wystawia na próbę ich wiarę, podsuwając sprzeczne fakty.

Piper Hecht zastanawiał się, dlaczego Bóg – Bóg dowolnej wiary – miałby się czymś takim zajmować. Bóg Świata nie powinien być aż tak małostkowy.

Bechter powiedział:

– Prosek wrócił.

– Co wiesz?

– Właśnie przyszedł, gdy usłyszałem, że chcesz się ze mną zobaczyć. Zdążyłem się tylko przywitać. I poinformować go, by nikomu nie włąził w oczy.

– Myślałem, że nie żyje.

Korespondencja z Plemeną miała charakter dość sporadyczny. Ale obraz, jaki wyłaniał się z kilku otrzymanych listów, bynajmniej nie nastrojał optymistycznie. Falkonety zniszczone, artylerzyści poranieni, Prosek uznany za zaginionego. Przełącz stała otworem, ale nikt nie miał ostatecznej pewności co do dalszego losu potwora. Może zaległ gdzieś, by dojść do siebie.

Księżniczka Hespeth otworzyła przełącz, ale jej postępek wywołał burzę polityczną w Imperium Graala.

Hecht miał od tego czasu kłopoty z zasypianiem.

– Chcę go widzieć jak najszybciej.



Gervase Saluda i prowincjał z Aparionu domagali się widzenia z Naczelnym Wodzem, słowami respektującymi wymogi grzeczności w stopniu wyłącznie symbolicznym. Ponieważ całymi tygodniami nie robili nic innego, jak tylko czaili się na uboczu i szpiegowali na rzecz Kolegium, Hecht podejrzewał, że teraz czeka go kłótnia na temat dostępu do osoby Dragona Proseka.

Prowincjałowie go zaskoczyli.

Saluda, który od czasu zajęcia fotela Bruglionich w Kolegium ani razu nie okazywał mu serdeczności, powiedział:

– Docierają do nas sugestie z Brothe, że być może już czas na nieco bardziej agresywne działania wobec Castreresone.

W nieszczególnie subtelny sposób Gervase Saluda sugerował, że Wzniosłemu zaczyna brakować cierpliwości.

– Naprawdę? Sądzę, że gdyby tak było, powiadomiłby mnie bezpośrednio. Nigdy wcześniej nie miał żadnych oporów.

– Oblężenie nie może trwać wiecznie – zauważył Saluda.

– I nie będzie trwało. Skoro o tym mówisz, masz moje plenipotencje, aby iść do nich i przekonać do poddania się. Zaraz.

Obaj prowincjałowie byli wyraźnie zaskoczeni. Jak dotąd nie podjęto żadnych negocjacji, nawet *sub rosa*.

– Warunki?

– Ufam ci, że zachowasz rozsądek.

Po prostu chciał się ich jak najszybciej pozbyć. Bechter czekał już z Dragonem Prosekiem. Tak czy siak, Hecht nie sądził, że Białe Miasto jest już w sytuacji dostatecznie rozpaczliwej, aby zastanawiać się nad kapitulacją.

– Królowa Isabeth czekała w odległości zaledwie dwudziestu mil. A w ślad za nią powoli ruszał jej brat.

Gervase Saluda obrzucił Hechta badawczym spojrzeniem i wyszedł.

Hecht wzruszył ramionami.

– Ciężka podróż? – zapytał Proseka.

– Tak jest. Musiałem się przemykać opłotkami. Najgorzej było po przekroczeniu Dehear. Niespecjalnie nas tam lubią.

– Przynajmniej ci, których cała sprawa w ogóle obchodzi. Siadaj wygodnie. Sierzancie, proszę mu przynieść, co tam będzie chciał. Dobra. Opowiadaj.

Wszedł Titus Consent, minął się w wejściu z Bechterem. W jego obecności Prosek wyraźnie się zmieszał. Ale zachęcony gestem swego dowódcy, wkrótce zaczął opowiadać.

– Dlaczego nie wróciłeś z pozostałymi?

– Nie ufałem im. Ta księżniczka. Zresztą ona chyba była w porządku. Ale ci, co byli z nią... Domyślałem się, że zrobią, co zrobili. Kiedy już pozbędziemy się potwora.

– To znaczy?

– Że wszystkich zamkną. I potem będą wydzierać tajemnice prochu strzelniczego i jak działają falkonety. I jak się je robi.

– Rozumiem. – Hecht uśmiechnął się. – A ty byłeś jedynym, który mógł im coś na ten temat powiedzieć.

– Właśnie, sir. Moi chłopcy nie są ciemni. Znają teorię, tylko... po prostu nie mają wiedzy praktycznej.

Typowe dla żołnierzy. Zupełnie ich nie obchodziło, jak coś działa, byle działało, gdy zaczną latać strzały.

Prosek kontynuował:

– Dobra strona całej sytuacji jest taka, że przynajmniej otrzymają przyzwoitą opiekę medyczną. Większość z nich jej potrzebowała. Oba falkonety popełniły samobójstwo. Zadbalem o to, żeby reszta prochu się nie zmarnowała.

– Potwór. Delegatura. Co się z nią stało?

– Nie zabiliśmy potwora. Ale nie sądzę, by dalej stwarzał problemy. Zapewne nie jest już niczym więcej niż wówczas, gdy był człowiekiem. I został strasznie okaleczony. Ledwie pełzał.

– Dobrze. Dobrze. Zapytam prowincjała Delariego, jak to rozumieć. Potem będziemy musieli opracować taktykę, która pozwoli nam szybciej rozstrzygnąć te pojedyńki.

– W podróży miałem mnóstwo czasu, żeby się zastanawiać. Wpadłem na parę technicznych i taktycznych pomysłów.

Hecht wysłuchał ich cierpliwie. Pomysły Proseka zdumiały go.

– Powalające. I kosztowne. Cholernie kosztowne.

– To nie moje pieniądze. Poza tym cała sprawa jest tego warta, jeśli naprawdę chcecie obalić Tyranię Nocy.

– Poruczniku Consent. Proszę odprawić odrobinę finansowych czarów nad tymi pomysłami. Pozostałe kwestie... Sposób, żeby zwiększyć

szybkostrzelność... Tym powinni się zająć ludwisarze. Ale pułapki... Nad tym trzeba popracować. Materiału do eksperymentów mamy dużo pod bokiem. Connec stało się ostatnio rajem dla Delegatur.

– Nie muszę szczególnie długo liczyć, żeby stwierdzić, iż na całym świecie nie ma dość srebra – ostudził ich Consent. – Przynajmniej, póki Studnie Mocy jeszcze nie wyschły. Energiczna akcja przeciwko Nocy może nawet przynieść skutki odwrotne do spodziewanych.

– Wyjaśnij.

– Studnie Mocy słabną. Zgadza się to z cyklicznym rytmem ich aktywności. Ale tym razem cała sprawa wygląda gorzej niż kiedykolwiek. Coraz więcej ludzi spychanych jest na coraz mniejsze terytoria. Walka o pokarm i schronienie niszczy to, co jest jej przedmiotem. Wszędzie wokół widzimy, jak to wygląda. Ludzie nie wiedzą, gdzie zdobyć coś do zjedzenia... po raz pierwszy od wieków.

– A jaki to ma związek z Nocą?

– Studnie Mocy to chleb i wino Nocy. Znowu mamy tu do czynienia z kurczącymi się zasobami. Kiedy usunie się jednego z konkurentów, więcej zostaje dla pozostałych.

– Chyba rozumiem.

– Nie wyjaśniłem tego dostatecznie jasno.

– Dla mnie wystarczy. Czyli jest tak, że wielkie stwory żerują na małych? Jak ryby na robakach?

– W pewnym sensie. Tak sędzę.

– Może w wyniku wytępienia tych małych wielkie zaczną głodować?

Consent wzruszył ramionami.

Hecht mówił dalej:

– Prosek, nie wchodź nikomu w oczy. Kuruj się, odpoczywaj. I myśl dalej. Może uczynię cię dowódcą grupy roboczej, pracującej nad innowacjami taktycznymi.

Prosek spojrział na Bechtera, szukając u niego wskazówki. Twarz tamtego nawet nie drgnęła.

– Widziałeś Clovena Lutego? – zapytał Delari.

– Słyszałem plotki, wedle których jakiś niewidzialny człowiek szpiegował dowództwo Castreresone. Jeżeli to był on, to nie pofatygował się donieść mi, co mówili.

– Martwię się.

– Hm?

– Nie tym, co on robi. On jest jak pogoda. Trzeba się nauczyć z nią żyć. Nie. Myślę, że w Brothe nie wszystko jest w porządku.

Polityka. Bez wątplenia. Hecht jak zawsze pożałował, że musi mieć do czynienia z tym wymiarem kondycji ludzkiej. Z drugiej strony, gdyby ci ludzie umieli się dogadać, szybko zostałyby bez pracy.

– Dlatego właśnie ostatnio tak rzadko widzimy Saludę, Linczkiego i Doneta?

Z Pinkusem Ghortem spotkał się ostatnio dwukrotnie i spodziewał się wkrótce następnej wizyty. Prowincjał Doneto nie pojawił się ani razu.

– Może i tak – przyznał Delari. – Doneto nie chce zwracać na siebie uwagi. Pozostali dwaj są tu głównie po to, by mieć na nas oko.

– Dzisiaj udzieliłem im zgody na pójście pod bramy. Żeby zaproponować Castreresone szansę wyjścia cało z opresji. Najwyraźniej, jak dotąd bogaci jeszcze za mało ucierpieli.

– I nie są dość przerażeni.

– Spuszczenie ze smyczy miejskich kontyngentów najwyraźniej nie zrobiło na nich odpowiedniego wrażenia.

– Nigdy się nie poddadzą, wiedząc, że Isabeth znajduje się w odległości ledwie dnia drogi. Wiem, że nie chcesz zrobić sobie wroga z króla Piotra. Ale żeby skończyć z tymi tutaj, musisz położyć kres ich wszelkiej nadziei na lepszy obrót spraw. Zanim skutek wewnętrznej polityki Kościoła ziemia usunie ci się spod nóg.

– Poprowadzenie wojsk przeciwko królowej Isabeth byłoby zgodne z duchem misji, jaką zlecił mu Dreanger. Zwłaszcza w obecnej sytuacji – gdy Wzniosłemu udało się nawiązać porozumienie z Imperium Graala.

– Chciałem do minimum ograniczyć śmierć i zniszczenie.

Hecht nie był nieprzygotowany na przedsięwzięcie bardziej agresywnych kroków. Plany na taką okoliczność czekały. Tym właśnie zajmował się wraz ze swoim sztabem, gdy tymczasem artyleria biła w mury miasta, patrole strzegły Burgu i Nowego Miasta, a pikiety nękały wszystkich, którzy próbowali przedostać się do Białego Miasta lub wydostać z niego. Saperzy podkopywali i bombardowali miasto z równoczesnym zamiarem przerażenia jego obrońców i przygotowania szturm.

– Myślę, że w pierwszym rzędzie powinienem zająć się Isabeth.

– To nie będzie łatwe.

– Wiem. Piotr nie wysłałby jej, nie przydzielając do ochrony swych najlepszych ludzi. W chwili obecnej jej siły liczyły gdzieś od ośmiuset do tysiąca ludzi, z których połowa pochodziła z zaciągu księcia Tormonda.

– Ciężka kawaleria.

Tak. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby zdezwuować tę przewagę po stronie wroga. Sama przewaga liczebna na niewiele się zda, gdy nieprzygotowana piechota będzie musiała stawić czoło wojownikom w zbrojach, pędzącym w zwartym szyku bojowych rumaków.

– Wiem. Mamy kilka pomysłów. – Które zapewne spełzną na niczym. Ci Navayanie znali wszystkie sztuczki i fortele praman z al-Halambry.

Pożałował, że nie ma obok Buhle Smolensa i Pinkusa Ghorta. Oni jakoś potrafili wcielić w życie wymyślone przez niego strategie.

Nadszedł czas, by wystawić na ciężką próbę umiejętności Hagana Brokke.

Pozorowane szturmy wywołały w Białym Mieście wielkie zamieszanie i podniecenie. Obrońcy pędzili na zaatakowane fragmenty murów i zażarcie stawiali opór tam, gdzie krzyżowcy nie odstępowali od razu.

Podczas tych szturmów Hecht nie wymagał wielkiego zaangażowania od swych ludzi, tylko szacował wroga. Sprawdzał jego zapał do uganiania się w tę i z powrotem po mieście.

Artyleria nie przestała strzelać ani na moment. Nawet najgłupszy i najbardziej oddany z Castreresończyków musiał przewidywać, czym to się skończy.

Pewnego dnia Naczelny Wódz dojdzie do wniosku, że wyłomy w murach są na tyle szerokie, by umożliwić generalny szturm. Obrońcy nie będą w stanie stawiać oporu we wszystkich miejscach naraz.

Ale trwali przy nadziei. Otuchy dodawały im wieści docierające zza murów.

– Wiem – tłumaczył Consentowi Hecht. – Nie jesteśmy w stanie wszystkich przechwycić. Ale nadejdzie czas, gdy będą budzić raczej rozpacz niż nadzieję.

Pod osłoną nocy obóz opuszczali żołnierze. Na użytek szpiegów rozsiewano pogłoski, że udają się na północny zachód, by zaatakować miasta i fortece na terenach, gdzie wspólnoty maysalczyków i zwolenników Patriarchy z Visesment były szczególnie liczne. I faktycznie uprzykrzali oni życie wszędzie tam, gdzie miejscowi nie poddali się siłom Wzniosłego.

Ale celem ich misji był górny bieg Wawrzynu, na północnej drodze do Khaurene, dwadzieścia kilka mil od stolicy księcia Tormonda. Skąd mogli bezpośrednio natrzeć na Khaureńczyków albo manewrem okrężnym zejść od tyłu pozycje królowej Isabeth w Mohela ande Larges.

Dowodził nimi Hagan Brokke. Przy okazji miał narobić dość zamieszania, żeby ukradkowy manewr uznano za wyjątkowo nieudolnie przeprowadzony. Co zrobi później, zależało od tego, jak na jego obecność zareagują królowa Isabeth i książę Tormond.

– Siły patriarchalne na wschód od pozycji królowej będą przeprowadzały koncentrację z pozoru równie nieporadnie. Chodziło o to, żeby zostały zauważone.

Hecht mówił dalej:

– Ci ludzie z wojny uczynili sobie sposób na życie. Zapewne z miłą chęcią udzielą nam nauczki, abyśmy nie zadzierali z lepszymi od siebie, ale równocześnie będą dość sprytni, żeby dostrzec niebezpieczeństwo. Nie nabiorą się na żaden fortel.

– Więc jaki jest cel tych manewrów?

– Tworzę rozmaite możliwości, które oni natychmiast dostrzegą. Jeżeli nie ruszą się z miejsca, w końcu ich otoczę. Ich jedyną nadzieją pozostanie książę Tormond. Chyba że zdecydują się walczyć.

– A Tormonda nie stać na nic prócz gadania.

– Jak dotąd nic nie zrobił.

– Będą mieli większą swobodę manewru. Jeśli uderzą na Brokke'a, nie dowiemy się o tym na czas, aby mu pomóc.

– Dowiemy się. Mamy szpiegów w ich jukach. – Dysponował listą wszystkich Navayan w służbie królowej Isabeth.

– Gdzie chcesz z nimi walczyć? Tam nie ma żadnej dogodnej pozycji.

– Niestety masz rację. Najlepszą strategią wydaje się wojna na wyniszczenie. I czekanie, aż zrobią coś głupiego, zanim ja się pomylę.

– A to w ogóle jest możliwe?

– Titus! Sarkazm? Nareszcie. Podobasz mi się. – Hecht przestał się uśmiechać i powiedział: – Być może masz rację. Czas zaczyna mnie gonić. Coś się dzieje w Brothe. A ktoś dokłada wszelkich starań, żeby wieści stamtąd do mnie nie docierały.

– Przyszło ci do głowy, żeby mnie zapytać?

Po chwili milczenia:

– Nie. Mojego mistrza szpiegów? Po cóż miałbym się z nim konsultować? Tylko dlatego że na moment świat przesłoniły mi sprawy bezpośrednio przed oczami? Co wiesz?

– Moje kontakty we wspólnocie devediańskiej nie są już tak dobre jak kiedyś. Ale niektórzy wciąż myślą, że odrobina przychylności może im się kiedyś opłacić. Przekazują mi od czasu do czasu coś, o czym sądzą, że powinienem wiedzieć.

– I?

– Większość Brotheńczyków uważa, że Wzniosły umiera. Otaczająca go banda chce sobie zagwarantować decydujący wpływ na osobę następcy. Ich kandydatem jest najprawdopodobniej Fiducjanin Joceran Cuito.

Direcjanin. Człowiek Piotra z Navai. Czasy robią się naprawdę ciekawe.

– Navayanin? Mimo iż po dziś dzień zmagamy się jeszcze ze skutkami wyborów na Patriarchę kogoś spoza Brothe?

Consent wzruszył ramionami.

– Po prostu mówię ci, co słyszałem. Twierdzą, że Piotr tego chce. I ma pieniądze, aby przeprowadzić całą sprawę.

– Rozumiem. A dlaczego mnie się izoluje?

– Ponieważ masz armię. Możesz zawetować wynik elekcji. Gdybyś zechciał. Jak jakiś generał z czasów imperialnych.

Hecht zachichotał. Co pomyśleliby sobie Gordimer albo er-Rashal? Skreślony przez nich agent zdobył pozycję pozwalającą decydować o osobie głównego wroga kaifatu al-Minfet.

– Myślałeś kiedyś, kogo byś chciał widzieć na patriarszym tronie po ewentualnej śmierci Wzniosłego? – zapytał Consent.

Hecht zastanowił się nad wyrazem twarzy i tonem wypowiedzi tamtego. Sondowano go? Doszedł do wniosku, że nie.

– Kogoś innego, kto przysparzałyby mi tych samych zmartwień.

– Takich wszędzie pełno.

– Gdzie jest prowincjał Delari? Mało go jakoś ostatnio widuję.

– Ja również. Ale gdzieś tu jest. Może tęskni za Armandem.

– Może. – Hecht nawet odrobinę nie tęsknił za Osą Stile.

Widząc, że siły oblegających topnieją, magnaci Białego Miasta zdecydowali się na kolejną desperacką nocną wycieczkę. Naczelny Wódz przewidział ich zamiary. Każdą wcześniejszą tego typu operację poprzedzał tłum gapiów na murach miasta.

Kiedy słońce wzeszło, w jego promieniach można było zobaczyć rzesze poległych na zboczach wokół miasta. Niewielu było wśród nich żołnierzy Patriarchy.

Przez całą noc wrzała aktywność zmartwychwstających Delegatur Nocy. Pojawiły się liczne doniesienia o kontaktach akustycznych lub olfaktorycznych, ale tylko kilku ludzi naprawdę coś widziało.

Hecht zwrócił się z pytaniem do swego sztabu:

– Są już na tyle zmęczeni, by ulec, gdy przypuścimy szturm?

– Nasi ludzie też są wyczerpani – odpowiedział Consent. – Ci, którym nie dano szansy uczestniczyć w głównym starciu, wykrwawiają się w pozorowanych szturmach.

Ale udało im się zdobyć kilka przyczółków za murami miasta.

– Poślę prowincjałów i dam im jeszcze jedną szansę poddania się. Co to?

– Kurier. Z wieściami, że królowa Isabeth ruszyła. Całą siłą na wschód – dwustupięćdziesięciu rycerzy, ich dowódcy, giermkowie, piechota i prawie osiem setek najemników z Sevafaksu i Terliagi, których ksiązę Tormond skądś wyczarował. Prawie dwa tysiące ludzi, wszystko weterani.

Hecht jeszcze raz przeleciał wzrokiem wiadomość.

– Idą prosto na nas. Myślę, że chcą sprawdzić, jak zareagujemy. Nie spieszą się. I dobrze.

W przeciwnym razie dotarliby na miejsce zaraz po otrzymanych właśnie wieściach. Natychmiast rozesłał łączników. Do Hagana Brokke. Do zwiadowców czuwających nad Isabeth. Do tych, którzy mieli za zadanie obserwować Mohela ande Larges.

Zaczął się misterny taniec. Z początku powoli. Każdy z tancerzy czekał na fałszywy krok drugiego.

Isabeth zatrzymała się po przejściu dwunastu mil. Zajęła obszary rolne pod murami miasteczka Homodel. Zwiadowcy Hechta donieśli, że teren jest dobry dla kawalerii.

– Niech sobie tam posiedzą. Ostygną im głowy. – Doszedł do wniosku, że pogoda wróży w niedługim czasie dalsze obfite opady śniegu. – Nękaście ich zwiadowców. Róbcie zasadzki na furazerów. Niech obecność Brokke'a wyprowadza ich z równowagi.

Podczas gdy czekał na posunięcia przeciwnika, kolejni żołnierze opuszczali obóz.

Bombardowanie Białego Miasta trwało.



Hagan Brokke uderzył manewrem mylącym na Mohela ande Larges, którego to posunięcia wedle opinii Naczelnego Wodza wróg miał się spodziewać. Kiedy Brokke się przekonał, że nie zdobędzie z marszu kwatery głównej królowej, ruszył w kierunku Khaurene. Jak wszędzie, i tutaj po drodze jego wojska bezwzględnie dławiły wszelki opór. W ciągu dwóch dni zdobył sześć miasteczek i fortec, przyjmując kapitulacje trzech kolejnych.

Patriarchalni wycofani spod Castreresone rozbili obóz trzy mile od obozu królowej Isabeth. Nie wykonując przy tym żadnych działań zaczepnych.

Noce wypełniały wrzaski, paplanina i dławiący smród Nocy, które z każdym dniem stawały się coraz gorsze. Gromadziły się connekiiańskie Delegatury, nie tyle by dręczyć synów człowieka, ile siebie wzajem.

Tak twierdził prowincjał Delari, który ostatnio, w obliczu zbliżającego się rozstrzygającego starcia, coraz częściej odwiedzał Hechta.

Stary wziął pod swoją komendę falkonecistów, których broń uległa zniszczeniu w trakcie starcia z boską larwą. Zapędził ich do testowania pułapek budowanych wedle projektów, z których część wymyślił Drago Prosek, ale większość pochodziła jeszcze z wczesnej epoki staroimperialnej.

Chwytnie drobniejszych Delegatur nie nastęczało większych problemów, choćby z tej przyczyny, że za wszelką cenę starały się unikać większych drapieźców. Delari zamierzał je wykorzystywać jako przynętę na te drugie.

– Co z ciebie za czarownik? – pytał Hecht. – Wydawało mi się, że to jest waszą główną ambicją, twoją i twoich kolegów. To znaczy łapanie większego i bardziej wrednego zwierza niż inni.

– Najwyraźniej ktoś cię źle poinformował. – Delari powiedział to ze śmiertelną powagą. Ale żadnych dalszych wyjaśnień nie podał. Czasami trudno było się rozeznąć w jego poczuciu humoru. – Powinieneś spędzać więcej czasu z dziadkiem.

Navayanie wykazywali anielską cierpliwość. Hecht udał się do obozu swoich sił naprzeciwko ich pozycji i przejął dowodzenie. Skorzystał z okazji, żeby choć na krótko oderwać się od oblężenia Castreresone. Próbował sprowokować Navayan, nękał ich nocami. Ale jego ludzie nie potrafili się przebić przez linię pikiet. Tych kilka falkonetów, jakie mu jeszcze zostały, ostrzeliwało kamieniami najbardziej pstre namioty. Celność

strzałów pozostawiała wiele do życzenia, a podczas ostrzału jedno działo eksplodowało, płosząc zwierzęta krzyżowców. Na Navayanach nie wywarło to chyba większego wrażenia.

Hecht rozpoczął manewr okrążający, równocześnie rozkazując chwytać wszystkich zbiegów z obozu wroga. Jego patrole rozglądały się za kurierami. Pozwalano przejeżdżać tym, którzy zdążali z Białego Miasta. Wieści zmierzające w przeciwną stronę usiłowano przechwytywać. Były zaszyfrowane. Nawet Titusowi Consentowi nie udało się złamać szyfru. Sami kurierzy naturalnie go nie znali.

Hecht powiedział:

– Mogą tu sobie siedzieć. Mi to nie przeszkadza. Przeszkadza mi tylko zimno. Mamy co jeść. Oni nie. Przynajmniej nie dość, żeby nas przeczekać.

Nawet jeśli tamci nie podejmą żadnych działań, będą bombardowani coraz bardziej rozpaczliwymi prośbami o pomoc z Castreresone.

Naczelnny Wódz nie chciał wydawać otwartego boju przeciwnikowi dysponującemu taką przewagą ciężkiej kawalerii.

Po czterech dniach impasu nadeszły wieści, że wojska patriarchalne zdobyły solidny przyczółek wewnątrz murów Castreresone. Przy okazji wzięto do niewoli paru dowódców obrony miasta.

Wyglądało to na początek końca Białego Miasta.

Tego samego dnia przysłała wiadomość, że ludzie Hagana Brokke pokazali się obserwatorom na wieżach Khaurene. Spalili wioski i dwory wokół miasta, przede wszystkim posiadłości należące do księcia Tormonda. Szybki i wściekły kontratak zza murów zmusił ich do odwrotu. Ale wiadomość dotarła do adresata.

Titus Consent zmaterializował się obok Hechta w chwili, gdy Naczelnny Wódz próbował wydusić jakąś radę od prowincjała Delariego. Starzec pogrążony był w depresji, która dopadła go bez żadnej widocznej przyczyny. Hecht próbował go pocieszać:

– Wcale nie musisz tu siedzieć. Odeślę cię do Sheavenalle. Stamtąd przeprawisz się do Brothe. Za tydzień będziesz próżnował w łaźniach Chiaro.

– To nie odmieni przyszłości, która nas czeka. Ani naszej przeszłości. Porucznik Consent ma chyba coś pilnego. Wolałbym, żebyś jemu okazał wyrazy współczucia.

– Titus?

– Navayanie chyba coś kombinują. Wysłali zwiadowców.

Wkrótce potem Navayanie opuścili obóz. Rycerze ruszyli w kierunku obozu Patriarchalnych. Najemna piechota pomaszzerowała na wschód. Ich własna piechota ruszyła śladem jeźdźców. Rycerze, oficerowie, starsi giermkowie i kto tam jeszcze, w liczbie prawie trzystu. Więcej, niż Hecht oczekiwał.

Jeźdźcy zatrzymali się na odległość strzału z łuku i zsiadli z koni. Za każdym człowiekiem w zbroi szło dwu piechurów.

Hecht nie wiedział, co robić. Kuszniaków miał na lekarstwo, ponieważ wszystkich zostawił pod Castreresone.

– Musimy się stąd wynosić. Natychmiast. Podłóż ogień nękający. Z prochu strzelniczego zrób jakąś zasłonę dymną. Wiatr wieje w ich stronę.

Niewiele brakowało, ale Patriarchalnym udało się jakoś oderwać od przeciwnika. Narzucona taktyka najwyraźniej nie wzbudziła entuzjazmu Navayan, więc ich atakowi brakowało energii. Nie mieli też najmniejszej ochoty wchodzić w chmurę dymu z prochu strzelniczego.

Hechta dogonił Prosek.

– Widziałeś, jak wzdragali się przed dymem? Naczelnny Wodzu?

– Oczywiście. To był mój pomysł.

– Trzeba dać więcej siarki. Wtedy zadziała jeszcze lepiej.

– Zajmij się tym. Odtąd masz rangę kapitana broni chemicznej.

Siły patriarchalne przeprowadziły ześrodkowanie dalej na wschód. Przez całe popołudnie trwały potyczki piechoty z najemnikami. Najemnicy czekali na swoich płatników. Hecht nie naciskał.

Navayanie jakoś nie mieli ochoty dać się wciągnąć do walki.

– To będzie długa, wredna wojna, jeśli nie dojdzie do żadnej walnej bitwy – zaopiniował Titus Consent. – To już jest długa i wredna wojna. Od kilku lat ci ludzie osłabiają się, wzajem niszcząc swoje plony.

– Zmienimy ten kraj w pustynię.

– I najwyraźniej Bóg nas za to jeszcze bardziej pokocha.

W trakcie tej wymiany zdań Redfearn Bechter marszczył czoło. Mimo iż sam był cynicznym starcem, treść wygłaszanych aluzji zahaczała o herezję. Spojrzał prosząco na Madouca. Dowódca ochrony osobistej wzruszył ramionami. Błędy doktrynalne nie należały do zakresu jego obowiązków.

Naczelnny Wódz powiedział:

– Sierzancie, brak szacunku dla umysłowych zdolności Patriarchy nie jest herezją. Świętokradztwem również nie jest. Nie można go nawet nazwać niesubordynacją. Robimy, co nam kazał. Po prostu nie mamy pewności, czy Patriarcha naprawdę słyszy to, co Bóg mu szeptem do ucha.

Żadne tego rodzaju wyjaśnienia nie mogły uspokoić starego żołnierza. Złożył swe życie w ofierze Bogu i Kościołowi. Teraz rzekł:

– Nasi ludzie przyczajeni na wzgórzach mają kłopoty ze stworami Nocy.

– Na przykład jakie?

– Chodzi o drobne istoty na razie. Ale zawsze są to jakieś paskudne sprawy. Skwaśniałe wino. Zaśmierdłe piwo. Rozgrzebane gniazda szerszeni. Spłoszone konie.

– Gdzie się podział prowincjał Delari? Powinien tu być na długo przed nami. Wcześniej wyprawilem go w drogę.

Bechter rzekł:

– Zawróciłem go do Castreresone. Założyłem, że nie chcesz ryzykować jego życia.

– Oczywiście. Cholera! Nie, zrobiłeś dobrze. Po prostu nie dogadaliśmy się. Chciałem go zapytać, dlaczego Noc znienacka na nas rusza.

– A tak jest? – zapytał Consent. – Założę się, że tamtym naprzykrza się w tym samym stopniu.

Potyczki skończyły się o zmierzchu. Navayanie wycofali się do właściwego obozu. Z czego należało wnosić, że Noc zaiste naprzykrzała się wszystkim bezstronnie i na równi.

Po północy pojawiło się coś dużego. Coś, co sprawiło, że amulet Hechta wielokrotnie szarpał bólem nadgarstek. Coś, co śmierdziało w sposób naprawdę wzbudzający grozę. Zwierzęta o mało nie oszalały.

Naczelny Wódz wezwał do siebie Dragona Proseka.

– Jest robota dla falkonetów.

Dziesięć minut później odezwała się pierwsza broń. Nie było potrzeby, by zawtórowała jej kolejna.

W jednej chwili nieobecność nadprzyrodzonej mocy stała się wręcz namacalna. Falkonecisci donieśli o jakiejś zamaszystej, pełnej paniki szamotaninie na moment przed tym, nim przemówił falkonet.

Potem na zachodzie podniósł się rwetes. Rozbłysły ognie. Dal tłumiała głosy.

Więcej nic się nie wydarzyło. Hecht zwrócił się do Proseka:

– Trzymaj obsady w gotowości. Mogą strzelać bez rozkazu, ale lepiej niech nie marnują ładunków na igraszki swej wyobraźni.

Prosek skinął głową, wyraz jego twarzy pozostał ponury. Doskonale wiedział, że nerwowi falkonecisci najpierw będą strzelać, a dopiero potem martwić się gniewem Naczelnego Wodza, który ewentualnie spadnie na ocalałych.

Hecht powędrował do schronu, który sklecili dla niego ochroniarze. I na miejscu przekonał się, że nie ma co marzyć o pójściu spać, przynajmniej wkrótce.

W kącie siedział Cloven Luty, jego sylwetkę ledwie można było dostrzec w cieniu.

– Już myślałem, że po tobie – powiedział Hecht.

– Zawsze jestem gdzieś blisko. Tu czy tam. Coraz lepiej idzie ci eksterminacja Delegatur.

– To łatwiejsze niż zabijanie ludzi. Emocjonalnie.

– Powinieneś zawsze mieć wokół siebie krąg nabitych falkonetów. Od teraz.

– Proszę?

– Noc również zdaje sobie sprawę, że łatwiej ci przychodzi walka z nią niż z ludźmi. Noc nie rozumie, że dzina nie da się z powrotem wepchnąć do lampy. Ba, jeszcze nie przeszła do porządku nad tym, że człowiek posiadał tajemnicę ognia.

Hecht pokiwał głową. Był wyczerpany. Świt miał nadejść już niedługo.

– Zawsze się pokazujesz, gdy ma się zdarzyć coś strasznego. Co to będzie tym razem?

– Tym razem nic nie będzie. Po prostu przechodziłem obok. Chciałem cię ostrzec, abyś uważał z Isabeth. Przyparłeś ją do muru. Wie, że musi coś zrobić. Ale ani ona, ani jej kapitanowie nie wiedzą, co to ma być. Ta wojna w niczym nie przypomina tej, którą pamiętają z Direcji. Tam wiedzieli, kim jest wróg. A ludzie nie zmieniali stron powodowani chwilowym kaprysem.

Hecht nie miał pojęcia o żadnych niestałych, zmiennych lojalnościach, wyjąwszy drobne waśnie między hrabstwami, które zresztą skończyły się wraz z inwazją Grolsacherów i Arnhandrów.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

– Dowiesz się. Wszystkie te miasteczka i zamki, które zdobyliście i które przysięgły wierność lenną Wzniosłemu oraz Kościołowi. Zdradzą was w tej

samej chwili, gdy wyczują bodaj cień waszej słabości.

Hecht o tym jakoś nie pomyślał. Ale prawdopodobnie tak się stanie. Ci ludzie nie poszli pod sztandar sprawy Brothe z miłości do Patriarchy.

– To ma sens.

– Mam jeszcze jedną radę. Cokolwiek chcesz tutaj osiągnąć, lepiej się pośpiesz. Nadchodzą wielkie zmiany. I postaraj się wyłapać wszystkich Artecipean, jacy ci wpadną w ręce. Oni stoją za odrodzeniem Nocy. Stanowią trzecią stronę tej wojny. Nie sprzyjają żadnej z connekiańskich frakcji, ale pomagają im, ponieważ w was widzą groźniejszego wroga.

– Dlaczego?

Starzec pochylił głowę, jakby się zastanawiał. W końcu rzekł:

– Chcą was zniszczyć z tych samych powodów co zawsze. Ponieważ pewne Delegatury są przekonane, że możesz stać się dźwignią ich zguby.

– Każde starcie, w jakim zmuszony byłem brać udział, zostało sprowokowane przez Noc.

– Zabawne, nieprawdaż? Że chcąc uprzedzić zagrożenie, Delegatury same ściągają na siebie los, którego najbardziej się boją?

– Czyż nie tak toczą się sprawy świata? Ten książę, tamten markiz, jakiś przypadkowy hrabia decydują się na uderzenie wyprzedzające, ponieważ uważają, że wróg może zaatakować pierwszy?

Luty zachichotał.

– Tak to się dzieje. I przynajmniej w połowie wypadków jest to najlepsze wyjście. Zemścić się na nich, zanim oni zemszczą się na tobie.

– Jestem zmęczony. A ty jak zwykle mówisz zagadkami. Wobec tego idę spać. Możesz z powrotem objąć nade mną pieczę.

– Sarkazm? Ciekawe. – Stary wyszczerzył się szeroko. Mimo matuzalemowego wieku wciąż miał pełny garnitur zębów. – Śpij. Będę nad tobą czuwał niczym anioł stróż.

Wieści przybyły z samego rana. Świeży kontyngent czterdziestodniowego zaciągu z Firaldii, któremu nikt nie powiedział, że nie ma tego robić, zaatakował Białe Miasto przez wyłomy w murach między nim a Nowym Miastem. Obrońcy byli zupełnie nieprzygotowani na walny szturm. Atakujący szaleli już na ulicach Castreresone.

– Musimy to okiełznać, zanim gorączka łupów dopadnie również oficerów – powiedział Hecht.

– Co z tamtymi w obozie? – zapytał Titus Consent.

– Wkrótce się o wszystkim dowiedzą. Będą musieli podjąć decyzję. Porzucić Castreresone na łaskę losu? Czy zaatakować, mimo iż szanse powodzenia są nikłe?

– Gdybyśmy wzięli do niewoli Isabeth, złapalibyśmy za rękę władającą tym mieczem.

– Zapewne. Tak. Ale nie spodziewam się, by miało to nastąpić.

Hecht wycofał się w kierunku Białego Miasta. Najemna piechota utrzymywała z nim kontakt bojowy, ale unikała poważniejszych starć. Rycerze szli jej śladem, wciąż wyglądając sposobności wykorzystania swej przewagi. Późnym rankiem zerwał się wiatr. Wkrótce po południu zaczęło mżyć. Mżawka przeszła w marznący deszcz. Niedługo potem Patriarchalni dotarli do pośpiesznie przygotowanych fortyfikacji, które miały rozbić ewentualną szarżę ciężkiej kawalerii.

Navayanie zaatakowali bez entuzjazmu i tylko dlatego, że zmuszała ich do tego sytuacja. Ich widok dodał ducha obrońcom miasta.

Marznący deszcz zmienił się w śnieg – niezbyt obfity, ale sypiący bezustannie.

Po zapadnięciu zmroku ludzie królowej się wycofali. Naczelnny Wódz przypuścił kilka nocnych kontrataków. Poniósł ciężkie straty. Jednak kiedy nadszedł ranek, Navayanie zaczęli się wycofywać w kierunku Mohela ande Larges. Po dotarciu na miejsce przekonają się, że nie stoi już po ich stronie – wczorajszego ranka Hagan Brokke wziął z zaskoczenia tamtejszy garnizon.

Brokke miał wszakże oddać zamek bez walki. I postąpi tak, jeżeli rozkazy od jego Naczelnego Wodza dotrą doń na czas.

Brokke donosił też, że wziął jeńców, którzy mogą zainteresować dowódcę.

Hechta obudził ogień armatni. Trzy wystrzały dobiegające z trzech różnych stron. Gdy wreszcie udało mu się skontaktować z Dragonem Prosekiem, podniecenie wywołane krótkim bojem dawno już minęło. Obsady Proseka właśnie wydobywały z ziemi mętne niewielkie jaja – pozostałości po śmierci Delegatur.

– Jak szybko wszystko się zmienia... – mruknął Hecht.

Falkonetcy przeciwko Nocy stały się już rutyną.

Prosek powiedział:

– Przepraszam, że obudziliśmy, sir. Nie dało się tego zrobić po cichu. – Otrzepał śnieg z włosów.

– Myślałem, że zostawią nas w spokoju. Po tym wszystkim, co im zrobiliśmy.

– Na głupotę nie ma rady, sir. Wieczorem zastawię nowe pułapki. Zobaczymy, jak się sprawdzą.

– Więc do roboty. Przypilnuj, żeby te jaja dotarły do prowincjała Delariego. – Odwrócił się, żeby wejść z powrotem do namiotu.

– Sir, potrzebujemy więcej amunicji. Zostało nam tylko osiem specjalnych ładunków. Cztery zrobiłem z pocisków, które już wystrzeliliśmy.

– Coś wymyślimy. Tak na marginesie, gratuluję dobrej roboty.

Hecht był w połowie drogi do schronu, kiedy kilka bryzgów ognia chlusnęło z murów Castreresone. Ledwie było je widać przez kurtynę padającego śniegu.

Wrzawa poniosła się po obozie Patriarchalnych. Śpiący żołnierze wychodzili na powietrze, żeby sprawdzić, o co tym razem chodzi. Gdy tylko orientowali się w sytuacji, przyłączali się do krzyczących. Siły patriarchalne opanowały od wewnątrz główną bramę Castreresone.

Żołnierze pobiegli zdobyć Białe Miasto.

Hecht nie próbował powstrzymywać ludzkiej powodzi. Tylko by go zdeptali. Kiedy wstał świt, zwrócił się do Titusa Consenta:

– Bywa, że trzeba pozwolić, aby chaos sam doszedł ze sobą do ładu.

– Nie wszyscy powariowali. Paru żołnierzy wytrzymało na posterunkach. – Consent wskazał ochroniarzy Hechta, którzy co do jednego wyglądali, jakby mieli zatwardzenie. Nawet dożywotni członkowie Bractwa Wojny chcieli wziąć udział w podziale łupów.

– Dobrze. Ktoś musi pilnować, żeby nas nie dopadli z opuszczonymi spodniami. Co to jest?

Jacyś jeźdźcy przejeżdżali po moście na Wawrzynie, czujnie rozglądając się dookoła.

– Łącznicy.

– Odważni chłopcy, skoro zdecydowali się jechać po ciemku.

– Przyprowadzę ich.

Pinkus Ghort wracał spod Antieux. Coś się działo, coś wielkiego. Jakby weń diabeł wstąpił, Bronte Doneto zniecka porzucił obłężenie, które od



miesiący stanowiło cel jego życia.

– Sierzancie Bechter, najszybciej jak się da chcę się wprowadzić do cytadeli hrabiego. Sam musisz wymyślić, czego będziemy potrzebowali do urządzenia stałej kwatery głównej.

– Tak jest. Oddział pułkownika Ghorta jest już na przeciwległym brzegu rzeki.

– Mam nadzieję, że błoto mu nie przeszkadza.

– Z pewnością ma przed oczami tylko zniszczone winnice.

Hecht się roześmiał.

– Zapewne. Widziałeś prowincjała?

– Którego? Słyszałem, że gość od Bruglionich i Apariończyk wyjeżdżają. Zostawiają nas na łasce losu.

– Delariego. Poza nim żaden mnie nie interesuje.

– Jest w mieście. Ma oko na Bruglioniego. Madouc twierdzi, że Bruglioni wygląda jak człowiek noszący w sercu skrytą urazę.

– Paludan Bruglioni i Gervase Saluda nigdy mi nie wybaczyli, że porzuciłem ich, aby pracować dla Patriarchy.

Bechter zmarszczył czoło. Nie uwierzył w ani jedno słowo.

Redfearn Bechter rzadko wypowiadał się w jakiegokolwiek kwestii nie związanej bezpośrednio z jego pracą. Ale miał oczy i umiał myśleć. Hecht zaczynał się obawiać, że z prowadzonych w jego obecności rozmów podchwytuje więcej, niż powinien wiedzieć. Ale z tego też powodu Bractwo Wojny ulokowało go w bezpośrednim otoczeniu Naczelnego Wodza.

Jeżeli Gervase poważnie obraził się na Hechta, również może zacząć dodawać dwa do dwóch.

Zawsze zdarzali się ludzie, którzy wiedzieli o czymś, o czym wiedzieć nie powinni. Ponieważ inni nie potrafili przestać plotkować.

– Czas, abyśmy pojechali na miejsce i obejrżeli sobie klejnot, który dodaliśmy do korony Kościoła. Zaraz po tym, jak spotkam się z pułkownikiem Ghortem.

Bechter nie był zadowolony.

– Jakiś problem, sierzancie?

– Madouc nie pozwoli ci pojechać bez pełnego stanu ochrony osobistej. Kiedy jednak zabierzesz wszystkich, Castreresończycy mogą się domyślić, że jesteś kimś ważnym. I zaatakować.

– Wątpię. Mają już dość. Nie chcą, abyśmy zrobili z Białym Miastem to samo co z mniejszymi miasteczkami.

– Nawet tam, gdzie żołnierze byli bezlitośni, zdarzały się zasadzki i skrytobójstwa. Bracia z Towarzystwa jakoś nie mają ochoty tępić heretyków po wsiach.

– Kurczę, sierżancie. Wyobraź sobie. Ludzie, którzy nie chcą być obrabowani i spaleni żywcem. Jakie to z ich strony niechaldarańskie.

– Proszę uważać, sir. Towarzystwo z każdym dniem staje się coraz silniejsze. Mogą wykorzystać okazję zgładzenia kogoś ważnego tylko po to, aby podsycić otaczający je strach.

– Słuszna uwaga. Powiedz Madoucowi, że zamierzam się przenieść do cytadeli. – Tam powinien być bezpieczny. Wewnętrzna forteca zbudowana została po to, by dać władcy schronienie przed samymi Castreresończykami, nie zaś dla obrony przed obcym najeźdźcą.

– Jak pan sobie życzy, sir. – Niezadowolenie Bechtera kłuło w oczy. – Jeszcze jedna rzecz. Widziałem tego starca w brązach. Proszę uważać.

Kiedy Bechter wyszedł, Dziewiąty Nieznany zapytał:

– Jak on to robi?

Hecht drgnął.

– Jak ty to robisz? Pojawiając się znikąd.

– Nie powinien być w stanie mnie zobaczyć.

– Masz jakiś szczególny powód, żeby mnie na śmierć przerażać?

– Nie. Chyba tylko tyle że chcę potwierdzić, co mówił Bechter. Nie drażnij Towarzystwa. Już ciągną tu jak muchy do łąjna. Na Artecipei rozegrała się bitwa między pramanami, których król Piotr zwerbował w Calzirze, a jakimiś artecipeańskimi góralami. Wzięli w niej udział twoi byli towarzysze. Użyto potężnych czarów. Siły Piotra wyszły z konfrontacji zwycięskie. Ale o co poszło, tego nikt tak naprawdę nie wie.

Luty wydawał się zdecydowanie zadowolony z siebie. Jakby przyłożył rękę do takiego wyniku bitwy. Ale to przecież niemożliwe. Tak czy nie? Pan Milczącego Królestwa musiał być potężny, ale chyba nie w stopniu umożliwiającym mu pokonywanie ogromnych odległości w jednej chwili. Tak czy nie?

Luty uśmiechnął się pod nosem. Hecht podejrzewał, że doskonale zdawał sobie sprawę, o czym on przed momentem pomyślał. Więc już się nie

zdziwił, gdy po chwili uśmieszek tamtego nabrał zdecydowanie szyderczych rysów. W końcu starzec zaskoczył go, pytając:

– Dlaczego zrobiłeś sobie wroga z Gervase Saludy? Dobrze sobie poradziłeś u Bruglionich, kiedy dla nich pracowałeś. Dałeś im mocny impuls na drodze do odzyskania dawnej świetności.

– Chodzi o prowincjała Divina Bruglioniego. Innego powodu nie potrafię wymyślić. Jakieś plotki mogły dotrzeć do nich od rodziny Arniena. No i pierścień. – Myśl o pierścieniu przyszła Hechtowi do głowy zupełnie zniecka. Od dawna już nie pamiętał o pierścieniu Bruglionich.

– Pierścień?

Nawet Dziewiąty Nieznany nie był odporny na moc pierścienia, która zmuszała wszystkich, aby zapominali o jego istnieniu.

– Polo wie, że go mam. Ja już dawno temu zapomniałem. Być może on sobie przypomniał i komuś powiedział.

– Polo. To ten, który był twoim służącym, gdy pracowałeś dla Bruglionich?

Hecht pokiwał głową.

– Czas znikać. Bechter wraca.

Luty odwrócił się. I zniknął. Zostawiając Hechta w przeświadczeniu, że naprawdę oszedł, a nie tylko skrył się przed niepożądanym wzrokiem.

– Wejść – odpowiedział na pytanie Bechtera.

Sierżant zerknął w cienie zalegające w namiocie. Musiał coś słyszeć.

– Ochrona osobista gotuje się do drogi. Pułkownik Ghort będzie tu na czas, by do nas dołączyć. A propos mojego wcześniejszego ostrzeżenia: z oddziałem pułkownika Ghorta jest Morcant Farfog.

Hecht przez moment musiał się zastanawiać.

– Biskup Strangu?

– Teraz już arcybiskup. Przełożony Towarzystwa w Skraju Connec. Przekonany, że jest najpotężniejszym hierarchą po Wzniosłym. Słyszałem nawet, że jednym okiem zerka na Patriarchat.

– Żartujesz sobie.

– Kompetencje rzadko bywają głównym warunkiem sukcesji.

– Ale...

– Nie ma się czym przejmować, Naczelny Wodzu. Nie zdobędzie głosów. Pinkus Ghort nie wyglądał dobrze.

– To ze zmęczenia – wyjaśnił. Ledwie powłóczył nogami, wspinając się z Hechtem na wzgórze. – Ten Raymone Garete to uparty bękart. Na dodatek Doneto szczeżał mi w jedno ucho, a to małpie gównu, Farfog, wyło w drugie. Kutas nie wie nawet, ile miał szczęścia, że uszedł z życiem.

– W tych słowach może być więcej prawdy, niż myślisz.

– Hę?

– Bractwo też za nim nie przepada. Jeśli Wzniosły nie weźmie ich krótko przy pysku, wcześniej czy później posypią się drzazgi.

– Człowieku, zrujnowałeś to miasto. Wieki zajmie odbudowa murów.

– Jak twoje bombardowanie?

– Muszą być w tym jakieś czary. Czy co. Biliśmy w nie bez skutku. A kamienie po prostu odskakiwały.

– Musi być sposób.

– Głodem ich.

– Co z podkopem?

– Pracujemy nad tym. Przynajmniej z kilkunastu kierunków naraz. Antieux jest zbudowane na najtwardszym przeklętym piaskowcu, jaki widziałem w życiu. W końcu się przebijemy. Jeśli naszym szefom starczy cierpliwości.

– Prowincjał Doneto się na coś przydał?

– Nie bardzo. Głośno rozprawiał o obróceniu w gruzy całego miasta. Ale nie zrobił nic konkretnego w tym kierunku. Jeżeli jest naprawdę takim potężnym czarownikiem, to świetnie to ukrywa.

– Nie sposób się nie zastanawiać, co?

– Hm?

– Czy naprawdę jest. Przez cały czas wszyscy mówią, że to jeden z najsilniejszych zawodników w Kolegium. Ale nigdy nic nie robi. – Tamta walka pod hipodromem mogła być wyjątkiem. Choć ona nie odbywała się w miejscu publicznym i nie miało być żadnych świadków, którzy ją przeżyją.

– Może sam rozsiewa te plotki?

Hecht wzruszył ramionami.

– Jesteśmy na miejscu.

Czyli w cytadeli hrabiów Castreresone. Madouc zaprowadził ich do wielkiej, kiepsko oświetlonej komnaty, gdzie czekało na nich kilkunastu

miejscowych. Najbardziej godni zaufania żołnierze Hechta stali pod ścianami.

– Sępy już się gromadzą. – Wszędzie było widać czarne habity braci z Towarzystwa.

– Bechter, wywal stąd te wrony – polecił Hecht. – To nie jest sprawa religijna.

– Uważaj – szepnął Ghort. – Przekonali Wzniosłego, że prawo kanoniczne ma pierwszeństwo przed cywilnym i wojennym.

Hecht zrozumiał. W ślad za miażdżącymi uderzeniami jego armii szli agenci Kościoła, którzy mieli przeniknąć do wszystkich struktur conneckiańskiego życia i podporządkować je kontroli brotheńskich instytucji. Wkrótce Naczelnego Wodza zastąpi ktoś znacznie mniej kompetentny, ale za to ideologicznie bardziej godny zaufania.

Bechter z entuzjazmem zabrał się do wypełniania rozkazu.

– Mam nadzieję, że widzisz to co ja – rzucił Ghort.

– To znaczy?

– Jak bardzo Bractwo nie lubi towarzystwa.

– Jak będziemy lecieć w dół, ta wiedza może nam się przydać.

– Też tak myślę.

Ignorując protesty braci z Towarzystwa, Hecht wszedł w rolę Naczelnego Wodza.

– Zaprowadźmy tu odrobinę ładu. Proszę o uwagę.

Zapadła cisza. Castreresończycy żywotnie byli zainteresowani każdym słowem zwycięskiego generała.

Hecht zapoznał ich z wytycznymi Wzniosłego, które dotąd nie uległy zmianie. Przedstawił listę proskrypcyjną heretyków i wypunktował kroki, jakie należy podjąć, aby wykorzenić, nawrócić tudzież eksmitować niewiernych. Ich własność ulegała konfiskacie na rzecz Kościoła. Miasto miało wyasygnować fundusze na naprawę swoich umocnień i roboty publiczne. Ojcowie miasta poniosą kary finansowe za swą zatwardziałość w grzechu.

Kary te trafią do szkatuły armii Hechta.

Kiedy załatwi sprawy w Castreresone, będzie mógł ruszyć na Khaurene.

Ale w ocenie Hechta to Castreresone, nie zaś siedziba księcia Tormonda, było kluczem do panowania nad Connec. A teraz miał w ręku ten klucz.

Zajął miejsce należne panującemu hrabiemu. Oficerowie po kolei przedstawiali znaczniejszych obywateli miasta, poczynając od konsulów, czyli senatorów, którzy pełnili rolę zarządu miasta, dbającego o jego codzienne sprawy. Castreresone zachowało wiele cech pierwotnego ustroju miasta-państwa. Choć przez wieki wycisnęło na nim swe piętno prawo feudalne oraz systemy więzi lennych.

Każdy z ośmiu obecnych senatorów nadskakiwał mu. Trzech było nieobecnych, ponieważ znajdowali się na liście poszukiwanych przez Towarzystwo. Hecht zapytał o nich. Jeden rzekomo miał zginąć w walce. Drugi miał atak. Trzeci uciekł z miasta.

Hecht na chybił trafił rzucił trzy imiona.

– Wy trzech odpowiecie za nich przed Towarzystwem.

W następnej kolejności przedstawiono mu magnatów. To byli bogacze Castreresone. Wielu należało do miejskiej szlachty, lekceważonej przez szlachtę tradycyjną ze względu na to, że bardziej interesował ją handel niż wojna.

Kolejna runda w starodawnej wojnie między miastem a wsią.

Naczelnny Wódz nie znalazł u pokonanych nawet śladu buntowniczych nastrojów. Ekscesy, na jakie przyzwał w miasteczkach i wsiach, okazały się skuteczne. Kiedy wszyscy zostali mu przedstawieni i kiedy przyjął od nich przysięgi lenne, Hecht przemówił krótko. Wybacz grzechy przeszłości. W zamian oczekuje, że lennicy w pełni wywiążą się ze złożonych przed chwilą przysięg. Każda próba buntu spotka się z surową reakcją.

Naczelnny Wódz jeszcze przez krótki czas wywiązywał się z narzuconej mu roli, ale coraz bardziej go to męczyło. Niemniej Castreresończyków obserwował bacznie.

Nie znalazł wśród nich żadnego potencjalnego infamisa.

Pojawił się Titus Consent i z ponurą miną zaczął się przeciskać przez mur ochrony osobistej Hechta. W końcu dotarł do niego i szepnął:

– Złe wieści od Hagana Brokke.

– Skończę najszybciej jak się tylko da.

Kiedy już zobaczył ludzką twarz miasta, niewiele mu pozostało do roboty. Plany okupacji ułożone zostały na dłużej wcześniej.

– Co zrobił? – zapytał Hecht.

– Mówiąc językiem potocznym, dał sobie skopać tyłek – odrzekł Consent. – Zgodnie z rozkazami, wyslizgnął się z Mohela ande Larges. Udawał, że zamierza znowu ruszyć na Khaurene, a potem poszedł na wschód. I wpadł na najemników Isabeth. Wywiązał się bój spotkaniowy. Z każdą chwilą coraz bardziej zacięty. Ponieważ obie strony uznały, że nadarzyła im się okazja, której w istocie wcale nie było. Brokke miał przewagę do czasu, aż przybyli Navayanie.

Hecht nic nie powiedział. Nie było nic do powiedzenia. Takie rzeczy się zdarzają. Nie ma żadnych gwarancji. Nawet geniusz nie jest nieomylny. No i... takie rzeczy się zdarzają. Na koniec zapytał:

– Mocno oberwał?

– Jeszcze nie wie. Ale raczej mocno. Niemniej nie stracił jeńców.

– Dobrze. Torturując ich, poczuję się lepiej względem wszystkich tych, co zginęli.

– Widzę, że jesteś w świetnym nastroju.

– Nie umiem przegrywać. Jak sam widzisz. I chcę już wracać do domu. Od pół roku nie widziałem Anny oraz dzieci.

– I jesteś jedynym, któremu tak to doskwiera i który tak to okazuje. Dlaczego pułkownik Ghort zaszczycił nas swoim towarzystwem?

– Nie jestem do końca pewien. Chyba ma to coś wspólnego z osobami prowincjała Doneta i Morcanta Farfoga. Nie jest już tak wylewny jak kiedyś.

– A może po prostu szuka wytchnienia u kogoś, kto był z nim, zanim obowiązki zaczęły mu ciążyć?

Naczelny Wódz zamknął oczy. Przeniósł się w baśniową krainę, gdzie on, Ghort, Bo Biogna, Po Prostu Zwyczajnie Joe, muł Żelazny Wieprz oraz jeszcze kilku miłych facetów siedzieli wokół ogniska i wymieniali się niestworzonymi opowieściami. Stare dobre dni, kiedy byli głodni, ale mieli swobodę wyboru.

– Może i tak, Titus. Nasi poszli w rozsypkę? Nieład wkradł się w szeregi? Jak bardzo? Ile trzeba czasu, żeby zebrać wszystko razem do kupy i ruszać na Khaurene?

– Nie chcę wykraczać poza obszar swoich kompetencji. Ale ci ludzie potrzebują wypoczynku. Muszą zapomnieć na chwilę o walce. Muszą znaleźć bodaj chwilę wytchnienia przed Nocą. Która nie da nam spokoju nawet po zdobyciu Castresone. Mimo wysiłków Proseka.

- Co to było?
- Ten hałas? Prawdopodobnie arcybiskup Farfog domaga się audiencji, żeby ci zacząć wydawać rozkazy.
- Oto rozkazy dla niego. Odejdź. Zajmij się rabunkiem i zbawieniem dusz. Ja zajmę się wojną.
- Pewien jesteś, że chcesz go obrazić?
- Nie obchodzi mnie to. A ciebie?
- Proszę?
- Powiadają, że ma teczki. Na każdego. Założę się, że jesteś jednym z jego głównych podejrzanych.
- O tym nie pomyślałem.
- Póki Farfog będzie robił, co zechce, ten świat nie stanie się szczęśliwym miejscem. Może powinniśmy mu pomóc zostać Patriarchą. – Ubawiła go pełna zaskoczenia reakcja Consent. – Patriarcha jest tak odizolowany od świata zewnętrznego, że kiedy chce się dowiedzieć, co dzieje się poza Krois, musi się przedzierać przez tłumy dworaków. Farfog nie jest przywódcą. To karierowicz. Utonie w biurokratycznym bagnie.
- Consent zachichotał.
- Ciekawy pomysł. Wytrącić broń z ręki idiotom, pozwalając im rządzić, a potem czekać, aż zniszczy ich własna niekompetencja.
- Coś w tym stylu. – Hecht nie sądził jednak, że Farfog dokonałby tego rodzaju samozniszczenia. Wszelako był na tyle przekupny i skorumpowany, że Kościół pod jego władzą podupadłby i nie byłby zdolny do kolejnej zmasowanej ofensywy religijnej. – Kiedy powiesz mu, żeby sobie stąd poszedł, postaraj się wyczuć, na ile ważne jest dla niego poparcie armii.
- Consentowi się to nie spodobało. Ale nie zakwestionował rozkazu.
- Prowincjał Delari obudził Hechta. Piper nie mógł się nie zastanawiać, jak tamtemu udało się przedrzeć przez jego ochronę.
- Kłopoty w Brothe, Piper. Muszę wracać.
- O co chodzi? Saluda i Linczski już pojechali.
- Doneto też. Ma nade mną sporą przewagę.
- O co chodzi?
- Wzniosły umarł. Lub umiera. A jego banda próbuje to zachować w tajemnicy.
- Od miesiący o niczym innym nie słyszymy.



– Teraz to się dzieje naprawdę. Wszyscy prowincjałowie przebywający poza Brothe jadą teraz w jedną stronę. Ciągną do miasta jak muchy do krowiego łajna. Wszyscy chcą dotrzeć do pałacu Chiaro, by zdążyć na pierwszą turę głosowania.

– Członkowie Kolegium, którzy nie uczestniczyli w pierwszej turze głosowania, nie mogli brać udziału w następnych. Ta zasada ułatwiała utrzymanie Patriarchatu w rękach firaldiańskich prymasów.

– Piłeś z Pinkusem Ghortem.

– Z dziadkiem. Nieczęsto go widuję. – Ale najwyraźniej ta akurat okazja nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

– Będę za tobą tęsknił. Pozwalając ci odejść w chwili, gdy Noc zmierza do eskalacji, czuję się jak nagi.

– Nie pozostaniesz bez ochrony. On przez cały czas tu będzie. W ukryciu. Próbując zmusić świat, by kręcił się zgodnie z jego dziwacznymi przesadami.

– Nie o siebie się martwię, tylko o pozostałe dwadzieścia tysięcy ludzi...

– Porozmawiaj z nim. Ja nie mam czasu. Już jestem spóźniony.

– Płyn łodzią w dół rzeki, do Sheavenalle. Stamtąd statkiem prosto do Brothe. Będziesz w domu całe tygodnie przed pozostałymi. Możesz wszystko tak ustawić, że sam zostaniesz następnym Patriarchą.

– Nie chcę. Nie zgodziłbym się, nawet gdyby mnie prosili.

– Jeżeli znajdziesz chwilę, spróbuj odwiedzić Annę i dzieci. Myślę, że dla nich to może dużo znaczyć. – Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Zanim wyjedziesz, dam ci list dla nich.

– Bardziej podobało mi się w Inconje – stwierdził Hecht. – To miejsce jest ciemne, mokre i brzydko pachnie. – Przesadzał. Cytadeli nie zbudowano dla wygody mieszkańców. Drażniący zapach zostawiły po sobie pokolenia kucharzy, przyrządzających posiłki z dodatkiem obcych mu przypraw.

Byli sami z Ghortem, nie licząc dwóch ochroniarzy. Ghort raczył się lokalnymi winami.

– Co ci tak naprawdę chodzi po głowie? – zapytał Hecht.

– Nie wiem, czy damy radę wziąć Antieux. Szturm skończy się tym, że zginie mnóstwo ludzi. Głodni jeszcze nie są. Mury nie chcą runąć. Zima coraz bliżej. W obozie powoli zaczynają się szerzyć choroby. Prawdopodobnie przywleczone przez tych wszystkich dekowników, którzy

za nami ciągną. I mamy kłopoty ze stworami Nocy. Kłopoty, które z każdą chwilą stają się chyba coraz gorsze.

– Moi ludzie też narzekają. Mam tu jednego człowieka, Dragona Proseka, który chyba powoli zaczyna panować nad sytuacją.

– Słyszałem falkonety.

– One są na te wielkie. Kazałem odlać następne falkonety, w tym model próbny, z którego można szybciej strzelać. Ale póki co są w Brothe. I na nic się nam tu nie przydadzą. Zresztą najbardziej skuteczne są pułapki. Powinieneś zobaczyć istoty, jakie udało nam się złapać. Cała menażeria straszylek, które rzekomo powinny były wyginąć już w czasach Starego Imperium. Nawet takie, jakich nikt jeszcze na oczy nie widział.

– Ale nie są niebezpieczne?

Hecht wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wyjechał mój doradca od tych spraw.

– Delari? No, tak. Doneto też co nieco na ten temat wiedział. Kiedy myślisz ruszać na zachód?

– Organizacja marszruty zajmie tydzień. Potem już wszystko zależy od pogody. Jeżeli będzie dalej padać śnieg, a na drogach leżeć błocko, może zdecyduję się zostać tu, w cieple. Może po prostu poczekam na to, co się zdarzy w Brothe.

Gdy Wzniosłego zabraknie, czy wraz z nim zniknie szalone dążenie do pozbycia się z chaldarańskiego świata wszystkich heretyków i niewiernych? Jeżeli następca Wzniosłego zlekceważy cele wyznaczone sobie przez obecnego Patriarchę, co stanie się z Naczelnym Wodzem i jego armią?

– Moim chłopcom zima się nie spodoba... – Och! To okropne!

Ghort odrzucił na bok glinianą butelkę.

– Podjąłeś jakieś przygotowania? – Hecht podejrzewał, że Pinkus Ghort pozwolił rzeczom toczyć się swoim trybem, wychodzą z założenia, że dla żołnierza długoterminowe myślenie oznacza czy siak stratę czasu.

– Zapewne niewystarczające – wyznał Ghort. – Sedlakova bardziej się stara niż ja.

– Wobec tego wiesz, co masz robić.

– Zima nadchodzi. Nie mamy dość zapasów. Hrabia Raymone spustoszył okolicę.

– Stacjonujesz nad rzeką, Pinkus. To droga wodna do Sheavenalle. Ja jakoś nie mam kłopotów z zaopatrywaniem swoich ludzi. – To, że Ghort nie bardzo był przygotowany, nie stanowiło większej niespodzianki. Nie był urodzonym kwatermistrzem. Dlatego to właśnie Clej Sedlakova dowodził oblężeniem Antieux. Sedlakova znał swoje słabe strony i dobierał sobie podoficerów o odpowiednich umiejętnościach. – Sedlakova też ma podobne kłopoty? Macie oddzielne służby kwatermistrzowskie?

– Nie mogę inaczej, Pipe. Nawet jeśli pracuję za żołd, jestem z Regimentu Miejskiego, a nie od Patriarchy.

– Racja. Ale fakt pozostaje faktem. Musisz poświęcić trochę czasu na rutynową robotę. Albo znajdź sobie Titusa, który ją zrobi za ciebie.

Skarcony Ghort pokiwał głową. Zrozumiał przekaz między słowami. Przyjaźń nie jest ważniejsza od troski o żołnierzy. Przynajmniej w wypadku Pipera Hechta, który tymczasem znacząco spoglądał na stojące przed przyjacielem wino.

Miał wszelkie powody podejrzewać, że Pinkus spędza zbyt wiele czasu, racząc się najlepszymi gatunkami win z Antieux. Czasu, który znacznie lepiej spędziłby, przygotowując się do zimy.

Ghort w końcu zapytał:

– Co zrobimy, jeśli Wzniosły umrze?

– Być może będziemy musieli szukać pracy. Gdy na jego miejsce przyjdzie Joceran Cuito.

– Fiducjanin? Dlaczego on?

– Nie wiem. Słyszałem, że jest najpoważniejszym kandydatem. Wspiera go król Piotr.

Do środka wszedł Madouc.

– Naczelnny Wodzu, przybył Hagan Brokke. Prosiłeś, żeby cię poinformować.

– Dzięki. Przyślij go, gdy będzie gotów.

– Nie jest w najlepszym stanie. Zapewne spędzi sporo czasu pod opieką braci z zakonu szpitalnego.

– Wobec tego ja do niego pójde. – Zwrócił się jeszcze do Ghorta: – Są jakieś szanse, że wracając, zabierzesz Farfoga ze sobą?

– Nie masz dość sił, żeby mnie do tego zmusić, Pipe. Ten facet jest najgorszym dupkiem, jakiego spotkałem w życiu. Przy nim biskup Serifs

wygląda jak księżniczka z bajki. To naprawdę poważny błąd, że Connekianie nie zabili go, kiedy mieli szansę.

– Jak dotąd udawało mi się go unikać. Dłużej już chyba nie dam rady.

– Cóż, trzymaj się. Jeżeli dopisze nam szczęście, następny Patriarcha pozbędzie się go. Do diabła, gdybyśmy tylko mogli zawlec go przed Kolegium... Zrobiłby z siebie takiego osła, że zesłaliby go na misję do Dreangeru. Czy w równie kiepskie miejsce. Chcesz, żebym coś zabrał, kiedy będę jechał z powrotem?

– Chcę tylko, żebyś pogadał z Prosekiem. Niech ci wytłumaczy, co robić ze stworami Nocy. Jeżeli to na nic się nie zda, każ Sedlakowie sprowadzić ludzi ze Specjalnego Oficjum. Pewien jestem, że paru zna.

– Jeżeli sam nie jest od nich.

Cloven Luty pojawił się, gdy Hecht wpełzał do łóżka. Puchowa pierzyna była właściwie jedyną rzeczą, jaką sobie chwalił od przeprowadzki do cytadeli. Jęknął.

– Miałem nadzieję na dodatkową godzinę snu dziś w nocy.

– Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że przez jakiś czas mnie nie będzie. Musisz trzymać się bliżej swych ochroniarzy.

Hecht podejrzewał, że Luty zdecydowanie przecenia wagę tego, co robi. Z drugiej strony niewykluczone, że stary faktycznie udaremnił liczne próby zamachu na jego życie. Skąd miał wiedzieć o tych, które się nie powiodły?

– Postaram się zapamiętać.

– Wystarczy, że raz im się uda. Ważne, żeby nie było tego razu.

– Cieszę się, że przynajmniej w jednej kwestii się zgadzamy.

– A ja się martwię, że ty za mało poważnie podchodzisz do tego, co ci mówię. Bardzo się martwię. Musisz przeżyć, to naprawdę ważne.

Hecht zgadzał się w zupełności. Ale bynajmniej nie mówili o tym samym. Lutemu nie chodziło o sprawy osobiste. Luty miał plan. A jego rzekomy daleki potomek odgrywał w tym planie niebagatelną rolę.

– Nie będzie mnie – powtórzył starzec w brązach. – A ty naprawdę za każdym razem, gdy do czegoś się weźmiesz, musisz myśleć również o swoim bezpieczeństwie. Za każdym razem.

– Zrozumiałem. Naprawdę.

Luty wykonał swoją sztuczkę z odwróceniem się i zniknięciem. Hecht otulił się ciepłą puchową pierzyną. Zasnął, wciąż się zastanawiając, czy

jego paranoidalna żyłka jest dość silna, żeby usatysfakcjonować Dziewiątego Nieznanego.

Trzy tysiące najbardziej wypoczętych żołnierzy wyruszyło na zachód. Korzystając z tego, że władca Connec zdecydował się odwołać do swych praw suwerena i rozesłać wici, Hecht miał nadzieję, że sprowokuje księcia Tormonda do jakiegoś niemądrego postępu. Nieszczerólnie spieszyło mu się do walki. Ale walka mogła namieszać w politycznym kotle. A chciał, żeby w nim kipiało, sam już nie wiedząc, czy w głębi duszy wciąż pozostaje wierny misji zleconej mu przez jego pierwszego pana, Gordimera Lwa.

Hecht dokonał przeglądu odmaszerowujących wojsk i poszedł się zobaczyć z Haganem Brokke. Dowódca przeproszał, że nie udało mu się zatrzymać Navayan. Zapłacił już cenę swej porażki, w najbardziej fizycznym sensie tego słowa. Nie pożyłby długo, gdyby nie trafił w ręce braciszków z zakonu szpitalnego.

Prosto od łoża boleści, Hecht poszedł do miejsca, gdzie przetrzymywano jeńców, których ten ze sobą przywiózł. Spodziewał się garstki, a zobaczył ponad czterdziestu, z których większość stanowili rycerze i pomniejsza szlachta. Im zaproponowano wygodne kwatery w Inconje. Pozostałych wszakże, chyba bardziej interesujących, zagnano do zagrody dla zwierząt.

– Bo, od wieków cię nie widziałem.

– Za bardzo byłem zajęty, nie miałem czasu na życie towarzyskie, sir. – Biogna nachmurzył się na widok ochroniarzy otaczających Hechta.

Madouca musiał we śnie odwiedzić Cloven Luty. Znacznie zwiększył liczbę strzegących go ludzi.

– Masz z tym coś wspólnego?

– Byłem tam z Haganem. Byłem jego Titusem Consentem. Przez cały czas przekonywałem, że musimy wziąć paru jeńców.

– Po co ten cały tłum?

– Za większość można zażądać okupu. Ale jest też paru ludzi interesujących samych przez się.

– Ci? – Hecht wskazał ludzi w zagrodzie.

– Artecipanie. Co do jednego. Prawdopodobnie nadają się tylko na żer dla Towarzystwa.

– Hm?

– To nie są zwyczajni heretycy, to są niewierni. Próbują sprowadzić na świat Dawnych Bogów. Śmiertelnie niebezpieczni. W odróżnieniu od tych, których kazałem zagnać tam, do tamtych zagród. Cała banda to Khaureńczycy schwytani pod Mohela ande Larges. Jeden z biskupów Niepokalanego, jakiś pramański kapłan i starszy dev. Kilka dni później znaleźliśmy w krzakach Mistrza Doskonałego. Nigdy bym go nie poznał. Nie miał żadnego stroju. Ale tamci z Khaurene go poznali. Jeden z nich coś powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język.

Hecht przyglądał się Artecipeanom. Unikali jego wzroku.

– Już gdzieś wcześniej kilku z nich widziałem. – Jedną twarz w istocie przypominał sobie z tłumu gapiów przed domem Anny tej nocy, gdy przeprowadzili się do miejskiej rezydencji prowincjała Delariego. – Sporządzę listę pytań. Ktokolwiek odpowie szczerze, nie zostanie przekazany w ręce arcybiskupa Farfoga. Pokaż mi, co tam jeszcze masz.

Wzięci do niewoli żołnierze nie zrobili na nim szczególnego wrażenia. Ale taki był już los jeńca wojennego.

– To chyba najlepszy połów – powiedział Biogna. – Bernardin Amberchelle. Paskudny kuzyn hrabiego Raymone’a. W pierwszej piątce na liście najbardziej poszukiwanych przez Towarzystwo. Zabił nieliczną gromadę ich zbirów. A to jest Doskonały Mistrz, tam, z dziewczyną. Podróżował z Amberchelle’em. Mówi, że dziewczyna to jego córka. Że chciał ją odprowadzić w bezpieczne miejsce, do Khaurene. Kłamie. Ona mówi z innym akcentem. Obaj bardzo się starają ją chronić. Więc pewnie musi być kimś ważnym.

– Szkoda, że Ghort już odszedł. Mógłby wykorzystać kuzyna, żeby dobrać się do Raymone’a.

– Wyślij łącznika. Sama informacja może mu się na coś przydać.

– Dobra robota. Zajmij się tymi ludźmi. Postraszyć ich Farfogiem.

Hecht przyjrzał się staremu człowiekowi i dziewczynie. Mogła mieć ze dwadzieścia lat, pod warstwą brudu była pewnie nawet niebrzydka. Jej oczy płonęły.

– Ten facet, Amberchelle. Czy miał przy sobie albo na sobie coś, co moglibyśmy posłać do Antieux? Jako dowód, że go mamy?

– Zobaczę. – Biogna dyplomatycznie przemilczał okoliczność, że żołnierze, którzy go schwytali, z pewnością zabrali wszystkie cenne rzeczy.

– Sprawdź.

Przez dwa kolejne dni Hechtowi udawało się unikać spotkania z Morcantem Farfogiem. W tym czasie Castreresone znalazło się pod jego całkowitą kontrolą. Spotkanie, gdy w końcu do niego doszło, nie okazało się miłe. Nie przesadzali ci, którzy donosili o rozmaitych przywarach arcybiskupa. Hecht ścierpiął, co ścierpieć musiał, minimalnie tylko ustępując wobec żądań tamtego. Arcybiskup wyszedł ze spotkania przekonany, że załatwił kilka ważnych dla siebie spraw. W istocie Hecht ustąpił tylko w drobnych kwestiach.

– Tego człowieka Bóg musi kochać. Jest zbyt głupi, skorumpowany i zdewociał, żeby mógł przeżyć o własnych siłach – zwrócił się do Titusa Consenta.

Od momentu, gdy postawił stopę w Białym Mieście, Farfog zachowywał się nieznośnie. Miejscowi brotheńscy episkopalni donosili mu na sąsiadów, na których chcieli się zemścić lub których chcieli okraść.

To był jeden z najciekawszych dni w życiu Pipera Hechta. Rankiem, kiedy dokonywał przeglądu dwóch tysięcy żołnierzy ruszających na zachód, by wspomóc oblegających Khaurene, został poinformowany, że inna grupa jego wojsk ścierała się z najemnikami w szeregu potyczek i pomniejszych bitew, z których właściwie wszystkie rozstrzygnęła na swoją korzyść. W związku z tym z licznych miasteczek i fortec zaczęły napływać propozycje kapitulacji.

Kolejne dobre wieści nadeszły wczesnym popołudniem. Nieoczekiwanie hrabia Raymone Garete chyba postanowił posłuchać głosu rozsądku. Został powiadomiony o sytuacji swego kuzyna. W związku z tym wyrażał gotowość do rozmów, choć o poddaniu się z jego strony raczej nie mogło być mowy.

Wkrótce potem przybyła wiadomość, że Wzniosły odszedł na spotkanie ze swym Stwórcą. W Brothe zaczął się mający trwać miesiąc okres ceremonii i rytuałów, które zwieńczy konklawe wybierające jego następcę. Hecht zarządził demonstrację żałoby – ale równocześnie rozkazał swoim oficerom, by za żadną cenę nie dopuścili do tego, aby wróg skorzystał na tej sytuacji.

– Chcę, żeby wszędzie widziano naszych ludzi. Liczne oddziały. Wobec najmniejszych oznak prowokacji mają uderzać mocno. Nie pozwolę, by teraz w Castreresone zapanował chaos.

A jednak o mały włos tak się stało.

Arcybiskup Farfog zareagował na wieści z Brothe w ten sposób, że całkowicie pofolgował własnym obsesjom.

Pierwsze doniesienia były dość niejasne. Właściwie nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Sporadyczne wybuchy przemocy, ale nie skierowanej przeciwko żołnierzom. Z początku dopatrywano się w tym walk frakcyjnych między dwoma odłami episkopalnego chaldaraństwa. Hecht wysyłał kolejne nieliczne oddziały, których celem było przywrócenie porządku. Ale każdy stłumiony konflikt działał jak iskra na dwa następne, wybuchające gdzie indziej.

Consent przybył z raportem.

– To Farfog. Wyszedł na ulicę, żeby narobić jak najwięcej szkód, zanim nowy Patriarcha zamknie mu usta.

– Przewiduje zmianę kierunku polityki Kościoła? Wie o czymś, o czym my nie wiemy?

– Chyba w rojeniach umysłu idioty. A tak naprawdę? Kto wie?

– Minie miesiąc, zanim będziemy mieli nowego Patriarchę.

– Wobec tego my też mamy dla siebie miesiąc. No nie?

Hecht uśmiechnął się szeroko. Właśnie! Miał miesiąc na to, aby nakreślić swoją wersję przyszłego życia.

Przybył Madouc.

– Naczelnny Wodzu, zapewne zechcesz udać się na mury – zasugerował. – I na własne oczy się przekonać, czy nie powinieneś przerwać tego, co robi Towarzystwo.

Widok z murów przedstawiał krajobraz grozy wcielonej.

– Ilu ich jest? – zapytał gwałtownie Hecht.

– Ponad trzystu, sir – odpowiedział któryś z młodszych oficerów.

Hecht patrzył w milczeniu. Niektórzy mieli na sobie żółte kaftany, do których noszenia Towarzystwo zmuszało skazanych heretyków. Ale nie było ich aż tak wielu. Rozpoznał ludzi, z którymi spotykał się po przejęciu władzy w mieście. Ludzi, którzy wykazali naprawdę sporą wolę współpracy i którym przypadkiem zostały jeszcze jakieś pieniądze po tym, jak Castreresone zapłaciło kontrybucję.

– Madouc. Weź kompanię Starvena i rozpuść tę szopę.

– Sir? Arcybiskup...

– Ja się zajmę arcybiskupem. Przyprowadź go.



Madoucowi nie udało się uratować wszystkich. Pierwsza dwudziestka została ofiarowana płomieniom, zanim żołnierze dotarli na miejsce. Bardziej fanatyczni członkowie Towarzystwa stawili opór. Żołnierze zachowali się z bezprecedensową powściągliwością. Hecht przyglądał się, jak Madouc i kilku jego ochroniarzy – Wódz Naczelny podejrzewał, że wszyscy byli z Bractwa Wojny – aresztują arcybiskupa Farfoga.

Żołnierze nie puścili więźniów swobodnie. Być może niektórzy faktycznie zasłużyli na egzekucję. Ale nie z ręki bandytów Farfoga.

Hecht wrócił do cytadeli i tam czekał na konfrontację z cerberem Kościoła.

Czas mijał.

Potem minęło jeszcze trochę.

– Hej, tam! Robi się późno. Gdzie, do diabła, jest ten idiota Farfog? Dlaczego go jeszcze tu nie ma? Pewnie już się zdążył zestarzeć. Titus! Gdzie jesteś, Titusie Consent?

Consent nie zmaterializował się na wezwanie. Ani Redfearn Bechter, ani Drago Prosek, ani żaden z tych, których obecność przy sobie traktował jako rzecz naturalną. Lekko zdenerwowany przysunął bliżej broń.

Pojawił się Madouc z ochroną osobistą Naczelnego Wodza. W końcu. Dwadzieścia minut po spodziewanym czasie. Krwawił. Odniósł chyba kilkanaście ran. Niejedna mogła okazać się śmiertelna. Widać było, że trzyma się na nogach wyłącznie siłą woli i z szalonego poczucia obowiązku, cechującego wojowników Bractwa.

– Sir. Wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez lokalnych partyzantów. Zabili braci z Towarzystwa. Chodziło im o arcybiskupa. Porznęli go na kawałki. Zabrali ze sobą głowę.

– To niedobrze, Madouc. Towarzystwo... – Ale niewykluczone, że Towarzystwo wkrótce opuści te strony. Razem z armią krzyżowców i jej Naczelnym Wodzem.

Dalszy bieg dziejów zależał od tego, kto zostanie następcą Wzniosłego.

Powstanie w Castreresone trwało jeden wieczór i jedną noc, a skierowane było wyłącznie przeciwko Towarzystwu na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji.

Następnego ranka Naczelny Wódz wyznał szeptem swemu szefowi wywiadu:

– Nie będę żałował żadnego z tych łotrów.

– Ale morderstwo Morcanta Farfoga...

– Pociągnie za sobą mnóstwo kłopotów, wiem. Ile, to już zależy od naszego następnego Patriarchy.

Hagan Brokke zrehabilitował się szeregiem zązartych potyczek, które praktycznie rzecz biorąc ogołociły królową Isabeth i księcia Tormonda z ich sił najemnych. Jego lekka kawaleria bezustannie nękała Direccjan Isabeth, rozmyślnie biorąc za każdym razem na cel pojedynczego rycerza czy szlachcica. Ze względu na ich pozycję każda śmierć lub pojmanie mogły wywołać w Direccji burzę.

Królowa Navaya wycofała się pod osłonę stolicy swego brata.

Po uniesieniu, w jakie wprawiły Pipera Hechta wieści z zachodu, przysła depresja spowodowana wieściami ze wschodu. Hrabia Raymone Garete, jak wcześniej, zachowywał się w sposób uparcie wyzywający, a pod nieobecność Bronte'a Doneta koszty kampanii z każdym dniem rosły.

Hecht raz jeszcze zastanowił się nad powodami zmiany sytuacji. Jakaż to dziwna a drobna przyczyna mogła spowodować nawrót uporczywej buty hrabiego?

– Może chodzi o tych jeńców, których sprowadził Brokke – powiedział Titus Consent. – Kilku udało się uciec, prawdopodobnie ktoś im pomógł, podczas gdy my kręciliśmy się w kółko po zabójstwie Farfoga.

Hecht zmarszczył czoło. Wymamrotał pytanie, którego sens streszczał się w tym, kogo powinien utopić lub ukamienować.

– To byłaby strata czasu i nerwów. Skupmy się na tych, którzy nie uciekli. Na przykład Bernardin Ambercheile.

– Mów.

Kuzyn hrabiego Raymone'e. Człowiek, którego jak sądziliśmy, chciał odzyskać, gdy wyraził ochotę podjęcia rozmów. Ale teraz znowu się uparł, podczas gdy Bernardin Ambercheile wciąż jest w zagrodzie więziennej.

– Hm? Co się zmieniło?

– Nie ma starego i dziewczyny, którzy podróżowali z Ambercheile'em – podsumował Consent. – Założę się, że to była ta narzeczona, o której słyszeliśmy. Prowincjonalna dziewczyna, która skradła serce hrabiego. Socia jakaś tam. Jej przyzwoitką jest rzekomo Wielki Mistrzuniu wszystkich maysalskich Doskonałych Mistrzów.

– I to był ten siwy. – Naczelný Wódz jeszcze nie skończył. – Cieszymy się drobnymi triumfami, podczas gdy w oczy zaglądamy nam wielkie klęski.

Patriarchalni krzyżowcy panowali obecnie nad wschodnimi terytoriami Skraju Connec – wyjąwszy tylko Antieux. Z trzech stron zagrozili Khaurene. Mniejsze siły, głównie składające się z rozplomienionych wizją arcybiskupa Farfoga braci Towarzystwa, zaczynały docierać do Altai i odkryły niewiarygodną górską fortecę maysalskich heretyków. A śnieg zasypał większość pól uprawnych, nie tylko w Connec, ale też w Tramaine, Ormienden, Grolsach, Arnhandzie i nawet na wielkich połaciach Firaldii. Imperium Graala znalazło się pod białą pokrywą. Na Artecipei po raz pierwszy od starożytności zdarzały się intensywne opady śniegu, paraliżujące czasowo życie na wyspie. Tantejsza wojna weszła w fazę zimowej stagnacji. Podobnie jak wszystkie inne wojny w basenie Morza Ojczystego.

Gdziekolwiek spadł śnieg, podnosiły się przerażające pogłoski o Kharoulke Wędrowcy Wichru, bogu, który poprzedzał bóstwa z epoki poprzedzającej starożytność. Kharoulke Wędrowiec Wichru, przed którym kulą się ze strachu wielkie nowożytne Delegatury. Ale Kharoulke potrzebował głębokiego śniegu i grubego lodu, by zastąpić łagodniejsze Delegatury żyjące obecnie. Kharoulke potrzebował milenijnego chłodu, nim będzie w stanie wynieść się ponad mgliste zapomniane bóstwa, które zajęły miejsce jego rodzaju – i które potem zostały zdetronizowane przez dzisiejsze potęgi. Mgliste, zapomniane bóstwa ukochane przez tajemne kultury, pragnące wskrzesić zatracone hegemoniczne Delegatury starożytności.

## 18

# Interludium w Runjan w Reigenwaldzie

Imperatorowa, siostra markizy va Runjan, nakłoniła ją do objęcia rzeczonyj dziedziny, biorącej nazwę od miasta zagubionego pośród wzgórz najdzikszej i najbardziej niedostępnej krainy Imperium. Hespeth nie mogła odmówić.

Furia Komisji Doradczej, dworu imperialnego, Kościoła, a zwłaszcza samej Imperatorowej Katrin zasługiwała w pełni na miano dzikiej. Nikt nie wytłumaczył księżniczce Apparent, dlaczego otwarcie górskiej przełęczy okazało się aż tak wielką zbrodnią.

Zresztą prawie nikt z nią nie rozmawiał, o jakichkolwiek tłumaczeniach nie wspominając. Była pariasem, a to mogło się okazać zaraźliwe. Teraz na dodatek stała się więźniem – w rzeczywistości, choć nie z nazwy – rozsypującej się wieży na wzgórzu z widokiem na Runjan. W okresie świetności okoliczne ziemie rodziły tylko tyle rzepy, kapusty i zboża, aby wyżywić swych mieszkańców, a lokalny przemysł oparty na wypalaniu węgla drzewnego korzystał z zasobów pobliskich lasów. Runjan miało okres swej świetności za sobą. Przemysł metalurgiczny podupadł po śmierci Hansela, ponieważ spadł popyt na metal potrzebny do wyrobu broni. Wystygłe piece hutnicze oznaczały mniejsze zapotrzebowanie na węgiel drzewny.

Wieża stała pusta od zgonu ostatniego pana Runjan, który zmarł bezdzietnie, pozostawiając dziedzinę swemu ukochanemu Hanselowi. Okiennice zniknęły albo spróchniały. Krata bramy nie dawała się opuścić. Ktoś usunął łańcuchy. W wieży nie było służby.

Helspeth przybyła na to miejsce w towarzystwie ośmioosobowego orszaku. W jego skład wchodziły dwie okrutne stare kobiety, które jej nienawidziły. I zdecydowane były ją ukarać. Helspeth nie mogła uczynić nic, aby je sobie zjednać. Zresztą wcale nie próbowała. W istocie musiała dokładać starań, aby skrywać obrzydzenie.

Pozostałe sześć osób tworzyło rodzinę. Harmer Schmitt. Jego żona Greta. Córka ich, Grunhilde, oraz trzech synowie: Hansel, Fulk oraz Fritz. Synowie nosili imiona upamiętniające ulubionych imperatorów Harmera, dziewczyna otrzymała imię po ciotce babci Greta. Grunhilde miała szesnaście lat. Do tego była nieładna. Chłopcy mieli lat szesnaście, czternaście i dziewięć. Hansel i Grunhilde byli bliźniakami. Nie jednojajowymi oczywiście, ale każdy szczegół twarzy Hansela był równie prostacki jak u jego siostry.

Schmittowie współczuli księżniczce Apparent, nie ośmielali się jej jednak tych uczuć okazać. Poza tym było to mimo wszystko uczucie spaczone nieświadomością sytuacji, w jakiej naprawdę znajdowała się księżniczka, i wypływające raczej z odruchowej niechęci do harpii przydzielonych jej w charakterze strażniczek: grafiny wdowy Ilse-Janny fon Wistrz, wiedźmowatej matki grafa fon Wistrz, oraz lady Kareliny fon Tyre, małżonki Wielkiego Admirala. Żadna z tych kobiet nigdy nie lubiła Helspeth. W obecnej sytuacji obie jej otwarcie nienawidziły. To jej wina, że zostały zesłane jako przyzwoitki do tego rustykalnego piekła. Obie kobiety nienawidziły się również wzajemnie, i to już od pięćdziesięciu lat. Były małostkowe i złośliwe, a zostały wybrane do swej roli dlatego, że wszyscy wiedzieli, iż będą się mścić na Helspeth.

Każdej towarzyszyła niewielka osobista świta. Tylko tyle osób, ile potrzeba, aby obie panie nie znalazły się w stanie ostatecznej prostracji. Schmittowie mieli usługiwać Helspeth, zamiast tego jednak często pracowali dla jej strażniczek. Mimo ich wytężonej pracy wieża wciąż nie nadawała się do zamieszkania. Nadeszły obfite śniegi. Wiecznie zziębnięta, niedokarmiona Helspeth wychudła, dręczyły ją napady dreszczy na przemian z długimi okresami otępienia.

Spodziewała się nie dożyć wiosny.

Pisała listy do Imperatorowej, ale spod jej ręki wychodziły one omal nieczytelne. Wiedziała, że żadne błagania nie mają sensu. Ponieważ nie pojawi się nikt, kto zabierze listy i dostarczy Katrin. Zresztą wcześniej i tak

trzeba by zmylić czujność Kła i Zęba Jadowego, jak nazywała w myślach okropne stare kobiety.

Wcześniej w Plemenzy czuła się osamotniona i przestraszona. Ale tam miała przy sobie Algresa Stracha. Tu nie była całkowicie pozbawiona ochrony. Nie miała nawet cierpliwego ucha, ku któremu mogłaby się nachylić. Kapitan Strach został wysłany na wschód, do garnizonu usytuowanego w strefie walk z dzikimi poganami. Resztę Braunsknechtów rozproszono gdzie indziej. A dziewczyna, która była sprawczynią ich nieszczęść, wciąż nie potrafiła pojąć, co zrobiła, by płacić tak drakońską cenę.

Ferris Renfrow przybył w czas burzy śnieżnej. Nie próbował ukryć przerażenia. Niewiele mówiąc, wyszedł. Kiedy wrócił, towarzyszyła mu cała populacja Runjan. Z mety zaczął wydawać zarządzenia.

Lady Karelina zaprotestowała:

– To nie twój interes! – Głosem nabrzmiałym pogardą. Choć, jeśli wierzyć pogłoskom, jej własna przeszłość wcale nie była tak całkiem bez skazy.

Renfrow popatrzył jej w oczy. Zawahała się, ale tylko na moment. Była przecież żoną Wielkiego Admirala.

– Weź coś do ręki i pomóż – powiedział Renfrow. – Albo idź sobie. Jeśli upierasz się, aby być częścią problemu, zostaniesz potraktowana tak jak sam problem.

Grafina wdowa fon Wistrz uczepiła się ramienia lady Kareliny i odciągnęła ją na bok. Zanim oddaliły się na tyle, by nie można ich usłyszeć, Ilse-Janna warknęła:

– Nie stawaj na drodze Ferrisa Renfrowa! Nic dobrego jeszcze nigdy nikomu z tego nie przyszło! Nie wiem, skąd się tu wziął. Ale wcześniej czy później sobie pójdzie.

– Pójdę sobie. Ale nie zapomnę, co tu widziałem – burknął.

Wieśniacy rozpalili buzujący ogień. Greta Schmitt przyniosła koc. Okryła nim ramiona Helspeth, sadzając dziewczynę bliżej, ognia.

Renfrow przechadzał się w tę i z powrotem, rzucając rozkazy. Wieśniacy natychmiast zabrali się do pracy, reperując i uszczelniając budowlę. Jednej roboczogodziny starczyło, aby wyraźnie poprawić warunki mieszkaniowe księżniczki.

– Schmitt. Pokaż mi rachunki. – Doskonale wiedział, gdzie są czułe miejsca tych wież.

Helspeth rozgrzała się na tyle, że już jej nie trzęsło bez przerwy. Od czasu do czasu odzyskiwała przytomność. Wreszcie rozpoznała Ferrisa Renfrowa. I poczuła przypływ tak gwałtownej radości oraz nadziei, że natychmiast rozpłakała się niepowstrzymanym szlochem.

– Hej ty, pani Schmitt. Zostań przy księżniczce.

Tymczasem lady fon Tyre usiłowała zmusić swoją niewielką świtę do wyeksmitowania Ferrisa Renfrowa z wieży. Nie chciała przyjąć do wiadomości ostrzeżeń grafiny wdowy. Ale jej ludzie nie zamierzali posłuchać rozkazów. Znali reputację otaczającą Renfrowa. Już na długo przedtem, nim na tron wstąpił Imperator Johannes, Renfrow cieszył się sławą człowieka śmiertelnie groźnego i zdolnego do mrocznych czynów.

Żona Wielkiego Admirała przeżyła w komforcie pięćdziesiąt osiem lat. Nie zaznała w życiu prawie niczego prócz folgowania własnym słabościom. Przynajmniej do chwili, gdy Imperatorowa Katrin w przypływie irytacji uwolniła się od kłopotu, czyniąc z niej opiekunkę swej siostrzyczki i nakazując podróż do Runjan. W ten sposób wygnała ją na prowincję.

W ciągu jednego dnia samą siłą woli Renfrow sprawił, że parter wieży nabrał takiej postaci, w jakiej powinien oczekiwać na przybycie Helspeth. Księżniczka przestała się trząść, zanim wieśniacy odeszli. Odzyskała spokój.

– Dziękuję – powiedziała cicho do Renfrowa.

– Do usług, księżniczko. Jesteś dziedziczką Imperium. Postąpili z tobą w sposób niewybaczalny. – Nic więcej nie dodał.

Helspeth powoli zaczynała pojmować, w jak ogromnym znalazła się niebezpieczeństwie. Które zresztą nad nią zawiśnie znów, gdy tylko Renfrow odjedzie.

– Zapomnij o wygodnym życiu. Tu nie będziesz mogła być tą Helspeth Ege, którą byłaś, zanim umarł twój brat – wyjaśnił jej. – Ale obiecuję, że nie dopuszczę do twojej śmierci z przyczyn rzekomo naturalnych.

Helspeth straciła panowanie nad pęcherzem.

Renfrow zakończył:

– Obiecałem twojemu ojcu.

Otuliła się kocem i wpatrzyła w płomienie. Czuła się, jakby za chwilę znów miała stracić przytomność. Hansel Schmitt przyniósł drewno.

Zachowywał się służalczo. Jak ktoś, kto za wszelką cenę próbuje się nie rzucać w oczy możniejszym i potężniejszym od siebie.

– Helspeth. Posłuchaj. Posłuchaj uważnie. Twoje życie może zależeć od tego, czy teraz mnie wysłuchasz.

Greta Schmitt podała gorący rosół. Zapach, który po chwili wypełnił pomieszczenie, wywołał u Helspeth jakby żywszą reakcję niż słowa Ferrisa Renfrowa.

Renfrow zresztą też nie pozostał obojętny wobec smakowitej potrawy.

– Sam się chętnie poczęstuję – oświadczył.

Usta pani Schmitt zacisnęły się, uszła z nich krew. Ferris Renfrow wzbudzał w niej nie mniejszą grozę niż w jej synu. Kiedy przyniosła rosół dla Renfrowa, wcisnęła jej w dłoń małą sakiewkę.

– Nikomu nie mów. Wykorzystaj pieniądze dla dobra księżniczki. Kontroluj wydatki. Czwartą część możesz zachować dla siebie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Nikomu ani słowa. Zwłaszcza żadnej z tych wiedźm. Ani mężowi. Nie mów samej księżniczce. Zrozumiałaś?

Greta pokiwała głową.

Słabym głosem Helspeth zwróciła się do Renfrowa:

– Słucham. Dziękuję ci. Za to, że jesteś.

– Spłacam długi. I robię to, co jest dobre dla Imperium. Nie leży w moim interesie, aby dziedziczka gronostajów została zamordowana,

Helspeth rozluźniła palce, które kurczowo wpijała w fałdy koca. Nawet nie zdawała sobie sprawy z bólu, póki nie minął. Ciepło bijące od ognia powoli zaczynało wywierać skutek. Nareszcie.

– Posłuchaj mnie uważnie. Możesz oczekiwać powolnych zmian na lepsze. Ale przede wszystkim nie powinnaś zwracać na siebie uwagi. Bądź elastyczna. Rób, co ci mówią. Nikogo nie obrażaj, jakkolwiek irracjonalne wydawałyby ci się posunięcia szlachty z Alten Weinberg. Bądź najwierniejszą popleczniczką swej siostry, bez względu na to, co o niej myślisz. Okres jej rządów niczym się nie zaznaczy w dziejach. Chyba że ulegnie Komisji Doradczej albo do reszty zwariuje. Co może się wydarzyć.

– Greta dodała coś do rosółu – wymamrotała Helspeth.

– Słuchasz mnie?

– Oczywiście.

– To dobrze. Mam nadzieję, że czegoś się nauczyłaś. A mianowicie tego, że każda decyzja księżniczki wywiera wpływ na losy wielu innych ludzi.



Łzy popłynęły z kącików oczu Helspeth, gdy Renfrow w charakterze przykładu przytoczył jej aktualną sytuację Braunsknechtów z jej straży przybocznej oraz lady Hildy Daedal, którą mąż chciał zesłać do klasztoru.

– To nie ma żadnego sensu. Nie zrobiłam nic złego.

– Więc czemu tu trafiłaś?

– Bo...

– Wiedziałaś, że zirytujesz wielu w Alten Weinberg. Przyznaj się. Mogłaś oszczędzić kłopotów wielu ludziom, zostając w Plemienzy, podczas gdy najemnicy rozprawiliby się z potworem. Nie uniknęłabyś głosów potępienia, choćby dlatego że zatrudniasz cudzoziemców, ale na tym by się rzecz skończyła. A ty chciałaś utrzyć im nosa. W efekcie śmiertelnie nastraszyłaś wielu potężnych ludzi, dostrzegli w młodszej córce Johanna Czarne Buty zbyt dużo z ojca.

– Wiem, Ferris. Rozumiem. Dużo o tym myślałam.

– Dobra nowina jest taka, że w najbliższym czasie nie ma mowy o twoim zamążpójściu. Jeśli to dla ciebie wciąż dobra nowina.

– Nigdy nie wyjdę za mąż.

Renfrow uśmiechnął się.

– Niewykluczone. Jedną z przyczyn złej sławy, która cię teraz otacza, jest to, że twoja przygoda obniżyła wartość twojej ręki w ewentualnych planach dynastycznego małżeństwa. Byłaś głośną postacią na każdym chaldarańskim dworze. Twój portret wędrował od jednej stolicy do drugiej. Na twój widok mocniej biły serca. I wtedy gruchnęła wieść, że na miesiąc zniknął w dziczy z bandą prostych żołnierzy.

Helspeth westchnęła i szczerzej opatulila się kocem. Renfrow mówił z coraz większym podnieceniem. A ona jeszcze nie doszła do siebie na tyle, by móc mu się sprzeciwić.

Zrozumiał, co się dzieje, opanował się.

– Cała sprawa ma też wymiar humorystyczny. Jest dwór, który wciąż się tobą interesuje. Jaime z Castaurigi przebył całą drogę do Alten Weinberg, aby zobaczyć cię na własne oczy. Castauriga znajduje się pod silną presją ze strony Navai i rozpaczliwie potrzebuje sprzymierzeńców. Kiedy po raz pierwszy stanął przed obliczem Katrin, zakochała się od pierwszego wejrzenia. Pomimo różnicy wieku.

Mózg Helspeth znów zaczął działać.

– A on chętnie zobaczył siebie w roli małżonka Imperatorowej Imperium Graala.

– Byłby jeszcze bardziej urzeczony, gdyby powiła mu kilkoro dzieci.

– Kiedy ślub?

– Na wiosnę. Jak na ironię, zaraz po tym, jak przełęcz Remyne stanie się przejezdna.

Helspeth westchnęła.

– Te przekłete staruchy wiedzą?

– Dowiedzą się. A nowiny przyczynią się do poprawy twojej sytuacji. Ślub powinien oznaczać koniec twego wygnania. Jeśli znowu nie zrobisz czegoś, co przestraszy Doradców.

– W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem.

– Niektórzy ludzie osiągnęli wysoką pozycję dzięki temu, że trzymają się blisko twej siostry, księżniczko. Głównie brotheńscy episkopalni. Wiedzą, że większość szlachty Imperium darzy Brotheński Patriarchat silną niechęcią. Wykazawszy się inicjatywą, udowodniłaś im, że jesteś córką Johannesesa, mimo iż właściwą operację wykonali cudzoziemscy specjaliści. Zobaczyli w tobie księżniczkę Apparent, która może zmienić ich świat.

Helspeth powoli zaczynało świtać.

– Ale mnie to nie interesuje. – I wtedy pomyślała o Wodzu Naczelnym, a z jej gardła wydarł się cichy pisk.

– Tak?

– Jakaś taka błędna myśl. Znienacka przyszła mi do głowy.

– Rozumiem. Odpowiedz więc na moje pytanie. Czy dotarło do ciebie cokolwiek z tego, co mówiłem?

– Tak. – Westchnienie.

– Los małżeństwa Katrin nie jest przesądzony. Negocjacje wciąż trwają. Jaime stawia żądania nie do przyjęcia dla naszej strony.

– Więc moja osoba wciąż się liczy w małżeńskich intrygach.

– Będzie się liczyć do czasu, aż Katrin spłodzi następcę, który dożyje dnia, gdy będzie miał własnych synów.

– Boże, ratuj.

– Zapewniam cię, że twój los stanie się lepszy, gdy porozmawiam z twoimi strażniczkami. Po zaślubinach Katrin będzie jeszcze łatwiej. Otrzymasz pozwolenie na opuszczenie tej dziczy. Jeśli będziesz się

zachowywać przyzwoicie, przed następną zimą powinnaś być z powrotem w Plemnzy. A już na pewno w Alten Weinberg.

Zawstydzona, zapytała ze smutkiem:

– A moi Braunsknechci?

– Dla nich nie będzie łaski. Zawiedli pokładane w nich zaufanie.

Helspeth umknęła spojrzaniem. Ale w tym momencie postanowiła, że uratuje Algresa Stracha i pozostałych. Nie zasługiwali na surową karę tylko za to, że dali się zastraszyć córce Okrutnego Małego Hansa.

Uśmiechnęła się nieznacznie i szyderczo do tych myśli. Była tak słaba, że nawet samej siebie nie mogła uratować. Jedyna jej nadzieja w tajemniczym Renfrowie, który niezmordowanie wzmacniał trzeszczące fundamenty Imperium.

– Któregoś dnia...

– Słucham?

– Któregoś dnia chciałabym poznać odpowiedź na pytanie, kim naprawdę jesteś.

Te słowa zaskoczyły Renfrowa. Po chwili się uśmiechnął.

– Twój ojciec zapytał mnie kiedyś o to samo.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Niestety Los upomniał się o niego pierwszy. Teraz bądź cicho. Posłuchaj. Ostrzegałem cię. Raz i drugi. Dzięki mojej tu obecności twoja sytuacja uległa zmianie. Najpoważniejsze zagrożenie minęło. Jeśli najpierw będziesz myśleć, a dopiero potem gadać, czy działać. Jeśli przestaniesz być córką swego ojca.

– Zrozumiano!

– Mam nadzieję. Z całego serca. Ale mam też pewne obawy. Krew nie woda. Rankiem już mnie nie będzie. Muszę jechać do Brothe. Proszę cię, uważaj.

– Dlaczego nikt...? Dlaczego cały czas powtarzasz wciąż to samo, wciąż na nowo?

– To z doświadczenia. Nawet nie wiesz, ile wysiłku potrzeba, aby wbić pewne rzeczy do głowy członkom rodziny Ege.

– Ale ja...

– Nie jesteś tą, za którą się uważasz, księżniczko. Jesteś tą, którą widzi w tobie świat. Twoim wielkim zadaniem jest sprawić, aby świat dostrzegł w

tobie tę osobę, którą chcesz być. W tym celu musisz się stać kameleonem. Bojaźliwym, nieśmiałym kameleonem. W oczach twoich wrogów.

– Wrogów? Ale...

– Teraz widzisz. W ogóle nie słuchasz. Znowu.

Coś ją zakłuło w środku. Zrozumiała, że nikogo nie obchodzi, co ona sobie myśli. Że jest tylko pionkiem na szachownicy. I że naprawdę będzie musiała zakładać maski, aby nikt nie złożył jej w ofierze w celu poprawienia sytuacji królowej.

– Wreszcie chyba zrozumiałam, Ferris. Dziękuję ci.

– Doskonale. Kiedy spotkamy się następnym razem, okoliczności powinny być bardziej sprzyjające. Napij się jeszcze trochę rosołu. Odpocznij. Jutro Schmittowie zaaplikują ci lepszą dietę.

Helspeth pragnęła go jeszcze o coś zapytać, w jednej chwili jakby straciła wątek. Postać Renfrowa rozmyła się jej przed oczyma. Zasnęła.

Później nie pamiętała swoich snów, ale pozostało jej po nich w głowie wrażenie złowróbnego proroctwa. Pojawiał się w nich Wódz Naczelny. Była Katrin. Oraz wiele innych osób, znanych i nieznanymi – i zły czas, w jakim im wszystkim przyszło żyć.

Obudziła się w znacznie lepszym stanie niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Ferrisa Renfrowa już nie było. Została po nim wieża, odświeżona zarówno materialnie, jak i pod względem panujących w niej nastrojów. Helspeth nie miała już więcej kłopotów z Kłem i Zębem Jadowym. Stała się cudownie elastyczna.

## 19

# Khaurene w czas najczarniejszej rozpacz

**B**rat Świeca i Socia Rault tulili się do siebie, szukając ciepła. Tuż obok nich leżeli Michael Carhart, Hanak el-Mira i biskup Clayto. Za całe przykrycie mieli dwa obszarpane koce zabrane martwemu człowiekowi, którego ciało zobaczyli przy drodze. Nikt z nich nie wiedział, po której stronie tamten służył. Nikogo to nie obchodziło.

Gromadka nieszczęśników kuliła się w kępie krzaków. Na kocach zgromadziło się dość śniegu, by zamaskować ich kolor i zatrzymać pod spodem ciepłość ciał.

Choć wszyscy byli nieszczęśliwi i głodni, żadne jakoś nie miało ochoty ryzykować podróży drogą. Mimo iż na zachód ciągnęło wielu wędrowców. Ponieważ, gdyby trzeba było szybko kryć się w lesie, na śniegu zostałyby wyraźne ślady stóp.

Brat Świeca zastanawiał się, czy ucieczka była mądrym pomysłem. Ci, którzy ich schwytali, najwyraźniej nie mieli zamiaru zrobić im krzywdy ani też wydać w ręce Towarzystwa. Ciepło, regularne posiłki. Oczywiście ci, co ich złapali, rozpoznali Bernardina Amberchelle. Wkrótce zorientowałiby się, kim jest Socia.

Poszukiwano ich, ale bez szczególnego entuzjazmu. Było zimno. Po co włączyć się po pustkowiach, kiedy tak naprawdę nie wiadomo, jaki jest cel pościgu? Uchodźcy? Byli wszędzie, głównie młode kobiety, szukające schronienia przed pracownikami Boga. Liczni maysalczycy usiłujący przedostać się na tereny, gdzie lekceważenie i zwierzchnictwa Brothe nie było traktowane jak zbrodnia.

– Musimy dotrzeć na nasze terytoria, zanim się zorientują, kim jestem – mruknęła Socia. – Ponieważ wtedy zostanie za mnie wyznaczona nagroda.

Brat Świeca pokiwał głową, uważając, żeby nie poruszyć koców.

– Ale Patriarchalni nie są jedynym zagrożeniem. Maruderzy księcia Tormonda też włóczą się po okolicy.

Biskup Clayto szepnął:

– Musimy ruszać. Twoje ciało jest zbyt słabe, żeby dłużej to znosić. – Drżał. Nie mógł przestać. Umęczony strachem, głodem i zimnem.

El-Mira odparł, też szeptem:

– Weź się w garść, Clayto. Brat Świeca jest dziesięć lat starszy od ciebie.

– On przywykł do takiego życia. Ja jestem biskupem – wyszczerzył się Clayto, wciąż zdolny do żartowania z siebie.

Pogoda im nie sprzyjała. Z drugiej strony okazało się, że niepotrzebnie się bali Nocy oraz patroli patriarchalnych. Michael Carhart, el-Mira i Clayto chórem twierdzili, że ich powodzenie jest skutkiem łaski właściwego każdemu z nich boga. Twierdzili tak bez szczególnego przekonania.

Ponieważ podobnie jak brat Świeca, w głębi duszy obawiali się, że pomyślny los może być skutkiem łaski Delegatur hołdujących Przeciwnikowi. Był to czas interregnum w Brothe i Patriarchalni szaleli po Connec, trudno więc było inaczej wyjaśnić szczęście, jakie im pod tym względem dopisywało.

Szesnaście dni zabrało im dotarcie do Khaurene, czyli pokonanie odległości mniejszej niż osiemdziesiąt mil w linii prostej. Szesnastego dnia o zmierzchu od samego miasta dzieliło ich wciąż piętnaście. Natknęli się jednak na silny patrol, dowodzony przez sir Eardale'a Dunna. Dunn dał im środki transportu i odesłał na zachód. Gdzie wzmocnią ducha i wolę oporu swoich religijnych wspólnot.

Brat Świeca desperacko trzymał się grzywy swego rumaka. Nie był dobrym jeźdźcem. Ale miał dość przytomności umysłu, żeby przyglądać się otoczeniu. I nie podobało mu się to, co widział.

Widział zniszczenia. Patriarchalni najwyraźniej zdecydowani byli doprowadzić do ruiny lokalną gospodarkę. Ale znacznie bardziej zaniepokoiły go przygotowania do rozstrzygającej, jak oceniał, bitwy. W której to jego strona zdecydowana była wyłożyć karty na stół.

– Myślisz, że to zły pomysł? – zapytała Socia.

– Myślę, że to szaleństwo. Jakakolwiek armia connekiańska to nic innego jak bezładna zbieranina, która ma przed sobą doprawdy skromne perspektywy na zwycięstwo. Chyba że będą mieli druzgocącą przewagę liczebną nad wrogiem. Albo go zaskoczą. Pytanie brzmi, czy naszym ludziom coś takiego może się udać?

– Sądzę, że gdyby dowodził Raymone Garete...

– Tak. Gdyby dowodził hrabia Raymone, rzeki spłynęłyby krwią. Wskreszeni uctowaliby. Connec stałoby się pustynią. Ponieważ hrabia Raymone spaliby je do gołej ziemi, żeby nie wpadło w ręce najeźdźców.

Wiedział, że Socii taka perspektywa nie przeraża. Sama chętnie spustoszyłaby całą ziemię, byle tylko przy okazji zgładzić swych wrogów.

Jakaż groza zapanuje, gdy wreszcie zajmie swe miejsce w cieniu hrabiego Raymone'a?

Sir Eardale nie odprowadził brata Świecy do Metrelieux.

– Tormond nie chce cię widzieć, bracie. W końcu podjął decyzję i nie chce, żebyś szeptął mu do ucha kontrargumenty.

Doskonały sam był zaskoczony, jak bardzo zrobiło mu się przykro. Tych kilka słów świadczyło o narastającej pogardzie dla głosu rozumu. Należało wnosić, że książę Tormond IV ma już klapki na oczach.

– Obwiniasz mnie...?

Zły dobór słów.

– Nie osobiście. Ale twoją wiarę. Dwa pokolenia bierności i pacyfizmu... Dziesięciolecia słabej władzy... Mamy przed sobą dziesiątki tysięcy najeźdźców. A brakuje nam umiejętności i woli, żeby zrobić, co konieczne. Ponieważ zostaliśmy uwiedzeni przez herezję maysalską. Czy jak to sobie chcesz nazywać.

– Podejrzewam, że znacznie bardziej za naszą trudną sytuację odpowiedzialne są stulecia pokoju i prosperity. – Brata Świecę samego zaskoczyła gwałtowność własnych emocji. Przecież chciał porzucić świat i odnaleźć z powrotem drogę na Ścieżkę. A z każdą chwilą oddalał się od niej coraz bardziej.

Na ulicach Khaurene tłoczyli się Poszukiwacze z zachodnich krańców prowincji. Jedni odejdą do warowni Altai, inni do prowincji nabrzeżnych znajdujących się pod protektorem króla Piotra. Czy nawet do samej Direcji. Król Piotr chętnie widział u siebie Poszukiwaczy. Większość była wytrawnymi handlowcami.

W pramańskiej Platadurze też mieli dla siebie miejsce.

W okolicy mieszkania Rauleta Archimbaulta odór garbarni wydawał się silniejszy niż przedtem. Socia zauważyła:

– Jako wiejska dziewczyna za tym właśnie tęskniłam.

– Wyczuwam w twoich słowach nutę sarkazmu.

– Każde kolejne miasto, do którego uciekamy, jest większe od poprzedniego. Bardziej zatłoczone i gorzej pachnie.

– Polubisz Archimbaultów. – Miał nadzieję. Ale niewielką. Socia Rault była nadzwyczaj drażliwa na tle swej klasy i pozycji. – Jeśli nie, nie odzywaj się.

Zaoferowano jej gościnę w Metrelieux, ale odmówiła.

W sąsiedztwie na ulicach kłębił się szczególnie gęsty tłum, ponieważ miejscowi Poszukiwacze przygarnęli pod swe dachy niezliczonych uchodźców.

Córka Rauleta, Kedle, pierwsza zareagowała na pukanie brata Świecy. Ten rzekł:

– Brawo! Nie trwało to długo.

Dziewczyna była w zaawansowanej ciąży.

– Ignorowanie wymogów ciała jest naprawdę trudne. – W głosie Kedle jakoś nie było słyhać ochoty na ignorowanie wymogów ciała. Wyraźnie nie była też zadowolona, widząc Doskonałego na progu rodzinnego domu.

– Nie jesteś w pracy?

– Na tym polega moja praca, póki to trwa. – Poklepała się po brzuchu. – Opary w garbarni. Niedobre dla dziecka. Nie mamy dla ciebie pokoju, Mistrzu. Soames i ja musimy tu mieszkać. Ponieważ w jego domu przebywa rodzina jego stryja. Idź do Scarre Piekarza. Jego synowie poszli na wojnę.

Kedle popatrzyła na Socię, ale była zbyt grzeczna, żeby bezpośrednio wyrazić zaniepokojenie jej osobą.

– Jak sobie życzysz. Powiedz ojcu, że wpadnę. Albo może on mnie znajdzie w piekarni Scarre'a.

Na twarzy Kedle widniała mina godna najbardziej dręczonych poczuciem winy episkopalnych lub devedian. Brat Świeca odwrócił się plecami zadowolony, a równocześnie speszony z powodu wstydu, jaki z pewnością musi odczuwać dziewczyna, odprowadzając go.

– O co tu chodziło? – zapytała Socia.



– Znam Kedle od urodzenia. Zabrało jej to więcej czasu niż większości młodych ludzi, ale właśnie weszła w buntowniczy wiek.

– Jest w ciąży.

– Mocno zaawansowanej. Ostatnim razem, gdy tu byłem, właśnie wychodziła za mąż.

– Jest młodsza ode mnie.

– Prawda. Kilka lat.

– Sądziłam, że wy, Poszukiwacze, wyrzekacie się seksu.

– My, Poszukiwacze? – Raultowie też byli Poszukiwaczami. – Niektórym się udaje. W podeszłym wieku.

– Dziwne. Dokąd idziemy?

– Kedle wciąż jest jeszcze za młoda. Idziemy do Scarre Piekarza.

Socia zmieniła temat.

– Nie wierzę w te rzeczy. Wierzę tylko w to, co mnie może ugryźć.

– W okolicy pełno jest Delegatur z naprawdę wielkimi zębami.

Podczas ucieczki ich niewielka grupka więcej czasu spędziła, drżąc ze strachu przed Nocą niż z zimna. Poza murami miast, wszędzie po wsiach, włóczyła się wskrzeszona Noc. Czasami zostawały po niej na poboczach dróg blade, wysane z krwi zwłoki.

Kolejny powód, dla którego Khaurene było tak zatłoczone.

Zapadał już zmrok, kiedy weszli do piekarni Scarre'a. Właśnie wyciągał świeże bochenki z ogromnego pieca – pracował w strasznym upale, pot spływał mu z czoła. Był nagi do pasa jak kowal. Jego żona z ochronnymi rękawicami na dłoniach układała w stosy gorące bochenki. Scarre wymruczał powitanie.

Brat Świeca zauważył:

– Chleb musi być bardzo w cenie.

– Szukasz pracy? Już sobie nie daję rady. Potrzebuję kogoś, kto będzie wygniatał ciasto.

– Nie szukam pracy, ale chętnie zapracujemy na nocleg i chleb, póki tu zostaniemy.

– Świetnie. Ale czemu nie zatrzymałeś się u Raulta? Kiedy u niego mieszkasz, nadyma się jak wielki... Przepraszam. Nie powinniśmy być małostkowi.

– Kedle poinformowała mnie, że nie mają wolnych pokoi.

– Małżeństwo nie zrobiło dobrze tej dziewczynie. Powinna zaczekać. Raulet powinien czekać. W ciągu roku z cudownego dziecka o wielkich oczach zrobiła się z niej jędra. Raulet obawia się o jej duszę.

– Rozumiem. Możemy o tym porozmawiać na wieczornym spotkaniu. Co jest?

– Nie spotykamy się zbyt często, bracie. Szpieczy Towarzystwa są wszędzie. Tworzą listy proskrypcyjne na czas, kiedy znajdą się u władzy.

– Oniś Poszukiwacze mieli odwagę trwać przy swoich przekonaniach.

– Oniś nie palili nas na stosach.

– Teraz też tego nie robią zbyt często. W istocie ginie znacznie więcej członków Towarzystwa niż Poszukiwaczy.

Scarre wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie interesowały go cierpienia brotheńskich episkopalnych.

– Jeżeli chcecie zostać ze mną, oczekuję, że mi pomożecie. Dziewczyna może gotować, podczas gdy ty będziesz pracował tutaj.

Brat Świeca zachichotał.

– Nie radzę, Scarre. Jeśli nie chcesz zostać otruty. Ona może pomóc tutaj. Coś jakby uczennica. Tylko będziesz musiał trzymać ręce przy sobie.

Scarre skłonił głowę, rozumiejąc.

Socia nie lubiła, kiedy mówiło się o niej w jej obecności. Ale świat poza murami Caron ande Lette już dawno nauczył ją pokory i umiejętności panowania nad emocjami. Przynajmniej w pierwszej chwili.

– Póki będzie chciała zapracować na utrzymanie.

– Będzie chciała. To dobra kobieta. Trzeba jej tylko pokazać, co ma robić.

Pani Scarre nie była przekonana.

Scarre nie był najbardziej gościnnym z gospodarzy. Ciężko kazał pracować swoim gościom. Co wyjaśniało, dlaczego nie było u niego żadnych uchodźców. W większości maysalskich domów mieszkała przynajmniej jedna rodzina spoza miasta. Kiedy brat Świeca i Socia udali się do domu Archimbaultów na późną kolację, byli zupełnie wyczerpani.

Socia poskarżyła się tylko raz. Brat Świeca zaproponował:

– Odprowadzę cię na zamek.

– Nie.

– Żadnego wyrabiania ciasta. Żadnej pani Scarre, która warczy na ciebie, ponieważ jesteś młoda i atrakcyjna.

– Ta kobieta jest nienormalna. Czy choć raz mu się dokładnie przyjrzała? Spocony i owłosiony jak niedźwiedź. I gruby. Ale nie chcę iść na zamek. Wykorzystają mnie, żeby manipulować hrabią Raymone'em.

Miała rację.

Co przyczyniło bratu Świecy tylko dalszych zmartwień.

W Khaurene Towarzystwo było silne. Fanatycy nie mieliby żadnych oporów przed wykorzystaniem dziewczyny w charakterze środka nacisku. A Raymone już okazał się podatny na ciosy z tej strony.

Podczas kolacji brat Świeca mówił niewiele, odpowiadał tylko na pytania Kedle o przeżyte przygody. Po posiłku zaczęli się schodzić starsi wspólnoty Poszukiwaczy. Brat Świeca znalazł sobie miejsce w cieniu. Przede wszystkim interesowało go, co się zdarzyło pod jego nieobecność. A zmiany były widoczne gołym okiem. Wokół królowała rozpacz i czarnowidztwo.

Podczas spotkania nikt ani razu nie podniósł kwestii duchowych. To była najbardziej dramatyczna ze zmian.

Rozmowa dotyczyła wyłącznie rzeczy praktycznych. Czy wspólnota Poszukiwaczy powinna wyemigrować już wkrótce, zanim ucieczkę uniemożliwią wojska patriarchalne? A skoro zanosilo się na srogą zimę, czy należy udać się do Altai, gdzie zapewne nie starcza zapasów? Czy może zostać, w nadziei że zmiana polityki Patriarchatu oraz sztywniejsze nagle stanowisko księcia Tormonda umożliwią przeczekanie zimy?

Brat Świeca nie usłyszał nic, z czego można by wnosić o zdecydowaniu księcia, by dać odpór najeźdźcom. Nic o ewentualnych pozytywnych skutkach wojennego wysiłku. I znalazł niewiele wiary w przyjaźń Piotra z Navai.

– Piotr potrzebuje wsparcia Kościoła brotheńskiego, aby realizować swe ambicje w Direcji – upierał się ktoś, podczas gdy inny sugerował, że Piotr mógłby wysłać armię, aby wzmocnić swoje roszczenia względem Castreresone.

Trzeci powiedział:

– Piotr nie może spuścić z oka książąt al-Halambry. Poza tym jego wojska zaangażowane są na Artecipei.

– Nic się nie wydarzy, póki w Brothe nie będzie Patriarchy.

– Naczelnny Wódz nie będzie siedział beczynnie.

– Książę Tormond zrobi coś takiego, przy czym zbledną wszystkie nasze obecne zmartwienia.

– Proszę o wybaczenie – powiedział brat Świeca. Zapadła cisza. – Te dyskusje pozostaną czystą spekulacją, póki nie stoczymy bitwy.

Raulet Archimbault zapytał zmieszany:

– Jakiej bitwy, Mistrzu?

– Sir Eardale Dunn dąży do decydującego starcia. Którego, jak sądzę, Patriarchalni raczej będą się starali unikać. Strategia szybkich, krótkich uderzeń raczej wyszła im na dobre. Ale bitwa będzie. I całego zapachu Khaurene tu nie starczy. Moja rada? Gotujcie się do wyjazdu, ale poczekajcie na wynik starcia. Jeżeli sir Eardale’owi się powiedzie, nie będzie potrzeby spędzania zimy w górach. Jeżeli poniesie porażkę, Patriarchalni będą potrzebowali czasu, aby zebrać siły i iść na miasto. Starczy czasu na ucieczkę.

Rozgorzała ożywiona dyskusja, kilkunastu ludzi mówiło jeden przez drugiego, wszyscy kłócili się ze sobą, ale zgadzali z bratem Świecą. Choć paru wciąż słyszało syreni zew Altai.

W pewnym momencie brat Świeca powiedział:

– Miałem kiedyś okazję zanieść wiadomość do Altai. Spędziłem tam całą zimę. Wprawdzie nie w jednej z tych starych fortec na grani, po których hulają wichry, ale w dolinie, gdzie ludzie wiedzą, jak się chronić przed dokuczliwością pogody. I powiem wam, że to było straszne.

Dalsza dyskusja. Wszyscy mężczyźni spędzili jakiś czas w Altai zeszłego lata, remontując fortecę i przygotowując ją na czas, gdy bankructwo słabego państwa connekińskiego zostawi ich na łasce i niełasce drapieżnego brotheńskiego Kościoła episkopalnego. Zaznali na własnej skórze surowego górskiego klimatu. Ale właśnie na tę surowość liczyli, wybierając Altai na swe ostatnie schronienie.

– A więc tak wygląda demokracja w działaniu? – powiedziała Socia, kiedy wraz z bratem Świecą wracali do domu Scarre’a Piekarza.

– Zaiste.

– Rozumiem już, dlaczego jest rzadko spotykanym sposobem podejmowania decyzji.

– Niektórzy powiedzieliby, że siła tej procedury polega na tym, że niewiele w ten sposób można zdziałać. Ludzie zbyt zajęci są kłótnią, żeby narobić kłopotów.

Dziewczyna wyraziła swe zdanie pogardliwym prychnięciem.

Dzień za dniem ludzie opuszczali Khaurene. W końcu ulice zaczęły się wyludniać. Ci, co zostali, rzadko opuszczali swe domy modląc się i uginając pod narastającym napięciem.

Brat Świeca żył w napięciu, jakiego jeszcze w życiu nie zaznał. Książę Tormond zdecydował się działać. W końcu. I nikogo nie obchodziło, czy zdecydował właściwie. Cały kraj żył w euforii, ponieważ wreszcie przynajmniej coś miało się wydarzyć.

Nie chodził w miejsca, gdzie mógł usłyszeć plotki i nieprawdziwe wieści z pola bitwy. Potrafił sobie wyobrazić, co dzieje się za murami miasta. Niekompetentne oddziały kiepsko wyszkolonych żołnierzy, dowodzone przez niedoświadczonych kapitanów, będą się miotać po okolicy, starając się wyłapać zwiadowców i furazerów wroga, a przy okazji dostaną lanie. Wskutek potyczek między większymi oddziałami pola na wschód od Khaurene zaściela się ciałami poległych bohaterów. Nikt nie będzie orientował się w ogólnej sytuacji, ponieważ kolejne drobne porażki następować będą w odległych od siebie miejscach. W pewnym momencie motłoch Khaurene postawi Naczelnego Wodza w sytuacji, gdy będzie musiał wybierać między wycofaniem się a udzieleniem Connekianom lekcji na temat tego, jak wygląda prawdziwa wojna.

Brat Świeca nie tracił nadziei. Rycerze Isabeth byli doświadczonymi dowódcami. Connekianie będą dysponować ogromną przewagą ciężkiej jazdy. Poza tym Tormond znów zatrudnił tysiące najemników, znalazł też rycerzy gotowych służyć za pieniądze. Przewaga liczebna zdecydowanie nie była po stronie Patriarchalnych.

Socia nie potrafiła się skupić. Miała trudności z wywiązywaniem się z prac zleczanych jej przez Scarre'a. Na szczęście ostatnio popyt na produkty Piekarza zmalał. Niemniej oczekiwał on ponownego wzrostu, kiedy wrócą wygłodniali żołnierze.

Brat Świeca wyrabiał ciasto i dokonywał rachunku sumienia, wspominając tysiące rzeczy, których w życiu żałował. Kiedy nadszedł czas, wiedział, że doszło do bitwy, zanim wieści o niej dotarły do miasta. I wiedział, że jej wynik nie jest korzystny.

– Socia. Czas ruszać. Spakuj się.

Ulice nie były już puste jak przedtem. Wszyscy szli w jedną stronę – na północny wschód – jak najszybciej chcąc się dowiedzieć o losie swoich

bliskich. Wśród ludzi szerzyła się panika, od czasu do czasu w tłumie rozbrzmiewały zawrota głowy. Jeżeli katastrofa miała choć dziesiątą część rozmiarów, jakie przypisywała jej plotka, Khaurene już nigdy się nie podniesie.

Do miasta właśnie przybywali ci, którzy zdezerterowali przed bitwą. Z pewnością będą opowiadali historie, które zmniejszą niegodziwość ich tchórzostwa.

Choć brat Świeca z nikim prócz Socii nie zamienił słowa, w pewnym momencie odkrył, że idzie na czele kolumny uchodźców, w której byli wszyscy stali bywalcy spotkań u Archimbaultów, wśród nich Kedle. Już nikt nie dyskutował za i przeciw emigracji. Archimbaultowie byli przekonani, że w ciągu kilku dni Khaurene zostanie wydane na łaskę Towarzystwa, które wspierane przez armię patriarchalną oczyści miasto z heretyków, niewiernych i zwolenników Patriarchy z Viscement.

Brat Świeca przekonywał sam siebie, że martwi się tylko o zdrowie kobiety w ciąży, nie zaś o to, że będzie ona opóźniać pochód kolumny. Ale sam sobie nie wierzył.

Strach ścisnął mu gardło. Dławiący, nie pozwalający zebrać myśli strach. Po części spowodowany jego klęską jako Doskonałego. Ale w równym stopniu rozniecany przez świadomość bliskiej obecności stworów Nocy.

W owych dniach nieustannie im towarzyszyły. Zawsze tuż obok, jakby wystarczyło się odwrócić, żeby zobaczyć. Dla jednych nie był to żaden problem. Ludzie o naturze głęboko przesądnej cały czas żyli w tej rzeczywistości. Ale dla tych, którzy chcieli widzieć świat racjonalny i uporządkowany, nasilająca się obecność Nocy była niczym duchowa pleśń nadgryzająca spoiny kamieni węgielnych bytu.

Mąż Kedle nie przyłączył się do exodusu. Soames dołączył do szeregów zdjętych entuzjazmem tysięcy, które wymaszerowały z miasta ufne, że sprawiedliwość musi zwyciężyć. Poszedł, ponieważ tego odeń oczekiwano.

Kedle była pewna, że już nigdy go nie zobaczy. Że nawet jeśli tylko jeden Khaureńczyk odda życie, będzie to jej Soames.

Brat Świeca polecił Socii:

– Oto masz szansę sprawdzić się w roli starszej siostry. Pomóż dziewczynie sobie z tym poradzić.

Natomiast nastawienie Rauleta Archimbaulta było w takim samym stopniu pozytywne, jak jego córki czarne.

– Chłopak nas dogoni. Nic mu się nie stanie. Zna plany ewakuacji. Do diabła, może dotrze na miejsce przed nami.

Podróż na miejsce była prawdziwą lekcją męczeństwa. W znacznie większym stopniu niż ucieczka z patriarchalnej niewoli. Choć patrole wroga były mniej liczne niż wówczas, możliwość znalezienia śmierci z ich rąk zwiększyła się niepomiaralnie. Khaureńcy odpokutują za swój opór.

Grupa Poszukiwaczy była dość liczna, by obronić się przed rozbójnikami i niewielkimi oddziałami patriarchalnych. Co kilkakrotnie się zdarzyło. Trzecia część ludzi oddała życie po drodze. Przez cały czas szły za nimi stworzenia Nocy, najpierw do Albodiges nad zamrożonym jeziorem Trauen, potem stromym szlakiem Grzbietu Reindau, aż do zespołu umocnień zwanego Corpseour.

Wieści ścigające kolumnę były przygnębiające. Wszyscy Connekianie znaleźli się na łasce i niełasce najgłębszej, najbardziej beznadziejnej rozpacz.

Dziecko Kedle urodziło się wcześniej, jeszcze w drodze. Poród nie był łatwy. Kobiety obawiały się, że dziewczyna nie przeżyje krwotoku. Mężczyźni bali się czego innego, ale za to znacznie bardziej.

Poród przyciągał Noc, jak zwłoki przyciągają muchy. Nawet uczony brat Świeca nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Podejrzewał jednak, że chodzi o ciekawość wzbudzoną silnym bólem i intensywnymi emocjami.

Niemniej dziecko, które po dziadku otrzymało imię Raulet, było zdrowe. Chłopiec urodził się bez żadnych znamion, czepka, zniekształceń, wyrosniętych zębów czy innych złych znaków. Ku wielkiej uldze podróżnych.

Corpseour zostało wybudowane na samej grani górskiego grzbietu. Po jego obu stronach ziała niemalże pionowa przepaść. Jediną drogą doń była ścieżka wiodąca z Albodiges. Ścieżki strzegły umocnienia ziemne, zdolne zasypać ją ciężkim ogniem artylerii. Corpseour było ostatecznym schronieniem i istniało od czasów, zanim człowiek jeszcze nauczył się pisać. W ciągu wieków wykorzystywano je setki razy, choć ani razu od czasu niepokoju, jakie nastąpiły po upadku Starego Imperium. Od jakiegoś czasu maysalczyki reperowali fortyfikacje. Poprawiono stan umocnień. Zgromadzono zapasy. A przede wszystkim cysterny zostały pogłębione i powiększone. W przeszłości warownia Altai poddawała się wyłącznie wskutek zdrady lub braku wody. Przeciwno zdradzie nie sposób

było się zabezpieczyć. Ta ostatnia, drobna iskierka żądy, chciwości czy lęku, jaka tkwiła w najtajniejszej głębi ludzkiej duszy i czyniła człowieka podatnym na pragnienie zdrady, po prostu nie dawała się wypatrzeć, póki nie rozbłysła. Niewykluczone, że tliła się w duszy każdego człowieka, czekając na sprzyjające warunki.

Ogólna strategia Poszukiwaczy polegała na przeczekaniu wroga. Wzniosły V wyzionął ducha. Bez Patriarchy i jego obsesji szersze zainteresowanie krucjatą connekiańską powinno wkrótce wygasnąć. Arnhand i Santerin zajęte były sobą. Santerin póki co miało przewagę. Powiadano, że Charlve Tępak jest we wczesnym stadium demencji. Co oznaczało, że z północy nie grozi żadne poważniejsze niebezpieczeństwo.

Patriarchalne Oficjum na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji również powinno w krótkim czasie stracić dotychczasową energię, a następnie obumrzeć. Nie miało zwolenników wśród wiodących kandydatów do sukcesji.

Choć brat Świeca był przemarznięty i nieszczęśliwy, myślał, że nadzieja może jeszcze powrócić wraz z odległą wiosną, która przecież nieuchronnie nadejdzie.

Brat Świeca oddawał się wyuczony ostatnio profesji obserwatora z murów i stał na najwyższym położonym posterunku Corpseour, oglądając swój brutalny nowy świat. Na wschodzie mgła snuła się po dolinach. Dalszą perspektywę skrywały ciężkie śniegowe chmury. W tamtym kierunku widać było tylko ścianę jednolitej szarości. Na zachodzie widzialność nie była wiele lepsza. Śnieg nie pokrywał tylko szarego kamienia lub rozproszonych połaci umęczonej wiecznie zielonej roślinności. Kilka wiosek spowijały kłęby dymu, który nie chciał się rozproszyć, ponieważ powietrze było zabójczo nieruchome.

Socia przyłączyła się do niego. Dziewczyna wyglądała na zmęczoną i starszą niż w rzeczywistości. Nieustanne przygnębienie dawało się jej mocno we znaki.

– Na co patrzysz? – Od czasu ich przybycia widok nie zmienił się nawet na jotę. Tylko z każdym dniem przybywało śniegu.

– Patrzę w przyszłość.

– Słucham?

– Wszystkie nasze jutra tak wyglądają.



– Musisz udać się na jakiś czas do jednego z waszych ukrytych miejsc dla Mistrzów.

– Zdradzić ci tajemnicę, Socia? Nie ma żadnych ukrytych miejsc. Chyba że liczyć takie kryjówki jak ta. Istnieją tylko w wyobraźni tych, którzy lękają się Ścieżki.

– Tam, w dole, ktoś jest.

Na szlaku można było dostrzec miniaturowe sylwetki ludzkie. Może kolejni uchodźcy. Może ktoś przynosił wieści. A może to byli tylko ludzie, którzy każdego dnia zajmowali się oczyszczaniem szlaku ze śniegu, a przy okazji napełniali cysterny.

– Wciąż pozostaje nam nadzieja na wiosnę – oznajmił stary człowiek. – Nowy rok niesie obietnicę zmian.

Te dni okazały się dla niego najcięższe. Musiał dodawać ducha innym, a w nim samym już tak niewiele optymizmu zostało.

## 20

# Artecipea, nieoczekiwana kruczata

Naczelny Wódz przeglądał wykazy inwentarza i listy płac. Papierkowa robota stanowiła główną część jego zajęć.

– Jakim, do diabła, sposobem stu pięćdziesięciu ośmiu kuszników zużyło osiem baryłek bełtów podczas jednej potyczki?

– Zabili wielu ludzi – odparł Titus Consent.

W jego głosie brzmiało lekkie rozbawienie.

Hecht rozumiał, z czego ono się bierze. Consent uważał, że Wódz Naczelny powoli zmienia się w skąpca.

– Jasne. Ale można by sądzić, że gdy kurz opadnie, odzyskają nieco więcej bełtów.

– Prawdopodobnie na jedno trafienie mieli dwadzieścia pudeł. Tych bełtów już nie da się odzyskać. Chyba że pošlesz kilka tysięcy ludzi, żeby przeczesać pole bitwy.

– Fuj! Kiedy zdobędziemy miasto, każę Khaureńczykom kupić sobie pięćdziesiąt baryłek.

Consent uśmiechnął się, ale nie czuł rozbawienia. To była tajemnica poliszynela: kruczata connekiańska powoli dobiegała do końca. Ktokolwiek zostanie wybrany na nowego Patriarchę, zapewne położy kres wojnie z herezją.

Wedle wszystkich doniesień, elekcja stanęła w martwym punkcie. Żadna z Pięciu Rodzin nie potrafiła zebrać bodaj znaczącej mniejszości, która chciałaby głosować na jej prowincjała. Jednolity front panował tylko w

kwestii niezgody na cudzoziemskiego kandydata. Ani Bractwo Wojny, ani Towarzystwo jeszcze nikogo nie poparły.

Prowincjała Delariego, zresztą ku jego całkowitej konsternacji, poparła w pierwszym głosowaniu druga co do wielkości względna większość. Prowadził Hugo Mongoz, kandydat kompromisowy, z którym – z powodu jego wieku – wiązały się nadzieje stosunkowo krótkiego panowania. Tymczasowy figurant na czas, gdy Kolegium zdecyduje o prawdziwej sukcesji. Przez rok czy dwa Pięć Rodzin mogło ścierpieć Hugona Mongoza.

– Wieści z Antieux – oznajmił jeden z ochroniarzy Hechta.

– Bez wątpienia Ghort zebrze o więcej pieniędzy. Wpuścić.

Do środka wszedł zdrożony, brudny i mokry kurier, towarzyszył mu Redfearn Bechter. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było najcieplejsze w fortecy Camden ande Gledes, położonej ledwie dwadzieścia mil od Khaurene. Forteca panowała nad oboma starymi traktami ze wschodu.

Bechter przedstawił jednostronicową ocenę strat, jakie poniosło Khaurene i jego sprzymierzeńcy. Liczba poległych przekraczała piętnaście tysięcy. Kolejne tysiące trafiły do niewoli. Głupcy wystawili w pole armię pozbawioną scentralizowanego dowództwa. Hecht nie dał im szans naprawienia tego błędu.

– Dobrze poszło z tymi Navayanami. Złapaliśmy parę ważnych osób.

Bechter pokiwał głową. Hecht zwrócił się do kuriera:

– Tak? – Pod skorupą błota skrywał się jeden z najbardziej zaufanych ludzi Ghorta.

– Pułkownik donosi, że został odwołany. Regiment Miejski otrzymał rozkazy powrotu do Brothe. To, że są na żołdzie Kościoła, całkowicie zlekceważono. Rozkazy wydał senat miejski, ale zostały kontrasygnowane przez Bronte'a Doneta. Pułkownik Ghort przypuszcza, że senatorowie boją się, iż w następstwie elekcji w mieście może dojść do zamieszek.

Hecht popatrzył po członkach swego sztabu i zobaczył uniesione brwi.

– Czy to znaczy, że możemy się spodziewać kolejnego cudzoziemskiego Patriarchy?

– Pułkownik Ghort powiedział: „Jeżeli zapyta, czy mają zamiar wybrać nie-Brotheńczyka, powiedz mu, że facet z Viscesment, Waleczny czy jak mu tam, zajmuje mocne czwarte miejsce. A jest ekskomunikowany”.

– Rozumiem. – Hecht zamyślił się. – Kiedy wyrusza?

- Wymarsz już się zaczął. Rozkazy nie zostawiły mu czasu na zwłokę. Doneto znał Ghorta.
- Czy ludzie w Antieux wiedzą?
- Oczywiście.
- Jakież pomysły, jak długo potrwa elekcja?
- Może trwać wieki. Nikomu nie zostało zbyt wiele pieniędzy na łapówki. Wszystkie swobodne fundusze utonęły w krucjacie calzirskiej.
- Zjedz coś i odpocznij. Będę miał coś dla ciebie, kiedy ruszysz z powrotem.

Bechter wyprowadził kuriera.

- Co to znaczy dla nas? – zastanawiał się głośno Hecht.

Odpowiedział Consent:

- Będziesz musiał posłać posiłki Sedlakowie. Wtedy nasze siły tutaj staną się zbyt słabe.

Prawda. Straty nie były wielkie, dezercja nieznaczna, mimo to sytuacja się zmieniła. Hecht nie miał szczególnych powodów, by ufać miejscowym i pokonanym najemnikom, którzy chcieli się zaciągnąć pod jego sztandary.

Consent kontynuował:

- Zanim nastanie nowy Patriarcha, musimy postanowić, co zrobimy. Ponieważ wtedy wszystko się zmieni. Na pewno nie będzie podzielał obsesji Wzniosłego. Może nas wyrzucić, a za zaoszczędzone pieniądze zacznie stawiać sobie pomniki.

Takiej właśnie przyszłości Hecht się spodziewał i zarazem obawiał. Niewielu członków Kolegium z podobną zaciętością co Wzniosły odnosiło się do wykorzenia herezji i odbicia Ziemi Świętej.

- Od śmierci Wzniosłego żyjemy w pożyczonym czasie – powiedział Hecht. – Agresywna kampania przyniosła efekty. Jasne. Krwawy triumf. Bohaterski wedle wszelkich norm. Latami będą o tym mówić. Ale nie było to zwycięstwo rozstrzygające. Po prostu nauczyło Khaureńczyków, żeby trzymali się za murami miasta. Poślij tam jutro kogoś. Domagaj się ogromnej kontrybucji i zobowiązania do wykorzenia herezji. Czyli tego, czego się przez cały czas domagaliśmy. Powiedz im, że nie mają czasu, żeby się naradzić. Zaczynij wycofywać patrole, furazerów i komandosów, żeby wyglądało, jakbyśmy się szykowali do szturmu. Rozpuść plotki, że mamy za murami miasta przyjaciół z Towarzystwa, którzy nam otworzą bramy.

– A o co ci chodzi?

– Może połkną przynętę. Może spróbują nas przekupić, żebyśmy sobie poszli. Ale kiedy wszyscy wrócą, tak czy siak wycofamy się do Castreresone.

Książę Tormond nie skapitulował. Nie zaaprobował warunków rozejmu, mimo iż Khaurene cierpiało. Naczelnego Wodza to nie zaskoczyło. Nawet najbardziej gorące głowy po drugiej stronie rozumiały, że najlepszą strategią jest zwykły sposób postępowania księcia Tormonda. Siedzieć, czekać, nic nie robić.

Armia patriarchalna znalazła się poza bezpośrednim zasięgiem swego wsparcia logistycznego w kraju zniszczonym przez walki, w samym środku najgorszej zimy, jakiej kiedykolwiek zaznało Connec. Brakowało jej milczącego poparcia nawet odległego choćby i szalonego Patriarchy. Jej dowódcom brakowało fanatyzmu, co zostało skrupulatnie odnotowane przez szpicli i informatorów Towarzystwa.

Khaurene bało się tylko jednego. Zdrady.

Wychodziły na jaw kolejne intrygi. Spiskowcy byli zazwyczaj cudzoziemcami, którzy rzekomo znaleźli się za murami Khaurene z obawy przed Patriarchalnymi. Tak przynajmniej twierdzili.

Naczelny Wódz oszedł ukradkiem, zabierając ze sobą cenne dobra, ale nie niszcząc zanadto domów, fortec i infrastruktury.

– Chcesz, żeby coś spotkało tego dupka? – zapytał Madouc.

Miał na myśli biskupa, który właśnie wyszedł, pomstując na Naczelnego Wodza, że nie realizuje planów Towarzystwa.

– Bynajmniej. Właśnie dałem mu wolną rękę. Teraz może sobie robić, co chce i jak chce. Nie będę się wtrącał.

– Zakładasz, że pakuje się w niezłe gówno, co?

– Connecianie są cierpliwym ludem, który dużo potrafi ścierpieć. Ale teraz miarka się przebrała, już dłużej nie będą tolerować jego i jemu podobnych.

– Dobrze. Tym wronom przyda się lekcja pokory.

– Z pewnością jest jakiś powód, dla którego chciałeś się ze mną zobaczyć?

– Muszę przydzielić ci jeszcze więcej ludzi i bardziej ściśle cię chronić.

– Błagam! Już mam ludzi, którzy rozwiązują mi spodnie za każdym razem, gdy idę do latryny. Dlaczego?

– Ostatni kurier przywiózł list od twego wuja. Z listu wynika, że przez następne dwa miesiące muszę zdwoić czujność. Szykują się jakieś poważne zamachy na ciebie.

– Mój wuj?

– Takim sformułowaniem posługiwał się autor. Pan Milczący? A może ktoś stroi sobie jakieś żarty?

– Niewykluczone. Nigdy do końca nie wiem, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. Tak naprawdę jest dla mnie kimś w rodzaju prawujka dziadka. Jeżeli jednak twierdzi, że trzeba zdwoić czujność, musimy go posłuchać. Czy nam się to podoba czy nie.

– Nie wiedziałem, że masz jakąś rodzinę. – W słowach Madouca zabrzmiała ledwie wyczuwalna nuta podejrzenia.

– Nie mam. W sensie więzów krwi. Pan Milczący jest dalekim, tajemniczym krewnym prowincjała Delariego. I tym samym częścią rodzinnego planu adoptowania mnie.

– Z pewnością może to wzbudzać niejaką ciekawość.

– Może, nieprawdaż? Sam nie do końca rozumiem. Myślę, że ktoś coś zobaczył w kurzych wnętrznościach.

Hecht zasnął właśnie po raz pierwszy w swoim luksusowym łóżku w cytadeli hrabiów Castreresone, gdy do środka wpadł Titus Consent ścigany przez czterech ochroniarzy Madouca.

– Co, u diabła? Nie mogłeś poczekać od rana?

– Do tego czasu wszystko się już rozniesie. A mogą być kłopoty.

– W porządku. Dawaj.

– Mamy nowego Patriarchę. Pacificusa Wzniosłego.

– Hę?

– Nie mam pojęcia, dlaczego przybrał właśnie to imię. Znany był jako Fiducjanin Joceran Cuito.

– Główny kandydat, póki jeszcze żył Wzniosły, o którym później wszak niewiele słyszano. Co się stało?

– Król Piotr się pokazał. I zdrowo sypnął groszem.

– Pięć Rodzin z pewnością się wścieknie.

– O tym nic nie wiem. W wiadomości wiele więcej nie było. Ale to może oznaczać też kłopoty u nas. Castreresone należy do króla Piotra.

Hecht podarował sobie oczywisty kontrargument.

– Wyślij patrole na ulice. Powiedz im, żeby niczego nie zaczynali, ale żeby byli bezwzględni, gdy ktoś ich sprowokuje.

– Gdybyśmy poinformowali wszystkich, mogłoby to działać cuda.

We własnej opinii Hecht traktował wszystkich sprawiedliwie. Ale nie okazywał litości tym, którzy mu się sprzeciwiali. Castreresończycy powinni zrozumieć.

– Mogę się teraz trochę przespać?

Atmosfera w Białym Mieście zdecydowanie się zmieniła. Nadzieja wisiała w powietrzu. Nadzieja na coś dobrego, która zastąpiła wcześniejsze złe przeczucia i świadomość nieuchronnej katastrofy. Castreresończycy czekali z nadzieją.

Urzędowo opieczętowany portfel z wiadomością od Patriarchy przybył dziewięć dni później. Kiedy Hecht przeglądał pocztę, zebrał się cały jego sztab.

– Nic szczególnego tu nie ma. Oficjalna deklaracja zakończenia krucjaty connekiańskiej. Lista Connekian przyjętych się z powrotem na łono Kościoła. Obejmująca imiona księcia Tormonda i hrabiego Raymone’a. Rozkazy przerwania oblężenia Antieux i przekazania Castreresone przedstawicielom legalnego władcy, którzy już tu zmierzają. My mamy wycofać się na drugi brzeg Wawrzynu, przeprowadzić ześrodkowanie i czekać na transport do Sheavenalle.

– To nie ma sensu – powiedział Redfearn Bechter. – Dlaczego nam po prostu nie napisze, że jesteśmy zwolnieni? I nie zostawi nas tu, gdzie jesteśmy?

– Nie jesteśmy zwolnieni. Najwyraźniej. Może jesteśmy potrzebni w Brothe. Mieszkańcy miasta nie będą zadowoleni z direcjańskiego Patriarchy. Szykuje się powtórka sprawy Ornisa z Cedelete.

W listach były jeszcze dalsze informacje, ale żadna nie miała doraźnego znaczenia. Hecht rozkazał swemu sztabowi podjąć przygotowania do wymarszu. A właściwie zakończyć je. Rozkaz opuszczenia Castreresone dla nikogo nie był zaskoczeniem.

– Zauważyłeś, kto jest wielkim zwycięzcą tej krucjaty? – mruknął na odchodnym Titus Consent.

– Navaya? Król Piotr?

– Właśnie. Niewielkim kosztem stał się potęgą w Connec. Zdobycze ostatniej krucjaty wykorzystuje w celu podbicia Artecipei. Teraz już ma

Patriarchat. Pozwala, aby inni budowali dlań imperium.

– Chytrus.

Ponieważ nie było żadnej wyraźnej instrukcji od Patriarchy zabraniającej tego, Hecht zostawił garnizon w cytadeli Castreresone. Zapewnią mu dostęp do miasta, gdyby zechciał doń wrócić. Zajmą się utrzymaniem porządku. Otrzymali rozkazy, aby nie sprzeciwiać się księciu Tormondowi czy królowej Isabeth.

Buhle Smolens wcześniej przygotował kwatery. Mimo strat, dezercji i nieobecności Regimentu Miejskiego armia liczyła ponad dziesięć tysięcy żołnierzy. W jej skład nie wchodził już żołnierze z czterdziestodniowych kontyngentów. Ostatni odeszli do domów, zanim pogoda stała się naprawdę upiorna. Hecht zwyciężył w bitwie pod Khaurene z jedną trzecią stanu, jaki miał, przekraczając De-Ihear w drodze na zachód.

Hecht wezwał do siebie sztabowców i starszych oficerów.

– Chciałem wszystkim podziękować. Poradziliśmy sobie całkiem nieźle. Być może aż nazbyt dobrze. Nowi ludzie boją się nas. To skłania do podejrzeń względem tych rozkazów ześrodkowania. Coś knują.

Wstał Sedlakova. Widoczne kalectwo odebrało całą siłę jego argumentom, gdy wygłosił płomienny apel do wszystkich ludzi wiary, żeby wstąpili do Bractwa Wojny.

W pewnej chwili Hecht przestał słuchać. Pozostali zastanawiali się na głos, co teraz zrobią z własnym życiem. Krucjata conneciańska skończyła się bez rozstrzygnięcia. Ale ludzie zachowywali się spokojnie. Dla nikogo nie było to nowe doświadczenie, wszyscy przez to już kiedyś przechodzili. Zamki i miasta padały. Śmierć i nieszczęścia grasowały po ziemi. W ogólnym obrazie zmieniało to niewiele.

Myślami wybiegł ku Annie Mozilli i dzieciakom. W ciągu ostatnich kilku miesięcy tęsknota za domem coraz bardziej dawała mu się we znaki. Kiedy był Else'em Tage, nigdy tego tak nie odbierał.

Zachód zmienił jego duszę.

Wszyscy tak głęboko pogrążyli się w rozmyślaniach na temat jutra, że zapomnieli o tym, iż dzisiaj wciąż kryje niebezpieczeństwa groźniejsze niż dokuczliwe nieprzyjemności, jakie ostatnio spotykały ich ze strony Nocy.

Hecht wraz z kilkoma członkami sztabu poszedł do przystani i stamtąd obserwował nadpływające statki. Jednostki Piotra z Navai, głównie opasłe statki kupieckie pod banderą Platadury. Parę smukłych trirem pyszących



się barwami Navai harcowało na flankach konwoju. Hecht przyglądał się statkom i żałował, że nie ma pod ręką Pinkusa Ghorta, z którym mógłby swobodnie się podzielić zbieżnymi podejrzeniami. Zauważył też, że kilka starych, podniszczonych łodzi wywiesiło bandery sonsańskie – przypominały z wyglądu flotę, której ruinę obserwował na nabrzeżu.

Rozwrzeszczane ptaki krążyły na niebie i pikowały w fale boczne oraz kilwatery statków. Choć była zima, nad zatoką unosił się silny odór. Dobrze chociaż, że z powodu mrozu wyginęło dużo owadów.

Siedzący na jakiejś beczce Clej Sedlakova zauważył:

– Te krypy mają niewielkie zanurzenie. Naprawdę chcą je wypchać po burty. – Ostatnio był w permanentnie kiepskim nastroju. Był pewien, że gdyby dano mu jeszcze kilka tygodni albo bodaj dni, zdobyłby Antieux. Nawet bez Bronte’a Doneta i Regimentu Miejskiego. Ludzie za murami miasta zaczęli mu składać ostrożne propozycje, licząc na późniejsze korzyści.

– Zapomnij o Antieux – doradził mu Hecht. – Płacą nam tyle samo za siedzenie tutaj co za ryzykowanie naszych tyłków w polu.

– To nie ryzyko mnie przeraża, ale mróz i głód – dodał pułkownik Smolens.

– Posłuchaj tego gówna. Co on zrobił przez całą wojnę? – protestował Sedlakova. – Zabawiał się w Viscement. A potem tutaj. Przyjrzyj mu się. Przytył piętnaście funtów.

– Przyznaję. Jedzenie mają tu dobre. Będzie mi go brakowało – wyznał Smolens.

– Być może wcale nie będziesz musiał wyjeżdżać – powiedział Hecht.

– Co? O co chodzi?

– Nie słyszałem nic na temat tego, abyśmy mieli się wycofać z Sheavenalle. Jeżeli król Piotr pociąga za sznurki nowego Patriarchy, możesz się założyć, że nie odda kontroli nad tak ważnym miastem. Osobiście sądzę, że będą próbowali nadać mu status wolnego miasta, jak Sonsa czy Platadura. Oczywiście sprzymierzonego z Navayą.

– Co to było?

– Co było co?

– Brzmiało jak wielki trzmiel.

Dwadzieścia jardów od brzegu na błotnistej zatoce mewy sfrunęły w dół, żeby zbadać przyczynę niewielkiego plusku.

Zawsze trzymający się blisko Madouc, wciąż jeszcze osłabiony z powodu ran, powiedział:

– To nie był żaden trzmiel, panowie. – Potem zawył, zatoczył się na Hechta, sięgając dłonią do bełtu z kuszy, który przebił lewy naramiennik jego skórzanej zbroi.

Kolejny trzmiel uderzył w baryłkę, która służyła Sedlakowie za tron. Sedlakova gdzieś zniknął. Podobnie jak prawie wszyscy pozostali. Madouc leżał na ziemi, ciągnąc Hechta w dół.

Hecht nie miał zamiaru dać się ciągnąć. Ruszył w kierunku, z którego strzelano. Nie myślał, po prostu działał odruchowo. Czuł przepełniający go gniew, ale panował nad nim. Po drodze schwycił ułamany fragment dębowego lewarka, porzuconego pewnie przez jakiegoś dokera. Przyda się jako pałka. Drewno było stare. Prawdopodobnie starsze ode mnie, myślał Hecht, którego właśnie nawiedziła jedna z tych nieistotnych myśli, jakie przydarzają się w chwilach napięcia, kiedy wszystko zdaje się dziać w zwolnionym tempie.

Za nim ludzie krzyczeli, każąc mu kłaść dupę na ziemi.

Z przodu też ktoś krzyczał, właśnie tam, gdzie powinni się znajdować zamachowcy. Skoczył w prawo. Trzmiel przeleciał obok, potem plusnął w wodę zatoki.

Wpadł prosto w czeredę snajperów. Dwaj właśnie desperacko starali się wycelować kusze. Trzeci porzucił broń i uciekł. W oczach Hechta nie miało to żadnego sensu.

Uderzył pałką pierwszego mężczyznę, do którego się zbliżył.

Drugi porzucił zmagania z kuszą. Wyciągnął krótki miecz, w jego drugiej ręce błysnął sztylet.

Hecht dobył własnej klingi. Ale w prawej dłoni wciąż trzymał ułamaną pałkę.

Człowieka, który przed chwilą upadł, zdzielił jeszcze kilka razy, aby nie mógł przyjść z pomocą towarzyszowi.

Przybyła pomoc.

– Jest jeszcze jeden, pobiegł tam. Tak samo ubrany. – Hecht opadł na niewielką belę wełny, która musiała zostać przesmuglowana z Dreangeru. Znowu nawiedzany przez nieistotne myśli patrzył na swą ułamaną pałkę, wyobrażając sobie, że używano jej do dźwigania ładunku, zanim przydarzyło jej się nieszczęście.

Buhle Smolens usiadł obok.

– Co to, u diabła, było, Piper? Mogłeś dać się zabić. O to zapewne od początku chodziło w tych ćwiczeniach ze strzelania.

– Nie myślałem. Po prostu działałem.

– Ci chłopcy są z Artecipei. Zauważyłeś?

– Nie jestem zaskoczony. Ale skąd ty wiesz?

Smolens powiedział, że nawet ślepy by zauważył.

– Nie wychowałem się tutaj, pułkowniku. Wszyscy ludzie znad Morza Ojczystego są w moich oczach zasadniczo do siebie podobni.

Smolens pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pozwól mi porozmawiać z tymi facetami. Na pewno będą chętni do współpracy, jeśli im wytłumaczę, jaka jest alternatywa.

Hecht zaczął drżeć, ale nie z zimna.

– To była naprawdę głupota.

Słowa wypowiedziane zostały szeptem tak cichym, że nikt poza nim nie mógł ich słyszeć. Hecht zerknął w bok. I zobaczył Clovena Lutego. Oprócz niego nikt go nie widział. Tamten rzekł:

– O jeszcze jedno powinieneś się martwić. Że może ktoś inny też potrafi robić takie rzeczy jak ja.

Jasne.

– Musisz bardziej uważać, Piper. Ci, którzy chcą cię zabić, nigdy nie śpią.

– Nie mogę tak żyć.

– Wobec tego nie pożyjesz długo. – Luty odwrócił się.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytał Titus Consent.

– Powiedziałem, że nie mogę tak żyć. Przez cały czas ktoś mnie ściga.

– Słyszałem drugi głos.

– Nie sądzę.

Consent nie uwierzył. Ale nie zaprzeczył jego słowom.

– Jeżeli nie chcesz tak dalej tego ciągnąć, znajdź tego, kto przysłała zabójców. Zajmij się nim. Albo nią.

– Wiem, kto za tym stoi. Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego.

– Kto? – Kiedy Hagan Brokke właśnie siadał ciężko na pobliskiej beli, Hecht zastanawiał się, czemu są takie małe. Może miało to coś wspólnego z tym, w jaki sposób przemycano je z Dreangeru?

– Rudenes Schneidel. To zawsze jest Rudenes Schneidel. – Spojrzał na Brokke'a. Ten nie czekał na nabrzeżu na przyplływające statki. Zdrowiał z

ran odniesionych w bitwie pod Khaurene, gdzie jego szybki refleks zapobiegł szarzy Direcjan królowej Isabeth po podmokłym gruncie na nieprzygotowanych żołnierzy lewej flanki wojsk patriarchalnych. – Czujesz się już na tyle dobrze, żeby wrócić do roboty?

– Nie. Łódź kurierska przywiozła paru ludzi z floty. Chcą się widzieć z tobą.

– Paru ludzi?

– Prowincjał, którego nie znam i który mówi wyłącznie po diecjańsku oraz w kościelnym brotheńskim. Jacyś funkcjonariusze z Miasta Ojczystego. I gruba ryba z Direcji.

– Czego chcą?

– Porozmawiać z tobą.

– Tyle zrozumiałem. Ale o czym?

– Nie powiedzieli. Wyglądają, jakby im nie zbywało na cierpliwości.

– Odpocznij. Potem idź im powiedzieć, że na razie mam na głowie kolejną próbę zamachu. Gdy tylko uda mi się przeżyć, w te pędy się z nimi zobaczę. Na czym skończyliśmy, Titus?

– Rudenes Schneidel.

– Aha. A więc co znalazłeś na jego temat, szefie wywiadu?

– Nazywa się Rudenes Schneidel. I zaszył się w Wysokich Athaphile, górach tworzących grzbiet Artecipei. Ma tam zamek. Arn Bedu. Na poły legendarne miejsce na szczycie góry. Może być kimś w rodzaju pogańskiego kapłana. Jego imię pojawia się przy każdej poważniejszej rozmowie na temat Tkacza, Trzona albo jakiejś innej Delegatury z tych, które teraz planują rewanz.

– To wszystko?

– Tak. To nieuchwytny gość. I straszny, jeśli wierzyć nasłanym przez niego zabójcom.

Oddział Hechta zaczął się gromadzić wokół niego, jeszcze zanim pojawił się Hagan Brokke. Ludzie Madouca mieli wyraźną ochotę zrobić komuś krzywdę. Hecht wolałby, żeby sobie poszli, bo wtedy mógłby porozmawiać z Clovenem Lutym. Ale nie mógł ich po prostu odprawić z kwitkiem. Nie posłuchaliby go.

Ostatni nadszedł Buhle Smolens.

– Nawiązałem tu trochę kontaktów. Roześlę wieści, że interesują nas Artecipecanie. Od śmierci Wzniosłego pojawiają się tu dziesiątkami. Ale nie

znajdują żadnych przyjaciół.

Hecht nie miał zamiaru zrezygnować z szansy porozmawiania ze starym człowiekiem w brązach.

– Przyszliśmy tu, żeby oglądać nadpływające statki. A więc oglądajmy.

Oczywiście wszyscy zaczęli protestować, że ryzyko jest zbyt duże. A Titus Consent wciąż mu przypominał, że czekają na niego ważni ludzie, z którymi powinien się spotkać.

Pułkownik Smolens zakwaterował się w domu bogatego pramanina, który uciekł z Sheavenalle przed nadciągającymi Patriarchalnymi. Widok budowli wywołał w duszy Hechta przypływ lekkiej nostalgii. Architektura zdradzała wyraźne wpływy pramańskie. Podchodząc pod dom, głośno wydawał rozkazy, jak postępować z jeńcami i rannymi. Goście z floty usłyszeli i wyszli na zewnątrz.

Redfearn Bechter miał przy sobie wszystkich ludzi, wobec których Hecht żywił bodaj cień podejrzenia o przynależność do Bractwa. Sugestywnie otaczali przybyłych, z których tylko jeden czy dwóch rozumiało sytuację, w jakiej się znaleźli.

Hecht zorientował się natychmiast.

Ci ludzie przybyli tu ze zdecydowanie niewłaściwym nastawieniem. I nie udało im się zaskarbić miłości gospodarzy. Prawdopodobnie któryś z nich wyraził się niepochlebnie na temat Bractwa Wojny. Bractwa nic nigdy nie onieśmiało, nawet gdy mieli do czynienia z jakimś królem. Sami dla siebie stanowili królestwo.

Tylko jednego z gości Hecht spotkał wcześniej. To był Łowca Czarownic, który znał drogę w brotheńskich katakumbach. W obecnej sytuacji czuł się wyraźnie nie na miejscu.

Prowincjał również rozumiał, o co chodzi, i był z tego powodu zdecydowanie nieszczęśliwy – zapewne głównie dlatego, że nie miał kontroli nad sytuacją.

Wszystko wskazywało, że zanosi się na paskudny pojedynek – kto kogo bardziej wkurzy.

Hechta kusilo, by do tego dopuścić. Miał swoje powody. Ale długa kampania uczyniła go nieco bardziej skłonny do posłuchania głosu rozsądku.

– Sierzancie Bechter. Czy zadbano o wygody tych dżentelmenów? – Do przybyszów zaś powiedział: – Mamy tu w tej chwili trudną sytuację. Ale

jeśli nie będziecie się zanadto oddalać, jesteśmy w stanie zapewnić wam ochronę. Właśnie złapaliśmy zgraję łotrów, którzy przed chwilą chcieli mnie zabić.

Pośpiech był tutaj decydujący. Należy jak najszybciej oprowadzić przybyłych po okolicy, dając im do zrozumienia, że natychmiastowa reakcja, nawet jeśli nie najbardziej efektywna, jest w tej sytuacji najlepsza.

– Skoro już jesteśmy bezpieczni, pozwolę sobie zapytać, co was, panowie, do mnie sprowadza? – zagaił Hecht.

Ruszył przed siebie, tak manewrując, by wyprowadzić przybyszów na szeroką posadzkę parteru, który wybrał na centrum dowodzenia w Sheavenalle.

Usiadł w ciężkim dębowym fotelu.

– Panowie, pozwolę sobie jeszcze raz zapytać. Pędziliście tutaj na czele floty. Z pewnością musicie mieć coś ważnego do omówienia. Więc przystąpmy do rzeczy, zanim wrogowie Boga odkryją, że tu jesteście.

Łowca Czarownic czuł się chyba jeszcze mniej komfortowo w tej sytuacji. Nieustannie rozglądał się po otoczeniu.

Cloven Luty?

Uspokajająca myśl.

– Cóż?

Prowincjał przejął kontrolę nad sytuacją.

– Jestem Hernando Ernesto Ribiero de Herve, legat patriarszy uppełnomocniony do zaprowadzenia pokoju w Skraju Connec. Otrzymałem też zadanie zdławienia pogaństwa na Artecipei. Pacificus Wzniosły uważa, że Rudenes Schneideł i jego odradzające się Delegatury stanowią większe zagrożenie niż pacyfistycznie nastawieni, dualistyczni heretycy conneciańscy.

Hecht wymienił spojrzenia ze swym sztabem.

De Herve zauważył to.

– Widzę, że się ze mną zgadzasz.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Wzniosły tak uparcie dążył do ich eksterminacji.

– Pytałeś?

– Pytałem. Otrzymałem bezładną odpowiedź, w której nie było krztyny sensu. Ale nie płacą mi za to, by zadawać pytania. Płacą mi, abym miał wyniki.

Łowca Czarownic pisnął zaskoczony i odwrócił się. Wszyscy spojrzeli na niego.

– To musiała być pchła – zaczął się tłumaczyć. – Ale sam w swe słowa nie wierzył.

– Daj spokój, starcze – powiedział Hecht.

Tym razem wszyscy popatrzyli na niego, Łowca Czarownic z wyraźną podejrzliwością.

De Herve kontynuował:

– Pacificus Wzniosły chce uczynić Artecipeę celem następnej krucjaty.

– To wyjaśnia obecność floty.

– Tak.

– Nie poradzicie sobie z Artecipeą za pomocą sił, które już tam macie?

Prowincjał skutecznie udał zakłopotanie.

– Król Piotr przerzucił tam kilka tysięcy żołnierzy. Sonsa też uczestniczy w całej operacji. Słyszałem przecież, że jakiś czas temu odnieśliście tam walne zwycięstwo?

– Z każdym zwycięstwem coraz trudniejsza staje się pacyfikacja reszty ludności.

Łowca Czarownic wtrącił:

– Jesteśmy przekonani, że za chaosem, jaki zapanował w Connec, kryją się wpływy artecipeańskie. Wszystko zostało pomyślane jako dywersja, mająca odwrócić uwagę od tego, co dzieje się na wyspie. W Calzirze, a przede wszystkim w al-Khazen, znaleźliśmy dowody, które przekonały nas, że stamtąd grozi znacznie większe niebezpieczeństwo niż ze strony pramańskich ambicji. Tam po raz pierwszy zetknęliśmy się z nazwiskiem Rudenesa Schneidela. Podejrzewamy, że w Schneidelu strach przed Naczelnym Wodzem zrodził się po tym, jak zobaczył Hechta w akcji w Calzirze. Z jakiegoś powodu Noc uznała, że Piper Hecht jest żywą, świadomą nemezis, zesłaną na świat po to, aby ją zniszczyć.

– Co?

De Herve żywo pokiwał głową.

– Brat Jokai wyłożył rzecz jasno. Wszyscy, którzy komunikują się z Nocą, wiedzą, że napawasz Delegatury irracjonalną i skrajną trwogą.

Hechta przeszył dreszcz. Ci, którzy komunikowali się z Nocą, mogli dowiedzieć się więcej o Bogobójcy, niż wyszłoby mu na zdrowie.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz, Wodzu Naczelnym – powiedział Jokai. – Żaden z nas nie rozumie. Zwyczajnie akceptujemy rzeczywistość, jaką jest, i stawiamy jej czoło.

Człowiek ze Specjalnego Oficjum Bractwa Wojny, który mówi otwarcie o akceptacji rzeczywistości Nocy, jaką jest?

– To teraz bez znaczenia – uciął de Herve. – Patriarcha chce wiedzieć, czy może liczyć, że poprowadzisz krucjatę przeciwko Artecipei, Rudenesowi Schneidelowi i jego sępom Asparas od Seski.

Ostatnie imię zaskoczyło Hechta. Asparas były Podniebnymi Tancerkami. Poddanymi Kharoulke Wędrowca Wichru. Seska, Bezkresny, był Delegaturą z tego samego archaicznego wieku hegemonu mroku, z tym że należał do panteonu starszego niż wszystkie pozostałe w Dreangerze.

– Seska? Asparas rozumiem. Dla Wędrowca Wichru są tym samym, co kruki znoszące Ordnanowi plotki i szeptki.

Jokai wyjaśnił mu, o co chodzi z Seską. Musiał się pewnie specjalizować w Wielkich Dawnych Bogach.

– Seska jest czymś w rodzaju starszego, mroczniejszego Przeciwnika. Niektórzy uważają, że przetrwał do czasów nowożytnych w postaci niejako okrojonej, skrywając fragmenty samego siebie w diabłach naszych czasów – zakończył swój wykład.

– W porządku – powiedział Hecht. – Nic z tego nie rozumiem. Ale nie muszę. Jestem żołnierzem. Płacą mi za to, abym miał wyniki. Prowincjale, bezpośrednio stąd wyruszamy na Artecipeę?

– Tak. Przykro mi. Tamta kampania ostatnio nie idzie najlepiej. Uważa się...

– Przepraszam. Titus, zobacz, czego chce tamten człowiek.

Nie można było przerwać spotkania dla jakichś głupstw.

Po chwili wrócił Consent.

– Nie powiedział, skąd przyszła ta informacja. W katakumbach Brothe zaszło jakieś poważne magiczne wydarzenie. Nie tak niszczące w skutkach, jak to, które obróciło w gruzy hipodrom, ale dom prowincjale Delariego zapadł się pod ziemię. Katakumby załamały się pod nim.

Temperatura w pomieszczeniu opadła raptownie i dramatycznie. Hecht nadstawił uszu.

– Co się stało? – zapytał De Herve.



– Ktoś nas właśnie opuścił – odpowiedział Jokai. – Czułem wcześniej jego obecność. Teraz już go nie ma. – Wydawał się jeszcze bardziej zmartwiony niż do tej pory.

– Czy między jednym a drugim wydarzeniem może istnieć jakiś związek? – zapytał Hecht.

– Między tym sprzed chwili a tym, co się stało w Brothe?

– Tak. – Hecht uważnie przyglądał się obecnym.

Łowcy Czarownic mieli bliskie kontakty z Bronte'em Donetem. Z drugiej strony Cloven Luty twierdził, że Hecht i prowincjał Delari niewłaściwie zinterpretowali wydarzenia w katakumbach. Że ci Łowcy Czarownic wcale nie spiskowali z potworem, którego Delari zgładził pod hipodromem. Natomiast animozje między Donetem a Delarim były jak najbardziej autentyczne. Poza tym istniały filiacje między Łowcami Czarownic a Rudenesem Schneidelem, przy czym nie miał on pojęcia, że ma z nimi do czynienia. Schneidel sądził, że manipuluje szeregowymi członkami Specjalnego Oficjum, mając na względzie zgubę Bogobójcy. Łowcy Czarownic zaś chcieli wniknąć wystarczająco głęboko w intrygę Schneidela, aby dopaść człowieka próbującego wskrzesić grozę starożytności. Spacerok Hechta przez Sonkę w towarzystwie Pinkusa Ghorta był początkiem końca tej intrygi.

Dziewiąty Nieznany po trochu opowiedział mu o wszystkim w trakcie kampanii connekiańskiej. Niemniej nie udało mu się odkryć, na czym polega w tym wszystkim rola Vali Dumaine. Nie potrafił nawet zweryfikować prawdziwości wyznań Karlicy na temat pochodzenia dziewczynki.

– Prawdopodobnie. Artecipianie są tam dość aktywni. Jak zresztą sam wiesz.

– Tak.

– Chyba szczególnie mocno przeżyłeś te wieści.

– Jestem blisko z prowincjałem Delarim. Okazał wiele życzliwości mnie i mojej rodzinie. – Po prawdzie najbardziej przejęło go potwierdzenie podejrzeń, że Cloven Luty potrafi się przenosić z miejsca na miejsce, nie dotykając stopą ziemi.

Wiele jeszcze powinien się dowiedzieć na temat swego anioła stróża.

– Ile ci trzeba czasu na przygotowanie armii do transportu? – zapytał prowincjał de Herve.

– Niektóre jednostki już jutro mogą zacząć załadunek. Ale zwierzęta mogą stanowić problem.

– Transport nie będzie żadnym problemem – uspokajał go de Herve. – Załogi wiedzą, jak radzić sobie z żołnierzami i zwierzętami. Jednak załadunek w tym porcie może zafundować nam niezłe przejścia. Poziom morza opadł tak nisko, że tylko najmniejsze łodzie będą w stanie dotrzeć na trale do nabrzeży i załadowane wciąż mieć wodę pod kilem przy odpływie. Pilot, który nas tu doprowadził, powiedział, że pogłębiarki nie są już w stanie dobywać mułu z dna. Senat Sheavenalle wspominał coś o wybudowaniu nowych nabrzeży w dole rzeki. Ale jeśli Morze Ojczyście wciąż będzie się robić płytsze, za kilka lat będą mieli znów te same problemy.

– Powinni wybudować pływające doki, które będzie można przesuwać wraz z ruchem linii brzegowej. – Wydawało się to dość oczywiste.

– Ale w chwili obecnej ich tu nie ma. A my musimy się załadować.

Słowa Hechta o ładowniczych i cargo innym niż ludzkie nikomu się nie spodobały. Jego wojsko zgromadziło ogromną ilość osobistego dobytku, sprzętu i zwierząt. Mnóstwo nudnej, czysto technicznej pracy trzeba włożyć w to, aby ludzie z ostrą stalą mogli dotrzeć na miejsce, gdzie będą potrzebni, razem z namiotami, w których będą spać, żywnością, którą będą spożywać, i końmi, na których będą jeździć.

Jego ochrona osobista i ludzie z Bractwa uspokoili się ostatnio. Więc nie należało już oczekiwać żadnych ostrych sporów o władzę.

Kiedy już na śmierć zanudził przybyszów codziennymi szczegółami zarządzania armią, rozkazał:

– Pułkownik Smolens, proszę zawołać oficerów. I wyjaśnić im, o co nas poproszono. Jasno i prosto. Chcę, żeby zapoznali się z nastrojami panującymi wśród żołnierzy. Chcę wiedzieć, ilu z nami zostanie. – Na wszystkich poziomach hierarchii było mnóstwo gadania na temat powrotu do Brothe.

– Nie sędzę, aby wielu chciało zrezygnować – odrzekł Smolens.

– Muszę mieć dokładniejsze dane. Mamy przed sobą załadunek na statki. Plany do ułożenia na zupełnie nową wojnę. – W kraju stanowiącym całkowitą enigmę.

Naczelnny Wódz był zmęczony. Widział podwójnie. Była głęboka noc. W towarzystwie ludzi z floty transportowej, z których nikt nigdy nie był na

Artecepei, studiował kiepskie mapy. Tamci wiedzieli tylko tyle, że nowy Patriarcha chce, aby wylądowali na zachodnim wybrzeżu Artecepei, w pobliżu Homre, portu rybackiego w północnej części wyspy.

Artecepea składała się z dwu oddzielnych mas lądowych połączonych przesmykiem, w najwęższym miejscu szerokim na niewiele ponad milę. Obszar północnej części klepsydry stanowił jedną trzecią obszaru południowej. Na północy ludzie mówili językiem niezrozumiałym dla mieszkańców Skraju Connec. Ci z południa jedynie z największym trudem byli w stanie dogadać się z cudzoziemcami. Według prowincjała de Herve na Artecepei dominowali odrodziciele Seski, inni poganie, pramanie, wreszcie prymitywni chaldaranie rozmaitych wyznań aż po brotheński Kościół episkopalny. Brotheńscy episkopali kontrolowali jedynie kilka miast portowych. Bóg i Kościół większymi wpływami cieszyli się na północy, choć i tutaj górale w całości byli poganami, a ostatnio zwrócili się ku Rudenesowi Schneidelowi.

Wszelkie walki jak dotąd toczyły się w południowej części klepsydry.

Pacificus Wzniosły chciał wysadzić armię za plecami wroga, spoglądającego na południe i wschód. Potężną armię weteranów dowodzoną przez człowieka, który miał do wyrównania rachunki z Rudenesem Schneidelem.

Hecht rozumiał ten tok myślenia. Nie potrafił dopatrzeć się w nim słabej strony. Nie potrafił sobie również wyobrazić, aby Schneidel przewidział, co nastąpi.

Zmiana na patriarszym tronie zmieniła świat.

Titus Consent, któremu kleiły się oczy, przyniósł wieści, na które Hecht wolałby poczekać jeszcze parę lat.

– To dzień na przykre wieści, szefie – oznajmił Titus.

– Dawaj. Jestem już tak otępiały, że wszystko zniosę.

– Król Charlve miał wylew i zmarł. Zgon wygląda na naturalny. Anne z Menandu nie było w pobliżu, kiedy to się stało. Ale była gotowa. Przechwyciła wszystkie instrumenty władzy, zanim ktokolwiek zdołał złapać oddech. Informacje właśnie przyszły z Salpeno.

– Jaki to ma wpływ na naszą sytuację?

– Niewielki. Może to znaczyć wiele dla Arnhandu i Connec. Mimo swobodnych obyczajów Anne jest bardzo religijna. I ambitna. Connec z

jego heretykami wielokrotnie już dało jej sposobność przedłożenia tej drugiej cechy charakteru nad pierwszą.

Hecht zmarszczył brwi.

– Hę? Czego nad co?

– Sam sobie dośpiewaj. Zresztą to nieważne.

– Nie mamy już z tym nic wspólnego, prawda?

– Nie powinniśmy.

– Wracasz do domu? Czy płyniesz ze mną?

– Płynę na Arceipeę. Niechętnie. Mam dziecko, którego jeszcze nie widziałem.

– Noë pewnie zostanie świętą. Na tronie w niebiesiech zaraz obok Anny.

– Anna jest bardziej przyzwyczajona do samotności.

– Zastanawiasz się, w jakiej mierze to Noc wyznacza momenty dramatycznych przemian? Jakie siły mogą tu wchodzić w grę?

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi, Naczelnny Wodzu.

– W mikroskopijnym z historycznego punktu widzenia okresie straciliśmy potężnego Imperatora Graala, opętanego Patriarchę i suwerena najbardziej na punkcie religijnym wojowniczego z episkopalnych królestw chaldarańskich. A wszystko to zwiastuje dramatyczne przemiany. Zwłaszcza w obliczu ciągłych postępów lodu.

Titus mruknął coś znamionującego całkowitą obojętność. Był zbyt zmęczony, żeby się takimi rzeczami przejmować.

– Idę się położyć. Jak chcesz, możesz postawić mnie przed sądem wojennym. Egzekucja powoli zaczyna nabierać w moich oczach powabu.

– A więc marnuj czas na sen, słabeuszu. – Hecht umościł się w fotelu, na uboczu, chcąc odpocząć i nabrać sił. Równocześnie podsłuchiwał swoich zastępców i ludzi z floty.

Nagle poczuł ból w uszach, który zaraz minął. Przez chwilę powietrze wydawało się gęste i jakby natrętne. Nie dbał o to. Był zbyt zmęczony.

– Fałszywy alarm – wyszeptał mu ktoś do ucha. – Z Munierem wszystko dobrze. Heris zdrowa. Anna i twoje dzieci w świetnym stanie. Przyniosłem listy od nich wszystkich. Miejska rezydencja jest nieco uszkodzona. Parę okolicznych domów również. Niewiele jeszcze można powiedzieć na temat kłopotów w przyszłości. Ale krótko mówiąc, Joceran Cuito ma nową wizję Kościoła.

Piper Hecht udawał, że przez cały czas słyszy głosy swych odległych przodków, dobiegające znikąd.

– Co oznacza nowa sytuacja w Arnhandzie? – zapytał w nadziei przyłapania bodaj mgnienia sylwetki Dziewiątego Nieznanego.

Nie udało mu się.

– Nieszczęście dla Skraju Connec. W swoim czasie. Ty będziesz mógł spokojnie unieść ręce i twierdzić, że to nie twoja wina. Odszedłeś, zanim przyszło zło.

Hecht nie miał pojęcia, o czym staruch bełkocze. Miał jednak dość inteligencji, by się zorientować, że jego pomruki przyciągają uwagę. Powiedział więc:

– Panowie, muszę iść się położyć. Zaczynam już mówić do siebie.

Jego sztabowcy będą wiedzieli, co trzeba zrobić, i zajmą się tym bez dalszych szczegółowych instrukcji.

Przed położeniem się do łóżka Hecht zdjął buty. I nic więcej.

– Poważnie mówiłem, że muszę wypocząć. Nie ma nic tak istotnego do omówienia, co nie mogłoby poczekać do czasu, aż będę w stanie przejrzeć na oczy.

– Przyniosłem listy.

– Nie znikną do rana. Odejdź.

Zamknął oczy. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, jak Lutemu udało się osiągnąć tyle w tak krótkim czasie. A w następnej chwili już budzili go jego ochroniarze. Któryś poinformował go, że Madouc wylize się z odniesionej rany. Znowu.

– Ten człowiek powinien odejść na emeryturę. Nie da się wygrać w kości ze Śmiercią.

Zarobił za to kilka dziwnych spojrzeń.

Mimo przeszkód i zamieszania następnego dnia odcumowało dwanaście załadowanych statków. Ku zaskoczeniu Hechta większość żołnierzy patriarchalnych wybrała pozostanie w armii. Winą należało pewnie obciążać ciężkie czasy.

Ci, którzy przyłączyli się do armii w trakcie jej marszu przez Connec, najchętniej rezygnowali. Mężczyźni mający rodziny nie chcieli ich zostawiać.

Hecht stał na pokładzie, był w kiepskim nastroju. Nie przepadał za morskimi podróżami. A ten akurat statek z jakiegoś powodu szczególnie go

niepokoił.

Titus Consent stanął obok niego przy relingu na śródokręciu, razem obserwowali oddalające się brzegi Sheavenalle.

– Oficjalny komunikat, sir. Statki będą musiały dwa razy nawrócić. Transportujemy więcej ludzi, zwierząt i ekwipunku, niż uważałbym za możliwe.

– Razem armia naprawdę robi wrażenie. – Hecht kątem oka złowił mgnienie mężczyzny w brązach, próbującego uniknąć zauważenia na zatłoczonym pokładzie. Dobrze wiedzieć.

– Skąd ta ponura mina? – zapytał Consent.

– Pływałeś kiedyś po Morzu Ojczystym?

– Nie.

– Sam zobaczysz.

– A ty kiedy pływałeś?

– Kiedy z Ghortem zrobiliśmy sobie wycieczkę do Sonsy. – Sonsa? Uderzyła go znienacka głęboka niestosowność faktu, że znajduje się na pokładzie tego statku. Zrozumiał, że płynął już na nim kiedyś, ze Staklirhod.

– Co teraz? – zapytał Consent. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Właśnie sobie przypomniałem, jak było strasznie, kiedy dopadł nas sztorm. Módlmy się, żeby pogoda dopisywała. Czy o tej porze roku na morzu zdarzają się sztormy? Wiesz może?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Hecht zaczął przechodzącego obok majtka.

– Czy o tej porze roku przytrafiają się sztormy? Jak się nazywa ten statek?

Matros przekrzywił głowę, nie całkiem chyba pewny zdrowych zmysłów Naczelnego Wodza.

– O tej porze roku sztormy występują rzadko, sir. Przyjdą dopiero za miesiąc, może półtora. Statek nazywa się Viva Infanti, sir.

– Dlaczego nazwa jest taka istotna? – dopytywał się Consent.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie przywiązują znaczenie do nazw statków. Załoga jest doświadczona? Od dawna już służą?

– Tak, sir. Wszyscy są nadzwyczaj doświadczeni. Bezpiecznie dowieziemy cię na miejsce, sir. Obiecuję. – I tak szybko jak tylko mógł, zostawił szalonego człowieka.

– Lepiej weź się w garść – doradził Consent. – Obserwują nas. Nasi żołnierze jeszcze nigdy nie widzieli, abyś zdradził się ze strachem lub brakiem pewności siebie. Chwila jest jak najbardziej niewłaściwa, aby wystawiać ich wiarę na próbę, skoro ruszamy na wojnę z czarownikiem o reputacji Rudenesa Schneidela.

– Masz rację. Oczywiście. Zawsze. – Chciał po prostu ukryć swoje próby wysondowania, czy na pokładzie statku może spotkać kogoś, kto będzie pamiętał nieszczęsnego powracającego do domu – krzyżowca imieniem Aelford daSkees. – Ale nie potrafię przestać myśleć o tym, co pływa w głębinach i ostrzy sobie na mnie zęby.

– Miło widzieć, że masz także ludzką stronę.

– Sarkazm przepisowo odnotowany, poruczniku. Jeśli zaś chodzi o sprawy wywiadu, dowiedz się, dlaczego Sonsa nagle została najlepszą kumpelką króla Piotra. Przecież od ostatnich stu lat prowadzi tę pełzającą wojnę z Platadurą.

– To łatwe pytanie. Ekonomia. Sonsa przegrywa. Przyłączyła się do zwycięskiej strony. Alternatywą jest ekonomiczne samobójstwo.

Zapewne prawda, pomyślał Hecht. Ale... czy nie można się w tym dopatrywać jakichś potajemnych konszachtów z Bractwem Wojny?

Dobrze, że to Pinkus Ghort i Regiment Miejski okupowali Sonkę. W przeciwnym razie żeglarze mogliby skorzystać z okazji i odpłacić za doznane krzywdy.

Przeprawa nie miała trwać długo. Cichy głos w uchu Hechta obiecywał mu dobrą pogodę przez całą drogę. Starał się nikomu nie plątać pod nogami, a kiedy trafiała się wolna chwila, czytał listy od Anny i dzieciaków. Wielokrotnie. Anna z całym stoicyzmem wiodła życie kobiety, której mąż wykonuje zawód nie pozwalający na dłuższy pobyt w domu – rodzaj wdzięcznego, zrezygnowanego, sztucznego wdowieństwa. Dzieci żyły podniecającym życiem dzieci, którym niewiele brakuje i które nie mają się czego bać. Pella w swym liście głównie chwalił się błyskawicznymi postępami w nauce. Hecht był pod wrażeniem, ale mimo to uznał, że dzieciak powinien popracować nad charakterem pisma.

List od Vali był krótki i wyraźnie napisany na żądanie Anny. Czuli się dobrze. Miała nadzieję, że wojna szybko się skończy i Hecht wróci do domu, dzięki czemu Anna będzie się częściej śmiała. Anna za bardzo się

martwiła. Ostatnio w mieście często zdarzały się zamieszki. Vali nic z tego nie rozumiała. Lubiła Lilę, dziewczynę, którą przysłał do domu.

I tyle. Poza tym był komunikat od prowincjała Delariego, napominający go, aby uważał. I żeby przygotował się z góry na poważne nauki, jakie otrzyma, kiedy już wróci do Miasta Ojczystego.

Połowa sztabu Hechta płynęła na Viva Infanti. Pułkownik Smolens został na lądzie. Hecht chciał go na stałe ulokować w Sheavenalle, żeby miał pieczę nad sytuacją i tworzył logistyczne zaplecze sił patriarchalnych na Artecipei. To rozwiązanie było znacznie lepsze niż konieczność polegania na wsparciu z Brothe, które w całości uzależnione było od kierunku wiejących tam obecnie politycznych wiatrów.

Praca sztabu trwała, na ile było to możliwe przy ograniczonym dostępie do informacji. Hecht nie mógł znaleźć nikogo, kto choć raz odwiedziłby tereny, na których miał wylądować. Jakiś geniusz w Brothe po prostu wybrał miejsce desantu na mapie, ponieważ wydawało mu się odpowiednie, żeby zejść pogan od tyłu. Brat Jokai – a właściwie Jokai Svlada z Creveldii – zapewniał go, że z Castella dollas Pontellas wysłano drużynę Bractwa na rozpoznanie terenu. Dyskretne. Będą czekali na flotę.

– Dobry pomysł.

– Bractwo ma spore doświadczenie w tego typu operacjach.

– Czy jest możliwe, że zostaną wykryci przez wroga i wzięci do niewoli? Nie chciałbym dotrzeć na miejsce i zastać tam czekającej na mnie armii.

– Są dobrzy. Weterani operacji na terytorium pramańskim w Ziemi Świętej. Ci, którzy nie potrafią sobie poradzić, zazwyczaj nie żyją dość długo, aby mieć kolejną szansę.

– Już się cieszę na spotkanie tych zuchów.

Pojawił się Clej Sedlakova.

– Z żołądkiem wszystko dobrze, szefie? Nie wyglądasz już tak źle jak na początku.

– Wszystko w porządku. Za bardzo jestem zajęty myśleniem o poważnych kłopotach, w jakie możemy się wpakować, żeby się przejmować chorobą morską. – W istocie choroba morska w ogóle mu nie dokuczała. Może zawdzięczał to Clovenowi Lutemu?

Żałował, że nie ma okazji porozmawiać ze starym. Ale po prostu nie było na to szans. W najbardziej prywatnych chwilach miał w zasięgu ręki dwóch



ochroniarzy. Zawsze. Nawet teraz. Dla nich każdy Sonsanin z załogi był potencjalnym zabójcą.

Nikt z załogi nie rozpoznał Hechta. Miał teraz włosy znacznie krótsze, zapuścił rzadką kocią bródkę i ubierał się niczym brotheński szlachcic. W niczym nie przypominał obszarpanego, zarośniętego sir Aelforda daSkees. Sam rozpoznał kilku majtków. Żaden nie zwracał na niego uwagi.

Hecht często konsultował się z Dragonem Prosekiem. W pełni sprawne były tylko trzy falkonety. Chciał je mieć cały czas w pogotowiu, na wypadek konfrontacji z potężną Delegaturą. Ale podświadomie ciągle oczekiwał, że wkrótce coś wypłynie z głębin i zaatakuje flotę. W głębinach wód żyły stare morskie Delegatury, znacznie okropniejsze od wszystkiego, co zamieszkiwało ląd.

Cichy głos mówił mu do ucha, że nie powinien tracić czasu na zamartwianie się. Wróg nie utrzymywał żadnych stosunków z bogami mórz ani z żadnymi pomniejszymi stworami Nocy, które żyły pod wodą.

Hecht nie dawał się przekonać.

Pierwszego dnia flota płynęła na wschód, wzdłuż wybrzeża connekińskiego, właściwie ledwie pełząc naprzód. Od Sheavenalle do ujścia rzeki Dechear było dziewięćdziesiąt mil. Statki dotarły do niego koło południa drugiego dnia. Potem przez kolejnych trzydzieści mil trzymała się wybrzeża, po czym wreszcie skręciły prosto na południe. Żeglarze spodziewali się ujrzeć Artecipecę o zachodzie trzeciego dnia podróży. Jeśli dopiszą wiatry. Następnie popłyną wzdłuż zachodniego wybrzeża Artecipei na miejsce lądowania.

Piperowi Hechtowi podróż wydawała się znacznie dłuższa niż w rzeczywistości. Pierwszego dnia roboty było po uszy, drugiego zrobiło się nieco spokojniej. Właściwie pozostawały tylko rozmowy. Wykorzystał swą rangę i wymusił na kapitanie statku, że dotrzyma mu towarzystwa. Chciał obejrzeć mapy, uwzględniające ziemie, na które dokonywał najazdu.

Horatius Andrade okazał się chętny do współpracy. Tak bardzo, że Hecht od razu nabrał podejrzeń. Ale, jak przypominał mu Consent, ostatnio zrobił się strasznie nieufny.

Andrade twierdził, że mapy są godne zaufania, niestety obejmowały głównie wody wokół Artecipei, uwzględniając tylko te cechy terenu, które mogą się przydać w nawigacji.

– Płynąłeś już kiedyś tędy? – zapytał Hecht. – Widziałeś te wybrzeża?

- Dawno temu. Na innym statku. To nigdy nie był przyjazny ląd.
  - Znasz Homre?
  - Tylko ze słyszenia. To osławiona rybacka wioska u ujścia rzeki Sarlei. Nie pływałem tam przez ostatnie dwadzieścia lat. Opadł poziom mórz. Ale nawet dwadzieścia lat temu nie dałoby się wprowadzić żadnego z tych statków do tamtejszej zatoki.
  - Są tam jakieś plaże, na których moglibyśmy wylądować?
  - Tam nie. Dalej na południe. Znam cię? Twój głos brzmi znajomo. Płynąłeś już kiedyś na pokładzie Viva Infant?
  - Nie. Ale w zeszłym roku przejeżdżałem przez Sonse w tajnej misji. Skończyła się wielkim zamieszanym wokół domu uciech.
  - Może. Dziwne. Lepiej pamiętam głosy niż twarze.
  - Kiedyś nie miałem brody i strzygłem włosy na modłę Bractwa. Dzięki za pomoc. Nie sądzę, abyśmy mieli lądować w Homre.
- Clej Sedlakova spotkał się z Hechtem późnym popołudniem drugiego dnia podróży, kiedy już nieliczne informacje, jakie posiadali a temat Artecipei, zostały szczegółowo obgadane.
- Sir, nie wiem jak, dlaczego, kiedy, gdzie ani nic z tych rzeczy, ale gdy szukałem w swoim schowku czegoś na kolację, znalazłem to w moich rzeczach. Sierżant Bechter twierdzi, że mamy Delegaturę anioła stróża.
- Viva Infanti miała cały szereg schowków na głównym pokładzie, usytuowanych tak, aby nikomu nie przeszkadzały, w których pasażerowie mogli przechowywać osobiste rzeczy.
- Ciekawe znalezisko, pułkowniku. Zaiste ciekawe. I akurat na czas wpadło w nasze ręce.
  - Może Bechter ma rację. Może nie wszystkie Delegatury są naszymi wrogami.
  - Mnie to też przyszło do głowy. Miejmy nadzieję, że tak jest.
- Sedlakova znalazł w swoim schowku kopie kilku antycznych map. Legenda była w starobrotheńskim. Ale nie w wersji kościelnej. Artecipea była na nich przedstawiona w postaci dwu wysp. Dopiero w czasach nowożytnych połączył je przesmyk.
- Poziom mórz naprawdę mocno opadł od czasów klasycznych – powiedział Titus Consent. – Z czego należy wnosić, że zmiany w świecie dokonują się już od bardzo dawna.
- Nieznany przyglądał się temu procesowi od kilku wieków.

Wszędzie wokół było zbyt dużo tajemnic. I zbyt wiele doskonale banalnego, beczelnego zła, którego przyczyną była ambicja lub fanatyzm odwracające uwagę wszystkich od pełzającej apokalipsy.

Tego dnia Hecht nie widział już mężczyzny w brązach. Luty musiał dopracować swą sztukę z odwracaniem się i znikaniem. Ale równocześnie ani Jokai Svlada, ani Redfearn Bechter nie zdradzali oznak szczególnego zaniepokojenia, więc być może stary nie przebywał już na statku.

Dziewiąty Nieznany dysponował umiejętnościami znacznie bardziej przerażającymi niż te, którymi szczycił się er-Rashał al-Dhulquarnen. I ten człowiek był jego przodkiem? Jak głęboko sięgało to szaleństwo? W co on się wpakował?

– Z kim rozmawiasz? – zapytał Consent.

– Hę?

– Mruczałeś coś. Ostatnio ciągle ci się to zdarza. Dlaczego?

Hecht powiedział prawdę:

– Próbowałem uzyskać radę od dziadka mojego dziadka.

Titus i tak mu nie uwierzy.

– W porządku. Może akurat się przyda.

– Powiedz kapitanowi, że chcę z nim mówić. Zdecydowałem, że płyniemy wzdłuż wybrzeża na południe.

Czy direcjański prowincjał zaakceptuje jego decyzję? Jak miał przekazać wiadomość na pozostałe statki?

Żeglarze okazali się bystrzejsi, niż Hecht podejrzewał. Dla celów komunikacji między statkami posługiwano się szybkimi łodziami i sygnałami. Robili to już wcześniej.

Prowincjał nie oponował. Poprosił tylko Hechta o wyjaśnienia. Naczelny Wódz argumentował, że statki zmuszone do wyładowania cargo na brzeg potrzebowały plaż bardziej przyjaznych niż niebezpieczne, skaliste wybrzeże wokół Homre, gdzie dodatkowo poziom morza opadł o kilkanaście stóp od czasu, gdy zostały sporządzone najnowsze mapy kapitana Andrade. A łodzie, z których trzeba będzie skorzystać na plaży nie będą ryzykowały roztrzaskania o bijące w skały fale.

Łąd ukazał się ich oczom trzeciego dnia koło południa. Wkrótce w głębi wyspy podniosły się ku niebu kolumny dymu.

– Obserwuj nas. I tyle z planów zaskoczenia – powiedział Hecht.

– Zaskoczenie nie musi być kompletne – zauważył brat Jokai. – Na całej Artecipei nie ma pewnie więcej jak dwieście tysięcy ludzi. Spośród nich wielu mieszka w miastach i są dobrymi brotheńskimi episkopalnymi.

– Albo devami, pramanami czy dainschauami, z tego co słyszałem. Ale słyszałem też, że w wysokich górach Rudenes Schneidel zdobył sobie sporo wyznawców.

To był kolejny powód, dla którego Hecht zmienił przewidywane miejsce lądowania. Północna część klepsydry Artecipei otoczona była niemalże nieprzerwanym kręgiem gór, tworzących naturalną fortecę. Ktoś chyba pomyślał sobie, że należy ją zdobyć, a potem pozbyć się żyjących w jej wnętrzu niewiernych. Hecht nie dostrzegał sensu takiej strategii. Sercem i jądrem problemu było Arn Bedu, położone w zachodnich górach południowej, większej połówki klepsydry Artecipei.

– Dlaczego oni walczą? – zapytał Hecht. – W ogólnym sensie słowa.

– Aby wskrzesić Seskę – odrzekł Łowca Czarownic i zadrzał. – Przywrócić światu jedną z najmroczniejszych, najstarszych Delegatur.

– Tyle wiem. Ale dlaczego? Poganie w górach mogli dać się uwieść elokwencji charyzmatycznego mówcy. Ale co z tego ma Rudenes Schneidel? Co im obiecał? Co dostanie za to, że otworzy drogę Sesce?

Jokai przekrzywił głowę, spojrzął na brzeg.

– Nieśmiertelność? Moc? Wszystkie te rzeczy, o których wspominają bajki o złych czarownikach? Apoteozę? Ta ostatnia jakoś wyszła z mody od czasów, gdy chaldaraństwo i al-Prama zaczęły obiecywać wieczne życie po śmierci.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– W starożytności inteligentny, potężny człowiek, którego nie hamowały żadne względy dla bliźnich, mógł się podźwignąć do ontologicznej pozycji Delegatury. Mógł się stać bogiem. To wyjaśnia pochodzenie tych starych dreangerskich bogów z głowami zwierząt i ciałami ludzi. Zaczynali jak prawdziwi kapłani, którzy przechodzili później apoteozę, karmiąc swe moce resztą Dreangeru. W tym procesie pomagały im sojusze ze starszymi Delegaturami. Szczególnie upodobali sobie Seskę.

– I o to chodzi Rudenesowi Schneidelowi?

– Tak myślę. Tak też myśli Specjalne Oficjum. Jak dotąd nie udało nam się przekonać nikogo innego. Więc nie takie jest tło tej ekspedycji. Pacificus Wzniosły spłaca po prostu królowi Piotrowi daninę za to, że

uczynił go Patriarchą. A Piotr chce mieć Artecipecę ze względu na jej lokalizację i zasoby. Jak też dlatego, że dzięki temu jego posiadłości będą większe niż każdego chaldarańskiego władcy, wyjąwszy imperatora i cesarza.

– Coś w tym może być.

Późnym popołudniem flota dopłynęła do Homre. Za późno, by wylądować. Linia brzegowa wyglądała nadzwyczaj niegościnnie. Dno było grząskie, warstwa wody płytka. Statki zacieśniły szyk, rzuciły kotwice. Na mapach widniało w tym miejscu ujście niewielkiej rzeki Sarlei, ale gołym okiem nie sposób było go wypatrzeć. Powierzchnia morza nie zbrązowiła, jak zazwyczaj okolice ujść większych rzek.

Bart Jokai popłynął na brzeg, żeby odszukać swoich towarzyszy z Bractwa. Po kilku godzinach wrócił z sześcioma wychudzonymi, twardymi mężczyznami. Tylko jeden był ranny.

– Miałeś rację, zmieniając miejsce lądowania – powiedział Jokai. – Na tamtych wzgórzach są tysiące pogan. Mieli na nas napaść jutro w trakcie desantu.

– Aha. A więc nie tylko wiedzieli, że nadpływamy, ale też gdzie przybijemy do brzegu.

Wymęczeni ludzie Jokaia pokiwali głowami. Porozumiewali się głównie za pomocą gestów. Usta mieli pełne jedzenia.

– Ciekawe. Sam musisz zadać sobie pytanie, jak im się to udało.

– Ich wielki czarownik może szpiegować ludzi z oddali.

Hecht podejrzewał, że ma agentów, którzy zajmują się szpiegowaniem dla niego.

– Twierdzą, że czarownik jest zdesperowany i przestraszony – ciągnął Jokai. – W osobie Pipera Hechta widzi jedyną przeszkodę dla realizacji swych planów. Wierzy, że potęgi większe od ciebie wykorzystują cię do blokowania wszystkich jego wysiłków, mających na celu pozbycie się ciebie.

– Miło słyszeć. Choć gdziekolwiek się ruszę, trafiam na kolejnego artecipeańskiego zabójcę.

Jeden z braci ze zwiadu przerwał na chwilę jedzenie.

– Oto dlaczego czarownik myśli, że masz sojuszników w Nocy – oznajmił. – Bystre istoty nigdy nie mogą się dostać blisko ciebie. Udaje się to tylko nieporadnym zabójcom. Wyznawcy Schneidela byli przekonani, że

w trakcie przeprawy pożre cię jakaś wielka, ponura morska Delegatura. Nic takiego nie nastąpiło. Żadna nawet nie spróbowała. Teraz boją się, że ty sam możesz być wskrzeszeńcem. Może nawet jesteś jednym z Dawnych Bogów wojny, którzy w czasach pogańskich licznie zamieszkiwali wybrzeża Morza Ojczystego.

Hecht pokręcił głową.

– Żyjemy w przesądnym wieku, nieprawdaż?

Jokai i bracia ze zwiadu popatrzyli na niego zmrużonymi oczami, najwyraźniej sami nie byli do końca pewni, czy mają do czynienia ze zwykłym człowiekiem.

– Jest już dość ciemno. Czas ruszać – uznał Hecht.

Na wszystkich pokładach floty wszczął się ruch i zamieszanie, ludzie śpiewali, żeby zagłuszyć odgłos wciąganych łańcuchów kotwicznych. Ostrożnie, wyłącznie przy świetle rufowych latarni, których nie można było dojrzeć z brzegu, statki popłynęły na południe.

Po jakimś czasie cisza powróciła. Choć trudno mówić o całkowitej ciszy, gdy wiatr gwizdał w olinowaniu, a drewno skrzypiało pod naporem morskich fal. Hecht poszedł zobaczyć się z Jokaiem.

– Z zupełnie innej beczki, wiesz może coś o ludziach zwących się Nieznanymi?

– Wydaje mi się, że to bibliotekarze Kolegium. Słyszałem, że opiekują się wielką mapą chaldarańskiego świata. Czemu pytasz?

– Sam do końca nie wiem. Słyszałem co nieco, gdy pracowałem w pałacu Chiaro. Prowincjał Delari miał kontakty z kimś, kogo nazywał Jedenastym Nieznanym. Nie do końca wiem, czemu akurat teraz mi się to przypomniało. Przedtem nigdy szczególnie się nad tym nie zastanawiałem.

– Dawno temu Specjalne Oficjum myślało, że Nieznani to nieczysta klika w pałacu Chiaro. Zakładam, że ich podejrzenia się nie potwierdziły. Od czasów studenckich ani razu nie słyszałem, by ktoś o nich wspominał w mojej obecności.

Tej nocy na pokładach statków panowało napięcie. Manewr miał zaskoczyć ludzi na brzegu. Czy się uda?

Hecht często się budził.

Nadszedł świt. W zasięgu wzroku znajdowała się właściwa liczba masztów. Nie stracili żadnego statku. Andrade uznał, że znaleźli się trzydzieści mil w dół wybrzeża.

Na brzegu podniosły się słupy dymu. Hechtowi wydało się, że mają w sobie coś panicznego.

Znajdował się trzydzieści mil od miejsca, w którym powinien pierwotnie wylądować. Zrywający się właśnie wiatr pozwolił im popłynąć tak szybko, że wrogowie już ich nie dogonią.

Wyładunek zaczął się po południu. Na brzeg trafiła dopiero garstka ludzi, gdy przyjaźni tubylcy poinformowali ich, że ledwie milę z powrotem na północ okręty mogą podплыnąć bliżej brzegu, co dramatycznie skróci czas wyładunku. Tubylcy okazali się brotheńskimi chaldaranami. Uskarżali się na coraz brutalniejsze prześladowania. Widok floty obudził w nich nierozsądną nadzieję, że to Patriarcha we własnej osobie przybywa im na ratunek.

Naczelnny Wódz zszedł na brzeg, gdy tylko uzyskał zgodę swej ochrony osobistej. Kiedy miał już stały łąd pod stopami, westchnął:

– To czyste szaleństwo. Musi być jakiś inny sposób. Gdybyśmy natrafili tu na jakikolwiek opór, wyrzneliby nas w pień. – Nie zwracał się do nikogo w szczególności, choć obok miał Redfearna Bechtera, Dragona Proseka, Titusa Consenta i Jokaia Svladę. – Titus, pogadaj z tymi ludźmi. Postaraj się wyczuć sytuację. Znajdź jakichś przewodników. Spodziewam się, że wkrótce będziemy musieli odeprzeć silny atak. Czy powinniśmy brać pod uwagę udział Nocy po stronie wroga? Informuj Proseka.

Nocą statki odpłynęły do Sheavenalle. Na brzegu stał już ufortyfikowany na modłę Starego Imperium obóz. Otaczała go drewniana palisada, przed którą biegł rów. Zwiadowcy w towarzystwie lokalnych przewodników rozpełzli się po okolicy.

Dwie mile dalej na wybrzeżu, na południowym brzegu strumienia, który tubylcy nazywali rzeką, znajdowała się wioska rybacka chytrze nazywana Porto. W czasach imperialnych nosiła jakieś inne miano i była znacznie większa, ponieważ znajdowała się na końcu szlaku handlowego biegnącego cieśniną, która istniała w owych czasach. Wieśniacy byli dumni ze swej historii, religii i dialektu, który wykazywał znacznie większe podobieństwa do starobrotheńskiego niż współczesne narzecza Firaldii. Od upadku Imperium przydarzyły im się niezliczone zmiany na gorsze, w miarę jak Arteciępa przechodziła w ręce kolejnych najeźdźców. A równocześnie zawsze tuż za horyzontem czekała pogańska nawała.

Piper Hecht pierwszą noc na Artecipei spędził w charakterze gościa przywódców społeczności Porto. Upierali się widzieć w nim zbawcę. Nie marnował czasu na wyprowadzanie ich z błędu.

Hecht uzyskał dość informacji od mieszkańców Porto, aby zdobyć pewność, że faktycznie będzie się musiał zmierzyć z nadciągającą pogańską inwazją. W sile, która wszystkich wprawiła w zdumienie. Jakimś sposobem Rudenesowi Schneidelowi udało się powołać pod broń osiem tysięcy ludzi, którzy mieli zepchnąć Patriarchalnych z powrotem do morza.

Syn lokalnego kacyka, posługujący się niebywałym nazwiskiem Pabo Bogo, powiedział Hechtowi:

– Jeżeli rozbijesz tę hałastę, wojnę masz wygraną, sir. Dalej na południu nie może być ich aż tak wielu. Powiadają, że Sonsanie, Plataduranie i żołnierze króla Piotra oczyścili już dwie trzecie Wysokich Atafile. Tylko magia złego czarownika stoi na drodze ich ostatecznego sukcesu.

– Zrobię co w mojej mocy. – Hecht miał nadzieję wykorzystać rzeźbę terenu dla skompensowania przewagi liczebnej wroga.

Transportowce odpłynęły. Dwa platadurańskie okręty wojenne zakotwiczyły blisko brzegu, żeby posłużyć za platformy artyleryjskie.

Pierwsi poganie pojawili się po południu. Dzika i obszarpana zgraja kojarzyła się Hechtowi z grolsacherskimi uchodźcami, których widywał w Connec. Spływali potem po męczącym pędzie na południe, byli zdrożeni, spragnieni i głodni. Hecht swoje widoczne siły rozlokował tak, aby mieć słońce za plecami. Poganie widzieli tylko garstkę ludzi dzielących ich od jedzenia i wody w obozie patriarchalnym.

Przybywali kolejni – rodzinami, klanami i szczepami, nie zaś w szyku armii. Niektórzy próbowali podbiegać na odległość rzutu oszczepem. Poleciały na nich pociski z kusz i łuków. A kusznicy, choć nieliczni, znali się wyjątkowo dobrze na swojej robocie.

Z każdą chwilą pogan było coraz więcej. Wreszcie spróbowali bezładnej szarży. Ponieśli wielkie straty, a nie mogli się poszczycić żadnym sukcesem. Mimo to kwadrans później znów spróbowali.

Hecht stał w otoczeniu gromady swych ochroniarzy na niskiej wieży i z niedowierzaniem przyglądał się wrogom. Poganie jakby się uparli, żeby robić wszystko tak, jak sobie tego życzył.

– Wygląda na to, że przybywają ich wielcy dowódcy, Wodzu Naczelny. – Mówiący wskazał ręką.



Pojawiła się zgraja pod sztandarami i proporcami. Za nią szła bezładna masa pogańskiej ludności. Zagrzmiały jakieś rogi i tamci zatrzymali się na krótko. Kiedy rogi zagrały znowu, wycie dobyło się z pogańskich gardeł, a potem wszyscy razem runęli szarżą, jakby się chcieli przekonać, kto pierwszy umrze. Sam impet ludzkiej masy o mało nie przełamał szeregów Patriarchalnych.

– Nie zostawiłem tam dość ludzi. Nie przewidziałem liczebności i tego, że wróg zgromadzi ich tak szybko – mruknął Hecht.

Skromna siła ciężkiej kawalerii, jaką dysponował, ukryta w lesie na prawej flance wroga, zorientowała się w niebezpieczeństwie. Przypuścili szarżę. A okręty wojenne wystrzeliły z balist, co miało służyć zadaniu raczej psychologicznych niżli realnych strat.

Ciężka kawaleria miała się przebić przez szyk wroga, uwolnić od niego, zawrócić, a potem szarżować znowu. Niestety stracili impet. Poganie walczyli w zbyt gęstym szyku.

Najlepsza piechota Hechta czekała w jarze za stanowiskiem ciężkiej kawalerii. Kiedy zobaczyli, że szeregi broniące obozu zaczynają się uginać, wyszli w szyku na pole bitwy.

Hecht pchnął do boju rezerwy piechoty.

– Ci głupcy myślą, że wygrywają. Nie widzą, w jak paskudną wpadli pułapkę. Ironizuję! – warknął na widok zmieszania na twarzy ochroniarza.

Wszystko wskazywało na to, że nawet rezerwy mogą się okazać niewystarczające. Kolejni poganie nadbiegali i dołączali do bitewnego chaosu. Ale im później docierali na miejsce, tym bardziej byli wyczerpani.

Godzinę po rozpoczęciu boju tempo walki spadło. Wojownicy Hechta też byli już zmęczeni.

Ostatki patriarchalnej piechoty wyszły z ukrycia na południe od pola bitwy, truchtem zmierzając na pozycje blokujące wrogom drogę ucieczki. Manewr jakoś umknął uwagi pogan, póki Patriarchalni nie związali bojem przybyłych w ostatniej kolejności na pole bitwy.

Pogańscy wodzowie zrejterowali. Trudno im się dziwić. Plemiona rodziły zażartych, dzielnych wojowników, którzy jednak nie wiedzieli, co to dyscyplina i organizacja. Nie szkolili się do walki jako armia.

Hecht dał sygnał lekkiej kawalerii, czekającej w obozie. Bitwa weszła w fazę pościgu.

Hecht zszedł z wieży. Nie miał ochoty przyglądać się rzezi.

Jeżeli poganie zdecydują się uciec na tereny południowej Artecipei, czeka ich tam następna katastrofa. Kolejni żołnierze patriarchalni czekali na nich w miejscu, gdzie łąd zwięzał się w filigranowy, niski przesmyk.

– Kilku uciekło – poinformował Clej Sedlakova. Na krótko wraz z lekką kawalerią też wziął udział w bitwie, przywiązany do siodła. – Zawsze tak jest.

– Miejmy nadzieję, że przynajmniej na jedno pokolenie udało się wybić im z głowy chęć do walki.

Żołnierze doliczyli się prawie pięciu tysięcy poległych. Wciąż znajdowano kolejne ciała.

Kacyk Porto był wstrząśnięty rozmiarami rzezi.

– Tego roku zima w górach będzie ciężka.

– Reszta ich życia będzie ciężka, zbyt dużo utracili rąk do pracy – powiedział Hecht. – Kiedy już dorwiemy tę bestię, Schneidela, świat stanie się lepszy. Przejdę się po obozie i porozmawiam z ludźmi.

Jego ochroniarz zaprotestował:

– To nie jest mądre, sir. Jeżeli nastąpi kontratak, najlepszą porą jest dzisiejszy wieczór. Ludzie są zupełnie skonani. Najlepiej zostań tutaj, w otoczeniu falkonetów. – A więc głównie przejmował się Nocą, a nie kontratakiem pogan.

– Przejdę się po obozie. – Hecht czuł potrzebę wyładowania nerwowej energii.

– Jak sobie życzysz, sir. – Tonem skrajnie nieszczęśliwym.

– Życzę sobie.

W pierwszej kolejności Hecht odwiedził namioty szpitalne. Nieliczni chirurdzy byli zawaleni robotą. Pomagali im wszyscy weterani potrafiący wykonywać drobne zabiegi w warunkach polowych. Hechta powitali wesoło. Niektórzy z rannych byli uszczęśliwieni jak szczeniaki tym, że przyszedł ich odwiedzić.

– Co ci ludzie tu robią? – Miał na myśli mieszkańców Porto, których właśnie poddawano jakimś zabiegom, ale ostatecznie objął gestem również kilkunastu schwytanych pogan. Dlaczego marnować siły i środki na ludzi, którzy jeszcze kilka godzin temu chcieli ich pozabijać?

– Tubylcy odnieśli rany, pomagając nam ścigać uciekinierów z pola bitwy. Ci poganie to ponoć jacyś ważni wśród swoich. Miejscowi twierdzą, że może zechcą przejść na naszą stronę.

Hecht z początku miał ochotę kazać wszystkich pozabijać. Ale jeśli dałoby się spacyfikować północną Artecipecę... To była nadzwyczaj korzystna sposobność.

– Na razie niech tak zostanie. Jeżeli naprawdę tego chcą, a nie kłamią, coś razem wymyślimy. Widział ktoś prowincjała? Nigdzie nie mogę go znaleźć.

– Dircjanina? – zapytał Redfearn Bechter.

– Najlepiej. Jeżeli gdzieś pałęta się jakiś inny, też może być.

– Prowincjał de Herve odpłynął razem z flotą.

– Odpłynął, tak?

– Myślałem, że wiesz.

– A Łowca Czarownic? Svlada? Gdzie on jest?

– Tutaj, Naczelnym Wodzu – odezwał się Svlada z głębi namiotu. – Zszywam ludzi.

– Dobrze. Chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił. Dlaczego de Herve uciekł?

– Nie wiem. Może uznał swoją robotę za zakończoną.

To idealnie pasowało do podejrzeń Hechta.

Kilka chwil później dotarł na miejsce, gdzie doglądano zwierząt. Usłyszał znajomy głos.

– Bo? To ty?

Biogna podskoczył, jakby zobaczył ducha.

– Och! Sir. – Powiódł spojrzeniem po ochronie. – Zaskoczyłeś mnie.

– Co ty tutaj robisz?

– Pomagam Joemu. W takich sytuacjach zawsze przydaje mu się towarzystwo przyjaciela. Zupełnie się rozkleja w obliczu nieszczęść spotykających zwierzęta.

– Ja też nie mogę na to patrzeć – przyznał Hecht.

Za niewielkim ogniskiem Biogny dostrzegł Żelaznego Wieprza, muła Po Prostu Zwyczajnie Joego. Ściśle rzecz biorąc, Joe złamał wszystkie zasady, biorąc ze sobą muła na Artecipecę. Żelazny Wieprz nie wykonywał żadnej pracy.

– Pipe. – W krąg światła wszedł Po Prostu Zwyczajnie Joe. Miał ze sobą wielką miedzianą miednicę pełną instrumentów chirurgicznych i zabarwionej krwią wody.

– Joe. Źle było?

– Jestem zadowolony tylko z tego, że nie masz taktycznego bzika na punkcie kawalerii. Nie musieliśmy zbyt wielu uspić. Ale nawet jeden jest

powodem do łez.

Hecht czuł smutek tchnący od Po Prostu Zwyczajnie Joego, tak intensywny, że jemu samemu łzy napłynęły do oczu. Położył rękę na ramieniu Joego, podczas gdy tamten czyścił swoje instrumenty. Nie miał prawa ich posiadać, jak nie miał prawa mieć Żelaznego Wieprza. Będą skargi. Naczelny Wódz zignoruje je, kiedy do niego dotrą.

– Trzymaj się, Joe. Jesteś najlepszym z moich ludzi. – Odszedł, zostawiając tamtego jego powołaniu.

Hecht nie znalazł powodów do narzekań. Armia dochodziła do siebie.

Wspiął się na swoją wieżę obserwacyjną, spojrzął w czerń bezksiężycowej nocy. Nad morzem gwiazdy dawały dość światła, by dostrzec zarysy toczących się grzywaczy. Na lądzie wśród drzew niczym świetliki tańczyły ognie pochodni. Wkrótce usłyszał śmiertelny okrzyk, wtedy zrozumiał. Chaldaranie z Porto ekspediowali w zaświaty swych pogańskich rodaków za łupy niewarte zapewne złamanego grosza.

W Porto płonęły jasne ognie. Świątowali?

Popatrzył na osadę. W trakcie trwania bitwy przyszło mu do głowy pytanie, które chciał zadać tym ludziom, choć teraz za żadne skarby świata nie potrafiłby sobie przypomnieć, jak brzmiało.

Usłyszawszy kolejny rozdzierający jęk w głębi lasu, poczuł, że opuszczają go resztki sił. Zmęczenie zważyło się na niego jak głaz.

– Dobra, ludzie. Mam dość. Idę się przespać.

Szczeknął jeden z falkonetów. Tylko raz.

– Pewnie fałszywy alarm.

Ale kiedy dotarł na miejsce, zobaczył, że jedna ze ścian jego schronu dymi. Kait Rhuk spojrzął mu w oczy, a potem zrobił wielkie przedstawienie, wkładając drobny jajopodobny przedmiot do małej żelaznej szkatułki. W środku znajdowało się już kilkanaście mu podobnych, które Drago Prosek zebrał w Sheavenalle.

Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy patrzyli na Hechta.

– Zrozumiałem. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Nie pozwolił swoim ochroniarzom wejść za sobą do środka.

W nocy męczyły go straszne koszmary.

Ktoś szarpał Hechta za ramię.

– Obudź się, chłopie.

Hecht poderwał się na posłaniu, nie do końca świadom, że nie znajduje się już w objęciach zmory, która ścigała go przez sen. Ale nie zdołał się podnieść nawet do pozycji siedzącej. Dziewiąty Nieznany dysponował zadziwiającą siłą.

– Uspokój się.

Hecht się uspokoił. Z wysiłkiem.

– Miałem złe sny.

– Mało prawdopodobne. Oni wiedzą, co się stało. Ścigają cię. Dzięki amuletowi nie mogą cię znaleźć. I dzięki pierścieniowi. Istoty, które przeciwko tobie wysyłają, zapominają, co mają robić, gdy tylko się do ciebie zbliżą.

– Oni?

– Rudenes Schneidel. I byt, który próbuje wskrzesić. Seska.

– Ścigają mnie w snach?

– W świecie jawy nie mogą się do ciebie zbliżyć, ani we dnie, ani w nocy.

– Wobec tego nie powinienem spać?

– Nie. Jesteś bezpieczny. Zawsze znajduję się w pobliżu. Ufaj amuletowi, pierścieniowi i mnie. Oraz swojej ochronie osobistej. Wszystko będzie dobrze. Tak na marginesie, twoje podejrzenia są całkiem usprawiedliwione.

– Jakie podejrzenia?

– Na temat tego, że ciebie i twą armię wysłano tutaj głównie z tego powodu, żebyś nie mógł interweniować w Firaldii.

We wnętrzu schronu paliła się pojedyncza świeca. Wódz Naczelny nie pozwalał sobie na więcej światła i ciepła.

– Ja to podejrzewałem?

– Czy coś podobnego. Patriarcha spodziewa się, że przez całe lata będziesz ścigał Rudenesa Schneidela. O moim istnieniu nie ma pojęcia. A kiedy już pokonasz Schneidela, bynajmniej nie ma zamiaru wycofać cię z Artecipei. Choć może uratuje cię król Piotr.

– Uratuje mnie? Czemu?

– Podczas gdy my byliśmy zajęci w Connec, a Brothe czekało na nowego Patriarchę, al-Halambra dorobiła się nowego kaifa. Tym razem nie jest to direcjański pramanin, ale starej daty, zaprzysięgły wierny spoza Gebr al Thar. Jakiś Sabuta coś tam al-Margrebi. Głosi świętą wojnę o odzyskanie utraconych prowincji w Direcji. I nie tylko. Tysiące wojowników już pokonały Gebr al Thar. Wieści szerzą się po naszej stronie Morza

Ojczystego. Pacificus będzie musiał wezwać do prawdziwej krucjaty, jeśli nie ma zamiaru dopuścić do porażki króla Piotra.

– Wielka wojna w Direcji powinna nam pokazać, jakim naprawdę wojownikiem jest król Piotr.

– I jak silna jest jego władza nad pramańskimi sprzymierzeńcami.

– Na czym polega moja rola w tym wszystkim?

– Dla ciebie nie przewidziano żadnej roli. Ty będziesz tutaj, próbując zgładzić Rudenesa Schneidela. Ale jeśli królowi Piotrowi nie najlepiej pójdzie, możesz liczyć, że wkrótce zobaczysz Direcję.

– Mam rodzinę w Brothe. Moi ludzie mają tam rodziny.

– Następnym razem, gdy zobaczysz się z Patriarchą, zapytaj, ile go to obchodzi.

– Powinienem zapytać też, jaki ma z nami problem.

– Dysponujesz siłą zdolną królów wynosić na trony. Masz wielką armię bystrych, doświadczonych żołnierzy, którzy są wobec ciebie lojalni. On ocenia cię podle tego, co zrobiłby na twoim miejscu, gdyby dysponował tym, czym ty dysponujesz. To powszechna słabość.

– Co radzisz?

– Wyślij ludzi do Brothe, żeby się przekonali, jak sprawy się mają. Znajdziesz w okolicy mnóstwo zdatnych do takiej żeglugi łodzi. Szybko skończ ze Schneidelem. Potem sam przeprow się na kontynent. Nikt ci nie zagrozi. Pinkus Ghort wciąż dowodzi Regimentem Miejskim, który od czasu, jak cudzoziemiec został Patriarchą, otrzymał odnowioną polisę na życie i wypasiony budżet. Ja i Muno też cię poprzemy.

– Brzmi nieźle. Sądzisz, że Rudenes Schneidel pokaże się może jutro rano i podda z własnej woli?

– Nie. Będziesz musiał poprowadzić swoich ludzi w Wysokie Atafle i wykurzyć go z Arn Bedu. Powinno się to okazać łatwiejsze, niż się powszechnie sądzi. Będę z tobą.

– Ty. Tak. Ostatnio coraz bardziej się zastanawiam, kim naprawdę jesteś, prapradziadku?

– Twoim prapradziadkiem właśnie. I Dziewiątym Nieznanym. Śpij.

Hecht miał już na końcu języka gniewne pytanie, ale sen porwał go gwałtownie niczym rekin.

Tym razem zmora senna nawet się doń nie zbliżyła.

Poganie wyciągnęli lekcję z pierwszej katastrofy. Żadnych dalszych walnych bitew. Natomiast ich partyzanckie wysiłki były mało skuteczne. W Skraju Connec Patriarchalni nauczyli się walczyć z partyzantką. Każda wioska czy warownia, która sprawiała kłopoty, przestawała istnieć. Te, które nie stawiały oporu, były tylko rozbijane. W każdej z nich Hecht głosił wszem i wobec, że jego wyłącznym celem jest czarownik Rudenes Schneidel.

Armia Naczelnego Wodza nieustępliwie parła ku Wysokim Atafile. I po drodze otrzymała wzmocnienie resztą sił z Sheavenalle.

Opór słabł. Powstanie Schneidela – jeśli zasługiwało na to miano – załamało się. Osiemnaście dni po wylądowaniu w pobliżu Porto Piper Hecht stał na stoku góry, patrząc na ostatnią twierdzę czarownika, Arn Bedu. Za jego plecami Morze Ojczyście rozciągało się zdumiewająco błękitnym przestworem, na pozór bezkresnym. Spoglądając na wschód, potrafił dostrzec majaczące zarysy sylwetek praman w służbie króla Piotra, którzy rozbijali obóz u podnóża góry. Jego sukcesy przyczyniły się znacznie do zmniejszenia ich trudności.

– Co cię tak bawi? – zapytał Redfearn Bechter.

– Spójrz. Tam są sami dobrzy pramanie. Ludzie, z którymi jeszcze nie tak dawno temu walczyliśmy. A dobrzy chaldaranie są tutaj, wszyscy razem zebraliśmy się, żeby zdobyć te góry i zgładzić aroganckiego poganina.

– Nie łapię dowcipu. Ale wszyscy mi mówią, że nie mam poczucia humoru.

– Nie będę polemizował. Może poinformujesz brata Jokaia, że byłbym wdzięczny, gdyby jego zwiadowcy przyjrzeni się dokładnie tej górze. Powiedz mu, żeby uważali. Nie tylko na pogan, ale dlatego że żołnierze króla Piotra też będą prowadzić rozpoznanie. Do diabła, powinniśmy się z nimi spotkać i uzgodnić działania. Tak wszystko urządzić, żeby im przypadła większa część chwały i większa działka umierania.

– Jesteś cynicznym bękartem. Sir. – To był Clej Sedlakova.

– Jestem. Tak sobie myślę, wnioskując z tego, co widzieliśmy w miasteczkach i wsiach, że na górze nie będzie wiele rzeczy wartych złupienia. Więc dlaczego ktoś inny nie miałby dostać po tyłku, pchając się tam pierwszy, omamiony niemądrym mirażem łupów?

– Ktoś idzie do nas z tamtego obozu – stwierdził Bechter.

– Wychodzi na to, że pułkownik Smolens też do nas dołączy – zauważył Sedlakova, wskazując ludzi wspinających się na górę z zachodu.

Smolens został eksmitowany z Sheavenalle przez prowincjała de Herve.

– Przepraszam, ale nie potrafiłem się sprzeciwić prowincjałowi, szefie. Po prostu zabrakło mi pary.

Smolens znalazł sobie miejsce i położył się. W jednej chwili obezwładniło go zmęczenie. Razem z nim przybył Madouc. Zwalił się na ziemię kilka stóp obok pułkownika. Hagan Brokke wciąż zmagął się z drogą po stoku, razem z innymi inwalidami wygnanymi z Sheavenalle.

Nie zapomną im tego.

Oddział sprzymierzony zatrzymał się, czekając na ich reakcję. Hecht rozejrzał się, szukając choćby mgnienia brązów. Nigdzie nic nie zobaczył.

– Prosek. Drużyna z falkonetem. Plus czterech ochroniarzy. I brat Jokai.

Jokai zaczął protestować. Hecht napomniął go:

– Przecież mamy z nimi współpracować. Na razie. Nie bardzo potrafisz się maskować. Więc nie zaszkodzi pokazać cię od razu. Niech wiedzą, że poważnie podchodzimy do sprawy. Potrzebujemy koni. Niech ktoś po nie pójdzie. Nie możemy wyjść pieszo na ich spotkanie. To nie wyglądałoby dobrze.

Wreszcie ruszyli. Dwaj ochroniarze z przodu. Dwaj z tyłu, za Dragonem Prosekiem, Kaitem Rhukiem i jeszcze dwoma falkonecistami. Jokai Svlada obok Hechta. Naczelnny Wódz nie mógł odżalować, że Titus Consent jest w Brothe, a nie tutaj. Jokai zapytał:

– Czy to, że wzięliśmy cały oddział, ma im dać do myślenia?

– Nie. Chciałem sam się z nimi spotkać. Ale ochrona by się zbuntowała.

– Czujesz się bezpiecznie? Przecież nie znasz tych ludzi.

– Jestem bezpieczny. Póki człowiek ze szczytu góry wciąż pozostaje u siebie.

– Wiatr tutaj jest bardziej kąśliwy.

Prawda. W miejscach ocienionych przez większość dnia zalegał śnieg. Miejscowi przewodnicy twierdzili, że tej zimy pojawił się po raz pierwszy.

Oddział tamtych ruszył w kierunku porośniętej trawą półki skalnej, niedaleko. Hecht wreszcie kątem oka wypatrył mgnienie brązów, które tak bardzo chciał zobaczyć. Nade wszystko zależało mu na towarzystwie Clovena Lutego.



Kiedy wszyscy jego ludzie znaleźli się na trawiastej półce, Hecht się zatrzymał. Obsada falkonetu ustawiła swą broń, starając się sprawiać w miarę możliwości niegroźne wrażenie.

– Oto barwna gromadka – szepnął Hecht do brata Jokai.

Tamci wyjechali im naprzeciw. Czterech Direcjan. Wśród nich jeden chaldarański biskup. Dwaj heroldzi lub giermkowie. Ostatni wyglądał na jakiegoś szlachcica. Hecht nie rozpoznał jego barw. Brat Jokai nie okazał się pomocny.

Ale Hechta nie interesowali Direcjanie. Całkowitą jego uwagę pochłaniali stojący za nimi pramanie. Zza skraju połaci trawy porastającej półkę przyglądali mu się Szkielet i Az. Aż tak bardzo nie zaskoczył go ich widok. Wiedział, że przebywają na wyspie, próbując rozwikłać zagadkę Rudenesa Schneidela. Ale nie spodziewał się po tej stronie Morza Ojczystego zobaczyć Nassima Alizarina. Na mgnienie oczy jego i Góry się spotkały.

Direcjański biskup podprowadził bliżej swego wierzchowca. Przyjrzał się uważnie towarzyszom Hechta – w ochroniarzach natychmiast rozpoznał Bractwo Wojny, ale widać było, że Proseka i Rhuka za nic rozszyfrować nie potrafi. Brat Jokai ledwie zasłużył sobie na jego przelotne spojrzenie. Raptem zobaczył coś za lewym ramieniem Hechta, ponieważ zamarł z otwartymi ustami.

– Biskupie?

Tamten nie potrafił wykrztusić słowa.

Czekaj! Wszyscy wokół stali całkowicie nieruchomo. Jakby czas się zatrzymał. Ale przecież biegł. W oddali ptaki polatywały ponad direcjańskim obozem. Z boku siedział na głazie Cloven Luty niczym anachoreta na swoim słupie. Stary wyszczerzył się szeroko, uniósł kciuk, potem wskazał dłonią.

Góra, zdumiony i skonsternowany, rozglądał się ostrożnie dookoła.

– Czary – powiedział Hecht, sprawdzając, czy jest w stanie mówić.

Spojrzenie Nassima spoczęło na nim. Jego kontuzja pogłębiła się jeszcze bardziej.

Hecht zrozumiał. Luty zatrzymał czas dla wszystkich prócz siebie, Hechta i Góry. Ale to nie mogło potrwać długo.

– Co ty tu robisz?

– Zabili Hagida. Ale wieść dotarła do mnie. Dziękuję.

– Wiesz kto?

- Ten z góry. Rudenes Schneidel.
- I?
- Tak. O tym też wiem. Szakal. Jego kolej nadejdzie.
- Bardzo muszą za tobą tęsknić w al-Karn.
- Może i tęsknią. A może nigdy nie zrozumieją. Ani Gordimer, ani er-Rashal nie mają synów. Lew nie wie nic, zajmuje go tylko folgowanie swoim przywarom i sam jest sobie winien. Szakal snuje jakieś intrygi, które tylko on rozumie.
- Gordimer jest marionetką. I nie ma o tym pojęcia. Intryga er-Rashala obejmuje Seskę i własną nieśmiertelność. Zupełnie nie dba o Wiarę. To jest jedyne wytłumaczenie zdarzeń z ostatnich kilku lat.
- Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu – zgodził się z nim Nassim. – Po co mu były potrzebne te mumie?
- Nie wiem. Pewnie stanowią część jego starań o apoteozę.
- Co?
- Próbuje zmienić się w Delegaturę. Nie ma teraz czasu na szczegółowe wyjaśnienia. To zakłęcie nie potrwa długo. Musimy wleźć na górę i zabić Rudenesa Schneidela, który jest współnikiem Szakala.
- Wygląda na to, że nie będzie to łatwe.
- Nie mam zamiaru siedzieć tu i czekać.
- Musisz być gdzie indziej?
- Muszę. – Przynajmniej dopóki Pacificus Wzniosły będzie chciał, bym zginął gdzieś na tej wyspie.
- Jeńcy twierdzą, że nie spodziewali się oblężenia.
- Mimo to my możemy pierwsi umrzeć z głodu – przedstawił swoją sytuację Hecht.
- Są tu jakieś statki. Arceipea jest wyspą. Czyż nie?
- Jest. Ale ludzie, którzy są z tobą, są poddani króla Piotra i syndyków Platadury. A Piotr pociąga za sznurki mojego Patriarchy.
- Rozumiem. Zakłęcie powoli przestaje działać. Hecht zobaczył czyjeś powolne mrugnięcie oka.
- Coś jeszcze? Szybko. Drugi raz nie będziemy mieli takiej okazji.
- Jeszcze jedno. Rudenes Schneidel jest mój. Cokolwiek tobie zrobił, roszczę sobie do niego prawo.
- Zgoda. Ale zajmij się pozostałymi...
- Cloven Luty wykonał ostrzegawczy gest dłonią.

Powietrze zadrżało. Wszyscy zaczęli się z powrotem ruszać. I na wszystkich twarzach pojawił się identyczny wyraz zdumienia. Kilku jak jeden mąż wykrztusiło:

– Co się stało?

– Zostaliśmy trafieni jakimś zaklęciem – odpowiedział brat Jokai. – Sprawdźcie, jak na was podziałało.

Nikt nie odkrył nic niezwykłego. To tylko przyczyniło się do podwyższenia napięcia.

– Jesteś naszym głównym czarownikiem, Jokai. Zrób coś, żeby nas to znowu nie spotkało – powiedział Hecht i zwrócił się do oddziału direcjańskiego: – Panowie. Jestem Piper Hecht, Wódz Naczelny Patriarchy. Jego Świątobliwość życzy sobie, abyśmy zdobyli tę fortecę, a jej mieszkańców zmusili do zapłacenia kary za apostazję. Zakładam, że tego samego chce król Piotr. Żaden z nas nie wróci do domu, dopóki nie wykonamy tego zadania. Może więc zastanowimy się, co należy zrobić.

– Hercule Jaume de Sedilla, hrabia Arun Tetar – powiedział Direcjanin przewodzący delegacji. – Wicekról Artecipei w imieniu króla Piotra.

Hrabia miał chyba jakieś kłopoty z oczyma. Mimo to dzielnie prezentował po kolei swoich towarzyszy. Nassima przedstawił jako Shake Malika Nunhora al-Healtiki. Shake Malik ocalał z krucjaty calzirskiej. Z braku dalszych perspektyw al-Healtiki wystawił kompanię weteranów i najął się na służbę u króla Piotra.

Chytry Nassim.

W jego kompanii byli Szkielet, Az i pozostali ocaleli z oddziału komandosów Else'a Tage'a.

Shake Malik był pomniejszym kapitanem w wojskach pramańskich. Głównodowodzącym okazał się nadzwyczaj tłusty człowiek z Shippen, posługujący się tylko imieniem: Iskandar.

Oblężenie Arn Bedu toczyło się na tradycyjną modłę, choć warownia przycupnęła na szczycie najwyższej i najbardziej posępnej góry w Wysokich Atafie. Iskandar i hrabia Hercule działali na jej wschodnim stoku. Naczelny Wódz i jego siły operowały wzdłuż znacznie mniej dostępnego zachodniego zbocza. Wszyscy robili to, co robią zwykle oblegający – ale w tempie spacerowym. Nie przeszkadzało im to, że przyjdzie zaczekać. Na pozostałych obszarach wyspy pogańskie powstanie wygaszło.

W miarę jak dni i tygodnie stawały się miesiącami, Hecht coraz bardziej martwił się o Titusa Consenta. Gdzie on się podziewał?

Wielki, potworny czarownik zagrzebany w Arn Bedu nie urządził ani jednego pokazu swoich osławionych mocy.

Hecht i Sedlakova spróbowali podkopu. Ale zmurszały, miękki kamień na powierzchni szybko ustąpił twardej, litej skale. Mimo to prace trwały. Ludziom trzeba było dać coś do roboty.

Górnictwo stało się prawdziwym przemysłem.

Hecht zostawił te rzeczy swoim sztabowcom. Sam poszedł na wybrzeże i wynajął łodzie, żeby przywiozły jedzenie z Sheavenalle. Zamustrował szpiegów na pokłady. Ci ludzie dostarczali mu wieści z szerokiego świata. A świat bardzo się zmieniał. Kościół całkowicie zrezygnował z krucjaty conneckiańskiej. Pacificus Wzniosły wydawał kolejne bulle wzywające wszystkich episkopalnych chaldaran do przyłączenia się do króla Piotra podczas krucjaty w Direcji. Anne z Menandu przysięgła wesprzeć siłami ludzkimi i bogactwami Arnhandu wysiłki odparcia spodziewanej ofensywy pramańskiej. Rycerze z Arnhandu, Santerinu i kontynentalnych terytoriów Santerinu ruszali już w drogę. Podobnie brotheńscy rycerze episkopalni z Imperium Graala, zachęceni przez Imperatorową Katrin.

Pojawiały się pogłoski, że po klęsce niewiernych w trakcie powrotu do domu rycerstwo Anne z Menandu może zechcieć przyjrzeć się bliżej Connec.

Pozostałe wieści były znacznie mniej ekscytujące. Nowy Patriarcha rozbroił swoich wrogów w Brothe. Inaczej niż jego pamiętny poprzednik, Ornis z Cedelete. I poradził sobie bez sprowadzania do domu armii patriarchalnej. Co świadczyło dobrze o politycznych umiejętnościach Pinkusa Ghorta.

Hecht rzadko miewał okazję do rozmowy ze swoimi znajomymi z drugiego obozu.

W końcu powrócił Titus Consent. Na czele niewielkiej floty.

– Dzięki, że mnie wysłałeś – powiedział na powitanie. – Musiałem zobaczyć mojego nowego syna. Noë dała mu na imię Avran. Ale przecież nie pojechałem tam, by jej przypominać, że się nawróciliśmy. A więc niech będzie Avran.

Consent podał Hechtowi szkatułkę z listami. Kilka było od Anny i dzieci. Pozostałe od prowincjała Delariego i paru innych znaczących ludzi, którzy

chcieli odeń czegoś.

– Jak Anna i dzieciaki?

– Widziałem się z nimi tylko raz. Musiałem trzymać głowę nisko. Masz szczęście. Tęsknię za tobą bardziej niż moi za mną.

– Ktoś się zorientował, że jesteś w mieście? – Głupie pytanie. Oczywiście, że ktoś się zorientował. W przeciwnym razie nie miałyby przy sobie listów. – Masz dla mnie nowe falkonety i proch strzelniczy?

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to prawdopodobnie dopiero po moim wyjeździe. Przynajmniej jeżeli masz na myśli tych, którymi powinniśmy się przejmować. – Zmarszczył brwi, jakby sobie coś właśnie przypomniał. – Przywiozłem wszystko. Wszystko, co byłem w stanie zdobyć. Więcej, niż prosiłeś. Przede wszystkim dlatego, żeby nie wpadły w ręce kogoś innego. Ci, którzy weszli w ten biznes, ciężko pracują. Wiedzą, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci za skuteczniejszy środek zabijania ludzi.

– To nie ludzi chcę pozabijać. Z tym nigdy nie miałem kłopotów. Interesuje mnie Noc.

– Noc jest na naszej łasce i niełasce. Więc zobaczymy, co możemy zrobić z jej służą na tej górze.

Madouc, który już wystarczająco doszedł do siebie, aby wziąć się do swej roboty, zareagował na tę propozycję zmarszczeniem brwi. Nie spodobała się też kilku pozostałym członkom ochrony osobistej Hechta. Wyraźnie odpowiadała im taka luzacka wojna, póki mieli co jeść i pić, a żołąd dostawali na czas – choć w Wysokich Atafile nie było go na co wydawać.

– Jak nas postrzegają w Brothe? – zapytał Hecht. – Będą problemy, jeśli spróbujemy wrócić do domu?

– Kto mógłby cię powstrzymać? Jeżeli znajdziesz sobie transport.

– Nie wiem. Nie potrafię się rozeznąć w tamtejszej sytuacji politycznej. – Przyglądał się ludziom ciągnącym nowe baterie falkonetów, baryłki z prochem, skrzynki z amunicją i pozostałą broń. Większość z nich wolałaby pewnie pracować w sztolniach bitych pod Arn Bedu. Przynajmniej nie musieliby się wspinać na górę ze stufuntowym obciążeniem. Żołnierze z direcjańskiego obozu też się im przyglądali, wyraźnie zbici z tropu. Podejrzewali, że Hecht chce wyciąć jakiś numer.

– Mam jeszcze inne wieści.

Hecht usłyszał w głosie Consenta osobliwą nutę.

– Może powinniśmy omówić je na osobności.

– I tak rzecz długo nie utrzyma się w tajemnicy. Nie płynąłem sam. Poza tym nie sądzę, by te kwestie kogoś jeszcze obchodziły.

– A mnie mogą obchodzić?

– Właśnie.

– A więc, skoro tych osłów i tak to nie obchodzi, mów.

– Hej! – obruszył się Madouc.

– Titus?

– Król Charlve nie żyje.

– I? Wiemy o tym już od miesiący.

– Po jego śmierci w Arnhandzie dużo się zmieniło. A teraz wygląda na to, że Anne próbuje kupić sobie również nowego Patriarchę.

– To znaczy?

– Ma listy z błogosławieństwem Wzniosłego. Posadziła Regarda na tronie Arnhandu.

Hecht zachichotał.

– Zapłaciła dosyć. My na tym też skorzystaliśmy.

– Obecnie chce czegoś więcej. Powołała cały dostępny jej feudalny zaciąg, żeby pomóc królowi Piotrowi powstrzymać Almanohidów.

– Co?

– Kogo. Almanohidów. Pramańskie plemiona z drugiej strony Grobli Gebr al Thar.

– Och. – Hecht w życiu nie zetknął się z nazwą tego ludu.

– Nowy kaif al-Halambry ich wezwał.

O tym Hecht wiedział. Zaczęło się to, zanim jeszcze opuścił Conneć.

– Postanowił pokonać Piotra, póki ten jeszcze bardziej nie urośnie w siłę. Jeżeli uda mu się zwyciężyć siły Piotra, ruszy dalej na północ. Ponieważ wie, że my jesteśmy na Artecipei, nie widzi przed sobą żadnych innych przeszkód.

Hecht zrozumiał przekaz między wierszami.

Nadciągała nowa burza. Czas zacząć się przyglądać sojusznikom, na wypadek gdyby niepewny alians miał się rozpaść.

Hecht powiedział:

– Należmy bojaźni Bożej w serca naszych przyjaciół. Pozwolimy im oglądać naszą broń miotającą w akcji. No właśnie, skoro już o tym mowa. Powinieneś zaraz znaleźć Dragona Proseka.

– Sytuacja w Direcji pociąga za sobą jeszcze inne interesujące konsekwencje. Patriarcha we własnej osobie odłożył na czas nieokreślony małżeństwo Imperatorowej Katrin z Jaime’em z Castaurigi.

Hecht nie zastanawiał się specjalnie nad sytuacją polityczną w Imperium Graala.

– Ciekawe.

– Chcesz usłyszeć coś jeszcze ciekawszego? Zostałeś zaproszony.

– Co ty mówisz?

– Anna pokazała mi list. Z pieczęcią imperialną. Podpisany przez samą Imperatorową. Kathrin domaga się obecności Naczelnego Wodza na mszy celebracyjnej. I tak dalej.

– Nie rozumiem.

– Ja ci nie wytłumaczę.

Czy chodziło o Helspeth?

– Wobec tego mam kolejną zagadkę, nad którą mogę rozmyślać w bezsenne noce.

– Mnóstwo tych zagadek, przez które nie można spać.

Hecht zmarszczył brwi. W głosie Consentia brzmiały nieszczęśliwe tony.

– Dlaczegoż to?

– Wśród moich devediańskich krewnych i znajomych znów były przypadki samobójstw.

– I? Nie rozumiem. Aż tak się przejęli twoim nawróceniem?

– Nie. Żaden z nich nie uwierzył, że wziąłem sprawę poważnie. Byłem Wybrańcem. Jak mogłem się uchylić? Dopiero teraz zaczyna to do nich docierać. Ale dalej współpracują. Wciąż sądzą, że mogą zyskać na tych kontaktach.

– Dalej nic nie rozumiem, Titus.

– Przejąłem się tymi ludźmi, którzy odebrali sobie życie. Znałem ich od dziecka. Nie potrafię uwierzyć, że któryś mógł aż tak bardzo ulec rozpacz. Devedianie oswojeni są z rozpaczą. Towarzyszy im całe życie. Jak najwierniejsza przyjaciółka. Nie zabiliby się.

– Więc co się dzieje?

– Nie wiem! Dlatego to takie straszne! Ludzie, którzy nie odebrali sobie życia w najgorszej niedoli, teraz popełniają samobójstwo na oczach świadków.

Hecht westchnął. Czuł ból Titusa. Ale co mógł zrobić?

– Mogę się za nich pomodlić, Titus. To wszystko. Nie znałem ich. Nie wiem, co ich popchnęło do tego czynu.

– Nie przejmuj się mną, Naczelnny Wodzu. Nowe falkonety są na miejscu, w tym te zaprojektowane przez Dragona Proseka. A oprócz tego tony amunicji i prochu strzelniczego. Jeśli chcesz rzucić wyzwanie Nocy, teraz jest odpowiedni moment.

– Dlatego właśnie musisz pogadać z Drago Prosekiem.

Pogańska warownia nie poniosła większych szkód wskutek działań tradycyjnej artylerii. Oblegającym nie udało się zbudować wielu machin. Drewna w okolicy było jak na lekarstwo. To, co było, należało ściągać z daleka po trudnym terenie, zanim mogło posłużyć do budowy.

I tylko amunicji było pod dostatkiem. Wokół same kamienie.

Falkonety też nie spowodowały poważniejszych zniszczeń. Ich pociski nie miały dość siły przebicia. Ale wykonane według zmodyfikowanych projektów Proseka miały większą szybkostrzelność od wcześniejszych modeli.

Proch i pocisk dla broni nowej generacji przedtem ładowało się do cylindra odlanego z żelaza, który przytwierdzało się do otworu we wzmocnionej podstawie lufy falkonetu. Wystający obrotowy sworzень, który wpasowywał się w odpowiednie wgłębienie, utrzymywał cylinder na miejscu. Obrót sworznia odsłaniał wywiercony otwór. Podsypany w ten otwór proch strzelniczy można było odpalać wolnotłącym lontem. Cylinder dawał się szybko wymieniać. Zużyty można było naładować w dowolnym czasie, podczas gdy sama broń wchodziła w kolejny cykl strzelania.

Hecht z większym spokojem patrzył teraz na swoje szanse w obliczu zainteresowania Nocy. Ale nowa broń, proch strzelniczy i amunicja kosztowały tyle, że w kasie armii pokazało się dno. Mimo zwycięstw w Connec i przechwyty transportu złota z Salpeno pieniędzy nie starczy do końca lata.

Ciężka praca w sztolniach trzymała żołnierzy z dala od kłopotów. Ale przecież potrzebowali też jakiejś rozrywki. Armia zaczynała powoli sarkać. Niektórzy narzekali, że ich Naczelnny Wódz nie wykazał się odpowiednią stanowczością wobec Brothe. Uważali, że ich generał powinien powiedzieć patriarszemu legatowi, aby to nowe zadanie potraktował jak papier toaletowy.

Titus Consent zaproponował:



– Kilka burdeli u podnóża góry sprawdziłoby się znacznie lepiej niż praca po piętnaście godzin dziennie w sztolniach i przy kopaniu okopów. Zwłaszcza kiedy ci ludzie po drugiej stronie góry nic nie robią.

Nic nie robili, ponieważ hrabia Hercule i jego pramańscy sojusznicy spoglądali na siebie równie podejrzliwie, co na Arn Bedu. Jedni i drudzy oddzielnie informowali Naczelnego Wodza, że nie widzą żadnego sensu robienia czegokolwiek. Czas był najgroźniejszą bronią w ich arsenale.

Hecht, również oddzielnie, informował tamtych:

– Chcę jak najszybciej wrócić do domu. A moim ludziom nie staje cierpliwości.

Góra i Az albo Szkiolet byli zawsze w pobliżu, gdy Hecht rozmawiał z hrabią Hercule czy z Iskandarem. Ale nieczęsto miał okazję ich spotykać. Dziewiąty Nieznany też jakoś nie spieszył się z propozycjami ułatwienia komunikacji. Niemniej człowiek w brązach często się pojawiał, dostrzegany przez Hechta kątem oka.

Redfearn Bechter każdego dnia donosił mu, że tamtego widział. Martwił się. Nie wierzył już w zapewnienia Naczelnego Widza o jego całkowitej ignorancji w tej sprawie.

Natomiast Cloven Luty potrafił sobie poradzić z organizacją spotkań z Hechtem. Zazwyczaj następowały głęboką nocą, w czasie gdy sen jest cenniejszy od rubinów. Stosował jedną z tych swoich sztuczek ze spowalnianiem upływu czasu. Celem byli ochroniarze na służbie, którzy wpadli w panikę, kiedy zaklęcie przestawało działać. W takich sytuacjach zawsze potem wiedzieli, że coś się stało. Ale nigdy nawet na jotę nie zbliżyli się do prawdy.

– Piper! – Stary mówił cicho, ale z wyraźnym napięciem. – Obudź się, Piper.

Hecht wymamrotał kilka słów i przewrócił się na drugi bok. Zdawało mu się, że zasnął ledwie przed chwilą.

– Dawaj, chłopie. Obudź się i słuchaj. Albo nie żyjesz. Już wkrótce.

To doń dotarło. Przynajmniej po części. Uchylił powiekę. I z bliska spojrzął w oczy Clovena Lutego.

– Co?

– Szykuje się zamach. W wykonaniu Nocy. Niedługo. Musisz się przygotować.

Hecht zaklął brzydtko i spróbował zamknąć oko.

W prawym pośladku poczuł ukłucie, jakby go ukąsiła pszczoła. Omalże nie wrzasnął. Opanował się tylko dzięki szkoleniu, jakie przeszedł w dzieciństwie.

Łzy napłynęły mu do oczu.

– Słuchasz już?

– Tak.

– Noc nadejdzie. Twój wielki wróg powiedział jej, gdzie cię może znaleźć. Dla Nocy to właśnie jest największym wyzwaniem, gdy sięga po nasz świat. Odnalezienie właściwego człowieka we właściwej chwili. Noc widzi nasz świat oczyma dotkniętymi krótkowzrocznością.

– Tak słyszałem. – Tonem sugerującym, że zrozumiał już, co Luty chciał powiedzieć.

– Musisz się przygotować.

Hecht uważał, że jest przygotowany.

– Słucham.

– Czas, żeby skorzystać z pierścienia.

– Hę? Pierścienia? – O czym tamten znowu gadał?

– Pierścienia, który zabrałeś Bruglionim. Tego, o którym wciąż zapominasz. Tego, który nosisz na łańcuszku na szyi razem ze swoim srebrnym gołębiem i żelaznym owocem granatu. – Symbolami najwcześniejszych dni wiary chaldarańskiej odrobionymi w metalach, których Noc bała się najbardziej.

Hecht wsunął dłoń za koszulę i wy dobył instrumenty swego symbolicznego maskowania. Złoty pierścień znajdował się między gołębiem i granatem.

– Skąd to się tu wzięło?

Dziewiąty Nieznany najwyraźniej nie miał ochoty na długie wyjaśnienia. Dotknął dłonią jego skroni. Wspomnienia powróciły.

– Włóż pierścień na palec.

– Hę?

– Wybierz palec. Dowolny. Najlepiej ten, na którym najciaśniej siedzi. Włóż pierścień. A potem włóż to na niego. – Luty podał mu kiczowatą błyskotkę wysadzaną drobnymi klejnotami.

Hecht przez czas jakiś zmagął się z pierścieniem, próbując go zdjąć z łańcuszka. Wreszcie wsunął go na środkowy palec lewej dłoni. Przez cały czas wydawało mu się, że ta przeklęta rzecz próbuje mu się wyslizgnąć.

Cloven Luty pomógł mu opanować nieposłuszny przedmiot, a potem siłą wsunął na palec odpustowy drobiazg.

– To dla zabezpieczenia. Nie zejdzie, póki sam go nie zdejmę. Dzięki temu pierścień zostanie na miejscu, póki nie uznam, że można go zdjąć.

Hecht zrobił, jak mu kazano, myśląc równocześnie, że pierścień wciąż może uciec. Gdyby tylko był w stanie doprowadzić do amputacji jego palca.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Uniemożliwiamy Nocy znalezienie celu wystawionego jej przez Rudenesa Schneidela i er-Rashala. Im bardziej się do ciebie zbliży, tym trudniej będzie się jej skupić na tobie. Trudniej skupić? Nie do końca o to mi chodzi. Ale jestem zbyt zmęczony, żeby znaleźć odpowiednie słowo.

– Wydajesz się dość rześki, żeby trzymać mnie na nogach przez całą noc.

– Zrobiłeś to, po co tu przyszedłem. Masz pierścień na palcu. Wciąż nosisz amulet. Teraz zniknę, a ty możesz dalej marnować życie na sen. I będziesz spać, póki nie obudzą cię twoi ochroniarze, przerażeni, ponieważ wydawać im się będzie, że zrobili coś, co wystawiło twe życie na niebezpieczeństwo.

Cóż, na imię Przeciwnika, miało znaczyć to ostatnie zdanie?

Stary człowiek dotknął go po raz drugi.

Sen przyszedł natychmiast.

Sen skończył się gwałtownie, jakby ucięty mieczem Faceta w Czerni, do wtóru szczekania falkonetów.

Piper Hecht budził się otępiały, próbując przypomnieć sobie imię bogini snów. Przez kilkanaście sekund wydawało mu się to najważniejszą rzeczą na świecie. Potem zrozumiał. To, co wydawało mu się grzmotem, grzmotem nie było, ponieważ tak wysoko w górach nigdy nie słyszano grzmotów – to była gardłowa mowa broni przeznaczonej do stępienia Woli Nocy.

Drago Prosek i jego pomagierzy wykonywali swoją pracę, zapewne od początku czujni i gotowi, jak im rozkazano.

Naczelny Wódz strząsnął z siebie dziwkę snu i usiadłszy na łóżku, spuścił stopy na ziemię. Z pomocą ochroniarzy, którzy uparli się wcześniej, że muszą być przy nim, tuż obok jego barłogu, podczas gdy będzie spał. Ci sami ochroniarze, którzy wcześniej się nie zorientowali, że odwiedził go Dziewiąty Nieznany.

Trzeźwiąca myśl. W sumie przecież tak łatwo ich zwieść.

Na niebie świecił tłusty księżyc, prawie w pełni. Zalewał Arn Bedu widmowym światłem. W jego promieniach można było dostrzec drużyny Dragona Proseka zajmujące się swoją hekatombą, podczas gdy reszta armii patriarchalnej przyglądała się, paplając w zdumieniu i zgrozie.

Jajo, ostateczny rezultat wysiłków falkonecistów, przyćmiewało rozmiarami tamto, które – zdawałoby się wieki już temu – pozostało po zgubie bogona w Lesie Estery. Dzisiejszej nocy musiał dać głowę przynajmniej jakiś pomniejszy bóg. Wyeliminowany szybko i skutecznie przez ludzi wykonujących po prostu swoją pracę i za pomocą amunicji specjalnie do tego celu zaprojektowanej.

Dlatego właśnie Noc drżała przed Piperem Hechtem. Zagłada Delegatur zmieniała się w zadanie nie bardziej skomplikowane niż wszelka inna krwawa kośba.

Jakież nowe perspektywy otworzą się przed sztuką wojenną, gdy ludzie zrozumieją, że mogą wzajem mordować swoich bogów?

Noc rozświetlił jaskrawy błysk gdzieś u podstawy północno-zachodniej baszty Arn Bedu. Chwilę później do uszu wszystkich doleciał huk głośny niczym łomot grzmotu. Tak donośny, że na moment wszyscy ogłuchli. Nie było wprawdzie słyhać łoskotu i zgrzytu kamieni, kiedy baszta i otaczający ją mur poddały się nieodpartej sile grawitacji, ale ziemia się zatrzęsała.

W skład miny podłożonej pod wieżę wchodziła prawie tona rafinowanego, silniej wybuchającego prochu. Lont zapalili strzegący miny wartownicy, którzy mieli rozkazy działać, gdy tylko Rudenes Schneidel spróbuje poszczuć Noc przeciwko oblegającym.

Naczelny Wódz popatrzył w kierunku oświetlonej księżycową poświatą kolumny dymu, skłaniającej się ponad rumowiskiem ku zachodowi. Pożałował, że nie ma w pogotowiu oddziałów szturmowych, które ruszyłyby do ataku, zanim jeszcze kupa gruzów się ustabilizuje.

Ale oddziały wkrótce ruszyły na Arn Bedu. Wielu żołnierzy uzbrojonych było w przenośną broń na proch strzelniczy, jak podczas operacji pojmania przez Hechta księcia Clearenzy. Tym razem jednak byli uzbrojeni przeciwko Nocy. Ich atak był cokolwiek beładny, niemniej doskonale wiedzieli, co robią.

– Zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje taka walka? – zapytał Titus Consent.

– Potrafię sobie wyobrazić – odrzekł Hecht. – Ale widzę też zwykłych facetów, jak ty czy ja, którzy szczerzą się od ucha do ucha, ponieważ właśnie zamordowali lilipuciego boga i zaraz zdobędą fortecę od zawsze uznawaną za niezdobytą. I przy żadnym z tych zadań szczególnie się nie napracowaliśmy. Ponieważ wiedzieliśmy, co chcemy osiągnąć, i wykonaliśmy dobrą robotę, żeby przygotować się na chwilę, gdy nadarzy się sposobność.

Przed wschodem słońca Hechta zmogło zmęczenie. Zostawił Arn Bedu na łasce i niełasce swoich oficerów. Przyjęta przez niego strategia sprawdziła się w całej rozciągłości. Jego weterani wykonali swą robotę, zupełnie nie dbając o Wolę Nocy.

Hecht uznał, że w chwili obecnej już nawet on sam powoli zaczyna rozumieć, czym zasłużył sobie na wrogość Nocy.

Spał już smacznie, zanim jego łącznicy dotarli do obozu sprzymierzeńców. Zaproponowali partyzantom króla Piotra udział w dobijaniu pogańskiej fortecy.

Szturm mógł spowodować duże straty, mimo początkowego szoku, jaki przeżyli obrońcy Arn Bedu.

Najbardziej wstrząśnięty i w istocie słaby okazał się przerażający czarownik Rudenes Schneidel we własnej osobie. Kiedy go znaleziono, w ogóle nie stawiał oporu.

Ochroniarze Hechta przekonali go, że podczas audyencji dla jego sprzymierzeńców celebrującej ostateczny upadek Arn Bedu politycznie właściwe będzie pokazanie się w pełnym mundurze galowym.

Góra przyszedł doń z jeńcem na arkanie, związanym i zakneblowanym tak mocno, że nie było najmniejszych wątpliwości, iż jest to ktoś znaczny, potężny i niebezpieczny. Na twarzy tamtego zastygł wyraz ostatecznego, niewykluczone że już na zawsze przyklejonego do niej zdumienia. To się nie może dziać naprawdę!

Iskandar, Shake Malik i hrabia Hercule jakoś w końcu zdołali zapanować nad swoim oszołomieniem. Przynajmniej na niwie oficjalnej. Ale wciąż zerkali na Hechta, jakby uważali go za kogoś więcej niż człowieka, którego mają przed oczami, albo jakby byli przekonani, że zaraz wydarzy się coś jeszcze bardziej niesamowitego. Miał ochotę na nich nakrzyczeć. Nie zrobił nic niezwykłego. Jego saperzy podkopali się pod mury, a potem podłożyli

pod nie minę. Drago Prosek i jego falkoneciści poradzili sobie ze stworami Nocy, które chciały przeszkodzić realizacji dzieła żołnierzy Boga.

Ich broń ułatwiła też sam szturm.

Obrońcy Arn Bedu byli martwi lub w niewoli. Włączywszy w to Rudenesa Schneidela, którego Hecht nie spodziewał się nigdy zobaczyć. Zakładał, że w trakcie ostatecznego zamieszania tamten ucieknie, podobnie jak uczynił to er-Rashał, kiedy padło al-Khazen.

– Znowu wszystko się zmieniło – mruknął Titus Consent. – Kiedy runął mur, rzeczywistość przeszła radykalną przemianę.

Hecht zrozumiał. Tym razem zobaczył kształt przyszłości, po raz pierwszy od czasu zgładzenia bogona z Lasu Estery.

Zdobycie Arn Bedu powinno trwać całe miesiące, jeśli nie lata dłużej. Gdy otrzymał nowy proch strzelniczy i broń, zabrało mu to kilka dni.

Odtąd już nigdy żadna forteca nie będzie się mogła zwać niezdobytą.

To jednak jeszcze potrwa. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ludzie nie lubili zmian.

Ruszył pod górę.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Madouc.

– Na górę, chcę się rozejrzeć.

– Myślisz, że nagle jesteś już bezpieczny?

– Mam taką nadzieję. – Zerknął przelotnie w stronę kłócących się Góry, Iskandara i hrabiego Hercule. Każdy z nich chciał Schneidela. – Zadbaj, żeby Nassim dostał swoją zdobycz.

– Co?

– Nic, tylko głośno myślę. Wódz tego oddziału z Calziru. Przybył tutaj, ponieważ Schneidel stał za morderstwem jego syna. Tak słyszałem.

– Schneidel próbował zabić ciebie i twoją rodzinę. Dlaczego ty go sobie nie weźmiesz? – zapytał brat Jokai.

– Ponieważ nie chcę kusić Specjalnego Oficjum złem, które otacza tego człowieka. A tylko Specjalne Oficjum byłoby w stanie dać sobie z nim radę. Więc niech go ukarzą pramianie.

Pramanin Nassim będzie wiedział, jak wykorzystać Schneidela przeciwko er-Rashałowi. A obecnie właśnie er-Rashał al-Dhulquarnen był najniebezpieczniejszym z żyjących ludzi. W opinii Pipera Hechta.

– Może masz rację. Może to i są niewierni. Ale niegodziwości i zadawania się z Nocą nie cierpią znacznie bardziej niż nasi autentycznie

wierzący.

Hecht wiedział lepiej, postanowił jednak zmilczeć. Był przecież tylko bystrym chłopakiem z północy, któremu się poszczęściło.

Wspiął się na górę. Ochrona osobista wlekła się za nim. Madouc sarkał przez całą drogę. Przed nim Prosek ze swoimi drużynami starał się odzyskać pociski wystrzelone podczas szturm. Parę mrocznych istot wyskoczyło przez wyłom w murze, falkonety poradziły sobie z nimi w kilka sekund.

Prosek podszedł do swego Naczelnego Wodza.

– Cylindry z ładunkami sprawdziły się doskonale, sir. Podobnie jak falkonety. Żaden nie wybuchł. Trzeba im to oddać, tym devom. Wiedzą, cholera, co robią, gdy przychodzi do odlewania mosiądzu.

– Dlatego dostali ode mnie kontrakt.

– Słyszałem, że niektórym się to bardzo nie spodobało.

– Bez wątpienia. Nikt nie lubi elitaryzmu.

Prosek zmarszczył brwi, zbity z tropu.

– On postanowił, że musi tam wetknąć swój nos – poinformował go Madouc. – Chodź z nami i weź kilka tych swoich przeklętych grzmotoplujów. On nie ma pieprzonego pojęcia, jakie piekło wciąż się kryje w tej kupie gruzów.

Hecht zatrzymał się w otwartej bramie Arn Bedu. O tym nie pomyślał. A przecież czuł natarczywe swędzenie lewego nadgarstka.

Wszystkie jego myśli zajmował Cloven Luty. Jaką rolę odegrał stary w upadku Arn Bedu?

Niewyobrażalne było, że wszystko poszło tak łatwo i szybko. Jedyne wyjaśnienie tego, że na końcu Rudenes Schneidel poddał się bez najmniejszego oporu, stanowiły jakieś działania Dziewiątego Nieznanego.

Kim, u diabła, był ten starzec?

– Arn Bedu nigdy nie miało być niczym więcej jak miejscem schronienia, kryjówką – powiedział. Brama jest zbyt wąska, żeby poprowadzić przez nią porządną wycieczkę.

– Chłopcy znaleźli znacznie więcej zapasów, niż przypuszczaliśmy – wtrącił Prosek. – Mogliby tu siedzieć przez całe wieki. Chyba że woda by się im zepsuła. Jeńcy twierdzą, że do wody wyciekało coś z kamienia użytego do budowy cystern.

– Co?

– Podobno jakaś wolno działająca trucizna. Arszenik czy co. Ich chłopcy cierpieli od tego na konwulsje. Większość jeszcze nie doszła do siebie. I nikt nie myślał jasno. Facet, który nimi dowodził, radził sobie w ten sposób, że pił tylko wino.

Rudenes Schneidel był pijany? To mogłoby wyjaśniać jego bierność.

Kiepska woda i zbyt dużo wina mogły oznaczać, że jednak Dziewiąty Nieznany okazał się kluczem do zwycięstwa.

Ale Hecht jakoś tego nie kupował. Przynajmniej nie do końca. Choć z pewnością Dziewiąty Nieznany po uszy tkwił we wszystkim. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Hecht nie wszedł do miasta, póki Drago Prosek nie podprowadził wszystkich swoich falkonetów.

Arn Bedu było smutną, opustoszałą ruiną. Śladów zamieszkania prawdziwych, żywych ludzi pozostało w nim niewiele. Jeńców też wzięto znacznie mniej, niż Hecht oczekiwał. Nie był to typowy zamek. Mury obronne nie okalały zwyczajowo spotykanych w zamkach wewnętrznych dziedzińców. Stanowiły po prostu zewnętrzne ściany budowli, w której wnętrzu panowały głębokie, gęste ciemności.

Kompulsywna ciekawość i potrzeba wściubiania nosa opuściły Hechta kilka chwil po wejściu do fortecy. Miejsce było nawiedzane przez rozpacz tak czarną, że kojarzyło się nade wszystko z okaleczonymi fragmentami Dawnych Bogów, jakie przywołano na świat w Skraju Connec. Rozpacz tak czarną, że wgryzła się w kamień, z którego zbudowane było Arn Bedu.

Dzieło Clovena Lutego?

Czy naprawdę stary jest aż tak potężny?

Niemożliwe. Musiałby być tym, czym starał się zostać Rudenes Schneidel.

Hecht naprawdę wolałby, aby stary nie wyrastał więcej jak tylko odrobinę ponad zwykłą ludzką kondycję.

Ochroniarze nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego. Drago Prosek i Kait Rhuk przyłączyli się do chóru. Chwilę później w ciemnościach przed nim eksplodował proch strzelniczy. Blask wystrzału rozświetlił korytarz typowy dla wnętrza fortecy wykutej w skale. Ale w korytarzu coś było. Coś, co przejęło wszystkich śmiertelników trwogą przed Nocą, trwogą, jaką znał rodzaj ludzki w czasach, gdy skupiony wokół ognisk robił wszystko, byle tylko uwolnić się od tego lęku.



– Seska! – jęknął Hecht.

Oblicze, które zobaczył w rozbłysku, było twarzą Seski, jaką oddano na najbardziej starożytnych płaskorzeźbach wewnątrz ponadczasowych budowli al-Karn. Prawdziwy wyraz tego oblicza umknął zdolnościom śmiertelnych artystów – w istocie nie mógł być oddany ręką zwykłego człowieka – niemniej nie mogło być wątpliwości.

„Bogobójco. Oto nadszedł twój kres”.

Zaszczekał falkonet. Światło i dym zatańczyły w korytarzu.

Przemówił drugi falkonet.

„Ból. Ogłupiający, niezrozumiały, niewiarygodny ból, a razem z nim strach nieznanym od wieków”.

Pierwszy falkonet powtórzył swój komunikat.

Drugi zaszczekał mu do wtóru.

Prosek i Rhuk wzięli ze sobą broń, której nie zamykały się usta.

„Bogobójco! Nie zwyciężyłeś!” - Coraz ciszej. - „Podдай się Woli Nocy!”

Falkonetki znowu przemówiły. I po raz kolejny. Huki wystrzałów odbijały się grzechoczącym i wyjąłym echem wśród ścian korytarza, pociski przeszywały mistyczne ciało Dawnego, Seski. Wskreszeniec, Wieczny, który wszakże musiał być tylko cieniem dawnego siebie.

Szalone, rozwrzeszczane coś płynęło naprzód, jego oddziaływanie psychiczne było dalece potężniejsze niż moc każdego bogona, z którym skrzyżowały się ścieżki Hechta. Ale falkonetki Dragona Proseka wyśpiewywały swą arię w basso profundo, głosząc zgon Delegatury Nocy.

Hechta ogarnął przypływ Nocy. Spróbował go pochłoniąć. Amulet palił bólem nadgarstek. Hecht zamarł. Krzyknął. Ból!

Wskreszeniec wrzeszczał w jego głowie, bez końca, bez sensu, jedyne jego zrozumiałe myśli, jakie do Hechta jeszcze docierały, wiązały się z koniecznością zgładzenia Bogobójcy. Uderzał niczym kobra, raz za razem, ale nie trafiał nigdy.

Pierścień Bruglionich parzył zimniej niż najzimniejszy lód. Hecht pewien był, że straci palec.

Złapały go czyjeś ręce. Walczył. Nad głową przetoczył się grzmot. Policzek osmalił ognisty oddech falkonetu.

Ciemność. Nieświadomość. Ucieczka poprzez domenę Nocy, próba ukrycia się na widoku, wśród polujących na niego Delegatur Nocy,

węszących w przestrzeni i czasie, próbując znaleźć stworzenie, o którym wiedziały, że przyniesie im zgubę.

Obudził się we własnym schronie. Przejście z głębin ciemności na świat jawy nastąpiło w jednej chwili. Spróbował się poderwać na posłaniu.

Nie potrafił drgnąć. Wsadzili go w pasy bezpieczeństwa.

Spróbował krzyknąć, ale zawiodło go gardło.

W końcu zaczął myśleć. Zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Nad mosiężnym piecykiem pochylał się mnich z zakonu szpitalnego. Madouc i Titus siedzieli u wejścia, podobni nieruchomym gargulcom.

– Udało ci się. – Głos Clovena Lutego.

– Udało.

– Jak głęboko tam wszedłeś? – Głos nadpływał gdzieś z tyłu, nie mógł dostrzec jego źródła.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Straciłem świadomość. Miałem koszmary. Teraz się obudziłem.

– Ani razu nie sięgnął cię swoimi szponami. Miałeś szczęście, że miałeś pierścień.

– Dlaczego jestem związany?

– Żebyś nie zrobił sobie krzywdy. Jak odejdę, rozwiążą cię.

– Co się stało?

– Znaleźli Seskę. Potem Seska znalazł cię.

– I?

– Przeżyłeś. Seska nie. A mogło mu się udać, gdyby wszystko nie zostało z góry przygotowane.

– Wszystko? Przygotowane?

– Ty z właściwym amuletem. Z pierścieniem. Z falkonetami za plecami. I ja za falkonetami. Musisz się stąd wynosić jak najszybciej. Noc na razie jest pogrążona w stanie chaosu. Ale wie, gdzie znajdował się Wieczny, gdy z nim skończyliście.

– Z tym że tak naprawdę nie był to Wieczny. Nieprawdaż? Rudenes Schneidel budował sobie kopię Seski?

– To był Seska, Piper. Ten Seska. Prawdziwy. Już prawie w pełni odrodzony. Prawie zdolny wrócić na świat, gdzie po raz pierwszy począł się z ludzkiej wyobraźni. Gdzie mógłby szczerze odwdzińczyć się Schneidelowi i er-Rashałowi za przywrócenie go do życia.

Stary robił się z każdą chwilą bardziej podniecony.

– Tym razem w pełni wszedłeś w rolę Bogobójcy. Odtąd będzie na tobie spoczywać uwaga wszystkich Delegatur Nocy. Rasa ludzka może mówić o szczęściu, że Studnie Mocy wyschły już tak bardzo.

Hecht miał kłopoty z nadążaniem za słowami starego. Jeszcze nie odzyskał pełni władz umysłowych.

Amulet zaswędziało. Swędzenie przeszło w lekki ból.

– Coś nadchodzi.

– Czuję. Zajmę się tym.

Hecht rozluźnił się, gdy czas zaczął normalnie płynąć. Zасыpiając, niejasno zdawał sobie sprawę, że Madouc i Titus zaczynają pełną zaniepokojenia rozmowę nad przyczynami chłodu, który zniecka załagał się w namiocie ich szefa.

Naczelnny Wódz nie mógł ustać na nogach. Poruszał się o kulach. Bracia szpitalni zapewniali go, że to minie. Potrzeba tylko trochę cierpliwości.

Cierpliwość była cnotą, której nie musiał doskonalić, odkąd Wzniosły V spuścił go na Skraj Connec.

Jokai Svlada i jacyś goryle ze Specjalnego Oficjum skończyli czystkę w Arn Bedu. Piper Hecht pojawił się w wielkiej komnacie twierdzy, żeby być świadkiem ostatniego rytuału oczyszczającego Specjalnego Oficjum. Wziął w nim udział Po Prostu Zwyczajnie Joe i potwornych rozmiarów młot. Drago Prosek umieścił jajokształny obiekt rozmiarów głowy niemowlęcia na kowadle zdobytym w fortecy. Najpotężniej zbudowany człowiek armii zamachnął się młotem. Połyskujące jajo rozprysnęło się na milion odłamków, nie większych niż drobina talku. Większe fragmenty wróciły na kowadło.

Głos przy uchu Hechta wyszeptał:

– Kiedy pył ten spłynie do Morza Ojczystego, nikt już nigdy nie zbierze Seski do kupy.

Hecht wyciągnął z tego wniosek, że nie istnieje sposób na to, by którejś z Delegatur pozbyć się ostatecznie. Że Bogobójca tak naprawdę nie zabił Wiecznego. Przynajmniej tak jak zabijał śmiertelników.

– Seski już nie ma – mruknął. – Zlikwidowany. Moc, którą się karmił, jest teraz dostępna dla kolejnych Delegatur, których jeszcze nie pokonaliśmy.

– Bystrzak.

Jokai Svlada i jego przyjaciele zamietli pył, a potem domieszali doń kwasy i inne żrące środki.

Ci Łowcy Czarownic naprawdę chcieli skończyć z władzą Nocy.

Wkrótce po ceremonii Hecht podjął długi marsz w kierunku wybrzeża. O kulach, podczas gdy kręcący się wokół niego ochroniarze doprowadzali go do szaleństwa swoimi utyskiwaniami. Żałował, że nie miał więcej okazji pogadać z Nassimem, Azem lub Szkieletem, ale tamci odeszli, gdy tylko dostali Rudenesa Schneidela.

– Gdyby życzenia miały skrzydła.

– Co? – zapytał Redfearn Bechter.

– Przeklinam siebie za marnowanie czasu na myślenie życzeniowe. Powinienem wiedzieć lepiej.

– Rozumiem. – Najwyraźniej sierżant chciał powiedzieć, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi jego dowódca.

Najbliższym żeglownym portem była Hotal Ans, rybacka wioska licząca nie więcej niż czterysta dusz. Nazwa wioski oznaczała coś konkretnego w jednym ze starych języków używanych ongi na Artecipei, dziś jednak nikt już nie pamiętał, co to było.

Piper Hecht przybył na miejsce kilka chwil po tym, jak okręt z Sheavenalle przycumował do mola, przywożąc zapasy i, co ważniejsze, wieści. Kurier miał ich do przekazania mnóstwo, więc z najbardziej istotnymi udał się prosto do... Titusa Consenta. Ten kilka chwil później poinformował Naczelnego Wodza:

– Pacificus Wzniosły nie żyje. Rzekomo padł rażony atakiem apopleksji w trakcie wściekłej awantury z członkami Kolegium na temat względów okazywanych przez niego Piotrowi z Navai. Krew napłynęła mu do twarzy, upadł i było po nim, zanim zdążył zareagować ktoś z talentem uzdrowiciela. Na oczach tuzina świadków.

– Wychodzi na to, że Bóg nie uznał wyników ostatniej elekcji – zauważył Buhle Smolens, przywołując nieśmiertelny żart, który ostateczny i rozstrzygający głos w każdej elekcji Patriarchy przypisywał Bogu we Własnej Osobie.

Hecht zapytał:

– Jaka jest nasza sytuacja finansowa?

– Nie zostało dużo w armijnej szkatule – odpowiedział Consent.

– Wystarczy, żeby się wydostać z wyspy?

– Nie dla wszystkich. Co zamierzasz?

– Chciałbym być w Brothe wraz z przekonującą liczbą naszych najtwardszych weteranów, żeby nadzorować następną elekcję. – Hecht zgrzytnął zębami. Wyobraził sobie nieprzyjazne morze podczas przeprawy do Firaldii.

Cuda, jakich dokonał jego sztab, umożliwiły Naczelnemu Wodzowi i tysiącowi pieczołowicie dobranych ludzi, wraz z całą bronią na proch strzelniczy, jaką dysponowała armia patriarchalna, wylądowanie na przedmieściach Brothe tuż pod znajdującym się najdalej w dole nurtu łańcuchem skroś Teragi. Stało się to możliwe tylko dzięki ogromnej sympatii, jaką cieszył się zwycięski brotheński generał. Na szczęście Titus Consent zdołał zdobyć najważniejszą informację, nim zdarzyło się coś nieodwołalnego.

– Podczas drugiej tury głosowania prowincjał Mongoz został wybrany na Patriarchę. W mojej opinii głównym przedmiotem politycznych zabiegów w Kolegium są teraz próby dogadania się, kto będzie następnym po Hugonie Mongozie.

– Ile wydał Piotr z Navai, żeby zapewnić sobie elekcję Jocerana Cuito? – zapytał Hecht. – Z pewnością nie można uznać, że otrzymał to, za co zapłacił, nieprawdaż?

– Nie otrzymał? Pomyśl. Jaka jest obecnie pozycja Piotra?

Hecht nie potrafił zaprzeczyć, że faktycznie, direcjańskiemu królowi ostatnio nad podziw się wiodło.

Nie było żadnego oporu przed powrotem Naczelnego Wodza i jego żołnierzy. Wręcz przeciwnie. Kiedy maszerowali ku centrum Miasta Ojczystego, na ulice wyległy tłumy. Przypominało to procesję triumfalną z dawnych czasów.

– Co to jest? – zapytał Hecht swych sztabowców, z których większość towarzyszyła mu przez morze. – Przecież tak naprawdę nic dla nich nie zrobiliśmy. Nie skorzystają na naszej wojnie.

Ze swoich najważniejszych ludzi zostawił na wyspie Buhle Smolensa i Jokaia Svladę. Na myśl o Smolensie Hecht czuł się winny. Jego zastępca też miał rodzinę, której od dawna nie widział.

– Dreszczem podniecenia przejmują ich to, że mogą widzieć zwycięzców z bliska – powiedział Clej Sedlakova. – Odniosłeś wielkie sukcesy w Connec, a potem właściwie w jeden dzień rozstrzygnąłeś wojnę na Artecipei.

– Pięć miesięcy to jeden dzień?

– W porównaniu z rachubami Patriarchy, pewnie.

Na niektórych ulicach żołnierze Regimentu Miejskiego odgradzali ich od tłumów. Ludzie Pinkusa Ghorta wyraźnie nie byli uszczęśliwieni widokiem powracających do domu Patriarchalnych.

Hagan Brokke zauważył:

– Zaczynamy tracić ludzi, szefie.

I taka była prawda. Kilku umknęło, gdy zobaczyli rodziny nie widziane od wyruszenia na Connec.

– Nie można ich winić. Tego przecież chcieli. Ja również przed zmierzchem chcę się zobaczyć z rodziną. – Ale najpierw miał zamiar urządzić paradę oddziałów w Rejonie Zamkniętym. Aby zmusić nową administrację do wyraźnego opowiedzenia się po stronie jego żołnierzy. – Byle kilkuset zostało, to wystarczy. – Póki nowy Patriarcha się nie pojawi, aby odebrać paradę, Kościół może mieć problem. Żołnierze nie zniosą machinacji w stylu kolejnego Pacificusa Wzniosłego. Pod tą władzą nie pozwolą sobie na nic podobnego.

Hecht nie będzie w stanie nad nimi zapanować. Ani też nie będzie próbował powstrzymać ich słusznego gniewu, skoro raz wybuchnie.

Brothe miało prawa zabraniające rozlokowywania wojsk patriarchalnych w obrębie murów miasta. Hecht chciał nagiąć te prawa, aczkolwiek nie zamierzał wywoływać otwartego konfliktu.

Większość żołnierzy została, wiedząc, że ich dowódcy równie mocno tęsknią za rodzinami jak oni. Prezentowali się wyjątkowo groźnie w zwartym szyku na obszarze Rejonu Zamkniętego. Szczególnie onieśmielające były baterie falkonetów z wolnotłącymi lontami.

Balkony pałacu Chiaro wypełniał tłumek zdenerwowanych dygnitarzy i funkcjonariuszy. Hecht wypatrzył wśród nich blade oblicze Osy Stile. Nie dostrzegł natomiast prowincjała Delariego. Gwardia pałacowa zajęła te same stanowiska co zwykle podczas ceremonii odprawianych w Rejonie Zamkniętym. Wydawali się zaniepokojeni.

Dobrze.

Bonifacy VII – Hecht właśnie dowiedział się, że Hugo Mongoz takie przyjął imię – pojawił się na najwyższym balkonie zarezerwowanym dla Patriarchy. Podtrzymywali go młodzi księża. Żołnierze natychmiast

zasalutowali, potem przyklękli, Naczelny Wódz również. Pozostali w tej pozycji. Naczelny Wódz podniósł się i przeszedł kilka kroków naprzód.

– Wasza Świątobliwość, my, słudzy Matki Kościoła, przynosimy ci zwycięstwo, które opromieni Jej koroną chwały.

Wtedy podnieśli się Titus Consent, Hagan Brokke i Clej Sedlakova i podeszli do Hechta. Nieśli symboliczne dary: klucze do bram Castreresone, do bram Sheavenalle, fragment kamienia węgielnego z Arn Bedu. Ich miejsce po chwili zajęli żołnierze z mniej znaczącymi trofeami rozmaitych miast i fortec, a wśród nich sztandar z imionami pogańskich wodzów zabitych w bitwie pod Porto. Hecht zdecydował, że nie przedstawi podobnego sztandaru z bitwy o Khaurene. Zbyt wiele imion na nim musiałoby należeć do ludzi bliskich bezpośrednio poprzednikowi Bonifacego i Piotrowi z Navai.

Zaskakująco mocnym głosem Bonifacy oznajmił:

– Wspaniałe dokonanie. Żołnierze Boga. Zaiste, wspaniałe dokonanie. Macie nasze błogosławieństwo i niech was błogosławią Aaron i Założyciele, jako też Łaska Pana Naszego niech będzie z wami.

Żołnierze odpowiedzieli:

– I z Duchem twoim.

– Służyliście dzielnie i honorowo. Za to zostaniecie nagrodzeni. I za to, jak bywa ze wszystkimi, którzy dobrze sobie radzą, otrzymacie następne zadania w imieniu Matki Kościoła. Lecz nie dziś. Dziś wróćcie do swych domów. Zobaczycie tych, których kochacie. Odwiedzicie swych spowiedników. Pojednacie swe dusze z Panem Wszechrzeczy. Ale przede wszystkim czeka was zasłużony odpoczynek.

Niewielu jeszcze pamiętało, ponieważ większość była zbyt młoda. W swej młodości Hugo Mongoz spędził pięć lat w Ziemi Świętej, wypędzając z niej niewiernych. Nie zapomniał, jak to jest być żołnierzem.

Pod koniec przemowy głos Bonifacego już nieco się łamał. Drżała ręka oferująca ostatnie błogosławieństwo. Potem pomocnicy odprowadzili go w głąb pałacu Chiaro.

Naczelny Wódz dał sygnał do powstania.

– Sierzancie Bechter. Chcę, żeby broń trafiła do Castella. Ale proszę umieścić ją w oddzielnej zbrojowni. Ci z moich ludzi, którzy nie mają gdzie się podziać, niech też zamieszkają w Castella. Ci, którzy chcą, mogą jutro ruszać do rodzimych garnizonów. Wyślę informację, jeśli ponowna

koncentracja okaże się konieczna. – W podtekście należało wyczytać słowa, że nie zapomni o towarzyszach broni na Artecipei.

Wydał wszystkim odpowiednie rozkazy. Uściskał dłonie najbliższym współpracownikom. Na koniec rzekł:

– Titus, gotów wracać do domu?

– Tak jest. Mam nadzieję, że dom jest gotów na nasze przyjęcie.

– Posłałeś słowo?

– Wierzę w siłę plotki. Tak czy siak, kiedy jechaliśmy starą ulicą Chamblane, widziałem w tłumie twoje dzieciaki.

– Na miłość boską, Madouc! Co jeszcze?

– Jesteśmy pańską ochroną osobistą. – Nieco wstrząśnięty. Naczelnny Wódz nigdy nie bluźnił.

– Czy wy, ludzie, nie macie rodzin? – Hecht natychmiast pożałował swych słów. Większość jego ochroniarzy była z Bractwa. Mieli siebie wzajem. I Zakon.

– Ci, którzy mają jakieś zobowiązania, przyłączyli się do idących do Castella, sir.

Hecht ugryzł się w język. To byłoby marnowanie jadu. Madouc zawsze zrobi wszystko, na co go stać. I nie będzie szedł na skróty.

– W porządku, rozumiem. Ale zastanawiam się, co mogłoby cię przekonać, że żadne niebezpieczeństwo już mi nie grozi?

– Gdybyśmy zawiedli. A ty byś nie żył. Wówczas nie musiałbym już cię chronić.

Hecht wymienił spojrzenia z Consentem. Titus bez powodzenia próbował powściągnąć uśmiech.

Madouc wyrzaskiwał rozkazy. Wokół biegali ochroniarze. Śpiewała stal opuszczająca pochwy. Hecht zamarł niczym przestraszony jeleni, tak zaskoczony, że zginąłby na miejscu, gdyby był to kolejny zamach snajperski.

– Spokój! Stać w miejscu! – rozkazał Madouc, gdy z wieczornego mrokuśmy wychynął Pinkus Ghort w towarzystwie dwóch jeźdźców; ręce trzymali na widoku i z dala od broni.

– Cholera, Pipe! Madouc. Przestraszyłeś mnie na śmierć.

– Lepiej tak nagle nie wyskakiwać z cieni.

W istocie Ghort nic takiego nie zrobił, ale nie kłócił się. Towarzyszący mu jeźdźcy zsiadli z koni. Ostrożnie. Wyraźnie pokazując, że o niczym



innym nie myślą.

– Pomyślałem sobie, że może zmęczyło cię maszerowanie – powiedział Ghort.

Dwaj ochroniarze podeszli bliżej, żeby się upewnić, iż nie mają przed sobą zabójcy przebranego za Pinkusa Ghorta.

– Nie trzeba było się tak przebierać – odparł Hecht. – Co cię skłoniło, żeby zostać brotheńskim fircykiem?

Ghort odziany był w jaskrawe żółcie i czerwienie. Zgodnie z ostatnim krzykiem mody dworów firaldiańskich zapuścił rzadką bródkę, lekko przystrzyżoną i zapewne ufarbowaną. Zapuścił włosy, sięgające dwa cale za uszy z boku i na karku, z przodu miał grzywkę. Włosy były bez żadnych wątpliwości ufarbowane na ciemno i wyprostowane lokówką. Ani śladu po siwiźnie i lokach. Durny kapelusz na głowie nadawał mu wygląd przywiedłego grzyba.

Towarzysze Ghorta podali mu wodze swoich rumaków, sami się ostrożnie wycofali.

– Ma pomalowane paznokcie – zauważył Titus. – Potrafisz sobie wyobrazić?

– Sam tego nie wymyśliłem – tłumaczył się Ghort. – Rozkazy. Ostatnio większość czasu spędzam w towarzystwie senatorów i konsulów. Prowincjał Doneto zdobył w zeszłym miesiącu konsulat.

Senatorzy tworzyli ciało, które gdzie indziej nosiło nazwę rady miejskiej lub ojców miasta. Dwaj konsulowie pełnili funkcje odpowiadające burmistrzom lub prezydentom miast. Dualistyczny podział władzy datował się z początków Starego Imperium. Jeden konsul zajmował się wewnętrznymi sprawami miasta, mandat drugiego obejmował sprawy poza jego murami. Co zasadniczo sprowadzało się do zapewniania dostaw wody i ziarna. Oraz dowodzenia armią podczas wojny. Do czego oczywiście w ostatnich wiekach konsulowie nie mieli zbyt wielu okazji. I co zapewne miało się zmienić, skoro urząd objął Bronte Doneto.

Starożytni Brotheńczycy w większym stopniu obawiali się osobistych ambicji, niż doceniali utalentowanych przywódców. Obaj konsulowie co trzy miesiące wymieniali się na stanowiskach. Nie wolno im było służyć dłużej niż przez jedną kadencję, trwającą rok.

To oczywiście uległo zmianie za czasów Imperium. Imperatorzy czerpali legitymację dla osobistej władzy z piastowania urzędu konsula. A

zdobywali swą pozycję, przynajmniej z początku, dzięki temu, że ich zausznicy w senacie mianowali ich dyktatorami.

– Życzę mu szczęścia. Zawsze chciał być grubą rybą. Robi coś w sprawie hipodromu?

Kierując się ku pałacowi Chiaro i mijając miejsce katastrofy, Hecht nie widział żadnych oznak prac remontowych.

– Śmieszne, że pytasz. Hipodrom był kwestią wyborczą, którą najmocniej nagłaśniał i dzięki której go wybrano. Jeśli się nie mylę, jemu również wpadł w ręce któryś ze specjalnych transportów złota z Salpeno. Planuje wykorzystać złoto na restaurację hipodromu.

– Czy cokolwiek z łapówki Anne z Menandu dotarło do Wzniosłego?

– Tak naprawdę to dość sporo. Udało mu się wyjść z długów zaciągniętych na krucjatę calzirską. Ale za bardzo się nie odkuł. Choć na krucjacie connekiańskiej nie stracił. Dzięki tobie.

Hecht pozwolił sobie na lekki uśmiezek samozadowolenia.

– Tak. Ale przecież nie z powodu hipodromu zorganizowałeś na mnie zasadzkę.

– Nie. Chciałem się z tobą zobaczyć. Zanim cię wessie.

– Mogłeś przyjść do domu Anny. – Jedyne plany, jakie miał teraz, obejmowały zaszczyt się z Anną na tak długo jak się da.

Ghort zachichotał.

– Tak. Najpierw oblałaby mnie wrzątkiem, potem pognała miotłą.

– Może masz rację. Chyba że zagrałbyś z nią w szachy. Nie jesteś najbardziej czarującym z mych przyjaciół. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Prawda. Ale nie unikam odpowiedzi. Chodzi o to, że ludzie znacznie ode mnie ważniejsi wezmą cię niedługo w obroty i nie będzie się można z tobą spotkać. Więc chciałem ich uprzedzić i poczęstować cię odrobiną gówna prosto z mostu.

– Doceniam. Zrewanżuję ci się tym samym. A więc co muszę wiedzieć, żeby mnie wszyscy nie okłamali?

– Po pierwsze, mamy tu wszelkie możliwe ruchawki. Każdej przekłętej nocy wychodzę na miasto z moimi ludźmi i ścigamy cienie. Każdy dureń w tej cholernej mieścinie wyobraża sobie, że ma jakieś urazy i że to upowaznia go do bicia ludzi i niszczenia rzeczy. Mniej więcej raz na tydzień jakiś demagog stwierdza, że to вина devów. Tłum natychmiast

rusza na dzielnice devediańskie. Dostaje w skórę. A wszyscy wściekli antydevedianie natychmiast twierdzą, że to dowód na współdziałanie tamtych z Przeciwnikiem. Gdyby nie byli po stronie Przeciwnika, nie broniliby się. A przede wszystkim nie mieliby tej głośnej broni, powodującej potworne, nie gojące się rany.

Hecht zerknął na Titusa, który już miał wskoczyć na grzbiet rumaka, przyprowadzonego mu przez Ghorta. Consent wzruszył ramionami.

– Byłem z tobą, szefie. Wróć, gdy tylko Noë pozwoli mi znowu pomyśleć o pracy.

– Co z prowincjałem Delarim? – zapytał Hecht, moszcząc się w siodle. – Nie pokazał się w Rejonie Zamkniętym na paradzie trofeów przed Patriarchą. Widziałem chłopaka. Armanda. Ale starego nie.

– Delari i jego chłopczyk nie są już razem. Nie wiem dlaczego. Powiadają, że chłopak obecnie oddaje się nocnym zabawom z Patriarchą.

Hecht był naprawdę zaskoczony, ale zamaskował swą reakcję, mówiąc:

– Słyszałem, że miejska rezydencja prowincjała Delariego zapadła się pod ziemię. Z powodu jakiejś walki na dole w katakumbach.

– To bzdury. Zawalił się tylko róg budynku. Ale nie miało to nic wspólnego z tym, co się zdarzyło na hipodromie. Delari musi być czymś zajęty. Rzadko się pokazuje publicznie.

Hecht wolno pchnął konia w kierunku domu Anny Mozilli, pozwalając, by Madouc i ochroniarze za nim nadążali. Czuł się z lekka przygnębiony uwagą, jaką na siebie ściągał.

– Naprawdę dużo się tu zmieniło, Pipe. Ale dużo też zostało po staremu.

– Dobrze wiedzieć, Pinkus. Ale postaraj się być trochę mniej cwany. Co to miało znaczyć?

– Mną się nie przejmuj, Pipe. Pracuję w fabryce komunałów.

– To dalej niczego nie wyjaśnia.

– Jesteś twardym, okrutnym człowiekiem, Piperze Hecht.

– Bezduszne ograniczenia mojej wiary nie pozwalają mi powiedzieć na głos, kim ty jesteś, choć z grubsza wygląda to jak tylna część konia z uniesionym ogonem.

Ghort roześmiał się, a potem zaczął paplać, przeskakując z tematu na temat, o wszystkim, co jego zdaniem Hecht powinien wiedzieć na temat aktualnej sytuacji w Ojczystym Mieście. A obraz wyłaniający się z jego słów raczej nie nastrojał optymistycznie.

Uchodźcy wciąż przybywali do miasta. I nie było dla nich nic do roboty.

Ghort rozwodził się tak przez całą drogę, od Teragi aż po dom Anny Mozilli. A kiedy Naczelny Wódz odłączył się od nich, zamęczał dalej Titusa Consenta. Hecht był mu wdzięczny za te starania. Ghort powiedział mu więcej, niż sam sądził.

Vali i Pella czekali na niego w otwartych drzwiach do domu Anny. Pella nie mógł ustać w miejscu. Wiedzieli, że nadjeżdża. Wcześniej wyszli na zwiady. Hecht widywał ich twarze w tłumie, który gromadził się na wieść, że on się zbliża.

Vali wybiegła mu na spotkanie, uściskała mocno, czym go zupełnie zaskoczyła. Niemniej dalej nie powiedziała słowa.

Pella gadał za dwoje. Pytania. Doniesienia. Przechwałki, jak mu dobrze idzie nauka.

Hecht jakoś wtrącił słowo w tę paplaninę i poprosił Madouca, żeby odprowadził Titusa do domu, a potem zwrócił się do Pelli:

– Urosłeś chyba ze stopę. Vali też.

Vali wyglądała, jakby zaczynała dojrzewać. Sam się zdziwił tym, jakie uczucia wzbudził w nim ten widok.

Pelli nie zamykały się usta. Vali była bardziej opanowana, ale wciąż trzymała go lewą dłonią za rękę.

– Anno! Anno Mozilla! Jesteś tam? Ratuj mnie przed tymi dzikimi małpami!

Trochę się denerwował przed spotkaniem z nią. Jak Anna zniosła rozłąkę? Czy wpuści go do środka?

W końcu pojawiła się w drzwiach, ponieważ Hecht nie potrafił opędzić się od dzieci. Jego lęki okazały się bezpodstawne. Była zadowolona, że go widzi. Przytuliła się do niego, uściskiem obiecującym wiele. Ale powiedziała:

– Pachniesz, jakbyś się od roku nie kąpał.

– A przed chwilą byłem w pałacu Chiaro. Zastanawiam się, dlaczego nie skorzystałem z tamtejszych łaźni?

– Nie powiem tego, co mam na końcu języka. Pella! Uspokój się. Twój ojciec nie zniknie. Piper. Tamta druga, Lila, jest zbyt wystraszona, żeby się pokazać.

– W porządku. Pamiętam, że tak samo się zachowywałem, gdy mój ojciec wracał z bagien. Nigdy nie wiedziałem, jak długo pozostanie z nami. I czy

następnym razem też wróci. Sheardowie są okrutni i przebiegli.

Anna obrzuciła go dość dziwnym spojrzeniem, jakby się zastanawiała, czy przypadkiem sam nie zaczął wierzyć w wymyśloną przez siebie legendę.

Nie. Ale dzieci powinny w nią wierzyć. Dzieci dużo mówiły.

Anna zaprowadziła go do kuchni. Grzała właśnie wodę na kąpiel. Na kuchni gotowały się jakieś specjały. Vali i Pella doglądali ich. Chłopcu na moment nie zamykały się usta. Kiedy odpowiedzi na jego pytania mogły się okazać interesujące również dla Anny, Hecht odpowiadał.

Sama wtrąciła niewiele pytań.

– Słyszeliśmy pogłoski o gigantycznym robaku, który zaatakował cię nad rzeką Dehear.

– Jakoś tak. Cokolwiek słyszałaś, z pewnością było mocno przesadzone. Zabiliśmy go. Właściwie nikomu nic się nie stało.

Znowu obrzuciła go twardym spojrzeniem.

– Prowincjał Delari też tam był. Nieprawdaż?

– Był – przyznał Hecht.

– Zastanawiam się, czy on też przesadzał.

Hecht nie odpowiedział.

Kiedy był już czysty, rozgrzany i rozluźniony, nabrał ochoty na pójście do łóżka.

– Och, jak cudownie będzie móc się wyspać, bez żadnych kłopotów, przez które nie można zmrużyć oczu. Wiedząc, że przez całą noc nikt nie będzie mi przeszkadzał.

– No, nie wiem, nie wiem – przekomarzała się Anna.

Pella i Vali uśmiechnęli się.

Anna się zreflektowała.

– Pella, nakryj stół. Vali, pilnuj sosu. Sama zaplanowała posiłek, Piper. Ja byłam tylko konsultantem.

– Ale przecież widziałem ją na ulicy...

– Konsultantem i wykonawcą. Ale pomysł był jej. I Lili.

Hecht zrozumiał ukryty sens słów. Choć córki Karlicy jeszcze nie widział na oczy.

Zabierając się do kapłona i przystawki, powiedział:

– Niech będą błogosławieni Eis i Aaron. Jak dobrze jest być czystym i w świeżym ubraniu.

- Jak widzę, trochę na tobie wisi. Schudłeś.
- Zdarza się. Więc teraz muszę szybko przytyć.
- Nie zapomniałeś o czymś?
- Hm?
- Modlitwa?
- Ach. Jakoś odwykłem. Jedynymi księżmi byli tam ludzie z Bractwa Wojny. Pella, jeśli Vali nie chce, możesz mówić.

Vali uśmiechnęła się chytrze. Pella poradził sobie z dość topornym wdziękiem. Idąc w ślad za swym literackim imiennikiem, jak podejrzewał Hecht.

Później, ale jeszcze przed nieuchronnymi sprawami dorosłych, Anna szepnęła:

– Vali już mówi. Do Pelli. I do Lili przez cały czas, kiedy sądzi, że nie słyszę. Do mnie też czasami się odzywa, ale tylko kiedy jest bardzo podniecona. Czuje się już bezpiecznie. Znalazłeś coś na jej temat?

Piper Hecht jakoś nie miał czasu martwić się o Vali Dumaine.

– Nic. W ciągu ostatnich lat nie zaginęło żadne dziecko żadnej znaczniejszej rodziny. Ludzie Titusa odnaleźli krewnych Eriki Xan, która rzekomo miała przyprowadzić Vali do domu uciech w Sonsie. Nie wiedzieli nic oprócz tego, że Erika Xan zniknęła parę lat temu.

Głównym powodem tego, że coraz mniej zamartwiał się osobą Vali było jej dorastanie.

Podczas paranoicznych mrocznych godzin przed świtem w obozie, wypełnionych duszącą wrogością Nocy, zastanawiał się, czy przypadkiem Vali nie jest żywym artefaktem. Kimś w rodzaju Osy Stile.

Ale Anna Mozilla wkrótce przepędziła tego rodzaju zmartwienia z jego głowy.

## Alten Weinberg, ponure wieści

Z każdym dniem napięcie w stolicy Imperium narastało. Ale księżniczki Apparent rzecz nie dotyczyła. Nie miała własnych ambicji. Ani też nie znajdowała się w centrum spraw.

Imperatorowa wysłała licznych rycerzy i szlachciców na pomoc królowi Piotrowi w jego zmaganiach z Almanohidami. Wszyscy zgłosili się na ochotnika. Większość popierała Imperatorowa w jej romansie z Brothe. Jej poplecznicy, którzy zostali na miejscu, bali się, że niezadowoleni z tego romansu mogą uzyskać przewagę.

Katrin szalała ze strachu o Jaime'a z Castaurigi, który wezwał swój zaciąg feudalny, żeby wesprzeć króla Piotra. Imperatorowa widziała Jaime'a tylko raz, ale już zdołała wmówić sobie obsesyjną romantyczną miłość, która kazała dworzanom kwestionować jej poczytalność. Szeptem.

Helspeth była zadowolona z takiego obrotu spraw. Zadowolona była ze wszystkiego, co odwracało uwagę od jej osoby.

Zniknęły wszelkie przeszkody nie pozwalające jej uczestniczyć w życiu dworu. Przyjaciele nie bali się pokazać w jej towarzystwie, zwłaszcza zaś lady Hilda Daedal z Avenge. Lady Hilda żartowała, że większym cieniem na reputacji Helspeth kładą się jej przygody niż cokolwiek, co wcześniej zrobiła sama księżniczka Apparent.

Z plotek dworskich wynikało, że lady Hilda ma trzy romanse z trzema dżentelmenami z dworu. Każdy z nich uważał, że plotki o jej związku z dwoma pozostałymi są ohydny kłamstwem rozsiewanym przez jej wrogów.

- Mężczyźni to durnie – twierdziła Hilda. – Są głupszy niż szczenięta.
- Więc po co się z nimi zadawać?

– Lubię różnorodność. I mam zabawę, manipulując nimi. Gdybyś nie była księżniczką, sama mogłabyś sprawdzić. Może jeszcze ci się uda po tym, jak znajdziesz sobie męża i urodzisz mu paru synów.

– Nie zamierzam wychodzić za męża. Postanowiłam.

– Tak mówisz. Może zresztą nawet uda ci się postawić na swoim. Do czasu. Póki Katrin nie przejrzy na oczy. – Lady Hilda uśmiechnęła się złośliwie. – Otrzymałam list od kuzyna.

Nie powiedziała którego. Ale jej uśmiech stał się szerszy, kiedy Hespeth zareagowała drgnieniem podniecenia.

Imperatorowa nie była jedyną córą rodu Ege, która znalazła się w szponach obsesji.

Kuzyn lady Hildy, Culp, był księdzem. A poza tym sekretarzem prowincjała Barendta, mieszkającego w pałacu Chiaro w Brothe. Kuzyn Culp był jedną z zabaweczek Hildy. Hespeth obawiała się, że ich związek ma występny charakter. Może tak i było.

– Teraz próbujesz droczyć się ze mną.

– Tylko troszeczkę. Tylko żeby się upewnić, czy naprawdę cię przejrzałam.

Hespeth zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

– Nie obnosisz się z tym jak Katrin.

– Katrin dostanie, na co zasłużyła.

– Jeżeli Jaime przeżyje.

– Więc?

– Twój wybranek wrócił do Brothe. Kolegium jest przestraszone. Pacificus Wzniosły próbował wyciąć brzydką sztuczkę Naczelnemu Wodzowi, dając mu zadanie niemożliwe do wykonania. Ten wywiązał się z niego w rekordowym czasie, a potem wrócił... Skąd te maślane oczy, dziewczyno?

– Co? Proszę?

– Wyglądasz, jakbyś się spodziewała, że będzie czekał w twoim łóżku, kiedy wrócisz na pokoje.

– Może i będzie. W mojej wyobraźni.

Hespeth poczuła, jak pałą ją policzki. Jak mogła powiedzieć coś takiego na głos, w obecności drugiej osoby? Przecież była księżniczką Apparent w Imperium Graala. Nie powinna pozwalać sobie na igraszki wyobraźni.

Lady Hilda wybuchnęła śmiechem.



– Więc jedna z was, dziewczyny, jest mimo wszystko ludzka.

– Co?

– Twój ojciec lubił kobiety. Tak powiadają.

– Był mężczyzną. Mężczyźni tacy są.

Lady Hilda pokiwała głową, ale dalej nie drążyła już tego tematu.

Na zaproszenie siostry, by odwiedziła ją w jej prywatnych apartamentach, Hespeth zareagowała zgodnie z ceremonialnym protokołem.

– Wstań. Wstań, Ellie. Nikogo tu nie ma, nikt nie widzi. Przecież nie musimy grać w tę grę.

Hespeth zrobiła, jak jej kazano, pamiętając o radzie Ferrisa Renfrowa, żeby zachowywać się elastycznie. Jednak gdy siostra podeszła do światła, nie potrafiła powstrzymać westchnienia.

– Dobrze jadasz?

Katrin postarzała się okropnie. Teraz obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Los Imperatorowej nie jest taki, jak sobie wyobrażałam. Patrząc na ojca, można było sądzić, że to łatwe. Ludzie robili, co im kazał.

Hespeth nic nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Żałuję, że nie potrafię wezwać gromów z jasnego nieba. Pozbyłabym się tych wszystkich sępów.

– W tej kwestii zgadzam się z tobą. – Choć może niekoniecznie w kwestii tego, kto sobie zasłużył.

– A Jaime... Hespeth, nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to okropne, kiedy zamartwiasz się dniami i nocami przerażona, co może się stać.

Hespeth martwiła się, ale nie z tą spalającą intensywnością, którą ukazywała światu Katrin. Najgorsza z wyobrażalnych katastrof w Direcji najprawdopodobniej nie miałyby żadnego wpływu na jej życie. Chyba żeby siostra zechciała na nią wylewać swe żale.

– Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Nie mogę się skupić na byciu Imperatorową.

– Poczujesz się lepiej, kiedy się dowiesz, jakim torem pobiegły sprawy?

To pytanie przebiło się przez opokę hysterii Katrin.

– Co?

Hespeth doszła do wniosku, że źle zadała pytanie.

– Hm... Zastanawiałam się tylko, czy nie doprowadziłaś się do takiego stanu, że cokolwiek się zdarzy...

Rysy twarzy Katrin stwardniały. Usłyszała nutę krytycyzmu. A nie najlepiej go znosiła.

Gniew sprawił, że odzyskała panowanie nad sobą.

Helspeth napominała się w myślach: trzymać się instrukcji Ferrsa Renfrowa. Nie prowokować Katrin.

Nie było to łatwe. Jej siostra zrobiła się tak chimeryczna, że nie sposób było przewidzieć, co może ją wyprowadzić z równowagi. Na wielkim dworze nie miało to większego znaczenia. Jeśli Katrin wywrzaskiwała absurdalne rozkazy, dwór udawał, że je wykonuje. Wszyscy wiedzieli, że w końcu przecież musi się uspokoić. Jeśli zrobiła coś potwornego, po chwili targała nią głęboka skrucha. Wówczas obiekt jej furii mógł zostać sprowadzony przed jej oblicze i ugłaskany.

Helspeth chciała wierzyć, że Katrin jest ofiarą okrutnych wahań nastrojów, sięgających od śmiertelnie poważnej paranoi do nieprzyjemnie głębokiej depresji.

Po Alten Weinberg krążyły okrutne dowcipy. Co mógłby zrobić młody Jaime, żeby poradzić sobie z nastrojami Katrin? Właśnie przeżywała jedno ze swych wahań emocjonalnych.

– Otrzymaliśmy wstępnie pozytywne reakcje z Salpeno na temat twojego związku z Regardem.

– Nie!

– Ellie...

– Ten człowiek to bękart. A jego matka dziwka! – Helspeth wybuchła, choć wcześniej nałożyła tłumik na swe uczucia; dobrze przynajmniej, że nie tak gwałtownie, jak miała ochotę. Nie wspomniała o roli, jaką odegrał Wzniosły V, dostarczając Anne z Menandu słabych podstaw legitymizacji władzy. Wzniosły był bohaterem Katrin.

Katrin natomiast dała wyraz swego zirytowania na Helspeth, prawiąc złościwości na temat lady Hildy. Ale już wkrótce, popijając brandy – Helspeth sprowadziła ją z Plemenzy przez przełęcz, za której otwarcie nacierpiała się tak wiele, siostry uspokoiły się, zbliżyły do siebie i odnalazły w sobie uczucia towarzyszące delikatniejszym, cieplejszym dniom ich dzieciństwa. Zdrowo popłakały nad losem Muszina.

Alten Weinberg weszło w bezczasowe lato oczekiwania. Nic się nie działo, ponieważ uwagę wszystkich dworzan i koterii politycznych przykuwała kampania przeciwko Almanohidom w Direcji. Z każdej

brotheńskiej episkopalnej rodziny wspierającej Imperatorową ktoś brał udział w krucjacie Króla Piotra.

Większość rodzin w Arnhandzie i wiele w Santerinie przechodziła ten sam czyściec. W nieco niniejszym stopniu dotyczyło to Firaldii, Ormienden, Grolsach oraz pomniejszych brotheńskich królestw i księstw, a nawet Connec.

Helspeth domyślała się, że podobne napięcie musi panować w świecie pramańskim, a przynajmniej w kaifacie al-Halambry.

Wynik wojny w Direcji znacznie bardziej wpłynie na przyszłość, niż mogły to uczynić wszystkie krucjaty Wzniosłego.

Katrin poinformowała Helspeth, szeptem, żeby nie podsłuchał żaden szpieg:

– Jeżeli Bóg ześle zwycięstwo Piotrowi i Jaime’owi, przysięgam na koronę Graala, że ogłoszę własną krucjatę na rzecz wyzwolenia Ziemi Świętej.

Helspeth zadrżała. Noc przecież słucha. Noc chętnie poigra z Imperatorową, wciągając ją w przedsięwzięcie, które zapewne zrujnuje ludność episkopalnego chaldaraństwa w beznadziejnej wojnie na wschodzie.

– Ojciec miał takie marzenie – ciągnęła dalej Katrin. – Ale najpierw chciał zjednoczyć Firaldię i wcielić ją do Imperium.

– Co? Naprawdę? Pierwsze słyszę.

– Naprawdę. Ojciec Volker mi powiedział.

Ojciec Volker był spowiednikiem Johannesesa, zanim zajął tę samą pozycję przy boku jego dziedziców.

Helspeth westchnęła, pokonana. Katrin nie pozwoli słowa powiedzieć przeciwko Volkerowi ani jego panu, biskupowi Hrobjartowi. Nie mogła się też modlić o zesłanie niepowodzenia na krwawą ideologię Katrin. Bóg był wprawdzie Wszechmogący, ale On też począł się z Nocą.

Siostry cieszyły się całymi tygodniami bliskości, po raz pierwszy od śmierci ojca. Brandy pomagała. Bardzo. Obsesja dworu na tle wydarzeń w Direcji zepchnęła na plan dalszy codzienną politykę. Ale Helspeth bynajmniej nie tęskniła za narzekaniem, uszczypliwościami i wyzwiskami. Cieszyła się chwilami spędzonymi z siostrą, która nareszcie mogła być tylko jej siostrą. Choć silne, obsesyjne i popędliwe emocje dorosłej Katrin wydawały jej się przerażające, a jej ignorancja odrażająca.

Wielki Książę Hilandle był w świetnym nastroju, toteż łaskawie traktował wszystkich, których uznał za stosowne. Hespeth uśmiechała się z wysiłkiem i po raz setny chyba zastanawiała, dlaczego Hilandle nie jest w Direcji i nie dowodzi imperialnymi posiłkami dla króla Piotra. Lord Admirał Vondo fon Tyre zupełnie nie nadawał się do tego zadania.

Hilandle właśnie zaczął opowiadać nieznużonemu jeszcze ambasadorowi z Cesarstwa Wschodu o potworze z Jago. I – dziw nad dziwy – wszelkie zasługi za doprowadzenie do zagłady bestii oddawał księżniczce Apparent. Następnie zaprezentował mu szpon stwora, który odciął podczas bezpośredniego spotkania. Emisariusze Cesarstwa Wschodu udawali, że są pod wrażeniem.

Tych ludzi nie interesowały przygody Wielkiego Księcia. Ponieważ plotki powoli się rozchodziły, przybyli tu, aby na miejscu ocenić szanse na to, że Imperatorowa wspomocze krucjatę na wschodzie. Wcześniejsze wyprawy krzyżowe nie były żadnym dobrodziejstwem dla Cesarstwa Wschodu. A zwłaszcza te, które wyruszały z Imperium Graala. Tamci pierwsi krzyżowcy podróżowali drogą lądową, z konieczności przechodząc przez tereny Cesarstwa. Skutki ich przemarszu były gorsze niż plaga szarańczy.

Wschodni cesarze owych czasów, jakkolwiek szalone były ich wierzenia, polityka i koncepcje społeczne, zadbali, aby szarańcza z zachodu już nigdy nie pustoszyła cesarstwa.

– Czas się dowiedzieć, co myślą ludzie nie mający wobec nas żadnych zobowiązań – stwierdziła Katrin. Trochę łamiącym się głosem. Czego powodem nie była wszakże niepewność królująca w jej sercu, lecz zbyt duża ilość wypitej brandy. Miała ochotę zasiąść swobodnie z tymi osobliwie ubranymi ludźmi wschodu, których wierzenia były niemal równie dziwaczne jak connekiańskich dualistów. Miała ochotę na to, co w żaden sposób nie mogło być jej dane, nawet w towarzystwie spowiednika. Miała ochotę rozmawiać do późna w noc zwyczajem młodych ludzi i bawić się ideami, jakby były pionkami w swoistej ponadczasowej grze.

Przewodniczący wschodniego poselstwa wydawał jej się stary jak świat. Miał wielką, krzaczastą czarną brodę gęsto przetykaną siwizną. Katrin prawie nie zwracała na niego uwagi. Swobodnie gawędziła z jego młodszymi podwładnymi, tak swobodnie, że mogło to być niemal uznane za flirt. Hespeth poszła za jej przykładem – oczywiście na tyle, na ile pozwalał jej charakter.

To nie ma sensu, myślała. Katrin bawi się kosztem tych ludzi. Tamci udawali dobrych chaldaran, ale w istocie byli potępieńcami, tak jak niewierni pramanie. Nie uznawali boskiej zwierzchności prowincjała prowincjałów, Patriarchy z Brothe.

Po piętnastu minutach audiencji Hespeth rozumiała już, że tamci zabawiają się kosztem Imperatorowej bardziej, niżli ona we własnym mniemaniu igrała z nimi. Całe spotkanie sprowadzało się do póż i kłamstw. Próbowwała zaproponować, aby zostawić gości na łasce męczącej gadatliwości Wielkiego Księcia. Bez powodzenia. Tamci świetnie grali na strunie potrzeby akceptacji, którą wyczuli u Katrin.

Po raz pierwszy od koronacji Katrin świetnie się bawiła, zupełnie zapominając o Direcji.

Ale Direcja nie zapomniała o niej.

Któryś ze służalczych dworzan właśnie zmierzał w stronę Katrin niczym śpiewający jękliwie bełt z kuszy – na pierwszy rzut oka już widać było, że przynosi ważne wieści. I że nie ma zielonego pojęcia, jakie mogą wyrzucić skutki.

Kiedy Katrin z płaczem osunęła się w fotel, Hespeth wypatrzyła postać Ferrisa Renfrowa, który przeciskał się przez tłum pasożytów dworu w Alten Weinberg. Wyglądał, jakby właśnie opuścił pole bitwy. Brudny. Zarośnięty. Obszarpany. Miał na sobie kolczugę w stanie gorszym niż koszula poszarpana przez stado wściekłych psów. Znać po nim było świeże rany. Był blady. Zbliżał się chwiejnym krokiem, resztką sił woli utrzymując się na nogach.

Gdzie on się podziewał? Hespeth nie widziała go od zeszłej zimy. Nikt inny też nie miał odeń znaku życia. Z czego wszyscy byli raczej zadowoleni. Wielu dworaków uważało Ferrisa Renfrowa za coś w rodzaju ducha opiekuńczego, nie zaś za człowieka, którego pracę na rzecz Imperium Graala wysoce cenił sam Johannes Czarne Buty.

Katrin zastosowała się wreszcie do nalegań Hespeth i otarła łzy z oczu. Dostrzegła mistrza szpiegów i przywołała go skinieniem.

– Szybko! – rzuciła gwałtownie. – Powiedz mi! Jakie wieści? Złe? Musimy ogłosić żałobę? Niewierni nam zagrażają? Dlaczego milczą dzwony?

Dzwony we wszystkich chaldarańskich kościołach miały bić, gdyby wieści z Direcji okazały się pomyślne.

Ferris Renfrow wyraźnie miał kłopoty z zebraniem się w sobie. Zrezygnował z wymaganych protokołem hołdów. Potraktował swoją Imperatorową, dworzan, jej siostrę i wschodnie poselstwo, jakby byli jego towarzyszami broni.

– Bynajmniej, Wasza Wysokość. Wieści są dobre. W Direcji Bóg stanął po stronie chaldaran. Zesłał nam zwycięstwo, które będzie opiewane przez wieki. Być może to już definitywny kres zagrożenia ze strony niewiernych. Chyba że otrzymają pomoc od wschodnich kaifatów. Wszyscy ich wielcy rycerze polegli. Każdy znaczniejszy pramanin, który poszedł do boju za Sabutą. Nie żyją.

Katrin gotowała się z niecierpliwości. Nie obchodził jej wynik bitwy.

– Co z moim Jaime'em? – chciała tylko wiedzieć.

– Ocalał, Wasza Wysokość. Odznaczył się jako jeden z bohaterów. Poprowadzona we właściwej chwili szarża Castaurigan przypieczętowała wynik starcia.

– Wyczuwam, że nie mówisz mi wszystkiego, Ferris. Nie igraj ze mną. Powiedz. Jestem córką Johanna Czarnych Butów. – Oznajmiła to takim tonem, że wszyscy wokół uwierzyli, z wyjątkiem Hespeth. Hespeth usłyszała nutę strachu dręczącego duszę dziewczyny udającej despotyczną władczynię Imperium Graala.

– Zaiste, jesteś. Wybacz mi. Jaime odniósł liczne rany, z których dwie okazały się dość poważne. Przez jakiś czas będzie musiał dochodzić do siebie, nie widzę wszakże powodu, żeby nie miał w końcu odzyskać zdrowia. Mimo ran bowiem ufa, że zaślubiny dojdą do skutku w wyznaczonym czasie.

Twarz Hespeth pozostawała całkowicie bez wyrazu. Nie potrafiła uwierzyć, aby przystojny Jaime z Castaurigi mógł się zakochać w jej chwiejnej siostrze z jej końską twarzą. I że traktuje ją inaczej niż tylko jako środek do zdobycia lepszej pozycji, a zwłaszcza poparcia Imperium Graala. Ponieważ kontrakt małżeński uczyni z Jaime'a kogoś znacznie więcej niż tylko małżonka królowej – stanie się on ojcem następnego władcy.

Ferris Renfrow zerknął na Hespeth. Ta wreszcie uśmiechnęła się słabo.

– Kiedy mogę oczekiwać mego ukochanego? – zapytała Katrin.

– Niezbyt rychło, Wasza Wysokość. Ale natychmiast, jak tylko odzyska siły. Tęskni do tego spotkania równie mocno jak ty. Już mknąłby do ciebie, gdyby nie jego rany.

Renfrow znowu zerknął na Hespeth, przyłapał ją, jak marszczy czoło. Doszła bowiem do wniosku, że Renfrow mówi Katrin wyłącznie to, co tamta chciałaby usłyszeć. Uśmiechnął się ledwo widocznie, co uznała za potwierdzenie swoich podejrzeń, a równocześnie za deklarację, że nie poczuwa się do winy. Powiedział prawdę, aczkolwiek w taki sposób, by pasowała do życzeń Katrin.

Imperatorawa upiła łyk brandy tak solidny, że zdumiało to stojących najbliżej, a zarazem dało wszystkim do zrozumienia, iż straciła zainteresowanie wschodnim poselstwem. Nie obchodziło jej, że mogą poczytać to za obrazę. Cichym głosem powiedziała coś do swego szambelana. Tamten zaczął zaraz wyganiać paziów i służbę z komnaty.

Bardziej obraźliwie mogłaby się Katrin zachować chyba tylko wówczas, gdyby wrzasnęła: „Wypierdalać stąd, skurwysyny!” Przynajmniej jeśli oceniać rzecz wedle konwenansów obowiązujących na wschodzie. Jednak posłowie mimo wszystko jakoś zrozumieli, że nie jest to świadoma próba sprowokowania dyplomatycznego incydentu. Mimo wszystko, była przecież kobietą. A wiadomo z całą pewnością, że w swoich najlepszych, najbardziej błyskotliwych chwilach kobiety zawsze pozostają we władzy małostkowych i burzliwych uczuć.

Ludzie wschodu opuścili komnatę. Wyszli też pozostali goście. Członkowie komisji chcieli zostać. Jeden mars na czołe Ferrisa Renfrowa wystarczył, by zrejterowali.

Hespeth obserwowała zdumiona, jak z wielkiej komnaty znika lwia część obecnych w niej jeszcze przed momentem ludzi.

Kiedy Renfrow podszedł tak blisko, że nikt nie mógł ich podsłuchać, Hespeth zapytała:

– Kim jesteś, Ferrisie Renfrow? – A ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, dodała: – Założę się, że bitwa zakończyła się wczoraj. skąd możesz już znać jej wynik?

– Dlaczego interesują cię te kwestie, księżniczko? Czy nie wystarczy ci sama świadomość zwycięstwa?

Hespeth nie odpowiedziała. Ale w jej głowie krążyły pomysły, które z pewnością nie ucieszyłyby mistrza szpiegów. Wzruszyła więc tylko ramionami, udając, że pytania te rodzi wyłącznie płocha dziewczęca ciekawość.

Renfrow natomiast podjął przerwany wątek, nie zwracając uwagi na podejrzliwe spojrzenia młodej księżniczki. Zdał relację z przebiegu bitwy.

– Na centralnym płaskowyżu Direcji znajduje się rozpalona pustynia znana pod wieloma nazwami. Najczęściej używana jest Piano Alto. Od czasu podbicia przez króla Piotra księstw dalekiej północy cały obszar między chaldarańską Direcją a al-Halambką zupełnie się wyludnił. Jego naturalną barierę topograficzną stanowią Góry Brązowe. Najkrótsza droga do al-Halambry wiedzie przez te góry, potem przez Piano Alto, wreszcie doliną rzeki Plata Desnuda. Nazwa ta oznacza coś w rodzaju „nagie srebro”, co zresztą nie ma żadnego sensu. Ale zbaczam z tematu. W reakcji na zagrożenie ze strony Almanohidów do Piotra z Navai przyłączyło się czterech królów, Towarzyszył im kwiat rycerstwa wielu innych królestw, wielkich i małych. To oznacza, że nasi nadmiernie drażliwi i wciąż wadzący się z sobą współcześni mimo wszystko potrafią rozpoznać autentyczne zagrożenie. W przeciwieństwie do zagrożenia wymyślnego. – To ostatnie zdanie miało służyć tylko podkreśleniu oceny sytuacji politycznej. Renfrow nie wymienił imienia żadnego z ostatnich Patriarchów. – Zebrało się osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Na praman padł cień strachu. Zwyciężył wśród nich rozsądek. Zamiast dokonać inwazji na Navayę, postanowili się skupić na obronie przełęczą przez Góry Brązowe i poczekać, aż sprzymierzeńcy Piotra rozjadą się do domów.

Ferris Renfrow powiódł wzrokiem dookoła, przekonał się, że publiczność słucha z uwagą.

– Almanohidzi uznali, że przewaga strategiczna jest po ich stronie. Ale pewien chaldarański pasterz znał przejście przez góry, którego pramanie nie odkryli. Powędrowaliśmy tą drogą i zaszliśmy tamtych od tyłu, rozbijając kolejne oddziały do czasu, aż Sabuta abd al-Kadr al-Margrebi skoncentrował swe siły w pobliżu wioski zwanej po direcjańsku Uzdrowiskiem Duchów. Biją tam spod ziemi lecznicze źródła, z których obecnie w pełni korzysta król Jaime. Każde źródło jest równocześnie słabiutką Studnią Mocy. Gwardia kaifa Sabuty przykuła się łańcuchami i okowami do słupów wbitych głęboko w ziemię wokół namiotu swego pana. Tym sposobem nie mogli uciec, gdyby szala przechyliła się na naszą stronę. Wszystko to było tylko na pokaz. Tak naprawdę nie wierzyli, że ich bóg odwróci się od nich. Myślę, że teraz zadają mi kłopotliwe pytania. Zwycięstwo chaldarańskie było druzgoczące. Król Piotr okazał się wielkim



bohaterem. A Jaime odegrał w tym mniejszą, ale mimo wszystko również istotną rolę.

– A więc Piotr z Navai znów urósł w siłę – zauważyła Hespeth.

– Niektórzy sądzą, że jest wybranym ulubieńcem Boga – przyznał Renfrow. – Za każdym razem, gdy reaguje pozytywnie na wolę Patriarchy, los się do niego uśmiecha.

Hespeth dalsze komentarze postanowiła zatrzymać dla siebie. I niepotrzebne jej było ostrzegawcze spojrzenie Renfrowa.

Katrin nie zniosłaby krytyki Patriarchatu. Choć Bonifacy VII podejmował zdumiewające doprawdy inicjatywy: pojednawcze gesty wobec Viscesment, anulowanie statutu Towarzystwa na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji, próby otwarcia Kolegium dla szerszej rzeszy prałatów, a zwłaszcza wysiłki w sprawie obsadzenia Kościoła z powrotem w roli obrońcy Ubogich. Ostatecznie sprowadzało się to do ponownego wzięcia na swe barki pradawnego zobowiązania do obrony słabych i bezsilnych przed Tyranią Nocy. Podkreślając z uporem, że Matka Kościół winna zajmować się tymi wszystkimi zbożnymi dziełami, do których rzekomo została powołana, Bonifacy stawał się postacią coraz bardziej kontrowersyjną.

Każdy nowy Patriarcha miał w zanadrzu jakieś niespodzianki. Ten był uosobieniem koszmarów wszystkich hierarchów – bogobojny arcykapłan.

Ponieważ Katrin najwyraźniej nie była zainteresowana, Hespeth zadawała pytania:

– Ale cóż takiego wyrządził świeckim?

– Chce wysłać armię patriarchalną z powrotem do Connec. Ale tym razem do walki z grasującymi tam Delegaturami.

– A nie z heretykami?

– Cóż, być może na dualistów też ogłoszony zostanie sezon polowań. Ale tylko wtedy, gdy wojskowi tak zdecydują. Ostatnio Naczelny Wódz dorobił się przydomka „Bogobójca”. I tym się właśnie będzie zajmował w Connec. Likwidacją istot wskrzeszonych przez pogan z Arceipei. Tym razem ostateczną, a nie jak niegdyś sprowadzoną do nałożenia im magicznych więzów.

Hespeth rozumiała, co to oznacza na poziomie taktycznym, sama była świadkiem zguby Delegatury. Dowiedziała się dalej, że od boju w Jago falkoneści Naczelnego Wodza rzekomo nadzwyczajnie udoskonalili i usprawnili swoje metody. Mimo to...

– Jakim sposobem Kościół na to stać? Widziałam amunicję, którą się posługiwano. Jest droga.

– Devowie z Brothe, którzy z powodów im tylko wiadomych pozostają w sojuszu z Naczelnym Wodzem, opracowali amunicję wymagającą do produkcji jedynie dwudziestej części srebra, jakiej ty potrzebowałaś do zaatakowania potwora z Jago.

– Ale... – Zwróciła uwagę na świadome użycie słowa „zaatakować” zamiast jakiegoś innego, bardziej jednoznacznego i definitywnego.

– Tak. Masz rację. Nawet w tej sytuacji wojna z Nocą będzie kosztowna. Bonifacy ma zamiar sfinansować kampanię ze środków, z których zazwyczaj finansowano klasyczne krucjaty na wschodzie. Każdy kościół, każdy klasztor męski i żeński, wszelkie dobra i darowizny, które wytwarzają dochód, muszą zapłacić dziesięcinę na sfinansowanie pacyfikacji Connec. Jeżeli pomysł się sprawdzi, przymusowa darowizna stanie się stałym instrumentem walki z Nocą.

– Z pewnością wpakuje się w kłopoty.

– Specjalne Oficjum będzie zachwycone.

– Zamiast Towarzystwa będziemy mieli Łowców Czarownic?

– Zapewne. – Renfrow wzruszył ramionami. – Panowanie Bonifacego cechować będzie nieugięte przestrzeganie prawa kanonicznego. Wykorzeni korupcję, gdziekolwiek na nią natrafi. Wydał już bullę proklamującą konieczność zaprowadzenia wewnętrznych porządków w Kościele. Stwierdza w niej, że Kościół musi być nieskalany w każdej sferze, w której domaga się czegoś od świata profanum. Prawdopodobnie wydaje się, że napuści Naczelnego Wodza na każdego biskupa, który będzie się sprzeciwiał jego woli.

– Wieje wiatr reform, co?

– Jako oznajmił Aaron na stopniach Świątyni. Niewykluczone, że tak się rzeczy potoczą. Nieszczęśliwie się składa, że Bonifacy jest starszy niż księżyc. Poza tym był kandydatem kompromisowym, wybranym na interregnum, póki frakcje nie uzgodnią młodszego kandydata. Bardziej giętkiego i skłonnego do kompromisów.

– Bonifacy nie pożyje dość długo, aby zreformować Kościół?

– To wymagałoby nieśmiertelnego. Wasza Wysokość? Katrin? Nie powiedziałaś ani słowa.

– Z Jaime'em wszystko w porządku?

– Dojdzie do siebie. Możesz go wyglądać, nim zima zablokuje przełęcz. Jego podróż może być długa i bolesna, ale spieszy do ciebie. Już niewiele miesięcy dzieli cię od utraty paniństwa. Ale teraz muszę już iść, drogie panie. Jestem stary. Przebyłem długą, ciężką drogę, żeby dostarczyć te wieści. Potrzebuję odpoczynku.

Katrin słabym gestem udzieliła Renfrowowi pozwolenia na odejście.

Helspeth popatrzyła po dworzanach. Skupili się wokół, żeby nie uronić słowa. Paru starców z Komisji Doradczej nie wyglądało na zadowolonych. Nie chodziło o to, że mieli nadzieję na porażkę chaldaran. Ale woleliby, żeby król Jaime się jakoś skompromitował. Mimo iż sami uczestniczyli w jego przygotowaniu, imperialny ślub osłabi ich wpływ na Katrin.

Intrygi. Nie kończące się intrygi. Helspeth aż się skręcała w środku. I zastanawiała, jak ojciec sobie z nimi radził.

Natura tych ludzi z pewnością zmuszała ich do grania w te same gry, kiedy Johannes był Imperatorem. Stąd pewnie wywodził się jeden z przydomków jej ojca: Zapalczywy Mały Hans.

Szanowali tylko władzę. Jawną i odczuwaną na własnej skórze.

A Katrin niespójnie wykorzystywała swą władzę. Miała kłopoty z podejmowaniem decyzji, wyjątkiem były tylko kwestie związane z Jaime'em z Castaurigi oraz sojuszem z Patriarchatem Brotheńskim.

Helspeth zastanawiała się, co zrobi Katrin, gdy Bonifacy spróbuje zająć imperialne włości w Firaldii. W związku z Cleareną Lothar omalże nie doprowadził do wojny. I gdyby pożył dłużej, wojna z pewnością by wybuchła. Katrin natomiast zaakceptowała clearenzańskie status quo i naciskała na tamtejszego księcia, aby okazywał więcej posłuszeństwa Matce Kościołowi.

A akolici Wzniosłego już zadbali o to, by okup za księcia został spłacony.

Zmiana, jaka zaszła w Katrin, była dramatyczna. Wpłynęło to najpierw na dwór, a następnie na całe Alten Weinberg, choć tam setki rodzin wciąż czekały z niepokojem na wieści o losie swoich najbliższych w Direcji.

Helspeth miała nadzieję na prywatną rozmowę z Ferrisem Renfrowem. Nie doczekała się jej. Mistrz szpiegów przespał dwanaście godzin, zjadł suty posiłek w pałacowej kuchni, a potem zniknął. Strażnicy przy bramie nie widzieli, by przez nią przechodził. Ale też nikt wcześniej nie zauważył jego przybycia.

Helspeth zamartwiała się tym przez następne sześć dni, choć nie aż tak znowu bardzo. Odkąd pamiętała, Ferris Renfrow był postacią całkowicie enigmatyczną. A jeśli wierzyć opowieściom ojca, to odkąd on pamiętał, było tak samo.

Po południu, szóstego dnia po zniknięciu Renfrowa, rozdzwoniły się kościelne dzwony. Zamieszanie zbiło Helspeth z tropu. Nie było to żadne święto, ani państwowe, ani kościelne, nie był to czas modłów. Po chwili zrozumiała.

Dotarły w końcu wieści o zwycięstwie. Oficjalne, przywiezione przez kuriera. A każda parafia wzywała do świętowania, jak zaplanowano od czasu, gdy wszyscy uświadomili sobie, że wojna w Direcji jest nieunikniona.

Helspeth podzieliła w myślach odległość przez przypuszczalną prędkość kurierów. Z pewnością użyli sztafet kurierskich, często zmieniali konie, zatrzymując się tylko na tyle, by lokalnym biskupom donieść, że mogą już podzielić się ze swymi diecezjami radosną nowiną.

W jaki sposób więc Ferris Renfrow zdołał przybyć sześć dni wcześniej, na dodatek cuchnący, obszarpany i zakrwawiony? Jakby przeszedł przez drzwi wiodące bezpośrednio z pola bitwy na imperialny dwór...

Działy się tu jakieś dziwy nad dziwami. I choć Helspeth bardzo chciałyby wiedzieć, o co chodzi, z nikim nie podzieliła się swoimi wątpliwościami. Może zauważyła coś, o czym nikt inny nie pomyślał. Nikt nigdy nie przypisywał Ferrisowi Renfrowowi żadnych większych zdolności prócz dość niezwykłej, w sumie jednak całkiem ziemskiej umiejętności poruszania się niezauważonym.

Zapytała już Renfrowa, kim jest. Może lepszym pytaniem byłoby: czym jest?

## 22

# Skraj Connec, dyspenza Mistrza

Nie kończące się miesiące nieszczęść Altai mełły dusze na duchowy pył. Przez całe trzy zimowe miesiące Corpseour pozostawało odizolowane od świata. A zima była sroga ponad wszelkie wyobrażenia tych, którzy spędzili ją w zamknięciu warowni. Podstawowym, wyłącznym wręcz przedmiotem troski kolonii było ciepło. Zaopatrzeniowcy fortecy poradzili sobie znakomicie, jeśli chodzi o jedzenie, wodę i broń, ale nie przewidzieli zapasów opału potrzebnych podczas niespotykanej chłodnej zimy.

Konieczne okazało się racjonowanie. Część drewna musiała iść na gotowanie.

Uciekinierzy robili wszystko, aby zmniejszyć dokuczliwość zimy. Ale na tej wysokości, w wąskiej, pełnej przeciągów budowli ustawionej osią w kierunku wiejących wiatrów, nie sposób było ukryć się przed zimnem. Opuścić jej zresztą też nie było można. Pogarszająca się pogoda zamknęła szlak do Corpseour. Oblodzone kamienie nie dawały oparcia stopom. Kilku spadło, by w dole spotkać śmierć.

Wśród mieszkańców krążył ponury żart, w którym dziękowali Światłości za to, że sprawiła, iż nękające Connec Delegatury Nocy nie zainteresują się Corpseour. Ponieważ były zbyt mądre, żeby wałęsać się po tym lodowym piekle.

– Nauka z pewnością nie pójdzie w las – mruczał brat Świeca. – Wiosną sprowadzą zaprawę dla uszczelnienia murów i drewno na opał.

Razem z Socją, Archimbaultami i szóstką innych siedzieli zbici w ciasną gromadkę pod wspólną warstwą koców; wszyscy ogrzewali się w ten

sposób. Nie było mu źle. Jako najsłabszy z całej grupy miał miejsce w środku, w ramionach trzymał dziecko Kedle. Z niemowlęciem nie było najlepiej. Brat Świeca obawiał się, że nie przeżyje. Kedle nie miała dość mleka. Jeżeli przeżyje, zawsze już będzie słabowite.

Kedle wiedziała. Dużo płakała, mimo iż miała pewność, że zawsze chronić ją będzie rodzina Archimbaultów i wspólnota Poszukiwaczy.

O Soamesie nie było żadnych wieści.

Pogoda w końcu się odmieniła. Powiał cieplejszy wiatr z południa. Lód zaczął topnieć. Brat Świeca zaryzykował wycieczkę na blanki, przez całą drogę uważając, gdzie stąpa. W ocienionych miejscach warstwę lodu pokrywała woda.

Doskonały spojrzął na jezioro i zauważył, że faktycznie robi się cieplej. Ciepłej i mniej wietrznie. Ludzie zbierali lód. Zmagazynują go w jaskiniach, które w nachodzącym lecie zmieniają się w enklawy zimy. Między Corpseour a Albogides na różnych wysokościach krążyły ptaki. Dostrzegł wśród nich przedstawicieli nieznanego mu gatunku. Doskonały założył, że przybyły z północy, uciekając przed wiecznym lodem.

Zanim wiosna na dobre zawładnęła ziemią, chłód odchodził i wracał jeszcze kilka razy. Zaczęły napływać wieści.

Świat zmienił się nie do poznania. W Brothe był nowy Patriarcha. Naczelny Wódz i jego armia odeszli. W Direcji trwała nowa wojna. Wojna niosąca zniszczenie chaldarańskim królestwom stojącym na drodze pochodu Almanohidów.

Herezja maysalska nie została zapomniana – Towarzystwo wciąż tworzyło listy proskrypcyjne i ciskało oskarżenia – ale w większym obrazie świata dualiści zeszli na plan dalszy. W obliczu wilków grasujących na rubieżach stali się nie bardziej groźni niż dokuczliwe muchy.

Socia była wściekła.

– Tyle cierpienia i wszystko na nic! – wtórowała jej Kedle.

– Doprawdy? – zdziwił się brat Świeca. – A która z was, dziewczęta, ma taki talent jasnowidza, żeby te zmiany przewidzieć?

– Ba! – parsknęła Socia. Wiedziała, że tej dyskusji nie wygra.

– Na podstawie posiadanych informacji podjęliśmy decyzję najlepszą z możliwych. Kiedyś zrozumiesz, że nigdy nie ma dość informacji, by podjąć decyzję bezwzględnie najlepszą. Trzeba robić co można i mieć nadzieję, że

postąpiło się właściwie. Albo, jak księżę Tormond, czeka się do chwili, gdy naprawdę można podjąć decyzję doskonałą.

– Wrr! – warknęła Socia. – A potem jest już za późno. Rozumiem. Ale wcale mi się to, cholera, nie musi podobać. Co teraz robimy?

– Wrócimy do Khaurene. Pomożemy naszym ludziom odzyskać ich domy. Z pewnością Towarzystwo próbowało zająć nieruchomości Poszukiwaczy, którzy nie zostali na miejscu, aby ich strzec.

Brat Świeca wszelako wkrótce się dowiedział, że wpływy Towarzystwa w Khaurene po krótkim okresie stopniowego wyciszania w końcu wygasły całkowicie. Jego znani członkowie drogo zapłacili za sukcesy wojsk patriarchalnych w bitwie pod Khaurene. Kościoły brotheńskich episkopalnych zostały splądrowane, a księża wygnani. Parafianie zakładali Bractwa samoobrony pod wezwaniem Szkarłatnego Krzyża. Wychodząc na ulicę, przywdziewali czarne szaty z naszytymi czerwonymi krzyżami.

Chaldaranie, którzy poparli wskrzeszony Patriarchat w Viscesment i tamtejszego Walecznego, nosili jasne szaty z naszytym czarnym, niebieskim czy wręcz purpurowym krzyżem. Niektórzy z młodszych, bardziej popędliwych Poszukiwaczy poszli za przykładem tamtych i dla swoich formacji samoobrony obywatelskiej przyjęli białe szaty z żółtym krzyżem.

Szwaczka powiedziała bratu Świecy, że milicje posługują się znakiem krzyża, ponieważ jest to symbol najłatwiejszy do wykonania z kosztownej kolorowej tkaniny. Z innych wykrojów pozostawały zawsze ścinki.

Khaurene bardzo się zmieniło. Stało się miastem fanatycznie podzielonym. Niemal każdego dnia wybuchały bójki uliczne. Wysiłki zaprowadzenia porządku były nieskuteczne, ponieważ księżę Tormond dysponował niedostatecznymi siłami.

– Myślałam, że wszyscy głupcy zginęli podczas bitwy zeszłej jesieni – warknęła Socia.

– Ponieważ natura ludzka jest, jaka jest, głupcy mieli najwięcej szans na przeżycie – odparł brat Świeca. – Modłę się tylko o to, żebyś nie wygłaszała podobnych komentarzy w obecności Kedle.

Po małżonku córę Archimbaultów wciąż nie było widu ni słychu. Jego batalion został otoczony przez garstkę ciężkiej kawalerii Naczelnego Wodza. Ocaleli zasadniczo nie chcieli nic powiedzieć. Z czego należało

wnosić, że być może w owym czasie już pokazywali tyły wrogom. Z bardziej skłonnych do rozmowy nikt nie wiedział, co się stało z Soamesem.

– Jeśli przeżył, pokaże się – powiedziała Socia. – Już się szykował do roli pasożyta rodziny. Jeśli chcesz znać moje zdanie.

W ocenie brata Świecy prezentował się nieco lepiej. Ale niewiele. Zastanawiał się, co Raulet chciał zyskać, aranżując to małżeństwo.

– To niemiała uwaga, dziewczyno.

– Ale prawdziwa. W porządku. W porządku. Będę dobrą Poszukiwaczką i postaram się w każdej rzeczy dostrzegać jej jaśniejszą stronę. Nie musimy zatrzymywać się znów u tego podłego piekarza. – Tak mówiła, choć pani Scarre znajdowała się w odległości ledwie dwóch jardów.

Brat Świeca westchnął. Ten dzieciak był beznadziejny. Ale po wszystkich wspólnych przejściach stała mu się bliska prawie jak córka. Albo nawet młoda żona w białym małżeństwie. Nie bardzo potrafił sobie już wyobrazić życie bez niej. Choć dzień rozstania musiał kiedyś nadejść. Najpierw jednak trzeba ją było odprowadzić do Antieux.

Khaurene było dość sporym miastem, niemniej wieści rozchodziły się w nim szybko. Wezwanie do Metrelieux dotarło do Mistrza po południu, trzeciego dnia od powrotu do miasta.

Socia nie chciała iść razem z nim na górę. Nie wierzyła w życzliwość miejscowej szlachty, zapewne przez wzgląd na własną drapieżną naturę.

Bram starożytnej fortecy strzegli nieznani bratu ludzie. Młodszy od poprzedników, wyglądali jakby faktycznie byli w stanie stawić chwilowy bodaj opór atakującym. Nieznany szambelan powitał brata Świecę. Wewnątrz Doskonały wszędzie widział nieznajome oblicza, głównie całkiem obcych sobie ludzi, odzianych na modłę direcjańską. Zastanawiał się, co tu robią, skoro na ich ojczystej ziemi toczyła się decydująca kampania.

Zabezpieczali sobie miejsce, do którego uciekną, jeśli nastąpi najgorsze?

Szambelan zaprowadził go do komnaty, którą brat Świeca znał z wielokrotnych wcześniejszych wizyt. Tym razem dostrzegł znajome oblicza.

– Ci sami heretycy co zawsze – oznajmił na powitanie.

– Witaj, Charde – odrzekł książę Tormond, wychodząc mu na spotkanie. Jak zawsze zachowywał się w sposób pozwalający podejrzewać, iż znacznie przecenia serdeczność panującą w ich wzajemnych stosunkach.



Tormond postarzał się przeraźliwie. Nie pożyje już długo. Mogło to wyjaśniać obecność Navayan. Czy Isabeth przebywała gdzieś w pobliżu, gotowa w każdej chwili wkroczyć?

W takim razie może znajdowali się tutaj Direcjanie, aby wesprzeć jej starania o sukcesję, choć nie miały one podstaw prawnych?

– Jak widzisz, nie wszyscy ze starej gromadki są obecni – ciągnął ksiązę.  
– Sir Eardale zginął w swej nieszczęsnej bitwie. Po prostu musiał walczyć. Tembera Sirhta też nie ma już wśród nas. Poprowadził swoich ludzi na wygnanie do Terliagi.

Ksiązę z wyraźną rezygnacją przyjął zdradę wybrzeża terliagańskiego. Po prawdzie, to chyba do wszystkiego odnosił się już tylko z rezygnacją.

Starania, jakie truciciele podejmowali w związku ze swymi ambicjami, były chyba wysiłkiem zupełnie zmarnowanym. Żeby ująć rzecz bezpośrednio.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć? – zapytał brat Świeca, gdy już uwolnił się z uścisku księcia.

– Potrzebujemy twojej mądrości – odpowiedział mu biskup Clayto. – Wkrótce w Direcji nastąpią wielkie wydarzenia. Ich konsekwencje dadzą nam się we znaki.

– Właśnie spędziłem cztery miesiące na szczycie góry. Marznąć na kość. Plus czas na podróż w obie strony. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

– W Brothe jest nowy Patriarcha. Jeszcze nowszy. Bonifacy Siódmy. Wciąż nie wiemy, czego się po nim spodziewać. Naczelny Wódz unicestwił pogańskich odrodzicieli na Artecipei, gdzie wysłał go ostatni Patriarcha w nadziei, że na długo ugrzęźnie w tej wojnie. Stał się dość silny, żeby obawiali się go jego panowie. Tymczasem kwiat chaldarańskiego rycerstwa ciągnie do Direcji. Każdego dnia spodziewamy się wieści o decydującej bitwie. I obawiamy się, że niezależnie od jej wyniku nie będzie to dobre dla Connec.

– Dlaczegoż to?

– Jeśli Bóg nie okaże się łaskaw, wkrótce pod murami zobaczymy hordy Almanohidów. Jeśli zwycięży król Piotr, wracający do domu Arnhandowie nawiedzą w niecnym zamiarach nasze domostwa. Z pewnością Anne z Menandu to właśnie miała na myśli, kiedy posłała na wojnę Regarda wraz z połową zaciągu feudalnego Arnhandu.

– Regarda? – zdziwił się brat Świeca. – Odważyła się spuścić chłopaka z oka?

– Nie miała wyboru. Choć Anne jest silna i groźna, jej pozycja wciąż pozostaje nie do końca ustabilizowana. Żeby ją wzmocnić, Regard musi zdobyć sobie szacunek walecznej szlachty.

– Rozumiem – powiedział brat Świeca. – Aby mocniej schwycić władzę, Anne musi posłać swoje dziecko na wojnę. A zakładając, że zdarzy się najgorsze? Kto obejmie tron? Młodszy brat?

– Anselin? Zapewne. Choć Anne tak daleko nie planuje.

Książę Tormond wtrącił:

– Anselin jest na krucjacie w Ziemi Świętej. A przynajmniej takie miał plany, gdy odwiedził Salpeno. Nie był z tego powodu zadowolony. Nie chciał ruszać. Ale nie miał innego sposobu na uwolnienie się spod kurateli matki.

– To znaczy, że ewentualna zguba Regarda pogrąży Arnhand w chaosie. Szlachta nigdy nie pozwoli Anne zasiąść na tronie. Może nawet nie zaakceptować jej jako regentki na czas do powrotu Anselina.

– Sugerujesz więc, że możemy mieć kilka lat wytchnienia, jeśli Regnar nie wróci z Direcji? – chciał się upewnić biskup Clayto.

Mistrz zaczął protestować:

– Tego nie chciałem powiedzieć!

– Widzicie, panowie? Mówiłem wam, że warto było wyciągnąć Charde’a z dzielnicy burdeli – podsumował książę.

Brat Świeca znów protestował. Ale zignorowano go. Rada, w składzie uwzględniającym brotheńskiego episkopalnego biskupa, zaczęła się zabawiać w planowanie intrygi mającej doprowadzić do przedwczesnego wstąpienia do raju króla Regarda z Arnhandu. Ale nikt nie wkładał w te spiski serca. Wszystko to były gierki życzeniowego myślenia, uprawiane przez grupkę słabych ludzi, którzy o zbyt wczesnej porze dnia wypili zbyt wiele wina. Ludzi, doszedł do wniosku brat Świeca, którzy pogrzebią starożytną kulturę nie dlatego, że nie potrafią sprostać barbarzyńskim drapieżcom, ale dla tego, że nie są w stanie stanąć na tylnych łapach i zdobyć szacunek swoich.

Nikt już nie prosił go o radę. Po kilku godzinach wyszedł. Tego też chyba nikt nie zauważył, a przynajmniej nikogo to nie obeszło.

Brat Świeca i Socia Rault właśnie zażywali wypoczynku w towarzystwie wskrzeszonej wspólnoty Poszukiwaczy w Castreresone. I wtedy rozdzwoniły się radośnie dzwony miasta, wieszcząc chaldarańskie zwycięstwo pod Los Naves de los Fantas. Wieści wędrowały szybko. Nikt nie wierzył, aby nie były przesadzone. Największa porażka al-Pramy w ciągu ostatnich czterystu lat? Niemożliwe.

– Teraz znów zacznie się udręka Connec – zauważył brat Świeca.

– A kiedy się skończy? – pytała Socia.

Dotarcie do Castreresone zabrało im dziewięć dni. Nie było tak źle jak w trakcie wyprawy na zachód, ale na drogach grasowali bandyci i ludzie służący lokalnym panom, w sumie niewiele od bandytów lepsi. Nie wspominając już o istotach Nocy.

Poganie z Artecipei uwolnili znacznie więcej mrocznych duchów, niż im się śniło. Kiedy widmo Cienia, Rooka lub Trzona zaczęło znów nawiedzać ziemię i zgromadziło dość sił, aby osiągnąć poziom substancjalizacji, zaczęło wzywać i uwalniać własne satelickie Delegatury. Obecnie ich legiony uganiały się po pustkowiach, kruche jeszcze i ślepe, ale całkowicie zdolne żerować na nieostrożnych i nieświadomych.

Brat Świeca przez jakiś czas pozostał w Castreresone, odpoczywając i odzyskując siły. W istocie pozostał znacznie dłużej, niż pierwotnie zakładał. Chciał już wysłać wiadomość do Antieux. Socia nie chciała o tym słyszeć. Miał nadzieję, że nie będzie tak zaskoczona jak może być hrabia Raymone.

Doskonały wyglądał już dnia, w którym pozbędzie się swej podopiecznej. Dzięki temu wreszcie będzie wolny, będzie mógł zadbać o oczyszczenie i uzdrowienie własnej duszy.

Postój w Castreresone zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy brat Świeca wreszcie gotów był już ruszać w drogę, rozchorował się. Potem sytuacja za murami miasta stała się tak dramatyczna, że konsulowie zamknęli bramy, póki patrole nie uporały się z niebezpieczeństwem. Ale zagrożenie nie przeszkadzało wieściom: ani Regard, ani jego najwyżsi dowódcy nie mieli ochoty na następną wojnę po tym, co przeszli w Direcji. Chcieli już tylko wracać do domów.

W końcu, kiedy stary człowiek i dziewczyna wrócili na drogę, brat Świeca zauważył:

– Myślę, że Regard zostanie solidnie zrugany, gdy już dotrze do Salpeno.

– Albo oberwie się jego matce. On jest weteranem. Przeszedł chrzest ognia. Niewykluczone, że rozwinął sobie kręgosłup moralny.

Socia była przebrana za chłopca. Jak zawsze, kiedy podróżowali po drogach. Pomysł okazał się dobry. Maysalskim pielgrzymom, zwłaszcza Mistrzowi i jego uczniowi, naprzykrzali się tylko najbardziej szaleni z szalonych. Mistrzowie gardzili pieniędzmi. Ich jedyną monetą była mądrość. Każdy towarzyszący im uczeń z oczywistych powodów musiał być jeszcze biedniejszy.

Później się dowiedzieli, że niestety garstka Arnhandów pofolgowała swej żądzy łupów i terroru, nie zwracając w ogóle uwagi na różnice między heretykami, niewiernymi i chaldaranami rozmaitych wyznań. Zabierali po prostu wszystko, co zostało po wcześniejszych najeźdźcach i zakusach sąsiadów. Zdobyli kilka miasteczek i zamków, w sumie w sposób niezbyt krwawy, ale to i tak oznaczało, że gdyby jeszcze kiedyś tu wrócili, nie zastaliby na miejscu żadnych przyjaciół.

Stary i dziewczyna mieli już w zasięgu wzroku Antieux, kiedy spotkali przerażonego podróżnego, który podzielił się z nimi strasznymi, we własnym mniemaniu, informacjami. Nowy Patriarcha, Bonifacy VII, zamierzał z powrotem wysłać Naczelnego Wodza do Connec. Z mniejszymi siłami, ale za to składającymi się z zaprawionych w boju weteranów.

Antieux już przygotowywało się na następne oblężenie.

Socię wprawiło to w ponury nastrój.

– Jak mamy żyć? W zeszłym roku nie było właściwie żadnych zbiorów. A wróg i w tym roku nie pozwoli na zgromadzenie żywności, jeśli ma się już wkrótce pojawić.

Brat Świeca uważniej niż ona wsłuchał się w słowa podróżnego.

– To jest nowy Patriarcha. A nie ten szaleniec Wzniosły. Osobiście sędzę, że naprawdę zależy mu na eksterminacji Delegatur wałęsających się po okolicy.

– Mówimy o człowieku, który przyrzekł, że położy kres łotrostwom Towarzystwa. Słyszałeś, aby pod tym względem coś się zmieniło na lepsze?

Słyszał. Ale Socia z pewnością nie nadstawi ucha na jego słowa. Więc postanowił ich nie marnować. Mieli przed sobą jeszcze całe mile marszu, a jemu dokuczały stawy. Myślał o wycofaniu się na dobre ze świata, a nie tylko o wypoczynku w klasztorze i odzyskaniu sił. Bywali Doskonali, którzy porzucali świat całkowicie, zazwyczaj zamykając się w jednej z

surowych fortec na południu, w którejś z górzystych marchii między Connec a Dircją. Tam nawet głęboko religijni episkopalni patrzyli krzywo na Brothe i bardziej miłowali bliźniego swego.

Nastrój Socii przeszedł od rozdrażnienia i wojowniczości do zatroskania.

– Dobrze się czujesz?

– Dobrze, dziecko. Po prostu lata już nie te.

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. Towarzyszyła mu od dość dawna, by się zorientować w cyklach słabości starego ciała.

– Jestem tylko zmęczony. – Ale powoli sam zaczynał się trochę obawiać. Największym wysiłkiem woli nie potrafił zmusić nóg, żeby wędrowały tak szybko jak choćby zeszłego lata. Podejrzewał, że początkiem jego schyłku była tamta potworna podróż z Castresone do Khaurene. Okropna zima w Corpseour też mu się nie przysłużyła.

Nienawidził własnej słabości. Choć nie chodziło tu o słabość cielesną. Ta dotykała każdego człowieka, który miał tyle szczęścia, aby dożyć starości. Nie. Gardził strachem, który zapuszczał ohydne macki pod pancerz jego wiary. Śmierci nie należy się obawiać. Śmierć nie była wskrzeszeńcem skradającym się przez noc i siejącym zgniliznę. Śmierć była bramą do Światła.

– Po prostu muszę odnaleźć Ścieżkę.

Ten wymiar jego duszy Socia rozumiała, choć jej wiara była słaba.

Któryś z konnych mijających ich po drodze na wschód, musiał rozpoznać twarz brata Świecy. Z zaplanowanej niespodzianki, jaką miał sprawić Socii, w końcu niewiele wyszło. Kiedy została im ostatnia mila drogi i schodzili już na dół, z bramy Antieux zaczęli wylewać się jeźdźcy. Doskonały niemal natychmiast rozpoznał Bernardina Amberchelle, potem kilku braci Rault, wreszcie hrabiego Raymone’a.

– Wygląda, jakby chcieli nas przepędzić, zanim zdążymy zanieczyścić miasto.

– Dureń. – Socia ze łzami w oczach pobiegła przed siebie.

Stare zwłoki brata Świecy nawet nie mogły marzyć o dotrzymaniu jej kroku. Włókł się więc powoli, rozglądając się po otaczającym go krajobrazie. Widać było, że mieszkańcy poważnie wzięli się do odbudowy. I chyba szło im znakomicie. Albo oblężenie nie było tak straszne, jak malowały je plotki. Albo...

Albo hrabia Raymone dokonał cudów. Tę ostatnią możliwość potwierdziły dokładniejsze obserwacje ludzi na polach i wzgórzach.

Raymone wykorzystywał przymusową siłę roboczą do odbudowy kraju. Musiał chyba zagnać do pracy wszystkich Grolsacherów, jacy wpadli mu w ręce.

Nieco później brat Świeca miał się dowiedzieć, że w skład brygad roboczych wchodziło nie tylko uchodźcy. Jeńcy wojenni, kryminaliści, schwytani bandyci i członkowie Towarzystwa mozolili się wszędzie, wykorzystywani z ponurą obojętnością wobec ich człowieczeństwa. Ale logice hrabiego Raymone'a trudno było coś zarzucić. To wszystko byli ludzie odpowiedzialni za zniszczenia, jakie dotknęły Connec. Niech zrekompensują zło, jakie wyrządzili.

Powitania trwały już w najlepsze, kiedy brat Świeca wreszcie dogonił Socie, która akurat w podnieceniu okładała braci kułakami. Spośród Raultów tylko Booth wydawał się w kiepskim stanie. Odniósł poważną ranę w głowę, po lewej stronie czaszki. Stracił część ucha. Blizna wciąż była nabrzmiała i purpurowa. Jedną z tych, którym dziesięć lat zajmuje nabranie normalnej barwy ciała. Doskonały zauważył, że lewe oko Bootha pozostaje ślepe. Niemniej na twarzy najmłodszego z Raultów widniał szeroki uśmiech.

Hrabia Raymone podszedł do brata Świecy.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Mistrzu. Nie chciałem, żeby Socia stała się całym twoim życiem. Pokonywałeś trudności z wiarą, jaką mogę sobie tylko wyobrazić. Do wczoraj obawiałem się, że cię straciłem. Tylko Bernardin podnosił mnie na duchu od czasu, gdy wrócił z niewoli. Bardziej wierzył w ciebie niż ja. Przepraszam.

Wojownik objął starego uściskiem potężnych ramion.

– Mam u ciebie dług wdzięczności. Mistrzu. Nie zostało mi wiele, ale wszystko, co posiadam, należy do ciebie. Tylko powiedz.

– Wobec tego chcę pokoju.

– Mistrzu?

– Chcę pokoju między tobą a nowym Patriarchą.

– Jest pokój między mną a nim. I na zawsze będzie. Póki zostanie w Brothe. Jeżeli natomiast przyjdzie do Antieux, żeby nam mówić, jak mamy żyć, to o pokoju nie ma mowy.

Brat Świeca postanowił się nie kłócić. Przynajmniej na razie. Znajdą się lepsze chwile. Chwile, w których rozum znów będzie w stanie uprawiać subtelną sztukę obalania uprzedzeń.

– Socia mówi, że najchętniej wycofałbyś się do intelektualnej przystani w towarzystwie innych Doskonałych. Mam jednak nadzieję, że zostaniesz na ślubie – powiedział hrabia Raymone.

– To mogę ci obiecać. Chyba że znowu będzie wojna. Mam dość wojny.

Po hrabim widać było, że troski te uważa za niemądre. Uśmiechnął się szeroko.

– Umowa stoi. Ale jeśli będzie wyglądać na to, że nie jesteśmy w stanie z kimś wytrzymać, wsadzę twój chudy tyłek na osła, ustawię go pyskiem na zachód i smagnę po zadzie.

Brat Świeca przez chwilę się zastanawiał, czy przypadkiem nawet w tej chwili jego pogląd na sprawy nie jest zbyt naiwny. Gdyby przyszło mu jeszcze trochę pożyć, byłby świadkiem kolejnej wojny. Arnhandowie kiedyś wrócą. Wyczuli w Connec słabość i zgniliznę toczącą korzenie kraju. Nadzieja prowincji spoczywała nie w księciu Tormondzie – to nigdy nie był książę Tormond – ani nawet w hrabim Raymone'em. Hrabia nie miał dość sił. Cała nadzieja leżała za górami Verses, w Direcji. W Piotrze z Navai.

– Dobrze. Któż mógłby nie przyjąć takiej propozycji.

Ślub odbył się zgodnie z planem, w ciągu miesiąca. Państwo młodzi byli niezwykle sobą zauroczeni. A Socia swymi ostrymi słowy zdobyła sobie serca twardego ludu Antieux.

Po weselu hrabia Raymone odesłał braci Rault do domu w towarzystwie Bernardina Amberchelle i stuosobowego orszaku. Caron ande Lette było w rękach grolsacherskich dzikich lokatorów. Ekspedycja nie zakończyła się powodzeniem. Grolsacherzy byli liczniejsi, niż się spodziewano. Tamte ziemie nawiedziła Noc. Kraj przestał być ojczyzną ludzi, którzy nie ulegli Woli Nocy.

Kiedy pobity oddział wrócił do Antieux, hrabia Raymone zdecydował:

– Wyślę słowo do Naczelnego Wodza. Niech on za nas oczyści tę kloakę.

Brat Świeca pozostał w Antieux znacznie dłużej, niż sobie planował. Ziemskie sprawy trzymały jego duszę w mocnym uścisku. Nie miał ochoty zegnać się z towarzyszką, z którą spędził tyle czasu. Jakby Socia stała się

dlań rodziną, którą przecież odsunął na bok, by podążać ścieżką do Doskonałości.

Ale nie mógł ociągać się wiecznie. Poszukiwaczom z zachodu potrzebne było przywództwo i otucha. A jemu odnowienie duszy.

– Raymone – oznajmił z niechęcią, chwytając uzdę muła, którego hrabia dla jego uporu ochrzcił imieniem Socii. – Zdecydowałem, jak możesz spłacić mi swój dług. Pomijając to żalosne zwierzę, którego zapewne pozbawią mnie bandyci, gdy z oczu znikną mi mury miasta.

– Wątpię, ponieważ masz na sobie pielgrzymią szatę, Mistrzu. Żyjąc w tak bezpośredniej bliskości Nocy, tamci robią się przesądni. Nie będą cię niepokoić.

– Tak. Tylko Kościół się odważy. Co?

– Jako rzeczesz. O co chcesz mnie prosić?

– Skoro pokój wydaje się nierozsądny, to o ochronę dla tych, którzy podążają Ścieżką.

Hrabia Raymone pochylił głowę, jakby stał przed obliczem króla.

– Niech więc tak będzie, Mistrzu. Póki tchu w mych piersiach.

Socia stała w milczeniu z boku, nie chciała się odzywać w obawie, że wybuchnie łzami. Teraz tylko powtórzyła rotę przysięgi:

– Niech więc tak będzie, Mistrzu. Póki tchu w moich piersiach. I póki zostanie mi ramię, żebym mogła wznieść włócznię.

Ta ostatnia uwaga wywołała natychmiastową sprzeczkę wśród notabli.

Brat Świeca, uśmiechnięty mimo smutku pożegnania, pociągnął za uzdę osła i dał pierwszy krok na drodze ku przyszłości. Pierwszy cel: Khaurene. Potem jakieś miejsce, gdzie będzie można odzyskać Doskonałość. Czyli zasadniczo ustronie poza nurtem rozgrywającej się historii – ostrą stałą ukształtują ją ludzie, których umysły udało mu się nieco wyostrzyć.



## 23

# Dreanger, al-Karn, Pałac Królów

**S**tary domowy niewolnik, Gamel, ugiął się pod brzemieniem, który niósł po posadzce z polerowanego serpentynu do wielkiej komnaty, gdzie Gordimer Lew przewodniczył jesiennej sesji sądu. Er-Rashał al-Dhulquarnen był na miejscu, najwyraźniej zainteresowany którąś ze spraw wniesionych przed oblicze Wielkiego Marszałka. To samo zapewne odnosiło się do kaifa Karima Kaseema al-Bakra, który drzemał w fotelu nieopodal. Jego interesowały sprawy mające implikacje religijne.

Niewolnikowi nie zostało już wiele czasu na tym padole łez. Wiele dziesiątek lat temu był wojowniczym młodym sha-lugiem. Czas, szczęście i zdumiewająca umiejętność kurowania się z ran ocaliły go przed śmiercią na polu bitwy. Sha-lugowie, którym udało się zestarzeć w nie mającej końca wojnie, musieli zarabiać na życie, zarządzając pałacową służbą.

Gordimer świetnie znał Gamela. Kiedy był szczeniakiem, to Gamel nauczył go władać włócznią. Na jego widok Marszałek szybko wydał wyrok w rozpatrywanej właśnie sprawie, każąc udusić pozwanego, który zbrukał cześć córki swej siostry. Wyrok wykonano na miejscu. Córkę Gordimer kazał ukamienować. Zwłoki obojga miano cisnąć krokodylom.

Potem posłał dwóch gwardzistów, żeby pomogli staremu.

– Zapomnij o tym, Gamel. Zasłużyłeś sobie na prawo stania w obecności Marszałka. – Choć raczej nie w obecności kaifa. Gdyby kaif był jeszcze czymś więcej niż tylko narzędziem woli sha-lugów i gdyby nie spał. – O co chodzi?

Sprawa musiała być ogromnej wagi, jeśli stary sługa pofatygował się osobiście w toku sesji procesowej.

– Dano mi tę szkatułę, żebym ją tobie przekazał. Powiedziano, żeby dostarczyć natychmiast.

– A co w niej jest?

– Nie wiem. Ale cieknie z niej zimna woda.

– Kto ci ją dał?

– Generał Nassim. Nassim Alizarin.

– Góra? Jest tutaj? W al-Karn? Myślałem, że Nassim nie żyje.

Wyraźnie wstrząśnięty, nadworny czarownik bronił się:

– Byłem pewien, że nie ma go już wśród żywych.

– Zobaczmy, co jest w środku. Wy dwaj. Przynieście tu tę szkatułę. Otwórzcie.

Er-Rashał zatonął we własnych myślach, a tymczasem dwaj gwardziści postąpili zgodnie z rozkazem. Nagle warknął:

– Nie otwierajcie!

Ułamek sekundy za późno.

– Co my tu mamy? – zapytał Gordimer. Toczył wściekłym wzrokiem po ciekawskich, którzy próbowali zapuścić żurawia do środka.

– To głowa. W stopionym lodzie.

Gwardzista wyjął ze szkatuły odciętą głowę, trzymając ją za włosy. Jego towarzysz wziął do ręki drewnianą, pokrytą woskiem tulejkę o średnicy jednego cala i długości mniej więcej sześciu.

Gordimer odkręcił koniec drewnianej tulei, wydobył kawałek papieru.

– O co tu chodzi? – zapytał er-Rashala.

Czarownik nie mógł oderwać wzroku od martwej głowy.

– Poszarzałeś na twarzy. – Lew rozwinął papier i przeczytał na głos: – Do mego pana, Wielkiego Marszałka sha-lugów, Gordimera zwanego Lwem, i do czarownika er-Rashala al-Dhulquarnena. Pozdrowienia. Podarunek. Wszystko, co zostało z pogańskiego czarownika Rudenesa Schneidela, z którego rozkazu zamordowany został mój syn Hagid. On zapłacił pierwszy. Jego towarzysze w niegodziwości wkrótce pójną jego śladem. Nassim Alizarin, niegdysiejszy przyjaciel. Przez wspomnienie dawnej przyjaźni, o Lwie. Uprzejma rada. Czuj się ostrzeżony. Nadciąga burza z północy. Widziałem ją na własne oczy i to ty jesteś jej przyczyną. Nawet Opatrzność we Własnej Osobie nie będzie w stanie się jej przeciwstawić.

Gordimer Lew zamknął oczy. To był głos prorocstwa. Chwilę później powiedział:

– Opróżnić komnatę. Posiedzenie sądu odroczone do jutra rana. – Kiedy wykonywano jego rozkaz, rozpaczliwie przetrząsał umysł.

Otworzył oczy. Er-Rashała już nie było. Kaif wciąż spał. Gamel się wycofał. Gordimer zwrócił się do gwardzisty, wciąż trzymającego głowę Schneidela:

– Gład. Co o tym wszystkim myślisz?

– Generał Nassim zniknął, ponieważ dowiedział się, że jego syn został zamordowany. Ale Hagida zaliczono do sha-lugów rzekomo poległych w Calzirze.

– Gdzie w ogóle nie miało go być.

Gwardzista pokiwał głową.

– Krążą niesłychane plotki na temat tego, co się tam zdarzyło. O sha-lugach, których porzucono, nie pozwalając im wsiąść na statki zabierające zbiegów z calzirskiej katastrofy.

– Czy to prawda? O niczym takim nie słyszałem. Sidiki. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz wybuchnąć. Gdybyś tylko śmiał. Pozwalam.

– Jest wiele rzeczy, które nie docierają do twoich uszu, ponieważ siedzisz wciąż zamknięty w pałacu, o Lwie. – Sidiki starannie unikał najlżejszej choćby możliwości posądzenia o krytykę, choć cały oddział gwardii osobistej był głęboko wstrząśnięty zachowaniem Marszałka w ostatnich latach. Nawet ci, którzy byli najbliżej niego, uważali, że on właśnie rozkazał, aby zostawiono tych sha-lugów na łasce i niełasce niewiernych, ponieważ byli związani z Else'em Tage, ongiś lubianym dowódcą, którego Gordimer obawiał się z przyczyn, jakich nikt nie potrafił sobie wyobrazić.

W końcu gwardia osobista i wszyscy ci sha-lugowie, którzy przebywali w Pałacu Królów, doszli do wniosku, że winą za wszystko należy obciążyć czarownika er-Rashała el-Dhulquarnena.

– Powiedz.

## 24

# Brothe, pod koniec dnia

Po tygodniu absolutnego próżnowania Piper Hecht zaczął spędzać po parę godzin dziennie w Castella. Żaden oficjalny komunikat nie wyszedł jeszcze z Krois. Ale plotki szalały. Będzie następna inwazja na Connec. Z pewnością. Jej celem jest wojna z Nocą. Sztab powinien zacząć przygotowania.

Statki wypłynęły w morze, żeby przywieźć resztę żołnierzy z Artecipei. Titus Consent zadbał o to, aby żołnierze wiedzieli, iż to właśnie dzięki Piperowi Hechtowi wracają do domów. Wódz Naczelny osiągnął porozumienie z Bonifacym VII. Odtąd żołnierze patriarchalni będą już dobrze traktowani. Z wypisanym wielkimi czcionkami ostrzeżeniem: „bo w przeciwnym razie...” ukrytym między wierszami.

Pinkus Ghort wpadł z krótką wizytą do Anny. Po kolejnej porażce w szachach powiedział do Hechta:

– Uważaj, co będziesz mówił o swoich żołnierzach, Pipe. W Kolegium są ludzie, którzy wpisali cię na swoje gówniane listy tylko dlatego, że masz silną pozycję.

Hecht już widział oznaki. Gdziekolwiek zebrało się trzech lub więcej ludzi, jeden z nich zawsze natychmiast znajdował w sobie potrzebę, by kogoś ściągnąć w dół.

Już miał coś arogancko i wściekle odwarknąć, ale się powstrzymał.

– Co? – zapytał Ghort. – Nie wierzysz mi?

– Nie. To znaczy, wierzę. Mam kłopoty z uwierzeniem sobie samemu.

Ghort obrzucił Hechta spojrzeniem, które rezerwował sobie na chwile, gdy nie miał pojęcia, o czym tamten mówi.

– Ale jednym z nich nie jest twój szef, co? – zapytał Hecht.

– Jednym z nich jest on. Na twój widok dostaje erekcji.  
– Zawsze tak było. Nie będę jego chłopcem na posyłki.  
– On jest przekonany, że jesteś mu coś winien.  
– Naprawdę? Ponieważ wydostał nas z Plemenzy?  
– Tak. I jeszcze za inne rzeczy.  
– Mimo że nie żyłby, gdybym go wówczas nie obudził w Węźle Ownvidiańskim?

– Nie chcę go tłumaczyć, Pipe. Po prostu mówię. Mówię ci tyle, że będzie się upierał przy regulacjach koszarowych.

To akurat Hecht przewidział. Niezależnie od tego, czy Bronte Doneto byłby konsulem czy nie, senatorowie dążyliby do podobnej regulacji. Może nieco później. Nikt z hierarchii kościelnej nie chciał, aby wojska patriarchalne stacjonowały w mieście.

– Myślałem, że osiągnęliśmy ugodę. – Za pomocą chytrej sztuczki. Mianowicie dzięki umowie z Bractwem Wojny, na mocy której żołnierzy Hechta stacjonujących w Castella Bractwo traktowało jak swoich.

– Ale to niezgodne z prawem. Na każde swoje wezwanie możesz mieć w ciągu czterech dni pięć tysięcy uzbrojonych weteranów. Nie licząc reszty, która wkrótce wróci z Artecipei.

– Czy to źle, biorąc pod uwagę wasze wewnętrzne kłopoty?

– Hej, Pipe, nie chcę się kłócić. Tylko mówię. I zastanawiam się, o co chodzi twojemu kumpłowi, prowincjałowi Delariemu. Od wieków po nim ni widu, ni słyhu.

– Nie mam pojęcia. Czemu?

Hecht uśmiechnął się do Vali i córki Karlicy, Lili. Dzieciaki wciąż znajdowały jakieś wymówki, żeby się wymknąć z domu. W tej chwili były zaciekawione i miały nadzieję, że Ghort przyniósł łakocie. Czasami przynosił.

Lila doszła już do siebie po napaści, w wyniku której odniosła poważne rany, a jej matka zginęła. Choć większa i starsza, stała się nieśmiałym cieniem Vali. Ale chyba niełatwe pierwsze lata życia powoli zacierały się w jej pamięci. Anna twierdziła, że jest dobrze wychowana i stara się w domu, choć trudno nawiązać z nią bliższy kontakt. Jeszcze bardziej lubiła książki niż Pella. Być może dzięki niej Vali wreszcie wyjdzie ze swej skorupy.

Hecht podsłuchał raz, jak dziewczynki rozmawiały. Wręcz paplały, jak dzieci mające zupełnie normalne dzieciństwo.

– Doneta to poważnie niepokoi – ciągnął Ghort. – Nie są dobrymi kumplami. Po tym, jak zawalił się hipodrom, stali się jawnymi wrogami. Potem jakoś się ułożyło. Obecnie tolerują się wzajem.

– Z tego, co mówi Delari, cała rzecz sprowadzała się do nieporozumienia. Ponieważ zbyt wielu ludzi gada wtedy, gdy powinni słuchać, skończyło się na tym, że pokłócili się, próbując obaj robić tę samą robotę. Chodziło o zgładzenie potwora, który mordował ludzi.

Ghort zmarszczył brwi.

– Nie sądzę, żeby sobie poradzili, Piper – powiedziała Anna.

– Co? Oczywiście, że dali radę. Prowincjał Delari... – Urwał. Nie mógł im powiedzieć.

– Wobec tego pojawił się młodszy brat potwora, żeby przejąć rodzinny interes.

Ghort był równie wstrząśnięty jak Hecht.

– Anno?

– Morderstwa zaczęły się znowu. Takie same jak przedtem. Hecht obserwował, jak kolor odpływa z twarzy Ghorta.

– Pipe. Powiedziałeś, że Delari skończył z potworem.

– Tak mi powiedział.

– Pokazał ciało?

– Mnie nie pokazał. I nie byłem zainteresowany widokiem. Uciekałem przed zabójcami i przygotowywałem się do wojny.

– Musisz go znaleźć i dowiedzieć się, co myśli.

– Twój szef jest konsulem. I potężnym czarownikiem.

– Masz rację. To jest robota dla niego. Mimo to, może zechcesz pogadać z Delarim?

– Tak zrobię. Jutro wieczorem mamy zjeść razem kolację w jego miejskiej rezydencji. Zakładam, że się pojawi.

– W porządku. Kiedy wracasz do Connec?

– Jeszcze mi nie powiedziano. To wciąż tylko plotki. Bonifacy... Mam poważne podejrzenia, że biurokracja otaczająca Patriarchę jest tak nieprzemakalna i pogmatwana, że choć Patriarcha jest posłańcem Boga na ziemi, nawet on musi się najpierw przedrzeć przez tę dżunglę, zanim zajmie się wprowadzeniem Jego woli w czyn.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tylko banda dupków, którzy rzucają wszystkim kłody pod nogi. Powinien urządzić im czystkę. Ludzie z Krois

należą do rodzin, które już od piętnastu pokoleń płaczą się pod nogami. Wszyscy biorą łapówki od każdego, kto ma choć sztukę srebra.

Rozmowa na temat korupcji na najwyższych szczeblach władzy przyciągnęła uwagę dzieciaków, a po chwili również Anny. Zanim Hecht zdążył ostrzec Ghorta przed małymi podsłuchiwaczami, ktoś zapukał do frontowych drzwi.

Anna przykazała Pelli:

– Zobacz kto to.

Okazało się, że przyszedł Titus Consent z Noë i ich przychówkiem.

– Titus, zupełnie zapomniałem. Daj zobaczyć dziecko. – Hecht jeszcze nie widział Avrana.

Noë podała mu niemowlę, ale z wyraźnym wahaniem. Jakby się bała, że je pożre.

– Wykapany tatuś. Spójrz na te oczy. Już wszystko kalkuluje. – Hecht oddał dziecko.

Jego matka obeszła z nim cały pokój, dając każdemu szansę przyjrzenia się małemu. Wyjątkiem był Pinkus Ghort. Noë nie na żarty bała się go. Ghort był dla niej zbyt spontaniczny. Ona zaś była myszką, najbardziej nieśmiałą kobietą, jaką Hecht w życiu spotkał. Radziła sobie jakoś tylko dzięki wielkiej dumie.

Hecht rzekł:

– Pinkus, kompletnie zapomniałem o Titusie. Mamy robotę w odlewni.

Ghort udał obrazę:

– Widzę, kiedy mnie gdzieś nie chcą.

– Możesz zostać, pogramy w szachy – zaproponowała Anna.

– Jasne. Uwielbiam, jak mi spuszczają lanie.

– Wstydz się, Pinkusie Ghorcie. Czasami wygrywasz. – Anna wskazała dzieci. – A żadne z tych diabląt nie potrafi usiedzieć przy szachownicy dłużej niż przez dziesięć ruchów.

Ponieważ były dziećmi i nie rozumiały, na czym polega sens gry. Choć Vali, gdy zdołała się skupić, była groźnym przeciwnikiem.

– Mam własną robotę, którą rzuciłem, żeby przyjść tu i pogadać z najlepszym kumplem o tym, jak to warto być ostrożnym.

– Noë może z tobą zagrać, Anna – wtrącił Titus. – Ze mną zupełnie nieźle sobie radzi.

Żona Consenta spłonęła szkarłatem. Wymruczała jakieś nieśmiałe zaprzeczenie, niezdolna nikomu spojrzeć w oczy, prócz chyba tylko własnego dziecka.

Ghort parę razy jeszcze poradził Hechtowi, żeby ten zachowywał ostrożność, i w końcu poszedł sobie.

– Najlepszy kumpel? – zapytał Consent.

– Nie ma w tym wiele przesady. Jesteśmy razem od dawna – zgodził się Hecht. – Niestety się złożyło, że mamy różnych pracodawców. Mam nadzieję, że nigdy nie staniemy naprzeciw siebie.

– Powinniśmy już iść. – Consent zaczął coś mówić do swej żony.

Nadzwyczaj ruchliwe pierwsze dziecko Titusa, Sharone, już zniknęło z Vali i Lilą, bawiły się w gonionego. Niemowlę wypróbowało swych czarów na Annie. Pella zaglądał jej przez lewe ramię, wyraźnie zafascynowany.

– Pella, chodź z nami – powiedział Hecht.

Anna obrzuciła go zaskoczonym, pytającym spojrzeniem.

– Jest już dość dorosły.

Hechta irytowała obecność ochrony osobistej. Ale wiedział, że nic na to nie poradzi.

– Pogódź się z tym, co nieuchronne – poradził Titus. – Jesteś najważniejszym człowiekiem w Brothe. Po Bonifacym Siódmym. Ochroniarze to cena, jaką za to płacisz.

Hecht dał upust złości, wdając się w nonsensowny monolog o tym, że Duarnenianie nie muszą znosić takiego gówna. Pella szedł obok nich, kiwając głową, jakby zgadzał się z każdym słowem.

Zmierzali do warsztatów i odlewni, prowadzonych przez ludzi, którzy obecnie wytwarzali całą broń i proch strzelniczy dla armii patriarchalnej i w tym celu utworzyli konsorcjum wiodących devediańskich rodzin.

Ironia losu, myślał Hecht. Jeśli to było właściwe określenie. Niewierni robili broń i amunicję, dzięki którym armia patriarchalna narzuci swą wolę wiernym.

– Wiernym? – zdziwił się Titus. – Przecież przede wszystkim jest to broń na stwory Nocy. Jeżeli będziesz chciał skarcić takie czy inne miasto imperialne albo któreś z księstw, musisz to zrobić po staremu.

Hecht nie polemizował. Titus tylko częściowo miał rację. Drago Prosek i Kait Rhuk mieli setki pomysłów, jak broń miotająca na proch strzelniczy



może zmienić tradycyjny sposób prowadzenia wojen. Niewiele z nich bezpośrednio dotyczyło taktyki walki z Delegaturami Nocy.

Prosek i Rhuk w towarzystwie kilku specjalistów od falkonetów byli już na miejscu, kiedy Hecht i Consent dotarli do Specjalnej Manufaktury Krulik i Sneigon. Consent zwrócił się do Hechta:

– Umieściliśmy tu produkcję prochu i falkonetów. Ci ludzie z nadzwyczajnym zapałem pracują nad nowymi sposobami zabijania ludzi. I stworów.

– Zwłaszcza stworów – jakiś czas później zapewniał Hechta Shimeon Krulik. – Zrozum, my, devedianie, nie mamy szczególnej obsesji na punkcie ułatwiania życia brotheńskim episkopalnym chaldaranom.

– Oczywiście. Ale mamy z nimi wspólne cele.

– Istotnie. Wspólnym wrogiem są Delegatury Nocy.

Hecht pokiwał głową. Wcale nie był tego taki pewien.

Shimeon Krulik przekazał Hechta, Pellę i Titusa w ręce Mosleia Sneigona. Sneigon kierował produkcją i badaniami. Zgarbiony, mały człowieczek przypominał postać wyjętą z rasistowskich żartów. Ale gdy szło o sprawy związane z interesami, okazał się naprawdę błyskotliwy.

– W ciągu ostatniego roku obcieliśmy koszty i poprawiliśmy skuteczność co najmniej sto razy, Naczelną Wodzu. Popatrz. Przez te formy w postaci gwiazd wlewamy stopione żelazo. Wypływa z nich ochłodzone tak, że każda kropla przybiera z grubsza kształt strzałki długiej na dwa cale. Potem wpadają do wody. Woda gwałtownie paruje i tym sposobem odkształca powierzchnię strzałki.

Wyciągnął skądś nieregularną żelazną strzałkę, nieco krótszą niż dwa cale. – Wkładamy je wypełnione drobnym piaskiem zaprawionym żywicą roślinną w te drewniane formy, które mają średnicę identyczną jak lufy twoich falkonetów. Siła wybuchu i ciepło eksplodującego prochu strzelniczego rozrywa ładunek.

Sneigon pokazał im robotników, którzy zanurzali groty małych strzałek w płynnym srebrze.

– Strzałki produkujemy z dużą wydajnością. Wąskie gardło stanowi posrebrzanie. Srebra nie zużywamy dużo. Oczywiście musimy je mieć. Ale na grot wchodzi tylko odrobina.

– W związku z tym możemy sporo zaoszczędzić na srebrze?

– Fortunę. Z czasem opracujemy sposób pozwalający użyć jednej setnej tego srebra, które wykorzystujemy teraz. Znacznie więcej będziesz wydawał na żelazo, proch strzelniczy, a zwłaszcza na same falkonety.

Hecht był rozbawiony, widząc, jak Pella zręcznie udaje zrozumienie. Sam był zafascynowany wszystkim, co pokazywali mu Krulik i Sneigon. Ci ludzie dokładali wszelkich starań, żeby stworzyć nową i za każdym razem bardziej zdumiewającą broń, jaką ludzkość mogła wykorzystać w walce z Tyranią Nocy. Strzałki zachwyciły go. Kąpiel w parze wodnej znacznie powiększała ich powierzchnię, co oznaczało, że więcej żelaza wejdzie w kontakt z substancją Delegatury, która znajdzie się na drodze lotu pocisku.

– Rozumiem, do czego dążycie – powiedział Hecht. – Ale te strzałki nie polecą ani daleko, ani szybko. A broń na proch strzelniczy działa dlatego, że pocisk porusza się zbyt szybko, aby Delegatura zdążyła wykonać unik.

– Bystry jesteś – rzekł z uznaniem Sneigon. – I masz rację. Te ładunki są przeznaczone na wypadek bliskiego kontaktu z wrogiem, kiedy czujesz jego paskudny oddech i widzisz białka oczu. Ale jak się domyślamy, bój zazwyczaj w ten sposób właśnie wygląda. Niemniej pracujemy też nad różnymi pociskami na większą odległość.

– Bardzo dobrze – pochwalił Hecht. – Jak wyglądamy z prochem?

– Tutaj też dokonaliśmy paru zasadniczych usprawnień – wyjaśnił Sneigon. – Opracowaliśmy trzy różne recepty na rozmaite zadania, jakie ma spełniać. – Wyszczrzył się szerokim uśmiechem za czarną gęstwą brody. – Uwalniasz tych ludzi od kłopotania się o następny posiłek, potem stawiasz przed nimi wielkie wyzwanie intelektualne, a oni pracują nad nim po piętnaście godzin dziennie. Poza tym to świetna zabawa, robić te wszystkie smrody i wybuchy.

Hecht zerknął spod oka na Titusa. Consent wzruszył ramionami.

– Przekleństwo rasy.

– Posługujesz się stereotypami wobec własnych ludzi?

– To już nie są moi ludzie. Łączy nas tylko krew.

– Przepraszam.

– Panie Sneigon. Był pan tam, kiedy mój wujek popełnił samobójstwo? – zainteresował się Titus.

– Byłem, młody człowieku. – Sneigon nagle spochmurniał. – To był straszny dzień. Jego czyn nie miał najmniejszego sensu. Zaczął bełkotać

coś o krukach zła, powracających i wijących sobie gniazdo pod dachem... Naprawdę! Tak brzmiały prawie co do joty jego słowa.

– Dziwne. Ale wierzę ci. O co mi chodzi... Od zakończenia krucjaty calzirskiej siedmiu starszych popełniło samobójstwo. Żaden z nich nie należał do ludzi, których można by o coś takiego podejrzewać. W tym było czterech, którzy opuścili Sonzę po tamtejszych zamieszkach. Jakiś czas temu, kiedy w wyniku tych tragedii byłem pogrążony w szczególnie głębokiej depresji, Naczelnny Wódz zapytał mnie, czy oni wszyscy byli bogaci. A jeśli byli, jak się wzbogacili? Wówczas pomyślałem sobie, że to głupie pytania. Ale teraz wydają mi się znacznie bardziej trafne. Nie mam już źródeł informacji we wspólnocie takich, jak przed nawróceniem, ale mimo to odkryłem, że ludzie z Sonsy i przynajmniej dwaj z Brothe znali się w młodości. Wygląda na to, że razem uczestniczyli w jakimś przedsięwzięciu, na którym się wzbogacili. I że być może było to coś, czym woleli się nie chwalić.

Moslei Sneigon i Titus Consent popatrzyli sobie głęboko w oczy. Sekundy mijały. Sneigon w końcu spojrział na Hechta.

– Krążyła taka plotka, dawno temu. Że dorobili się fortun na handlu niewolnikami. Że pewnego lata urządzili sobie polowania na niewolników tam, gdzie nikt się tego nie spodziewał, przebrani za pramańskich piratów. – Znowu zerknął na Hechta. Naczelnny Wódz miał dobre kontakty w Bractwie. A ono nienawidziło piratów omal bardziej niż praman.

– To interesujące – orzekł Hecht. Coś podobnego opowiadał mi prowincjał Delari. Jego nieślubny syn, Grade Drocker, potajemnie założył rodzinę, którą ukrył na uboczu, gdzieś w Cesarstwie Wschodu. Zostali porwani podczas jakiegoś rajdu handlarzy niewolników. Drocker resztę życia spędził, ścigając handlarzy i wykorzystując do tego celu całą potęgę Bractwa. Umarł niepokieszony, ponieważ nie udało mu się dopaść wszystkich odpowiedzialnych za jego nieszczęście.

Sneigon i Consent byli wyraźnie wstrząśnięci.

– Tak twierdzi Delari – kontynuował Hecht. – On tego nie rozumiał. Ja również nie. Ale Drocker w pełni zasługuje na miano człowieka opętanego. Zżeranego obsesją zemsty. Tak mi mówiono. Osobiście nigdy go takiego nie widziałem.

– Wszyscy ci ludzie umarli po śmierci Drockera – rzekł Consent.

– Delari mógł... – zaczął Sneigon.

– Nie mógł – wszedł mu w słowo Hecht. – Chyba że udało mu się sięgnąć tu aż z Connec.

– Racja, Moslei – poparł go Consent. – Nie możesz winić Delariego.

– Wydaje ci się, że ci ludzie w ogóle wiedzieli, co to sumienie? Szczerze wątpię, Titus. Trzech samobójców prawdopodobnie w ogóle nie było zaangażowanych w dawno zapomniany rajd handlarzy niewolników. Ale mogli wiedzieć. Przyjaźnili się ze sobą.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? Dlaczego zamiast tego nie zastanawiamy się, co robić dalej? Żadna z tych spraw nic już dla nas nie znaczy – uciął Hecht.

Czy Cloven Luty podjął dzieło zemsty Grade'a Drockera? Pewien był tylko, że nie jest to dzieło Muniera Delariego.

– Pomijając wszystko inne – powiedział Consent – nie możemy ignorować tego, że wszyscy ci ludzie popełnili samobójstwo. Na oczach świadków, każdy.

Z gardła Mosleia Sneigona dobył się odgłos, który Hechtowi wydał się czymś pośrednim między mruzeniem kota a warczeniem psa. Rozczarowanie, ale bez sprzeciwu.

Potem Sneigon zademonstrował im kilka dalszych nowatorskich koncepcji. Hecht uśmiechał się, kiwał głową i udawał entuzjazm. – Wiedział jednak, że jego uśmiech nie obejmuje oczu. Wiedział, że Krulik i Sneigon najlepszą broń zostawią sobie dla obrony dzielnicy devediańskiej. Co, jak go później zapewnił Titus Consent, było zupełnie płonnym podejrzeniem. Należało zrezygnować z tradycyjnych uprzedzeń. Dzięki produkcji bogobójczej broni Krulik i Sneigon stawali się obrzydliwie bogaci. Według Consenta było całkiem możliwe, że w ogóle nie przyszło im do głowy zataić czegokolwiek. Interesowały ich tylko bieżące zyski.

Hecht jednak miał pewne kłopoty z odrzuceniem tradycyjnych uprzedzeń.

– Gdyby nie ty, nie sądzę, bym w ogóle przebywał w tym mieście-kloace – mruknął Hecht. Leżał na plecach w ciemnościach, głowa i lewa dłoń Anny spoczywały na jego piersiach. Gorąca łza skapnęła na jego skórę. – Jestem tylko żołnierzem. A wszystkim się wydaje, że coś im się ode mnie należy.

– Nie jesteś tylko żołnierzem, Piper. Nigdy nie byłeś tylko żołnierzem. Nie przybyłabym za tobą do Sonsy, gdybyś był tylko kolejnym zbirem do wynajęcia.

Anna mówiła całkiem serio. Jej dłoń jakoś nie próbowała go nakłonić, by znów zademonstrował swą męskość. Powoli zaczynał się robić nerwowy. Co powinien powiedzieć?

Tak czy siak, nie potrafił skupić myśli. Po powrocie z dzielnicy devediańskiej dowiedział się, że rankiem czeka go audyencja u Patriarchy. Ambasador Arnhandu w Krois domagał się widzenia z nim. Podobnie ambasador Imperium Graala. Jego ludzie w Castella czekali na decyzje. I jeszcze Bronte Doneto chciał mu zająć kilka minut.

Gdzieś w głębi duszy czaiło się pragnienie, żeby przejąć władzę nad wszystkim tak, aby nikt już nie rościł sobie prawa do żadnej części jego lojalności czy czasu. Ale doskonale wiedział, że gdyby tak zrobił, oznaczałoby to tylko więcej odpowiedzialności i więcej cierpienia. Już nigdy nie mógłby odwrócić wzroku i na tym poprzestać.

– Może i tak. Przypuszczam, że jutrzejszy dzień może być najgorszy w moim życiu.

– Dlaczego?

– Muszę się spotkać z Patriarchą. Muszę porozmawiać z ambasadorem Arnhandu. Muszę się zobaczyć z Bronte'em Donetem. Redfearn Bechter okazał się tak miły, że ze wszystkimi mnie umówił. Zagroziłem, że obetnę mu uszy. Odrzekł, że uratował mnie przed wizytą jakiegoś szalonego debila z Towarzystwa. – Wyjaśnił: – Bractwo niespecjalnie przepada za Towarzystwem.

– Piper, te sprawy w ogóle mnie nie interesują. Tylko o ciebie mi chodzi. I o dzieci. Nie są z mego łona, ale stały mi się tak bliskie, że... Do diabła. Nieważne. Żyjemy na razie bez ślubu, ale jesteśmy rodziną. Niemniej wolałabym, żebyś nie przysyłał mi więcej sierot.

– Myślałem, że Lila nie będzie problemem.

– Nie jest. Jest bardzo pomocna, zwłaszcza jeśli chodzi o Vali. Ale to kolejna gęba do wykarmienia i kolejne ciało do odziania. A twoi kumple od sakiewki jakoś nie dbają o moje wydatki.

– Jutro tym się też zajmę. Powinnaś po pas tkwić w pieniądzech. Wykonałem dla nich cholernie dobrą robotę.

Po wszystkich tych ludziach, z którymi miał się spotkać za dnia, wieczorem będzie musiał przeżyć jeszcze konfrontację z rodziną. Z Munierem Delarim i Clovenem Lutym. Jak też, zapewne, z Heris.

Mimo zmartwień szybko zasnął. Miał przyjemne, nieskomplikowane sny.

Hugo Mongoz był tak przytomny i skupiony, jakiego go Hecht jeszcze w życiu nie widział. I doskonale zdawał sobie sprawę z niespodzianki, jaką sprawił tym Piperowi.

– Takie rzeczy się zdarzają, Naczelnny Wodzu. Jestem w połowie tak stary, jak sam czas. Ale łatwiej się skupić, kiedy się wie, że miliony liczą na twoje wstawiennictwo przed Tronem Bożym.

Hecht wybąkał jakiś grzecznościowy banał.

– Nie podoba ci się tu.

– Wcześniej tylko raz byłem w Krois. Krótka. Wzniosły zachowywał się wówczas prawie zupełnie irracjonalnie.

Mongoz jako Bonifacy VII odprawił swych dworaków, po czym rozkazał Naczelnemu Wodzowi zrezygnować z ceremoniału.

– Prawie? Jesteś zbyt uprzejmy. Ale przejdźmy do rzeczy. Moje przyzwoitki nie zostawią nas długo samych. Pewien jestem, że słyszałeś plotki. Kilka sam puściłem w obieg. Znacznie więcej zrodziło się nie wiadomo gdzie. Chcę cię osobiście zapewnić, że mam zamiar oczyścić Connec z miliona cieni, które ostatnio tam zbiegły. Ale nie zamierzam zaprowadzić na jego obszarze panowania rygorystycznej episkopalnej ortodoksji. Kościół nie potrzebuje dalszych wrogów. Jestem też zainteresowany pojednaniem, nie tylko z Connec, ale też z Viscesment i naszymi wschodnimi kuzynami.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Hechta był tak widoczny, że stary człowiek zachichotał.

– Zaiste, jestem innym człowiekiem – powiedział. – I wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia, że tu trafiłem. W latach młodości uważałem się za człowieka zbyt racjonalnego, żeby znalazło się dla mnie miejsce w Kolegium. Chcę więc wykorzystać tych kilka godzin Patriarchatu, jakie mi dano, aby wprowadzić reformy, dzięki którym Kościół może uniknąć zagłady.

– Brzmi to dość radykalnie.

Wtedy stary człowiek poczęstował go długim kazaniem: Otaczały go kolejne kręgi urzędników, którzy mieli tyleż wyobraźni co kawałki marmuru. Ich poglądy wahały się między myśleniem życzeniowym a stwierdzeniem: „Zawsze tak to robiono!” Nieważne, że świat przechodził właśnie dramatyczną przemianę. Nieważne, że wierni tracili cierpliwość dla niewłaściwego zachowania swoich duchowych pasterzy.

Mongoz dotknął kilku miejsc, które bolały Hechta od momentu, gdy został reprezentantem Kościoła. Można się było spodziewać, że dzięki swym reformom Bonifacy stanie się przeraźliwie niepopularny wśród większości kleru.

Nowy Patriarcha powiedział z rozbawieniem:

– Nie mam się czego bać, Naczelny Wodzu. Nie mam nic do stracenia. Niedługo już Bóg wezwie mnie do siebie. A tymczasem oczyszczę Kościół z wewnętrznego zła i rozpocznę wojnę ze złem, które zagraża mu od zewnątrz. I błagam naszego wielkiego dobrego Boga, żeby nie wzywał mnie do siebie, póki nie skończę swego dzieła.

Hecht przestał słuchać tego, co zdało mu się wyrzekaniem moralisty pozbawionym praktycznego znaczenia dla świata, w którym on musiał się trudzić.

W końcu zaczął się dopytywać o szczegóły zadania, jakie przed nim stawiano. Jakimi będzie dysponował zasobami, iloma ludźmi?

Nie usłyszał wiele więcej, niż głosiły plotki przyniesione już wcześniej przez Titusa Consenta.

Hecht zwrócił się do swego sztabu:

– Ten Patriarcha jest równie szalony jak Wzniosły. Ale jego ambicje są mniej podłe. Jest szczerze zdecydowany uczynić świat lepszym miejscem. Dla wszystkich, nie zaś wyłącznie dla siebie i swych zauszników. Do diabła, jak na człowieka tak starego, jest absurdalnie wręcz naiwny. Wydaje mu się, że całe zło nagromadzone przez ostatnie lata zniknie, jeśli tylko okazemy się ludźmi dobrej woli. Jest gotów do kolejnej inwazji na Connec. I, tak jak głosiły plotki, mamy użyć naszych nowych narzędzi do uwolnienia kraju od wskrzeszonych Delegatur.

Miny, jakie widział na ich twarzach, oscylowały od zdumienia do niedowierzania. Jego oficerowie nie potrafili tego pojąć.

– Mniejsza. To nic nie znaczy. Po prostu przygotujcie się na działania w terenie, gdzie Noc przywykła, że wszystko idzie po jej myśli.

Towarzysze Hechta już otwarcie gapili się na niego.

Nie rozumieli.

Tak naprawdę to on też nie rozumiał.

Ale powiedział:

– Płacą nam. Prosek. Złóż zamówienie na tyle broni, ile tylko dadzą radę wyprodukować. Wyszkol nowe obsady.

– Tak jest. – Prosek uśmiechał się od ucha do ucha. Uwielbiał smrody i wybuchy.

Hecht zatopiony w myślach opuszczał właśnie Castella jednym z mostów, kiedy ktoś zniemacka schwycił go za ramię i pociągnął do tyłu. Ochroniarze przebiegli obok niego, reagując na jakieś zagrożenie, którego sam nie dostrzegali. I wtedy Madouc oznajmił:

– Fałszywy alarm, ludzie.

Ochroniarze rzucili się na dwu cywilów, którzy drżeli z przerażenia.

– Zostań na miejscu, sir. – Madouc poszedł zapytać, dlaczego ci dwaj zastąpili drogę Naczelnemu Wodzowi.

Po chwili wrócił.

– Czekali tu na nas, chcąc cię zabrać do ambasadora Arnhandu.

– Naprawdę, to już czas?

– Czas.

– Cholera. Miałem nadzieję skoczyć do pałacu Chiaro i poczęstować się kawą od kucharza Delariego.

– Nigdy nie miałem okazji pić kawy. Ale wąchałem jej zapach. Jest cudowny – rozmarzył się Madouc.

– Smakuje jeszcze lepiej, niż pachnie. Niech prowadzą. Mam nadzieję, że to niedaleko. Bechter zapełnił mi cały dzień.

– Sierżant Bechter wziął pod uwagę wymogi czasowe, kiedy układał plan spotkań.

Oczywiście. Bechter musiał się skonsultować z Madoucem.

Hecht uznał, że musi pogadać z Bechterem na temat swej ochrony osobistej. Madouc był dobrym człowiekiem, ale zaczęli krzywo na siebie patrzeć i nie było w tym nic osobistego – chodziło po prostu o ciężar, jaki na obu nakładała sytuacja, w której się znaleźli. Cała sprawa nie wyglądała dobrze.

Oblicze Hechta skamieniało, gdy zobaczył rzekomego ambasadora. Nigdy jeszcze nie spotkał go osobiście, ale poznał po garbie. Rinpoche. Jeden z tych całkowicie skorumpowanych księży, których faworyzował Wzniosły.

Najwyraźniej ten człowiek miał nadzwyczajny dar do wychodzenia cało ze sprokurowanych przez siebie katastrof. Morcant Farfog też był taki. Do czasu. Ponieważ Hecht nie interesował się szczególnie działaniami



Arnhandu w Connec, nie zwracał więc też uwagi na jego agentów, póki nie wchodzili mu w drogę.

Rinpoche uśmiechnął się.

– Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas, Naczelny Wodzu.

Hecht nie odpowiedział uśmiechem. Powiedział tylko:

– Nie jesteś legatem Arnhandu. Powiedziano mi, że mam się spotkać z człowiekiem króla Regarda.

Garbus uśmiechnął się chytrze.

– Być może lepiej zdaję sobie sprawę, jak bije serce Salpeno, niż hrabia d'Terdlieu.

– Wątpię. Poznaję cię. Wiem, jaka cię otacza reputacja. Ani Kościół, ani ja nie mamy z tobą żadnych interesów.

Wyraz twarzy Rinpoche stwardniał.

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Nie zapominaj, kogo reprezentuję.

– Nie zapominam. Ale nie jestem pod wrażeniem. Ty powinieneś sobie przypomnieć, z kim rozmawiasz i kogo ja reprezentuję. Wzniosły już nie jest Patriarchą. Czas jego szaleństw minął. Niekompetencja i korupcja nie znajdują już pobłażania. Najdrobniejsze wstręty ze strony Arnhandu mogą skłonić obecnego Patriarchę do zmiany decyzji poprzednika w sprawie prawomocności małżeństwa.

Za gnomem pokazał się człowiek w brązach. Uśmiechnął się, pomachał i znowu schronił w niewidzialność.

Garbus miał wyraźne kłopoty z zapanowaniem nad sobą. Nie przywykł do tego, by ktoś mu stawał okoniem. Anne z Menandu musiała dostrzec w nim coś takiego, co umykało reszcie ludzkości. W przeciwnym razie po co obdarzyłaby go władzą tak wielką, że najwyraźniej nie potrafił sobie nawet wyobrazić reakcji innej niż uległość?

– Może. Ale obecny Patriarcha nie zostanie z nami długo.

Prawda. Lecz Hecht miał w tej sprawie kilka pomysłów, które chciał omówić z prowincjałem Delarim i Clovenem Lutym. Podobał mu się Hugo Mongoz u władzy.

– Może i tak.

Żaden z głównych kandydatów na następcę Bonifacego VII nie miał nic dobrego do powiedzenia o Anne z Menandu. Kilku prowincjałów państw ościennych jawnie wypowiadało się za koniecznością powołania następcy, który wycofa poparcie Kościoła dla Regarda i jego matki. Hecht jednak nie

spodziewał się, by do tego miało dojść. Arnhand na smyczy Anne dostarczał lwiej części dochodów Kościoła. I większości wojowników, którzy wyruszyli, by bronić państw krzyżowców w Ziemi Świętej.

– Sytuacja w Salpeno to nie twój problem, Naczelnny Wodzu. Chcę porozmawiać o sprawach, z którymi będziesz musiał się zmierzyć.

Hecht poczuł się zobowiązany okazać zainteresowanie.

– Słucham. – Może czegoś się dowie.

– Bonifacy chce cię z powrotem wysłać do Skraju Connec.

– Słyszałem plotki. Nie otrzymałem jeszcze żadnych rozkazów.

– Obecny Patriarcha anulował statut Towarzystwa. Zarządził jego rozwiązanie.

– Tak. – W słowie tym nie było śladu aprobaty dla tego działania.

– Niewykluczone, że będzie chciał, abyś ty zajął się wprowadzeniem w życie jego zarządzeń.

Hecht pokiwał głową. Zostaną wprowadzone. Chciał zobaczyć członków Towarzystwa, którzy sprzeciwili się zarządzeniom Bonifacego VII, jak wracają do Brothe na proces kanoniczny.

– Gorąco prosimy, abyś odwracał oczy. Ci bracia wykonują dzieło Pana.

– Sprzeciwiając się Nieomylnemu Głosowi?

Mgnienie irytacji.

Garbus od tak dawna i tak głęboko nurzał się w korupcji, że nie potrafił pojąć, iż inni nie muszą być równie zepsuci. Ani że też mogą się przydać jako ludzie uczciwi.

– Herezja zostanie wykorzeniona z Connec – oznajmił Rinpoche. – Moja pani tego dopilnuje. Możesz się przyczynić do rozwiązania problemu herezji.

– Jeśli taka będzie wola Patriarchy oraz Kolegium, wówczas tak się też i stanie.

Narastająca irytacja.

– Król jest młody. Zostało mu jeszcze wiele lat. Zanim dobiegnie końca jego panowanie, Connec stanie się terytorium poddanym koronie Arnhandu.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Żyjesz w świecie fantazji, pozbawionym związku z rzeczywistością, polityczną i religijną. Zakładam, że nie powinienem w ogóle z tobą rozmawiać.

– Pożalujesz swego nastawienia.

– Wątpię. Póki Anne składa swe ambicje w ręce ludzi takich jak ty, czekają ją dalsze sukcesy w rodzaju Caron ande Lette, Calour i Masakry pod Czarną Górą. Do widzenia.

– Będzie nowa krucjata connekiańska, Naczelny Wodzu. Z tobą lub bez ciebie.

– Najpewniej beze mnie. Ale to Patriarcha podejmie decyzję.

Madouc zrównał krok z Hechtem.

– Poszło szybciej, niż oczekiwałem.

– To nie był ambasador Arnhandu. To był agent Anne z Menandu. Chce, żebym ignorował jego swawole w Connec. Żebym znowu dał wolną rękę Towarzystwu.

– Powiedziałaś, gdzie może sobie wsadzić swoje durne pomysły?

– Ująłem rzecz nieco delikatniej. Ale niewiele. – Zastanawiał się, czy Cloven Luty zrobi coś, co przyczyni się do powiększenia niedoli garbusa.

– Ta Anne to ambitna kobieta. Wokół siebie ma całe rzesze wrogów, w Arnhandzie i gdzie indziej. Po prostu nie zwraca na nich uwagi. Kiedyś to się zemści.

– Kiedy mamy się pokazać w Penitalu?

– Za dwie godziny. Ta wizyta naprawdę trwała krótko.

– Castella jest po drodze. Muszę się zająć papierkową robotą.

– Dlaczego nie zrobić sobie chwili odpoczynku?

– Odpoczniesz po śmierci, na zawsze. Poza tym muszę dzisiaj szybko się ze wszystkim uwinąć. Wieczorem jestem zaproszony do miejskiej rezydencji prowincjała Delariego. Gdybym się spóźnił, nie zostałyby to dobrze odebrane.

Penital, brotheński pałac Imperatorów Graala, był kolejną górą kamienia, która rozmiarami ustępowała jedynie Krois, pałacowi Chiaro, Castella dollas Pontellas oraz kilku na poły zrujnowanym budowiom, znajdującym się pod zarządem miasta i datującym z epoki klasycznej. Penital natomiast był tylko tak stary jak samo Imperium Graala. Wzniesiony został na terenie niegdysiejszego więzienia, gdzie dawniej była szkoła gladiatorów, w której skazani na śmierć na arenie ludzie uczyli się, jak przyjąć swój los w dobrym stylu. Nazwa była kalamburem opartym na słowie w starobrotheńskim. Miało to coś wspólnego z ponurymi zapatrywaniami na służbę dyplomatyczną w Brothe, żywionymi przez tych, których Imperatorowie skazywali na Miasto Ojczyste.

Majordomus wyszedł Hechtowi na spotkanie w rozległym foyer, gdy już Naczelną Wódz minął kilka posterunków Braunsknechtów. Przy każdym z nich tracił kolejnych ochroniarzy. Kiedy majordomus prowadził go na audiencję u ambasadora, towarzyszył mu tylko Madouc.

Ale nawet on musiał zostać za drzwiami. I pozostawało mu żywić nadzieję, że ludzie z północy nie rozpoczną wojny, ponieważ coś głupiego strzeli im do głowy.

Piper Hecht wszedł do środka. I w drugim końcu długiej, wąskiej i bogato zdobionej komnaty dostrzegł Ferrisa Renfrowa.

– Wszyscy dzisiaj aranżują spotkania pod fałszywymi pretekstami.

Renfrow wyglądał na zaskoczonego.

– Naprawdę?

Hecht opisał mu spotkanie z Rinpoche. Imperium mogło być zainteresowane zamiarami Anne.

– Już rozumiem, o co ci chodziło – rzekł Renfrow. – Ale ja nie mam zamiaru nakłaniać cię do służenia interesom Imperium. Przynajmniej nie bezpośrednio. Jesteśmy szczęśliwi w obecnym status quo jak zajęce w kapuście.

Czy za tymi słowami skrywał się sarkazm?

– Chciałem ci tylko wręczyć zaproszenie na ślub Imperatorowej z królem Jaime'em z Castaurigi.

– Znowu?

– Znowu. Tym razem ślub się odbędzie. Chyba że nastąpi kolejny kryzys direcjański.

– Dlaczego?

– Dlaczego ślub? Czy dlaczego zaproszenie?

– To drugie.

– Nie wiem. To pomysł Imperatorowej. Sam byłem zaskoczony. Bardziej zrozumiałe byłoby, gdyby zaproszenie pochodziło z innego źródła.

Hecht niczego po sobie nie okazał. Nie miał pojęcia, co tamten wie. Albo czego nie wie. Między Alten Weinberg a miejscem, gdzie rzucał go los, korespondencja nie była regularna.

Wyraz twarzy Renfrowa, która przypominała teraz odlaną z żelaza maskę, wskazywał, że tamten wie więcej, niż powinien. Być może nawet zna treść listów. Choć list, na wypadek gdyby wpadł w niepowołane ręce, nie zawierał nic, co mogło zdradzić tożsamość nadawcy.

Helspeth nie ryzykowała już dostarczania listów przez tego Braunsknechta, który kiedyś przybył prosić o wypożyczenie Dragona Proseka. Wygnanie nauczyło ją ostrożności.

– Będziesz musiał przesłać formalne zaproszenie przez Stolicę Apostolską – powiedział Hecht. – I uzyskać zgodę Patriarchy. Spodziewam się bowiem, że w tym czasie będę prowadził kampanię przeciwko wskrzeszonemu złu w Connec.

– Może zobaczysz się z królem Jaime'em, kiedy będzie tamtędy przejeżdżał.

– Może się zdarzyć.

– Czy kiedykolwiek odkryłeś prawdę o dziewczynce, którą przywiozłeś do domu z Sonsy? Siostrzenicy, córce czy kim tam, za którą podawałeś ją w tamtej gospodzie?

– Okazała się sprytną kłamczucha. Przekonała kobiety z domu uciech, że została porwana przez typków ze Specjalnego Oficjum. Po prawdzie, to matka sprzedała ją do burdelu. Dlaczego się tu spotkaliśmy? Nawet formalny akt zaproszenia nie musi przecież angażować niesławnego Ferrisa Renfrowa.

– Niesławnego?

Za plecami imperialnego mistrza szpiegów mignęła sylwetka człowieka w brązach. Renfrow odwrócił się gwałtownie.

– Co to było?

– Co?

– Za mną. Coś się stało. Patrzyłeś tam. Powiedz mi.

Hecht przybrał swoją najlepiej wyćwiczoną minę znamionującą konsternację.

– O czym ty mówisz? – I po chwili: – Jeżeli to wszystko, czego chcesz, to wybaczone, ale mam naprawdę mnóstwo roboty. Obecny Patriarcha ma dość zdecydowane poglądy na kwestie związane ze swoimi siłami zbrojnymi.

Ferris Renfrow stracił zainteresowanie osobą Pipera Hechta oraz wszelkimi powodami, dla których chciał się spotkać z pierwszym żołnierzem Kościoła. Całą jego uwagę pochłaniała drobna zagadka, którą najwyraźniej zdecydowany był rozwiązać. Mamrotał:

– Co się stało z Osą Stile? Dlaczego nie mam od niego wiadomości?

Hecht nie odpowiedział. Pytanie nie było adresowane do niego.

Dziewiąty Nieznany pokazał się tylko na tak długo, by błysnąć oślepiającym uśmiechem i starym znakiem kciuka uniesionego do góry. Renfrow znowu odwrócił się jak oparzony.

– Znowu opuszczasz audiencję u ważnego legata szybciej, niż przypuszczałem – powiedział Madouc.

– Ten okazał się zupełnym szaleńcem.

– Opierając się na tym, co ostatnio widzieliśmy, sir, większość świata zgrabnie wpasowuje się w tę kategorię. To oznacza, że nas trzech, czterech normalnych facetów powinno się lepiej postarać, żeby niegodziwość całkowicie nie postawiła na swoim.

– Ale nie jesteś do końca pewny, czy ja należę do tych trzech, czterech. Racja?

Madouc wyszczerzył zęby. Hecht podejrzewał, że tamten wcale nie żartuje.

Na krótko przed udaniem się na rozmowę z Bronte'em Donetem Hecht spotkał się jeszcze z Titusem Consentem. Po wymianie paru wiadomości Doneto zgodził się przesunąć spotkanie o kilka godzin wcześniej. Ale Hecht będzie musiał zawitać do jego miejskiej rezydencji.

– Zdarzyły się dwa wypadki śmierci – szepnął Titus.

– Samobójstwa?

– To w dzielnicy, tak. To drugie zapewne nie. Choć nie było to morderstwo.

– Opowiedz.

– Syfon Credulius. W dzielnicy.

– Nie znam go. Kim był?

– Imigrantem, od niedawna. Przybył, kiedy bawiliśmy na Artecipei. Rzekomo z Ziemi Świętej. Ale nie mówił z akcentem. Spędził sporo czasu, wypytyując ludzi, co się zdarzyło w Sonsie. Podczas zamieszek.

– Wygląda to na szpiega.

– I na dodatek głupiego. To, że się zabił, kazało mi się zastanowić, czego mógł szukać. To z kolei doprowadziło mnie do powiązań większości samobójców, które nie miały nic wspólnego z handlem niewolnikami.

Hecht poczuł, jak jego puls lekko przyspiesza. Titus chyba doszedł do wniosku, który Hecht sam wyciągnął nie tak dawno temu.

– I?

– Wierzę, że połączyła ich wspólna wiedza. Zastanawiam się, jak niebezpieczne może być wejście w jej posiadanie. I kto tak bardzo się nią przejmuje, że zabija wszystkich, którzy mogli odkryć sekret.

Titus chyba faktycznie się domyślił. Ludzie, którzy wiedzieli, że Piper Hecht nie jest uchodźcą z Duarnenii, popełniali samobójstwo.

– Nie mam pojęcia, kto to robi, komu ani dlaczego, Titus. Kiedyś uważałem, że dostrzegam ten sam związek, który ty widzisz teraz. Ale trzeci ze zmarłych ludzi po prostu nie pasował. I, jak rozumiem, na tamtym brzegu morza zdarzają się podobne wypadki. Cała gorączka samobójstw w porcie znanym z targu niewolników. Chcesz pozwolenia na dalsze grzebanie w tej sprawie? Masz je. Może Bechter załatwi ci do pomocy jakiegoś Łowcę Czarownic. Cokolwiek się dzieje, muszą w tym być jakieś czary.

Titus wydawał się zbity z tropu. Ale tylko na chwilę.

– Bardziej martwię się o Noë i dzieci. Są zgubieni, jeśli coś mi się przytrafi. Żadne z naszych krewnych nie weźmie ich do siebie. z powodu nawrócenia.

– Nie widzę powodów, byś miał się przejmować. Ale przyznaję, nie mam pojęcia, co się dzieje. Niemniej będę cię pilnował najlepiej jak umiem.

Titus jakoś nie był przekonany.

– Mówiłeś, że była jeszcze jedna śmierć.

– Polo. To był twój człowiek, potem Ghorta, został kaleką w zasadzce.

To zaskoczyło Hechta. Pozwolił, żeby uczucia odbiły się na jego twarzy.

– Polo? To smutne. Był poczciwym człowiekiem, nawet jeśli dość leniwym i żądnym cudzych monet oraz świecidełek, które nie należały do niego. Jak się to stało?

– Spadł ze schodów. W domu. Nie znaleziono żadnych śladów, że ktoś mu pomógł. Był pijany. Ostatnio w ogóle dużo pił. Ale Bruglionowie odnoszą się podejrzliwie do całej sprawy.

Hecht też miał swoje podejrzania. Polo był następną osobą, która co nieco wiedziała o Piperze Hechcie. Może nawet coś, o czym nawet Hecht nie wiedział, że jest tamtemu wiadome.

– Kiedy to się stało?

– Przedwczoraj. Paludan kazał go pochować w rodzinnej krypcie. W części dla służby.

Hecht zadrżał.

– Raz tam się chciałem wybrać. Dotarłem do piwnic z winem i z czym tam. Polo wyperswadował mi zejście niżej. Twierdził, że nie ma tam nic do zobaczenia prócz stosów starych kości.

– To byłoby typowe.

– Ale teraz muszę się spotkać z Donetem. I wcale mnie to nie cieszy.

Pinkus Ghort zaprowadził Hechta do niewielkiego pomieszczenia, w którym czekał na niego prowincjał Doneto. Pomieszczenie było przegrzane i zagracone. Hecht był już raz w nim, zaraz po powrocie z niewoli w Plemenzy. To było najbardziej prywatne schronienie Bronte’a Doneta. Tutaj czuł się bezpiecznie i mógł być tym, kim chciał. Ściany zapewne wzniesione były z marmuru z Ziemi Świętej.

Ghort został z nimi. Ale nie wyglądał na szczególnie tym uszczęśliwionego. Hecht nie zapytał o powód jego obecności.

Doneto zagaikł:

– Rozgość się. Kawa zaraz będzie. Jedyna twoja słabość, jak rozumiem.

– Kawa oraz, wedle niektórych, nieustępliwy charakter.

– Cnota ciesząca się wielkim szacunkiem w Duarnenii, jak słyszałem. Jest taki tytuł, dzięki któremu jego posiadacz cieszy się wielkim szacunkiem: Nieustępliwy Strażnik.

– Nieustępliwym Strażnikiem nazywają Głównego Kasztelana Zakonu Graala. Ale masz rację, jako tytuł honorowy słowa te również mogą być używane. Zasadniczo w odniesieniu do kogoś, kto zarządził imponującą liczbę dzikusów.

– Tak to już wygląda... Co? – Doneto wyprostował się w fotelu, w jednej chwili przywodząc Hechtowi na myśl psa wyrwanego z drzemki. – Pinkus? Czy to ty...?

– Prowincjale?

– Coś się właśnie stało. Drgnęła jakaś moc. Ale teraz jej już nie czuję.

Hecht podejrzewał, że pewna osoba w brązach przed chwilą mogła próbować wejść do pomieszczenia. Kiedy sam wchodził do komnaty, amulet zareagował w drzwiach.

Przybrał minę pełną konsternacji i czekał.

Doneto się uspokoił.

– Pułkownik Ghort poinformował mnie, że twoim zdaniem żaden z nas nie jest drugiemu nic winien – powiedział.



– W istocie. Ja obudziłem cię w Węźle Ownvidiańskim. Ty mnie wydostałeś z niewoli w Plemenzu. Większość ludzi uznałaby życie za rzecz ważniejszą, ale ja na tym poprzestaną.

Doneto pokiwał głową. Do swoich myśli.

– A jakie są twoje zobowiązania wobec prowincjała Delariego?

– Wiele mu zawdzięczam, w zawodowym sensie.

– Zaiste. I wielu zastanawia się dlaczego.

– Ta sytuacja wszystkim przynosiła korzyści. Jak dotąd.

– Myślę, że Rudenes Schneidel by się nie zgodził.

Hecht zachichotał.

– I miałby rację.

– Zdajesz sobie sprawę, że Muniero Delari i ja jesteśmy zaprzysięgłymi wrogami?

– Wspomniał, że ma z tobą jakiś problem, tak. Ale powiedział, że wszystko sprowadzało się do nieporozumienia. Że odkryłeś, iż obaj pracujecie nad osiągnięciem tego samego celu.

– Nie do końca jest to prawda, ale daje to podstawę do rozejmu. Gdzie on się ostatnio podziewa? Od elekcji nikt go nie widział.

– Nie mam pojęcia. Też go nie widziałem. Dziś wieczorem jestem zaproszony z rodziną do jego miejskiej rezydencji.

Pojawiła się kawa. Stara kobieta, która ją przyniosła, cała się trzęsła.

– Hannah? – zapytał Doneto. – Co się stało?

– Duch, wasza miłość. Albo coś z Nocy. W korytarzu. Zimny, wasza miłość. Zimny jak grób.

Doneto ponuro spojrzał na Hechta.

– Cóżes przyproawdził do mego domu?

– Nic. Przecież wiesz, że jestem głuchy jak pień na czary.

– Chyba że właśnie chcą cię zamordować w górach. Niech ci będzie. Wobec tego pytanie brzmi, co chodzi za tobą? Odpowiedź na to pytanie zainteresowałaby wielu ludzi.

– Sir?

– Żyjesz cudownym życiem, Piperze Hecht. Ani Śmierć, ani Noc jakoś nie potrafią cię znaleźć, niezależnie jak bardzo się starają.

– I chwała Panu.

– Pij swoją kawę. Hannah, pokaż mi, gdzie to się stało. – Doneto wyszedł z pomieszczenia.

Hecht zapytał Ghorta:

– Chcesz trochę?

– Są tylko dwie filiżanki, Pipe.

– Jest nas tu tylko dwóch.

– Mnie nie upieką się gierki, w jakie ty się zabawiasz, Pipe.

– Jeśli już o tym mowa, o co mu chodzi? Czego chce?

– Szczerze?

– Oczywiście.

– Myślę, że próbuje wyczuć, jakich kłopotów możesz przysporzyć na dłuższą metę.

– Zna mnie prawie równie długo jak ty.

– Ale ja też się na tym zastanawiam. Wokół ciebie dzieją się dziwne rzeczy, Pipe. Być może nie masz nic wspólnego z tym, jak się wszystko zaczęło. Ci duszodawcy, którzy pojawili się pod al-Khazen. To nie ty ich wyczarowałeś, ale według opinii wszystkich świadków, chodziło im o ciebie. Im, ale też Starkden i Masantowi al-Seyhanowi. Potem Rudenes Schneidel zrobił sobie cel życia z zabicia ciebie. I wielki jak cholera robił wylazł z ziemi, żeby zeżreć twoją dupę. A to jest tylko to gówno, o którym wiem. Co więcej mógł zobaczyć taki facet jak Doneto?

– A więc niby kim jestem? Wybranym z Legendy? Kimś w tym stylu? A Bóg czy bogowie nie zatroszczyli się, żeby mnie samego dopuścić do tajemnicy mego losu?

– Hej. Może i tak.

Ghort przeszedł na miejsce, z którego mógł widzieć korytarz. Potem wrócił i pociągnął spory łyk alkoholu z butelki, którą wyciągnął ze stojącego w pobliżu kredensu. Było tam z tuzin butelek rozmaitych kształtów. Szklanych. Wszem i wobec głoszących bogactwo i władzę ich właściciela.

– Nie jestem specjalistą. – Znowu zajął się inspekcją baterii alkoholi, napił się z innej butelki. – Fuj! To jest okropne.

– Jak myślisz, co się dzieje?

– Powiedziałem ci. Mierzy cię i waży. On spogląda dalej niż większość Kolegium. Pozostali chcą cię tylko jak najszybciej wysłać do Connec. Możesz tam działać coś dobrego, no i nie będzie cię na miejscu. Doneto natomiast martwi się pewnie, że możesz się zmienić w ten rodzaj zagrożenia, którego obawiał się Pacificus Wzniosły.

Hecht zastanawiał się, czy przypadkiem cała sytuacja nie została zaaranżowana.

– Dlaczego ludzie widzą we mnie zagrożenie tylko dlatego, że staram się dobrze wykonywać swoją pracę? – To musiała być jego wina, jakimś cudem. Tego rodzaju problemy prześladowały go przez całe życie.

Doneto wrócił zaraz po tym, jak Ghort po raz trzeci się napił. W połowie drogi zatrzymał się, wciągnął nosem powietrze, zmarszczył brwi i dopiero potem usiadł. Zerknął w kierunku kredensu.

– Jak kawa?

– Świetna.

– Pinkus, trzeba było sobie wziąć drugą filiżankę. Kawa wystygła.

– Nigdy bym się nie ośmielił, wasza miłość.

Doneto prawie się uśmiechnął.

– Hecht, miałem nadzieję spędzić kilka godzin z tobą i lepiej poznać twoje poglądy. Ale muszę zająć się tym czymś, co wtargnęło do mego domu. To jest w chwili obecnej problem najbardziej pałacy. Resztę muszę odłożyć na później.

Hecht miał nadzieję, że wygląda odpowiednio durnie. I na odpowiednio zirytowanego – zerknął ponuro na Ghorta, aby tamten wiedział, że uważa całą sprawę za inscenizację.

Miał nadzieję, że Cloven Luty zdołał się wydostać z domu prowincjała.

– To z tobą musi być coś nie w porządku – oznajmił Madouc, gdy i schodzili z Hechtem po schodach na ulicę przed miejską rezydencją Doneta. – Wchodzisz zaproszony na długie posiedzenie, a wyrzucają cię właściwie od razu.

– Tym razem facet dostał ataku paranoi. Nagle doszedł do wniosku, że coś paskudnego wałęsa się po jego domu. I że musi się tego pozbyć. Reszta przestała się dlań liczyć.

– A mówiąc to, nie patrzył przypadkiem na ciebie?

– Jesteś w zaczepnym nastroju. Nie patrzył na mnie.

– Muszę robić co mogę, żeby się jakoś trzymać, sir. To będzie mój najdłuższy dzień pracy od czasu, gdy wróciliśmy z Arceipei.

– Zrób sobie wolne do jutra. Nie potrzebuję cienia.

– Jak to możliwe, że jesteś taki bystry, a równocześnie taki głupi w sprawie własnego bezpieczeństwa?

Hecht wymruczał coś w stylu, że dopiero teraz Anna Mozilla śmieje się i zaciera ręce. Anna faktycznie podsuwała mu delikatnie myśl, że powinien się wycofać. Nikomu nie był nic winien. A dzięki kampanii connekiańskiej stał się człowiekiem bogatym. Nie tak bogatym, jak chciał zostać Wzniosły, niemniej na wygodne życie powinno wystarczyć.

Nie mógł tego zrobić. Po prostu nie był stworzony do życia, jakie wymyśliła sobie Anna. Całkiem możliwe, że skończy jak Grade Drocker i umrze na służbie. Być może równie żałośnie.

Hecht jeszcze trochę ponarzekał. Bez większego sensu. Nie miał prawa oczekiwać, że będzie się cieszył taką anonimowością jak wówczas, gdy z Ghortem, Bo Biogną i Po Prostu Zwyczajnie Joem dołączyli do pierwszej ekspedycji przeciw Connec.

– Madouc, rozumiem. Ale nigdy nie lubiłem ciągnąć za sobą watahy ludzi.

– Możemy rozwiązać ten problem, pozwalając, aby cię raz dopadli. Nie ze skutkiem śmiertelnym. Tylko na tyle, żebyś zrozumiał, żeby odcisnęło się to na twojej duszy.

– Tak. To mogłoby zadziałać. – Naprawdę? Po tych wszystkich zamachach, które już przeżył?

Istniał tylko jeden sposób, żeby odzyskać spokój, którego pragnął. Pozbyć się er-Rashala al-Dhulquarnena. Albo modlić się, żeby udało się to zrobić Nassimowi Alizarinowi.

– Dobrze, Madouc. Spróbuję przestać komplikować ci życie. Będę się trzymał bezpiecznych miejsc, kiedy to tylko będzie możliwe.

Madouc jakoś nie wyglądał na uspokojonego. Zapewne dlatego, że przypomniał sobie atak prochowy na dom Anny.

– Przynajmniej naucz się delegować niektóre obowiązki. – Madouc sam nie ufał swoim ludziom, że poradzą sobie, gdy nie będzie im zaglądał przez ramię.

– To jest moja główna wada.

– Cóż, to ciekawe – powiedział Hecht, pomagając Annie wsiąść do powozu prowincjała Delariego.

– Co mianowicie?

Anna była urzeczona. Zamówiła sobie nową suknię. Hecht żałował, że nie może jej pokazać w pałacu Chiaro, choćby tylko dlatego, aby widzieć, jak ślinią się te paskudne staruchy.

– Madouc. On znalazł jakiś sposób, żeby ze spokojnym sumieniem pozwolić swoim ludziom wykonywać ich robotę.

– Ma rodzinę?

– Bractwo. Chodźcie, dzieciaki. Vali, wyglądasz oszałamiająco.

Vali też miała nową sukienkę. Za kilka lat wyrośnie z niej prawdziwa piękność.

– Ty też, Lila.

Dziewczyna miała na sobie przerobioną suknię Anny. Jej pomysł. Uwielbiała ten akurat strój. Była to najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek na siebie włożyła.

– Pella, wyglądasz jak młody lord.

– I swędzi mnie w podobny sposób.

Pella nie chciał iść z wizytą do miejskiej rezydencji prowincjała Delariego. Za bardzo zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń.

– Taką cenę płacisz za życie, jakie prowadzisz. Jeśli chcesz żyć wygodnie, musisz nosić rzeczy, w których będzie ci niewygodnie. Spójrz na mnie.

Hecht był dorosłym odbiciem Pelli. Choć chłopiec odziany był w zielenie, a ubiór Hechta był ciemnoniebieski. Obaj woleli jednolite barwy w przeciwieństwie do ich feerii preferowanej ostatnio przez Pinkusa Ghorta.

– Zawsze głupio czuję się w pończochach.

Choć Hecht protestował za każdym razem, gdy musiał się elegancko ubierać, w istocie przywykł już do tego. Zachód uwiódł go całkowicie.

Wspiął się do powozu i zasiadł obok Anny, naprzeciwko dzieci. Lila była przerażona. Vali wzięła ją za rękę i starała się wyglądać na znudzoną. Hecht zauważył:

– Wkrótce będziemy musieli Pelli kupić brzytwę.

– Musiałeś brać ze sobą ten przekłety miecz? – zaczęła narzekać Anna. Rękojeść broni gniotła ją w udo.

– Musiałem. Tak. Zaraz coś z tym zrobię.

Raptem ogarnęło go złe przeczucie. Jakby wzmianka o broni mogła wyczarować konieczność jej użycia. Akurat w chwili, gdy Madouc zdecydował się wziąć wolne.

Podczas jazdy cały czas czuł napięcie. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Do miejskiej rezydencji Muniera Delariego dotarli bez

przygód. Kiedy Hecht podawał rękę kolejnym pasażerom, na niebie wciąż jeszcze lśniło światło wieczoru.

Zauważywszy jego spojrzenie, Pella powiedział:

– Tutaj właśnie część domu się zawaliła. Ale już ją odremontowali.

– Byłeś tutaj?

– Czasami włóczę się po mieście. Kiedy nie mam nic do roboty.

– Ciekawe.

Hecht miał ochotę przyjrzeć się z bliska. Ale nie zrobił tego, mimo iż mieli jeszcze trochę czasu. Po katastrofie nie zostało ani śladu. A ochroniarze zaczęli z narastającym napięciem rozglądać się wokół.

Heris wyszła z domu, za nią Turking i Felske. Wyszli na wypadek, gdyby trzeba było coś nieść, tak Hecht przypuszczał.

– Jesteśmy za wcześnie.

– Dziadek się ucieszy. Zostanie więcej czasu na rozmowę. – Uściskała Annę. Annie to najwyraźniej nie przeszkadzało. Jej negatywne nastawienie wobec tamtej kobiety zniknęło. – Anno, wyglądasz jak królowa. A dzieci jak młode lordziątka i damy. Nie trzeba było sobie zadawać tyle trudu. – Spojrzała na Lilę, wyraźnie zaciekawiona.

– Wobec tego, po co ty sobie go zadałaś?

Heris zaczęła się tłumaczyć.

– To pomysł dziadka. Chce, żebym się więcej udzielała towarzysko. Zaczynam od małego.

– To jest Lila – przedstawiła dziewczynkę Anna. – Obecnie mieszka z nami.

– Rozumiem.

Heris zapewne zapyta o Lilę. Ale poznawszy los małej, chyba nie będzie jej potępiać.

Weszli do domu.

– Rozgoście się – zapraszała Heris. – Dziadek zaraz zejdzie, jak tylko się oderwie od swoich czarów. – Pisnęła. – Cholera! Przestań!

Odwróciła się, by odejść z Turkingiem i Felske. I wpadła na starego człowieka odzianego w brązy.

Cloven Luty uśmiechnął się szeroko.

– To dziecinne, ale zabawa jest zawsze świetna. Tak więc, Piper... Przedstaw mnie.

Hecht nie do końca wiedział, jak się z tego zadania wywiązać. Kiedy nic nie zrobił, Luty podszedł do Anny.

– Chłopakowi z wrażenia język musiał uwieźnąć kołkiem w gardle. Ja, wspaniała damo, jestem dziadkiem Muniera, Clovenem Lutym.

– To niemożliwe! Nikt nie jest tak stary – wybuchnął Pella.

– Pella. Maniery – mitygował go Hecht.

– On ma rację, Piper – bronił chłopca Luty. – Prawie. Rzadko, który człowiek jest tak stary, jak ja. – Do Anny zaś rzekł: – Nic o mnie nie wiesz.

Anna pokręciła głową.

– A wychodzi na to, że powinnam.

– Nasz Piper jest osobą godnej podziwu dyskrecji. Jestem jego aniołem stróżem. Chodzę za nim wszędzie i chronię przed zabójcami, kiedy okazuje się zbyt głupi, żeby słuchać swojej ochrony.

Pella znowu nie wytrzymał:

– Jesteś Dziewiątym Nieznanym!

– Zaiste, jestem. A ty musisz być tą postacią literacką, co? Pellapront Versulius. Czytałeś Okolice Ihrian?

– W Brothe jest tylko jeden egzemplarz, wasza miłość. Znajduje się w posiadaniu prowincjała Doneto. Pułkownik Ghort próbował go namówić, żeby mi go pożyczył. Ale on nie zgodził się nawet na to, by mi udostępnić na miejscu.

– Szkoda, że po południu o tym nie wiedziałem. Piper i ja byliśmy w domu prowincjała. Mogłem dla ciebie pożyczyć tę książkę.

Hecht zauważył:

– Założę się, że była w tym pomieszczeniu, do którego nie mogłeś się dostać.

– Mogłem. Ale nie chciałem narobić bałaganu. I jeszcze bardziej zdenerwować Doneta. A zdenerwowany był dość, aby za wszelką cenę odkryć prawdziwą przeszłość duarneńskiego miecza do wynajęcia, Pipera Hechta.

Anna zdradziła się głośnym westchnieniem.

– Nie ma powodów do zmartwienia. Duarnenia i Wielkie Bagna są już pod lodem. Twój przyjaciel, Bo Begonia, nie rzuci rękawicy Wędrowcowi Wichru tylko po to, żeby znaleźć na ciebie jakieś brudy.

– Biogna – sprostował Hecht. – A więc tak. Wrócił do Regimentu Miejskiego.

– Podejrzewam, że przystał do Patriarchalnych, ponieważ Bronte Doneto nalegał. I żeby być w pobliżu swojego przyjaciela Joego. Znowuż, nie ma się czym martwić. Mało kto pamięta cię z czasów, gdy w drodze na południe przemierzałeś te tereny. Ale znajdzie twoje imię w księgach płac w miejscach, gdzie pracowałeś. – Stary uśmiechnął się.

– Muszę z tobą porozmawiać o paru sprawach, na osobności.

– Będą musiały poczekać. Oto nadchodzi Muno. I wygląda na głodnego.

Hecht uznał, że Delari wygląda na roztargnionego. Nie miał wiele do powiedzenia ani przed, ani w trakcie długiego posiłku. Reszta biesiadników poszła za jego przykładem. Nawet Pella się uspokoił.

Raptem Delari uniósł wzrok i przez moment wyglądał na zaskoczonego widokiem wszystkich zgromadzonych. Bez związku z czymkolwiek, co powiedziano od czasu przybycia Hechta do jego domu, oznajmił:

– Nie sądzę, abyśmy mogli wygrać tę wojnę. – I znowu pogрузzył się w siebie.

Cloven Luty wzruszył ramionami, dał znak Felske, żeby dołała wszystkim wina. Dzisiejszego wieczora nie żałował sobie jedzenia ani picia. Annie wyznał:

– Mogę sobie wziąć wolną noc. Tutaj Piperowi nic nie grozi.

Anna pytająco spojrzała na Hechta. Żart?

Piper wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, na czym polega poczucie humoru starego. Oprócz tego, że lubił nieprzyjemne żarciki.

– Wasza miłość – zwrócił się do prowincjała – mam pytanie o zabójcę, którego ścigaliśmy, zanim zaczęła się krucjata connekiańska. Tego z podziemi.

– Hę? – Delari był na tyle obecny duchem, żeby zrozumieć, iż pytanie adresowane jest do niego.

– Mieliśmy do czynienia z serią identycznych morderstw. W bliskim sąsiedztwie.

Delari z wysiłkiem się skoncentrował.

– Wrócił?

– Coś wróciło.

– Co Doneto na ten temat sądzi? Widziałeś się z nim dzisiaj.

– Temat nie pojawił się w rozmowie. Do domu ktoś wtargnął. Doneto szybko zakończył spotkanie.



– Wtargnął. – Delari zmierzył dziadka wzrokiem. – Rozumiem. – Uśmiechnął się, zmęczonym uśmiechem. – Dobrze. Jeżeli będzie ścigał własny ogon, nie starczy mu czasu na inne głupoty.

– Głupoty? Na przykład co?

– Porozmawiamy później. Heris, bądź dobrą dziewczynką, zrób nam kawę, a potem dołącz do nas w cichym pokoju.

Heris posłusznie wyszła, zabierając Felske. Turking zaczął sprzątać ze stołu. Anna i młodzi wyglądali na nieco zagubionych. Co teraz?

Delari już zaczął wychodzić, kiedy przypomniał sobie o gościach. Zawrócił.

– Ann, wybacz mi. Zachowuję się niegrzecznie. Muszę coś zrobić z tym potworem. Żałuję, ale nie potrafię ci powiedzieć, jak masz zabawiać się sama, podczas gdy my będziemy przesłuchiwać Pipera. Od powrotu z Connec żyję w trochę innym świecie. Turking. Przygotowałeś pokoje?

– Tak, wasza miłość.

– Wobec tego nie jesteśmy aż tak złymi gospodarzami. Piper, dziadku, powinniśmy być w pokoju, zanim Heris przyniesie kawę. Turking, zapytaj naszych gości, może też się napiją?

– Tak, wasza miłość.

Powoli wchodzili po schodach, ponieważ ani Delari, ani Luty nie ruszali się szczególnie żwawo. Prowincjał zauważył:

– Nic nie mówi, ale jest zła. Anna.

Hecht odrzekł:

– Wydawało jej się, że to będzie wielkie wydarzenie towarzyskie. Uszyła sobie nową suknię. Napracowała się, żeby dzieci wyglądały dobrze.

– Moja wina. Moja wina. Powinienem się zorientować. Zrobię co w mojej mocy, żeby ją ułagodzić.

Heris o mało co znalazła się pierwsza w cichym pokoju. Delari zamknął i zaryglował drzwi, ona tymczasem nalewała kawę. Zasedli przy niewielkim kwadratowym stole, którego nie było tu podczas ostatniej wizyty Hechta.

Hecht pił aromatyczną kawę i czekał. Podobnie zachowywali się Heris i Dziewiąty Nieznany. Delari kilkakrotnie zaczynał mówić, ale urywał, nie umiejąc dobrać właściwych słów.

Na koniec Luty oznajmił:

– On najwyraźniej nie potrafi dać wyrazu temu, co mu chodzi po głowie. Wobec tego ja zacznę. Piper, musisz się pozbyć pierścienia. Odnieś go

Bruglionim. Wymyśl jakąś historyjkę.

– Jakiego pierścienia?

– Święty Eisie. Znowu się zaczyna. – Kiedy już wytłumaczył Hechtowi, o czym mowa, podsumował: – Oddaj go. Powoli staje się twoją słabą stroną. Wiedzą, że go masz. Ten sługa, Polo, pamiętał. A lepiej ich nie prowokować bardziej, niż już to zrobiliśmy.

Hecht zaczął protestować, że przecież nic nie zrobił.

– Nie wiedzą, że ja go mam, prawda?

– Gervase Saluda podejrzewa. Podejrzeniami podzielił się z Paludanem. Żaden z nich nie jest do końca przekonany. Jeszcze. Nie potrafią zrozumieć całej sytuacji. Nie znają historii, stojącej za zgubą Divina Bruglioniego. Jeśli zwrócisz im pierścień, rozbroisz ich.

– A Noc?

– Znajdziemy inny sposób, aby oślepić i zwieść Noc.

– Noc. Tej wojny nie da się wygrać.

– Muno?

– Dziadku?

– Jesteś w stanie pozabijać tylko dawniejszych bogów. Jednostkowe Delegatury. A nie te współczesne, rozproszone.

Delari wreszcie przyciągnął uwagę swej publiczności. Tylko Heris drgnęła, powoli podnosząc filiżankę do ust. Prowincjał zapytał:

– Piper. Jak zabiłbyś Boga? Naszego Boga, nie kogoś w rodzaju Rooka czy Tkacza.

Hecht intuicyjnie wyczuł problem.

– Zmusiłbym go do ujawnienia się, a potem go rozstrzelał.

– Ale coś takiego nie może nastąpić. Nie w wypadku naszego Boga, Boga praman czy Boga devów albo dainschauów. A jest to zasadniczo ten sam Bóg, tylko że na użytek wiernych wkłada inne maski. Istotą problemu jest wszakże to, że w przeciwieństwie do Ordnana, Seski czy kogo tam, ta Delegatura ma rzekomo być we wszystkich miejscach jednocześnie. Możliwe jest to dzięki temu, że On lokuje drobny fragment siebie we wszystkich miejscach Mu poświęconych. Jest to Bóg, który sam sobie robi to, co czarownicy Starego Imperium zrobili najpotężniejszym Delegaturom ich czasów.

– I być może właśnie dlatego nie ma żadnego wiarygodnego przypadku, aby pojawił się na scenie, od czasu gdy dainschauowie mordowali kozy na

Jego cześć. – Cloven Luty podkreślił swe słowa uniesionym palcem i uśmiechnął się. Miał wspaniałe zęby.

Delari kontynuował:

– Żeby zgładzić Boga, Hecht musiałby odwiedzić wszystkie kościoły i świątynie na świecie, odnaleźć konsekrujące je fragmenty Boga i odpowiednio się nimi zająć. Tysiąc Łowców Czarownic, starających się przez tysiąc lat, mogłoby osiągnąć tylko tyle, by ocalałe fragmenty zebrać razem. Ale i tak pozostałyby miejsca, o których nie masz pojęcia albo do których nie możesz dotrzeć, ponieważ są uwięzione pod lodem.

– Nikt nie chce zgładzić Boga – wtrąciła Heris. – Chodzi nam tylko o Delegatury. Istoty, które okropnie dają się we znaki ludziom.

– To ludzie dają się ludziom we znaki, dziewczyno – rzekł Luty. – Delegatury są poręczną wymówką.

– Jeśli już mówimy o dawaniu się we znaki – podchwycił Hecht. – Czy to ty zmusiłeś tych wszystkich ludzi do samobójstwa?

– Ja? Dlaczego? Kto popełnił samobójstwo?

Hecht wyjaśnił.

– Ciekawe. Może masz więcej niż jednego anioła stróża.

W to Hecht już nie potrafił uwierzyć. Ani w to, że stary jest całkiem niewinny.

– To nie ma znaczenia, jeśli należeli do kręgu handlarzy niewolników, którzy cię sprzedali.

– To ma znaczenie... – Hecht wyczuł burzę uczuć szalejącą w duszy Heris. Pierwszy raz był tego świadkiem. Nienawiść parowała z niej niczym chmury czarnej mgły. – Nie chodzi tylko o tych ludzi. Chodzi o tych drugich.

Luty wyglądał, jakby naprawdę się zdziwił.

– Jakich drugich?

– Z własnej ręki zginęli również ludzie nie mający nic wspólnego z handlem niewolnikami.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Być może ich życie straciło sens. Ale wolałbym, żebyś mi wymienił imiona trzech, którzy byli niewinni.

Hecht nie potrafił.

– A jeszcze lepiej, podaj mi inny motyw.

Podczas gdy Hecht i Dziewiąty Nieznany mierzyli się wściekłymi spojrzzeniami, prowincjał Delari podszedł do niewielkiego kredensu i z jakiejś szufladki wyciągnął kawałek zielonego papieru. Karteluszek był pojedynczo złożony. Rzucił go na stół przed Hechtem.

– To jest lista twojego ojca. Uniewinnij, kogo chcesz.

Lista była długa, imiona napisane drobnymi literami, drżącą ręką kogoś, kto znajduje się u kresu bolesnej i śmiertelnej choroby. Wiele imion zaznaczonych było drobnymi znaczkami. Hecht rozpoznał tylko kilka. Natomiast znał parę z niezaznaczonych.

– Powinna być jeszcze jedna lista ze skreśleniami.

Człowiek w brązach wyjął papier z rękawa, popchnął po blacie stołu w kierunku Hechta. Papier był z lekka nadpalony. Heris złapała zieloną listę.

– Och! Ci dwaj. Pracowaliśmy w ich domach w Shartelle. Mintone była szczególnie okrutna wobec matki.

Starzec w brązach powiedział:

– Josuf Mintone zmarł w zeszłym roku. Jego dom spłonął. On był w środku. Długo umierał. I wiedział dlaczego.

Hecht rozumiał, że jest jeszcze coś więcej. Luty nie powiedział wszystkiego.

Przyjrzał się liście starego. Pasowała do niezaznaczonych imion na papierku Grade'a Drockera, z dwoma dodatkami. Tylko jedno imię pozostało niezaznaczone.

Heris wzięła i tę listę do ręki. Luty wskazał to imię.

– Być może ten umknął przed nami w objęcia śmierci. Albo był na tyle bystry, że zrozumiał, co się święci. Ostatni raz widziano go na Shirne, na barce kierującej się do al-Karn, jęczącego w atakach malarii.

– Brakuje pewnych imion – zauważyła Heris. Była ożywiona jak nigdy, jak jakaś mściwa harpia Delegatura.

– Uznałem, że wspólna wiedza może być nicią łączącą ludzi, którzy zginęli – powiedział Hecht.

– I twoim zdaniem w porządku byłoby pozwolić im biegać po świecie i dzielić się tą wiedzą, z kim przyjdzie ochota – zauważył Luty.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś. Nawet jeśli tylko nieświadomie. Jesteś nieszczerzy wobec samego siebie.

– Nie pozabijasz wszystkich, którzy o mnie wiedzą.

– Nie zabijesz Armanda – wtrącił Muniero Delari.  
– A dlaczego nie, Muno? To szpieg. Śliski szpieg.  
– Wiem o tym. Zawsze wiedziałem. Kiedy był w moim domu, kontrolowałem raporty, jakie posyłał do Alten Weinberg.  
– Anna i Titus Consent też są nietykalni – stwierdził Hecht. W odniesieniu do Ferrisa Renfrowa nie był już taki pewien swego stanowiska.  
Heris mruzczała coś pod nosem, patrząc płonącymi oczyma na listę Clovena Lutego.  
– Powiedziałabym, że pewnych imion tu brakuje, podwójny pradziadku.  
– Słucham, kochanie.  
Heris wymieniła trzech mężczyzn i kobietę, wobec których żywiła nieutuloną urazę. Luty wypytał ją dokładniej, potem orzekł:  
– Tylko ta kobieta imieniem Hasheyda pasuje. Pozostali byli po prostu opiekunami niewolników. Nie traktowali cię gorzej niż innych. Imię tej kobiety wszakże już się pojawiało. Być może pomogła w sfinansowaniu ekspedycji niewolniczej. Człowiek, który fingował jej działania swoim nazwiskiem, zapłacił, zanim podejrzenie padło na nią. Porozmawiam z nią.  
– Sama chciałabym z nią porozmawiać – mruknęła Heris. – Przez jakiś rok, w komnacie tortur.  
– Nie byłabyś od tego szczęśliwsza.  
Hecht zmienił temat.  
– Prowincjale. Gdzie się podziewałeś od naszego powrotu? Wszyscy o ciebie pytają.  
– Nie muszą wiedzieć.  
– Nie powiem im. Ale te wszystkie pytania sprawiają, że sam się robię ciekaw.  
– Byłem na dole. W komnacie Konstruktu. I w katakumbach.  
– Trzymasz się na uboczu?  
– Byłem na głosowaniu. Dwukrotnie. Prowadziłem też kampanię mającą zapobiec wybraniu mnie w drugiej elekcji. Z każdym dniem świat staje się coraz bardziej groźny. Nie mam czasu na rozmowy z ludźmi, którzy nie widzą, co nadciąga.  
– Jeżeli będziesz więcej czasu z nimi spędzał, może kilku otworzą się oczy – zauważył Luty.  
Delari parsknął.

– Jedynym człowiekiem wśród nich, którego interesuje coś więcej niż władza i przyjemności, jest Bronte Doneto. Ale on działa z zupełnie niewłaściwych pobudek.

– Na mnie bardzo pozytywne wrażenie wywarł Hugo Mongoz – powiedział Hecht. – Choć nasza rozmowa nie była tak dogłębna, jak bym chciał.

– Z Bonifacym masz rację. Ale on nie pozostanie długo z nami. I większość tego, co jest w stanie zrobić, zawdzięcza temu, że ludzie nie traktują staruszka poważnie.

– Daj mu więcej czasu, może zdoła coś dobrego.

– Hę?

Hecht wskazał palcem Lutego.

– On wymyślił sposób, żeby żyć wiecznie. Niech zrobi to tak, żeby Patriarcha pozostał z nami jeszcze przez jakiś czas.

– Piękny pomysł. W teorii – rzekł Luty. – Ale zapewne niepraktyczny. Niemniej pomyślę o tym. Pierścień, Piper. Jutro. Pozbądź się go. To naprawdę ważne. Delegatury wkrótce się wszystkiego domyślą.

Hecht pokiwał głową.

– Znasz całą historię Osy Stile? – zwrócił się do Delariego. Prowincjał zmarszczył brwi.

– Osa Stile?

– Armanda. Osa Stile to jego prawdziwe nazwisko.

– Skąd możesz wiedzieć...? Jest agentem Ferrisa Renfrowa, szpiegiem Imperium. Zanim go odziedziczyłem, doprowadził do kompromitacji Kościoła w Connec.

– Osa był darem od Dreangeru dla Ferrisa Renfrowa. Został stworzony przez er-Rashala al-Dhulquarnena. Jest prawie w moim wieku. Jego lojalność w pierwszym rządzie należy do Szakala, nie do Renfrowa. A już wcale do jego kochanków. Podejrzewam, że er-Rashal subtelnie zasugerował wykorzystanie Osy w Connec. Gdzie al-Dhulquarnen i jego sojusznicy mieli prowadzić eksperymenty nad wskrzeszaniem wypędzonych Delegatur. Nie liczyli się z tym, że biskup Serifs okaże się do tego stopnia niegodziwy, iż Braunsknechci cisną go w przepaść.

– Wiesz to na pewno? – zapytał Delari.

– O Osie Stile? Tak. Spekuluję tylko na temat udziału er-Rashala.

– A twoja lojalność obecnie po czyjej jest stronie, Piper? – zapytał Luty. – Mając na względzie, że wysłali cię na zachód na śmierć, a potem bez przerwy nękali tylko dlatego, że nie chciałeś wyzionąć ducha.

– Nie wiem. Szczerze. Doskonale wiem, że zostałem zdradzony przez Gordimera i al-Dhulquarnena. Sami się zrobili moimi wrogami. Ale sha-lugowie mnie nie zdradzili. Mój oddział, którym dowodziłem, zanim tu przybyłem, walczył pod al-Khazen. Później również pod Arn Bedu. Ich też zdradzono. Dlatego że byli związani ze mną. Nie zwrócili się przeciwko mnie. Podobnie postąpiłaby, jak podejrzewam, większość sha-lugów.

Choć nie było go w domu już od tak dawna, że niewielu jeszcze będzie go pamiętało.

Luty pokiwał głową.

– Ten, którego nazywają Górą. Ukrywał się wśród praman pod Arn Bedu. Teraz jest w Lucidii. Rzekomo popiera go kaif Kasr al-Zed. Zbiera sha-lugów, którzy chcieliby wystąpić przeciwko Gordimerowi i er-Rashalowi. Ale spotyka się ze znacznie mniejszym odzewem, niż przypuszczał. Wyszedł cało z kilku zamachów na swoje życie. Będzie mu potrzebne dużo szczęścia, żeby jakoś sobie poradzić.

– Jutro – wtrącił Delari.

Najwyraźniej znowu zupełnie zagubił się we własnych myślach.

Wszyscy zapatrzyli się na niego. Ale nie powiedział nic więcej.

– Muno? Chciałeś coś powiedzieć. – Luty wymówił te słowa ze specyficznym naciskiem, jakby dorosły zwracał się do nieuważnego dziecka.

– Hę? Och. Tak. Jutro. Heris. Jutro zaczniesz edukować Pipera w sprawach związanych z Konstruktem.

– Piper musi odwiedzić Bruglionich.

– Więc po wizycie. Ale jutro. Musimy się do tego zabrać. Ponieważ nie minie wiele czasu, nim on znowu wyruszy do Connec.

– Nie mam czasu! – protestował Hecht.

– Znajdź czas, Piper – poradził Luty. – Ufaj swojemu sztabowi. To ważne. Muno i ja nie jesteśmy nieśmiertelni.

– Nie mam żadnego talentu do czarów.

– Talent nie jest wymagany. Przynajmniej nie większy, niż go potrzeba do rzucenia kamieniem. Będziemy obaj z tobą i będziemy cię szkolić. Racja, Muno?

Prowincjał skinął głową. Ale znowu zatopił się w sobie.

– O czym rozmawialiście? – chciała wiedzieć Anna, gdy Hecht wślizgnął się do użyczonego im łóżka.

– O wczoraj, dzisiaj i jutrze. Przygnębiające sprawy.

– Jakież tajemnice?

– Oczywiście.

– Polityka?

– To też. Dostaniesz pomoc w złapaniu zabójcy z sąsiedztwa.

– A ty będziesz musiał...

– Ja będę musiał studiować coś u Delariego, a potem wrócę do Connec.

Rozczarowana mruknęła:

– Kiedy to nastąpi?

– Zależy od Bonifacego. Moim zdaniem, nie spiesz mu się szczególnie. Z pewnością nie wcześniej, niż wojska z Artcipei wrócą do domu, odpoczną i otrzymają nowe wyposażenie.

Anna wtuliła się w niego całym ciałem.

– Nie chcę, żebyś mnie zostawiał.

– Wiem. Ale muszę.

– Wiem. Nie powstrzymam cię przed byciem sobą.

Tak naprawdę to przecież nie o to chodziło. A może jednak.

– Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się ujrzeć – powitał go Paludan Bruglioni. Naprawdę wyglądał na zaskoczonego. – Usunąłeś się z naszego życia. – Zachowywał się nerwowo. Miał kłopoty ze spoglądaniem Hechtowi w oczy. Stracił włosy i przybrał na wadze.

– Bynajmniej. Mam u ciebie dług wdzięczności. Dałeś mi pracę, kiedy byłem tu nowy. Podczas pobytu w twoim domu dałem z siebie wszystko.

Paludan niechętnie przyznał:

– Faktycznie wlałeś w nas nowe życie. Odzyskałeś dla nas szacunek, który utraciliśmy. – Utracili przez wzgląd na kompletną obojętność Paludana Bruglioniego wobec spraw związanych z kierowaniem rodziną, na której czele stanął w zbyt młodym wieku.

– Ale nie jesteś ze mnie zadowolony. Tak słyszałem.

– Powiedziałeś, że masz coś...? – Paludan znieczeka urwał, jakby zapomniał, o co chciał zapytać. Wbił spojrzenie w róg komnaty, jego twarz pobiadła.



– Być może znalazłem ten pierścień, którego byłem pewny, że nie mam. – Miał notatkę na kawałku papieru przywiązanym do lewego nadgarstka. Pismo nigdy nie zapomniało. – Jeśli to o to chodzi. – Podał Bruglioniemu złotą obrączkę. – Znalazłem go wśród monet i klejnotów, które przywiozłem z Artecipei. Nie mam pojęcia, czy tam trafił w moje ręce, czy przez cały czas miałem go przy sobie. Fakt, więcej sensu ma stwierdzenie, że cały czas go miałem.

Paludan popatrzył na niego wzrokiem tak wściekłym, na jaki mógł się tylko zdobyć człowiek przestraszony.

– Pokazałem go prowincjałowi Delariemu. Powiedział, że jest na nim zaklęcie, które sprawia, że o nim zapominasz. Zapisałem je. – Pokazał nadgarstek.

Bruglioni przyjrzał się pierścieniowi.

– Wygląda jak ten, który miał Divino. A on zawsze twierdził, że ludzie, którzy go tylko widzieli, ale nie weszli w jego posiadanie, mogą go zapamiętać.

– A więc jaki sens w jego posiadaniu, skoro nie możesz go tak naprawdę mieć? Jaki szalony czarownik stworzył taki pierścień?

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić. Może pierścień robi to, co miał robić ongiś, a dotrwał do naszych czasów tylko dlatego, że nikt nie pamiętał o nim na tyle długo, aby go przetopić.

– To pasuje. Prowincjał sądzi, że pochodzi ze starożytności dawniejszej jeszcze niż Imperium Ageańskie. Ale nie domyśla się, po co został stworzony.

Bruglioni cały czas obracał pierścień w palcach. W końcu wsunął go na palec.

– Wuj Divino też nie wiedział. Nie pamiętał, że go ma, póki pierścień nie zniknął.

– Naprawdę czas mnie goni. Po prostu chciałem naprawić swój błąd, gdy odkryłem, że przez cały czas się myliłem i naprawdę miałem ten pierścień. I chciałem na własne oczy zobaczyć, czy wszystko u was w porządku.

– Wciąż jest lepiej niż w czasie, zanim się u nas pojawiłeś. Gervase daje mi szturchańca, kiedy się znowu zapominam. Wskazuje na ambitną młodzież. Wtedy przypominam sobie, co może się stać... jeśli nie będę zwracał uwagi. Żałuję, że wcisnąłem go na miejsce Divina. Teraz nigdy nie

ma go przy mnie. – Wzruszył ramionami. – Gervase jest najlepszym ze wszystkich ludzi, jakich mamy.

Hecht wyciągnął dłoń. Bruglioni nie uścisnął jej. Mimo wszystko ten zwyczaj nie był obecnie rozpowszechniony. Ale życzył Hechtowi:

– Powodzenia w Connec. Tym razem zrób im porządną czystkę.

– Mam zamiar spróbować.

Wkrótce po tym, jak Hecht wyszedł, z gardła Paludana wydobył się pełen przestrochu jęk.

Stary człowiek wpakuje się kiedyś w coś, z czym sobie nie poradzi.

Prowincjał Delari był w ponurym nastroju.

– Spóźniłeś się.

– Tym razem twój dziadek spłatał o jeden figiel za dużo. Ledwie udało nam się wydostać z pałacu Bruglioniów – bronił się Hecht.

Lutemu jakoś udało się przybrać niewinny wyraz twarzy. Na moment.

Hecht podszedł do Heris. Spoglądała na wielką mapę świata u swych stóp.

– Wciąż pojawiają się kolejne zmiany. – Była dziś nieco rozmamłana.

– Linia lodu?

– Tak. – To było widoczne gołym okiem. – Ale chodzi też o bardziej subtelne rzeczy. Na Negrine i dwu mniejszych morzach na dalekim wschodzie podnosi się poziom mórz. Obfitsze opady śniegu na północy oznaczają więcej wody z roztopów wiosną i latem.

– Jesteś dobrze poinformowana.

– Dziadek od lat mnie tu przemyczał. Abyś uczyła się o Konstrukcie. W nadziei że kiedyś przejmę po nim pracę. Teraz chce na gwałt szkolić ciebie.

– Co? Razem nie mamy nawet uncji czarodziejskiego talentu.

– On twierdzi, że to nie ma znaczenia. Czary są siłą napędzającą. Ty tylko wydajesz rozkazy Konstruktorowi. Luty jest prawdziwym mistrzem. Nie musi wydawać żadnych rozkazów. Może on nas nauczyć. Dziadek nie za bardzo potrafi tłumaczyć.

– Jeżeli Luty przestanie podszczypywać pośladki i ciągnąć za uszy. Jak się tu dostałaś? Przekupiłaś strażę?

Jedynymi kobietami, którym pozwalano wejść do pałacu Chiaro, były siostry z zakonu betanek. Oraz te zakonnice na dole, które aktualizowały mapę.

– Przyszłam pod ziemią.

To wyjaśniało pył i brud na jej ubraniu.

– Brawo. Jesteś bardziej opanowana niż ja. Ja byłem na dole tylko parę razy. I nie zejdę znów, jeśli nie będę musiał.

– Dziadek mi powiedział. Ale teraz jest już tam spokojnie. Zadbał o to, upewnił się. Stary pomógł.

Hecht westchnął.

– Nie mam pojęcia, jak on sobie radzi z tymi wszystkimi zajęciami.

– Konstruktor. – Heris wskazała na mapę. – Jest jego prawdziwym wirtuozem.

– Dzięki niemu może wędrować pomiędzy światami?

– Tak. Dziś już tylko on umie to robić. Studnie Mocy zbyt osłabły i zbyt wielu wskrzeszeńców walczy o każdą dostępną jej drobinę. Twoja misja w Connec może nam pomóc. Dziadek chce powrotu starych dobrych czasów. Kiedy go wtedy znalazłeś, naprawdę nie potrafił się wydostać z miejsca, gdzie go wsadzili. A wtedy wciąż sądził, że jest prawdziwym Panem Milczącego Królestwa.

Podczas gdy rozmawiali, Cloven Luty śmigał po ogromnej komnacie, zaglądając przez ramię ludziom pracującym nad Konstruktem. I tym razem jakoś hamował ochotę straszenia ich.

Prowincjał Delari w podobnym celu musiał używać drabinek i pomostów.

– Gdyby studnie dawały tyle mocy co kiedyś, ty i ja bylibyśmy w stanie robić to, co stary – powiedziała Heris. – Jeśli uczylibyśmy się pilnie i naprawdę chcieli.

A Heris chciała tego naprawdę bardzo. Jednak przyświecające jej cele nie musiały wcale być takie znów czyste.

– Co? – zapytała Heris. – Nie zrozumiałam żartu.

– Myślałem o motywacjach i czystości. W tym mieście. W tym pałacu.

– To faktycznie śmieszne, nieprawdaż?

Minęło sześć tygodni, zanim Bonifacy dał rozkaz, by siły patriarchalne ruszyły. Piper Hecht każdego dnia spędzał pięć godzin w podziemiach pałacu Chiaro. Nie sądził, by się w tym czasie czegoś nauczył. Delari i Luty nie zgadzali się z nim.

– Powoli się do niego dostrajasz – upierał się Luty. – W końcu będziesz w stanie nawiązać z nim kontakt na odległość. Ja już potrafię cię dostrzec z dala. Nie będę się musiał tyle przy tobie wałęsać. Dobra. Jedź do dzikiego

kraju, gdzie ludzie śmiesznie mówią, i zabij paru bogów. Potrzebna mi moc, którą wysysają.

Cztery dni przed wymarszem do dzikiego kraju Hecht otrzymał zaproszenie do odwiedzenia Penitalu. Tym razem wezwanie pochodziło bezpośrednio od samego legata imperialnego. Z zapewnieniami zachowania całej sprawy w najgłębszej tajemnicy.

Krążyły plotki, że z imperialnym małżeństwem znowu są jakieś kłopoty. Podejrzał, że legat zechce wszystko mu wyjaśnić wprost.

Słusznie.

– Małżeństwo znów zostało odłożone – poinformował go legat. – Przez wzgląd na komplikacje, jakie wdały się w rany króla Jaime’a, nie pozwalając mu wrócić do zdrowia. Wbrew naszym przewidywaniom okazał się niezdolny do podróży. Stracił przytomność, gdy jego orszak zbliżał się do Khaurene.

– Czy próbuje uchylić się od podjętego zobowiązania?

– Bynajmniej. Można by rzec, że jest zbyt chętny. Jej Wysokość skontaktuje się z tobą, gdy tylko zostanie wyznaczona nowa data ślubu. – Legat uśmiechnął się do jakichś swoich myśli.

– Ogromnie dziękuję, sir. – Hecht opuścił Penital znów zamyślony nad przyczynami wyraźnego zainteresowania okazywanego mu przez Imperatorową. Dlaczego?

Wcześniej legat tylko wzruszył ramionami i pokręcił głową, gdy wprost zadał mu to pytanie.

Armia patriarchalna pojawiła się nad rzeką Dechear w sile dwóch tysięcy czterystu ludzi, ponieważ tyłu tylko Bonifacy desygnował na tę kampanię. Patriarcha uważał, że większe siły mogą wznieść w Connec ruch oporu, a mniejsze nie wystarczą do poradzenia sobie z nadprzyrodzonym chaosem. Naczelnemu Wodzowi pod stopami nie plątał się żaden prowincjał. Członkowie Kolegium starali się nie opuszczać Brothe. Następne wybory Patriarchy miały się okazać decydujące. Walka będzie się toczyć do krwi ostatniej. Nie będzie już żadnego kompromisowego kandydata w podeszłym wieku, który zajmie pozycję na czas podchodów młodszych mężczyzn.

Hecht miał nadzieję, że następna elekcja nie nastąpi przed upływem wielu lat. Podobał mu się Hugo Mongoz jako Patriarcha. Wierzył, że prowincjał

Delari i Cloven Luty wykorzystają moc Konstruktu dla zapewnienia mu długowieczności.

– Ktoś nadjeżdża – oznajmił Clej Sedlakova. – Chyba z północy, z Viscesment.

Hecht też zobaczył człowieka w mundurze Braunsknechta.

– Słusznie.

Mimo pojednania Imperatorowej Katrin z Kościołem brotheńskim, niewielki oddział Braunsknechtów wciąż strzegł Walecznego.

Teraz można było już rozróżnić sylwetki towarzyszących mu jeźdźców.

– Już go spotkaliśmy.

Zjechał z drogi, po której żołnierze szli do Dechearu, nie spiesząc się zbyt. Sedlakova, Consent i kilku innych zostało z Hechtem.

– Algres Strach – rozpoznał jeźdźca Consent. – Tak kazał na siebie mówić, gdy przybył wypożyczyć Dragona Proseka.

Strach podjechał ostrożnie, choć ostrożność była tu w istocie bezcelowa.

– Naczelnny Wodzu, przywiozłem listy.

– Kapitanie Strach. Myślałem, że dba pan o bezpieczeństwo księżniczki Hespeth.

– Kiedyś tak było. W innym życiu. Zanim pozwoliłem jej wyruszyć do walki z potworem z przełęczu Remyne. I kiedy dzieciak zawstydził wszystkich bohaterów Imperium, ponieważ faktycznie zabił smoka. Zostałem zesłany na wieś. Teraz powoli przechodzę rehabilitację. Znowu mogę pracować w zawodzie. Jako dowódca sześciuosobowego oddziału chroniącego kogoś, kogo Imperatorowa raczej wolałaby nie chronić. Ale musimy zachowywać tradycje Imperium.

– Rozumiem. Listy?

Strach wyciągnął gruby portfel kurierski z barwionej na żółto skóry.

– Przegadane, bez wątpienia. Ale cała sprawa sprowadza się do tego, że Waleczny i Bonifacy zawarli umowę. Waleczny położy kres Patriarchatowi w Viscesment. W zamian zostanie następcą Bonifacego w Brothe. Kiedy umrze, będzie już tylko jeden Patriarcha.

Hechtowi nie chciało się wierzyć. Ci, którzy byli mocno związani z Bractwem, posunęli się nawet do jawnych kpin. Przeczytał listy.

– Kapitan ma rację, panowie. Wszystko tutaj jest, w żargonie kanonicznym.

– Kiedy to zobaczą, całe przekłete Kolegium posra się kwadratowym gównem – rzekł pułkownik Smolens.

– Zapewne – zgodził się Hecht. – Ale najpierw, kapitanie, chciałbym się dowiedzieć, ile lat ma Waleczny.

– Piąty krzyżyk na karku. I wielkie ambicje. Ale jest kaleką. Polio w młodości. Cud, że przeżył tyle lat.

– Rozumiem. Więc tak. Kolegium może się zgodzić. Jeżeli trzeźwe głowy przeważą, a dostatecznie wielu ludzi będzie chciało rozwiązać problem podwójnego Patriarchatu.

Niewielu uważało, że Kolegium jest w stanie zbiorczo podejmować dojrzałe decyzje. Hecht liczył siebie pośród sceptyków. Ci starzy ludzie zachowywali się niczym rozpuszczone ośmioletnie dzieci.

– Dalsze konsekwencje umowy przewidują, że odtąd Waleczny jest twoim sprzymierzeńcem – powiedział Strach. – Wszystkie mosty nad Dechearem są obecnie do twojej dyspozycji. Waleczny ma nadzieję, że uczynisz Viscesment bazą dla swoich operacji w tej części Connec. To powinno stworzyć bodziec rozwoju dla lokalnej gospodarki.

Ciekawe.

– Pułkownik Smolens. Ma pan okazję powrócić na miejsce swych zbrodni. Proszę zabrać główne siły na północ i przebyć rzekę w Viscesment. Dzięki temu będziemy mieli siły po obu stronach terytorium, które chcemy oczyścić.

Madouc już patrzył ponuro. Wiedział, że zaraz usłyszy słowa, których nie chciałby usłyszeć wcale.

– Ja zostanę z batalionem, który tu pokona rzekę. Potem pomaszujemy na północ, wzdłuż zachodniego brzegu. Madouc, nie chcę nic słyszeć. Gdzie mój dzieciak? Dlaczego on ciągle gdzieś znika?

– Jest z Prestenem i Bagsem – odparł Madouc. – Chciał zobaczyć miejsce, gdzie robał wylazł spod ziemi.

Hecht zerknął na południe. W zasięgu wzroku nie było śladu po wydarzeniach ostatniego roku.

– Jak go stracisz, będziesz się przede mną tłumaczył. A ja po prostu oddam cię Annie. Co teraz?

Drogą zmierzał w ich stronę kolejny jeździec, tak szybko jak tylko mógł, nie tratując piechurów. Żołnierze przystawali i łamali szyk, w miarę jak rozchodziła się wieść, że następuje zmiana planów.

Jeździec był jednym z falkonecistów Dragona Proseka. Pierwsi pokonali rzekę.

– Naczelnny Wodzu. Jacyś connekiańscy szlachcice domagają się posłuchania. Jeden jest od hrabiego Raymone’a.

– Ani na chwilę nie przestaje padać – oznajmił Hecht. – Kapitanie Strach, proszę pozostać ze mną, aż będę mógł panu poświęcić więcej czasu. Sierżancie Bechter, proszę zadbać, aby kapitan czuł się u nas dobrze. Madouc. Nie żartowałem na temat chłopaka. Wczoraj dostałem list od Anny. Nie jest zadowolona. – Przy okazji doniosła mu też, że prowincjałowie Delari i Doneto odnieśli połowiczny sukces, próbując zgładzić zabójczą bestię z podziemi Brothe. Zeszli na dół ze srebrem, żelazem i pożyczonymi falkonetami. Po pojedynczym słabym starciu stwór uciekł. Od tego czasu ich unikał. I nie zdradził miejsca swego pobytu, ponieważ zaprzestał swego procederu na powierzchni. Teraz z kolei szerzyły się plotki o okropieństwach spotykających tych, którzy zamieszkiwali katakumby. Błazi ludzie po raz pierwszy w swoim życiu wychodzili na światło dnia. Prowincjałowie obawiali się, że mordercza bestia jest znacznie silniejszą Delegaturą, niż pierwotnie podejrzewali. Studia trwały. Do polowania zaproszono innych członków Kolegium.

Niemniej prowincjał Delari wciąż gwarantował eksterminację monstrum.

Prowincjałowie obawiali się obecnie, że stwór jest królową straszego roju. Złapali i zabili kilkanaście pomniejszych, morderczych istot zła podobnych do niej – wszystkie do życia powołały nienawistne wyobrażenia populacji uchodźców.

Więc tak. Delegatury powstawały w wyniku ciśnienia irracjonalnych strachów zbyt wielu osób, stłoczonych na zbyt małej przestrzeni.

Hecht pomyślał, że dla nikogo nie powinno być to zaskoczeniem.

– To nie o chłopaka powinniśmy się martwić – stwierdził Madouc. – Jest na tyle odpowiedzialny, żeby słuchać rozkazów swojej ochrony.

– Tak. Tak. Na pamięć znam już tę śpiewkę. Ruszajmy, panowie. Chcę się spotkać z tym symbolem connekiańskiego nacjonalizmu, hrabim Raymone.

Hrabia Raymone nie robił jakiegoś szczególnego wrażenia. Widać było, że jest człowiekiem rozsądnym. Chciał się tylko upewnić, że wie, co mają zamiar na jego ziemi osiągnąć wojska patriarchalne.

– W takim razie, Naczelnny Wodzu, mogę ci pożyczyć nieco moich ludzi. Zwłaszcza pochodzących z krain, gdzie obecnie włada Noc. Mam nadzieję,

że ruszysz przeciwko najeźdźcom równie chętnie, jak przeciwko nam zeszłego roku.

– Możesz się do mnie przyłączyć. Aczkolwiek nie mogę obiecać żołądu. Sam mam z tym kłopoty.

– To nie problem.

Hecht przyjrzał się kobiecie stojącej obok hrabiego Raymone'a. Starła się ze wszystkich sił trzymać usta zamknięte na kłódkę. Obecnie była żoną Raymone'a. Zapewne wśród towarzyszy hrabiego był któryś z jej braci.

– Należy się spodziewać kolejnej ciężkiej zimy – oświadczył Hecht. – Bazą naszych operacji będzie Viscement. – To najwyraźniej zaskoczyło hrabiego Raymone'a. – Bonifacy i Waleczny zawarli pokój.

Barczysty mężczyzna, kuzyn Bernardin Amberchelle, zaśmiał się złowieszczo.

– Zaczął się sezon polowań na Towarzystwo, bracia. Zaczął się sezon.

– Właśnie – zgodził się Hecht. – Nowy Patriarcha zdecydowanie nie przepada za Towarzystwem. Ale nie sądzę, byśmy spotkali wielu z nich na trasie naszej kampanii. Brakuje im nerwów, żeby operować pod samym nosem Nocy.

– Podoba mi się ten facet – oznajmił Amberchelle. – Nawet jeśli niewoli u niego nie mogę zaliczyć do przyjemnych wspomnień.

– Dość! – warknęła kobieta.

Hecht powiedział:

– Ufam, że twoja niewola okazała się mniejszą udręką, hrabino.

Kobieta zaśmiała się w głos.

– Najgłupszą rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu zrobiłam, była tamta ucieczka. Dbaliście, żebym miała ciepło i jedzenie. Po ucieczce marzłam przez wiele tygodni i prawie zagłodziłam się na śmierć. Ale, cholera! Byłam wolną Connekianką.

– Ja też tam byłem. Hrabio Raymone. Chcę wyraźnie stwierdzić, że nie wysłano mnie tutaj, abym dla ciebie odzyskiwał twe terytoria. Jestem tutaj po to, aby pozbyć się dzikich stworów Nocy. Niemniej zajmę się tymi istotami, co tobie z kolei pozwoli pozbyć się dzikich lokatorów. Powiedziano mi, że pierwsza próba odzyskania tych ziem się nie powiodła, ponieważ natrafiła na opór zbyt licznych zastępów Nocy.

– Tak było. Poza tym wysłałem zbyt mały oddział. W pełni odpowiada mi twoja propozycja. Cieszę się na to, co nadejdzie, wyłączwszy zimę. Ale



niestety zima z każdym rokiem nadchodzi chyba coraz wcześniej.

Tak też było tym razem. I ta zima okazała się sroga.

Możliwość prowadzenia kampanii z Viscesment zapewniała im nieco większy komfort życia. Naczelnny Wódz i hrabia Raymone likwidowali jeden punkt oporu po drugim, każdy zajmował się wyznaczonymi celami i rzadko musieli długo przebywać na chłodzie. Ani dzicy lokatorzy, ani Noc nie potrafili rzucić im poważniejszego wyzwania. Walczyli we wścieklej desperacji, ale z niewielkim skutkiem. Z początku trudniej było sobie poradzić z arnhandzkimi rycerzami w zdobytych przez nich zamkach, ale tamci w obliczu wyboru między pewnym unicestwieniem a poddaniem się porzucili wszelki opór i zaczęli wracać na północ, zanim ogarnęła ich Nemezis.

Drago Prosek i jego ludzie bawili się świetnie wśród smrodów i wybuchów.

– Szkoda tylko, że to jest równie łatwe jak zarzynanie kur – przechwalał się Prosek. – Małe, duże... te nocne istoty cierpią na zaraźliwą głupotę.

Miesiące spędzone w niegdysiejszej siedzibie Antypatriarchatu pozwoliły Naczelnemu Wodzowi oswoić się z lokalną odmianą wiary chaldarańskiej. Poznał też człowieka o imieniu Rocklin Glas, który pod wieloma względami przypominał Hugona Mongoza. Hecht specjalnie odnotował sobie, żeby przypomnieć Clovenowi Lutemu, który od czasu do czasu go odwiedzał, że Waleczny jest dobrym człowiekiem. Pisywał do Bonifacego i Kolegium, donosząc im to samo. A tym drugim nigdy nie omieszkał wspomnieć, że Waleczny zapewne nie przeżyje długo Bonifacego.

Kiedy nadeszła wiosna, Titus Consent przyniósł wiadomość:

– Król Jaime się ruszył. Właśnie przybyła jego awangarda. Chce skorzystać z mostów Viscesment. Jeżeli masz ochotę na ten ślub, możesz się do niego przyłączyć.

Hecht otrzymał zgodę od Bonifacego na udział w ceremonii. Miał reprezentować Patriarchat, ponieważ Bonifacy był zbyt słaby, żeby myśleć o przeprawie przez góry Jago.

Pułkownik Smolens podsłuchał.

– Jedź. Sir, nigdy nie spotka cię większy zaszczyt. Sedlakova, Brokke, Consent i ja poradzimy sobie z utrzymaniem wszystkiego w kupie.

Król Jaime z Castaurigi był ledwie na tyle wysoki, aby nie nazywać go karłem – przynajmniej w opinii Pipera Hechta. Od pierwszego wejścia

zniechęcił Direcjanina. Tamten miał wielce przesadzone mniemanie o własnej wartości. Do tego stopnia, że Cloven Luty nie potrafił się oprzeć i pofolgował swojej namiętności do spuszczenia powietrza z nadętych waśniaków.

Po dwóch dniach spędzonych w drodze z przyszłym małżonkiem Imperium Madouc zauważył:

– Powiadają, że Imperatorowa szaleje na punkcie Jaime'a. Powinna szaleć.

Pella zachichotała niczym stara baba.

– Dotrzemy do Alten Weinberg na tydzień przed ślubem. To powinno dać Katrin dość czasu, żeby przejrzeć tego czarnego bękarta – powiedział Hecht.

Wiedział jednak, że to tylko pobożne życzenie. Katrin już zdecydowała i oddała Jaime'owi swe serce. Jej Komisja Doradcza rzekomo nie była tym aliansem uszczęśliwiona. Zwłaszcza ci jej członkowie, którzy widzieli Jaime'a pod Los Naves de los Fantas.

Piper Hecht nie martwił się jednak losem Katrin. Ostatnio nie potrafił na dłużej oderwać myśli od Hespeth. Za kilka dni miał ją znów zobaczyć. Do jakiego stopnia jego wyobraźnia odbiegała od rzeczywistości?

Czuł się niczym niezgrabny młodzian. I zastanawiał, co myśli sobie księżniczka. Może czeka.

I ani przez moment nie przestał się niepokoić o żołnierzy, których zostawił, a którzy borykali się z zadaniem ujarznienia connekiańskiej Nocy.

Jak sobie poradzą bez niego?

Robi się coraz zimniej. Studnie Mocy słabną, a potęgi Nocy rosną w siłę. Piper Hecht wyszedł cało z boju z Delegaturami i jest teraz Naczelnym Wodzem armii krzyżowców Wzniosłego V. Wokół tronu Imperium Graala zacieśnia się sieć intryg. Hechta wspomaga legendarny czarownik Cloven Luty, choć nawet jemu trudno sobie poradzić z Dawnymi Bogami, którzy wciąż próbują nagiąć ludzkie losy do własnych celów.

Wielowątkowa, błyskawiczna akcja rozgrywa się w świecie zadziwiająco podobnym do naszego, od podszewki ukazującym mechanizmy władzy.

Glen Cook (ur. 1944 r.) – autor wielu powieści science fiction i fantasy. Najbardziej znane są jego **KRONIKI CZARNEJ KOMPANII**, które weszły już do klasyki gatunku, cykl o Imperium Grozy (oba wydane przez REBIS) i seria o inspektorze Garretcie.



REBIS

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

ISBN 978-83-7510-088-4



9 788375 100884

CENA 35,90 ZŁ



# Spis treści

- 1 Caron ande Lette, w Skraju Connec
- 2 Brothe, w towarzystwie Naczelnego Wodza
- 3 Alten Wienberg, serce Nowego Imperium Brotheńskiego
- 4 Wiatry rozpaczy
- 5 Miasto ojczyste, zemsta Wzniosłego
- 6 Księżniczka na Plemenzy
- 7 Pożar w Skraju Connec
- 8 Długa zima, krótka wiosna
- 9 Hochwasser, uroczystości żałobne, święta życia
- 10 Caron ande Lette, fala powodzi
- 11 Powroty do domu w Brothe
- 12 Plemenza, inicjatywa na rzecz uwolnienia Jago od potwora
- 13 Connec, pierwsza rozpacz i pierwsza ucieczka
- 14 Krzyżowcy, wilki na krzesłach
- 15 Plemenza, oko w oko z Synem Nocy
- 16 Castreresone, oblężenie
- 17 Nowy świt i nowa noc
- 18 Interludium w Runjan w Reigenwaldzie
- 19 Khaurene w czas najczarniejszej rozpaczy
- 20 Artecipea, nieoczekiwana krucjata
- 21 Alten Weinberg, ponure wieści
- 22 Skraj Connec, dyspensa Mistrza
- 23 Dreanger, al-Karn, Pałac Królów
- 24 Brothe, pod koniec dnia